

WYDANIE
CZWARTE

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

NORA ROBERTS
NIEBEZPIECZNA GRA

NORA ROBERTS

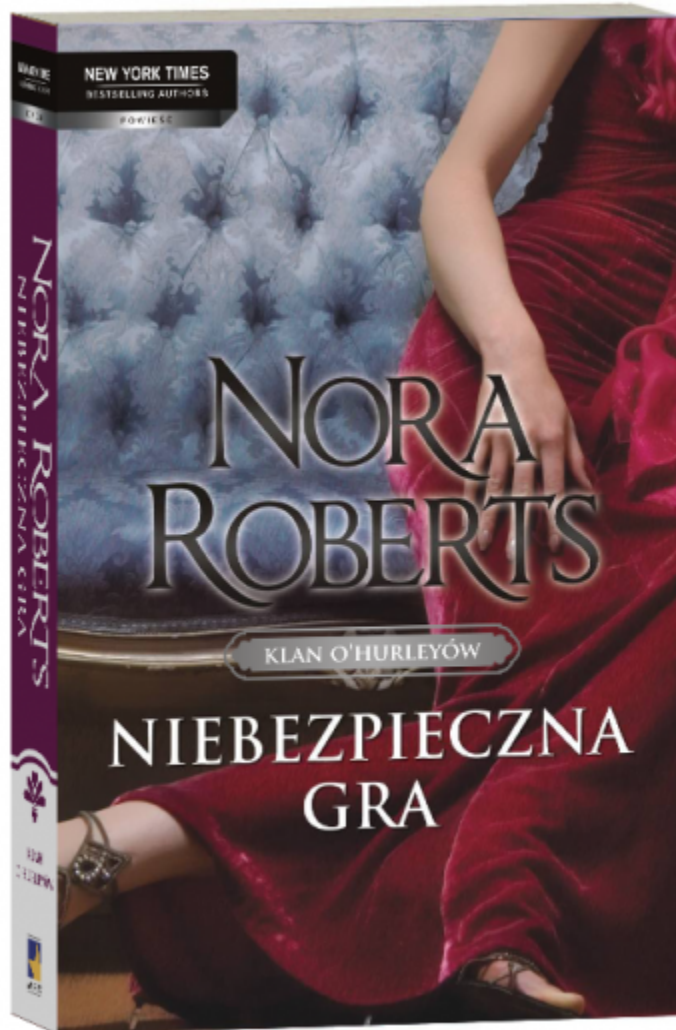
KLAN O'HURLEYÓW

NIEBEZPIECZNA GRA



WYDANIE
CZWARTE





NORA ROBERTS

CENA SŁAWY

(OPĘTANIE)

PROLOG

- I co my mamy zrobić z tą dziewczyną?

- Daj spokój, Molly, za bardzo się przejmujesz - odparł Frank O'Hurley, nakładając na twarz warstwę pudru.

- Mam się nie przejmować? - Molly zapięła suwak sukienki i stanęła w drzwiach garderoby, by wyrzucić na ciążący się za sceną korytarz. - Mamy czwórkę dzieci, Frank, i dobrze wiesz, że tak samo kocham każde z nich. Ale z Chantel naprawdę mamy poważny kłopot.

- Chyba jesteś dla niej zbyt surowa.

- Bo ty nie jesteś dość wymagający.

Frank roześmiał się beztrzesko, odwrócił się i wziął żonę w ramiona. Dwadzieścia lat małżeństwa nie zdołało osłabić siły jego uczuć. Ta kobieta wciąż była jego śliczną i pełną dziewczęcęgo wdzięku Molly, mimo że miała już dwudziestoletniego syna i trzy córki nastolatki.

- Kochanie, Chantel jest po prostu prześlizną dziewczyną, która...

- ... aż za dobrze o tym wie!

Molly zerknęła ponad ramieniem męża na drzwi. Miała nadzieję że lada chwila wreszcie stanie w nich Chantel. Gdzie też się podziewa ta dziewczyna? Do wyjścia na scenę pozostało piętnaście minut, a jej wciąż nie ma.

I pomyśleć, że jej siostry były pod tym względem zupełnie inne - bardziej posłuszne i znacznie bardziej odpowiedzialne. Gdy w kilkunastominutowych odstępach rodziła swe córki - trojaczki, nie wiedziała, że to właśnie pierwsza z nich przysporzy jej w przyszłości najwięcej zmartwień.

- To wszystko przez tę jej urodę - burknęła. - Wokół dziewcząt takich jak ona zawsze kręci się mnóstwo chłopców.

- Ale musisz przyznać, że radzi sobie z tym doskonale.

- To właśnie mnie niepokoi. Zbyt dobrze sobie radzi, Frank. Ma dopiero szesnaście lat, a już niejednego faceta owinęła sobie wokół palca.

- No dobrze, a ile ty miałaś lat, gdyśmy... ?

- To było co innego! - przerwała mu pospiesznie i zaraz roześmiała się, widząc jego sceptyczną minę. Poprawiła mu krawat, starła puder z klap marynarki i dodała: - Boję się, że ona może nie mieć tyle szczęścia co ja, i nie trafi na takiego wspaniałego mężczyznę.

Frank mocno ujął ją za łokcie.

- A jaki powinien być ten mężczyzna?

Oparła mu dłonie na ramionach i popatrzyła poważnie w jego twarz. Choć jego szczupłą twarz znaczyły już zmarszczki, w oczach wciąż palił się ogień, żywioł, temperament. Patrząc tylko w te błyszczące źrenice, mogłaby pomyśleć, że wciąż ma przed sobą owego zwariowanego, pełnego fantazji, wygadanego chłopaka, który przed laty zawrócił jej w głowie.

Owszem, to prawda, że nigdy nie spełnił swej młodzieńczej obietnicy i nie przyniósł jej księżycy na srebrnej tacy, ale mimo prozy życia przez wszystkie te lata byli partnerami w pełnym tego słowa znaczeniu, na dobre i na złe - a złych chwil było przecież wiele.

- Przede wszystkim musi być uczciwy - powiedziała, całując go w usta. - I serdeczny... pogodny. I taki przystojny jak ty.

Gdy trzasnęły drzwi prowadzące za kulisy, Molly oderwała się od męża.

- Tylko zanadto jej nie strofuj. - Frank przytrzymał ją za rękę. - Sama wiesz, że to tylko pogorszy sprawę.

Molly odburknęła coś pod nosem i popatrzyła na wchodzącą tanecznym krokiem Chantel. Dziewczyna miała na sobie jaskrawoczerwoną bluzę i obcisłe, czarne spodnie uwydatniające jej szczupłą, młodzieńczą figurę. Rześkie, jesienne powietrze sprawiło, że na policzki wystąpiły jej rumieńce, podkreślające dodatkowo nieskazitelną urodę jej dziewczęcej twarzy. Oczy miała niebieskie, wyraziste, a na jej twarzy malował się wyraz samozadowolenia.

- Chantel!

- Tak, mamó? - Z naturalnym wdziękiem przystanęła przed drzwiami przebieralni. Dojrzała, że ojciec puszcza do niej oko ponad ramieniem Molly, i uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Na tatę zawsze mogła Uczyć. - Och, wiem, troszeczkę się spóźniłam. Ale za sekundę będę gotowa. Bawiłam się cudownie, wiesz? Michael pozwolił mi kierować swoim samochodem.

- Tym czerwonym, który...? - zaczął Frank, lecz po chwili zamilkł pod groźnym spojrzeniem Molly i zakrył dłonią usta.

- Czy ty masz dobrze w głowie, Chantel? Prawo jazdy zrobiłaś zaledwie kilka tygodni temu. To nieostrożność!

Boże, jakże Molly nie znośła wygłaszać takich kazań. Dobrze wiedziała przecież, jak to jest, gdy ma się szesnaście lat. Wiedziała też, niestety, że nie ma innego wyjścia - po prostu musi powiedzieć to wszystko, co miała do powiedzenia, mając przy tym świadomość, że zachowuje

się w tej chwili jak zrzęda.

- Zarówno ojciec, jak i ja uważamy, że nie powinnaś samodzielnie siadać za kierownicę, jeśli nie ma przy tobie kogoś z nas. Poza tym - dodała szybko - nie jest rozsądnie jeździć cudzym samochodem.

- Jeździliśmy tylko po bocznych drogach - wyjaśniła dziewczyna i pocałowała matkę w oba policzki. - Nie przejmuj się, mamuś. Poza tym muszę mieć choć trochę rozrywki. W przeciwnym razie uschłabym z nudów.

Molly, która dobrze wiedziała, czym pachną takie przejażdżki, postanowiła być twarda.

- Posłuchaj, Chantel, powiem wprost: moim zdaniem jesteś jeszcze za młoda na samochodowe wyprawy z chłopcami.

- Michael nie jest chłopcem. Ma już dwadzieścia jeden lat.

- Tym bardziej!

- To gnojek - oznajmił spokojnie Tracę, który pojawił się właśnie u wejścia. Uniósł brew na widok gniewnego spojrzenia siostry i dodał, nie zmieniając tonu: - Jeśli dowiem się, że cię dotknął, urwę mu głowę. Możesz mu to powtórzyć.

- Nie wtykaj nosa w cudze sprawy, dobrze? - oburzyła się Chantel. Inna rzecz wysłuchiwać kazań matki, a co innego, gdy przeciwko tobie staje rodzony brat. - Skończyłam szesnaście lat, nie sześć, i mam serdecznie dosyć ciągłego pouczenia!

- To źle. - Chwycił ją za podbródek i mimo że próbowała odtrącić jego dłoń, przytrzymał go mocno. On też miał niepospolitą urodę, też budził ponadprzeciętne zainteresowanie u płci przeciwnej. I podobnie jak siostra, naturę miał gwałtowną, upartą, nieokiełznaną.

- W porządku, dzieciaki - odezwał się Frank, biorąc na siebie rolę rozjemcy. - Do tej sprawy jeszcze wrócimy. Teraz Chantel musi się przebrać. Za dziesięć minut zaczynasz występ, księżniczko. Chodźmy, Molly, rozgrzejemy trochę publiczność.

Molly spojrzała na córkę surowo, jakby chciała powiedzieć, że nie wyczerpali tematu. Zanim jednak wyszła, podeszła do niej raz jeszcze i z łagodniejszym wyrazem twarzy dotknęła policzka dziewczyny.

- Chyba rozumiesz, że musimy się o ciebie troszczyć.

- Naprawdę nie ma takiej potrzeby. Potrafię sama o siebie zadbać.

- To właśnie mnie niepokoi, córeczko. - Molly westchnęła cicho i ruszyła za mężem w kierunku sceny, na której mieli zarobić pieniądze na resztę tygodnia.

Gdy rodzice wyszli, Chantel popatrzyła buńczucznie na brata.

- Ja decyduję o tym, kto mnie dotyka, Tracę. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze.

- Więc niech ten twój koleś z eleganckim samochodem zachowuje się odpowiednio. W przeciwnym razie połamię mu kości.

- Idź do diabła! - wrzasnęła i gwałtownie zatrasnęła mu drzwi przed nosem, zamykając się w przebieralni.

Jej siostra Maddy, która zapinała właśnie guziki od kostiumu drugiej z sióstr, Abby, zerknęła na nią przez ramię.

- A więc postawiłaś na swoim.

- Nie zaczynaj.

- Ani mi się śni.

- Mam serdecznie dosyć tego wszystkiego. Chantel rozłożyła ostrożnie kostium i szybko ściągnęła bluzę. Skórę miała jasną i gładką, sylwetkę kształtną i mimo młodych lat dojrzałą już i kobiecą.

- Popatrz na to z innej strony - zachichotała Maddy. - Rodzice są tak zajęci tobą, że na mnie i Abby w ogóle nie zwracają uwagi.

- Zaciągacie więc u mnie dług.

- Chyba przesadzasz. Matka naprawdę była niespokojna - wtrąciła się Abby, wręczając Chantel zestaw do makijażu.

Chantel zajęła miejsce przed lustrem, które dzieliła z siostrami.

- Nie było powodu. Nic się nie stało. Po prostu dobrze się bawiłam.

- Naprawdę pozwolił ci usiąść za kierownicą? - zainteresowała się Maddy, sprawnie rozczesując włosy Chantel.

- Jasne. Przekonałam go, że strasznie mi na tym zależało... sama nie wiem, dlaczego. A może wiem? - Rozejrzała się po zagraconym, pozbawionym okien pomieszczeniu o wyblakłych, brudnych ścianach. - Chyba nie chcę spędzić reszty życia w takim chlewie.

- Gadasz jak tata - odpowiedziała ze śmiechem Abby.

- Wcale nie. - Z wprawą świadczącą o wieloletnim doświadczeniu Chantel zaczęła nakładać róż na policzki. - Zamierzam kiedyś mieć własną garderobę, trzy razy większą od tej. Ściany i sufit będą białe. Na podłodze położę puszysty jasny dywan i będę chodzić po nim boso...

- Ja tam wolę zdecydowane kolory - odparła z rozmarzeniem Maddy. - Dużo, dużo

żywych, wyrazistych kolorów.

- Biel - odparła z uporem Chantel. Wstała od lustra i sięgnęła po sukienkę. - A na drzwiach każę wymalować złote gwiazdy. Będę jeździć limuzyną, a w garażu postawię sportowe auta, przy których zblednie nawet samochód Michaela. - Zmarkotniała, widząc, że sukienkę, którą włożyła, stanowczo zbyt wiele razy cerowano. - Ogród będzie olbrzymi, z sadzawką, fontanną i kamiennym basenem - dokończyła z determinacją.

Wszystkie trzy uwielbiały marzyć, więc Abby chętnie podjęła wątek:

- A w wytwornej restauracji szef kuchni zaprowadzi cię do najlepszego stolika i na początek poda butelkę szampana.

- I będziesz uprzejma dla fotografów - włączyła się do zabawy Maddy. - Nikomu nie odmówisz wywiadu ani autografu.

- Jasne. - Chantel założyła szklane kolczyki, wyobrażając sobie, że to brylanty. - W moim domu każda z kochanych sióstr będzie miała do dyspozycji olbrzymi pokój. A na kolację opychać się będziemy kawiozem.

- Właściwie wystarczyłaby pizza - roześmiała się Maddy.

- Albo pizza z kawiozem - uściśliła Abby i objęła siostry serdecznie. Znow stanowią jedno, tak jak kiedyś, w łonie swej matki.

- Wysoko zajdziemy i będziemy kimś!

- Już jesteśmy - oświadczyła Abby, z dumą zadzierając głowę. - Szanowne panie, mili panowie, oto przed państwem znakomite trio taneczno - wokalne „O'Hurleys”!

ROZDZIAŁ 1

Dom był rozległy, biały, wypełniony przyjemnym chłodem. Przez uchylone drzwi wpadały z tarasu podmuchy ciepłego wiatru, niosąc z ogrodu zapach kwiatów i skoszonej trawy. W ogrodzie, zasłonięta od strony domu szpalerem drzew, znajdowała się pomalowana na biało altanka, po której pięły się wisterie, na środku zaś - wymyślna, marmurowa fontanna i kamienny basen o kształcie ośmiokąta, który jednym bokiem przylegał do niewielkiego, również białego budynku. W oddali, w cieniu drzew, krył się kort tenisowy i wydzielona przestrzeń do mini - golfa.

Całą posiadłość otaczał kamienny, prawie czterometrowej wysokości mur, który z jednej strony zapewniał Chantel poczucie bezpieczeństwa, z drugiej zaś sprawiał, iż czuła się samotna i osaczona. Z reguły udawało jej się zapomnieć i o murze, i o systemach bezpieczeństwa, i o elektronicznie otwieranej bramie z kamerą - wszystko to w końcu stanowiło cenę, jaką płaciła za sławę, której tak bardzo zawsze pożądała. Ostatnio jednak coraz częściej czuła się tu jak więzień, a nie korzystająca z uroków życia gwiazda.

Pomieszczenia dla służby mieściły się na pierwszym piętrze w zachodnim skrzydle głównego domu. W tej chwili jednak panowała tam cisza i bezruch, gdyż godzina była bardzo wczesna.

Chantel wsunęła pod kapelusz niesforne kosmyki włosów i sięgnęła po torebkę. Włożyła dzisiaj długą, prostą sukienkę i buty na płaskim obcasie, które wybrała bardziej ze względu na wygodę niż dla elegancji. Na twarzy, która wprawiała w zachwyt tak wielu wielbicieli i miłośników jej talentu, nie było nawet śladu makijażu. Rankiem cerę chroniła jedynie nasuniętym głęboko na oczy rondem kapelusza i przeciwsłonecznymi okularami. Właśnie zerknęła na zegarek, gdy rozległ się brzęczyk bramofonu.

Nacisnęła guzik przy słuchawce i usłyszała:

- Dzień dobry, panno O'Hurley.

- Dzień dobry, Robercie. W samą porę. Już schodzę.

Po naciśnięciu innego guzika, który otwierał główną bramę, ruszyła szerokimi, podwójnymi schodami prowadzącymi na parter. Mahoniowa poręcz pieściła jej dłoń niczym najgładszy jedwab. Oczy cieszył imponujący żyrandol, którego kryształowe wisiorki pobłyskiwały łagodnie w przyziemnym świetle klatki schodowej, oraz marmurowa posadzka,

Isniąca niczym szkło. Tak, ten dom stanowił należytą oprawę dla urody i blasku sławnej gwiazdy filmowej, jaką udało jej się zostać.

Gdy szła w stronę drzwi wyjściowych, zadzwonił telefon. Do Ucha, czyżby jakaś nieoczekiwana zmiana harmonogramu?

Pełna złych przeczuć podniosła słuchawkę.

- Halo? - odezwała się, sięgając automatycznie po długopis.

- Och, jak bardzo chciałbym cię zobaczyć... - rozległ się po drugiej stronie znajomy szept. Chantel w jednej chwili powilgotniały dłonie, a ze zdętwiałych palców wysunął się długopis. - Dlaczego zmieniłaś numer telefonu, niegrzeczna dziewczynko? Chyba się mnie nie boisz, co? Nie wolno ci się mnie bać. Przecież wiesz, że nie wyrządę ci krzywdy. Ja chcę cię tylko dotknąć. Tylko dotknąć. Czy już się ubrałaś? Czy zasłoniłaś już przed światem swoje słodkie...

Ze zdławionym krzykiem rzuciła słuchawkę na widełki i oddychała teraz ciężko, przerażona tym, co usłyszała.

A więc wszystko zaczyna się od początku...

Szofera nie powitała zwykłym, zalotnym uśmiechem, usiadłszy zaś w środku długiej limuzyny, odchyliła głowę do tyłu, oparła ją o miękki zagłówek i zamknęła oczy, próbując zapanować nad lękiem, który wypełniał jej serce. Kilkanaście najbliższych godzin spędzić miała przed kamerami w jaskrawym świetle jupiterów. Musi być rumiana, uśmiechnięta i szczęśliwa, a nie blada ze strachu. Na tym w końcu polega jej praca, to jest jej życie. Powinna się uodpornić na lubieżne szepty w słuchawce czy anonimowe listy.

Gdy limuzyna mijiała bramę studia, Chantel odzyskała spokój i równowagę. Tu była bezpieczna. Tu bez reszty mogła oddać się pracy, która ją pasjonowała i która stanowiła jedyną treść jej życia. Tu wszystkie nieszczęścia kończyły się happy endem, przemoc zaś i morderstwa były jedynie udawane. Jej siostra Maddy nazwała kiedyś Hollywood krainą ułudy - i w pełni miała rację.

O wpół do siódmej skończyła nakładać makijaż i natychmiast wzięła ją w obroty stylistka. Zaczął się właśnie pierwszy tydzień zdjęć do nowego filmu i wszystko jeszcze wydawało się podniecające, nowe i świeże. Chantel czytała scenopis, a charakteryzatorka układała jej włosy w powiewną, srebrno - blond grzywę, jaką miała nosić grana przez Chantel bohaterka.

- Co za wspaniałe włosy - westchnęła stylistka, sięgając po suszarkę. - Znam kobiety, które oddałyby za nie wszystko. A ten kolor! Nawet ja nie mogę uwierzyć, że to naturalna barwa.

- To po babci - wyjaśniła Chantel, odwracając lekko głowę, by sprawdzić lewy profil. - W tej scenie mam dwadzieścia lat. Jak myślisz, Margo, uda mi się ta sztuka?

Charakteryzatorka parsknęła śmiechem.

- To akurat najmniejsze zmartwienie. Najgorsze, że na planie kompletnie zmoczą ci tę wspaniałą fryzurę. - Po raz ostatni dotknęła ułożonych starannie włosów i zdjęła z ramion Chantel ręcznik.

- Skoro tak twierdzisz... - powiedziała z uśmiechem aktorka i wstała od lustra. - Dziękuję, Margo.

Zdażyła uczynić ledwie dwa kroki, gdy obok niej wyrósł jak spod ziemi Lany Washington, jej osobisty asystent. Chantel zatrudniła go, gdyż był młody, ambitny, pełen najlepszych chęci i nie próbował udawać aktora.

- O co chodzi? Zamierzasz od razu strzelać we mnie z bata, Lany? - zażartowała.

Lany zaczerwienił się i zaczął nieskładnie bąkać coś pod nosem, jak zawsze skrepowany bliskością Chantel. Był niski, dobrze zbudowany, prosto po wyższej uczelni i bardzo skrupulatny. Jego największą życiową ambicją było dorobienie się własnego mercedesa.

- Och, panno O'Hurley, sama pani wie, że nigdy nie odważyłbym się na coś takiego.

Chantel poklepała jego mocną pierś, wprawiając go w jeszcze większe zmieszanie.

- Czasami ktoś musi to robić, Lany. Bądź tak dobry i znajdź asystenta reżysera. Powiedz mu, że do chwili rozpoczęcia próby jestem w garderobie.

Przerwała, widząc, że korytarzem nadchodzi właśnie jej partner z planu filmowego. Palił papierosa i od razu było widać, że ma koszmarne kaca.

- To może przyniosę pani kawę, panno O'Hurley? - zaproponował szybko Lany i natychmiast wycofał się na bezpieczną odległość. Każdy, kto miał choć odrobinę oleju w głowie, wiedział, że należy jak najdalej trzymać się od Seana Cartera, kiedy ten walczy ze swymi porannymi demonami. - Tak, bardzo proszę - odparła odruchowo i poszła w swoją stronę, witając się po drodze z grupą pracowników technicznych, którzy montowali dekoracje do pierwszej sceny - stację kolejową z torami, pociągami osobowymi i poczekalnią. Na tej właśnie stacji miało nastąpić rozdzierające serce pożegnanie zakochanych. Ukochaną miała być ona; ukochanym - Sean Carter. Oby tylko do tego czasu ustąpił mu ból głowy...

Kiedy przedarła się przez płataninę kabli i metalowych stelaży, ponownie dopadł ją Lany. Miał ze sobą termos z kawą, jednorazowe kubeczki i serwetki z papieru.

- Jest kawa, panno O'Hurley! Cały termos! Aha, chciałbym pani przypomnieć o popołudniowym wywiadzie. O wpół do pierwszej ma przyjść dziennikarz ze „Star Gazę”. Dean, ten z działu reklamy, powiedział, że chętnie będzie pani towarzyszył.

- Nie musi. Sama sobie poradzę. Gdybyś mógł tylko zorganizować jeszcze jakieś owoce, kanapki i kawę... Och, nie, kawy wystarczy! Może mrożona herbata? Niech ten dziennikarz przyjdzie do garderoby...

- Jak pani sobie życzy, panno O'Hurley - odparł Lany i z zapalem zaczął zapisywać wszystko w notesie. - Czy ma pani jeszcze jakieś życzenia?

Chantel zatrzymała się przed drzwiami.

- Lany, od jak dawna ze mną pracujesz?

- Od ponad trzech miesięcy, panno O'Hurley.

- A więc chyba najwyższy czas, byś zaczął mówić mi po imieniu. Po prostu Chantel, zgoda? -] uśmiechnęła się promiennie i zatrzasnęła mu przed ~_ nosem drzwi, na twarzy Lany'ego zaś rozlał się pełen błęgiego szczęścia uśmiech.

Chantel tymczasem minęła niewielki salonik i przeszła do garderoby. Nie chciała tracić czasu, szybko więc przebrała się w dzinsy i bluzę, w których miała wystąpić w pierwszej scenie. Grała dwudziestoletnią studentkę sztuk pięknych, przeżywającą właśnie swój pierwszy poważny zawód miłosny, już doświadczoną przez los, lecz wciąż niepokorną i pełną młodzieńczych marzeń.

Wyśmienita rola - tak właśnie myślała o niej od początku. Będzie miała okazję zaprezentować cały swój aktorski kunszt, wykazać się intuicją, talentem i solidnym aktorskim rzemiosłem. Podejmie to wyzwanie. Zagra tę rolę wzorcowo. Włoży w nią całą siebie i podbije nią cały świat.

Już przy pierwszym czytaniu scenariusza do „Nieznajomych” - bo taki właśnie tytuł miał nosić film - zafascynowała ją postać głównej bohaterki. Filmowa Hailey była osobą niepospolitą - utalentowaną, pewną swych umiejętności, a jednocześnie wrażliwą i szczerą jak dziecko. No i nieszczęśliwą. Zdradzana przez jednego mężczyznę, zadreęczana przez innego, spragnioną prawdziwej miłości, której musiała się wyrzec, by osiągnąć zawodowy sukces.

Nie trzeba było być psychologiem, by spostrzec, że Chantel w postaci Hailey odnajdywała po prostu siebie. Rozumiała bohaterkę filmu, bo sama wiedziała, co to zdrada. Los Hailey poruszał ją, gdyż i jej udziałem stał się sukces, za który przyszło zapłacić zbyt wysoką

cenę.

Rolę od dawna znała już na pamięć, teraz więc przeszła do saloniku, by przed wyjściem na plan napić się kawy. To był jej eliksir życia podczas długich godzin spędzanych na kręceniu kolejnych filmów. Kawa, lekkie przekąski i jeszcze raz kawa.

Usiadła przy stoliku i dopiero teraz dostrzegła ustawiony na blacie wazon z bukietem przepysznych, pąsowych róż. Zapewne od kogoś z producentów, pomyślała i sięgnęła po dołączony karnecik. Gdy jednak odczytała napisane wewnątrz słowa, liścik wysunął się z jej zmartwiałej nagle ręki.

Cały czas cię obserwuję.

Cały czas.

Usłyszała pukanie do drzwi i podniosła się gwałtownie. Spojrzała na klamkę, zasuniętą zasuwkę i po raz pierwszy w życiu naprawdę zaczęła się bać.

- Panno O'Hurley... Chantel... To ja, Lany. Przyniosłem te kanapki.

Odetchnęła z ulgą i otworzyła drzwi.

- Mam też owoce, jak prosiłaś... Boże, czy coś się stało? - spytał zaniepokojony widokiem jej bladej twarzy.

- Nie, nic. Ja... ja tylko... Wiesz może, co to za kwiaty? - Wskazała ręką bukiet, jednak nawet nie spojrzała w jego stronę.

- Te róże? Znalazła je jedna z kucharek, kiedy nakrywała stół do śniadania. Był do nich dołączony bilecik z twoim nazwiskiem, więc wstawiłem je tutaj. Pamiętam, że bardzo lubisz róże.

- Zabierz je stąd.

- Słucham?

- Po prostu zabierz. Wynieś, wyrzuć, zrób, co chcesz - odparła i szybko wyszła na korytarz, jakby ta garderoba stała się nagle miejscem nieprzyjaznym i niebezpiecznym.

- Oczywiście. - Lany spojrzał na jej oddalającą się szybko sylwetkę. - Co sobie życzysz, Chantel.

Cztery aspiryny i trzy filiżanki kawy postawiły Seana Cartera na nogi i teraz czekał już na nią gotowy do pracy. Ta ciągła w jej zawodzie potrzeba dyspozycyjności miała swoje dobre strony - ani kac, ani kilka budzących groźbę słów, wypisanych na dołączonym do róż bileciku, nie mogło spowodować, by profesjonalny aktor odmówił wyjścia na plan. Ona też była

zmobilizowana i skoncentrowana i udało jej się zepchnąć na margines świadomości wszystkie myśli związane z niepokojącym anonimem.

- Jak ty to robisz, że zawsze wyglądasz tak świeżo, jakbyś zeszła ze stron żurnala? - powitał ją Sean. Skórę na twarzy miał opaloną i gładko wygoloną, a starannie ufryzowane, gęste włosy wdzięcznie opadały mu na czoło. Był młody, przystojny i tryskał zdrowiem, a makijaż starannie skrywał cienie pod oczami po nieprzespanej nocy. Ot, wymarzony kochanek egzaltowanych dziewcząt.

- Dbam o siebie, kochanie - odparła i dotknęła lekko dłonią jego policzka.

- Boże, ideał, a nie kobieta! - wykrzyknął Sean z podziwem. Chwycił ją w ramiona i w teatralny sposób odgiął do tyłu. - Powiedz mi, Rothschild, czy mężczyzna przy zdrowych zmysłach może taką porzucić? - zwrócił się do reżyserki, nawiązując do roli, którą miał odegrać w „Nieznajomych”. - Jak ja mam to zagrać?

- Nikt nigdy nie utrzymywał, że Brad jest przy zdrowych zmysłach.

- Poza tym jest zwykłym szubrawcem - przypomniała Chantel.

- Cholera, od dobrych pięciu lat nie byłem czarnym charakterem. Nie zdążyłem jeszcze za to podziękować autorowi scenariusza.

- Możesz to uczynić dzisiaj - wtrąciła Mary Rothschild. - Jest w studiu.

Chantel zerknęła w stronę wysokiego, smukłego mężczyzny, stojącego obok sceny. Przyglądał się wszystkiemu uważnie i odpalał nerwowo papierosa od papierosa. Podczas przygotowań do produkcji widziała go już wiele razy. Pamiętała, że nie mówił o niczym, co nie dotyczyłoby napisanej przez niego historii. Teraz przesłała mu lekki uśmiech i odwróciła się do reżyserki, koi zaczęła właśnie wyjaśniać, jak wyobraża sobie najbliższą scenę.

Scena miała być krótka, lecz intensywna jeśli chodzi o siłę uczuć. Ściśnięte bólem serce bohaterki, rozpacz po odrzuceniu przez ukochanego mężczyznę, poczucie straty i osamotnienia - wszystko to trzeba było pokazać tak, by widz płakał wiaz z Hailey.

- Sądzę, że powinnam dotknąć twojej twarzy, Sean - zaproponowała.

- Mhm. A ja wtedy chwycę cię za nadgarstek - Sean ujął jej rękę i przyłożył do ust.

- Dobra. Potem mówię „Będę na ciebie czekać” i tak dalej, i tak dalej... - przeskoczyła kilka bestii w scenariuszu, po czym przytuliła policzek do twarzy partnera - ...a potem zarzucę ci ręce na szyję.

- Okay. Spróbujmy. - Sean położył dłonie na ramionach Chantel i zajrzał głęboko w jej

oczy Później pocałował ją leciutko w kąciuki ust. - Twoja kolej...

- Wiem. „Och, Brad, proszę, nie odjeżdżaj...”, Pamiętasz, co mam zrobić potem?

- Jasne.

- Pocałuję cię tak, że zadzwonią ci zęby!

- Nie mogę się tego doczekać.

- Dobrze, przećwiczmy to - powiedziała reżyserka. - Chcę, byście w ten pocałunek włożyli całe serce. Chantel, łyzy mają ci płynąć strumieniami.

Pamiętaj, że intuicja podpowiada ci, że on nigdy do ciebie nie wróci.

- Chyba rzeczywiście jestem skończonym draniem.

- Jesteś, Sean, jesteś. No dobrze. Wszyscy na miejsca! - Statyści zajęli wyznaczone pozycje, kamerzyści przerwali umawianie się na wieczorną partię pokera. - Cisza na planie! Zaczynamy!

Trzasnął klaps, Chantel wbiegła na plan i zaczęła gorączkowo rozglądać się po zebranych na całej szerokości peronu podróżnych. Na jej twarzy był i ból, i udręka, i rozpaczliwa nadzieja, że to może jeszcze nie koniec. Ekipa od efektów specjalnych zajęła się nadchodzącą burzą i po chwili powietrze przecięło światło błyskawicy, a po niebie przetoczył się grom. W tej właśnie chwili Hailey miała dostrzec Brada. Zawołała jego imię, zaczęła gwałtownie przepychać się przez ludzkie mrowie i po chwili była już przy nim, by odegrać szczegółowo omówione kwestie.

Nad sceną pracowali przez cały ranek. Chantel powtarzała te same ruchy, te same słowa, gesty i grymasy. Czasami kamera filmowała ją z oddali, czasem zbliżała się na odległość kilkunastu centymetrów. Po szóstym ujęciu Mary Rothschild dała znak, że ma zacząć padać deszcz. Ze skraplaczy popłynęła woda, otaczając stojących twarzą w twarz bohaterów przejrzystą mgiełką. Przemoczeni, zziębnięci, powtarzali bez końca scenę rozstania, która na ekranie trwać miała zaledwie pięć minut!

Gdy wreszcie skończyli, Chantel rzuciła przemoczone ubranie i wręczyła je komuś z obsługi, sama zaś wróciła do garderoby. Róże zniknęły, wciąż jednak czuła ich woń. Gdy pojawił się Lany, ~_ by oznajmić, że przyszedł już umówiony dziennikarz, poprosiła o pięć minut zwłoki. Zanim zrobi cokolwiek, musi zadbać o własne sprawy. I tak długo zwlekała. Jej wielbiciel i prześladowca stawał się niebezpieczny.

Sięgnęła po słuchawkę telefoniczną i wystukała numer.

- Tu agencja Burnsa - usłyszała po drugiej stronie.

- Czy mogę rozmawiać z Mattem?
- Przykro mi, ale pan Burns ma właśnie ważne spotkanie. Czy mogę...?
- Mówi Chantel O'Hurley. Muszę natychmiast rozmawiać z Mattem.
- Oczywiście, panno O'Hurley.

Chantel nie potrafiła powstrzymać pełnego ironii grymasu, słysząc, jak recepcjonistka gwałtownie zmienia ton. Po chwili w słuchawce odezwał się Matt.

- Chantel? Co się stało?
- Muszę się z tobą koniecznie zobaczyć. Dziś wieczorem.
- Serduszek, dziś jestem trochę zajęty. Nie możemy tego odłożyć do jutra?
- Nie. Dziś wieczorem. - W głosie Chantel, wbrew jej woli, pojawiła się nuta lęku.

Zapaliła papierosa i głęboko się nim zaciągnęła. - To bardzo ważne, Matt. Tym razem naprawdę potrzebuję pomocy. Matt nie zadawał dalszych pytań.

- W porządku. Przyjadę do ciebie. Pojawię się... o dwudziestej?
- Doskonale. Ogromne dzięki.
- A czy możesz mi w kilku słowach wyjaśnić, o co chodzi?
- Nie przez telefon. Nie teraz.
- W takim razie do wieczora.
- Będę czekać.

W chwili gdy odkładała słuchawkę, rozległo się pukanie do drzwi. Chantel dokładnie zgasiła papierosa, odgarnęła do tyłu wciąż jeszcze wilgotne włosy i powitała reportera szerokim, promiennym uśmiechem.

- Do licha, dlaczego nie powiedziałaś mi o wszystkim od razu? Niech cię szlag, Chantel, od jak dawna to trwa?

Matt Burnes krążył po jej rozległym salonie z obcym mu dotąd uczuciem bezradności. W ciągu dwunastu lat przebył drogę od gońca na poczcie do właściciela największej agencji promującej aktorów. Nie zrobiłby takiej kariery, gdyby nie jego wrodzona pewność siebie oraz intuicja, dzięki której zawsze wiedział, jak się zachować. Teraz jednak nie miał pojęcia, co robić.

Powiadomić policję? To było zbyt proste. Ostatecznie chodziło o Chantel O'Hurley, a nie pierwszą lepszą aktoreczkę z telenowel.

- Pierwszy telefon dostałam sześć tygodni temu - Chantel rozsiadła się na sofie ze szklanką wody w dłoni. Podobnie jak Matt nie znosiła uczucia bez - _ radności i nie cierpiała

zawracać innym głowy swoimi problemami. - Pierwsze telefony i listy nie wyglądały groźnie. Ostatecznie to normalne - przyciągam powszechną uwagę, moja twarz widnieje na plakatach i okładkach. Myślałam, że jeśli sprawę zignoruję, telefony ustaną.

- Ale nie ustały.

- Nie. Było coraz gorzej. - Wzruszyła ramionami, jakby chciała przekonać zarówno siebie, jaki i Matta, że tak naprawdę niezbyt przejmuję się tą sprawą. - Zmieniłam numer telefonu i przez jakiś czas miałam spokój.

- Przez jakiś czas... Cholera, powinnaś była powiedzieć mi o tym od razu.

- Jesteś tylko moim agentem.

- Nie tylko. Także przyjacielem.

- Wiem. - Wyciągnęła rękę i nakryła dłonią jego dłoń. W świecie show biznesu przyjaźń była rzadkim zjawiskiem, dlatego Chantel ceniła Matta i darzyła go wielkim szacunkiem. - W końcu przecież do ciebie zadzwoniłam. A wiesz, że nie jestem histeryczką.

Matt roześmiał się, puścił jej dłoń i nalał sobie następną szklaneczkę whisky.

- Coś jeszcze?

- Właściwie tylko te róże... Powinam chyba była coś z nimi zrobić, ale naprawdę nie wiedziałam co.

- Może zadzwonić na policję.

- To nie wchodzi w grę, Matt. Wiesz równie dobrze, jak ja, jaki byłby dalszy scenariusz. Dzwonimy na policję, rzecz dostaje się do prasy. Nagłówki; „Chantel O'Hurley napastowana przez szalonego wielbiciela”, „Namiętne szepty w telefonicznej słuchawce”, „Rozpaczliwe listy miłosne”. - Przeciagnęła dłonią po włosach. - Moglibyśmy zbyć to machnięciem ręki, a nawet wykorzystać w reklamie filmu, ale to byłoby jak dolewanie oliwy do ognia. Kolejne świry zaczęłyby do mnie pisać i dzwonić. Albo koczować przed bramą mego domu.

- Świry? Może napastuje cię jakiś niebezpieczny szaleniec?

- Biorę to pod uwagę, wierz mi. - Wyciągnęła z paczki Matta francuskiego papierosa i czekała, aż mężczyzna poda jej ogień.

- A więc potrzebujesz ochrony.

- Naturalnie. - Zaciągnęła się głęboko dymem. - Problem w tym, że aktualnie jestem w trakcie kręcenia filmu. Jeśli sprowadzę na plan ochroniarzy, dopiero zrobi się szum.

- Tak bardzo się tego boisz?

- Nie. - Zdobyła się na pogodny uśmiech. - Ale co innego głupie plotki, a co innego życie, moje prawdziwe życie. Policja nie wchodzi w grę, Matt, w każdym razie nie teraz. Musimy wymyśleć coś innego.

Wyjął papierosa z jej palców i głęboko się nim zaciągnął. Chantel rzadko zwracała się do niego z osobistymi problemami. Wiedział, że ta dziewczyna chce być silna i samodzielna, i przez wszystkie lata ich znajomości tak właśnie starał się na nią patrzeć. Rozumiał, dlaczego nie chce być postrzegana jako kapryśna gwiazda, której ochroniarze odbierają wolność i niezależność.

- Chyba coś mam - odezwał się wreszcie. - Musisz mi tylko zaufać.

- Zawsze ci ufałam.

- W takim razie pozwól mi teraz zadzwonić. Chantel wskazała głową hol, Matt wyszedł, a wówczas ona wyciągnęła się wygodnie na kanapie i przymknęła oczy. Może niepotrzebnie narobiła zamętu? Może zbyt mocno wzięła sobie do serca uwielbienie kogoś, kto posunął się o kilka kroków za daleko? Może...

A jednak nie. Ten ktoś był podejrzanie cierpliwy i wytrwały w swym molestowaniu. „Obserwuję cię... obserwuję...” Te słowa musiały niepokoić, skoro były wypowiedane tak często.

Zerwała się z sofy i zaczęła krążyć nerwowo po salonie. Tak, uwielbiała być obserwowana - ale na ekranie. Godziła się z tym, że fotografują ją reporterzy brukowych pism, gdy wychodzi z nocnego klubu, pojawia się na jakimś bankiecie albo filmowej premierze. Lecz obecna sytuacja była inna.

Nieznajomemu napastnikowi udało się sprawić, że nieustannie czuła się tak, jakby ktoś czaił się za oknem i bez przerwy ją podglądał. A przecież było to niemożliwe - strzegły ją elektroniczne bramy, wysoki mur, strażnicy. Dopiero poza domem...

No właśnie, nie mogła przecież z powodu jakiegoś wariata zrezygnować z wychodzenia z domu!

Zatrzymała się przed starym lustrem zawieszonym nad marmurowym parapetem kominka. Ujrzała odbicie twarzy, którą krytycy określali mianem niszczycielsko, zabójczo, wręcz bezdusznie pięknej.

Czysty przypadek, pomyślała. Owo oblicze o klasycznym profilu nie było jej zasługą. Łagodny owal twarzy też nie, ani pełne, namiętne usta i gęste, anielsko jasne włosy. Z tym przyszła na świat, na resztę zapracowała sama. Ciężko zapracowała.

Występowała na scenie właściwie od chwili, gdy nauczyła się chodzić. Podróżowała z

rodzicami po całym kraju, grając w rozmaitych klubach i prowincjonalnych teatrzykach. Gdy w wieku lat dziewiętnastu pojawiła się w Hollywood, nie była tylko naiwną marzycielką, lecz kimś, kto ma już odpowiednie doświadczenie i opracowany precyzyjnie plan kariery.

Zaczęła grywać w setkach ról i rólerek, reklamować szampony, sprzedawać perfumy - zazwyczaj w przesadnie nasyconych erotyzmem i raczej głupawych reklamach. Kiedy zaś przyszedł przełom, była gotowa wziąć na siebie najważniejszą rolę swego życia - rolę pozbawionej skrupułów gwiazdy, bezdusznej *femme fatale*, pożeraczki męskich serc.

Ta właśnie rola wyniosła ją na firmament gwiazd, czego tak bardzo pożądała - i co omal nie zniszczyło jej życia.

Najważniejsze, że jakoś przetrwałam, pomyślała teraz. Poprzednie nieszczęścia nie zdołały jej złamać, nie pozwoli więc, by stało się tak teraz.

- Już jedzie - usłyszała nagle za sobą i odwróciła się gwałtownie od lustra.

- Słucham?

- Powiedziałem, że już tu jedzie. - Matt podszedł do niej z uśmiechem. - Możemy zrobić sobie coś mocniejszego. Na co masz ochotę?

- Dziękuję, o wpół do siódmej rano muszę być na planie. Kto do nas jedzie?

- Quinn Doran. Gość, który rozwiąże twój problem. Oczywiście, jeśli zdołam go przekonać, by zajął się tą sprawą.

Chantel wsunęła ręce w kieszenie jedwabnej marynarki.

- Kim jest ten Quinn Doran?

- Kimś w rodzaju prywatnego detektywa.

- Jak to „kimś w rodzaju”?

- Prowadzi agencję ochrony... niewielki interes. W swoim czasie brał udział w jakiejś tajnej operacji. Chyba dla rządu, ale głowy nie dam.

- Brzmi interesująco, aleja nie potrzebuję szpiega. Raczej zapaśnika.

- Jasne. Możesz nawet wynająć dwóch bokserów, serduszko. Tylko że tobie potrzebny jest ktoś z mózgiem. I dyskretny. A taki właśnie jest Quinn.

- Dopił do końca drinka i ponownie napelnił sobie szklanekę. - Ostatnio rzadko zajmuje się tą robotą osobiście. Bierze tylko sprawy naprawdę dużej wagi.

- No a co nowego on wymyśli?

- Nie mam pojęcia. Dlatego właśnie go wezwałem. Musisz się przygotować, że jest, hm...

dość humorzasty. Nie grzeszy też najlepszymi manierami. Ale swoje życie zawierzyłbym mu bez wahania.

- W tym przypadku moje.

- Posłuchaj, Chantel, jeśli nie chcesz mojej pomocy...

- Nie, nie. - Powstrzymała go ręką. - Chcę. Odnoszę tylko wrażenie, że twój Quinn Doran wysłucha mnie, a potem wywróci oczami i wygłosi nudny wykład na temat tego, jak mam rozmawiać przez telefon ze zbrojeńcami. Już teraz budzi we mnie niechęć perspektywa podobnej rozmowy.

- E, tam. Moim zdaniem ponoszą cię nerwy.

- Matt poklepał Chantel po kolanie i ruszył w stronę barku. - Ale masz prawo być zdenerwowana, rozumiem to.

- Wcale nie jestem. Nerwy nie przystają do wizerunku Chantel O'Hurley. Sami go stworzyliśmy, nie pamiętasz?

- Nie my, tylko matka natura. Urodziłaś się z talentem i tupetem, a ja pomogłem ci tylko rozwinąć skrzydła... Oho, już dzwoni. Szybki jest, no nie! Siedź, ja otworzę.

Chantel sięgnęła po szklanę z wodą i zakręcili nią w dłoni. Zagrzechotał lód, ona zaś po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, czy słusznie robi, angażując w swoją sprawę aż dwóch (na razie dwóch mężczyzn).

Wątpliwości te przygasły nieco, gdy na progi salonu stanął zapowiadany przez Matta gość. Mężczyzna wypełniał sobą drzwi salonu, był dużo wyższy od Matta i o wiele szerszy w ramionach. Trudno byłoby o nim powiedzieć, że jest uderzająco przystojny, i na pewno daleko mu było do gładkiego wdzięku Seana Cartera. Miał jednak w sobie coś intrygującego, co sprawiało, że kobietom na jego widok szybciej zaczynały bić serca. Serce Chantel w każdym razie zaczęło tłoczyć krew do żył ze zdwojoną siłą, a jej ciało wypełniła dziwna ochota, by poddać się rozkazom i woli przybysza.

Może powodem tej gwałtownej reakcji były gęste włosy Quinna Dorana, opadające na kołnierzyk jego dżinsowej koszuli, a może zdrowa, ogorzała cera. Możliwe, że długie rzęsy, stanowczo zbyt długie jak na mężczyznę, nie odbierające mu jednak ani odrobiny męskości, albo jasne oczy, przenikliwe, czyste lecz zaskakująco zimne.

Tak czy inaczej, Quinn Doran był mężczyzną? w stu procentach. Poruszał się zwinnie jak kot, jego ruchy były sprężyste i pewne. Zbliżył się do Chantel, uniósł lekko kąćki ust, lecz w

jego oczach nie dojrzała ani pogody, ani ciepła. Była w nich kpina, szyderstwo, ukryta pogarda i złość.

- A więc to jest ten lodowy pałac Królowej Śniegu - powiedział zadziwiająco miękkim głosem - I królowa we własnej osobie.

ROZDZIAŁ 2

Oczywiście, Quinn widywał ją już wcześniej. Na plakatach wydawała się bardziej nieziemską, anielsko niedostępną, niemal niedotykalną. Jej twarz, mistycznie wręcz piękna i doskonała, rozbudzała męskie fantazje jak żadna inna. Quinn jednak wiedział, że to tylko fasada, sztuczny wytwór przemysłu, który produkuje podobne pożywki dla masowej wyobraźni. Znał życie i wiedział, jak bardzo potrafią się zmieniać owe fasady w zależności od okoliczności i sytuacji.

Matt z kolei zbyt długo znał Quinna, by zmyliła go jego nonszalancka i niefrasobliwa z pozoru poza.

- To jest właśnie Quinn Doran - zwrócił się do Chantel, która z leniwą gracją wyciągnęła rękę na powitanie.

- Miło mi - mruknęła, czując, jak mocna dłoń mężczyzny zaciska się lekko na jej palcach.

Założyła nogę na nogę, zaszeleścił cicho materiał spódnicy. On jednak ani nie potrząsnął jej dłonią, ani nie podniósł jej do ust w zdawkowym, europejskim geście powitania. Po prostu trzymał rękę tej pięknej kobiety i wpatrywał się w Chantel jasnozielonymi źrenicami. Skórę miała gładką jak atlas, delikatną i wrażliwą. On był twardy, nieugięty, spalony słońcem. Trwali tak przez chwilę w bezruchu, ona na kanapie, on, stojąc przed nią, i trzymali się za ręce.

Dopiero Matt przerwał tę dziwną scenę, zwracając się do Quinna od strony barku:

- Jak zwykle wódka z lodem?

- Jasne - odparł ten drugi i popatrzył na Chantel znacząco, jakby chciał potwierdzić, iż wie, że podjęli właśnie grę, z której oboje będą chcieli wyjść zwycięsko. Ba, tylko co właściwie mogło oznaczać to zwycięstwo? - Matt mówił, że ma pani jakiś problem - zagadnął.

- Zgadza się. - Chantel wyłowiła papierosa ze stojącej na stole papierošnicy. Quinn wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i podał jej ogień, ona zaś uśmiechnęła się w odpowiedzi i pochyliła lekko w jego stronę. - Nie jestem pewna, czy zainteresuje pana ta sprawa, panie... - popatrzyła mu bacznie w oczy i oparła się wygodnie na sofie - ..panie Doran.

- Też tego nie wiem, panno... O'Hurley. Ale skoro już tu jestem, proszę mi o wszystkim opowiedzieć. - Odebrał z rąk Matta szklaneczkę z alkoholem i przesłał mu szybkie spojrzenie. - Przekonaj może pannę O'Hurley, przyjacielu, żeby wyłuszczyła mi swój problem. Zdaje mi się, że ma z tym kłopoty.

- Rzeczywiście ci się zdaje. Zaczniście rozmawiać, a ja zjem sobie spokojnie kilka kanapek. Chantel wie, po co cię wezwała.

- No właśnie. Otrzymuję ostatnio niepokojące telefony, panie Doran - zaczęła pozornie bez troski Chantel, lecz Quinn, który był bystrym obserwatorem, od razu spostrzegł, że jej drobne, kształtne dłonie o długich palcach z paznokciami pociągniętymi bezbarwnym lakierem zaciskają się ze zdenerwowania.

- Telefony?

- I listy. - Wzruszyła ramionami. - Wszystko zaczęło się jakieś sześć tygodni temu.

- Czy są to... obsceniczne telefony?

- To zależy, co pan uważa za obsceniczne. Nasze opinie mogą się w tej kwestii różnić.

W oczach mężczyzny pojawiło się lekkie rozbawienie, co jednak przydało mu tylko ciepła i wdzięku. Zapewne tym właśnie spojrzeniem zdobywał niewieście serca, by potem złamać je i podeptać.

- Co do tego nie mam wątpliwości, panno O'Hurley. Ale proszę kontynuować.

- Początkowo... początkowo tylko mnie śmieszyły. Były irytujące, lecz wydawały się całkiem nieszkodliwe. Później jednak... - Oblizwała spierzchnięte wargi. - ...gdy ich autor nabrał śmiałości i stał się natarczywy... natarczywy i dosadny... ogarnął mnie niepokój.

- Należało zmienić numer telefonu.

- Zmieniłam. Telefony ustały na tydzień. A dziś znów się zaczęły.

Quinn rozparł się na kanapie i pociągnął solidny łyk wódki.

- Czy rozpoznała pani ten głos.

- Nie, mówi szeptem.

- Powinna pani jeszcze raz zmienić numer. - Wzruszył ramionami i zagrzechotał kostkami lodu w szklance. - Albo zwrócić się do policji z prośbą, by założono podsłuch.

- Mam już dosyć ciągłego zmieniania numerów - odparła zniecierpliwiona i energicznie zduśliła niedopalek w popielniczce. - A z policją nie chcę mieć nic wspólnego. Wolę załatwić wszystko dyskretnie. Matt twierdzi, że pan jest właściwą osobą...

Quinn ponownie się uśmiechnął.

- Panno O'Hurley, zdaje pani sobie zapewne sprawę z tego, że mężczyźni, którzy bawią się w ten sposób, są przeważnie nieszkodliwi. Głupi, czasem nieszczęśliwi z powodu swoich chorobliwych skłonności, lecz z reguły nieszkodliwi. Jeszcze raz sugeruję więc, by po prostu

zmieniła pani numer. A wszelkie telefony niech na wszelki wypadek odbiera ktoś ze służby. To zniechęci w końcu pani natrętnego wielbiciela.

- Wybacz, Quinn, ale spodziewałem się po tobie więcej - nieoczekiwanie włączył się do rozmowy Matt.

- W takim razie proponuję zaangażować jakąś dużą firmę ochroniarską. Z pewnością zapewni tej posiadłości należyte bezpieczeństwo.

- Może mam jeszcze założyć drut kolczasty i kupić kilka psów? - zapytała Chantel i podniosła się zde gustowana z kanapy.

- Cóż, to cena, jaką płaci pani za to, kim jest.

- A kim, pana zdaniem, jestem? - Spojrzała na niego nieprzyjaznym wzrokiem. - Oczywiście, rozumiem. W pełni zasłużyłam sobie na taki los, prawda? Albo ktoś jest bogaty, albo szczęśliwy, tak właśnie pan myśli?

Jej zimna uroda była zniewalająca, jej gniew potęgował to piękno i przyprawiał o drżenie serca. Quinn z trudem zmusił się do obojętnego wzruszenia ramion i krótkich słów:

- Tak, dokładnie tak.

- W takim razie dziękuję, że poświęcił mi pan swój cenny czas, i życzę równie prostych zleceń w przyszłości. Winna jestem coś panu za poradę? - zapytała szyderczo.

Quinn milczał.

- Boże kochany - Chantel nie wytrzymała tego prowokującego milczenia - czy nie dociera do pana, że żyjemy pod koniec dwudziestego wieku? Czy tylko dlatego że kobieta jest atrakcyjna i tego nie ukrywa, musi być traktowana jak... Przecież tak właśnie mnie pan traktuje!

- Jak?

- Sam pan dobrze wie!

- Wcale nie twierdzę, że atrakcyjna kobieta, czy w ogóle jakakolwiek kobieta, skazana jest na to, by być obiektem molestowania, jeśli o to pani chodzi.

- Ale niektóre z kobiet, które jak ja nie chodzą z zasłoniętymi skromnie twarzami, same są sobie winne, tak? Czuję, że w ten właśnie sposób pan myśli, panie Doran. Jestem aktorką, odsłaniam swoje ciało, ale to jeszcze nie znaczy, że to ciało należy do wszystkich, że mam być zwierzyną łowną dla mężczyzny, który bardzo pragnie mnie pokosztować!

- Wywołuje pani w mężczyznach niezwykle silne emocje, panno O'Hurley, prowokuje rozmaite fantazje i marzenia. A dodatkowo robi to pani w kolorze, z dźwiękiem w systemie

Dolby. Każdy może mieć na zawołanie pani twarz, usta, piersi... Wystarczy przejść się do kina albo wypożyczalni wideo. Niektórzy jednak woleliby panią dotknąć naprawdę. Cóż, ludzie są różni. Dziwi się pani, że tak jest?

- A zatem muszę przełknąć tę gorzką pigułkę i pogodzić się ze swoim losem, prawda? Powiem panu coś, panie Doran. Brzydzi mnie pana szowinizm, pana brak szacunku dla kobiet. Tacy jak pan mają rozum poniżej paska od spodni. Pewnie pan myśli, że jeśli kobieta zgadza się pójść na kolację, to mówi „tak” dla wspólnego obmacywania się w łóżku. A jeśli zakłada spódnicę z długim pęknięciem, to wyłącznie po to, by sprowokować jakiegoś napalonego samca. To żałosne. Żał mi pana, panie Doran, że tak ubogie ma pan doświadczenia w tej kwestii. Życzę panu dobrego samopoczucia i żegnam. Sama poradzę sobie ze swymi problemami. Drogę do wyjścia pan zna.

- Chantel... - zaczął Matt, lecz kiedy ta odwróciła się w jego stronę z wściekłym spojrzeniem, dokończył szybko: - .. .chętnie zjadłbym jeszcze kilka kanapek - i spojrzał przepaszająco na Quinna.

Czuł, że powinien załagodzić ten konflikt, wiedział, że i Chantel, i Quinn mają swoje humory, nie miał jednak pojęcia, co powinien powiedzieć i jak zareagować. Na szczęście z niezręcznej sytuacji wybawił go lokaj, który pojawił się właśnie w progu i oznajmił:

- Mam dla pani przesyłkę, panno O'Hurley.

- Dziękuję, Marsh. - Chantel odebrała z jego rąk wazon wypełniony bukietem kwiatów. - Nie będę cię więcej potrzebować. Możesz odejść.

- Wedle pani życzenia.

Chantel przeszła za plecami Quinna do stojącego przy oknie stolika, ustawiła wazon na blacie i zaczęła poprawiać kwiatową kompozycję.

- Matt, wskaż z łaski swojej drogę panu Doranowi. Nie mamy sobie więcej nic... - zamilkła nagle i wypuściła z dłoni bilecik dołączony do kwiatów.

Quinn podniósł liścik i szybko przebiegł wzrokiem po kilku niezgrabnie zapisanych zdaniach. Jego serce znów zabiło mocniej - tym razem z gniewu i obrzydzenia.

- I co? Zasłużyłam sobie? - zapytała Chantel zimnym, niemal beznamiętnym tonem, lecz kiedy popatrzyła na niego, zamiast obojętności ujrzała w jej oczach strach.

- Proszę usiąść - odparł tylko, po czym wsunął bilecik do kieszeni i ujął ostrożnie dłoń aktorki.

- Nalej dla pani brandy. - Spojrzał w stronę Matta, który wciąż stał przy barku.

- Nie chcę pić. Nie chcę siadać. Chcę, żeby wreszcie pan stąd poszedł. - Szarpnęła ręką, lecz Quinn zacisnął mocniej palce na jej nadgarstku i zdecydowanym ruchem usadził ją na kanapie.

- Jak często pani dostaje podobne listy?

- Prawie codziennie.

- I wszystkie są tak... bezpośrednie?

- Nie. - Odebrała od Matta szklaneczkę z brandy i pociągnęła niewielki łyk. - Tak naprawdę zaczęło się to dwa tygodnie temu.

- I co pani zrobiła z tymi Ustami?

- Pierwsze podarłam. Później, kiedy ich ton uległ zmianie, zaczęłam je palić. Potem zaczęłam je zbierać. Sama nie wiem po co. Sądziłam, że mogą się przydać.

- Na pewno się przydadzą. Czy może pani wezwać służącego? Chciałbym mu zadać kilka pytań. Proszę też przynieść wszystkie listy, które pani zachowała.

- Nie rozumiem. - Popatrzyła na niego chłodno.

- Ustaliliśmy chyba, że nie skorzystam z pana pomocy.

- Ten Ust anuluje wszelkie wcześniejsze ustalenia.

- Naprawdę nie potrzebuję pańskiej pomocy...

- Nie powiedziałem jeszcze, że zamierzam pani pomóc - przerwał jej i przez chwilę mierzyli się wzrokiem w milczeniu. - Dobrze - odezwał się pierwszy - czy ma pani jakiś pomysł, co zrobić, by podobne listy przestały panią nękać?

- Chantel, proszę - odezwał się nieoczekiwanie Matt, kładąc dłoń na jej ramieniu. - Zanim cokolwiek powiesz, dobrze się zastanów.

Aktorka spojrzała na niego karcąco, po czym przeniosła wzrok na Quinna.

- Nie chcę nawet mówić, co naprawdę o panu myślę - zaczęła. - Choć może powinnam to zrobić...

- Posłuchaj, Chantel - Matt znów wtrącił się do rozmowy. - Nie lubię stawiać warunków, ale jeśli nie dogadasz się w tej chwili z Quinnem, to osobiście zadzwonię na policję. Mówię poważnie. Wiem, że jesteś osobą rozsądną.

Chantel skrzywiła się i westchnęła z niezadowoleniem. Lubiała mieć wybór i sprawować nad wszystkim kontrolę, była silna i samodzielna. Quinn zdawał sobie sprawę, że z najwyższym

trudem przyszło jej wypowiedzieć słowa, które potwierdzały to, że nie ma wyjścia i że została zapędzona w kozi róg.

- Zgoda, zrobimy, jak pan chce. - Energicznie podniosła się z kanapy. - Ale proszę tylko nie dręczyć Marsha. Jest zmęczony, no i ma swoje lata. Naprawdę nie chciałabym niepotrzebnie go niepokoić.

- Czy wyglądam na kogoś, kto lubi dręczyć starszków?

- Starszków, dzieci i kocięta! - burknęła Chantel i szybkim krokiem wyszła z salonu.

- Boże, chłopie! - Quinn westchnął ciężko i pokręcił głową. - Ta twoja klientka to prawdziwa hetera!

- Taka już jest. Z natury uparta, samodzielna i bardziej odważna niż niejeden gliniarz. Ale teraz naprawdę zaczęła się bać.

- Wyobrażam sobie.

Quinn wyłuskał papierosa i przez chwilę stukał nim w zamyśleniu o paczkę. Początkowo sądził, że Chantel dramatyzuje, teraz jednak, pod wpływem kilku zdań zawartych w plugawym Uście, całkowicie zmienił zdanie. Słowa, które przeczytał, były dla niego niczym kwintesencja zła.

Zerknął na Matta.

- Co was łączy? - spytał prosto z mostu.

- Wspólne korzyści - odparł Matt równie bezpośrednio. - Nie sypiamy ze sobą, jeśli o to pytasz.

- Wykręcasz się.

- Nie. Na początku kariery Chantel potrzebowała agenta, więc się nią zająłem. No a potem samo poszło - sukcesy, sława, pierwsze kłopoty... - Popatrzył niespokojnie w stronę drzwi. - To kobieta po przejściach.

- Jakich przejściach?

- Długa historia i nie ma związku ze sprawą. - Matt machnął ręką. - Najważniejsze, czy potrafisz jej pomóc.

Quinn zaciągnął się papierosem.

- Nie wiem.

- Słucham pana. Pan mnie wzywał, prawda? W progu stanął Marsh i obaj mężczyźni odwrócili głowy w jego stronę. Lokaj wciąż miał na sobie czarny smoking, pod szyją zaś

sztynny, wykrochmalony kołnierzyk. - Panna O'Hurley powiedziała, że chce pan mi zadać kilka pytań.

- Tak, Marsh. Czy mógłbyś mi powiedzieć coś bliższego o człowieku, który doręczył te kwiaty? - Wskazał wazon, a Marsh zmrużył oczy, by dojrzeć je z odległości.

- Oczywiście, proszę pana. Przyniósł je jakiś młody człowiek. Miał osiemnaście, najwyżej dwadzieścia lat. Zadzwoił do bramy i wyjaśnił, że ma przesyłkę dla panny O'Hurley.

- Czy był w uniformie, wyglądał jak posłaniec? Marsh ściągnął brwi i chwilę myślał.

- Chyba nie. Nie mogę powiedzieć na pewno.

- A może widziałeś jego samochód?

- Nie, proszę pana. Odebrałem kwiaty w kuchennych drzwiach.

- A czy byś go rozpoznał?

- Chyba tak. Tak myślę.

- To wszystko. Dziękuję ci, Marsh.

Lokaj zawahał się, ale przypomniawszy sobie, że jest tylko służącym, złożył sztywny ukłon.

- To ja dziękuję, proszę pana.

Kiedy opuszczał salon, w progu minęła go Chantel z pakiecikiem listów w dłoni.

- Na pewno się panu spodobają - powiedziała, rzucając je na kolana detektywa. - Pewnie w podobny sposób zaleca się pan do kobiet.

Quinn uśmiechnął się nieznacznie. Wróciła do siebie, pomyślał, ignorując jej zjadliwą uwagę, po czym otworzył pierwszą kopertę. Adres, podobnie jak sam Ust, wypisany został małymi, drukowanymi literami. Papeteria była Ucha, kupiona w którymś z domów towarowych, i trudno byłoby ustalić jej pochodzenie.

Kilka pierwszych listów wyrażało jedynie zachwyty nad urodą Chantel O'Hurley. Brak w nich było treści wyraźnie obscenicznych, a jedynie lekko dwuznaczne. Wszystkie napisane zostały sprawnie, poprawnie i bez wątplenia wyszły spod pióra człowieka wykształconego. W miarę lektury jednak, choć styl i składnia w dalszym ciągu pozostawały nienaganne, ich treść stawała się coraz bardziej wulgarna i nawet Quinn, który niejedno w życiu widział, czuł się zażenowany, gdy odczytywał kolejne zdania. W dosadnych słowach autor opisywał swe fantazje, odczucia i zamiary. W kilku ostatnich listach zaś dawał do zrozumienia, że czai się w pobliżu. Że obserwuje. Tęskni. I czeka.

Quinn skończył czytać, złożył korespondencję i popatrzył na jej adresatkę.

- Na pewno nie chce pani powiedzieć o wszystkim policji?

Chantel usiadła naprzeciw niego i złożyła ręce na kolanach. Nie podobał jej się cały ten Quinn Doran. Nie podobał jej się zarówno jego wygląd, sposób poruszania, spojrzenie, jak i ów miękki, poetyczny niemal głos, który zupełnie nie przystawał do zniszczonej twarzy. Dlaczego więc odnosiła wrażenie, iż ten człowiek - i tylko on - rzeczywiście jest w stanie jej pomóc?

- Nie - odparła. - Nie chcę mieszać policji w tę sprawę, bo nie chcę nadawać jej rozgłosu. Pragnę tylko odnaleźć autora anonimów i spowodować, by przestał mnie nękać.

Quinn podszedł do barku i nalał sobie kolejnego drinka. Zwrócił uwagę, że zarówno szklanki, jak i wiaderko z lodem wykonane zostały z najszlachetniejszego szkła w fabryce Rosenthala. Nie zrobiło to na nim wrażenia. Gdy chciało mu się pić, nie robiło mu różnicy, czy pije piwo z butelki, czy wino z kryształowego kieliszka. Owszem, doceniał piękno, lecz nie dawał się mu zwodzić zbyt łatwo. Przekonał się przecież niejedną raz, że zewnętrzna skorupa ukrywa prawdę, która bywa...

No właśnie, jeśli weźmie tę sprawę i piękna Chantel O'Hurley stanie się jego klientką, przekona się, jaka ta kobieta jest naprawdę. Nie wiedział, czy ma na to ochotę. Nie spodziewał się po tym odkryciu niczego dobrego. Z różnych zresztą względów.

Upił łyk wódki i odwrócił się do Chantel, Wciąż siedziała na krześle, sprawiając teraz wrażenie obojętnej i całkowicie rozluźnionej. Tylko palce, które zaciskała nerwowo raz po raz, zdradzały, jak poprzednio, stan jej ducha.

Quinn wahał się jeszcze chwilę, wreszcie powiedział:

- Dobrze, panno O'Hurley. Zastąpię dla pani policjantów. Za pięćset dolarów dziennie plus fundusz na specjalne wydatki.

- To królewska gaża, panie Doran.

- Albo dobrze wydane pieniądze. Zależy jak na to spojrzeć.

- Mam nadzieję, że nie będę żałować. - Chantel oparła brodę na dłoni. Na jej palcu błysnął brylant, tak samo jasny i zimny jak jej oczy. - A co dostanę za te pięćset dolarów dziennie plus fundusz na specjalne wydatki?

- Mnie, panno O'Hurley. - Quinn wykrzywił usta i uniósł szklankę.

Twarz aktorki rozjaśnił lekki uśmiech.

- Ciekawe. I co będę z pana mieć?

- To samo co ja z pani.

Podszedł do jej krzesła. Poczwała lekką woń - nie wody kolońskiej czy mydła, lecz ostry, a zarazem rozkoszny zapach mężczyzny. Sama nie wykonała żadnego ruchu, zdawała sobie bowiem sprawę, że nie musi robić nic, by wzbudzić w nim pożądanie. Wystarczyło siedzieć z nogą założoną na nogę, nie zasłaniać kolana, które odsłoniło pęknięcie w spódnicy, nie zakładać rąk na piersiach, by ukryć choć trochę kształtny biust...

- Ale co konkretnie, panie Doran? - zapytała, nie podnosząc nań wzroku.

- Powiedziałem: to samo co ja będę mieć z pani - wzajemne towarzystwo. Za pięćset dolarów dziennie otrzyma pani całodobową ochronę. Zaczniemy od pierwszego z moich ludzi, który będzie pilnował bramy...

- Po co mi strażnik, skoro mam bramę?

- A po co ta brama, skoro otwierają pani każdemu, kto o to prosi?

- Rozumiem, że mam się zamknąć na cztery spusty.

- Przyzwyczaj się pani do tego. Warto. Ten pani wielbiciel to osoba niezrównoważona, a przez to niebezpieczna.

- Wiem. - W oczach Chantel znów pojawił się strach.

- Tym bardziej więc powinna mi pani zaufać. Na początek potrzebuję dokładnego rozkładu pani dnia. Poczynając od jutra, ilekroć wychyli pani swój śliczny nosek poza bramę, mój człowiek będzie szedł za panią krok w krok.

- O, nie! - zaprotestowała zdecydowanie. - Za pięćset dolarów dziennie mogę wymagać wyłączności i dyskrecji. Żaden „mój człowiek”. Chcę mieć pana, panie Doran. Matt ufa tylko panu i być może jedynie dlatego w tej chwili pan ze mną rozmawia.

- Och, dzięki za łaskawość. - Znów się uśmiechnął tym swoim zabójczym, lekko pobłażliwym uśmiechem, a Chantel zrobiło się głupio.

- Płacę panu, panie Doran. Takiego dobiliśmy targu.

- Wiem, wiem. Pani tu rządzi. - Wzniósł pojednawczo szklaneczkę z wódką. - Ale i tak kontakt z moimi ludźmi będzie nieunikniony. Jutro rano założą tu podsłuch telefoniczny...

- Nie życzę sobie!

- No nie, skoro przez cały czas zamierza mi pani wiązać ręce, to rezygnuję z tej pracy. Założymy podsłuch - powtórzył łagodnie, jakby chciał przekonać dziecko, że szczepionka, choć boli, jest konieczna. - Może dzięki temu namierzemy tego łajdaka. A nas proszę traktować jak...

nie wiem, lekarzy, których obowiązuje tajemnica zawodowa. Jeśli zechce pani porozmawiać z którymś ze swych przyjaciół na intymne tematy, to proszę uprzejmie. Nie takie rzeczy już słyszeliśmy. - Roześmiał się cicho. - W każdym razie gwarantuję pani stuprocentową dyskrecję.

- No dobrze - zgodziła się niechętnie. - Co jeszcze mam dla pana poświęcić?

- Odrobinę własnej dumy. Musi pani być trochę bardziej wyrozumiała i cierpliwa. Jak u dentysty. Aha, listy zabiorę ze sobą. Wprawdzie wątpię, czy uda się wytropić sklep, w którym kupiono papeterię, ale zawsze warto spróbować. Na koniec najważniejsze pytanie: czy pani kogoś podejrzewa?

- Nie.

Ponieważ powiedziała to bez namysłu i z pełnym przekonaniem, Quinn postanowił przyjrzeć się wszystkim ludziom z jej najbliższego otoczenia.

- A czy jest pani w stanie wymienić wszystkie osoby, które w ostatnich miesiącach podkochiwały się w pani bez wzajemności?

- Och, są ich tysiące.

- No tak - wyciągnął z kieszeni notatnik i długopis - powinienem był się domyślić. Pozwoli pani, że zanotuję jeszcze nazwiska mężczyzn, z którymi pani sypiała, panno O'Hurley. W ciągu ostatnich trzech miesięcy.

- Nie pozwolę - odparła słodziutkim głosem i wstała urażona, by usiąść na krześle jak najdalej od niego.

- Proszę pani - Quinn przytrzymał ją za nadgarstek i spojrzał w oczy - naprawdę nie interesuje mnie prywatnie, ilu mężczyzn gościło w pani łóżku. Pytam, bo może mi to pomóc...

- To moja sprawa - ucieła Chantel i dumnie uniosła głowę.

- Oczywiście, na pewno nie moja. Ale niech pani mimo wszystko pomyśli. Może doprowadziła pani któregoś z nich do ostateczności? Może przespała się pani z nim kilka razy, a on zaczął sobie zbyt wiele wyobrazać? Wszystko zaczęło się przed sześcioma tygodniami. Z kim pani była wcześniej?

- Z nikim.

Pokręcił zdegustowany głową i mocniej zacisnął palce na jej dłoni.

- Daj spokój, Chantel. - Nieoczekiwanie zwrócił się do niej po imieniu. - Naprawdę nie zamierzam tu spędzać całej nocy. Oboje jesteśmy dorośli, więc nie musimy...

- Powiedziałam już, że z nikim - przerwała mu ponownie, po czym wyrwała rękę z jego

uścisku.

Owszem, wolałaby wymienić z tuzin nazwisk, by wiedzieć, jak Quinn poci się z zazdrości, ale to byłoby kłamstwo.

- Nie uwierzę, że długie, letnie wieczory spędzała pani samotnie na cerowaniu skarpetek.

- To pana sprawa. Nie wskakuję do łóżka z każdym mężczyzną, który do mnie uprzejmie się uśmiechnie. Choć pan pewnie sądzi, że wystarczy, bym poczuła samca z odległości półtora metra i...

- Urwała, by zmierzyć niespokojnym wzrokiem dzielący ich dystans.

- Na oko jakieś pół metra - odpowiedział usłużnie Quinn, jakby odgadł jej myśli.

- No więc muszę pana rozczarować, panie Doran - Chantel wróciła do przerwane go wątku.

- Mężczyzna musi mnie najpierw zainteresować, a ostatnio żadnego takiego nie spotkałam. Pracuję, a praca pochłania cały mój wolny czas. Zadowolony?

- Quinn, daj jej spokój - wtrącił się Matt, czując, że rozmowa tych dwojga znów może przerodzić się w kłótnię. - Chantel przeżyła ostatnio ciężkie chwile.

- Jasne. Tylko że nie wezwałeś mnie chyba po to, bym głaskała ją po główce - odburknął Quinn, zbierając listy. - Jestem detektywem, a nie psychoterapeutą. Wrócę jutro, panno O'Hurley. O której pani wstaje?

- Kwadrans po piątej - odrzekła, nie mogąc powstrzymać uśmiechu na widok jego zdziwionej miny. - Do studia wyjeżdżam o piątej czterdzieści pięć. Obudzi się pan, panie Doran?

- Bez problemu, panno O'Hurley. Proszę przygotować czek. Tysiąc pięćset dolarów zaliczki. I radzę nie odbierać już dziś żadnych telefonów.

- Dobrze, panie Doran. Zrobię, o co pan prosi. Nasze spotkanie było bardzo inspirujące. Życzę miłej nocy.

- Dobranoc - mruknął Quinn, niezadowolony z powodu własnej oschłości, po czym skinął Mattowi głową i opuścił salon.

Chantel odczekała, aż umilkną jego kroki, sięgnęła po papierosa i popatrzyła udręczonym wzrokiem na Matta.

- Ten twój znajomy to kawał drania.

- Zawsze był wredny - przyznał Matt. - Ale lepszego nie znajdziesz.

ROZDZIAŁ 3

Początkowo Chantel sądziła, że nie zdoła zasnąć. Dom wydawał się jej ogromny i niepokojąco cichy, a gdy wchodziła do łóżka, natrętnie towarzyszył jej obraz Quinna Dorana. Na samą myśl o nim ogarniała ją złość. Ten człowiek obraził jej dumę, kpił z jej inteligencji, drażnił się z nią i prowokował.

A jednocześnie sprawił, że dopiero teraz poczuła się bezpieczna. Spała bowiem wprawdzie tylko sześć godzin, ale za to spała dobrze.

Obudziła ją muzyka ze ściennego radiodbiornika umieszczonego obok łóżka. Przewróciła się na plecy i przeciągnęła z przyjemnością. Ogromne łóżko stanowiło pierwszy przejaw luksusu, na jaki kiedyś sobie pozwoliła, jeszcze w czasach, kiedy właściwie nie było jej na to stać. Ogromne, staroświeckie łożo, z rzeźbionym w wiśniowym drewnie zagłówkiem, sprawiało jednak, iż każdego ranka Chantel czuła się niczym bajkowa księżniczka, przebudzona właśnie ze stuletniego snu.

Przez całe dzieciństwo i młodość musiała sypiać w nędznych hotelowych pokojach, kiedy więc podpisała pierwszy kontrakt filmowy, doszła do wniosku, że w pełni zasłużyła sobie na odrobinę luksusu. I pomyśleć, że niewielka rola w niezbyt udanym (ale za to pełnometrażowym) filmie pozwoliła jej spełnić jedno z największych marzeń dzieciństwa.

Wróciła myślami do czasów, kiedy mieszkała w niewielkim wynajmowanym mieszkanku w centrum Los Angeles. Tam łóżko to zajmowało cały pokój; żeby dostać się do drzwi, musiała przez nie przechodzić. Gdy pewnego razu odwiedziły ją siostry - bliźniaczki, od razu rzuciły się na miękką, szeroki materac, by później przegadać na nim kilka nocnych godzin.

Ech, gdyby i teraz Maddy i Abby mogły ją odwiedzić. Mając przy sobie najbliższą rodzinę, czułaby się dużo pewniej.

Usiadła w pościeli i rozejrzała się po sypialni, która była większa niż całe jej poprzednie mieszkanie. Podkreśliła potencjometr radiodbiornika, wstała i zaczęła przygotowywać się do kolejnego dnia pracy.

Quinn nie był przyzwyczajony do wstawania o świcie. Przeważnie kładł się spać wraz z pierwszymi promieniami budzącego się słońca - i to nie z jakichś specjalnych powodów, lecz po prostu dlatego, że lubił patrzeć, jak nocne niebo barwią pierwsze zorze.

Tym razem zaliczył i zorze, i wschód słońca. Wziął prysznic, ubrał się szybko, ogolił i

teraz jechał przez miasto pod fiołkowo - różowym niebem, pobłażliwie spoglądając na uprawiających poranny jogging mężczyzn.

Pocenie się w ortalionowych dresach nie było w jego stylu. Kiedy czuł potrzebę fizycznego wysiłku, szedł na siłownię. I to nie do żadnej wytwornej sali o ścianach wyłożonych lustrami, gdzie do ćwiczeń przygrywa cichutko jakiś Haydn czy Mozart, lecz do prawdziwej siłowni. Do miejsca, w którym nie spotyka się ludzi ubranych w obcisłe, eleganckie trykoty, ale wytatuowane typy spod ciemnej gwiazdy, z których pot spływa strumieniami. Nikt tam oczywiście nie pija soku wyciskanego z marchwi czy pomarańczy, lecz w najlepszym wypadku piwo.

Quinn poprawił się w fotelu i pokręcił głową. Wciąż nie był pewien, czy powinien angażować się w sprawę Chantel O'Hurley. Ta kobieta budziła w nim namiętności, nad którymi nie miał kontroli. Wprawiała go w zakłopotanie.

Cholera, nie pamiętał, kiedy ostatnio jakaś kobieta wprawiała go w zakłopotanie. Czuł, że Chantel należy do takich, które sprowadzają na człowieka same kłopoty, prowokują do głupstw, przynoszą oszołomienie, zawrót głowy, a potem... ból. Tak, zwykły ból i gorycz zawodu. Quinn był pewien jak wszyscy diabli, że ta dziewczyna dobrze o tym wie - i że cholernie jato bawi.

Mniejsza z tym. Biznes to biznes. Nie musi myśleć o tym wszystkim. Chantel mu płaci, więc ma wykonać swoją robotę i zapewnić jej bezpieczeństwo. Podejdzie do sprawy z zimną obojętnością prawdziwego profesjonalisty.

Czy jednak rzeczywiście mógł zachować obojętność wobec listów, które wczoraj przeczytał? Do licha, nie! Nigdy nie słuchał gadania o męskim szowinizmie, a opowiedane przez przewrażliwione sekretarki historie o biurowym molestowaniu tylko go śmieszyły. Naprawdę uważał, że jeśli idącą przez plac budowy dziewczynę w krótkiej sukience robotnicy zaczynają nawoływać, gwizdać za nią i składać jej sprośne propozycje, to sama jest sobie winna, bo mogła wybrać inną drogę. Jednak w listach, które otrzymywała Chantel, nie było nic z niewinnych żartów i prymitywnych zalotów. Pisał je jakiś przebiegły, inteligentny zboczeniec, który nie krył się ze swymi zamiarami. A Chantel nie czuła się obrażona, lecz śmiertelnie przerażona.

Mniejsza z tym. Tak czy inaczej on, Quinn Doran, odnajdzie autora tych listów. A do tego czasu zapewni Chantel ochronę, za którą ona hojnie mu zapłaci.

Zatrzymał samochód przed żelazną bramą, wysunął przez okno rękę i nacisnął dzwonek.

- Tak?

Gniewnie zmarszczył brwi. Nie spodziewał się, że Chantel osobiście odbierze bramofon.

- Quinn Doran - poinformował krótko.

- Punktualny co do minuty.

- Za to mi pani płaci.

Nie padła żadna odpowiedź i po chwili skrzydła bramy powoli się rozwarły.

W dziennym świetle miał okazję dokładniej przyjrzeć się otoczeniu. Mur, choć wysoki, nie był zbyt trudny do sforsowania, zwłaszcza dla desperata. Kiedyś, jeszcze w Afganistanie, Quinn pokonywał z partnerem podobnej wysokości skalne ściany wyłącznie przy użyciu kawałka liny.

Spojrzał na gęste krzewy, rosnące wzdłuż ogrodzenia. Były piękne, ale mogły też stanowić doskonałą kryjówkę dla nieproszonego gościa, gdyby udało mu się przedostać na teren posiadłości. Owszem, były tu pewnie zainstalowane jakieś czujniki alarmowe, ale przecież każdy system alarmowy można z łatwością unieruchomić.

Podjechał pod schody, prowadzące do rozległego domu, wysiadł z auta i oparł się o jego maskę. Na teren posesji nie docierały hałasy miasta, a ciszę mącił jedynie świergot ptaków. Quinn sięgnął po papierosy. Na trawniku pod ścianami dostrzegł kilka reflektorów, zainstalowanych zapewne bardziej ze względów dekoracyjnych niż dla bezpieczeństwa. Zerknął na zegarek i postanowił obejść dom, by osobiście sprawdzić kilka dodatkowych szczegółów.

Tymczasem Chantel celowo nie zapraszała go do środka. Właściwie powinna była wypić z nim filiżankę kawy w oczekiwaniu na przyjazd limuzyny ze studia, jednak zły humor i niejasna obawa przed ponownym spotkaniem z Quinnem kazały jej postąpić inaczej. Poprawiła fryzurę, sprawdziła zawartość torby i napisała na kartce kilka poleceń dla służby, kiedy zaś rozległ się brzęczyk bramofonu, przywitała przez głośnik szofera i zaczęła składać wydruk scenariusza do teczki.

Odwróciła się właśnie w stronę wyjścia, by opuścić sypialnię i przejść do głównego holu, gdy na progu ujrzała Quinna.

- Co pan tu robi?! - zirytowała się na jego widok.

- Sprawdzalem systemy zabezpieczeń. - Oparł się o framugę drzwi. - Są do niczego. Do tego domu dostałby się nawet skaut, i to skaut bez żadnej sprawności.

- Kiedy je instalowano, zapewniono mnie, że są najlepsze, jakie można dostać na rynku.

- Chyba na miejskim rynku jakiegoś prowincjonalnego miasteczka. Trzeba będzie przy

nich trochę podlubać.

- Ile? - spytała praktycznie Chantel.

- Będę wiedział dokładnie, gdy skończymy. Ale sądzę, że jakieś trzy do pięciu...

- Tysięcy?

- Jasne. Już pani mówiłem, że mogą być dodatkowe koszty.

- W porządku. Zapłacę, ile trzeba - burknęła. - A teraz proszę tędy, panie Doran. -

Wskazała mu wyjście. - Następnym razem, gdy zechce pan sprawdzać systemy zabezpieczeń, radzę trzymać się z daleka od mojej sypialni. - Podeszła do szafki przy łóżku i po chwili odwróciła się w jego stronę, mierząc z rewolweru o rękojeści wykładanej masą perłową prosto w jego pierś. - Czasami bywam nerwowa.

Quinn popatrzył na broń i unióś z zainteresowaniem brwi. Nie bał się. Już nieraz w życiu stał po niewłaściwej stronie lufy.

- Czy wiesz w ogóle, skarbie, jak się z tym obchodzić? - zapytał z życzliwym uśmiechem.

- Wystarczy nacisnąć spust. - Chantel odwzajemniła uśmiech. - Oczywiście celuję fatalnie. Jak chcę trafić w nogę, kula wbija się w czaszkę.

- Cóż, jeśli chodzi o broń, obowiązuje jedna zasada. .. - zawiesił głos, poczekał na chwilę nieuwagi swej klientki i kiedy ta odwróciła wzrok, szybkim ruchem wyrwał broń z jej ręki, a ją samą pchnął na łóżko i przygniótł ciężarem własnego ciała. - Zasada ta brzmi: nie celuj w nikogo, jeśli nie masz zamiaru strzelać - dokończył.

Chantel nawet pod nim nie drgnęła. Leżała na posłaniu, czekając, aż opuści ją wściekłość. Quinn tymczasem odruchowo otworzył komorę rewolweru.

- Poza tym pistolet był nie naładowany.

- Oczywiście, że nie. Nie trzymałabym w domu nabitej broni.

- Rewolwer to nie zabawka.

Zamknął magazynek i popatrzył na Chantel. Jej piękne oczy płonęły gniewem. Wbrew sobie musiał przyznać, że taka kombinacja wściekłości i szlachetnego piękna robi na nim piorunujące wrażenie. I jeszcze ten zapach...

- Piękne łoże - powiedział, kierując mimowolnie wzrok na jej usta. Chantel szarpnęła się pod nim i dałby głowę, że na te słowa szybciej zabiło jej serce.

- Miło mi, że się panu podoba, panie Doran. Ale teraz nie mamy czasu, by je podziwiać. Muszę jechać do pracy.

Quinn uwolnił powoli jej ręce. Ilu mężczyzn przygniatało ją do tego sprężystego materaca, zastanawiał się. W ilu rozpalala takie same dzikie, gorące żądze, jak teraz w nim? Zsunął się z łoża, pomógł wstać Chantel i uśmiechnął się do niej kpiąco.

- Miło się rozmawiało, panno O'Hurley.

- Prowokuje mnie pan, bym w pana strzeliła, panie Doran.

- W rewolwerze nie ma kul - przypomniał, kładąc broń na nocny stolik. - Poza tym, możesz mi mówić Quinn, skarbie. Ostatecznie byliśmy razem w łóżku. - Wziął ją pod rękę, sprowadził na parter i zgodnie wyszli przed dom.

- Dzień dobry, Robercie. - Chantel obdarzyła szofera promiennym uśmiechem. - Przez kilka dni pan Doran będzie towarzyszył mi w drodze do studia.

- Jak pani sobie życzy, panno O'Hurley - odparł chłopak i obrzucił Quinna wrogim spojrzeniem.

- Czy łatwo jest tak zawrócić w głowie młodemu mężczyźnie? - zapytał Quinn już w aucie, wskazując na kierowcę po drugiej stronie dźwiękoszczelnej szyby.

- Och, to jeszcze dzieciak - odrzekła Chantel, wygodnie sadowiac się w fotelu.

- Właśnie widzę.

- Prawda, zapomniałam. - Chantel skryła oczy za ciemnymi szklami okularów. - Jestem przecież jedną z tych pozbawionych skrupułów kobiet, które bawią się mężczyznami, a następnie odrzucają ich jak pustą puszkę po coli.

- Cóż, kobiety takie już są. - Quinn spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Wyjątkowo pan ich nie lubi, panie Doran.

- Myli się pani. Kiedyś je uwielbiałem.

- Kiedyś? - Chantel zdjęła ciemne okulary i uważnie popatrzyła na towarzysza. - Nie do wiary. Dla mnie jest pan przykładem typowego męskiego szowinisty, który urodził się z pogardą dla płci pięknej w sercu. A już myślałam, że ten gatunek wyginał...

- To twarda rasa, skarbie.

Nacisnął guzik i obserwował, jak w jego stronę odwraca się obrotowy baren. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zrobić sobie drinka, lecz ostatecznie zdecydował się na sok pomarańczowy i ani kropli alkoholu.

- Wolałabym nie przedstawiać pana jako ochroniarza - odezwała się Chantel. - Nie chcę budzić jakichkolwiek podejrzeń.

- W porządku. Proszę zrobić, co pani uważa za stosowne.

- Hm, wszyscy dojdą do wniosku, że jest pan moim kochankiem. - Odebrała od niego szklanę z sokiem i upiła łyk. - Trudno, do takich spekulacji i domysłów dawno już przywykłam.

- Nie wątpię. To pani życie. Powiedziałem, że może pani robić, co pani uważa.

- Tak właśnie uczynię. - Oddała mu pustą szklanę. - A pan?

- Co ja będę robić? Zajmę się swoją pracą. - Zatrzymali się przed bramą studia, więc odstawił szklanę do barku i dodał: - A ty, skarbie, uśmiechaj się tylko ładnie do kamery i o nic więcej się nie martw.

Chantel zirytował ten lekceważący ton. Kierowana nagłym impulsem, odwróciła się do detektywa i chwyciła go dramatycznie za rękaw koszuli. Poczekaj, pomyślała, dam ci nauczkę.

- Kiedy ja wciąż się boję, Quinn - jęknęła żałośnie. - Tak bardzo się boję. Ani przez chwilę nie czuję się bezpieczna, bo nie wiem, co za chwilę się wydarzy. - Przysunęła się do niego bliżej i dodała łamiącym się głosem: - Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy to, że jesteś teraz przy mnie. Ze mnie chronisz. Sama jestem taka bezbronna, taka bezradna... A ty... taki silny. Och, Quinn...

Przysunęła twarz do jego policzka, poczuł, jak lekko zadrżała. Ogarnęło go nagle podniecenie, a jednocześnie wielka potrzeba ukojenia jej strachu. Chantel zdawała mu się teraz krucha, uległa i bezwolna. Objął ją ramieniem, przygarnął do siebie, zakręciło mu się w głowie od słodkiej woni jej włosów.

- Nic się nie martw - mruknął. - Przy mnie jesteś bezpieczna.

- To dobrze, Quinn. - Uniosła nagle głowę, tak że niemal dotknęła wargami jego ust. Po chwili odsunęła się jednak i sztywnym ruchem podała mu kopertę. - Oto twój czek - wyjaśniła obojętnie, po czym jak gdyby nigdy nic wysiadła z samochodu.

Przez kilka sekund Quinn siedział jak skamieniały. Gdy w końcu wyszedł za nią z auta, chwycił Chantel mocno za ramię i powiedział przez zaciśnięte zęby:

- Jesteś dobra w tym fachu. Cholernie dobra.

- Jestem - odparła z lekkim uśmiechem. - A będę jeszcze lepsza.

Kolejne godziny pozwoliły Quinnowi zapomnieć o doznanym upokorzeniu. Chantel przechodziła codzienną, monotonną procedurę nakładania makijażu i czesania włosów, on zaś przyglądał się uważnie wszystkiemu wokół i starał się zapamiętać jak najwięcej szczegółów.

Patrzył na towarzyszących jej aktorów, techników, asystentów. Musiał sprawdzić

wszystkich tych ludzi, aby mieć później pewność, że żaden z nich nie jest tajemniczym prześladowcą Chantel. Na razie bowiem wiedział tylko jedno - człowiek tai dobrze znał rozkład dnia swojej ofiary.

- Panno... to znaczy Chantel. - U boku aktorki pojawił się uśmiechnięty młodzieniec z filiżanką kawy.

- Och, dzięki, Lany - odpowiedziała z uśmiechem. - Czytasz chyba w moich myślach.

Uradowany Lany wyprężył się z dumy.

- Wiedziałem, że z fryzurą zejdziesz ci dzisiaj dłużej niż zwykle i że będziesz miała ochotę na małą czarną.

- Przez chwilę obserwowałem, jak stylistka tworzy z loków Chantel skomplikowany kok. - Dziś kręcimy sceny w sali balowej, pamiętasz?

- Czekałam na ten dzień - odparła Chantel i upiła łyk kawy. - Nie ma porównania z tym, co przeżyłam wczoraj. Gdyby mnie jeszcze raz pokropili, chyba bym się rozplynęła.

- Panna Rothschild twierdzi, że ujęcia na stacji wyszły znakomicie. Rzeczywiście, sam sprawdzałem. Jesteś wspaniała, Chantel.

- Dzięki. - Dostrzegła w lustrze odbicie Quinna i doszła widocznie do wniosku, że to najlepszy moment, by przedstawić go asystentowi. - Lany, to jest Quinn Doran, mój... przyjaciel. A to jest Lany, moja prawa ręka. Często też i lewa - roześmiała się.

- Przez kilka dni Quinn będzie przyglądał się mojej pracy.

- No, tak... - Lany odchrząknął, niezbyt zadowolony. - Rozumiem. Bardzo mi miło, panie Doran.

Quinn uśmiechnął się do siebie. Oto kolejna ofiara zabójczego wdzięku Chantel O'Hurley. Powinno mu być właściwie żal tego chłopaka, ale na razie nie mógł sobie pozwolić na współczucie czy sympatię. Podejrzani byli wszyscy.

- Nie musicie się martwić. Nie będę plątać się wam pod nogami - obiecał i musnął zalotnie palcem policzek Chantel. - Chciałem tylko zobaczyć cię przy pracy, skarbie.

- Och, czyż on nie jest uroczy? - odezwała się z olśniewającym uśmiechem aktorka. - Quinn chwilowo jest bezrobotny i ma dużo wolnego czasu. No, nie bądź taki drażliwy, kochanie.

- Poklepała go po ramieniu. - Wszyscy wiemy, że nie ma zbyt wielu ofert pracy dla botaników. Poczekasz tu na mnie? Pójdę się przebrać.

- Na dzisiejszy ranek zaplanowano też zdjęcia reklamowe - przypomniał jej Lany. - Jak

tylko będziesz gotowa, mamy iść na plan z salą balową.

- Doskonale.

- A może ja pójdę z tobą, kochanie? - odezwał się nieoczekiwanie Quinn, obejmując Chantel ramieniem. - Ktoś musi pozapinać ci te wszystkie guziki i haftki - dodał ze znaczącym uśmiechem, po czym ścisnął dyskretnie jej ramię i poprowadził w stronę garderoby.

- Spokojnie, Doran - syknęła Chantel, kiedy znaleźli się sami. - Nie tak mocno. W tej scenie występuję w sukni bez rękawów. Nie chcę mieć siniaków.

- Mam ochotę narobić ci ich tam, gdzie nikt nie zobaczy. Co to za pomysł z tym botanikiem!

- Zawsze pociągali mnie wrażliwi mężczyźni, introwertycy o skomplikowanej naturze.

- Jak Lany?

- To mój asystent. Sympatyczny chłopak. Ma doskonałe referencje i...

- Jak długo u ciebie pracuje?

- Około trzech miesięcy.

Gdy znaleźli się za drzwiami garderoby, Quinn wyciągnął notes i zażądał:

- Podaj mi jego pełne imię i nazwisko.

- Larry Washington. Ale naprawdę nie sędzę...

- Nie musisz nic sądzić. A facet od makijażu?

- George? Nie bądź śmieszny. Mógłby być moim dziadkiem.

Quinn zmierzył Chantel przeciągłym spojrzeniem.

- Nazwisko, skarbie. W przypadku świrów wiek nie ma znaczenia.

Chantel burknęła szybko nazwisko charakteryzatora i przeszła z saloniku do przebieralni.

- Nie podobają mi się twoje metody, Doran - odezwała się do niego zza przepierzenia.

- Powiadomię o tym wydział skarg i wniosków.

- Quinn przysiadł na poręczy fotela i z ciekawością rozejrzał się po pomieszczeniu.

Podobnie jak w domu Chantel, wszystko było tu nieskazitelnie białe.

- A skoro już jesteśmy przy tym temacie, wymień nazwiska wszystkich pracowników planu.

Zapadła chwila głuchego milczenia.

- Wszystkich?

- Dokładnie.

- To niemożliwe. Nawet ich nie znam. Niektórych tylko z widzenia, wielu wyłącznie po imieniu...

- A więc się dowiedz.

- Quinn, ja tu pracuję. Nie mam czasu...

- W takim razie ja się tym zajmę. Podaj mi ich imiona. Wszystko, co wiesz.

- Zapytam Larry'ego. Może jemu uda się skompletować taką listę.

- Tego nie rób. Nie chcę, by coś zaczęli podejrzewać.

- Dobrze, dobrze. - Przyszło jej przez chwilę do głowy, że ta kuracja zdaje się bardziej skomplikowana i nieprzyjemna od samej choroby, natychmiast jednak przypomniała sobie treść ostatniego listu i spokorniała. Niestety, potrzebuje póki co pomocy Quinna i musi się mu podporządkować. - Asystent reżysera to Amos Leery - zaczęła opowiadać - a kamerzysta nazywa się Chuck Powers. Siedzą w branży od lat. Mają rodziny...

- A jaką to robi różnicę? - przerwał jej. - Obsesja to obsesja. A reżyser?

- Reżyserem jest kobieta. Sądzę, że ją możesz sobie odpuścić.

Quinn podniósł wzrok znad notesu, by wygłosić kolejny komentarz, w tej samej jednak chwili zdał sobie sprawę, że popełnił ogromny błąd. Nie powinien był patrzeć na Chantel. Nie teraz, nie tutaj, gdy byli sam na sam. Nie w tym stroju.

Słowa zamarły mu na ustach i wpatrywał się teraz w nią, jakby ujrzał anioła. Chantel miała na sobie czerwoną suknię, wyciętą głęboko i przylegającą ściśle do jej piersi. Spódnica opadała luźno aż do ziemi, jedynie z boku podciągnięta była do biodra i przypięta olbrzymią broszą ze lśniących kamieni. Nagie ramiona i smukła szyja odcinały się mleczną bielą od jaskrawej czerwieni.

Chantel natychmiast rozpoznała ów barani wzrok. W normalnych okolicznościach odpowiedziałaby uśmiechem, teraz jednak jej serce biło zbyt mocno. Quinn powoli dźwignął się z poręczy fotela, ona zrobiła gwałtowny krok do tyłu. Dopiero później uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu w taki sposób cofnęła się przed mężczyzną.

- Musimy już iść - powiedziała szybko. - Czekają na mnie na planie.

- Kogo masz grać w tym stroju? - zapytał. Chantel zwilżyła językiem wargi.

- Kobieta, która szuka zemsty.

- Jestem pewien, że dopnie swego.

- Podobam ci się? - zapytała, obracając się powoli w taki sposób, by mógł ujrzeć jej

odsłonięte plecy.

- Jak na siódmą trzydzieści rano, aż za bardzo.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Poczekaj, aż zobaczysz świecidełka, jakimi mnie obwieszają. Cartier wypożyczył nam kolczyki i naszyjniki. Wszystko warte jakieś ćwierć miliona dolarów. Musieliśmy zatrudnić dwóch uzbrojonych strażników, a niebawem pojawi się sam bardzo zdenerwowany jubiler.

- Dlaczego nie używacie sztucznej biżuterii? Też błyszczą.

- Bo prawdziwe klejnoty przyciągają widzów. Idziemy?

Quinn dotknął delikatnie nagiego ramienia Chantel i oboje poczuli, jak przeszywa ich tajemniczy, rozkoszny dreszcz.

- Zaraz. Jeszcze jedno pytanie. Czy masz coś pod spodem?

Zdobyła się na uśmiech tylko dlatego, że trzymała już dłoń na klamce.

- Jesteśmy w Hollywood, panie Doran. Takie szczegóły pozostawiamy wyobraźni widzów.

Chantel miała nadzieję, że do chwili pierwszych ujęć zdoła zapanować nad emocjami, które nagle doszły w niej do głosu. To jego spojrzenie, ten uśmiech, ta bliskość w pustej garderobie, to przelotne muśnięcie ramienia sprawiły, że czuła się rozogniona i oszołomiona. Wiedziała, że Quinn jej pragnął, że był spięty, rozpalony, gotowy do miłości - i ta świadomość ekscytowała ją coraz bardziej. Dopiero gdy usłyszała pierwszy klaps, mogła skupić uwagę nie na sobie, lecz na Hailey, w którą miała się wcielić.

Tymczasem Quinn z coraz większym trudem zmuszał się do krytycznego myślenia na temat swej klientki. Musiał na przykład zrewidować swą opinię na temat jej beztroskiego, pełnego wygód i rozrywek życia. Chantel nie była, jak z początku sądził, rozpieszczoną gwiazdką. Harowała jak wół - ciężko, wytrwale, bez słowa skargi. Mimo że sesja zdjęciowa trwała bardzo długo, do kamerzystów i fotografów odnosiła się uprzejmie. Nie warczała, jak jedna z jej partnerek, na charakteryzatorów, gdy trzeba było poprawić makijaż, a choć z powodu ogromnych reflektorów na planie wciąż panował nieznośny upał, dla każdego miała swój uroczy uśmiech zamiast grymasów niezadowolenia. I ani razu nie usiadła, by nie pognieść swej wspaniałej kreacji.

Dwóch uzbrojonych po zęby strażników nie spuszczało oka ani z niej, ani z wartych ćwierć miliona klejnotów, którymi była obwieszona. A w eleganckiej biżuterii było jej do twarzy

i wyglądała jeszcze piękniej.

Stał właśnie na uboczu, zastanawiając się, jak aktorzy wytrzymują monotonię nieustannych powtórek, gdy ktoś zagadnął go niespodziewanie:

- Zdumiewające, prawda?

Obejrzał się, by ujrzeć przed sobą wysokiego, siwiejącego mężczyznę o miłej twarzy.

- Słucham?

- Sam pan widzi, ile godzin zajmuje nakręcenie zaledwie dwóch minut filmu. - Wyciągnął cienkiego papierosa i odpalił go od poprzedniego. - Sam nie wiem, po co tu siedzę, zżerają mnie tylko nerwy. Ale nie mogę odejść. Ostatecznie oni pastwią się nad moim ukochanym dzieckiem.

- Tak źle chyba nie jest - odrzekł Quinn, nie mając pojęcia, o czym mówi tajemniczy nieznajomy.

- Mam nadzieję - uśmiechnął się mężczyzna. Jestem po prostu autorem scenariusza i kraje mi się serce na widok tego, co z nim wyprawiają. - Wyciągnął wypielegnowaną, szczupłą dłoń. - Nazywam się James Brewster.

- Quinn Doran.

- Tak, wiem. Jest pan nowym znajomym Chantel O'Hurley. - Znów się uśmiechnął i lekko wzruszył ramionami. - Jako aktorka jest niesamowita, prawda?

- Prawdę mówiąc, nie znam się na tym.

- Więc mogę pana osobiście zapewnić, że to wspaniała artystka. Nikt inny nie zagrałby roli Hailey tak jak ona. Zimna, mściwa, drapieźna, a przy tym krucha i rozpaczliwie poszukująca miłości.

- Sprawia wrażenie, że wie, co robi.

- Więcej, ona to czuje! - James Brewster głęboko zaciągnął się papierosem. - Wielką przyjemność sprawia mi przyglądanie się jej grze.

Quinn wsunął rękę do kieszeni i zanotował w pamięci, że do listy podejrzanych musi dopisać scenarzystę.

- Tak, to wyjątkowo piękna kobieta - westchnął.

- Niewątpliwie, niewątpliwie. Ale, używając banalnego wyrażenia, jej twarz, ciało to jedynie powłoka. To co w Chantel O'Hurley jest naprawdę fascynujące, mieści się w jej wnętrzu.

- A cóż to takiego?

- Powiedziałbym, panie Doran, że każdy mężczyzna znajdzie w niej coś dla siebie.

Praca na planie trwała do dziewiętnastej i Quinn wyliczył, że Chantel, łącznie z godziną przerwą na lunch, była na nogach równo czternaście godzin. Hm, to rzeczywiście niełatwy kawałek chleba, pomyślał po raz kolejny tego dnia. Kto wie, czy on nie wolałby przez bite osiem godzin tłuc kamienie na drodze.

- Czy nigdy nie pomyślałaś o zmianie pracy? - zapytał, kiedy znaleźli się w zaciszu garderoby.

- Nigdy - odrzekła i z ulgą zrzuciła ciasne pantofelki. ~ Lubię ten przepych sceny... Czy pomożesz mi rozpiąć suwak? Ręce mam jak z waty.

- Nic dziwnego, skoro przez cały dzień tuliłaś w ramionach tego Cartera.

- To jedna z ciemniejszych stron mojej pracy. Wyprostowała się i Quinn rozpiął jej zamek.

- Dlaczego? Gość jest w porządku. Jeśli, oczywiście, lubisz facetów z plakatów.

- Uwielbiam takich - odparła z uśmiechem, zerkając przez ramię na Quinna.

- Powiedz, czy to możliwe, by właśnie Carter przysyłał ci te kwiaty?

Chantel zeszywniała i bez słowa przeszła do przebieralni.

- Raczej nie. Jest zbyt zajęty wyplątywaniem się ze swego trzeciego małżeństwa. Poza tym znamy się od lat.

- Ludzie się zmieniają, są nieprzewidywalni. A ty kilka godzin dziennie spędzasz w jego ramionach.

- Taka praca.

- Miła praca, jeśli można wykonywać ją w twoim towarzystwie. Tak czy owak nikomu nie powinnaś ufać.

- Poza tobą.

- Poza mną - przytaknął. - Brewster też najwyraźniej jest pod twoim wrażeniem.

- Brewster? Ten pisarz? - Rozbawiona Chantel wróciła do salonu, zapinając po drodze bluzkę. - Jamesa bardziej interesują bohaterowie jego książek niż ludzie, którzy ich grają. On przebywa w świecie fikcji. Poza tym od dwudziestu lat jest szczęśliwym mężem. Czyżbyś nie czytywał gazet?

- Kolumn towarzyskich nie przegapiam. - Sięgnął z uśmiechem po papierosa, spostrzegł jednak, że Chantel z jękiem usiadła na krześle, łapiąc się za stopę, więc zapytał z niepokojem: - Co się stało?

- Och, zawsze kiedy zdejmuję te przeklęte buty... - skrzywiła się z bólu - ...czuję się, jakbym miała rany na nogach. Uwierz mi, pantofle na wysokim obcasie wymyślił ten sam facet, który wynalazł gorsety i biustonosze z fiszbinami.

- Z jakiegoś powodu kobiety w tym chodzą - mruknął, ukłękął i ujął jej stopę w dłoń. - Czujesz ból w podbiciu?

- Tak, ale... - Chantel chciała zaprotestować, lecz zamilkła, gdy tylko poczuła, jak Quinn z wprawą zaczyna masować jej obolałą stopę. Westchnęła błogo i poprawiła się na krześle. - O, tak, cudownie... Minąłeś się z powołaniem, kolego. Jako masażysta zarobiłbyś fortunę.

- Powinnaś się przekonać, co mogę zrobić z resztą twego ciała.

- Dzięki, zostańmy przy stopie. I pomyśleć, że gdybym była o kilkanaście centymetrów wyższa, albo Sean niższy, większość scen grałabym w butach na płaskim obcasie.

- Muszę przyznać, że sceny miłosne w waszym wykonaniu to majstersztyk. Są bardzo, hm... sugestywne.

- Bo muszą być. W końcu jesteśmy zawodowcami. Ludzie powinni czuć, że naprawdę jesteśmy rozpaleni namiętnością.

- Mhm. Kiedy więc on kładzie ci rękę...

- Doran, zmień płytę! Chcę, byś wykonywał swoją pracę, a nie czepiał się człowieka za to, że dobrze robi to, co robi.

- Po prostu go sprawdzam, skarbie.

- Nie życzę sobie, byś podejrzewał moich przyjaciół i znajomych.

- Jeśli szukałaś faceta, który najbardziej boi się nadebrać komuś na odcisk, to źle wybrałaś.

- Nie musisz mówić. Już dawno doszłam do tego wniosku. - Wyrwała stopę z jego dłoni. - Wystarczy, Quinn, dzięki za masaż. Może teraz sobie już pójdziesz? Zupełnie nie jesteś w moim typie.

- Jasne. - Cała sympatia, jaką czuł do Chantel, wyparowała w jednej chwili. Jej miejsce zajął gniew, który musiał jakoś rozładować. - Ale zanim wyjdę, odbiorę swoją premię, skarbie.

Chwyił ją szybko w ramiona, zanurzył dłoń w jej włosach i przywarł ustami do jej warg. Chantel westchnęła tylko i... poddała mu się bez słowa protestu.

Było jej wstyd. Nie chciała przed sobą przyznać, jak bardzo zareagowała na jego bliskość, szorstkość, łapczywość. Nigdy jeszcze żaden mężczyzna nie wziął jej w ramiona wbrew jej woli.

Żaden nie otrzymał od niej nic, jeśli sama mu tego nie dała. A jednak Quinn Doran trzymał ją w objęciach, a ona nie miała w sobie dość woli, by go odepchnąć. Zamknęła oczy, rozchyliła wargi i napawała się pocałunkiem, który zamieniał jej ciało w żywy ogień.

Quinn również nie poznawał sam siebie. Nie myślał o konsekwencjach, nie kierował się rozsądkiem. Po prostu kiedy ogarnęła go ochota pocałowania Chantel, zrobił to, nie oglądając się na nic. I oto teraz trzymał w ramionach zaskakująco namiętą kobietę o urodzie odbierającej rozum i zmysły. A w miarę jak smakował jej rozkoszne usta, pragnął więcej, coraz więcej.

W końcu odsunął ją od siebie i popatrzył jej w oczy.

- To był bardzo interesujący dzień, skarbie. Nie sądzisz, że warto poprosić Matta, by znalazł ci innego ochroniarza?

Dopiero po długiej chwili dotarł do niej sens tych słów. Chantel natychmiast odzyskała panowanie nad sobą i odparła zimnym tonem:

- W porządku. Skoro skończyłeś już ten swój pokaz męskiej dominacji, to wynoś się. Jeśli usłyszę, że ktoś potrzebuje opiekuna dla swego pudła, przekażę mu twoją wizytówkę.

Odwróciła się doń plecami i w tej samej chwili zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę, zerknęła przez ramię - Quinn otwierał właśnie drzwi. Potrząsnęła ze złością głową i przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Słucham?

Głos po drugiej stronie rozpoznała natychmiast. Tym razem brzmiał o ton groźniej niż dotąd.

- Cały dzień czekałem, by zamienić z tobą kilka słów. Jesteś taka piękna, taka delikatna, taka podniecająca. Masz takie miękkie usta... Mmm... Przez cały dzień wyobrażałem sobie, że wkładam...

- Dlaczego się ode mnie nie odczepisz!? - wrzasnęła rozpaczliwie do mikrofonu. - Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju, ty...!

Chciała cisnąć słuchawkę na widełki, lecz Quinn w ostatniej chwili wyrwał ją z jej dłoni i przyłożył do ucha.

- Nie gniewaj się, cipciu - usłyszał namiętny szept. - Przecież cię kocham. Mogę dać ci szczęście, jakiego dotąd nie zaznałaś...

- Panna O'Hurley jest szczęśliwa bez ciebie powiedział spokojnie. - Naprawdę zakłócasz jej spokój. Nie dzwoń więcej.

Rozmówca zamilkł zaskoczony. Teraz słyszeć było tylko, jak ciężko dyszy.

- Ona ciebie nie potrzebuje - odezwał się wreszcie. - Potrzebuje mnie. Tylko mnie - dodał z desperacją i przerwał połączenie.

Quinn powoli odłożył słuchawkę.

- Myślałam, że już poszedłeś - powiedziała cicho Chantel, odwracając się w jego stronę. Była blada.

- Mogę odejść - odparł - ale... Posłuchaj, nie musimy czuć do siebie sympatii, ale sprawę powinniśmy chyba doprowadzić do końca. Nie lubię zostawiać rozbabranej roboty. Po prostu zapomnijmy o tym, co się zdarzyło, zgoda?

W równym stopniu jak Quinn przeprosin, Chantel nie znosiła kompromisów. Jeszcze bardziej jednak nie chciała zostać sama. Aby więc zadowolić jego dumę, a jednocześnie zaspokoić własne potrzeby, spytała z bladym uśmiechem:

- A czy cokolwiek się zdarzyło?

- Nie - uśmiechnął się lekko. - Nic a nic. A teraz się stąd wynośmy.

ROZDZIAŁ 4

Chantel powinna była być szczęśliwa. Od chwili ostatniego telefonu do studia nic się nie wydarzyło - żadnych listów, żadnych kwiatów, żadnego szeptu w słuchawce. Zamiast jednak podziękować losowi (i Quinnowi) za to, że ma wreszcie spokój, wciąż oczekiwała na kolejny cios. Czuła, że to jeszcze nie koniec, że wciąż czekają wiele niemiłych przygód.

W ciągu tygodnia nawał pracy nie zostawiał jej wiele czasu na rozmyślenia. Przez kilkanaście godzin na dobę wcielała się w postać Hailey i nie miała okazji, by rozważać własne problemy. Gdy jednak nadeszła sobota i nie musiała jak co dzień jechać do studia, wróciły dobrze już znane lęki i niepokoje.

Obudziła się o siódmej. Próbowała przekonać samą siebie, że powinna spać dalej, wykorzystać wolny czas i solidnie wypocząć, jednak przez kolejne piętnaście minut gapiała się w sufit, a natłok myśli nie pozwalał jej ponownie zapaść w sen.

Wreszcie zerwała się z łóżka i przeszła do gabinetu, który przylegał do jej sypialni. Pomieszczenie to było dowodem, że słynna gwiazda filmowa ma całkiem praktyczną naturę i że choć zatrudnia agenta oraz osobistego sekretarza, sama potrafi kierować swym życiem. Starannie zebrane w segregatorach dokumenty, uporządkowana korespondencja, archiwum kontaktów i ofert, osobisty komputer - wszystko to pozwalało jej na bieżąco kontrolować, jakimi akcjami dysponuje, czy honoraria i tantiemy wpływają na jej konto terminowo, czy kontrakty, które podpisała, są realizowane, i czy nadchodzące oferty kolejnych ról warte są zachodu, czy nie.

Podeszła do biurka, rzuciła okiem na terminarz spotkań w przyszłym tygodniu, a następnie sięgnęła po wydruki trzech nowych scenariuszy, które jej nadesłano i które teraz postanowiła przejrzeć.

Wróciła do łóżka, oparła się wygodnie o poduszki, rozłożyła skrypty na kolanach i zagłębiła się w lekturze. O ósmej nacisnęła guzik interkomu i poleciła służbie, by przyniosła jej śniadanie, sama zaś wróciła do czytania.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, była całkowicie pochłonięta akcją przyszłego filmu, która na razie rozgrywała się wyłącznie w jej wyobraźni. Nie podnosząc głowy i nie przestając chichotać (film miał być zwariowaną komedią), poleciła służbie wejść, kiedy jednak drzwi otworzyły się, zamiast pokojówki ujrzała w nich... Quinna.

- Co takiego śmiesznego czytasz? - zapytał.

Poderwała się gwałtownie i szybkim ruchem zasłoniła kołdrą dekolt. Rozbawienie natychmiast zamieniło się w irytację. Tym większą, że Quinn wyglądał tego ranka jeszcze lepiej niż poprzednio.

- Żałuję, że nie naładowałam jednak rewolweru.

- Chcesz strzelać do człowieka za to, że przyniósł ci do łóżka śniadanie?

Przeszedł przez pokój, postawił tacę na jej kolanach, a sam rozsiadł się na łóżku. Miał na sobie bawełniany podkoszulek, sprane dżinsy i wcale nie zwracał uwagi na to, że trzyma adidas na drogiej, ręcznie tkanej kapie.

- Co czytasz? - zapytał, wyciągając nogi i zakładając ręce za głowę.

- Raporty giełdowe.

- Och, ja staram się trzymać od takich rzeczy jak najdalej.

Od poduszek Chantel płynęła upajająca woń - seksowna, egzotyczna, wabiąca. Ona sama wciąż jeszcze miała potargane włosy, które spadały połyskliwą kaskadą na jej ramiona i plecy, a jej twarz nawet w ostrym świetle poranka i bez odrobiny makijażu była bez skazy. Na ramionach miała dwa cienkie ramiączka nocnej koszuli, piersi natomiast zasłaniała jedynie cieniutka koronka. Quinn przypomniał sobie to, czego nie powinien był sobie przypominać - co czuł, kiedy trzymał ją w ramionach i całował do utraty tchu.

- Proszę, częstuj się - mruknęła niechętnie i odsunęła się od niego na bezpieczną odległość.

- Dzięki. - Sięgnął po grzanekę i posmarował ją grubo owocową galaretką. - Mówiłem ci już, że to wspaniałe łóżko?

- Kiedy dostanę rachunek z pralni za kapę, potrączę ci to z honorarium - odparła, zmuszając się do tego, by jej głos brzmiał nieprzyjaźnie i zjadliwie. Nie było to łatwe, zważywszy na bliskość Quinna, jego oddech, który połaskotał jej ramię, gdy on sam pochylał się nad tacą, i wreszcie ten zabójczy uśmiech, który kruszył najgrubsze lody. - Czy masz do mnie jakąś konkretną sprawę? - zapytała obojętnie, sięgając po dzbanek z kawą.

Nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko szerzej, gdy sparzyła wargi kawą, która okazała się zbyt gorąca. Och, naprawdę go nie znosiła! Nie musiała się wcale do tego zmuszać!

- Chciałbym ci zadać głupie pytanie, Chantel - odezwał się wreszcie.

- W sobotę o ósmej? Muszę przeczytać kilka scenariuszy.

- Ciekawe?

- Dosyć. A ten chcę skończyć jeszcze dzisiejszego ranka. Jeśli więc masz do mnie jakieś sprawy...

- Czy w nowym filmie też przeżujesz jakiegoś mężczyznę?

Chantel jęknęła w duchu. Cierpliwości, nakazała sobie. Głupszym od siebie należy okazywać cierpliwość, wyrozumiałość i współczucie.

- Nie. Tym razem to komedia.

- Komedia? - Parsknął śmiechem. - Ty i komedia?

- Doran, nie przeciągaj struny. - Zmarszczyła gniewnie czoło. - Wykrztuś w końcu, po co tu przyszedłeś, dlaczego trzymasz nogi na moim łóżku i podjadasz mi śniadanie?

- Chciałem ci tylko usłużyć. Wyśmienita kawa, nieprawdaż?

- Przekażę twoją opinię szefowi kuchni. A teraz do rzeczy.

- A nie będziesz nic jadła?

- Doran!

- W porządku. - Zdjął z tacy tekturową teczkę i otworzył ją na kolanach. - Mam tu kilka wstępnych raportów. Myślę, że cię zainteresują.

- Jakich raportów?

- O Lanym Washingtonie, Amosie Leerym i Jamesie Brewsterze. Mam też trochę danych na temat faceta od makijażu oraz twego osobistego kierowcy.

- Kierowcy? Sprawdzałeś Roberta? - Chantel w jednej chwili straciła apetyt i ponownie odsunęła się od Quinna. - To najśmieszniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałam.

- Nie czytywałaś nigdy powieści detektywistycznych, skarbie? Przestępcą zwykle okazuje się najmniej podejrzana osoba.

- Powieści! Nie płacę ci za odgrywanie roli Sherlocka Holmesa. Nie będę płacić za śledzenie takich ludzi, jak Robert czy George!

Quinn sięgnął po truskawkę z małego talerzyka i włożył ją sobie do ust.

- Czy nigdy nie zwróciłaś uwagi, jak patrzy na ciebie ten Robert?

Chantel westchnęła ciężko, przy czym nieznacznie uniosła się skrywająca jej piersi koronka, czego Quinn, oczywiście, nie omieszkał zauważyć.

- Kochanie, w taki sam sposób patrzą na mnie wszyscy mężczyźni.

- Owszem. Ponieważ jednak od czegoś musiałem zacząć, zacząłem od tych, z którymi masz do czynienia na co dzień.

- Następny w kolejce będzie więc pewnie Matt, dobrze się domyślam? - uśmiechnęła się ironicznie.

- Bardzo dobrze. - Popatrzył na nią poważnie.

- No nie! Chyba żartujesz? Matt jest przecież...

- Mężczyzną - wpadł jej w słowo. - Sama mówiłaś, że wszystko jest możliwe.

Chantel uniosła tacę i gwałtownie odstawiała ją na szalkę. Z filiżanek chlapnęła kawa.

- Nie chcę tego dłużej słuchać! Nie chcę, byś śledził i obrażał ludzi, których szanuję i na których mi zależy. Matt jest moim najbliższym przyjacielem, rozumiesz? Poza tym sądziłam, że jesteście sobie bliscy.

- Chantel, to sprawa czysto zawodowa.

- Uznajmy więc, że zakończyłaś już tę sprawę. Telefony ustały, nikt nie przysyła mi listów ani kwiatów.

- Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin.

- Dobrze i to. Zapłacę ci jeszcze za dzisiejszy dzień, a potem... - Słowa uwięzły jej w gardle, kiedy zadzwonił stojący obok łóżka telefon. Jak w jakiejś czarnej komedii dzwonił zawsze wtedy, gdy miała właśnie posłać Quinna Dorana do wszystkich diabłów. Nietrudno było się domyślić, czyj głos usłyszy za chwilę w słuchawce.

Chwyciła dłoń Quinna i zacisnęła na niej z całych sił palce.

- Co teraz?

- Odbiorą na dole - mruknął uspokajająco. - Nie wpadaj w panikę, Chantel. Jeśli to on, zachowaj spokój. Naciągnij go na dłuższą rozmowę i jak najdłużej trzymaj na linii. Potrzebujemy trochę czasu, by go namierzyć. - Kiedy rozległ się brzęczyk interkomu, Chantel gwałtownie drgnęła. - Nie bój się, skarbie. Jestem przy tobie. Poradzisz sobie na pewno.

Starając się panować nad głosem, Chantel odezwała się do mikrofonu:

- Tak?

- Panno O'Hurley, dzwoni jakiś mężczyzna. Nie chce się przedstawić, ale twierdzi, że to ważna sprawa. Czy mam powiedzieć, że chwilowo pani nie ma?

- Nie, odbiorę. Dziękuję ci, Marsh. - Podniosła słuchawkę zdrtwiałymi palcami i odezwała się cicho: - Halo?

Quinnowi wystarczyło jedno spojrzenie na Chantel, by pojąć, że po drugiej stronie odezwał się dobrze znajomy szept.

- Trzymaj się - powiedział cicho, ujmując jej wolną rękę. - Pozwól mu mówić. Rozmawiaj spokojnie i odpowiadaj na pytania.

- Tak... Dostałam bukiet... Dziękuję - wykrztusiła Chantel. - Tak, mam twoje listy... wszystkie. Nie, nie jestem zła, tylko... - Zamknęła oczy.

- Wiem, wiem, że mnie kochasz... i to też... ale chciałabym wiedzieć, kim jesteś. Jeśli... - Otworzyła oczy i z wyraźną ulgą odsunęła słuchawkę od ucha. - Rozłączył się.

- Cholera jasna! - Quinn sięgnął szybko po telefon, odebrał jej słuchawkę i nacisnął kilka guzików. - Tu Quinn. Uciekł nam, drań. Cóż, wciąż czekajcie. Rozumiem. Na razie.

- I co? - spytała Chantel, gdy odłożyła słuchawkę na widełki.

- Za krótko. Nie powiedział nic, co dałoby ci do myślenia?

- Nic. - Zadrżała. - To na pewno nie może być nikt z moich znajomych.

- Napij się kawy. - Wlał do filiżanki parujący napój i wręczył ją Chantel.

- Quinn? - Podniosła na niego wystraszone spojrzenie. - On powiedział... że szykuje dla mnie niespodziankę, wielką niespodziankę. Powiedział, że to już niedługo.

- Nie bój się. To moje zmartwienie - pocieszył ją i przygarnął do siebie ramieniem. Cholera, znów czuł się tak, jak za każdym razem, kiedy z powodu innych pakował się w tarapaty. Nigdy nie umiał odmówić bezbronnym i krzywdzonym. W Ameryce Łacińskiej, w Afganistanie, w wielu, wielu innych miejscach. - W końcu za to mi płacisz, skarbie - powiedział, próbując przekonać sam siebie, że tym razem podchodzi do sprawy bez osobistego zaangażowania. Jednak nawet Chantel czuła zapewne, jak żałosne były to próby.

- On chce mnie mieć - wyszeptała, a Quinn jeszcze mocniej ją przytulił. - Czuję to.

- Ze mną będzie miał trudną przeprawę. Dwóch moich ludzi pilnuje domu. Dwóch innych jest non stop na nasłuchu telefonicznym.

- Wiem, ale wciąż się boję. - Odruchowo przywarła do Quinna całym ciałem. - Może dlatego, że ich nie widzę.

- Ale mnie widzisz, prawda?

Nie tylko go widziała, ale teraz także czuła. Tuliła się do jego twardej piersi, gorącej skóry i coraz bardziej jej się zdawało, że czyni to powodowana nie tylko nagłym strachem.

- A może chciałabyś zobaczyć więcej?

- Słucham? - Popatrzyła na niego z nieskrywanym zdumieniem.

- Och, Chantel, lubię to twoje spojrzenie. - Musnął końcem palca jej nos. - Wystarczy, że

popatrzysz na mnie i zmarszczysz gniewnie swój nosek, a już się rozpływam z zachwytu.

- O co dokładnie ci chodzi?

- Dlaczego na jakiś czas nie miałbym się do ciebie wprowadzić? Nie, nie - uspokoił ją szybko, widząc, że cała sztywnieje - nie jest to propozycja matrymonialna, skarbie. Masz po prostu w tym domu dużo pokoi, a ja mógłbym zająć któryś z nich dla twojego bezpieczeństwa. Wprawdzie to łóżko wyjątkowo przypadło mi do gustu, ale trudno, zadowolę się innym. No? Co ty na to? Chcesz mieć współlokatora?

Chantel zmarszczyła brwi. Nie chciała się przyznać, jak bardzo stała obecność Quinna poprawiłaby jej samopoczucie. Nie chciała nawet zgadywać, o czym myślałaby wieczorami, wiedząc, że za którąś ze ścian układa się do snu on - jej obrońca i prześladowca w jednej osobie. Ale przecież rezydencja jest rzeczywiście wystarczająco obszerna, by nie wchodzili sobie w drogę, myślała. Jeśli tylko zapomni o tamtym palącym pocałunku...

No właśnie. Czy będzie w stanie zapomnieć?

- Może raczej powinnam kupić szkolonego psa?

- powiedziała.

- Jak wolisz.

Och, Boże, musiała podjąć decyzję, która mogła okazać się najgorszą decyzją jej życia. Albo najlepszą.

- Dobrze. Przynieś swoje rzeczy, Doran - odezwała się ostatecznie i od razu poczuła się lepiej.

- Znajdziemy dla ciebie jakiś kątek do spania. Powiedz tylko, ile dodatkowo będzie mnie to kosztowało.

- No... Na śniadanie na przykład nie wystarczy mi miseczka ze świeżymi owocami. Poza tym wszelkie wygody... A ponieważ muszę też poświęcić własne życie towarzyskie... w sumie dodatkowo dwieście dolarów.

- Dwieście dolarów! Nie sądzę, żeby twoje życie towarzyskie warte było więcej niż pięćdziesiąt. Chyba że wliczasz w to również wizyty w salonach masażu!

- A co ty możesz wiedzieć o salonach masażu?

- Tyle, co widziałam w kinie - odparła, przesyłając mu krzywe spojrzenie.

- Może więc mi zademonstrujesz, co widziałas?

- zapytał, zsuwając jej z ramienia koszulę nocną.

- Albo ja tobie, jeśli nie pamiętasz...

- Dzięki za dobre chęci - odsunęła się, poprawiła ramiączko i zasłoniła twarz scenariuszem. - Nie sądzę, żebyś mógł mnie czegokolwiek nauczyć.

Quinn zajrzał jej w oczy znad kartek papieru i śmiało zsunął ramiączko z drugiego ramienia.

- Niech pan uważa, gdzie pan stawia nogi, panie Doran - ostrzegła go.

- Patrząc pod nogi, można przegapić wiele ciekawych krajobrazów - odparł.

Znów pragnął jej dotknąć, poczuć pod palcami gładką jak aksamit, ciepłą skórę; widzieć, jak ciemnieją jej oczy z gniewu, który miesza się z rozkoszą...

Brak wyraźnego protestu z jej strony ośmielił go. Quinn chwycił jej rękę, wyjął z dłoni oprawiony maszynopis, nachylił się nad jej twarzą. I znów zamiast się odwrócić, Chantel śmiało poparzyła mu w oczy. On zaś uwielbiał takie wyzwania.

Pochylił usta w stronę jej ust, nie pocałował ich jednak, a wówczas Chantel drgnęła zaskoczona. Po chwili chwycił lekko zębami jej dolną wargę i rozpoczęli grę w pytania i odpowiedzi, zachęty i napomnienia.

Chantel wiedziała, że w każdej chwili może go powstrzymać. Tracę, jej brat, nauczył ją kiedyś, jak bronić się przed zbyt natrętnymi przedstawicielami płci brzydkiej. Wystarczyło zadać celny cios kolaniem, a ten pewny siebie macho zwijałby się z bólu, nie mogąc złapać tchu. A jednak nie zdobyła się na tai krok. Leżała nieruchomo, słuchała własnego ciała, a ta bezwolność i oddanie całej władzy nad sobą w ręce Quinna sprawiało jej zaskakującą przyjemność.

Nie spodziewała się po sobie takiej reakcji, takich pragnień. Sądziła, że wyzbyła się ich przed laty, kiedy to słuchając głosu serca i zmysłów, zawiodła się srodze i straciła wszelką ochotę na męsko - damskie rozgrywki. Teraz więc nie poznawała samej siebie. To śmieszne - czuła się tak, jak bohaterki scen miłosnych, których tyle odegrała w swojej karierze, zupełnie jakby filmowa fikcja stała się nagle rzeczywistością. Naprawdę płonęła, naprawdę odrzucała głowę do tyłu, naprawdę paliło ją pożądanie i naprawdę chciała szeptać jego imię i zanurzać dłonie w gęste fale ciemnych włosów...

To niemożliwe, myślał Quinn. Niemożliwe, żeby tak reagowała na jego pieszczoty. Niemożliwe, by była spontaniczna, zachłanna i szczerą niczym zakochana nastolatka, a nie demoniczna *femme fatale* o wystudiowanych gestach i wyćwiczonych minach.

Do licha, jeśli to tylko gra, to Chantel jest znakomitą aktorką. A może nie? Może wcale

nie udaje?

Nie potrafił zebrać myśli. Uczyniła z nim coś, czego nie powinna była uczynić. Sprawiała, że w jednej chwili zapomniał o wszystkim i o wszystkich.

A przecież powinien wiedzieć, że jest tylko jednym z mężczyzn, który stracił głowę dla Chantel. Ta kobieta miała w sobie niezwykłą moc, potrafiła każdego mężczyznę zniewolić, odebrać mu władzę, sprawić ból, opętać duszę, ciało i wolę. Czy nie był w tej chwili podobny do tamtego szaleńca, który nękał ją przez telefon? Czy podobnie jak tamten nie stał się jej ofiarą?

Nie, nie może na to pozwolić. Musi myśleć wyłącznie o dwóch rzeczach, dwóch podstawowych obowiązkach: żeby ochronić ją i żeby zadbać o samego siebie.

Czując, że tonie, gwałtownie odsunął się od Chantel.

- Masz zbyt białą skórę, skarbie - mruknął, obrzucając tęsknym wzrokiem jej nagie ramiona i przeklinając się w duchu, że tak łatwo dał się im uwieść. - Ubierz się i dołącz do mnie przy basenie. Tam powiem ci wszystko, czego się dowiedziałem.

Dźwignął się szybko na nogi, zabrał ze sobą teczkę z informacjami i po chwili Chantel została sama. Chciało jej się płakać - ze złości, ale też z żalu, że jedyny mężczyzna, który zdołał obudzić w niej uspięne zmysły, bawi się z nią i traktuje jak kobietę pozbawioną zasad. I że pewnie nigdy nie uwierzy, iż ona naprawdę pragnie przyjaźni, czułości i ciepła.

Quinn poruszał się w wodzie jak ryba - płynnie, szybko i bezszelestnie. Chantel stanęła na skąpanym w słońcu patio i podziwiała jego wyćwiczone mięśnie, grające pod opaloną skórą przy każdym wymachu ramion i odepchnięciu wody nogami. On tymczasem wyładowywał swą energię, swą złość i nierozładowane napięcie, i płynął tak szybko, jakby od tego zależało jego życie. Dopiero gdy pokonał trzydzieści długości basenu, poczuł się nieco lepiej i uznał, że może ponownie stawić czoło Chantel O'Hurley.

Stał w płytkiej wodzie, odgarnął z twarzy kosmyki mokrych włosów, a potem dźwignął się na brzeg. Zatrzymał się obok Chantel i obrzucił szybkim wzrokiem jej smukłe ciało oraz długie, kształtne nogi.

- Wyglądasz wspaniale, skarbie - zauważył.

- Wszyscy mi to mówią. - Podniosła leżący na ziemi ręcznik. - A ty, jak widzę, czujesz się tu jak w domu. - Rzuciła mu ręcznik, ale on założył go tylko na szyję, pozwalając, by skóra sama mu wyschła w promieniach słońca.

- Wspaniały basen - powiedział. - Powinnaś częściej go używać. Pływanie poprawia

kondycję.

- O moją kondycję się nie martw. Zdaje się, że do czego innego cię wynajęłam. Dużo mi zajmiesz czasu? Muszę jeszcze odwiedzić manikiurzystkę.

- Zdamy.

- My? - Chantel nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. - Zupełnie nie wyobrażam sobie ciebie w eleganckim salonie kosmetycznym.

- Bywałam w gorszych miejscach. - Uniósł lekko twarz, wystawiając ją do słońca. - Masz jeszcze jakieś plany na dzisiaj?

- Chcę połączyć po sklepach na Rodeo Drive i odpowiedziała tylko po to, by jeszcze bardziej skomplikować sytuację. - Później zjem lunch w „Ma Maisone” albo w „Bistro”. - Wsparła głowę na dłoni. - Poza tym od ładnych kilku dni z nikim się nie widziałam. Czy masz jakieś stosowne ubranie?

- Znajdzie się. Później czeka nas już tylko bankiet dobroczynny, prawda?

Z twarzy Chantel zniknął nagle słodki uśmiech.

- Skąd o tym wiesz?

- To moja praca. - Choć Quinn wszystkie ustalenia znał na pamięć, wyjął notes i ostentacyjnie zaczął go kartkować. - Moja sekretarka skontaktowała się już z Seanem Carterem i powiadomiła go, że dziś wieczorem towarzyszyć ci będzie ktoś inny.

- Niech zatem jeszcze raz się z nim skontaktuje i to odwoła. W promocji filmu niezbędny jest udział mój i Seana. Musimy utrzymywać przyjazne stosunki i pokazywać się razem poza planem.

- A więc chcesz się znaleźć w limuzynie o przyciemnionych szybach sam na sam z mężczyzną, który być może...

- To z całą pewnością nie jest Sean! - przerwała mu zdecydowanie i sięgnęła po paczkę papierosów, którą położył na stoliku.

- No dobrze, rozegramy to inaczej. Zabiorę cię na to przyjęcie i tam, pod moim okiem, będziesz mogła pościskać się trochę przed kamerami z tym swoim Seanem, zgoda? No a jakie masz plany na jutro?

- Przecież to też już sprawdziłeś. - Chantel wzruszyła ramionami.

- Owszem. - Quinn z anielskim spokojem otworzył teczkę. - O trzynastej masz spotkanie z dziennikarzem i fotoreporterem z „Lifestyles”. Wywiad na temat ciebie i twojego domu. To

chyba wszystko.

- Zgadza się. Jeszcze tylko trochę prac domowych, a potem sen, sen i jeszcze raz sen. Od poniedziałku znów wracam do kieratu.

- Matt miał rację, mówiąc, że jesteś bardzo praktyczna. - Quinn westchnął, po czym przewrócił pierwszą stronę w tekturowej teczce. - Lany Washington... - zaczął znużonym głosem.

- Pozornie wygląda na to, że jest czysty. Ukończył Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles. Wydział zarządzania. Zawsze interesował się teatrem i aktorstwem, ale głównie od strony organizacyjnej.

- Dlatego go zatrudniłam.

- Mniej więcej pół roku temu miał poważne przejścia ze swoją przyjaciółką ze studiów. Rzuciła go. Bardzo atrakcyjna blondynka o niebieskich oczach - dodał i spojrzał na nią znad dokumentów.

- Wiele jest blondynek na świecie. I wiele studenckich par się rozchodzi.

- Amos Leery - powiedział Quinn, nie zwracając uwagi na jej słowa. - Czy wiedziałaś, że rozszedł się z pierwszą żoną, ponieważ nieustannie ją zdradzał?

- Wiem. Pięćdziesiąt lat temu.

- George McLintoch...

- Doran, to żalosne - przerwała mu. - Nawet jak na ciebie.

- Specjalista od makijażu z trzydziestoletnim stażem - mówił dalej, nie zrażony jej protestami.

- Ma pięcioro wnucząt, dwoje kolejnych jest w drodze. Przyjdą na świat jesienią. Kilka lat temu umarła mu żona, ale to nie ostudziło jego zamiłowania do kobiecych wdzięków.

- Naprawdę wystarczy. - Chantel wstała i podeszła do basenu. Woda była gładka i krystalicznie czysta, jak jeszcze kilka tygodni temu jej życie.

- Nie mam zamiaru wysłuchiwać, jak prowadzisz tę wiwisekcję. Ta twoja praca polega w istocie na grzebaniu w cudzych brudach.

- Zgadza się - przyznał z niewzruszoną miną.

- Teraz James Brewster... Prowadzi bardzo ustabilizowane, rodzinne życie. Ożenił się w wieku dwudziestu jeden lat. Jego syn studiuje prawo. Interesujące, że pan Brewster od ponad dziesięciu lat odwiedza psychoanalitka.

- W tym mieście każdy chodzi do psychoanalitka.

- Ty nie.

- Ale zacznę, jeśli dłużej będę przebywać w twoim towarzystwie.

Uśmiechnął się i przewrócił kolejną kartkę.

- Twój szofer, Robert. Interesująca postać. Młodziutki Robert DeFranco ma cały szereg panienek.

- Dokładnie tak jak ty.

- Nic na to nie poradzę, lecz podziwiam jego wigor. Matt Burns...

Chantel gwałtownie odwróciła się w jego stronę. Tym razem na jej twarzy malował się już nie gniew, lecz odraza.

- Jak możesz? - powiedziała cicho. - Przecież to twój przyjaciel.

Quinn zawahał się, poczuł w sobie nagły opór przed kontynuowaniem swej opowieści.

- Wiem - powiedział - ale tak właśnie wykonuję swoją pracę.

- Czy ta praca polega na wtykaniu nosa w prywatne życie ludzi, których powinieneś chronić?

- Chronię klientów, którzy mi za to płacą - odparł, nie spuszczając z niej wzroku. - Na tym polega mój fach.

- A więc całą tę wiedzę zostaw dla siebie. Nie jestem ciekawa, czego dowiedziałeś się o Matcie.

Nie mógł pozwolić sobie na to, by pod jej wpływem żałował tego, co zrobił. A zrobił coś gorszego, dużo gorszego, niż myślała. Zastanawiał się tylko, jaką by miała minę, gdyby się o tym dowiedziała.

- Musisz brać pod uwagę wszystkie możliwości, Chantel.

- Nie, to tyje musisz brać. Dostajesz za to siedemset dolarów dziennie. To twoje zadanie odnaleźć mężczyznę, który mi grozi, a zanim go znajdziesz, zapewnić mi bezpieczeństwo.

- Dokładnie to robię.

- Świetnie. Pozwól więc, że będziesz mi mówił tylko o tym, ile jestem ci winna. Chcę znać twoje rachunki, resztę zachowaj dla siebie.

Zawróciła gwałtownie w stronę domu, lecz Quinn zastąpił jej drogę.

- W porządku, ale pamiętaj, że telefony mogą pochodzić od kogoś, kogo znasz, i to znasz bardzo dobrze. Tak podpowiada mi instynkt, a wierz mi, że miałem już sprawy tego typu. On naprawdę będzie chciał cię dopaść. Po prostu uważaj, Chantel. Dopóki go nie namierzemy,

musisz mnie słuchać.

- Dobrze, Doran. Będę cię słuchać. Ale nie chcę, żebyś wtajemniczał mnie w te wszystkie bzdury.

ROZDZIAŁ 5

Chantel nie uśmiechała się perspektywa wspólnego z Quinnem uczestnictwa w dobroczynnym bankiecie. Za to on bawił się wyjątkowo dobrze. Zanim uroczystość się skończyła, zdążył zaprzyjaźnić się i wypić bruderszaft z najpopularniejszym aktorem roku oraz przetańczyć wiele tańców z trzykrotną laureatką Oscara. Wiekowa aktorka poklepała później Chantel po kolanie i oświadczyła po przyjacielsku, że znacznie poprawił jej się gust w kwestii doboru mężczyzn. Chantel trudno było słuchać spokojnie podobnych wyznań. Pocięszała się jedynie tym, że przez cały wieczór jej partner zachowywał się bez zarzutu i nie popełnił żadnej gafy.

W niedzielę - dość nieoczekiwanie - usunął się dyskretnie w cień i zostawił ją samą. Gdy pojawili się dziennikarze, udzieliła im wywiadu, po czym oprowadziła po domu, by reporter mógł wykonać kilka zdjęć. Później oddała się lekturze scenariuszy, wzięła kąpiel w jacuzzi, nadrobiła zaległości w korespondencji oraz załatwiła kilka niecierpiących zwłoki spraw związanych z jej funduszami, ulokowanymi na rynku papierów wartościowych.

W poniedziałkowy rano przystąpiła do pracy wypoczęta i pełna animuszu. Poprzedniego wieczoru skończyła czytać scenariusz komedii, w której proponowano jej główną rolę, i była nim zachwycona. Już o szóstej rano wyrwała Matta z głębokiego snu, by przyjął w jej imieniu propozycję producenta i zajął się sprawami dotyczącymi kontraktu. W limuzynie spojrzała na siedzącego obok niej Quinna, pełna życzliwości i dobrej woli. W uznaniu jego zbawiennej nieobecności, którą łaskawie ofiarował jej wczoraj, gotowa była zmienić o nim swoją opinię. Jednak Quinn nie wydawał się poruszony jej ciepłym uśmiechem. Co więcej, zdaje się, że w ogóle na nią nie patrzył. Nogi trzymał wyciągnięte, oczy skryte za ciemnymi okularami. Wzdychał ciężko raz po raz i najwyraźniej od soboty się nie golił. Mimo to wyglądał, jak zwykle, atrakcyjniej od niejednego filmowego amanta. Ot, taki Clint Eastwood w westernowej roli.

- Ciężka noc? - zagadnęła.

Otworzył jedno oko, lecz zaraz z powrotem je zamknął.

- Poker - odburknął znużonym głosem.

- Grałeś w nocy w pokera? Nie wiedziałam, że wychodziłeś.

- W kuchni - mruknął, marząc o filiżance kawy.

- W mojej kuchni? - Chantel zmarszczyła brwi z oburzeniem. - Z kim?

- Z ogrodnikiem.

- Z Rafaelem? Przecież on zna tylko kilka słów po angielsku.

- Czy trzeba znać angielski, by wiedzieć, że fuli jest wyższy od strita?

- Rozumiem. - Na ustach Chantel pojawił się lekki uśmiech. - Graliście w kuchni w pokera i upiliście się przy tym, ty i Rafael...

- ...i Marsh - uzupełnił.

- Co takiego? - Ręka, którą Chantel sięgała po szklankę, zawisła nagle w powietrzu. - Marsh grał w karty? Mój Marsh? Jak mogłeś? Marsh ma osiemdziesiąt trzy lata! Nie wstyd ci tak go wykorzystywać?

- Ograł mnie na osiemdziesiąt trzy dolce, stary cwaniak...

- I dobrze ci tak - odparła z zadowoleniem. - Kokosisz się w mojej kuchni, żłopiesz piwsko, palisz papierochy, plotkujesz o kobietach, a ja jeszcze ci za to płacę! A moje bezpieczeństwo?

- Przecież spałaś.

- Skąd wiesz? A zresztą jakie to ma znaczenie? Płacę ci nie za grę w karty, ale żebyś nie spuszczał mnie z oka.

- Nie spuszczałem.

- Doprawdy? Dziwne. Ani razu cię nie widziałam.

- Twoja sprawa. Byłem w pobliżu. Czytałaś, taplałaś się w jacuzzi...

- Słucham?

- Siedziałaś w wannie dobrą godzinę. - Wyjął z jej ręki szklankę z sokiem i dopił w nadziei, że zniknie ból, palący mu gardło. - Myślałem, że robisz to z reguły w kostiumie kąpielowym, ale pewnie żadnego nie mogłaś znaleźć.

- Podglądałeś mnie!

Oddał jej szklankę i ponownie rozparł się w samochodowym fotelu.

- Za to mi płacisz.

- Nie za to! - krzyknęła ze złością Chantel. - Swoje lubieżne zachcianki zaspokajaj sobie w wolnym czasie!

- Skarbie, kupiłaś cały mój czas.

- Sama nie wiem po co. ~ Odwróciła głowę do okna i resztę drogi do studia przebyli w milczeniu.

Tego dnia kręcono sceny w plenerze - kolejna odmiana po kolejowej stacji i olbrzymiej sali balowej. Jednak z największą niecierpliwością Chantel wyczekiwała chwili, gdy cała ekipa przeniesie się na wschodnie wybrzeże, gdzie miała być kręcona kolejna część ujęć. Może uda jej się odwiedzić Maddy i przy odrobinie szczęścia obejrzeć jej występ na Broadwayu?

Boże, to byłoby cudowne!

Myśl o możliwym spotkaniu z siostrą wprawiła ją w dobry nastrój, którego nie zdołało zepsuć nawet godzinne opóźnienie spowodowane przez techników, instalujących dodatkowe, mikroskopijne mikrofony przy jej ubraniu.

- O rany, zupełnie jakbym trafił w środek Nowej Anglii - odezwał się Quinn, rozglądając się po dekoracjach tuż przed rozpoczęciem zdjęć.

- Dokładnie do Massachusetts - wyjaśniła Chantel i wsunęła do ust kęs słodkiej bułeczki.

- Byłeś tam kiedyś?

- Urodziłem się w Vermont.

- A ja urodziłam się w pociągu. - Ponownie odgryzła kawałek bułki i wybuchnęła śmiechem. - No, prawie. Kiedy na moją matkę przyszedł czas, rodzice byli właśnie w drodze na kolejne przedstawienie. Zatrzymali się na najbliższej stacji i tam przyszłam na świat. Ja i moje siostry.

- Masz siostry?

- Mhm. Jestem najstarszą z trojaczek.

- A więc jest was trzy? Trzy takie same? Dobry Boże!

- Nie do końca, panie Doran. Jesteśmy trojaczkami, ale każda z nas jest inna. Abby mieszka w Wirginii, lubi naturę i przestrzeń, hoduje konie i zajmuje się swoimi dziećmi. Maddy natomiast uwielbia śpiewać i tańczyć, aktualnie robi karierę na Broadwayu.

- Widzę, że wszystko o nich wiesz.

- To prawda. Mam też brata. Trudno powiedzieć, co właściwie robi, bo tego nie wie nikt. Może został zawodowym żigolakiem, a może przemytnikiem, który szmugluje drogie kamienie? Fajny gość, trochę podobny do ciebie... To znaczy, chciałam powiedzieć, że szybko znalazłbyś z nim wspólny język. - Odwróciła wzrok, by popatrzeć na jednego z rekwizytorów, który przeniósł pod pachą półtonowy na oko gład, i szybko zmieniła temat: - Zdumiewające, prawda?

- Styropianowe kamienie? - uśmiechnął się i zaczął przyglądać się ustawionym w wielkich donicach drzewom. - Czy nie ma tu nic prawdziwego?

- Niewiele. Daj im kilka godzin, a stworzą sztuczną dżunglę w Kongo. Nie do poznania! - Przeciągnęła się leniwie i zamieszała w szklance lód. - Te dekoracje są konieczne. Zdjęcia w plenerze zawsze nastreczają wiele problemów.

- Na przykład z pogodą? Pewnie czasem długo trzeba na nią czekać.

- Nie jest to praca dla niecierpliwych. Bywa, że wracam do garderoby i godzinami czekam na to, by odbyć pięciominutową sesję. Innym razem tyram bez przerwy czternaście godzin na dobę.

- Dlaczego więc to robisz? Dla pieniędzy?

- Zawsze chciałam to robić. - Wzruszyła ramionami. Nikt nigdy nie zadał jej tego pytania. Było pozornie proste i głupie, a jednak... - Gdy bytom mała, tęskniłam za wielką sceną i prawdziwą sławą. Wtedy zdecydowałam, że zostanę gwiazdą.

- Zatem zawsze chciałaś być aktorką? Chantel odrzuciła włosy i uśmiechnęła się.

- Zawsze nią byłam. Chodziło o wielki sukces.

- No i dopięłaś swego.

- Dopięłam. A ty? Czy zawsze chciałaś zostać... tym kim jesteś?

- Zawsze chciałem być młodocianym przestępcą; i udało mi się to znakomicie.

- Brzmi intrygująco. - Rzeczywiście, Quinn Doran intrygował ją coraz bardziej i gdyby nie wstydziła się tego, zarzuciłaby go pytaniami, które w istocie musiała dobierać i cenzurować. - Dlaczego więc nie trafiłeś do więzienia?

- Zaciągnąłem się do armii. - Wyszczrzył zęby, jakby coś bardzo go rozbawiło.

- Rozumiem. Wojsko potrafi zrobić z chłopaka mężczyznę.

- Coś w tym rodzaju. W każdym razie tam zrozumiałem, w czym naprawdę jestem dobry.

No i uniknąłem pierdła.

- A w czym jesteś dobry? - spytała, a wówczas Quinn szybko odwrócił głowę. - Dobrze, zapomnij o tym. Matt mi mówił, że masz jakieś tajemnice. Porozmawiajmy o czym innym. Jak długo byłeś w wojsku?

- Nie powiedziałem, że byłem w wojsku.

- Zaciągnąłeś się.

- Do tajnych służb. Chcesz kawy?

- Nie. Jak długo dla nich pracowałeś.

- Za długo.

- I pewnie tam nauczyli cię nie odpowiadać bezpośrednio na pytania.

- Tam. - Ponownie się uśmiechnął, po czym wyciągnął rękę i dotknął włosów Chantel. -
Lubię cię w tej fryzurze. Wyglądasz jak dziecko.

Choć sama tego nie chciała, serce zabiło jej mocniej. Ostatecznie tylko ją dotknął, ostatecznie było to tylko kilka słów i jedno życzliwe spojrzenie...

- Taką mam rolę - odezwała się po chwili. W tej scenie mam dwadzieścia lat, jestem niewinna, pełna entuzjazmu i naiwna... no i mam właśnie stracić dziewictwo.

- Tu?

- Nie, tam. - Wskazała niewielką polanę, którą tworzyli właśnie między drzewami dekoratorzy. - Brad jest zwykłym szubrawcem i uwodzi mnie, obiecując dozgonną miłość. Wykorzystuje mnie, a ja daję się zwodzić, bo widzę w nim to samo piękno, które zachwyca mnie w malarstwie, w sztuce. Rozumiesz, dla niego to seks z napaloną małolatą, a dla mnie metafizyka i dzieło sztuki...

- I to wszystko na oczach tych ludzi?

- Uwielbiam widownię.

- A wpadłaś w złość tylko dlatego, że obserwowałem cię w kąpielni!

- To co innego...

- Chantel, wszystko gotowe! - przerwał im głos z planu. Skinęła głową asystentowi, po czym wstała z krzesła i wskazała je Quinnowi.

- Rozsiądź się wygodnie i popatrz sobie na to kino - powiedziała. - Może się czegoś nauczysz.

Zaczęło się jak podczas prób - Chantel siedziała na kamieniu i coś szkicowała. Po chwili pojawił się Sean, przystanął nad nią i przez chwilę uważnie się jej przyglądał. Kiedy Chantel uniosła głowę i spostrzegła jego obecność, Quinnowi zaschło w ustach. W tym spojrzeniu było wszystko, o czym mógł marzyć mężczyzna - miłość, ufność, oddanie, pożądanie. Gdyby jakaś kobieta popatrzyła na niego w ten sposób, byłby gotów wygrywać dla niej wojny i równać góry.

A przecież nigdy nie pragnął miłości. Miłość niewoliła człowieka, sprawiała, że myślał o kimś innym zamiast wyłącznie o sobie. Zabierała więcej niż ofiarowywała. O tym wiedział i tego był pewien - ale tylko do chwili, kiedy ujrzał ufne i szczere oczy Chantel.

To jedynie film, napominał się zawzięcie. Rozświetlone miłością oczy Chantel to taka sama fikcja, jak ten las w doniczkach i styropianowe głązy. To wymysł autora scenariusza,

reżyserska sztuczka, niepospolity talent do udawania znakomitej aktorki. Jednocześnie zaś wszystko to zdawało się tak prawdziwe, tak naturalne, że kiedy Sean przygarnął Chantel do siebie, a ona zadrżała w jego objęciach i zapewniła go słodkim głosem o swej miłości, Quinn wbił zaciśnięte pięści w kieszenie marynarki. Gdy zaś jej twarz obsypana została chciwymi pocałunkami, poczuł zazdrość i gniew.

Widział, jak Sean rozpina guziki jej bluzki, widział oczy Chantel wpatrzone z uwielbieniem w kochanka, jego owłosiony tors, jej nagie piersi, źrenice otwarte szeroko z rozkoszy, rumieńce na twarzy...

- Cięcie! - zawołał reżyser, zanim para filmowych kochanków osunęła się na trawę.

Quinn gwałtownie wrócił do rzeczywistości. Patrzył, jak Chantel podnosi się z ziemi i mówi coś do Cartera, który z kolei wybucha tubalnym śmiechem; jak poprawia na sobie stanik bez ramiączek, podciąga obszerne, workowate dżinsy; jak Lany podnosi z ziemi porzuconą bluzkę i zarzuca ją jej na ramiona.

- Powtórzmy tę scenę - poprosiła Mary Rothschild. - Pamiętaj, Chantel, gdy już ściągniesz z niego koszulę, masz unieść głowę i pocałować go w tors. Długi, namiętny pocałunek. Dopiero potem osuwacie się na trawę.

Quinn ochłonął mniej więcej przy piątym ujęciu - i dopiero wtedy zaczął uważnie obserwować twarze zgromadzonych na polanie ludzi. Szukał wzrokiem kogoś, kto patrzy na Chantel inaczej niż wszyscy, kto nie przygląda się jej okiem zawodowca, lecz pożera ją oczyma wypełnionymi żądzą i zazdrością. Dokładnie tak jak on przed chwilą.

Musiał znaleźć jej prześladowcę, i to szybko. Zanim sam się w niej zakocha, zanim popadnie w obłęd z jej powodu.

Do końca sesji nie dostrzegł nic podejrzanego. Dopiero po zakończeniu ostatniego ujęcia jego uwagę zwrócił asystent reżysera, który podszedł do Chantel, objął ją ramieniem i zaczął szeptać coś do ucha. Zanim dotarli do przyczepy kempingowej, w której mieściła się prowizoryczna garderoba, Quinn zastąpił im drogę.

- Dokąd idziesz, skarbie?

Chantel popatrzyła na niego krzywym wzrokiem, lecz powstrzymała gniew.

- Chcę chwilę odpocząć. Amos zarządził krótką przerwę. Amos, musisz wybaczyć Quinnowi. On jest troszeczkę... zaborczy.

- I wcale mu się nie dziwię. - Dobroduszny i trochę zbyt tęgi w pasie Amos poklepał

Chantel po ramieniu. - Byłaś fantastyczna, po prostu fantastyczna. Zawołamy cię, gdy przyjdzie pora na bliskie ujęcia. Na razie masz pół godziny przerwy.

- Dzięki, Amos. - Odczekała, aż asystent odejdzie, i dopiero wtedy odezwała się do

Quinna: - Więcej tego nierób!

- Czego?

- Brakowało ci jeszcze noża w zębach - warknęła, otwierając drzwi przyczepy. - Mówiłam już, że Amos jest nieszkodliwy. On tylko...

- Ma nawyk obmacywania kobiet. A jedną z nich jest moja klientka.

Chantel wyciągnęła z lodówki butelkę z wodą i ciężko usiadła na kanapce.

- Gdybym nie chciała, żeby mnie dotykał, nie dotykałby. Nie pierwszy raz pracuję z Amosem. I jeśli tylko nie będziesz zachowywać się jak skończony bałwan, nakręcimy wspólnie jeszcze niejeden film.

Quinn też zajrzał do lodówki i ku swemu zadowoleniu dostrzegł w niej piwo.

- Posłuchaj, skarbie, nie zamierzam zawęzać kręgu podejrzanych tylko dlatego, że tak ci się podoba. Najwyższy czas, abyś przestała udawać, że nie wierzysz, by osoba, która cię prześladowuje, należała do kręgu twoich bliskich.

- Niczego nie udaję.

- Udajesz. - Wziął tęgi łyk piwa, po czym przysiadł obok niej. - I to udajesz dużo gorzej niż przed kilkoma minutami, gdy tarzałaś się z tym facetem po trawie.

- To moje życie i moja praca.

- Tak jest. - Ujął ją za podbródek. - A znalezienie tego zbrojnego - moja. Aha, jeśli ma cię to uspokoić, skreśliłem Cartera z listy podejrzanych.

- Seana? - spytała z wyraźną ulgą. - Dlaczego?

- Jeśli mężczyzna jest opętany na punkcie kobiet... a chyba zgadzamy się, że ten szepczący koleś ma niezłego świra...

- Na pewno.

- No więc gdybym to ja był takim świrem, nie otrząsnąłbym się tak łatwo z kurzu i nie poszedł sobie w siną dal po spędzeniu połowy dnia z na wpół nagą kobietą, która śni mi się po nocach.

- Tylko tyle? - Chantel wyciągnęła się wygodnie na poduszkach i rozprostowała nogi. - Nie wymagało to jakiejś karkołomnej dedukcji.

- Powiedzmy, że także odrobinę intuicji.

- A co sądzisz o samej scenie?

- Powinni puścić na polanę mgłę.

- Och, daj spokój! - Podniosła do oczu butelkę i przez chwilę obserwowała rosę na szkle. -

Seks w tym filmie to kwestia drugorzędna. Chodzi o zderzenie dwóch światów - brutalnego, cynicznego, pragmatycznego i świata szlachetnych ideałów. Hailey patrzy na świat oczami ufnego dziecka, jest zachwycona życiem, to spotkanie to dla niej nie jakieś obłapianie się na trawie, ale czysta poezja. Nagość, seks, szelest trawy pod jej plecami mają drugorzędne znaczenie.

- Ale dzięki temu szelestowi będą sprzedawać się bilety.

- Nie bilety. To film telewizyjny. Już nam zapłacono. Do Ucha, Quinn, włożyłam w tę scenę całą duszę. To punkt zwrotny w życiu Hailey. Gdyby...

- Okay, byłaś dobra - przerwał krótko i Chantel wlepiła w niego zdumiony wzrok.

- Możesz to powtórzyć?

- Powiedziałem, że byłaś dobra. Ale to nie ja przyznaję Oscary, skarbie.

Podciągnęła kolana pod brodę i oparła na nich głowę.

- Jak dobra?

- Cholernie dobra. Tak dobra, że miałem ochotę zdefasonować buzię temu Carterowi.

- Naprawdę? - Zadowolona zagryzła dolną wargę. Nie miała zamiaru mówić mu, jak wiele znaczyła dla niej jego pochwała. - Ale kiedy? Przed kamerą czy później?

- Przed, w trakcie i później. - Nieoczekiwanie chwycił ją za bluzkę. - I nie kuś losu, skarbie. Wiem, że robisz sobie ze mnie żarty, ale ja mam zwyczaj brać to, co mi się podoba.

- Masz też niewątpliwą klasę, Doran - powiedziała, strącając jego dłoń. - Bardzo niską klasę.

- Przecież zatrudniłaś goryla. Czego się spodziewasz?

- Jednak czegoś więcej.

- Och, dzięki za uznanie. No więc musisz wiedzieć, koteczku, że oprócz gapienia się na wasze obmacywania...

- Quinn! Myśmy bardzo ciężko pracowali!

- ...rozglądałem się uważnie wokół i dostrzegłem kilka interesujących rzeczy.

- Co konkretnie?

- Na przykład to, że Brewster wypalił pół paczki papierosów, podczas gdy ty i Carter z zapalem... pracowaliście.

- Ach, on jest po prostu bardzo nerwowy. Widywałam pisarzy, którzy przy filmowaniu swych powieści zachowują się dużo gorzej.

- A ten Lany pełzał prawie na kolanach, by przyjrzeć się wam dokładniej.

- Na tym polega jego praca.

- I prawie udławił się własnym językiem, kiedy Carter ściągnął z ciebie bluzkę.

- Och, przestań! - Gwałtownie podeszła do okna. Miała niewiele czasu na odpoczynek i nie mogła pozwolić, by słowa Quinna wyprowadziły ją z równowagi. - Wszystkich się czepiasz.

- Okropny jestem, prawda? A co gorsza, właśnie przyszła mi do głowy kolejna myśl. - Rozparł się na kanapie i poczekał, aż Chantel odwróci się w jego stronę. - Nie pojawił się jeszcze Matt. To dziwne. Czyż nie jesteś jego główną klientką?

Chantel przyglądała mu się długi czas.

- Zniechęcisz do mnie wszystkich - odezwała się w końcu. - Dosłownie wszystkich.

- Zgadza się. - Przełknął ślinę, by usunąć z ust gorzki smak. - Chwilowo bowiem możesz ufać mnie i tylko mnie.

- Daj mi na razie spokój. Nie zostało wiele czasu. Chcę teraz odpocząć - odparła tylko i nie patrząc w jego stronę, przeszła do sąsiedniego pomieszczenia.

Quinn miał ochotę wyrzucić butelkę w ścianę. I to jedynie po to, by usłyszeć, jak tłucze się szkło. Chantel nie miała żadnych powodów, by wywoływać w nim poczucie winy. On przecież tylko ją chronił. Za to mu płaciła. Nawet za cenę kilku jej łez musi zrobić swoje i zapewnić jej bezpieczeństwo. Pal Ucho te cholerne siedemset doliczów dziennie!

Z trzaskiem odstawił butelkę na stolik i szybko poszedł za Chantel.

- Posłuchaj... - zaczął i zaraz zamilkł. Chantel siedziała w nogach łóżka i wpatrywała się tępo w trzymaną w dłoni kopertę. Zanim jeszcze dostrzegł kwiaty stojące w wazonie na toaletce, poczuł ciężki zapach róż.

- Nie otworzę go - szepnęła z rozpaczą. - Nie otworzę już żadnego listu.

- Nie musisz. - Przygarnął ją ze współczuciem, jakiego sam się po sobie nie spodziewał. - Po to właśnie tu jestem. - Wyjął kopertę z jej dłoni. - Nie pozwolę, żebyś otwierała kolejne listy. Przekazuj je mnie.

- Nie chcę nawet wiedzieć, co w nich jest - powiedziała zdławionym głosem. - Najlepiej

je podrzyj. Och, ty nigdy nie zrozumiesz, jak naprawdę się czuję. - Położyła mu głowę na ramieniu. - Zawsze chciałam być kimś. Zawsze chciałam być kimś ważnym. Czy dlatego teraz muszę cierpieć? - Uniosła głowę, w jej oczach zalśniły łzy. - Może masz rację. Może sama się o wszystko prosiłam...

- Przestań - burknął, modląc się w duchu, by szybko doszła do siebie. - Głupio gadałem. Jesteś śliczna, masz talent i po prostu robisz z niego użytek. Nie możesz winić siebie za to, że ktoś ma chory umysł i cię napastuje.

- Boję się, Quinn.

- Nie pozwolę, żeby ktokolwiek cię skrzywdził.

- Na pewno?

- Przysięgam.

- Wiem... że nie ułatwiam ci pracy. Nie chciałam, żeby tak było.

- Kłopoty to moja specjalność. Poza tym lubię twój styl.

- Widzę, że potrafisz być miły - uśmiechnęła się do niego przez łzy.

- Oho, oto pamiętny dzień. - Quinn uniósł jej dłoń do kurtuazyjnego pocałunku. - Tępy troglodyta Quinn Doran komplementowany przez gwiazdę!

Znów się uśmiechnęła i chciała zasłonić dłonią jego usta, by nie gadał więcej głupstw, lecz w chwili kiedy to zrobiła, zrozumiała, że popełniła błąd. Dotyk jego gorących warg pod palcami był niczym iskra, która rozpałała gwałtowny płomień. Oboje jęknęli tylko - ona cicho, on głośniej - i natychmiast znalazła się w jego ramionach. Poszukała na oślep jego ust, zatopiła się w pocałunku, który zdawał się przenosić ją w jakąś mistyczną krainę. Tak właśnie musiała czuć się Hailey, gdy po raz pierwszy poczuła na sobie wargi kochanka.

Czy Quinn również jedynie korzystał z okazji? Czy jak Brad chciał tylko ją wykorzystać? A może czuł i myślał inaczej? Nagle stało się to dla niej niezwykle ważne. Musiała poznać jego myśli, musiała wiedzieć, co naprawdę czuje ten mężczyzna. Czy pragnie jej równie mocno, jak ona jego?

Gdyby Quinn mógł słyszeć te pytania, nie wahałby się z odpowiedzią. Żadna kobieta nie wzbudziła w nim dotąd takich żądz. Żadna nie sprawiła, że krew kipiała w jego żyłach tak gwałtownie. Czy to jedynie z powodu tej niepospolitej urody, pytał sam siebie. Czy to możliwe, by Chantel ujęła go jedynie śliczną buzią i zgrabną figurą? A może chodzi o coś innego? Może chodzi o...

Nie, tego słowa bał się bardziej niż czegokolwiek.

Przeciagnął dłonią po jedwabistych włosach. Płynne złoto. Jak u anioła. Nachylił się nad nią, zajrzał w lśniące źrenice. Chciał powiedzieć coś ważnego, lecz wtedy właśnie rozległo się pukanie do drzwi. Chantel wystrzeliła ku nim niczym strzała, przyłożyła dłonie do twarzy i potrząsnęła głową, jakby chciała obudzić się ze snu.

- Kto to? - zapytał cicho Quinn.

- Wszystko w porządku. Wzywają mnie na plan. Już sobie poszli.

- Siadaj. Powiem im, że źle się poczułaś.

- Nie. Nie pozwolę, żeby sprawy osobiste miały wpływ na moją pracę. - Zacisnęła dłoń w pięść, jakby rozpaczliwie chciała odzyskać nad sobą kontrolę. - Nie pozwolę! - powtórzyła i odwróciła głowę, by popatrzeć na stojące na stoliku kwiaty. - Nie pozwolę!

- Rozumiem. Potrzebujesz jeszcze chwili, żeby dojść do siebie?

- Tak... chyba tak - bąknęła niepewnie. - Gzy mógłbyś powiedzieć, że spóźnię się parę minut?

ROZDZIAŁ 6

Kolejnych kilka dni Chantel spędziła w łóżku. Łoże było wielkie, pluszowe i ozdobne, a zainstalowano je... w studiu D, gdzie miały zostać nakręcone sceny z nocy poślubnej Hailey. Biedactwo, wyszła za mąż za mężczyznę, którego nie kochała, lecz którego postanowiła gorąco pokochać.

Rekwizytorzy wnieśli właśnie wiaderko z lodem, w którym mroził się szampan, na krześle rozwiesili Mo z soboli, a na stole umieścili bukiet róż, które nieustannie skrapiali wodą, by nie zwiędły w ciepłe bijącym od reflektorów. Mężczynę, którego miała poślubić Hailey, grał niezbyt znany Don Sterling. Choć był niezłym aktorem, to występując w towarzystwie wielkiej gwiazdy dał sparaliżować się tremie i sześć razy pod rząd zepsuł nagrywaną scenę.

Zamknięta w jego ramionach, Chantel czuła, jak bardzo jest spięty, więc zanim zdążył zepsuć kolejne ujęcie, zrobiła to umyślnie sama, w nadziei, że podniesie tym trochę na duchu nieszczęsnego partnera.

- Przepraszam - powiedziała, lekko wzruszając ramionami. - Mary, czy mogę prosić o pięć minut przerwy? Jestem chyba trochę zmęczona.

- Jasne. Nawet dziesięć - uśmiechnęła się Mary Rothschild i zaczęła omawiać coś zawzięcie ze swym asystentem.

- Co powiesz na filiżankę kawy, Don? - zagadnęła Chantel, nakładając szlafrok.

- Chyba tylko po to, by się w niej utopić - mruknął ponuro.

- Lepiej wypić. - Skinęła na Lany'ego, po czym zaprowadziła Dona do stolika na uboczu. Spozrzęła, że Quinn szykuje się, by do nich podejść, pokręciła więc dyskretnie głową i przysunęła się bliżej do aktora.

- To okropnie trudna scena.

- Wcale nie. - Przeciągnął palcami po swych gęstych włosach. - A ludzie mówią, że jestem aktorem...

- Ja też.

- Dla ciebie to bułka z masłem. - Wypił łyk kawy. - Powiem szczerze, Chantel, onieśmielasz mnie. Kiedy zadzwonił do mnie mój agent i powiedział, że mam występować z tobą, zapadłem prawie w śpiączkę z wrażenia.

- Nie przejmuj się. W pierwszej scenie miłosnej, jaką mi przyszło zagrać, występowałam

obok Scotta Barona. Legenda Hollywoodu, najbardziej seksowny mężczyzna na świecie, sam rozumiesz. Gdy miałam go pocałować, ze strachu dzwoniły mi zęby. Nawet nie wiesz, jak bardzo się białem. A wówczas Scott zaprowadził mnie do barku, kupił kanapkę z tuńczykiem i zaczął opowiadać przeróżne historyjki, w większości zapewne zmyślane, żeby poczuła się przy nim swobodniej. Wtedy właśnie wyznał mi wielką prawdę: powiedział, że aktorzy są jak dzieci, a dzieci uwielbiają się bawić. Jeśli nie potrafimy się bawić, to znaczy, że dorośliśmy i powinniśmy się wziąć za poważną pracę.

Z twarzy Dona Sterlinga powoli zniknęło napięcie.

- I co, pomogło?

- Nie wiem. Może to sprawiła tylko ta kanapka z tuńczykiem, ale wróciłam na plan i bez trudu odegrałam tę scenę.

- Podkradłaś mu ten film. Krytycy pisali, że go przyćmiłaś.

Chantel uśmiechnęła się lekko.

- Fakt. Ale tobie na to nie pozwolę.

- Specjalnie zepsułaś ostatnią scenę.

- O czym ty mówisz? - Puściła do niego oko. - Każdy ma prawo się pomylić.

- I pomyśleć, że według niektórych jesteś zimna i bezwzględna - powiedział z zadumą Don Sterling. - Dzięki ci, Chantel.

- Nie wierz w ludzkie gadanie. - Wstała i wyciągnęła do niego rękę. - Chodź, czeka nas noc poślubna.

Scena wypadła dokładnie tak, jak miała wypaść. Quinn nie miał najmniejszego pojęcia, co też Chantel powiedziała partnerowi podczas krótkiej przerwy ale najwyraźniej wywarło to na niego zbawienny wpływ, bo więcej powtórek nie było.

Sam Quinn nauczył się już nie reagować na widok Chantel w objęciach obcych mężczyzn. A może inaczej - reagował, ale spokojniej, bez tej zazdrości i tego gniewu, który czuł przy kręceniu sceny na polanie. Patrzył na przykład na swoją klientkę i nie mógł się nadziwić, z jaką łatwością pozoruje namiętność. Zastanawiał się, czy kobieta taka jak ona jest w ogóle zdolna do przeżywania prawdziwych uczuć, skoro swoje emocje potrafi włączać i wyłączać w zależności od życzenia reżysera i wymogów scenariusza.

Jest niczym nakręcana lala, rozmyślał. Piękna na zewnątrz, posłuszna i powolna, ale pusta w środku. No tak, ale co to znaczy pusta? Głupia? Nie, to na: pewno nie. Więc pozbawiona

zasad? Może... Tak czy inaczej Chantel O'Hurley stanowiła śmiertelne zagrożenie dla mężczyzny, który nie potrafił sprawować nad sobą całkowitej kontroli.

Czy on, Quinn Doran, był jednym z nich? Tego nie wiedział. Wiedział tylko, że ilekroć na nią patrzył, zasychało mu w ustach z wrażenia.

To tylko pożądanie, wmawiał sobie. Zwyczajne pożądanie i nic więcej. A jednak, kiedy niedawno trzymał ją w ramionach, w swoim sercu usłyszał głos, który zdawał się przekonywać, że warto pokochać Chantel.

Pokochać?

Boże, nie! Wszystko tylko nie to! Powiedzmy, że jej współczuł. Nie byłby sobą, gdyby nie czuł współczucia albo nie stanął w obronie przestraszonej, bezbronnej, prześladowanej przez zbrodnicę kobiety. Stąd ta wściekłość, którą czuł, czytając plugawe listy, stąd furia na samą myśl o tym, że jego kobiecie coś zagraża.,.

Jego kobieta? No właśnie, tak przed chwilą pomyślał. Och, powinien dać sobie spokój z tymi rozmyślaniami. Jeśli nie weźmie się w garść, ta sprawa go przerośnie.

Zgniół niedopałek w popielniczkę i ponownie wbił wzrok w skupioną twarz asystenta Mary Rothschild. Musi coś wreszcie z niej wyczytać.

W ciągu tygodnia nadeszły jeszcze dwa listy, których Quinn nie pokazał Chantel. Ich ton uległ radykalnej zmianie. Teraz ich autor prosił, wręcz błagał swą ofiarę o miłość i oddanie. Zaniepokoili one Quinna bardziej niż poprzednie, zawołane groźby, wskazywały bowiem, iż desperat znalazł się na granicy psychicznej wytrzymałości. Kiedy ją przekroczy, wybuchnie gwałtownie niczym gorący gejzer i wtedy dopiero stanie się naprawdę niebezpieczny.

- Cięcie! Dzięki! Skończyliśmy na ten tydzień!

- Mary Rothschild podniosła się z krzesła po brawurowym odegraniu przez aktorów ostatniej sceny.

- Nie hulajcie zanadto podczas weekendu. W poniedziałek chcę was widzieć wypoczętych, żywych i w dobrej kondycji.

Chantel, przybrana jedynie w krótką koszulkę, nie schodziła jeszcze z planu. Usiadła na skraju łóżka i z ożywieniem rozmawiała o czymś z Donem.

Zazdrość. Skąd i dlaczego rodziło się w nim to uczucie, Quinn nie miał zielonego pojęcia. Zawsze hołdował zasadzie, że skoro sam żyje, powinien pozwolić żyć innym. Ilekroć kobieta, z którą akurat był, zapragnęła innego mężczyzny, nie rozpaczał i nie miał jej tego za złe. Żadnych

trwałych więzów, żadnego bólu i rozczarowań, żadnych komplikacji - to była jego dewiza.

Dopiero ona, Chantel O'Hurley, wprowadziła w jego uczucia taki zamęt, a on bardzo tego nie lubił. Nie mogąc nad sobą zapanować, podszedł do Chantel i chwycił ją za rękę.

- Nie słyszałaś, co mówiła Mary? Na dzisiaj koniec - uśmiechnął się blade i pociągnął ją za sobą do garderoby.

- Odczep się - warknęła, gdy odeszli na bok.

- Czy musisz zachowywać się jak...?

- A ty się zamknij! Zobacz, jak na nas patrzą. Rzeczywiście, Lany, który usłużnie ruszył w jej stronę ze szlafrokiem, na widok wyrazu malującego się na ich twarzach przezornie się wycofał.

- I co z tego? Jesteśmy w miejscu mojej pracy, ale jeśli chcesz, mogę urządzić ci taką awanturę, że zapamiętasz ją do końca swoich dni. I całymi tygodniami będziesz czytywać o niej w gazetach. Może zależy ci na reklamie, co?

- Dobrze, idziemy.

Chantel zatrzymała się w pół kroku.

- Nie. Powiedz mi najpierw, w czym problem. Wściekłeś się, czy co?

- Ty jesteś moim problemem. Jak na kobietę, która musi uważać na każdym kroku, zbyt spoufalasz się z tym młodzieńcem.

- Z Donem? Na Boga, to mój partner! Poza tym jest ode mnie dwa lata starszy.

- Na twój widok szkła kontaktowe zachodzą mu mgłą.

- Jeszcze cię ta piosenka nie znudziła? - Wyszarpnęła rękę z jego uścisku i otworzyła drzwi garderoby. - Z całą pewnością masz już raporty dotyczące Dona Sterlinga, więc dobrze wiesz, że od dwóch lat jest związany z pewną kobietą.

- A ta kobieta znajduje się pięć tysięcy kilometrów stąd, w Nowym Jorku.

- Wiem. - Chantel odgarnęła włosy z twarzy. - Mówił mi właśnie, że zamierza polecieć do niej na weekend wynajętym samolotem. Jest zakochany jak szczeniak. Podejrzewam, że dla ciebie to zupełnie obce uczucie.

- Można kochać jedną kobietę, a interesować się drugą Chantel ze złością zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie plecami.

- Gadanie! Co ty możesz wiedzieć o miłości? Co możesz wiedzieć o prawdziwych uczuciach?

- A ty tak dobrze je znasz? A może wciąż ich pragniesz? - Oparł dłonie o drzwi po obu stronach jej głowy i zajął jej w oczy. - Chcesz się przekonać, skarbie, jakie uczucia wzbudzasz w mężczyznach? Tych prawdziwych, nie wyjętych ze scenariusza? Jesteś pewna, że to wytrzymasz?

Chantel poczuła, że ze strachu kurczy się w niej serce. W oczach Quinna widziała dziką furie, lecz z jakichś osobliwych względów widok ten sprawił jej również przyjemność. Czowała strach, a jednocześnie dreszcz podniecenia.

- Daj mi spokój, dobrze?

- Masz rację, że się mnie boisz.

- Nie boję się.

- Drżysz.

- Z gniewu. - Oparła spotniałe dłonie o chłodną płaszczyznę drzwi.

- Może. A może drżysz, ponieważ nie jesteś pewna, co wydarzy się za chwilę. Ten scenariusz nie został napisany dla ciebie, Chantel, prawda? Tutaj nie jest tak prosto włączać i wyłączać swe emocje.

- Zejdź mi z oczu.

- Jeszcze nie teraz. Chcę wiedzieć, co naprawdę czujesz. - Delikatnie przyparł ją ciałem do drzwi. - Chcę wiedzieć, czy potrafisz cokolwiek czuć.

Nagle straciła całą pewność siebie i pozostała drżąca i bezradna. Wiedziała, że jeśli Quinn w tej chwili ją dotknie, ona utraci wszystko - dumę, godność, poczucie własnej wartości. Bo przecież nie mogła mu wyznać, co czuje naprawdę i czego naprawdę pragnie. Nie mogła powiedzieć, że chce, by zamknął ją w ramionach, chronił, hołubił i kochał. Tak, kochał. Jeśli mu to wyzna, on roześmieje się tylko, a potem weźmie to, czego pragnie, niczym okrutny najeźdźca. Kiedyś już dostała podobną lekcję i przysięgła sobie solennie, że po raz drugi historia się nie powtórzy.

- Nie jesteś ani trochę lepszy od tego, przed którym masz mnie strzec.

Spojrzała na niego wyzywająco, a on zrobił gwałtowny krok do tyłu, jakby wymierzyła mu siarczysty policzek. Zrobiło jej się nagle głupio i w pierwszym odruchu chciała wyciągnąć do niego rękę, zapanowała jednak nad sobą i oparta o drzwi czekała, co zrobi Quinn po tych słowach.

On jednak nie zrobił nic.

- Ubierz się - rzucił tylko, a potem podszedł do lodówki i wyjął z niej spokojnie butelkę piwa.

Miała rację, myślał, zdejmując kapsel i wypijając dwa duże łyki. Chciał ją wystraszyć, osłabić jej wolę, zmusić, by tańczyła do jego melodii. Mówiąc krótko, chciał ją skrzywdzić. Stanowiła zagrożenie dla spokoju jego umysłu i koniecznie musiał przejść do kontrataku. Uznał, że seks z Chantel - nie miłość, ale właśnie seks - oczyści go i wynagrodzi mękę bezsennych nocy, że będzie zemstą za wszystkie rozterki, które przeżywał z jej powodu, a zarazem ostatecznym triumfem nad Chantel O'Hurley.

Niesmak, który poczuł po uświadomieniu sobie tego wszystkiego, był mu dotąd całkowicie obcy. I bardzo nieprzyjemny, nie mniej niż to cholerne uczucie zazdrości, które ogarniało go ostatnio tak często.

Usłyszał jej kroki i szybko cisnął pustą butelkę do kosza na śmieci. Chantel wyszła z przebieraalni ubrana w różowe, płócienne spodnie oraz kurtkę w kwiaty. Sprawiała teraz wrażenie chłodnej i wyniosłej i w niczym nie przypominała tej namiętnej, niedoświadczonej dziewczyny, którą grała przez większą część dnia.

Wyminęła go bez słowa, podeszła do drzwi i sięgnęła do klamki. Zanim jednak zdążyła otworzyć, Quinn łagodnym gestem położył rękę na jej dłoni i zapytał cicho:

- Może się jednak napijesz czegoś przed wyjściem?

Milczała przez chwilę, czekając, aż opuści ją gniew. Wreszcie westchnęła ciężko i odparła znużonym głosem:

- Może później.

- Chantel...

- Tak?

Chciał ją przeprosić. Nie leżało to wprawdzie w jego naturze, lecz naprawdę chciał to zrobić. Chciał z całego serca, ale słowa nie mogły przejść mu przez gardło.

- Nic takiego. Chodźmy.

Do domu jechali w milczeniu. Quinna dręczyły wyrzuty sumienia, lecz pocieszał się w duchu, że i to mu w końcu przejdzie. Do Ucha, naprawdę nie mógł tracić czasu na takie głupstwa. Miał do wykonania konkretne zadania i im powinien się poświęcić - dopilnować, by Chantel bezpiecznie dotarła do domu, upewnić się, czy drzwi są dobrze zamknięte, a alarmy nastawione, przejrzeć najnowsze raporty swego agenta. I przede wszystkim czekać, aż przeciwnik popełni

pierwszy błąd.

Kiedy jednak minęli bramę posiadłości i po chwili Chantel wysiadła z samochodu, posłuchał impulsu, który podpowiedział mu nagle, by nie rezygnować z myślenia o niej jako o kobiecie. Bez słowa ujął ją za rękę i poprowadził do swego auta.

- Co robisz?

- Jest piątkowy wieczór. Mam dosyć siedzenia w domu. Pojedziemy do miasta coś zjeść.

Zatrzymał się przy samochodzie i skinął głową jednemu z agentów.

- A jeśli ja nie mam ochoty nigdzie wychodzić? - Próbowała się opierać.

- Pójdiesz tam, gdzie ci każę. - Otworzył przed nią drzwi auta i lekko popchnął ją do wnętrza.

- Posłuchaj, Quinn, przepracowałam w tym tygodniu sześćdziesiąt godzin i naprawdę jestem zmęczona. Nie chcę iść do żadnej restauracji, budzić sensacji swoją osobą...

- A kto mówi o restauracji? Wsiadaj, skarbie, i nie rób mi wstydu w obecności mojego człowieka.

- Nie jestem głodna.

- Ale ja jestem. - Wepchnął ją do pojazdu i zatrzasnął drzwi.

- Czy ktoś już ci mówił, że brak ci ogłady i dobrego wychowania? - zapytała, gdy po chwili usiadł obok niej.

- Nieustannie mi to powtarzają.

- Jeśli coś mi się stanie w tym gruchocie, producenci obetną ci głowę.

- Boisz się?

- Nie boję się. Po prostu mnie irytujesz.

- Każdy ma swoją specjalność.

Włączył radio, z którego natychmiast popłynęła pulsująca muzyka rockowa. Chantel zamknęła oczy i udawała, że zupełnie ignoruje jego obecność. Kiedy samochód zatrzymał się po kilkunastu minutach jazdy, nie podniosła powiek i nie ruszyła się z miejsca, zdecydowana konsekwentnie okazywać obojętność i brak zainteresowania. Zza szyby auta dobiegał ją szum ruchu ulicznego i nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie dojechali, lecz wmawiała sobie, że nic a nic ją to nie obchodzi. Kiedy jednak usłyszała, jak Quinn zatrzaskuje drzwi po swojej stronie, i zorientowała się, że została sama, otworzyła zaintrygowana oczy.

Zobaczyła go, jak biegnie w stronę baru szybkiej obsługi, gdzie sprzedawano jedzenie na

wynos. Uśmiechnęła się ironicznie. W domu czekał na nią kieliszek wytrawnego wina i świeża sałatka z jarzyn, stanowiącą specjalność jej francuskiego kucharza. Bóg jeden wie, co Quinn przyniesie do samochodu w potłuszczonej, papierowej torbie. Najważniejsze, że ona po prostu nie będzie tego jadła. On niech je, co mu się żywnie podoba; ona nawet na to nie spojrzy.

Zgodnie z daną sobie obietnicą zamknęła oczy i kiedy Quinn wrócił, starała się ignorować zapach, jaki wypełnił wnętrze samochodu. Nie było to łatwe, bo zapach był naprawdę kuszący...

Na szczęście zaraz potem ruszyli i mogła napawać się spokojną jazdą o zachodzie słońca. Szum ulicy ucichł i jechali teraz jakąś krętą, wąską i chyba dość stromą drogą, tak w każdym razie jej się zdawało, bowiem powieki wciąż miała opuszczone. Uświadomiła sobie nagle, jak wielką ma ochotę oderwać się od pracy, od swego domu - a może nawet od samej siebie. Z najwyższym trudem powstrzymywała się, by nie wyrazić wdzięczności za tę przejażdżkę.

Gdy poczuła ssanie w żołądku, doszła do wniosku, że owoce i ser, które zjadła w porze lunchu, to stanowczo zbyt mało, by pójść spać bez kolacji. Może więc to, co kupił Quinn... ?

Nie, odpowiedziała sobie hardo. Musi dotrzymywać własnych obietnic. Niech ten mięsożerca sam sobie zmiata to, co przyniósł w torbie!

Kiedy samochód przystanął, otworzyła oczy i pchnęła drzwi. Zatrzasnęła je za sobą, a wówczas rozległo się dźwięczne echo i zaskoczona Chantel rozejrzała się ciekawie wokół siebie.

Znajdowali się na rozległych, wyniosłych wzgórzach otaczających miasto. W odległości kilku kilometrów, w dole, rozciągało się rozmigotane światłami Los Angeles, a ponad nim niebo, malowane słońcem na różnorodne barwy - błękit, granat, fiołkowy róż, złoto. Nad ich głowami rozbłysła właśnie pierwsza gwiazda, czekając, aż dołączą do niej inne. W zaroślach szeleścił wiatr, a miasto, tak hałaśliwe i tak dobrze jej znane, zdawało się teraz nieprawdziwe, nierealne, uśpione, jakby zatopione w szkle.

- Imponujący widok, prawda?

Odwróciła się i ujrzała Quinna, opartego o ogromną literę „H”. Boże, to ten słynny napis „HOLLYWOOD”, uświadomiła sobie nagle i mimowolnie wybuchnęła śmiechem. Tak często widziała go w oddali, że przestała zwracać na niego uwagę. Z daleka wydawał się biały, niezniszczalny, wtopiony w krajobraz Los Angeles i wręcz nieśmiertelny. Z bliska, podobnie jak samo miasto, wyglądał znacznie mniej imponująco. Był wielki, to prawda, lecz zarazem zniszczony i odrapany. U podstawy liter widniały różnokolorowe graffiti.

- Jest strasznie zaniedbany. Należałoby go odmalować - westchnęła.

- Po co? - Quinn kopnął leżącą na ziemi puszkę po piwie. - Przyjeżdżają tu często nastolatki, mażą po nim... Mają zabawę.

- A ty?

- Och, ja po prostu lubię ten widok. - Wspiął się lekko po skałach i usiadł u podstawy litery „L”. - Lubię też spokój, który tu panuje. Nie ma huku, pisku, jazgotu. Czasami można nawet usłyszeć wycie kojota.

- Kojota? - Chantel z niepokojem obejrzała się za siebie.

- Tak jest - odparł, tłumiąc uśmiech, po czym sięgnął po papierową torbę. - Chcesz *taco**?

- *Taco!* Przywiozłeś mnie aż tutaj, żeby poczęstować *taco*?

- Mam też piwo.

- Jestem pod wrażeniem.

- Zaczyna się robić ciepło. Musisz szybko pić.

- Nie chcę.

- Twoja sprawa. - Wyciągnął z torby swoją porcję i wbił w nią z apetytem zęby. - Mam też frytki - poinformował z pełnymi ustami. - Może są trochę zbyt tłuste, ale za to gorące.

Odwróciła się do niego plecami i zaczęła spoglądać w stronę odległego miasta. Niestety, lekki podmuch wiatru przyniósł smakowity zapach jedzenia i Chantel poczuła, że do ust napływa jej ślina. Spoglądała ponuro na światła rozciągającego się w dole Los Angeles i przeklinała Quinna na czym świat stoi.

- Podejrzewam, że takie jak ty kręcą nosem na wszystko, co nie jest szampanem albo kawiozem, co?

Chantel odwróciła się w jego stronę.

- Nic o mnie nie wiesz. Nic a nic - powiedziała, a on pomyślał, że na tle tego przedwieczornego nieba jest piękna jak bogini, która zstąpiła na ziemię, by objawić ludzkości swoje przesłanie.

- A skąd miałbym wiedzieć? - Wzruszył ramionami.

- Więc nie gadaj bzdur. Pierwszych dwadzieścia lat życia spędziłam, włócząc się z miasta do miasta i jedząc brudnymi sztućcami w najpodlejszych stołówkach i motelowych pokojach. Czasami, gdy mieliśmy szczęście, a przedstawienie się nam udało, zapraszano nas do hotelowej

* *taco* - proste danie kuchni meksykańskiej uważanej za niedrogą i pospolitą - złożony na pół kukurydziany placek, faszerowany zazwyczaj mielonym mięsem i fasolą - (przyp. red.)

kuchni. Kiedy mieliśmy mniej szczęścia, musieliśmy zadowalać się jajkami na twardo i cienką kawą. Wymyśliłeś sobie coś na mój temat i powtarzasz to jak katarynka. Plujesz na mnie, a w końcu znasz tylko fragment tego, czym jest życie Chantel O'Hurley.

- Dobrze, dobrze... - Quinn powoli odstawił na kamień puszkę z piwem. - Twoje oficjalne biografie po prostu o tym nie wspominają.

Chantel popatrzyła na niego w milczeniu. Co było w tym człowieku takiego, że nieustannie traciła w jego obecności kontrolę nad sobą? Co sprawiło, że wyznała mu przed chwilą gorzką prawdę o swej przeszłości?

- Chcę już wracać.

- Jeszcze nie - zaprotestował łagodnie. - Jesteśmy tu sami. Nikt na ciebie nie patrzy, nie każe się uśmiechać, robić miny, grać. Usiądź po prostu obok mnie i popatrz z góry na ten boży świat.

Odruchowo zrobiła krok w jego stronę. Kiedy wstał i wyciągnął do niej rękę, bez wahania przyjęła jego pomoc. Przez chwilę stali tak pod mroczniejącym niebem, wreszcie Quinn pomógł jej wspiąć się na skały i zająć wygodne miejsce.

- Przepraszam - powiedział ku zaskoczeniu ich obojga.

- Za co?

- Za swoje zachowanie. - Przesunął lekko palcem po jej włosach. - Nie wiem dlaczego, ale w twoim towarzystwie staję się czasami nieco opryskliwy.

- A więc jesteś kwita - odrzekła cicho, patrząc mu w oczy. - Ja też trochę dałam ci w kość.

Wytrzymał to spojrzenie. Było inne niż zazwyczaj - prawdziwe, poważne, szczerze. Wiedział, że w tej chwili nie muszą przed sobą niczego udawać, bo każda próba byłaby tylko śmieszna. Teraz mogli powiedzieć sobie wszystko i wysłuchać wszystkiego. Być może tylko teraz i już nigdy potem.

- Pragnę cię, Chantel - powiedział cicho. - Długo się z tym męczyłem i teraz postanowiłem ci to wyznać.

Inni mężczyźni również jej pragnęli. Inni mężczyźni wyrażali to w o wiele piękniejszy sposób, ale żadne wyznanie nie wstrząsnęło nią tak, jak te nieporadne słowa.

- Mogę cię zwolnić.

- To nie ma znaczenia.

- Ma. - Odwróciła głowę, zdumiona tęsknotą jaka nagle ją ogarnęła. - Nie pójdę z tobą do łóżka.

- Wiem.

- Quinn... - Widząc, że zamierza się odsunąć, chwyciła go szybko za rękę. - Nie wiem, co o mnie naprawdę myślisz, ale zapewniam cię, że grubo się mylisz.

- To ci powiem: to nie twój styl. - Uśmiechnął się gorzko i ponownie sięgnął po puszkę piwa. - Nie twoja liga. Za wysokie progi na Dorana nogi.

Chantel wyrwała mu butelkę i cisnęła nią w kamienie.

- Nie mów mi, co myślę ani co czuję!

- Więc sama mi powiedz.

- Nie muszę niczego wyjaśniać. Nie muszę się przed tobą tłumaczyć. Do diabła, chcę mieć tylko trochę spokoju, nie rozumiesz? Chcę, żeby przez kilka następnych godzin nikt niczego ode mnie nie wymagał! Nie wiem, jak długo wytrzymam jeszcze tę ciągłą szarpaninę!

- Dobrze już, dobrze. - Przygarnął ją ostrożnie do siebie i zaczął głaskać po szczupłych plecach. - Masz rację. Nie przywiozłem cię tu po to, żeby się z tobą kłócić. Ale to ty wyprowadziłaś mnie z równowagi.

- Wiesz co, Quinn. Lepiej już wracajmy.

- Nie, usiądź, proszę. - Dotknął ustami jej włosów. - Posiedźmy jeszcze godzinę i zobaczymy, czy potrafimy się ze sobą nie kłócić. Popatrzymy na niebo... Zjemy sobie *taco*...

Spojrzała na papierową torbę, potem na jego uśmiech - i poddała się wreszcie.

- Dawaj. Umieram z głodu.

- Od początku wiedziałem. - Wręczył jej jedzenie i przez dłuższą chwilę jedli w milczeniu. - Naprawdę miałaś aż tak paskudne dzieciństwo? - zagadnął Quinn między jednym a drugim kęsem.

- Bez przesady. Po prostu inne. Rodzice byli wędrownymi artystami. Przez trzydzieści lat śpiewali i tańczyli na estradzie. W szóstkę włączyliśmy się po całym kraju i czasami występowaliśmy w prawdziwych spelunkach. Ale moja rodzinka... - Uśmiechnęła się z zadumą i sięgnęła po piwo. - Moja rodzinka jest cudowna, bez dwóch zdań. Tracę fantastycznie grał na pianinie. Zawsze doprowadzało mnie do rozpacz, że bez względu na to ile ćwiczyłam, nie mogłam mu dorównać. Kłóciliśmy się z nim ciągle, a jednocześnie nie mogliśmy bez siebie żyć. Inna sprawa z siostrami. Po prostu byłyśmy jak trzy części jednej całości. - Pociągnęła piwo

prosto z butelki i zapatrzyła się w rozciągające się dole miasto. - Wciąż jesteśmy. Boże, czasami tak bardzo mi ich brakuje. W dzieciństwie planowałyśmy występować z naszym numerem przez całe życie. Później wyrosłyśmy...

- Jaki to numer?

Chantel roześmiała się i zlizwała z palców sól.

- Nie słyszałeś o tym słynnym trio? Nazywało się „O'Hurleys”?

- Przykro mi.

- Byłoby ci jeszcze bardziej przykro, gdybyś nas wtedy posłuchał.

- Śpiewałaś?

- Nie tylko śpiewałam. Tańczyłam, wycinałam hołubce. Byłam w tym fantastyczna.

- Na ekranie nie śpiewasz. Chantel wzruszyła ramionami.

- Matt twierdzi, że powinnam jeszcze z tym trochę poczekać i zaskoczyć widzów w stosownym czasie.

- A taniec? Dlaczego nie tańczysz? Gorzej ci idzie?

- No wiesz! - oburzyła się. - Ojciec umarłby ze wstydu, gdybym nie umiała tańczyć. Nie było jakoś odpowiedniej okazji. Poza tym koncentrowałam się na tym, w czym jestem najlepsza.

- A w czym jesteś najlepsza?

- W rolach dramatycznych - odparła, przesyłając mu kpiące spojrzenie.

Quinn założył jej za ucho kosmyk włosów.

- Mam nadzieję, że nie grasz teraz którejs z ról - powiedział poważnie.

Chantel szybko odwróciła wzrok i rozejrzała się wokół siebie. Niebo było już prawie czarne i jasno lśniły na nim gwiazdy.

- Tego nigdy nie możesz być pewny. Sama tego nie wiem. - Znów się odwróciła, a wtedy ujrzała jego twarz tuż przy swojej; kuszące usta, które schylały się, by ją pocałować. - Nie, naprawdę... - zaczęła, lecz Quinn stłumił jej protest delikatnym jak muśnięcie piórka dotykiem warg.

- Czy wiesz, jak się czułem, gdy leżałaś dziś w łóżku z tym Sterlingiem?

- Nie chcę wiedzieć. Już ci mówiłam, że na tym polega moja praca.

- Nie byłem pewien, czy powinienem was udusić, ale pragnąłem jednego: żebyś choć raz spojrzała na mnie, tak jak na niego.

- To była tylko gra.

- Ale tutaj nie ma kamer. Jesteśmy tylko ty i ja. I sędzę, że tego się właśnie boisz, Chantel. Tutaj nikt ci nie powie, czego od ciebie chce. I nikt nie krzyknie „Cięciciel!”, kiedy sprawy posuną się za daleko.

- Bo nikt nie musi mi tego mówić. Sama wiem - odparła i przyciągnęła jego usta do swoich.

Pragnęła tego, odkąd się tu znaleźli. Pragnęła dreszczu rozkoszy, jaki wywoływała w niej bliskość Quinna. Nikt inny nie rozbudzał w niej takich emocji. Mogła mu o tym powiedzieć, ale i tak by nie uwierzył. Poza tym to, co było w niej, było wyłączną jej własnością i nikt nigdy nie mógł mieć dostępu do głębin jej duszy - tak postanowiła i tego chciała się trzymać.

Ale mogła przecież napawać się choć przez chwilę jego żarem, namiętnością, siłą. Mogła sycić się dotykiem jego rąk, pieszczotą ust, ciepłem twardego, sprężystego ciała. Mogła odpłacać mu tym samym, pod warunkiem że nie da mu zbyt dużo, że nie odda mu się bez reszty...

Do diabła, nieważne gdzie byli ani kim byli. Do diabła z ceną, jaką przyjdzie zapewne zapłacić za chwilę rozkoszy. Teraz chciała tylko jego - Quinna Dorana!

Zarzuciła mu ręce na kark, wtuliła twarz w zgięcie przy szyi.

- Chantel... - wyszeptał i delikatnie unióś jej brodę, niepewny, czy dobrze rozumie malujący się w jej oczach wyraz. - Chantel - powtórzył i w tej samej chwili usłyszał szelest w pobliskich krzakach. Natychmiast zeszywniał, a kiedy hałas powtórzył się, odsunął ją lekko od siebie.

- Co to jest? - zapytała niespokojnie i wbiła palce w jego ramię. - Zwierzę?

- Zapewne.

- Gdzie idziesz?

- Rozejrzeć się. Zaczekaj.

- Quinn...

- Poczekaj tu na mnie spokojnie. To chyba tylko królik.

Ale to nie był królik. Wyczuła to w jego głosie. Nie umiał grać tak dobrze jak ona.

- Samego cię nie puszcę.

- Mówię ci: usiądź i zaczekaj.

- Nie. - Chwyliła go za rękę i zaczęła zsuwać się ze skał.

- W porządku, ale bądź ostrożna. Pokaleczysz się i cała wina spadnie na mnie.

Podeszli do samochodu. Quinn zapalił reflektory, oświetlił wzgórze przed nimi i po chwili

ruszyli powoli w stronę gęstych zarośli.

- Żyje tu dużo różnych zwierząt - uspokajał ją lecz jego ciało było spięte, gotowe w każdej chwili do odparcia ataku.

- Pamiętam, kojoty.

- Właśnie. - Przykucnął i oświetlił zapalniczką ślad odbity w miękkiej ziemi.

- Kojoty raczej w butach nie chodzą. - Chantel nerwowo przygryzła wargi.

- Ja w każdym razie takich nie spotkałem. Popatrz, to chyba ślad jakiegoś dzieciaka.

- Wcale nie. Nie udawaj, Quinn, sam w to nie wierzysz. - Popatrzyła na niewyraźne odciski, prowadzące w pobliże skałki, na której niedawno siedzieli. - Ktoś nas śledził i oboje wiemy, dlaczego. O Boże! - Przycisnęła palce do oczu. - To on. Był tu. Był tu i nas obserwował. Dlaczego nie przestanie? Dlaczego... - Odetchnęła głęboko i w tej samej chwili z oddali dobiegł ich warkot uruchamianego silnika samochodu. - Śledził mnie. Powiedz, ile już razy mnie śledził?

- Nie wiem. - Quinn popatrzył na pogrążoną w ciemnościach drogę. Gdyby nawet zostawił Chantel samą, i tak nie dogoniłby samochodu. - Wiem na razie tylko jedno: nie pozwolę, żeby cię dopadł.

- Jak długo? - zapytała cicho. - Jak długo?

ROZDZIAŁ 7

- Jest jakiś postęp?

- Jak dotąd nic - odparła Chantel, nalała sobie brandy, po czym napełniła kieliszek Matta.

- Przykro mi. Przysiągłbym, że jeśli ktoś może go wytropić, to właśnie Quinn.

- Nie mam do niego pretensji. - Z kieliszkiem w dłoni podeszła do okna, za którym zachodziło słońce. Natychmiast przypomniała sobie inny zmierzch i uśmiechnęła się tęsknie do siebie.

- Zdaje się, że na początku byłeś w stosunku do niego znacznie bardziej krytyczna.

- Robi, co w jego mocy.

- Może więc i ja powinienem się w to włączyć - mruknął Matt, zaniepokojony tonem rezygnacji, jaki zabrzmiał w głosie Chantel. - Naprawdę nic dotąd nie odkrył? A co z tymi listami?

- Taką papeterię można dostać w każdym kiosku w Los Angeles. - Chantel wzruszyła ramionami.

- A kwiaty? Z całą pewnością można ustalić ich pochodzenie.

- Też nie. Za każdym razem znajdowałam je w swojej garderobie lub gdzieś na planie. Nikt nie widział doręczyciela.

- Ktoś mógł go zapamiętać...

- Niestety. Quinn zapewnił mnie też, że jego ludzie obeszlą wszystkie kwaciarnie w okolicy. Nie natrafili na żaden sensowny ślad.

- A telefony?

- Ten człowiek dzwonił pod mój numer tylko raz i się spłoszył. Rozmowa trwała za krótko, by można było go namierzyć.

- Niech to szlag. Może powinniśmy jeszcze raz pomyśleć o powiadomieniu policji?

Chantel odwróciła się w jego stronę.

- Czy naprawdę sądzisz, że policja zrobi w tej sprawie coś więcej?

- Nie wiem. Po prostu nie wiem. - Odwrócił wzrok. - Myślałem tylko, że schwywanie tego typa to będzie kwestia kilku dni.

- Niestety. Jest bardzo ostrożny.

- Do czasu. Quinn na pewno go zidentyfikuje, przekonasz się. - Przeciągnął dłonią po

włosach.

- Przypomnij sobie, może nie wszystko mu powiedziałaś.

- Czego nie powiedziałam, sam odkrył. - Chantel uśmiechnęła się nerwowo. - Napuścił agentów na wszystkich moich znajomych... Nawet na ciebie - dodała po chwili.

Matt znieruchomiał i wlepił w nią zdumiony wzrok. Po chwili skrzywił się i wyciągnął z kieszeni zapalniczkę.

- Cóż, wiedziałem, że jest bardzo skrupulatny.

- Tak, i wcale mi się to nie podoba. Czuję się podle, gdy wiem, że szpieguje i podgląda innych. Z mojego powodu.

Nie do końca uspokojony, Matt objął Chantel ramieniem.

- Posłuchaj, kochanie, gdyby wykryte w mojej szafie szkielety posunęły sprawę do przodu, tylko bym się cieszył. - Roześmiał się krótko, potem zamilkł i odchrząknął. - Wiesz, co wykrył?

- O tobie?

- Na przykład.

- Nie wiem. Powiedziałam mu, że nie chcę o niczym wiedzieć. Wystarczyły mi raporty na temat Larry'ego, Amosa, Jamesa Brewstera... Ustaliliśmy zatem, że będę stosowała się do jego zaleceń, ale wszelkie intymne szczegóły on zachowa dla siebie.

- Czyli chowasz głowę w piasek.

- Nie. Po prostu wcale mnie to nie obchodzi.

- Posłuchaj, nie ma absolutnie nikogo, kto skończyłby dwadzieścia parę lat i miał całkowicie czyste sumienie, kto nie chciałby ukryć pewnych spraw. Cholera, pewnie i na mnie by się coś znalazło... W każdym razie chcę ci powiedzieć, że Quinn z pewnością sprawnie poprowadzi to swoje śledztwo, a wszystkie wiadomości, jakie zdobędzie, zachowa wyłącznie dla siebie. Znam go i wiem, że umie być dyskretny.

- Chwała ci za takie zaufanie.

- Chciałem tylko uspokoić twoje sumienie. - Uśmiechnął się przyjaźnie i ponownie przytulił Chantel do siebie.

Ten gest nie spodobał się Quinnowi, który właśnie przystanął w progu i od paru chwil przysłuchiwał się ich rozmowie. Szczególnie zaś nie spodobało mu się to, że Chantel tak dobrze i tak swobodnie czuje się w towarzystwie Matta Burnsa.

- I co, udało ci się uspokoić jej sumienie? - zapytał, wchodząc do salonu.

- Tak myślę. - Matt nie dał się zbić z tropu. - W końcu to ja cię zarekomendowałem. Raczej bym umarł niż przyznał się do błędu.

- Nie popełniłeś błędu. - Quinn podszedł do barku i nalał sobie podwójną porcję brandy. - No, ale powiedz nam, Matt, gdzieś ty ostatnio bywał? Myślałem, że będę widywać cię częściej.

- Miałem masę zajęć.

Chantel podeszła energicznie do detektywa.

- Daj spokój, Quinn - powiedziała stanowczo. - Nie zaczynaj wszystkiego od początku.

- Znów mnie pouczasz, skarbie?

- Nie chcę, abyś przesłuchiwał w mojej obecności moich przyjaciół.

- Spokojnie, moi drodzy. Usiądźmy - odezwał się pojednawczo Matt, poklepał Chantel po plecach i popatrzył łagodnie na Quinna. - Kiedy polecałem cię Chantel, byłem przekonany, że szybko wykryjesz sprawcę. Niczego jak dotąd nie wykryłeś i stąd nasza dzisiejsza rozmowa.

- Niczego? - Quinn popatrzył znacząco na przyjaciela.

- A niby co? - wtrąciła się Chantel.

- Może powiesz jej to sam - odparł Quinn, unosząc lekko szklankę w stronę Matta. - Ja obiecałem, że będę trzymał język za zębami.

- No tak, racja. Usiądź, Chantel... - Matt ścisnął ją lekko za ramię. Wyczuła, że jego dłoń nagle spotniała. - Proszę, usiądź - powtórzył - zdaje się, że nie mam wyjścia...

Poczuła paskudne ssanie w żołądku, jednak posłusznie usiadła obok niego na kanapie.

- Kilka lat temu, prawie dziesięć, popadłem w kłopoty finansowe. - Matt podniósł szklankę do ust i pociągnął z niej spory łyk.

- Kłopoty? Matt, nigdy o niczym mi nie mówiłeś.

- Mówię więc teraz. - Obejrzał się na Quinna. - Chcę, abyś usłyszała to ode mnie. Powodem kłopotów był hazard.

- Matt, to absurd! - Chantel omal nie wybuchnęła śmiechem. - Przecież ty nie grasz nawet w remika na zapalki!

- Teraz. Ale wtedy było inaczej. Nie potrafiłem się powstrzymać od gry na wyścigach. To było szaleństwo, nie miałem spokoju, dopóki nie postawiłem ostatniego grosza na konie. Pożyczałem pieniądze, od kogo się da, aż wreszcie pewni ludzie... Wiesz, tacy, co łamią kości, jeśli nie dostaną cotygodniowej spłaty...

- Och, Matt!

- W każdym razie potrzebowałem dziesięciu tysięcy. Sfałszowałem czek. Czek klienta. - Zamknął oczy i pociągnął kolejny łyk alkoholu. - Sprawa oczywiście szybko się wydała. Klient nie chciał rozgłosu, więc nie podał mnie do sądu, a ja zastawiłem wszystko, byle tylko spłacić ten cholerny dług. I to był punkt zwrotny w moim życiu. - Wybuchnął pozbawionym wesołości śmiechem. - Ważyły się losy całej mojej kariery, musiałem więc dobrze nad sobą się zastanowić. Przeraziłem się, zapisałem na kurację dla nałogowych graczy. Nie było łatwo. Dzień w dzień przeżywałem okropne męki, walczyłem z pokusą, żeby zrobić choćby jeden mały zakładzik. - Odstawił szklankę i popatrzył Chantel uważnie w oczy. - Jeśli zechcesz teraz zmienić agenta, oczywiście zrozumie cię.

Chantel objęła go bez słowa ramieniem i przygarnęła do siebie. Quinnowi zaś posłała długie, obojętne, zimne spojrzenie.

- Nie chcę innego agenta. Wiesz, że potrzebuję najlepszego.

Matt roześmiał się cicho i pocałował ją w czoło.

- Jesteś wyjątkową kobietą.

- Ktoś mi już kiedyś to mówił.

- Aleja cię nie zawiodę, Chantel.

- Wiem.

Ponownie ją pocałował, po czym wstał i przeszedł w stronę wyjścia.

- Muszę już lecieć, kochani. Chantel, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, dzwoń o każdej porze. - Odwrócił się jeszcze do Quinna i przez chwilę mierzyli się uważnym wzrokiem. Jeśli nawet któryś czuł do drugiego żal, nie okazał teraz tego po sobie.

Wreszcie Matt odezwał się krótko: - Pilnuj jej - po czym skinął lekko głową i opuścił salon. Chantel natychmiast napadła na Quinna.

- Jak mogłeś? Jak mogłeś go tak upokorzyć?

- To było konieczne.

Konieczne czy nie, Quinn czuł do siebie wstręt. Nalał kolejną porcję alkoholu do szklanki, lecz wiedział, że ohydny niesmak w ustach nie da się tak łatwo wypłukać.

- Konieczne? Dlaczego? Co ma wspólnego hazard sprzed dziesięciu lat z tym, co dzieje się teraz?

- Skoro człowiek mógł wpaść w jedną obsesję, może popaść w kolejną.

- To śmieszne!

- Nie, raczej smutne. Tak właśnie w życiu bywa. Po plecach przebiegł jej dreszcz; dreszcz gniewu, nie strachu.

- Matt Burns od początku jest moim agentem i przyjacielem. Wyłącznie przyjacielem. Nie próbował nigdy być nikim innym. A zaręczam ci, że miał wiele okazji.

- A czy ty byś mu na to pozwoliła? Chantel sięgnęła po papierosa i zapaliła go drżącą dłonią.

- A co to ma do rzeczy?

- Pozwoliłabyś? - zapytał, mocno ściskając ją za nadgarstek.

- Nie. - Potrząsnęła głową i wypuściła z ust długą smugę dymu. - Na pewno nie.

- No właśnie. I on o tym wie. Przeczytałaś w życiu dużo scenariuszy, spróbuj więc wyobrazić sobie taki: pracujesz z tym człowiekiem od lat, on obserwuje twoją drogę na szczyt sławy, pomaga ci tworzyć tę iluzję olśniewającej, ale zimnej jak lód gwiazdy, *femme fatale*, łamiącej serca milionom mężczyzn, aż wreszcie nieoczekiwanie sam pragnie posmakować tego, co wspólnie z tobą stworzył - posmakować ciebie. Wie, że mu nie pozwolisz, ale to tylko bardziej go podnieca, jest jak zakład, gra, jak hazard...

Po plecach Chantel przebiegł zimny dreszcz, zdołała jednak popatrzeć na Quinna spokojnym wzrokiem.

- To żaden hazard, Doran, żadna gra.

- Gra, skarbie, podniecająca gra. Hazard jak wszyscy diabli.

Znów ogarnął ją strach, który odpędziła z największym trudem.

- Dlaczego człowiek, którego znam, który jest ze mną blisko, nie postawiłby sprawy otwarcie?

- Właśnie dlatego, że go znasz i że jest z tobą blisko - odpalił Quinn. - Zdaje sobie sprawę, że nie ma najmniejszych szans.

Poirytowana Chantel zgmiotła w popielniczkę niedopałek.

- A skąd może to wiedzieć, skoro nigdy nie zapytał?

- Mężczyzna z reguły wie, czy kobieta jest mu przychylna. - Przeciągnął palcem po jej policzku i znów, jak poprzednim razem, przeniknął ich tajemny dreszcz. - Patrzy na nią, widzi, że ona nie dostrzega w nim ewentualnego partnera, i już wie, że nigdy nie zostaną kochankami. Chyba że...

Chantel ujęła go za nadgarstek i odepchnęła jego rękę.

- Jestem zmęczona - przerwała mu. - Idę spać.

Kiedy został sam, zaczęła kusić go brandy. Zdając sobie jednak sprawę, że to najprostsze i najgłupsze wyjście, Quinn odwrócił się szybko od barku i wyszedł na zewnątrz, by sprawdzić instalacje alarmowe wokół posiadłości.

W środku nocy wyrwał ją z niespokojnego snu telefon. Rozespanej Chantel zdawało się, że wciąż jeździ po Stanach w składzie tria „O'Hurleys” i że to matka dzwoni właśnie z reprimendą, że córka spóźnia się na próbę.

- Dobrze, dobrze, już idę - odezwała się znużonym głosem do słuchawki, lecz zamiast słów nagany usłyszała słodki szept. Zbyt słodki. Obrzydliwy i lepki.

- Och, to ty... Nie mogę zasnąć... Nie mogę zasnąć, bo nieustannie myślę o tobie, pączusku... - powtarzał z chorą desperacją.

Chantel w jednej chwili oprzytomniała.

- Musisz z tym natychmiast skończyć!

- Nie mogę... - zaśmiał się cicho. - Naprawdę próbowałem, lecz nie mogę. Czyżbyś nie wiedziała, ile dla mnie znaczysz? Za każdym razem, Medy widzę twe piękne ciało, za każdym razem, gdy jesteś blisko mnie...

- Nie! - krzyknęła Chantel do słuchawki, po czym wybuchnęła żalonym płaczem. - Proszę, daj mi spokój. Proszę! Nie chcę już słyszeć twego głosu. Nie męcz mnie więcej. Nie chcę...

Wtuliła twarz w poduszki, lecz upiorny głos wciąż natrętnie jej towarzyszył. Słyszała go, kiedy po omacku odkładała słuchawkę na widelki, a nawet wówczas, gdy przerwała już połączenie. Lepki szept odbijał się w jej uszach echem i nie dawał przed sobą uciec Chantel zwinęła się w kłębek i pozwoliła płynąć łzom.

Quinn słyszał tę rozmowę, słyszał każde słowo. Gdy w holu rozległ się dzwonek telefonu, szybko do niego podbiegł, mając nadzieję, że przejmie połączenie, zanim Chantel zdąży się obudzić. Kiedy jednak podniósł słuchawkę, z mikrofonu płynął już szept. Przez chwilę detektyw odnosił wrażenie, że coś rozpoznaje - barwę głosu, sposób mówienia, akcent. Próbował skupić na tym uwagę i już prawie wiedział, co to za głos, gdy Chantel zaszlochała i szybko odłożyła słuchawkę. Na linii został teraz tylko cichy płacz mężczyzny po drugiej stronie. Trwał może jeszcze kilka sekund, po czym połączenie zostało przerwane.

Quinn cisnął ze złością słuchawkę na widełki, wbił ręce w kieszenie, dłonie zacisnął w pięści. Przeoczył coś, przeoczył coś niebywale istotnego, ponieważ wyprowadził go z równowagi płacz Chantel.

Trudno. Najważniejsze, by nie zostawiać jej w takiej chwili samej. Chantel potrzebuje teraz wsparcia, bliskości, czułości. I właśnie on, Quinn Doran, któremu wargi nigdy nie układały się do czułych słówek, miał zamiar ją pocieszyć.

Wspiął się cicho po schodach, ostrożnie otworzył drzwi sypialni. Przez okno wpadały jasne pasma księżycowego światła, malując uśpione kształty srebrzystą barwą. Wszedł do środka na palcach, zbliżył się do łóżka.

Nie spała. Twarz schowała w poduszki, a jej wiotkim ciałem wstrząsał dławiony szloch. Quinn zatrzymał się, zmrożony tym żalosnym płaczem. Znał odgłos eksplodującego granatu, wiedział, co to przeraźliwy jazgot prujących powietrze odłamków. Słyszał huk dział i niemożliwy do wysłowienia odgłos rozdieranego kulami ludzkiego ciała. Wszystko to znał, był z tym oswojony - ale nie z cichym, rozpaczliwym łkaniem Chantel, które rozszarpało mu serce.

Przykucnął u skraju łoża i chciał coś powiedzieć, ale nie znalazł słów, więc tylko w milczeniu położył dłoń na włosach Chantel. Pod wpływem jego dotyku wyprostowała się gwałtownie i krzyknęła z przerażeniem.

- O Boże!

- Ciii... To ja. To tylko ja. - Ujął ją za ręce i delikatnie uściśnął. - Uspokój się, Chantel. Nikt nie zrobi ci krzywdy. Jestem przy tobie.

- Wystraszyłeś mnie.

- Wybacz. Wszystko w porządku?

- Chyba tak... Słyszałeś telefon?

- Słyszałem. - Puścił jej dłonie w obawie, że mógłby połamać jej palce. - Może coś ci przynieść? Coś do picia?

- Nie, dziękuję. - Kantem dłoni otarła z twarzy łzy. - Nie mogłam z nim dłużej rozmawiać. Po prostu nie mogłam.

- Rozumiem.

- Nic nie rozumiesz. - Podciągnęła kolana i oparła na nich głowę.

- W każdym razie nie mam do ciebie pretensji.

- Ja mam je do siebie. Wszystko, co dotąd powiedziałaś, było prawdą, wszystko, co zrobiłaś, uczyniłaś słusznie. To ja nie chcę dopuścić do siebie prawdy.

- Na razie jej nie znamy, Chantel. Ale poznamy. A teraz spróbuj zasnąć.

Czuł się przy niej zupełnie bezradny. Skąd przyszedł mu do głowy pomysł, że Chantel go potrzebuje? Nie umiał pocieszać i koić. Nie znał odpowiednich słów. Pożerała go tylko dzika wściekłość, paląca potrzeba, by zapewnić jej bezpieczeństwo i uchronić przed wszelką krzywdą.

- Może jednak coś ci przyniosę? Pójdę na dół, zaparzę herbatę.

- Nie. Niczego nie chcę.

- Do licha, muszę coś zrobić! - wybuchnął, zanim zdołał nad sobą zapanować. - Nie mogę patrzeć, jak siedzisz pogrążona w nieszczęściu. Może przyniosę ci aspirynę albo posiedzę przy tobie, aż zaśniesz? Przecież nie zostawię cię samej.

- Po prostu mnie przytul - szepnęła, lekko unosząc głowę. - Tylko na chwilę.

Usiadł na skraju łóżka, przygarnął do siebie Chantel i położył sobie na ramieniu jej głowę. Nie mógł uwierzyć we własne szczęście. A jednak okazał się potrzebny, a jednak pragnęła jego bliskości!

Kołysał ją w ramionach jak dziecko i szeptał jakieś nieskładne słowa, nie wiedząc nawet, czy Chantel je słyszy. Ona zaś popłakiwała cichutko i tuliła się umie do jego piersi. Kiedy zaś skończyły się już jej łzy, podniosła na niego wilgotne oczy i powiedziała:

- Dziękuję.

- Zawsze do usług.

- Nigdy się tak nie zachowuję. Czy masz chusteczkę?

- Nie.

Niechętnie oderwała się od niego i sięgnęła po leżące na nocnym stoliku bibułki. Wydmuchała nos i uśmiechnęła się do Quinna, pogodniejsza już i uspokojona.

- Byłaś wspaniałą. Podejrzewam, że gdy kobieta zaczyna ci szlochać i marudzić, uciekasz z reguły, gdzie pieprz rośnie.

- Ta sytuacja była wyjątkowa - odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech.

- Dlaczego?

- Po prostu wyjątkowa. - Niezdarnym ruchem otarł łzy z jej policzków. - Czy już ci lepiej?

- Na pewno. I bardzo... ale to bardzo byłabym wdzięczna, gdybyś' zapomniał o tej mojej

chwili słabości.

- Zawsze jesteś taka twarda?

- Powiedzmy, że nie znoszę płakać.

- Ja też.

Jego odpowiedź wywołała na jej twarzy lekki uśmiech.

- Wiesz, Quinn? Jak się postarasz, potrafisz być całkiem sympatycznym facetem.

- Robię wszystko, żeby nie zdarzało się to zbyt często. - Poglaskał ją po włosach i jeszcze mocniej do siebie przytulił. Odkrył właśnie, że wcale nie jest tak trudno kogoś pocieszyć; że wcale nie tak trudno być komuś potrzebnym. - Dasz radę zasnąć?

- Chyba tak.

- Jutro niedziela. Możesz cały dzień wylegiwać się w łóżku. - Poglaskał ją po plecach. Poczul dreszcz, kiedy natrafił na granicę między jedwabiem koszuli a nagą skórą.

- O trzynastej mam sesję. - Zamknęła oczy i wodziła teraz opuszkami palców po mięśniach na jego barku, nie przestając myśleć o tym, jak miło jest trzymać policzek przy jego szerokiej piersi. - Przychodzi fotograf.

- Możesz ją odwołać.

- Mogę.

- A więc odwołaj. I wypocznij wreszcie. Należy ci się.

- Dzięki.

- Zawsze służę dobrą radą.

Odsunął się od Chantel, ona zaś uniosła głowę i popatrzyła nań z pytającym uśmiechem. Jego dłoń znieruchomiała na jej plecach, jej palce zamarły w bezruchu. Oboje czuli, że wystarczy jeden krok, jeden gest, jedno słowo zachęty, a padną sobie w ramiona. Och, oboje pragnęli tego teraz bardziej niż czegokolwiek!

- Lepiej już sobie pójde.

- Nigdzie nie pójdziesz.

- Dlaczego?

- Bo chcę, byś został. - Zarzuciła mu na szyję ramiona, boleśnie świadoma tego, jak bardzo jest złąkniona ciepła i miłości. Tak, miłości. Choć bowiem było to nieprawdopodobne i niezwykle, czuła w tej chwili, że kocha Quinna Dorana, że zawsze go kochała.

- Chantel... - Quinn poczuł rozkoszne pulsowanie w łądźwiach. Jej dłonie przesuwające

się na jego skórze były takie chłodne, oczy takie ciemne, tak pełne napiętności. - Och, nawet nie wiesz, jak bardzo cię pragnę, Chantel, ale... - ujął ją za nadgarstki - sam nie wiem... jesteś wystraszona, poruszona...

Przygarnęła go mocniej.

- Nie jestem. I dobrze wiem, czego pragnę. - Odwróciła twarz i pocałowała go w podbródek. - Czy nie mówiłeś, że mężczyzna od razu wie, w jaki sposób kobieta na niego patrzy? Czy nie widzisz, jak patrzę teraz na ciebie?

- Mogę się mylić, błędnie interpretować... Może to tylko przywidzenie.

- Nie, Quinn. Chcę się z tobą kochać. Nie dlatego że się boję, ale dlatego że cię pragnę. Dlatego że uwielbiam, kiedy trzymasz mnie w ramionach, kiedy mnie dotykasz, pieścisz...

- Och... - westchnął tylko i poddał się rozkoszy. Coś w nim pękło, zanurzył ręce w jej włosach, przyciągnął do siebie jej twarz i zaczął obsypywać ją gorącymi pocałunkami.

Wszystko nagle stało się jasne i proste. Ona była spragnioną miłości kobietą, on jej tę miłość dawał, niósł ochoczo i poił nią do przesyty. Ona zadawała mu słodkie tortury, kusząc i dawkując kolejne doznania, on przełamywał te bariery i wzbijał się w jej ramionach pod niebo.

Nie było w tym nic czystego, natchnionego, była to zwykła napiętność, zwykły seks, żądza, więziona dotąd nakazami rozumu i woli, a teraz uwolniona i żarłocznie pochłaniająca wszystko - zmysły, serce i duszę.

Quinn nie był w stanie oprzeć się tej żądzy. Nie mógł. Czuł drżenie Chantel, słyszał jej jęk, widział rozwarłe z rozkoszy źrenice. Skórę miała rozpaloną i wilgotną. Ekstacycznie wymawiała jego imię. Tej nocy, choć miała być to tylko jedna noc, wyzwał w niej pasję, jakich ani ona, ani on nigdy nie zaznali i nie zaznają.

Odgął jej głowę, odgarnął włosy, sycił usta delikatnym jak jedwab dotykiem białej szyi. Czuł, jak Chantel sięga dłońmi do suwaka jego dzinsów, jak szarpie za pasek, jak jęczy tęsknie i błagalnie, domagając się coraz intensywniejszych pieszczot. Wpił się wargami w jej piersi, gwałtownym ruchem rozerwał jedwabną koszulę, odsłaniając dwie bujne, mlecznobiałe półkule, a potem z cichym pomrukiem wtargnął językiem w usta Chantel i wziął ją pod siebie.

- Quinn... - westchnęła słodko, czując, jak zalewają ocean rozkoszy. - Quinn... tak... jeszcze... proszę...

Żar, blask, wichura. Na to nie była przygotowana. Chciała mu o tym powiedzieć, ale on zbyt mocno przyciskał wargi do jej ust. A kiedy przyszło uwolnienie, zabrakło jej tchu, by

cokolwiek wyszeptać.

Chantel nie wiedziała, jak się zachować. Czy powinna robić mu wymówki, mieć do niego pretensję? Nonsens, przecież sama chciała, by ją posiadł. Sama dojrzała w nim mężczyznę swego życia i świadomie uwiodła.

Quinn również nie wiedział, co powiedzieć. Wziął ją jak szaleniec, a przecież zasługiwała na większe względy. Gdyby tylko nie stracił nad sobą kontroli...

Ale stracił i teraz było za późno, by cokolwiek naprawić.

Oboje leżeli więc w milczeniu, gdy zaś nagle odwrócili się do siebie i jednocześnie wymówili swe imiona, śmiech okazał się najlepszym wyjściem z krępującej sytuacji.

- Chyba zachowałem się, hm... trochę gwałtownie. - Quinn ujął jej palce i przyłożył sobie do ust.

- Tak uważasz? - Zgarnęła podartą koszulę i podciągnęła jej strzępy pod szyję.

- Możesz potrącić cenę tej koszulki z mego honorarium.

- Dokładnie tak zamierzam zrobić. Dostaniesz dzisiaj tylko trzysta pięćdziesiąt.

- Trzysta pięćdziesiąt? - Wsparł się na łokciu i zaczął z uwagą oglądać podartą koszulę. - Chyba zwariowałaś! Nie jest warta aż tyle.

- Dwa razy więcej. Ale biorąc pod uwagę okoliczności, obniżam jej cenę o połowę. - Uśmiechnęła się i przeciągnęła palcami po jego torsie. - Warto.

- Doprawdy?

- Mhm. Zwłaszcza, że musimy powtórzyć tę scenę.

- Jeszcze jedno ujęcie?

- Właśnie - westchnęła, pochylając się nad Quinnem - Kamera... akcja!

ROZDZIAŁ 8

- Quinn, to zajmie co najmniej dwie godziny. Chantel wysiadła z samochodu i sięgnęła po torbę z rzeczami, leżącą na tylnym siedzeniu.

- Jestem cierpliwy.

- Sesja zdjęciowa jest nudna nawet dla osób biorących w niej udział. A co dopiero mówić o widzach?

- Mną się nie przejmuj.

- Nie mogę. Widząc, jak siedzisz i klniesz w duchu na czym świat stoi, będę spięta. - Wcisnęła guzik domofonu przy drzwiach prowadzących do atelier. - Wszystko to wyjdzie na zdjęciach. A zdjęcia w „The Scene” są dla mnie bardzo ważne.

- Ty jesteś ważniejsza od zdjęć.

Na dźwięk tych słów poczuła, że topnieje jej serce. Wspięła się na czubki palców i musnęła wargami jego usta.

- Doceniam twoją troskę, naprawdę. Ale tutaj jestem absolutnie bezpieczna. Fryzurą zajmie się Margo. Kosmetyczkę wprawdzie wynajęliśmy, ale kiedyś już z nią pracowałam - Alice Cooke, porządna kobieta.

- A fotograf? - zapytał Quinn. - Nie zamierzam zostawiać cię sam na sam ani z Bryanem Mitchellem, ani z żadnym innym mężczyzną.

- Zazdrosny?

- Tylko ostrożny.

- Słucham, tu Bryan Mitchell - rozległ się w głośniku domofonu niski, ciepły głos.

- Cześć, Bryan. Tu Chantel O'Hurley. Mam sesję o trzynastej.

- Co za punktualność. - Urządzenie zahuczało, zamek się zwolnił i Chantel pchnęła przed siebie ciężkie drzwi.

- Bryan Mitchell to niezwykła osoba o olśniewającej urodzie i cudownych blond włosach - poinformowała Quinna, gdy szli po schodach. - Przyjaźnimy się od lat.

- Tym bardziej nie zostawię cię z nim bez opieki. Dopóki nie doprowadzę sprawy do końca, jedynym mężczyzną, z którym będziesz mogła przebywać sam na sam, jestem ja.

- Cóż, to mi się nawet podoba - mruknęła Chantel, obejmując go za szyję i ponownie całując w usta. Uśmiechnęła się jeszcze do niego przebiegle, a potem nacisnęła dzwonek przy

drzwiach z napisem „Bryan Mitchell. Fotografia artystyczna”, i po chwili ich oczom ukazał się sam - a właściwie sama - Bryan Mitchell, jako że „niezwykła osoba o olśniewającej urodzie i cudownych blond włosach” okazała się... kobietą.

- Witaj, Bryan. To jest właśnie Quinn Doran, o którym ci opowiadałam. - Chantel położyła dłoń na ramieniu partnera.

- Miło mi - przywitał się Quinn i spojrzał znacząco na Chantel.

- Witajcie, kochani, w samym środku chaosu! - Bryan szybko wprowadziła ich do środka.

- Przepraszam za bałagan. Chantel, wiesz, gdzie są zimne napoje. Na zapleczu fryzjerka kłóci się właśnie z kosmetyczką na temat mody. Osobiście nie chcę mieszać się w spory, czy ruda farba wraca do łask, czy nie. Przygotuj się i zaczynamy.

Podeszła do pootwieranych białych parasoli i zaczęła ustawiać je tak, by uzyskać jak najlepsze oświetlenie wnętrza, Chantel zaś zaprowadziła Quinna do niewielkiego, zagraconego pomieszczenia na zapleczu, które służyło za garderobę, zerknęła do lodówki i jeszcze raz zapytała:

- Naprawdę chcesz tu ze mną siedzieć? Cała impreza zajmie co najmniej trzy godziny, już to wiem. Nie masz nic lepszego do roboty?

Quinn rozejrzał się niepewnie wokół. Siedział na stosie damskiej bielizny, otoczony starymi numerami magazynów o modzie, a zza ściany do jego uszu dobiegał jazgot, jaki robiły dwie kobiety, wiodące teraz zaciekły spór na temat skuteczności maseczek w walce z „kurzymi stopkami” w kącikach oczu.

- Hm, pomysłów mam wiele.

- Więc zajmij się swoimi sprawami. - Chantel odstawiła butelkę z wodą i ujęła jego dłonie. - Kilka miesięcy temu, po serii włamań w tej okolicy, Bryan założyła supersystem alarmowy. Nikt tu nie wejdzie, jeśli sama go nie wpuści. Przebywać będę w towarzystwie kobiet, więc przez najbliższe godziny możesz spokojnie zająć się czymś ciekawszym.

- Może masz rację. Osilek jest kilka przecznic stąd.

- Jaki znów osilek?

- Siłownia - wyjaśnił, kładąc jej dłonie na biodrach.

- Masz na myśli salę tortur, gdzie mężczyźni pocą się, stękają i jęczą, płacąc za to niemałe pieniądze?

- Mniej więcej. - Wydarł z notesu kartkę i zapisał na niej numer telefonu. - Kiedy

skończysz, zadzwoń do mnie. Przyjadę po ciebie. - Pochylił się i delikatnie ugryzł ją w wargę. - A teraz idź i zrób się na bóstwo.

- Czy już teraz nie wyglądam jak bóstwo? - zapytała przekornie, odwzajemniając pieszczotę.

Quinn westchnął tylko i przeciągnął dłonią po jej gładkim policzku.

Tak, musi pójść na siłownię i wypocić z siebie to szaleństwo, wyładować rozsadzającą go energię. Jeśli tego nie zrobi, to za chwilę rzuci się na nią i będzie się kochał z Chantel, nie zważając na miejsce i świadków.

Wyszedł szybko i Chantel została sama. Oparła się o lodówkę i pokręciła bezradnie głową. Wiedziała już, że go kocha. Wczoraj sądziła jeszcze, że to może tylko oszołomienie, zawrót głowy wywołany poczuciem zagrożenia, a potem cudownymi przeżyciami księżycowej nocy. A jednak nie - gdy obudziła się rano, wiedziała, że jej serce wybrało wbrew niej.

Zapewne to był błąd, okropny błąd, ale było już za późno, by go naprawić.

I co teraz, pytała się natrętnie. Czy ten dziwak i samotnik pocałuje ją na pożegnanie po wykonaniu zadania i odejdzie na zawsze? Zapewne...

Nie, nie odejdzie, postanowiła nagle. Nie odejdzie tak długo, jak ona będzie chciała go zatrzymać. Użyje wszystkich znanych jej środków, by nie odszedł i nie zostawił jej samej.

- Chantel, wszystko gotowe! - W jej myśli wdarł się głos zza ściany.

- Idę! - odparła, przeszła do studia i oddała się posłusznie w ręce Bryan.

Chantel lubiła wspólne sesje z Bryan Mitchell. Przyjaźniły się, a poza tym odpowiadał jej styl pracy tej artystki. Bryan pracowała dokładnie, powoli, a mimo to z intuicją i entuzjazmem.

- Nie zapytałam, jak miewa się Shade - zagadnęła.

- Połóż prawą dłoń na lewym ramieniu - poleciała Bryan. - Tak, teraz rozłóż palce. Dobrze. Shade? Jest fantastyczny. Siedzi w domu i zmienia pieluchy.

- Chciałabym to zobaczyć.

- Świetnie sobie radzi. Jest znakomicie zorganizowany.

- Muszę przyznać, że nie widać po tobie, że dwa miesiące temu urodziłaś dziecko.

- Nie gadaj. Wyglądam strasznie. To kołowrót, Chantel, nie mam nawet czasu odpocząć i dobrze zjeść. Wiesz co? Unieś trochę brodę... o, właśnie tak - Ustawiła aparat fotograficzny pod innym kątem. - Andrew Colby waży pięć kilo i jest tylko jeden, a nabiegasz się przy nim, jakbyś prowadziła żłobek.

- Ale i tak masz bzika na jego punkcie.

- Mam. - Bryan rozpromieniła się. - To fantastyczne dziecko. Nakręciliśmy już z Shadem z pół kilometra taśmy filmowej. Boże, żebyś ty go widziała. Wczoraj na przykład... - Urwała i parsknęła śmiechem. - Nie, dosyć. To już staje się moją obsesją. Wiem, że nie każdy lubi wysłuchiwać takich szczebiotów.

- Dlaczego, to urocze - odrzekła szybko Chantel, choć poczuła w sercu ukłucie zazdrości.

- Widzisz, nigdy nie mogłam wyobrazić sobie siebie w roli matki. - Przesunęła statyw z aparatem. - A teraz nie wyobrażam sobie życia bez tego malucha i bez Shade'a.

- Odpowiedni mężczyzna potrafi wszystko zmienić - powiedziała Chantel z rozmarzeniem.

- Mhm. Dobra, teraz się odwróć i popatrz na mnie przez ramię. I trochę się nachmurz. Jeszcze bardziej. Jeszcze. Co jest, Chantel? Patrzyć, jakbyś... - uśmiechnęła się do siebie, a potem szybko, cztery razy pod rząd, nacisnęła spust migawki. Wiesz co, Chan? - zapytała i popatrzyła na nią znad aparatu. - Zawsze miałaś fotogeniczną twarz, ale takiej nagrody się nie spodziewałam.

- Jakiej znów nagrody?

- Musisz wiedzieć, że nie istnieje większa przyjemność jak fotografowanie zakochanej kobiety.

Chantel obrzuciła Bryan przeciągłym spojrzeniem.

- Aż tak to widać?

- A chciałabyś to ukryć?

- Nie... tak. Zresztą sama nie wiem. - Przeciągnęła ostrożnie ręką po włosach. - Nie chciałabym zrobić z siebie idiotki.

- Cóż, zakochani z reguły tracą zdrowy rozsądek. Ale sądzę, że jakoś sobie poradzisz.

- A jak ty sobie poradziłaś z Shadem?

- Ty pytasz mnie, jak postępować z mężczyznami?

Chantel pokiwała tylko smutno głową.

- No dobra. Powiedz mi na przykład, czy czułaś, że masz ochotę go zamordować?

- O, i to kilka razy!

- Prawidłowo. To znaczy, że sprawa jest na dobrej drodze. Mogę ci jedynie poradzić, byś pozwoliła, aby wypadki potoczyły się same. Poza tym na twoim miejscu nie marnowałabym

reszty weekendu.

W siłowni śmierziało potem, słychać było łoskot żelastwa, stękanie atletycznie zbudowanych mężczyzn i przekleństwa. Kiedy Chantel weszła na salę, najpierw spostrzegła młodego człowieka, który za pomocą metalowych linek i bloczków podnosił miarowo parudziesięciokilowe ciężary. Ćwiczył równo, na szyi pulsowały mu żyły, gdy jednak ujrzał przed sobą Chantel, opadła mu szczeka, wypuścił uchwyt linek, a ciężar z głośnym hukiem spadł po prowadnicach. Chantel przesłała mu promienny uśmiech i poszła dalej.

Ostrożnie wyminęła ławeczkę z wyciskającym sztangę atletą. Ten przestał kłać, odłożył sztangę i gapił się na Chantel z wytrzeszczonymi oczyma. Nie upłynęło dziesięć sekund, kiedy w siłowni zapadła głucha cisza. Wszyscy ćwiczący zaprzestali swoich ćwiczeń i patrzyli teraz na idącą kołyszącym się krokiem piękność, która w tym otoczeniu zdawała się duchem albo fatamorganą, ale nie kobietą z krwi i kości, która z własnej woli zawitała do tej jaskini męskiego barbarzyństwa.

Jedynie Quinn nie zauważył, że sala ucichła. Odwrócony do wszystkich plecami, w zapamiętaniu grzmocił w gruszkę bokserską, a wyglądał przy tym imponująco. Stał na rozstawionych nogach, wzrok miał skupiony, na plecach przeżyły mu się mięśnie. Niewielki, brązowy worek furczał w powietrzu pod gradem nieustannych ciosów. Chantel podeszła do niego, odczekała chwilę, aż wreszcie położyła mu delikatnie dłoń na ramieniu i powiedziała słodkim głosem:

- Cześć, kochanie.

Natychmiast zerknął za siebie ze zdumieniem.

- Chantel? Co ty tu, do licha, robisz?

- Patrzę, jak trenujesz. - Dotknęła palcem gruszki treningowej. - Powiedz mi, dlaczego z takim zapamiętaniem walisz w ten worek?

- Miałas zatelefonować!

- Nabrałam ochoty na spacer. Poza tym... chciałam poznać to miejsce, w którym spędzają wolny czas mężczyźni tacy jak ty. - Rozejrzała się z namysłem po sali. - Fascynujące.

Quinn ponownie cicho zaklął i chwycił ją za ramię.

- Chyba rozum straciłaś. To miejsce nie jest dla ciebie.

- Dlaczego?

Nie odpowiedział, tylko pociągnął ją za łokieć i poprowadził szybko w stronę wyjścia. Po

drodze Chantel ponownie przesłała szeroki uśmiech mężczyźnie podnoszącemu ciężary i tak jak chwilę wcześniej gdy sztangi znów załomotał o widełki.

- Uspokój się - warknął Quinn. - Rizzo! - zawołał do właściciela i szefa siłowni - zadekujemy się na chwilę w twoim biurze, zgoda?

- Co to za Rizzo? - zapytała Chantel. - Umieram z ciekawości.

- Zaniknij się. Z takimi nogami nie powinnaś się tu pojawiać.

- Innych nie mam.

- Siadaj - powiedział, wskazując jej odrapane krzesło. - I co mam teraz z tobą zrobić?

- Masz aż tyle możliwości?

- Do cholery, naprawdę nie mam ochoty na żarty. - Znalazł na zagraconym biurku pomietą paczkę cameli, wytrząsnął papierosa i zapalił go zapalniczką - Przecież się umawialiśmy, Chantel. Miałaś zadzwonić.

- O rany, popołudnie jest takie piękne, a siłownia była tak blisko. Rzadko mam okazję powłóczyć się po Los Angeles. Jeśli jeszcze mi powiesz, że nie mogę przejść samotnie dwóch przecznic po zatłoczonej ulicy, to zacznę krzyczeć z rozpacz. - Zerknęła w stronę drzwi. - Poza tym nie wyobrażam sobie jakoś, by ci twoi... koledzy mogli zrobić mi krzywdę.

Quinn głęboko zaciągnął się papierosem, wypuścił długą smugę dymu i ze złością zgniótł niedopałek.

- Wszystko jedno. Nie będziesz się nigdzie ruszać beze mnie. Dałem ci wyraźne instrukcje i miałam nadzieję, że się do nich zastosujesz.

- Och, daj spokój. - Wstała i położyła dłoń na jego nagim torsie.

- Zostaw. Spociłem się jak świnia.

- Widzę. Nie wiem, co tak przyciąga mężczyzn do miejsc, w których cuchnie starymi skarpetkami, ale teraz przynajmniej wiem, skąd masz taką muskulaturę. - Popatrzyła mu uważnie w oczy. - Mogłabym taką samą siłownię urządzić u siebie w domu.

- Nie zmieniaj tematu.

- Dlaczego się tak przejmujesz, Quinn? Przecież za miniony tydzień już ci zapłaciłam.

- Nie dbam o te przekłete pieniądze!

- A o co dbasz?

- O ciebie - wycedził przez zęby i odwrócił się szybko. - Nie rób więcej takich numerów, dobrze?

- Dobrze. Przepraszam.
- Idę pod prysznic. Zaczekaj tu na mnie.
- Czy długo zamierzasz się złościć?
- Jeszcze zobaczę.

Przez pierwszy kwadrans powrotnej drogi do domu w samochodzie panowało głucho milczenie. Wreszcie Quinn nie wytrzymał wyczekujących spojrzeń Chantel i odwrócił się zniecierpliwiony w jej stronę.

- Przecież się nie złościę.
- Cały czas zaciskasz zęby.
- Ciesz się, że tylko to.
- Quinn, przecież już cię przeprosiłam. Nie zamierzam robić tego ponownie.
- Nikt cię o to nie prosi. - Wziął ostry zakręt i zredukował bieg. - Jestem tylko ciekaw, czy naprawdę zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji.

- Sądzisz, że nie traktuję tej sprawy poważnie?
- Po twoim dzisiejszym wyczynie tak właśnie myślę.

Poprawiła się w fotelu. Wiatr rozwiął jej włosy i teraz z kolei ona wpadła w złość.

- Powiem ci coś. Ty chyba za bardzo przejąłeś się swą rolą! Przestań traktować mnie jak dziecko. Doskonale zdaję sobie sprawę z grożącego mi niebezpieczeństwa. Pamiętam o tym każdego dnia i każdej nocy. Za każdym razem, kiedy dzwoni telefon i przychodzi poczta. Nie sądzisz, że mogę mieć dość tego nieustannego wyczekiwania, koncentracji, tej ciągłej obawy? Jeśli nie oderwę się od tego choćby na godzinę, po prostu zwariuję. A mam szczerzy zamiar przetrwać to wszystko. Nie krzycz więc na mnie, tylko spróbuj zrozumieć.

Odsunęła się od niego i w samochodzie znów zapadło milczenie. Quinnowi zrobiło się głupio. On miał swoje racje, a Chantel swoje - równie ważne. Tylko pozornie była beztroska, naprawdę bowiem spalał ją strach. W towarzystwie nadrabiała miną i starała się być dzielna, ale przecież nie była na tyle głupia, by dobrowolnie rzucać się w ramiona szaleńca.

Do Ucha, tak bardzo chciał, żeby coś wreszcie zaczęło się dziać. Przebywali ze sobą już trzeci tydzień, a on wciąż tkwił w martwym punkcie. Ale prawdę mówiąc, nie to było najgorsze. Najgorsze było to, że w istocie musiał sobie wmawiać, że czeka na rychłe rozstrzygnięcie. Zdawał sobie sprawę, że jego obecność u boku Chantel zależy wyłącznie od tego, jak szybko popelni pierwszy błąd jej wielbiciel i prześladowca. Bo przecież kiedy już go złapią i on, Quinn,

wykona swoje zadanie, Chantel wypisze mu czek i da buziaka na do widzenia. Nic więcej.

Jechali właśnie wzdłuż wysokiego muru rezydencji, gdy Quinn zorientował się, że ta chwila może nastąpić znacznie szybciej niż się spodziewał.

Oto bowiem przed główną bramą dojrzał zaparkowane auto, którego nigdy wcześniej nie widział w tej okolicy.

Natychmiast zatrzymał samochód. Może zdesperowany wielbiciel talentu i urody panny O'Hurley nie wytrzymał i nie zważając na nic, postanowił osobiście ją odwiedzić. Z daleka tak właśnie to wyglądało.

- Dlaczego się zatrzymujesz? - zapytała Chantel ze zdziwieniem.

- Przed bramą stoi jakiś samochód. Mężczyzna, widzisz? Awanturuje się.

- Chyba nie sądzisz, że to... - Nerwowo zwilżyła językiem wargi. - Przecież nie podjechałby tak po prostu pod bramę.

- Sprawdźmy. - Quinn wyciągnął kluczyki ze stacyjki i otworzył skrytkę. Wyciągnął z niej rewolwer, który w niczym nie przypominał jej małego pistoleciku.

- Quinn...

- Zostań tu.

- Nie chcę.

- Nie dyskutuj.

- Nie pozwolę, żebyś sam...

Od strony bramy dobiegł podniesiony głos awanturującego się mężczyzny i Chantel gwałtownie zacisnęła rękę na ramieniu detektywa.

- Nie bój się, skarbie.

- Nie ma czego - roześmiała się cicho. - Boże świąty, uszom nie wierzę! Nie wierzę - powtórzyła i zanim Quinn zdołał ją powstrzymać, wyskoczyła z auta i zaczęła pędzić w stronę bramy.

- Chantel! - Wypadł za nią z bronią gotową do strzału.

- To tata! - wrzasnęła z całych sił, odwracając roześmianą twarz w jego stronę. - To tata! Mój ojciec! Tato! - wykrzyknęła, rozkładając szeroko ramiona.

Frank O'Hurley przerwał dyskusję z pilnującym bramy strażnikiem, a na jego twarzy rozlał się szeroki uśmiech.

- Moje dziecko! - wykrzyknął, ruszając córcę na spotkanie. Chwycił ją w ramiona i nie

wypuszczając z objęć, obrócił kilka razy. - Co słyhać u mojej małej księżniczki?

- O rany, tato! Jestem kompletnie zaskoczona! - Ucałowała spontanicznie jego wygolone policzki. Jak zwykle pachniał wodą kolońską i miętową gumą do żucia. - Nie wiedziałam, że masz zamiar przyjechać.

- Potrzebuję specjalnego zaproszenia?

- Nie opowiadaj głupstw.

- A więc powiedz to temu młodzieńcowi za bramą Bałwan nie chciał mnie wpuścić nawet wtedy, Medy powiedziałem mu, kim jestem.

- Przykro mi, panno O'Hurley. - Pilnujący bramy strażnik przeszył Franka ostrym spojrzeniem. - Nie wolno mi nikomu wierzyć na słowo.

- W porządku, nic wielkiego się nie stało.

- Nic wielkiego się nie stało? - wykrzyknął Frank, ponownie wpadając w złość. - Czy to w porządku, że twojego ojca traktują tu jak intruza?

- Tato, nie szalej - powiedziała Chantel, wygładzając klapy jego marynarki. - Musiałam wzmocnić ochronę, to wszystko.

- Dlaczego? - Na twarzy Franka pojawił się cień niepokoju. - Coś się stało?

- Nic takiego. Porozmawiamy o tym później. A teraz... o rany, tak się cieszę, że cię widzę!

- Spojrzała na jego zakurzony samochód. - A gdzie mama?

- W salonie piękności. Wysiadła wcześniej, żeby zrobić się na bóstwo. Dojedzie taksówką. Ja wolałem przyjechać od razu.

- Ale powiedz, co robicie w Los Angeles. Jak długo zamierzacie zostać? Co...?

- Na Boga, dziewczyno, na wszystko przyjdzie czas. Najpierw muszę splukać z gardła kurz. Jedziemy prosto z Las Vegas.

- Z Las Vegas? Nie wiedziałam, że macie tam występy.

- Jak zwykle niczego nie wiesz. - Pstryknął ją w nos i zerknął przez ramię na samochód, którym podjechał Quinn. - A to kto znowu?

- Quinn, Quinn Doran, mój... Masz rację, tato, lepiej będzie porozmawiać w środku... Mam dwunastoletnią irlandzką whisky.

- Wreszcie gadasz z sensem - mruknął Frank, wskoczył do swego auta i minął z fasonem otwartą już teraz bramę.

- To naprawdę jest twój ojciec? - zapytał Quinn, kiedy Chantel zajęła miejsce obok niego.

- Tak. Nie spodziewałam się jego wizyty, ale to nic nowego. Czy możesz już schować broń? Nie chcę w to wszystko wtajemniczać rodziców. Choroba, chyba muszę szybko coś wymyśleć. Tata widział tego ochroniarza, twoich ludzi patrolujących teren za murem... Już zdążył się zaniepokoić.

- Dlaczego nie chcesz powiedzieć mu prawdy?

- Nie chcę ich niepokoić. Widujemy się zaledwie trzy, cztery razy do roku, a tu taki pasztet. - Popatrzyła na Quinna, który zwalniał właśnie przy końcu podjazdu. - Tylko jak wyjaśnić mu twoją obecność?

- Ano właśnie. - Quinn uśmiechnął się pod nosem.

- No proszę! - zawołał do nich Frank, wysiadając ze swego samochodu. - Widzę, że wreszcie towarzyszy ci przystojny, silny mężczyzna.

- Pozwól, Quinn, to mój ojciec, Frank O'Hurley. A to - Chantel zwróciła się do ojca - Quinn Doran, poznajcie się.

- Miło mi. - Frank podał Quinnowi dłoń i mocno nią potrząsnął. - Czy mogę cię, synu, prosić o pomoc we wniesieniu mojego bagażu?

Chantel uśmiechnęła się pod nosem, kiedy ojciec otworzył bagażnik i sam wyjął z niego niewielką torbę podróżną, zostawiając Quinnowi dwie wielgachne walizy.

- Nic się nie zmieniłeś - mruknęła, biorąc go pod ramię.

- O co ci chodzi? Tylko go sprawdzam - odparł dyskretnie. - Na razie zostaw na dole te kufry - zawołał do Quinna. - Wrócisz po nie później.

- Dziękuję panu - odparł detektyw z sarkazmem, a Chantel znów roześmiała się wesoło.

- Przejdźcie do salonu i weźcie sobie coś do picia - poleciła. - Ja pójdę powiadomić kucharza, że na kolacji będą jeszcze dwie osoby. Quinn - rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie - pamiętaj, że... tata lubi irlandzką whisky.

- Cóż, synu, wprawdzie jeszcze cię nie znam - zagadnął Frank, kiedy zostali sami - ale napić się możemy. - Wszedł pewnym krokiem do salonu i ruszył prosto do barku. - Czego się napijesz?

- Szkockiej.

- Proszę uprzejmie. - Frank napełnił szklaneczkę i rozejrzał się ciekawie po butelkach. Chrząknął z zadowoleniem, widząc irlandzką whisky i nalał sobie sporą porcję. - A więc nazywasz się Quinn... Wypijmy za zdrowie mojej córki, Quinn. - Nie zwracając uwagi na to, że

piją z drogich, kryształowych szklanek, uderzył mocno w szkło Quinna, a potem wychylił szybko alkohol i sapnął z zadowoleniem. - O, tak, ten trunek raduje moje serce. Siadaj, synu, siadaj. - Gestem serdecznego gospodarza wskazał krzesło, a sam usiadł na innym. - Powiedz mi, co też porabiasz w domu Chantel...

- Już jestem, tato! - Wdzięczna losowi za to, że pozwolił jej przybyć w najodpowiedniejszej chwili, Chantel przysiadła na poręczu krzesła ojca. - Bardzo cię wymęczył, Quinn? - spytała z udawaną troską. - Musisz mu wybaczyć. Tato jest kochany, ale czasem zbyt bezpośredni.

Quinn przez chwilę studiował trzymaną w dłoni szklankę.

- Zadał mi pytanie całkiem na miejscu.

- No właśnie - Frank skinął pogodnie głową - mieliśmy sobie właśnie pogawędzić na temat tego...

- Powiedz mi najpierw, co porabialiście z mamą w Vegas - odezwała się szybko Chantel, przyglądając ojcu włosy.

- Powiem - odrzekł, pociągając ze smakiem whisky - ale najpierw ty mi powiesz, dlaczego trzymasz przed bramą tego tresowanego goryla.

- Już ci wyjaśniałam, że musiałam wzmocnić ochronę domu - odparła i chciała wstać, lecz Frank zdecydowanie położył dłoń na jej kolanie.

- Już ty mi tu nie kręć, księżniczko.

Chantel westchnęła z rezygnacją. Wiedziała, że skoro ojciec raz nabrał podejrzeń, wszelkie dalsze wykręty są bezużyteczne.

- No dobrze, tato, powiem ci. Zaczęłam otrzymywać niepokojące telefony i doszłam do wniosku, że trzeba wzmocnić ochronę.

- Jakie telefony?

- Po prostu niemiłe.

- Chantel - pogroził jej palcem. Zbyt dobrze znał swoją córkę, by uwierzyć, że zaniepokoiło ją kilka niemiłych telefonów. - Mów prawdę. Czy ktoś ci groził?

- Nie, to nie tak. - Spojrzała błagalnie na Quinna, lecz on pokręcił tylko głową i powiedział:

- Moim zdaniem powinnaś powiedzieć ojcu wszystko.

- Dzięki za pomoc.

- Ty milcz! - burknął do córki Frank nieznoszącym sprzeciwu tonem i Chantel natychmiast zamknęła usta. - Widzę, że ty mi powiesz, co się tu dzieje, synu - zwrócił się do Quinna. - I jaki jest twój związek z tą sprawą.

- Quinn... - Chantel rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Zamknij się i milcz, Chantel Margaret Louise O'Hurley! - huknął Frank, a Quinn uśmiechnął się pod nosem, widząc, jak ojciec skutecznie ucisza niesforną córkę. - Rzadko stosuję ten ton, żeby nie spowszedniał - wyjaśnił mu starszy pan i dokończył spokojnie whisky. - A teraz mów, słucham cię uważnie.

Quinn krótko zreferował sprawę, w miarę zaś jak przedstawiał kolejne fakty, Frank coraz bardziej marszczył brwi i coraz silniej zaciskał palce na kolanie córki.

- Oblesny sukinsyn! - syknął wreszcie z nienawiścią, gdy poznał wszystkie szczegóły. - Skoro jesteś detektywem, to dlaczego, do cholery, jeszcze go nie przyskrzywił?

- Jak dotąd nie popełnił żadnego błędu - wyjaśnił Quinn, odstawił szklanekę i popatrzył spokojnie w rozwścieczoną twarz Franka. - Ale popełni, a wtedy będę go miał. Niech się pan nie martwi, panie O'Hurley.

- Jeśli skrzywdzi moją dziewczynkę...

- Nawet się do niej nie zbliży. Najpierw będzie miał do czynienia ze mną.

Frank zapanował nad gniewem i zmierzył Quinna Dorana pełnym uznania wzrokiem. Znał się na ludziach. Mężczyzna, który siedział obok niego, był odważny i twardy jak skała. Gdyby miał komukolwiek powierzyć bezpieczeństwo swej córki, to właśnie takiemu człowiekowi.

- Rozumiem, że w związku z tą sprawą zamieszkałeś w domu Chantel.

- Oczywiście. I nie dam jej zrobić krzywdy. Ma pan moje słowo.

- W porządku. - Na twarzy Franka pojawił się lekki uśmiech. - Ale jeśli coś jej się stanie, obedrę cię żywcem ze skóry. No a poza tym możesz mówić mi Frank.

- A czyja mogłabym coś wtrącić? - odezwała się Chantel.

- Proszę uprzejmie, dziecko. I nie rób takiej miny - ojciec skarcił córkę, podszedł do niej i ujął w dłonie jej twarz. - Z takim problemem powinnaś natychmiast zgłosić się do kogoś z rodziny.

- Nie było sensu was niepokoić.

- Nie było sensu?

- Wiesz przecież, tato, że pod koniec tygodnia Maddy wychodzi za męża, że Abby jest w ciąży, a Trace...

- O nim zapomnij - przerwał jej szorstko. - Trace ^A najwyraźniej nie interesują sprawy naszej rodziny. Trudno, jego wybór.

- Ależ tato, po tak długim czasie...

- Dobrze, nie zmieniaj tematu - uciął rozdrażniony. - Mamy prawo wiedzieć o twoich kłopotach, nie sądzisz?

Nie był to najstosowniejszy moment, by wstawiać się za bratem. Teraz należało przede wszystkim uśmierzyć niepokój ojca.

- W porządku - powiedziała Chantel, całując go w policzek. - Teraz wiecie już o wszystkim i sam widzisz, że nie ma powodów do niepokoju. Mam fachową ochronę i jestem ostrożna.

- W to pierwsze nie wątpię, a drugie... - Nie zdejmując ręki z ramienia córki, Frank popatrzył na Quinna. - W piątek wybieramy się całą rodziną do Nowego Jorku na ślub naszej córki. Pojedziesz z nami? - zapytał wprost.

- Nie widzę potrzeby, żeby Quinn musiał... - zaczęła Chantel, lecz Quinn przerwał jej bezceremonialnie:

- Pojadę.

- No tak. Chyba nie jestem tu wam do niczego potrzebna - odrzekła obrażona i ruszyła do wyjścia - Bawcie się sami. Pójdę umyć głowę.

- Niezły z niej numer, co? - mruknął Frank do Quinna, kiedy zostali sami.

- Słabo powiedziane.

- Irlandka. Każdy z nas jest albo poetą, albo wojownikiem. A O'Hurleyowie po trochu tym i tym.

- Z niecierpliwością czekam chwili, kiedy poznam resztę rodzinki.

- Spodoba ci się, synu, zobaczysz. Powiedz mi tylko jeszcze jedną rzecz. Czy kiedy już załatwisz tę sprawę, masz zamiar w dalszym ciągu... mieć Chantel na oku?

Detektyw spojrzał szczerze w oczy stojącego przed nim mężczyzny.

- Tak. I to bez względu na to, czy będzie jej się to podobać, czy nie.

Frank parsknął śmiechem i poklepał go po ramieniu.

- Podobaś mi się, Quinn. Zostaw tę szkocką, może popróbujesz ze mną irlandzkiej?

ROZDZIAŁ 9

- Mamo, przecież naprawdę nie musisz tego robić sama! - zawołała Chantel, widząc, jak Molly O'Hurley ostrożnie przekłada ułożoną w walizce jedwabną marynarkę cienką bibułą. - Dlaczego nie wezwiesz pokojówki? W końcu za to jej płacę.

Molly pogardliwie machnęła ręką.

- Nigdy nie umiałam rozmawiać z pokojówkami.

Chantel popatrzyła z westchnieniem na niezapełnioną jeszcze walizkę i rząd zawieszonych w szafie sukienek. Pierwsze dwadzieścia lat życia spędziła na nieustannym pakowaniu się i rozpakowywaniu, ale od dawna już, dla samej zasady, tego nie robiła i zatrudniała do podobnych zajęć służbę. Czy jednak można było przekonać matkę?

- Wybacz, że przez te dni nie miałam dla was zbyt wiele czasu.

- Nie bądź niemądra. - Molly rozwinęła więcej bibuły. - Jesteś w trakcie zdjęć do filmu. Wcale nie spodziewaliśmy się, że będziesz nas zabawiać.

- Tata strasznie się ucieszył, kiedy zabrałam go na plan. Sądzę jednak, że nie powinien był kłócić się z reżyserem o dekoracje. Na szczęście Mary ma poczucie humoru.

- Na szczęście - mruknęła Molly i przez chwilę pakowały ubrania w milczeniu. - Posłuchaj, Chantel, bardzo się o ciebie niepokoiemy.

- Mamo, tego właśnie bym nie chciała...

- Kochamy cię.

- Wiem. Dlatego nie chciałam wam mówić o tym wszystkim. Dostyc się o mnie namartwiliście, kiedy byłam nastolatką.

- Chyba nie sądzisz, że rodzice przestają się martwić o własne dzieci, gdy te skończą dwadzieścia jeden lat?

- Nie, nie sądzę - odpowiedziała z uśmiechem, podając Molly zestaw do makijażu. - Ale z całą pewnością gdy dziecko dorasta, rodzice mają znacznie mniej zmartwień.

- Pewnego dnia przekonasz się na własnej skórze, że wcale tak nie jest.

- Mimo to nie chcę, by moje kłopoty miały wpływ na całą rodzinę.

- Zmartwienia jednego są zmartwieniami pozostałych - odparła sentencjonalnie Molly i Chantel mirro woli wybuchnęła śmiechem.

- No tak. Jak to u Irlandczyków.

- A dlaczego miałyby być inaczej? Zastanawiamy się nawet z ojcem, czy po weselu nie wrócić z tobą do Los Angeles.

- Wrócić ze mną? To niemożliwe. Przecież macie kontrakt w New Hampshire.

Molly starannie złożyła parę płóciennych spodni i lekko się uśmiechnęła.

- Występujemy, córeczko, od ponad trzydziestu pięciu lat i naprawdę nie sędzę, żeby zerwanie jednego kontraktu bardzo nam zaszkodziło.

- Nie. - Chantel odstawiła na bok flakony perfum i dotknęła dłonią ramienia matki. - Nie umiem nawet wyrazić, ile to dla mnie znaczy, ale... Ale co to właściwie wam da?

- Będziemy razem z tobą.

- Nie, mamó, nie możecie tego zrobić. Sama widziałaś, jak rzadko bywam w domu. A praca nad tym filmem zajmie mi jeszcze kilka tygodni. Nie zniosłabym myśli, że siedzicie tu sami i myślicie o wszystkich tych kontraktach, które wam przepadły z mojego powodu. Przecież nie wytrzymacie tej beczynności.

- Też o tym myśleliśmy. - Molly westchnęła ciężko i pogładziła córkę po włosach. - Po prostu martwię się o ciebie, córeczko. Zawsze o ciebie martwiłam się najbardziej.

- Bo nie byłam łatwym dzieckiem.

- Miałaś silną osobowość, podobnie jak Tracę, który też poszedł własną drogą. Twój ojciec nigdy tego nie rozumiał, aleja tak. W jakiś sposób zawsze wiedziałam, że Abby i Maddy łatwiej ułożą sobie życie; nawet wtedy gdy Abby przeżywała piekło pierwszego małżeństwa. Ale Tracę albo ty... Zawsze martwiłam się, że przegapisz coś ważnego, co leży pod nogami i jest na wyciągnięcie ręki, a przegapisz to dlatego, że zawsze patrzysz daleko w przyszłość. Wielkie cele, wielka kariera, wielka fortuna, wielka sława... A ja chcę tylko, żebyś była po prostu szczęśliwa.

- Jestem, mamó. W ciągu ostatnich tygodni... mimo całej tej sprawy na głowie... coś w sobie odkryłam.

- Quinn?

- Zgadłaś. - Chantel uśmiechnęła się smutno. - Widzisz? Wszyscy wiedzą, co do niego czuję, tylko nie on - powiedziała i podeszła powoli do okna.

Molly zdążyła już wyrobić sobie zdanie na temat Quinna Dorana. Nie był ani człowiekiem łatwym, ani delikatnym, ale też i jej córka nie potrzebowała łatwego i delikatnego mężczyzny.

- Cóż, mężczyźni w większości są tępi - odezwała się. - Dlaczego sama mu o tym nie

powiesz?

- Nie. - Chantel dotknęła twarzą szyby i oparła dłonie na parapecie. - W każdym razie jeszcze nie teraz. Może to zabrzmieć głupio, ale chcę... żeby on pierwszy... On musi mnie szanować, rozumiesz, mamó? Mnie - powtórzyła z naciskiem. - Musi szanować mnie za to, jaka jestem, a ja muszę wiedzieć, że dla niego nie jest to tylko przygoda i chwilowa zachcianka.

- Nie możesz mierzyć wszystkich mężczyzn miarą Dustina Price'a.

- Wcale tego nie robię - odparła ze złością Chantel, lecz widząc spokojny wzrok matki, natychmiast zapanowała nad sobą. - Wcale nie. Ale takich rzeczy łatwo się nie zapomina.

- To prawda, ale nie można też wciąż się do nich odnosić. Czy mówiłaś o Dustinie Quinnowi?

- Jak mogłabym, mamó? I tak wszystko jest już takie skomplikowane. Po co jeszcze powiększać zamęt? Poza tym to zdarzyło się tak dawno temu.

- Ufasz mu?

- Quinnowi? Ufam.

- I sądzisz, że nie zrozumiałby? Chantel milczała przez chwilę.

- Gdybym była pewna, że mnie kocha, że łączy nas prawdziwe uczucie, wyznałabym mu wszystko, nawet historię z Dustinem.

- Takiej gwarancji ci nie dam. Ale muszę powiedzieć, że gdybym nie miała pewności, że on cię obroni, sama nie odstępowałabym cię na krok. To dla niego osobista sprawa, jego troska wydaje się autentyczna. Nie chodzi mu wcale o pieniądze, które bierze za ochronę.

- Wiem. Mówił mi to. I rzeczywiście przy nim czuję się bezpiecznie. Zanim się pojawił, nie było nikogo, kto zapewniłby mi taki komfort. - Zamknęła oczy. - Nie wiedziałam nawet, jak bardzo potrzebuję obok siebie takiego człowieka.

- To normalne, Chantel. Wszystkie chcemy czuć się bezpieczne i być kochane. Pamiętaj więc, że cokolwiek by się stało, ja cię kocham. - Objęła córkę i przytuliła ją do siebie. - I jestem z ciebie dumna.

- Och, mamó! - wykrzyknęła Chantel, a w jej oczach pojawiły się łzy.

- Nie, nie, nie. Wszystko tylko nie to - uspokoiła ją Molly. - Nie możemy przecież zejść na dół z zapuchniętymi oczami. Ojciec nie dałby nam spokoju i zamęczał pytaniami, dlaczego ryczymy. - Pocałowała Chantel w policzek. - Bierzmy się w garść i kończmy to pakowanie.

- Mamó?

- Tak, kochanie?

- Ja też zawsze byłam z ciebie dumna.

Kiedy zeszli na parter, Frank brzdąkał cicho na banjo, Quinn zaś słuchał go cierpliwie, siedząc na kanapie i sącząc drinka.

- Ćwicz - odezwała się cicho Molly. - Koniecznie chce zagrać na przyjęciu weselnym. Żeby go przed tym powstrzymać, musieliby go chyba wcześniej ogłuszyć.

- No, w samą porę, drogie panie! - ucieszył się ojciec na ich widok. - Potrzebuję jakiegoś fachowego wsparcia, bo ten tu - wskazał na Quinna - w ogóle nie śpiewa. Macie pojęcie? Nie spotkałem jeszcze w życiu nikogo, kto by odmawiał śpiewania! Owszem, znałem takich, którzy nie umieli śpiewać, ale nie słyszałem o nikim, kto by w ogóle nie śpiewał. Usiądź obok mnie, Molly. Pokażmy temu jegomościowi, co potrafią słynni O'Hurleyowie!

Molly posłusznie zajęła miejsce obok męża, posłuchała przez chwilę akompaniamentu i zaczęła śpiewać silnym, wyszkolonym głosem.

- Przyłącz się do nas, księżniczko - Frank zachęcił Chantel. - Chyba pamiętasz refren.

Chantel z ochotą podchwyciła słowa i natychmiast poczuła się jak kiedyś, gdy wraz z rodzicami, siostrami i Trace'em śpiewała na scenie tę starą irlandzką piosenkę.

Quinn patrzył na nią z zachwytem i ze zdumieniem. Chantel O'Hurley w jednej chwili przestała być wyniosłą gwiazdą filmową, a nawet namiętą, gorącą kobietą, jaką znał do tej pory. Na jego oczach zamieniła się w roześmianą, bezpretensjonalną dziewczynę, szczęśliwą córkę, która bawi się wesoło wraz z rodzicami wspólnym muzykowaniem.

Nigdy jeszcze jej takiej nie widział. Nie podejrzewał nawet, że taka może być. Czy to właśnie jest jej prawdziwa natura? Czy Chantel zdaje sobie sprawę, jak bardzo działa na niego ten obraz, jak błędnie przy nim tamto nadęte wyobrażenie wielkiej hollywoodzkiej gwiazdy?

No proszę, a więc serce mówiło mu prawdę. Rzeczywiście warto pokochać Chantel, warto dla niej poświęcić swoją głupią dumę, głupie uprzedzenia i przyzwyczajenia.

Całe szczęście, że już niedługo wszystko się rozstrzygnie. Złapią autora anonimów i zdecydują, co dalej. Niezależnie od tego, co od niej usłyszy, Quinn na pewno nie zrezygnuje. Będzie walczył o Chantel, aż wreszcie ją zdobędzie.

Szansa na rychłe rozstrzygnięcie była rzeczywiście niemała, bowiem ostatnio udało im się wreszcie namierzyć jeden z telefonów, z którego dzwonił szalony wielbiciel Chantel. W listach zaś, które Quinn przechwyił, tajemniczy mężczyzna błagał ją o spotkanie w Nowym Jorku.

Najwyraźniej dręczyciel znał każdy jej krok i był bardzo zdesperowany. A skoro tak, to na pewno zrobi wkrótce coś, co pozwoli go zdemaskować.

Nie było sensu wtajemniczać jej w te sprawy. W Nowym Jorku i tak ani przez chwilę nie będzie sama. Wraz z nimi poleci jego trzech najlepszych agentów, którzy będą obserwować ją z ukrycia.

- Czy wciąż jeszcze na nim grasz? - zapytał Frank, gdy wybrzmiał ostatni akord piosenki, i Quinn przerwał natychmiast swoje rozmyślenia.

- Gram - odparła Chantel, patrząc na biały fortepian, ustawiony w rogu salonu.

- Naprawdę? A może używasz go tylko do tarasowania drzwi?

- Potrafię jeszcze złapać kilka akordów.

- Mając tak piękny instrument, powinnaś mieć większe osiągnięcia.

- Nie chciałabym ci robić konkurencji, tato.

- Nie ma obawy. No, zagraj coś.

Chantel wzruszyła ramionami i podeszła do klawiatury. Zatrzepotała aktorsko rzęsami, po czym odegrała długie, skomplikowane *arpeggio*.

- Ćwiczyłaś! - powiedział oskarżycielskim tonem Frank.

- Nie spędzam wieczorów na cerowaniu skarpetek - odparła skromnie i spojrzała znacząco na Quinna.

- Pamiętasz ten numer, którego matka nie pozwalała ci śpiewać przed skończeniem osiemnastu lat?

- Tę piosenkę najlepiej wykonywała Abby.

- To prawda - przyznał Frank. - Ale ty również byłaś w tym niezła.

- Niezła? - Chantel z niezadowoleniem zmarszczyła nos i zaczęła grać z pasją początkowe akordy. Gdy zaś zaczęła śpiewać, Quinn ponownie zadziwił się odmianą, jaka w niej nastąpiła.

Była to piosenka o utraconej miłości - tęskna, rozdzierająca, pełna smutku, a zarazem nadziei na uśmiech losu, który ból serca zamieni w radość. Gdyby przyszło mu utracić Chantel, tak pewnie śpiewałaby jego dusza (bo nie on sam, to na pewno). Cóż, jak na razie jeszcze jej nie zdobył, choć spojrzenia, którymi Chantel obrzucała go przy kolejnych zwrotkach i refrenie, pozwalały przypuszczać, że niektóre słowa skierowane są do niego.

Hm, nigdy jeszcze żadna kobieta nie czyniła mu wyznań, siedząc za fortepianem.

Tylko czy rzeczywiście były to wyznania?

- Nieźle - oświadczył Frank, gdy Chantel skończyła śpiewać. - A teraz może zagrasz...

- Nie, Frank, zrobiło się późno - zmytygowała go Molly. - Pora do łóżka. Jutro czeka nas podróż.

- Późno? Bzdura, jest dopiero...

- Późno, późno - powtórzyła Molly. - Chodźmy na górę. Dobranoc, Quinn. Dobranoc, córeczko.

- Dobrze, dobrze, już idę - Frank westchnął niezadowolony. - Chantel? Poproś kucharza, by na śniadanie usmażył naleśniki.

- Dobrze, tato, zrobię to. Dobranoc. - Nie odrywając wzroku od Quinna, nadstawiła policzek do pocałunku.

Gdy zostali sami, Quinn pokręcił głową i popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- To niesamowite.

- Co takiego?

- Ty. - Wstał z kanapy, podszedł do Chantel i ucałował jej dłonie. - Im dłużej z tobą jestem, im lepiej cię poznaję, tym mocniej cię pragnę.

- Ja też jeszcze nigdy nie czułam tego, co czuję teraz, przy tobie. Tym razem nie gram. Wierzysz mi?

- Wierzę.

Oboje zamilkli i słyszeli teraz, jak mocno biją ich serca, jak pulsuje krew w ich żyłach, jak zmysły wołają o nowe doznania, o nową rozkosz. Powietrze między nimi zdawało się naładowane elektrycznością. Stali tak blisko siebie, że jeden ruch, jedno przelotne dotknięcie mogło być jak iskra, jak kamyczek, który niesie za sobą lawinę i budzi uśpiony żywioł. Ich wzajemna napiętość była bowiem żywiołem.

- Czego naprawdę pragniesz, Chantel?

- Ciebie - odparła szczerze. - Chcę być z tobą.

„Na jak długo?” - chciał jeszcze zapytać, lecz bojąc się odpowiedzi, powiedział tylko:

- Chodźmy spać - i pociągnął ją za sobą do sypialni.

Tym razem był delikatny i czuły. Wodził ustami po jej wargach, szeptał jej imię, a ten szept był dla niej jak obietnica wiecznego szczęścia. Ona też wyszeptała jego imię i zamknęła oczy, by pozwolić się nieść bezwolnie ku kolejnym wyżynom, coraz wyżej i wyżej, aż pod sam nieboskłon.

Nie rozumiała uczuć, jakie ją ogarniały. Było w nich pożądanie, gorączka, wir namiętności, ale też jakiś spokój, jakaś cisza, jakaś anielska, ledwo słyszalna muzyka, która kołysała ją łagodnie i koła.

Usta Quinna były cierpliwe, muskały jej twarz i szyję, jakby chciały na zawsze zapamiętać kształty, zapachy i smaki. Kiedy zaś rozpiął jej sukienkę i zaczął pieścić delikatnie nagie ciało, Chantel zadrżała lekko i poczuła, że otwiera się dla niego cała - że otwiera się przed nim jej ciało, jej serce i dusza.

- Jesteś taka piękna - powiedział zduszonym głosem.

- A ty taki czuły...

Wygięła się pod nim w łuk, by poczuć go nad sobą całym ciałem. Ich języki spotkały się i rozpoczęły rozkoszny taniec. Za oknem zerwał się wiatr, a wówczas oni, jakby niesieni podmuchem nadchodzącej burzy, zapragnęli, by to, co miało się stać, nadeszło już teraz, jak najprędzej.

Chantel wciągnęła w płuca rześkie powietrze i przycisnęła do siebie mocniej jego biodra. Quinn opadł na nią i zatopił się w niej z błogim westchnieniem. Potem zaś podążyli powoli ku wspólnemu szczęściu.

To prawda, szczęście to skażone było cieniem wątpliwości. Ona patrzyła na niego i nie wiedziała, czy zdoła mu kiedykolwiek powiedzieć, jak wiele dla niej znaczy, czy zdobędzie się na to, by mu wyznać, że pragnie z nim być nie tylko teraz, ale na zawsze. On z kolei bał się, że ta chwila uniesienia może być ostatnią, jaką przyjdzie mu dzielić z Chantel.

Gdy jednak trzymał ją w ramionach, rozpaloną, szczęśliwą i uległą, uwierzył, że ta wspaniała kobieta może należeć do niego. Chantel natomiast, patrząc na odmienioną w ekstazie twarz kochanka, przekonała się, że zamiast mówić mu o swojej miłości, może po prostu ją dać. I dała. Dali sobie nawzajem wszystko, co mieli najcenniejszego - samych siebie.

- Nie poganiaj mnie, Molly. Muszę się upewnić, czy nie wyślą mego banjo na Madagaskar. - Frank O'Hurley wciąż stał przy stanowisku odprawy pasażerów i indagował uparcie tracącą cierpliwość stewardesse.

- Proszę się nie martwić. Pański bagaż na pewno doleci wraz z panem do Nowego Jorku - uspokajała go z zawodowym uśmiechem.

- Niech się pani nie dziwi. To banjo mam dłużej niż żonę - wyjaśnił, po czym uściśnął Molly serdecznie i dodał: - Co wcale nie znaczy, że jest dla mnie warte więcej niż ty, kochanie.

- No już dobrze, Frank. Nie zapomniałeś o awiomarinie?
- Połknąłem dwie tabletki. Nie rób zamieszania.
- Z Frankiem podróże samolotem zawsze są okropne - mruknęła Molly do Quinna, wsuwając do kieszeni karty pokładowe i kierując się w stronę ruchomych schodów. - Moja córka ma to po nim.

Quinn spojrzał zaskoczony na Chantel.

- Nie lubisz latać?
- Och, nic mi nie będzie.
- Ale wzięłaś jakieś środki uspokajające? - zatroszczył się.
- Po co? Nie będą mi potrzebne. Ujął jej dłoń i splecił palce.
- Ręce masz zimne jak lód.
- Bo jest zimno.
- Daj spokój. Nie ma się czego wstydzić.
- A ty nie przesadzaj. Często podróżuję w ten sposób.
- Wiem. Ale musi to być dla ciebie prawdziwa męka.
- Każdy ma prawo do jakiejś słabości.
- To prawda - przyznał, podnosząc do ust jej dłoń. - Może przy mnie będzie ci łatwiej, skarbie.

Próbowała wyrwać dłoń z jego uścisku, ale przytrzymał ją mocno.

- Quinn, proszę. Czuję się jak skończona idiotka. Nie zwracaj po prostu na mnie uwagi.
- Dobrze, ale obiecaj mi, że podczas lotu będę mógł trzymać cię za rękę?
- Cały czas? To sześć godzin!
- Wymyślimy coś, aby czas nam szybko upłynął.

Pochylił usta w kierunku jej twarzy i znów zakręciło mu się w głowie. Na tyle mocno, że nie zauważył mężczyzny w ciemnych okularach, który zajął właśnie ustronne miejsce w sali odlotów i przyglądał im się z zaciśniętymi pięściami.

- Mmm... Jeśli chcesz zrobić to, o czym właśnie myślę, to zostaniemy aresztowani za sianie publicznego zgorzienia - mruknęła Chantel z kuszącym uśmiechem.

- A o czym myślisz? Bo mnie chodziło o partyjkę remika.
- O partyjkę remika? - Dźgnęła go łokciem w bok. - W porządku, Doran. Po dolarze za punkt.

- Wchodzę w to, skarbie.

Po chwili zapowiedziano przez głośniki ich lot i trójka O'Hurleyów w towarzystwie Quinna Dorana zaczęła wchodzić na pokład samolotu. Za nimi zaś, w gromadzie pasażerów, podążał tajemniczy mężczyzna w ciemnych okularach.

ROZDZIAŁ 10

- Och, Quinn, naprawdę jesteś gotów do wielkich poświęceń dla naszej rodziny! - Chantel uśmiechnęła się kpiąco, wyjmując swoją suknię z pokrowca na ubrania. Kreację tę zamówiła u czołowego hollywoodzkiego projektanta i kosztowała ją fortunę. No ale ostatecznie nie codziennie bywa się druhną na ślubie własnej siostry.

- Masz na myśli to чудо? - odrzekł, wskazując głową na swój świeżo odprasowany garnitur, o którego włożeniu myślał z najwyższą niechęcią.

- Mhm. To chyba nie jest twój codzienny strój.

- Jakoś to przeżyję.

- Nie wątpię. Pamiętaj, że tata chciał, żebyś w apartamencie Reeda pojawił się godzinę przed ceremonią. Czy mężczyźni zawsze tak robią przed ślubem? Po co?

- Tajemnica państwowa. A jeśli chodzi o rodzinę O'Hurleyów, to stała mi się ostatnio dziwnie bliska. Zwłaszcza pewna jej część.

- Czyżby? Powiedz więc, co sądzisz o Reedzie. Wiem, że widziałeś go wczoraj wieczorem przez kilka godzin. Jakie zrobił wrażenie?

- Solidny, z całą pewnością człowiek sukcesu. Skrupulatny. Raczej konserwatywny.

- A Maddy?

- Artystyczna dusza, roztrzepana, trochę jak nieziemska zjawia.

- Tak, to cała Maddy - uśmiechnęła się Chantel. - Zdawałoby się, że nie mają ze sobą nic wspólnego, prawda? A jednak do siebie pasują. - Z ciężkim westchnieniem wsunęła pędzelek do kosmetyczki. - I to świetnie pasują.

- Czym więc się martwisz?

- Maddy to moja bliźniaczka. Zawsze właśnie ją najbardziej kochałam. Abby jest inna, twardsza, bardziej samodzielna. Ja również umiem utrzymać się na powierzchni i nieźle prosperować. Ale Maddy... Maddy to rodzaj kobiety, która zawsze wierzy, że czek został wysłany, alarm się nie zepsuje, a kulek od gazu jest szczelny. Ufa światu i ludziom.

- E, nie rób z niej sieroty. Moim zdaniem ona dobrze wie, czego chce, i umie dopiąć swego. Całkiem tak jak ty.

- Nie do końca. Ja w gruncie rzeczy jestem od niej bardziej sentymentalna.

- No to chodź tu do mnie i daj się namówić na trochę sentymentów.

- Quinn, jeśli teraz wrócę do łóżka...

- Tak?

- Zamęcę cię swą miłością.

- Obiecanki - cacanki. - Położył się, zakładając ręce pod głowę. - Chodź i udowodnij.

Chantel odłożyła kosmetyczkę, podeszła do łóżka i stanęła naprzeciwko niego w wyzywającej pozie.

- Nie masz żadnych szans. ~ Gadanie.

- Chcesz się przekonać? - mruknęła, dotykając jego uda.

Zanim jednak zdążyła spełnić swą groźbę, Quinn chwycił ją za rękę i pociągnął na siebie. W pierwszej chwili wybuchnęła dźwięcznym śmiechem, który on szybko stłumił zachłannym pocałunkiem.

- Co cię tak śmieszy? - spytał, gdy oderwał usta od jej ust.

~ Nic. Po prostu czuję się przy tobie bezpieczna - zajrzała mu głęboko w oczy. - Cudownie bezpieczna.

~ Pragnę, byś czuła coś więcej.

- Tak? A co jeszcze?

Miłość, wierność, oddanie. Przeraziło go, że właśnie te słowa przyszyły mu do głowy.

- Nie powiem ci. Sama zgadnij - powiedział i zanim Chantel się spostrzegła, już leżała pod nim z rękami przytrzymanymi ponad głową. Przyłgął ustami do jej warg, zaczął rozpinać zębami guziki jej bluzki. Chantel westchnęła rozkosznie, a zaraz potem... jęknęła głucho, gdy rozległo się głośne pukanie do drzwi.

- Zdaje się, że przyszło twoje śniadanie - mruknęła niezadowolona.

- Trudno. Niech przyniosą je później.

- Nie. Ja je odbiorę - oświadczyła nagle, zrywając się z łóżka. - Ty zostań tu. - Szybko go pocałowała. - Nigdzie się nie ruszaj i grzecznie na mnie czekaj. - Poprawiła bluzkę na piersiach i wyszła z sypialni do saloniku, by otworzyć drzwi.

Quinn włączył stojące na szafce radio i pozwolił sobie marzyć. Myślał, jakby to było, gdyby budził się co rano w ich własnej sypialni - nie w jej sypialni, ani nie w jego, lecz we wspólnej sypialni w domu, który by razem stworzyli.

Może nadszedł wreszcie czas, by powiedzieć jej, że ją kocha? By wyznać, że chce ją poślubić i spędzić z nią resztę życia? Uśmiechnął się do siebie na tę myśl.

Quinn Doran jako młody żonkoś? Dom, rodzinka, obrączki na palcach? Właściwie czemu nie...

- Quinn? - jej zdławiony głos w jednej chwili wyrwał go ze świata marzeń. Quinn poderwał się z posłania, sięgnął po szlafrok, szybko wkroczył do przyległego salonu.

Kwiaty dostrzegł od razu - tuzin pąsowych róż w wazonie na stoliku przy drzwiach. A obok nich Chantel z twarzą białą jak kartka papieru, którą trzymała w dłoni.

- Wie, że jestem w Nowym Jorku. - Starła się mówić spokojnie. - Pisz, że pojedzie za mną wszędzie. I że czeka tylko na odpowiednią chwilę.

Quinn przebiegł wzrokiem treść listu. W rogu koperty dostrzegł firmowy emblemat kwiaciarni.

- Popelniał pierwszy błąd - uśmiechnął się lekko. - Kto dostarczył ten bukiet?

- Goniec. Nie zdążyłam nawet wręczyć mu napiwku. Quinn, powiedz... On tu jest, prawda? Może nawet mieszka w tym hotelu?

- Usiądź. - Chciał ująć jej dłoń, lecz ona wyrwała się i dała gwałtowny krok do tyłu.

- Nie chcę. Chcę znać prawdę.

Gdy znów rozległo się pukanie do drzwi, wydała cichy okrzyk i przyłożyła dłoń do ust. Quinn dostrzegł przez wizjer kelnera z tacą i rzucił przez ramię:

- Wszystko w porządku. Tym razem to naprawdę śniadanie. - Wpuścił kelnera, podpisał rachunek i zanim zamknął z powrotem drzwi, obrzucił korytarz szybkim spojrzeniem. - Koniecznie musisz napić się kawy - powiedział, wracając do saloniku.

- Najpierw chcę poznać prawdę. Wiem, że tyją znasz. Wiedziałaś, że on przyjedzie tu za nami, prawda?

Quinn napełnił kawą filiżanki.

- Wiedziałem - przyznał. - Spodziewałem się, że ruszy za tobą. Wspominał o tym w ostatnich listach.

- Czy nie powinieneś był mi o tym powiedzieć?

- Gdybym uważał to za konieczne, powiedziałbym.

Chantel poczuła, że ogarniają wściekłość. Ulała mu, kochała go, a on potraktował ją jak przedmiot.

Wzięła od niego filiżankę z kawą, ale tylko po to, by po chwili odstawić ją ze złością na stół.

- Za kogo ty się, do licha, uważasz, Doran?

- zapytała niebezpiecznie spokojnym głosem. - Jak śmiesz traktować mnie jak głupią, pozbawioną rozumu kobietę, którą można wodzić za nos? Miałam prawo wiedzieć, że w Nowym Jorku grozi mi to samo, co w domu.

Quinn sprawiał wrażenie niezbyt przejętego tym protestem.

- Prowadzę tę sprawę po swojemu. Płacisz mi za to. Poza tym dałaś mi wolną rękę i zażądałaś, żebym nie wtajemniczał cię w szczegóły.

- Mimo to chcę, żebyś informował mnie o postępach śledztwa.

- Jak sobie życzysz. - Sięgnął po grzanekę i zaczął spokojnie smarować ją dżemem.

- Właśnie tak. A teraz zostawiam cię z twoim śniadaniem. Do widzenia.

- Chantel - powiedział cicho, ale takim tonem, że zatrzymała się w pół kroku. - Na to ci nie pozwolę. Jeśli chcesz wyjść, to tylko razem ze mną.

- Popatrzył na nią zimnym, wyzywającym wzrokiem. - A jeśli nie, to zostaniesz tu, w tym pokoju, do czasu aż po ciebie wrócę.

- Nie.

- Tak. W pokoju po drugiej stronie korytarza umieściłem swojego człowieka. Drugi mieszka naprzeciwko twojej siostry. Tutaj jesteś zupełnie bezpieczna, ale na dół nie możesz zejść sama.

Chantel popatrzyła posepnie na drzwi, przeniosła obrażony wzrok na Quinna i bez słowa usiadła na krześle.

Wspaniale, właśnie została więźniem.

Kwiaciarnię, z której pochodziła firmowa koperta, Quinn odnalazł w dzielnicy West Sixties. Niewielki, wypełniony kwiatami i ludźmi lokal był klimatyzowany, lecz w środku i tak panowała wilgoć i zaduch. Quinn odczekał, aż sprzedawca obsłuży kolejkę stojących przed nim klientów, a gdy na chwilę zostali sami, podszedł do wielkiego bukietu białych lilii.

- Chce pan kupić czy tylko pooglądać? - zapytał niepozorny człowieczek za ladą.

- Widzę, że ma pan dziś pracowity dzień.

- Cały tydzień! - sapnął sprzedawca, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i przetarł nią spocony kark - Wciąż psuje się klimatyzacja, zachorowała mi pomocnica, a na dodatek ostatnio ludzie mrą jak muchy. Pogrzeby, wieńce, wiązanki... W tym tygodniu najpopularniejsze są mieczyki.

- No więc nie zajmę panu dużo czasu - uśmiechnął się Quinn. - Czy to pochodzi od was? - Wyjął z wewnętrznej kieszeni kopertę, z którą dostarczono bukiet dla Chantel.

- Zgadza się. - Mężczyzna stuknął palcem w nadruk z nazwiskiem. - Kwiaty od Bernsteina. To ja jestem Bernstein. Jakież kłopoty z dostawą?

- Ależ skąd. Mam tylko pytanie. Dziś rano dostarczono do hotelu „Plaża” tuzin czerwonych róż. Kto je kupił?

- Pyta pan, kto kupił tuzin czerwonych róż? - Bernstein wybuchnął śmiechem. - Człowieku, w tym tygodniu sprzedałem ze dwadzieścia podobnych bukietów. Skąd mam pamiętać, kto je kupował?

- Prowadzi pan chyba jakąś dokumentację. Powinien pan mieć rachunek za dwanaście róż z dostawą do hotelu „Plaża”. Dziś rano, mniej więcej o jedenastej...

- I chce pan, żebym zaczął teraz grzebać w rachunkach?

- Otóż to. - Quinn sięgnął do kieszeni, wyciągnął banknot dwudziestodolarowy i rozprostował go na blacie.

Właściciel kwaciarni zatrząsł się z oburzenia.

- Co też pan! Nie biorę łapówek! Skoro zbywa panu dwadzieścia dolców, proszę kupić za nie kwiaty.

- Nie ma sprawy. Więc co z tym rachunkiem?

- Jest pan może gliną?

- Prywatnym detektywem.

Bernstein wahał się chwilę, wreszcie otworzył szufladę, mruczając coś pod nosem, i zaczął wyciągać z niej jakieś papiery.

- Dzisiaj nikt nie kupował róż - wyjaśnił w końcu.

- A wczoraj?

Bernstein obrzucił Quinna ponurym spojrzeniem, lecz posłusznie zajrzał do niższej szuflady.

- Wczoraj... Na przykład pąsowe róże na Maine Avenue, dwa tuziny na Pennsylvania Street, tuzin na Dwudziestą Siódmą... - Wymamrotał jeszcze pod nosem kilka adresów, wreszcie zakończył: - No i tuzin do hotelu „Plaża”, apartament numer tysiąc dwieście trzy. Z dostawą następnego dnia rano. O to panu chodziło?

- Czy mogę zobaczyć ten rachunek? - Nie czekając na pozwolenie, Quinn sięgnął po

niewielką karteczkę. - Zapłacono gotówką?

- Chętnie biore gotówkę.

- A ja wolałbym mieć podpis albo numer karty kredytowej. - Quinn odłożył rachunek. -
Pamięta pan, jak on wyglądał?

Właściciel znów się roześmiał.

- A sądzi pan, że jutro będę pamiętał pański wygląd? Ludzie wchodzą i wychodzą.
Dopóki kupują moje kwiaty, mogą mieć nawet trzecie oko na czole. Mnie nic do tego.

- Proszę się jednak zastanowić. - Quinn wyciągnął następnego dwudziestaka.

- Hm... Pamiętam, że róże miały być dostarczone dla Chantel O'Hurley. Zwróciłem uwagę
na to nazwisko i nawet zapytałem gościa: „Hej, czy to może ta aktorka?”. Kiwnął tylko głową,
więc spytałem, czy i on przyjechał z Kalifornii. Nic nie odpowiedział. Na głowie miał kapelusz w
stylu panama, a na twarzy ciemne okulary... Więcej nie pamiętam, nie potrafiłbym nawet
rozpoznać twarzy.

- Ile miał lat?

- Chyba młodszy od pana. Ale gorzej zbudowany. Nerwowy...

- Co ma pan dokładnie na myśli?

- Wszedł, paląc zagranicznego papierosa. Nie toleruję żadnego tytoniu, nawet
najlepszego, bo kwiaty nie znoszą dymu. Poprosiłem go, żeby zgasił.

- Skąd pan wie, że to był zagraniczny papieros?

- Skąd wiem? - obruszył się kwiaciarz. - Amerykańskiego papierosa poznam od razu. A
ten nie był nasz, tylko jakiś bardziej śmierdzący.

- Nie zawsze pali się z nerwów.

- Jasne. Ale kiedy tłumaczył mi, gdzie dostarczyć kwiaty, ręce latały mu ze
zdenerwowania. Bo ręce też miał nerwowe, wie pan, takie szybkie.

- Czy coś jeszcze utkwiło panu w pamięci?

- To, że pieniędzy nie wyjął z portfela, lecz z niewielkiej saszetki ze srebrnym klipsem na
banknoty. Ładna portmonetka, z monogramem.

- Pamięta go pan?

- A skąd! Był bardzo skomplikowany.

- A może zauważył pan coś jeszcze? Może sygnet? Zegarek?

- Nie. Tylko tę saszetkę, bo tkwił w niej ładny pliczek banknotów. Może były jakieś

pierścionki, a może nie. W każdym razie gość miał przy sobie sporo kasy.

- Dzięki. - Quinn wyciągnął wizytówkę i zapisał na niej numer hotelowego telefonu. - Gdyby coś jeszcze pan sobie przypomniał, proszę zadzwonić. Albo gdyby ten jegomość pojawił się ponownie.

- Będzie miał kłopoty?

- Powiedzmy, że mam do niego kilka pytań. Do widzenia, panie Bernstein.

- Zaraz. Może pan chociaż weźmie te goździki z wystawy? I tak niedługo zwiędną. Mówiłem, że nie przyjmuję łapówek.

Quinn wsunął wiązankę pod pachę i ruszył z nią w stronę wyjścia.

- Rozumiem, że ściga pan jakiegoś psychola z Kalifornii - jeszcze raz zatrzymał go Bernstein.

- Coś w tym rodzaju.

- No tak, zgadza się. - Kwiciarz parsknął śmiechem. - Facet powiedział, że współpracuje blisko z panną O'Hurley. Pewnie sobie coś ubzdurał.

- Pewnie tak - odparł Quinn, naciskając klamkę. - Jeszcze raz dziękuję, panie Bernstein.

Kiedy wyszedł na ulicę, rzucił kwiaty kobiecie pchającej wózek z zakupami, i nie zwracając uwagi na jej pełne zdumienia spojrzenie, ruszył szybko przed siebie. Czuł, jak żołądek ściska mu się z gniewu i obrzydzenia. Znał kogoś, kto często nosił pieniądze w saszetce ze srebrnym klipsem. Portmonetka ta była prezentem od Chantel, a otrzymał ją na urodziny Malt Burns.

Cholera jasna, nie mieściło mu się to w głowie. Przecież Matt był jego przyjacielem, przyjacielem Chantel. Znał go na wylot. Nawet gdy snuł swe hipotezy na temat jego ewentualnego związku z docierającą do Chantel korespondencją, nie brał ich do końca na serio.

Czy jednak tak naprawdę znał tego człowieka? Zatrzymał się przy ulicznym aparacie telefonicznym i wykrecił znajomy numer.

- Tu agencja Matta Burnsa.

- Muszę z nim mówić. Natychmiast.

- Przykro mi, ale pan Burns do poniedziałku będzie nieosiągalny.

- Znajdź go, aniołku. To bardzo ważne.

- Przykro mi. Pan Burns wyjechał z miasta. Po plecach Quinna przeszedł zimny dreszcz.

- Wie pani dokąd?

- Nie jestem uprawniona do podawania takich informacji.
- Musi mi pani powiedzieć. Mówi Quinn Doran. Dzwonię w imieniu Chantel O'Hurley.
- Och, przepraszam, panie Doran. Powinien był pan od razu się przedstawić. Czy kiedy

Matt wróci, ma do pana zadzwonić?

- Sam go złapię w poniedziałek. A dokąd wyjechał?
- Do Nowego Jorku. Jakieś sprawy osobiste.
- Rozumiem. - Tłumiąc przekleństwo, odłożył słuchawkę.

- O rany! Jeszcze całe trzy godziny! - Zniecierpliwiona Maddy O'Hurley zerwała się z krzesła, przeszła przez pokój i opadła na kanapę. - Mówiłam mu, że powinniśmy wziąć ślub z rana.

- Tylko trzy godziny, siostrzyczko. Szybko mirą zobaczysz - pocieszyła ją pijąca już trzecia kawę Chantel. - Naciesz się jeszcze wolnością, zamiast tęsknić do niewoli.

- Łatwo ci mówić. - Maddy wstała z kanapy i wykonała taneczny piruet. - Nie jestem w stanie myśleć o niczym innym poza tym, co stanie się dzisiaj w kościele. To będzie najważniejsza rola w moim życiu.

- Odpręż się. Opowiedz o innych rolach. Jak tam ostatnie przedstawienie?

- Jest fantastyczne - odparła z błyskiem w oczach Maddy. - Może trochę przesadzam, gdyż to dzięki niemu poznałam Reeda, ale jest to z całą pewnością najlepsza rzecz w mojej karierze. Miałam nadzieję, że obejrzysz mój występ.

- Niebawem wrócę do Nowego Jorku na sesję zdjęciową. Wtedy będziesz już po podróży poślubnej i wrócisz na scenę, a ja na pewno wybiorę się na Broadway, żeby podziwiać moją siostrzyczkę.

Chantel sięgnęła niespokojnie po papierosa. Coraz bardziej niepokoiła ją przedłużająca się nieobecność Quinna. Mówił, że wychodzi tylko na chwilę, a tymczasem nie było go już prawie dwie godziny.

- A jak twój film? - Maddy przerwała jej rozmyślenia.

- Nie narzekam.

- A ten Quinn? To coś poważnego?

- Cóż, po prostu mężczyzna. - Chantel wzruszyła ramionami.

- Nie opowiadaj. Widzę, jaki masz humor. Pokłóciliście się? - Przysiadła na poręczu fotela obok siostry. - Wczoraj sprawiałaś wrażenie bezgranicznie szczęśliwej, a dzisiaj...

- Jestem szczęśliwa. - Chantel poklepała Maddy po ramieniu. - Ostatecznie moja bliźniaczka wychodzi za mąż za człowieka, który w mojej opinii wart jest prawie tyle samo, co ona.

- Oj, nie próbuj mydlić mi oczu. Wiem, że wydarzyło się coś niedobrego. Przede mną... - urwała, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Spojrzała, że siostra kurczowo zaciska dłonie na ten dźwięk, i powiedziała z troską: - Spokojnie, Chantel. Co się z tobą dzieje?

- Nic. Sprawdź, proszę, kto to, dobrze? Maddy zerknęła przez wizjer, po czym uśmiechnęła się szeroko do Chantel.

- Zaraz zobaczysz. - Otworzyła drzwi i po chwili w saloniku pojawiła się Abby. - Witamy trzecią część całości! Jak ty to robisz, Abby, że nie jesteś jeszcze gruba?

Abby ze śmiechem przyłożyła dłoń do brzucha.

- Mam jeszcze pięć miesięcy. A ty co, jeszcze nie gotowa?

- Ślub dopiero za trzy godziny. Powiedz lepiej, gdzie zgubiłaś Dylana.

- Jest, jest. Ustalają z tatą toasty weselne. Widziałam też z nimi Reeda. Bomba! No i ten twój Quinn - ścisnęła porozumiewawczo Chantel za ramię - podobno to jakiś superman. W każdym razie tata jest nim zachwycony.

- Słowo „twój” jest trochę przedwcześnie. Chantel zmusiła się do uśmiechu, po czym szybko podeszła do telefonu. - Wiecie co, dziewczyny? Wiem, czego nam brakuje. Szampana! Trios, „O’Hurleys” zamierza świętować! - Nieoczekiwanie jej oczy wypełniły się łzami. - Och, Boże, czasami tak bardzo mi was brakuje, że nie potrafię znaleźć sobie miejsca.

- Coś z tobą nie tak, kochanie - zatroskała się Abby, sadzając siostrę na kanapie. - Powiedz nam, co się dzieje. Przecież bliźniaczkom możesz wyznać wszystko.

- To nic takiego. - Chantel otarła łzy. - Czasami staję się po prostu sentymentalna... Poza tym zwyczajnie zmiękło mi serce na wasz widok. Jedna już ma dzieci, druga za chwilę... Zastanawiam się, czy gdyby sprawy potoczyły się inaczej... Och, nie - urwała i potrząsnęła głową - sama dokonałam wyboru.

- Chantel, czy ty mówisz o Quinnie?

- Sama nie wiem. To wszystko zaczęło się przez przypadek. Miałam pewne kłopoty ze zbyt nachalnym wielbicielem i wynajęłam Quinna, żeby zapewnił mi ochronę. Wynajęłam go więc, no i... no i się w nim zakochałam. - Odetchnęła głęboko. - No proszę, wreszcie powiedziałam to głośno.

Maddy pocałowała ją w czubek głowy.

- Pomogło?

- Może. Dajcie spokój, zaczynam zachowywać się jak idiotka. - Sięgnęła po chusteczkę. -

Nie pozwolę, bym jako drużna szła przez kościół z zapuchniętymi oczami.

- Wreszcie mówisz jak dawna Chantel - mruknęła Maddy z zadowoleniem. - Troski na bok i hop do przodu! Powiem ci coś, jeśli naprawdę kochasz Quinna, wszystko się dobrze ułoży.

- Odezwała się wieczna optymistka.

- No pewnie. Abby znalazła Dylana, ja znalazłam Reeda, teraz kolej na ciebie. Zobaczysz, jeszcze uda się nam przyszpilić Trace'a!

- Ho, ho - roześmiała się Chantel. - Czy istnieje kobieta, która zdołałaby go poskromić?

- Skoro istnieje mężczyzna, który zdołał usidlić ciebie...

- Maddy!

- Dobra, dobra. Dzwon lepiej po tego szampana.

- Racja, musimy wypić za twoje szczęście.

- Nie - poprawiła ją Maddy - wypijemy za nas, za naszą trójkę. Póki będziemy trzymać się razem, nigdy nie będziemy samotne.

ROZDZIAŁ 11

Chantel uprosiła Quinna, by wrócili do Los Angeles jeszcze w sobotę nocnym lotem. W Nowym Jorku nie czuła się najlepiej. Po skończonym przyjęciu weselnym, kiedy siostra wyjechała już w podróż poślubną, zapragnęła natychmiast wrócić do domu.

Podczas przyjęcia była spięta. Nieustannie wypatrywała obcych, studiowała znajome twarze i zastanawiała się, czy wśród gości jest również jej prześladowca. Później, już w samolocie, tuż przed zaśnięciem przysięgła sobie, że kiedy ponownie przyleci do Nowego Jorku, będzie w dużo pogodniejszym nastroju. Musi przecież pokazać Maddy uśmiechniętą twarz.

Quinn natomiast coraz bardziej martwił się o jej zdrowie. Widział, że Chantel cały czas jest spięta. Od paru tygodni żyła w nieustannym stresie, co mogło się wreszcie skończyć jakimś trudnym do przewidzenia wybuchem albo załamaniem. Najgorsze, że od czasu ich ostatniej kłótni coraz trudniej było nawiązać z nią kontakt. Chłodna, obojętna, odległa, traktowała go jak powietrze, na co na razie, niestety, nie mógł nic poradzić. Mógł się tylko z tym pogodzić i mieć nadzieję, że przyjdą jeszcze chwile wspólnego zrozumienia i szczęścia.

Pragnął tego wspólnego szczęścia. Gdy patrzył na Reeda i Maddy, stojących przed ołtarzem i wypowiadających słowa przysięgi, wyobrażał sobie, jakby to było, gdyby oni stali na ich miejscu - Chantel O'Hurley i Quinn Doran. Nie zdawało mu się to już tak nedorzeczne jak kiedyś, co najwyżej trudne do osiągnięcia. Tak, bardzo trudne.

Gdy już w Los Angeles wracali samochodem do jej domu w Beverly Hills, Chantel zapaliła papierosa i zerknęła na zegarek.

- Teraz kładziemy się już spać, ale jutro do południa chcę przejrzeć wszystkie dotychczasowe raporty - powiedziała.

- Dobrze. Wszystkie są u ciebie.

- Te najnowsze, które nadeszły podczas naszego pobytu w Nowym Jorku, również.

- Ty tu rządzisz.

- Cieszę się, że o tym pamiętasz.

Przy bramie wysiadł z limuzyny, zamienił z ochroniarzem kilka słów, by przekonać się, czy w czasie ich nieobecności nie działo się nic niepokojącego, po czym znów wsiadł do auta.

- Wszystko w porządku - rzucił krótko w jej stronę.

- Za to ci płacę.

- Co jest, Chantel? - wreszcie zirytowała go jej oschłość. - Jeśli coś cię gryzie, powiedz mi o tym, skarbie.

Otworzył jej drzwi na końcu podjazdu, ona jednak zamiast odpowiedzieć, wyminęła go po prostu, weszła do domu i energicznie ruszyła w stronę schodów.

- Masz mnie dosyć? - zawołał za nią. - Powiedz tylko, a sobie pójdę!

- Nie wiem, o czym mówisz. - Odwróciła się w połowie drogi do sypialni. - Uspokój się i zajmij się sobą. Ja muszę wziąć gorącą kąpiel przed snem Dobranoc.

Nikt nie mógł zrobić tego lepiej niż Chantel O'Hurley, gwiazda filmowa, która mroziła serca mężczyzn niczym Królowa Śniegu. Ale przecież prawdziwa Chantel była inna! Do Ucha, całkiem inna! Widział ją przecież, jak beztrudnie śpiewała wesołe piosenki! Tamta dziewczyna była prawdziwą O'Hurley!

Wpadł we wściekłość. Nie da się oszukać. Będzie walczył o Chantel nawet wbrew jej samej. Poszedł za nią aż do drzwi jej sypialni, a gdy zamknęła je za sobą, nie oglądając się nawet na niego, odczekał kilka chwil, a potem otworzył je potężnym kopniakiem.

Chantel zamarła w bezruchu. Ściągnęła już z siebie bluzkę i była teraz tylko w spódnicy oraz bawełnianym body. Wyraz oczu Quinna zmroził ją do szpiku kości.

- Nigdy nie zamykaj mi drzwi przed nosem - wycedził przez zęby. - I nigdy nie odchodź ode mnie bez pozwolenia.

- Natychmiast opuść ten pokój. - Zasłoniła włosami odkryty dekolt.

- Nie ma mowy. Już najwyższy czas, byś zrozumiała, że nie możesz mieć wszystkiego, na co przyjdzie ci ochota. Zostanę. A żeby się mnie pozbyć, musisz zrobić dużo więcej niż tylko przekręcić klucz w zamku.

Podszedł do niej blisko. Zesztywniała, lecz nie cofnęła się. Nie leżało to w jej naturze. Ujął pukiel jej włosów i okręcił go sobie wokół dłoni.

- Chcesz mnie poniżyć. Dobrze, ale nie doprowadzisz do tego, bym zaniechał pracy, do której mnie wynajęłaś.

- A ja nie pozwolę, byś traktował mnie jak idiotkę. Wiedziałeś, że on pojedzie za mną do Nowego Jorku. Wiedziałeś, że grozić mi tam będzie takie samo niebezpieczeństwo, jak tutaj. Zataiłeś to przede mną.

- Tak, ale dzięki temu miałaś przynajmniej jedną noc, podczas której spokojnie się wyspałaś.

- I co z tego? Nie masz prawa...

- Mam wszelkie prawa. - Zaciśnął dłoń na jej włosach. - Mam prawo robić absolutnie wszystko, by zapewnić ci bezpieczeństwo i spokój. I zamierzam uczynić wszystko, żeby to osiągnąć, bo jesteś dla mnie najważniejsza na świecie!

Chantel zaniemówiła. Stała zaskoczona dobrą chwilę i nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wreszcie odezwała się, nie przestając patrzeć na niego zdumionym wzrokiem:

- Czy to znaczy... - zagryzła wargi. - Czy chcesz przez to powiedzieć... że mnie kochasz?

Quinn nie chciał, żeby stało się to tak szybko. Zamierzał dać jej czas, sprawić, by sama przekonała się, jak bardzo go potrzebuje, poczekać...

- Nie mam wyboru.

- Ja też nie mam wyboru - powtórzyła za nim cicho i zanim zdołał się zorientować w jej zamiarach, przytuliła go mocno do siebie, wciąż niepewna swego szczęścia.

- Ty też...? - Zanurzył twarz w jej włosach z westchnieniem ulgi.

- Też. Kocham cię, Quinn. Kocham tak mocno, że chwilami sama nie wierzę, że można tak kogoś kochać. Aż się boję. Boję się, że odejdziesz i zostaną mi tylko wspomnienia. Ale ty nie odejdziesz, prawda?

- Nigdy. - Namiętnie pocałował ją w usta, po czym popatrzył poważnie w jej twarz. - Możesz to powtórzyć raz jeszcze? Pamiętaj, że nie ma tu ani kamer, ani reflektorów?

- Kocham cię, Quinn. Kocham... I chcę, byśmy byli razem. Posłuchaj, myślałam już o tym i postanowiłam, że musimy ustalić na początek...

- Spokojnie, mamy czas - mruknął leniwie, rozpinając suwak jej spódnicy.

- Mamy - przyznała zgodnie, wyciągając mu ze spodni koszulę. - Chcesz wziąć ze mną kąpiel?

- Pewnie.

- Przed czy po?

- Po - odrzekł i bez zbędnych ceregieli pociągnął ją na łóżko.

- Boże, jakie to szczęście, że dziś niedziela - powiedziała Chantel, wyciągając się z rozkoszą w ciepłej, pianistej wodzie. Sięgnęła po stojący na krawędzi wanny kieliszek z winem i przesłała Quinnowi promienny uśmiech. - Nie krzyw się na tę pianę. Polubisz ją.

- Będę pachnieć lawendą.

- No to co? Przecież poza mną i tak nikt nie będzie cię wąchać.

- Naprawdę lepiej wypoczywasz w tych balsamach?

- Naprawdę. A wypoczynek bardzo mi się przyda. W przyszłym tygodniu czeka mnie ogrom pracy. Najgorsza będzie scena, w której Brad i Hailey o mało nie giną w ogniu.

- W jakim znowu ogniu?

- Przeczytaj scenariusz - odparła i roześmiała się, kiedy Quinn chlapnął na nią pachnącą pianą. - Wprawdzie ekipa od efektów specjalnych jest wyjątkowo sprawna, ale i tak będę musiała pełznąć przez prawdziwy ogień i dym. Tylko kilka sekund, ale jednak. Ma być zbliżenie mojej twarzy, więc nie ma mowy o zatrudnieniu kaskadera. Dlatego właśnie tak mi teraz błogo, gdy leżę sobie bezpiecznie w wannie i myślę o tym, jak będę się z tobą kochać...

- Możesz i leżeć w wannie, i kochać się ze mną. - Pochylił się w jej stronę. - Jednocześnie.

Chantel wybuchnęła śmiechem i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Tutaj? - zapytała, przesuwając dłoń po jego torsie.

- A dlaczego nie? - Nachylił się ku niej jeszcze bliżej.

- Ty wariacie... - Wygięła się pod nim kusząco, przesunęła się pod niego, a wówczas Quinn stracił równowagę, jego łokieć ześliznął się z krawędzi wanny, zaś on sam runął na Chantel i zanurzył się wraz z nią pod wodą.

- Quinn! - Poderwała się natychmiast, łapiąc gwałtownie powietrze.

- Och, Chantel... - Wypluł pianę z ust. - Mam w oczach mydło!

- Podobno jesteś niezatapialny - wybuchnęła śmiechem.

- Jestem. - Quinn też się roześmiał i chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz głos u wiązał mu w gardle, gdy Chantel wstała, a po jej cudownym ciele spłynęła pachnąca woda. Wobec tak doskonałego piękna był bezradny i bezbronny.

- Następnym razem, kiedy pójdziemy razem do wanny, przypomnij mi, żebyś zabrała okulary do pływania - zażartowała, sięgając po ręcznik.

- Och, Chantel - odparł tylko, stanął obok niej i przygarnął ją w milczeniu do siebie.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że może być tak cudownie - odezwała się po chwili.

- Ja też - mruknął. Poczuli, jak zadrżała lekko, i powiedział z czułością, która zaskoczyła jego samego: - Wytrzymaj się, kochana. Zmarzniesz. - Zarzucił na jej ramiona gruby, puszysty szlafrok. - Dostaniesz kataru, a ja będę musiał cię tłumaczyć przed Mary Rothschild za twój czerwony nos. Powiedz, czy kiedy skończysz ten film, będziesz mogła zrobić sobie krótką

przerwę?

- To zależy, z kim i gdzie - odparła z czarującym uśmiechem.

- Ze mną. A gdzie, to ustalimy wspólnie.

- Z rozkoszą, Quinn. Wytrzymaj jeszcze trzy tygodnie. A miejsce wybierz sam, zgoda?

- Docenisz mój wybór.

- Na pewno.

- Wiesz co? Gdy już się pobierzemy, zmienimy nieco obyczaje w wannie - oświadczył, okręcając sobie biodra ręcznikiem. - Piana jest super, ale musi być pozbawiona zapachu. Nie możemy pozwolić na to, żeby nasze dzieci podejrzewały, że ich tata używa damskich perfum.

Chantel zamarła z buteleczką balsamu nawilżającego w dłoni.

- To my... mamy się pobrać?

Quinn nie musiał patrzeć w jej stronę, by domyśle się, że poruszył drażliwy temat. Słysząc to było wyraźnie w niepewnym nagłym głosie Chantel.

- Bezsprzecznie - oświadczył, Ucząc na to, że jego zdecydowanie i entuzjazm przełamia może jej opory, jakiegokolwiek by one były i cokolwiek byłoby ich powodem.

Niestety, skutek był odwrotny.

- I chcesz mieć dzieci? - zapytała łamiącym się głosem.

- Jasne. A co? Będą jakieś problemy? - Spojrzał na nią poważnie.

- Ja... nie wiem. To wszystko dzieje się tak szybko...

- Chantel, nie jesteśmy nastolatkami. Sądzę, że możemy sobie powiedzieć wszystko uczciwie.

- Tak, tylko... Muszę usiąść. - Przeszła szybko do sypialni i przyciskając do piersi ręcznik, usiadła na krześle. Quinn ruszył za nią, również usiadł i schował twarz w dłoniach.

- Wygląda na to, że wykręciłem zły numer - powiedział. - Myślałem, że też tego pragniesz. - Otrząsnął wodę z włosów, sięgnął po papierosa. - Mąż i dzieci nie przystają do twego wizerunku, prawda?

Powoli uniosła głowę. Oczy miała suche, lecz malował się w nich ból, rozpacz i udręka.

- Prawda? - zapytał ponownie Quinn.

- Nic nie mów - przerwała mu, wykonując gwałtowny ruch ręką. Wstała, zacisnęła mocno pasek szlafroka i podeszła do okna. - Kariera jest dla mnie ważna, ale nigdy nie chciałam, by miała wpływ na moje życie osobiste... - zaczęła. - Moi rodzice, mimo że bez przerwy przebywali

w trasie, wychowali z powodzeniem czwórkę dzieci i zawsze mieli czas dla nas, dla rodziny.

- O co więc chodzi?

Wsunęła ręce do kieszeni i odetchnęła głęboko.

- Przede wszystkim chcę ci powiedzieć, że niczego bardziej nie pragnę, jak wyjść za ciebie i założyć z tobą rodzinę... Zaczekaj, nie - dodała szybko, widząc, że Quinn rusza w jej stronę, by ją objąć. - Daj mi najpierw skończyć.

- W porządku, mów.

- Zanim zrobimy kolejny krok, musisz po prostu o czymś się dowiedzieć. Trudno przyznawać się do popełnionych w przeszłości błędów, ale ty... masz prawo do całej prawdy. Powinnam była ci zresztą powiedzieć o tym wcześniej. Tak mówiła moja matka.

- Posłuchaj, jeśli zamierzasz mi powiedzieć, że byłaś związana z innymi mężczyznami...

- Nie - uśmiechnęła się smutno. - Nie o to chodzi. Może nie przystaje to do mego wizerunku, ale przed tobą spałam tylko z jednym mężczyzną.

Quinn podniósł głowę.

- Co? Zaskoczony? - zapytała i znów się uśmiechnęła. - Kiedy go spotkałam, miałam zaledwie dwadzieścia lat. Dorabiałam w knajpach i uczyłam się aktorstwa. Mówiłam sobie, że to tylko trudny początek wielkiej kariery, wierzyłam w siebie, ale naprawdę nie było mi łatwo. Wtedy właśnie po raz pierwszy zadzwonił do mnie Matt. Zaproponował mi drugorzędną rolę w „Bezprawiu”, a ja oczywiście ją przyjął. To była szansa na przełom w mojej karierze. Producentem był...

- ...Dustin Price.

Chantel odwróciła się gwałtownie w jego stronę.

- Skąd wiesz?

- Wie o tym każdy miłośnik kina. Ale naprawdę dowiedziałem się o tym, kiedy cię sprawdzałem.

- Jak to mnie sprawdzałeś? Mnie?

- Rutynowa procedura. Zawsze tak się robi. Mogłaś o czymś zapomnieć, albo zapomnieć mi o tym powiedzieć. Na przykład o Dustinie Price. Gość jest czysty. Od osiemnastu miesięcy siedzi w Londynie. Sypiałaś z nim, bo chciałaś doprowadzić do przełomu w swojej karierze, a on mógł ci to załatwić. Działo się to dawno temu, kiedy byłaś młoda i głupia, a ja dbam o to tyle, co o zeszłoroczne liście. Nie przejmuj się, i tak cię kocham.

Chantel nie rozpogodziła się, jak się spodziewał.

- A więc uważasz, że spałam z nim, aby dostać tę rolę?

- Mówię przecież, że nic mnie to nie obchodzi. - Wyciągnął do niej dłoń, lecz ona krzyknęła gwałtownie:

- Nie dotykaj mnie! Nigdy nie dostałam roli w ten sposób - powiedziała z naciskiem. - Nie sypiałam i nie zamierzam sypiać ani z reżyserami, ani z producentami. Czasami idę na kompromisy, ale własnym ciałem nie handluję.

- Przepraszam. - Tym razem, nie zwracając uwagi na jej protesty, Quinn chwycił Chantel za rękę. - Próbuję ci tylko powiedzieć, że nie jest dla mnie ważne, co zaszło między tobą a Price'em.

- Jest. - Wyrwała rękę z jego uścisku. - Jest bardzo ważne. Kiedy Matt zadzwonił z wiadomością, że mam tę rolę, byłam w siódmym niebie - zaczęła mówić szybko, jakby chciała jak najszybciej skończyć tę opowieść. - Otwierały się przede mną nowe horyzonty i czułam, że mogę zostać kimś. Dustin przysłał mi tuzin róż, butelkę szampana oraz uroczy liścik z gratulacjami. Napisał, że jest pewien, że zostanę gwiazdą i zaproponował kolację, podczas której mieliśmy omówić moją rolę i plany na przyszłość. Zgodziłam się, bo był jednym z najlepszych producentów. Był również żonaty, ale o tym wtedy nie myślałam... Staralam się zachowywać przyzwoicie. Chadzaliśmy razem na kolacje, stanowiliśmy parę przyjaciół, a Dustin był kulturalny i uroczy. Poza tym wiele wiedział o branży filmowej i miał znajomości, a w tamtych czasach bardzo się to dla mnie liczyło. Byłam młoda i naiwna, głupia, jak powiedziałeś. Zakochałam się w nim i bez zastrzeżeń wierzyłam we wszystko, co mówił o sobie, swojej żonie i rozwodzie, który podobno był w trakcie. Tworzyliśmy najpiękniejszą parę w Hollywood, ale w miarę jak ja nabierałam doświadczenia, on stawał się coraz bardziej mną znudzony. I wszystko umarłoby pewnie śmiercią naturalną, gdyby nie błąd, który popełniłam... - Urwała nagle, jakby chciała nabrać sił przed kolejnym zdaniem - Zaszłam w ciążę.

- Chantel!

- Do tego się nie dokopałeś, prawda?

- Nie.

- Dustin miał dosyć pieniędzy i dosyć wpływów...

- Aborcja? - podpowiedział Quinn.

- Tego zażądał. - Chantel spuściła głowę. - Wpadł w dziką furję. Normalne zachowanie,

kiedy kochanka, a przecież nią byłam, zagraża rodzinnemu szczęściu przykładowego ojca i męża. Bo Dustin nigdy poważnie nie myślał ani o rozwodzie, ani o małżeństwie z Chantel O'Hurley.

- Wykorzystał cię - warknął Quinn. - Miałaś tylko dwadzieścia lat, a on po łajdacku cię wykorzystał i skrzywdził.

- Wcale nie - odparła spokojnie Chantel. - Oświadczyłam, że może wynosić się do wszystkich diabłów, ale dziecko i tak urodzę. To tylko pogorszyło sprawę. Zagroził mi, że zniszczy moją karierę. Myślałam, że nie mam wyboru...

- Wciąż cię to boli.

- Tak, ale z innego powodu, niż myślisz. Zadzwoiłam do rodziców. Byłam gotowa rzucić wszystko i wrócić do nich, kupiłam już nawet bilet lotniczy. I gdy jechałam już na lotnisko... zdarzył się wypadek. - Przełknęła ślinę, by powstrzymać płacz. - Niezbyt poważny, taksówkarz złamał sobie tylko jakąś kość, ale ja... ja straciłam dziecko.

Na próżno starała się opanować. Po tych słowach wybuchnęła płaczem i przycisnęła drżące dłonie do oczu. Quinn milczał - on też był bliski łez.

- Straciłam dziecko - szlochała Chantel - ale próbowałam wmawiać sobie, że nawet dobrze się stało. Och, jaka byłam głupia, jaka beznadziejnie głupia. .. - Westchnęła ciężko, odgarnęła włosy z twarzy, wytarła oczy końcem szlafroka. - Najbardziej pomógł mi Matt. Gdy tylko opuściłam szpital, natychmiast wciągnął mnie do pracy. Wszystko wróciło na swoje miejsce - role, ludzie, sława, o jakiej zawsze marzyłam. Nie było tylko dziecka.

- Kocham cię, Chantel. - Quinn podszedł do niej, pogłaskał ją po włosach. - Nie wiem, co mogę więcej powiedzieć, nie wiem, co mam zrobić. Po prostu wiedz, że cię kocham.

- To jeszcze nie koniec. Jest jeszcze coś.

- Wystarczy, potem. - Próbował wziąć ją w ramiona, lecz cofnęła się i powiedziała bezbarwnym głosem:

- W wyniku poronienia wystąpiły komplikacje. Lekarze powiedzieli, że być może już nigdy nie będę mogła mieć dziecka.

- Czy wyjdiesz za mnie mimo to? - Quinn zadał pytanie, które ona chciała mu zadać.

- Quinn, czy słyszałeś? Powiedziałam, że...

- Słyszałem. - Ścisnął mocno jej dłonie. - Nie będę oszukiwał, pragnę mieć dzieci, Chantel... z tobą. Jeśli będziemy je mieć, to świetnie, ale przede wszystkim... - dotknął wargami jej ust - przede wszystkim pragnę ciebie, skarbie. Wszystko inne jest nieważne.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo cię kocham.
- A więc jutro się pobierzmy.
- Nie. - Odepchnęła go lekko. - Chcę, żebyś to jeszcze przemyślał. Potrzebujesz czasu.
- Potrzebuję ciebie, nie czasu.
- Nie - pokręciła głową - odłóżmy tę sprawę na kilka dni.

Quinn chciał rozstrzygnąć wszystko już teraz. Chciał też jednak uszanować wolę Chantel, chciał potraktować ją uczciwie i poważnie.

- Dobrze, kochana - powiedział. - Ale tylko na kilka dni. A teraz chodź do mnie. Już nie pozwolę, by ktokolwiek cię skrzywdził.

ROZDZIAŁ 12

Kolejny dzień zaczął się dla Chantel o szóstej i wypełniony był pracą na planie aż do wieczora. Pierwsze ujęcia robiono w baraku na tylnym dziedzińcu, przerobionym na potrzeby filmu w wiejski domek, który w kulminacyjnej scenie miał spłonąć w tajemniczych okolicznościach.

Hailey w scenie tej była już starsza, lecz wciąż rozdarta między mężczyzną, którego poślubiła, a tym, który ją zdradził. Dręczona wyrzutami sumienia, przybywała do samotnej leśnej chaty, by w jej zaciszu odnaleźć spokój i przypomnieć sobie o tym, co wypełniało jej życie, zanim pochłonął ją wir życia i sukcesów - o prawdziwym pięknie i prawdziwej sztuce.

Krótkie ujęcia, niemal migawki, złożyć się miały później w sugestywną całość - Hailey wyładowuje z samochodu ekwipunek malarski, rozstawia sztalugi na niewielkiej werandzie, wchodzi do chaty, po czym wychodzi z niej przebrana. Opiera się o balustradę werandy i patrzy z zadumą przed siebie, na jej twarzy zaś maluje się cała jej przeszłość: marzenia, rozczarowania, tęsknoty, radości i smutki. Sama gra, bez dialogów - prawdziwe wyzwanie dla ambitnego aktora.

Quinn patrzył na to wszystko i czuł, jak ogarnia go duma i podziw dla niezwykłego talentu Chantel. Nie musiał znać scenariusza, by wiedzieć, kim jest i co przeżyła filmowa Hailey.

Do obiadu nakręcono tę scenę, a także kolejną, przedstawiającą krótką, lecz burzliwą sprzeczkę między Hailey a Bradem. Później, podczas trwającej godzinę przerwy, Chantel ucięła sobie krótką drzemkę oraz zjadła lekki lunch, by być w formie przed kręceniem scen popołudniowych, które miały rozgrywać się we wnętrzu wiejskiego domku.

- I co pan o tym sądzi? - zapytał Quinna James Brewster, kiedy ten obserwował, jak filmowa Hailey nakręca w zadumie pozytywkę, którą otrzymała od męża w ślubnym prezencie, i po chwili w tle zaczynają płynąć łagodne dźwięki odtwarzanej przez mechanizm sonaty „Księżycowej”.

- Sceny są kręcone nie po kolei. Trudno mi wyrobić sobie zdanie - odrzekł i spojrzał z uwagą na pisarza. - Ale sądzę, że film będzie miał powodzenie. Jest w nim wszystko. Seks, przemoc, wielka miłość.

- Fachowa uwaga. Bez tego nie napisze pan żadnego przeboju - odparł niedbale James Brewster. - Oczywiście, kluczową postacią jest tu Hailey. To, co robi i co czuje, ma wpływ na wszystkich bohaterów. Ona ich naznacza, określa ich los. Kiedy zaczynałem pisać tę książkę,

chciałem napisać powieść o miłości i zdradzie, o upadku i odrodzeniu. Ostatecznie jednak wyszła mi wzruszająca historyjka o tym, jak to pewna niezwykła kobieta łamie serce dwóm mężczyznom, a w efekcie sobie samej. - Wybuchnął nerwowym śmiechem. - Wiem, brzmi to pretensjonalnie. Ale gdyby w roli Hailey nie występowała Chantel O'Hurley, taki właśnie byłby ten film.

- Można powiedzieć, że uratowała pański scenariusz.

- Właśnie. - James Brewster skinął głową. - Jest po prostu cudowna. Dla pisarza nie ma większej nagrody niż widzieć, jak stworzona przez niego postać nabiera życia, zwłaszcza postać, w którą włożył tyle serca. Pokochałem Hailey, panie Doran, i prawie znienawidziłem. Uwierz pan, że mało brakowało, a spaliłbym ją w tym ogniu?

- Jak to? - Quinn spojrzał na niego czujnie. Scenarzysta ponownie się roześmiał i wyciągnął papierosa.

- Zwyczajnie. Zamierzałem zakończyć tę historię tu, w tej właśnie chacie, w której Hailey spłonęłaby w ogniu podłożonym przez jedyne go mężczyznę, który naprawdę ją kochał. Doszedłem jednak do wniosku, że to niemożliwe. Hailey musiała przeżyć.

James Brewster przerwał i zaczęli w milczeniu obserwować przygotowania do kolejnego ujęcia.

- Wyjątkowa kobieta - odezwał się znów scenarzysta. - Wie pan, że podkochuje się w niej prawie każdy mężczyzna na planie?

- A pan?

- Panie Doran, ja jestem tylko pisarzem. Mnie podnieca fikcja literacka, a nie żywe istoty z krwi i kości. Nawet tak zjawiskowo piękne, jak panna O'Hurley.

Asystent reżysera dał znak i na planie zapadła głucha cisza. Po chwili zaterkotały kamery i ruszyła akcja. Zaintrygowany odbył rozmowę, Quinn postanowił uważniej obserwować Jamesa Brewstera. Pisarz sprawiał wrażenie dużo bardziej rozluźnionego niż zazwyczaj. Zapewne cieszyły go postępy w pracy. Larry Washington natomiast był wyraźnie rozkojarzony. Nie potrafił znaleźć dla siebie miejsca, biegał z kąta w kąt i wyraźnie było czuć, że jest czymś zdenerwowany.

A może to nie Larry był zdenerwowany, lecz on sam - Quinn Doran. Całkiem możliwe. Mężczyzna, który całe życie spędził, nie podejmując wobec nikogo żadnych zobowiązań, bywa niecierpliwy, gdy w końcu znajdzie wybraną osobę i postanowi się z nią związać. A przecież on

chciał, by nastąpiło to jak najszybciej.

Chantel kazała mu się namyślić. Już się namyślił. Zajął mu to kilka sekund. Ile więc jeszcze każe mu czekać?

- Cięcie! Doskonale! - Mary Rothschild wyprostowała się z zadowoleniem. - To było cudowne, Chantel!

- Dzięki. Cieszę się, że nie musimy powtarzać tej sceny.

- Tej już nie, ale czeka nas jeszcze konfrontacja Hailey z Bradem. Pamiętasz, co do niego czujesz, prawda? Wciąż go pragniesz. Po wszystkim, co ci uczynił, wciąż jesteś tamtą młodą dziewczyną, która się w nim zakochała bez pamięci. Chcesz kochać swojego męża, chcesz być mu wierna i robisz wszystko, co w twojej mocy, by tak właśnie było. Ale potrafisz tylko go ranić. I oto teraz znalazłaś się w punkcie zwrotnym swojego życia. Zdajesz sobie sprawę, że jeśli pójdziesz z Bradem, zginiesz. Już teraz toniesz.

- Walczę bardziej sama z sobą niż z nim.

- Właśnie. To co? Spróbujemy?

Pracowali do osiemnastej. W ostatniej scenie fachowcy od efektów specjalnych wpompowali do baraku kłęby dymu i wdmuchnęli płomień ognia. Hailey, oszołomiona pożogą, rozpaczliwie pełzła po podłodze chaty w stronę drzwi. Udało jej się uratować z pożaru jedynie siebie oraz pozytywkę z sonatą „Księżycową”.

Quinn już widział łzy przyszłych widzów na sali kinowej, kiedy patrzył, jak powstawała ta dramatyczna scena.

- Piekielny dzień - westchnął, kiedy znaleźli się już w garderobie.

- A co ja mam powiedzieć? - odparła ze znużeniem Chantel, zmywając z twarzy resztki makijażu. - Padam ze zmęczenia. Nie chce mi się nawet jeść. Marzę tylko o łóżku.

- Zaraz cię do niego zawlokę.

- Zawleciesz? - uśmiechnęła się. - Wolałabym, żebyś mnie zaniósł.

- To też da się zrobić, ale dopiero wieczorem, za kilka godzin.

- A dokąd to się wybierasz? - zapytała, przebierając się za przepierzeniem.

- Mam do załatwienia pewną sprawę. Opowiem ci wszystko po powrocie.

- Wolałabym, abyś opowiedział mi teraz - mruknęła, sięgając po torbę i kierując się do wyjścia.

Quinn milczał, nie mając pewności, czy powinien zdradzać Chantel swoje plany. W

końcu jednak Matt, którego właśnie zamierzał odwiedzić, był jej najbliższym przyjacielem. Dopiero gdy znaleźli się w wiozącej ich do domu limuzynie, postanowił powiedzieć prawdę.

- Nie chciałem podejmować tego tematu w Nowym Jorku. - Popatrzył na nią poważnie. - Twoja siostra wychodziła za mąż, a ponadto mieliśmy własne problemy. Wczoraj natomiast... - Urwał na chwilę. Brakowało mu słów, którymi mógłby wyrazić to, jak wiele znaczyły dla niego wydarzenia ostatniej doby. - Chciałem, by wczorajszy dzień należał wyłącznie do nas.

- Rozumiem. - Ujęła jego dłoń. - O co więc chodzi, Quinn?

- Wpadłem na trop człowieka, który zamówił dla ciebie kwiaty w Nowym Jorku. Mam jego rysopis, a właściwie parę szczegółów dotyczących garderoby. Ciemne okulary, kapelusz z szerokim rondem, zagraniczne papierosy i najważniejsze - saszetka na pieniądze ze srebrnym klipsem.

- Wielu mężczyzn pali zagraniczne papierosy i nosi pieniądze w takich saszetkach.

- Ale niewielu mężczyzn blisko z tobą współpracuje. A ten współpracuje.

- Tak powiedział? Mógł kłamać.

- Mógł. Ale oboje wiemy, że nie kłamał. Oboje też wiemy, że ten człowiek dobrze zna ciebie, a ty znasz jego. Pamiętasz może, komu podarowałaś saszetkę ze srebrnym klipsem na urodziny?

Chantel zbladła nagle i pokręciła z uporem głową.

- To nie może być Matt.

- Posłuchaj, najwyższy czas, abyś oddzieliła fakty od pobożnych życzeń.

- Nie, Quinn, nigdy w to nie uwierzę.

- Dzwoniłem do niego z Nowego Jorku. Nie było go w Los Angeles.

- Wielu mieszkańców Los Angeles opuszcza miasto na weekend.

- Wyjechał w sprawach osobistych. Do Nowego Jorku.

- Ale...

- Muszę z nim porozmawiać.

- Nie chcę. Nie chcę, byś go oskarżał ... - Urwała, widząc jego pełen powagi i bólu wzrok. Zrozumiała, że i dla Quinna jest to wstrząs. - W porządku - odwróciła głowę i zapatrzyła się w okno - mam cię nie pouczać, tak?

- Właśnie tak, skarbie. - Ujął ją za ramię i odwrócił w swoją stronę. - Popatrz na mnie. - Odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów. - Naprawdę nie chcę sprawiać ci bólu.

- Ale utrzymujesz, że głównym podejrzanym jest mój najbliższy przyjaciel. To boli.

- Wiem, kochana, wiem. Mnie też. - Pochylił się i pocałował ją lekko w usta. - Ale musimy tę sprawę ostatecznie rozwiązać. Pojadę do niego. A ty wracaj do domu. Idź prosto do łóżka i o niczym już nie myśl. I pamiętaj, że cię Kocham.

- Zostań ze mną.

- Nie mogę. Ale tym razem opuszczę cię po raz ostatni. To koniec tej sprawy, obiecuję. Minęli bramę i jechali teraz wolno długim podjazdem.

- Wierzę ci - powiedziała Chantel z bladym uśmiechem. - Będę na ciebie czekać.

- Najlepiej w łóżku. - Musnął palcem jej nos.

Matt Burns powitał go na progu w wygodnych kapciach i sportowej bawełnianej bluzie.

- Quinn? - zdziwił się na widok przyjaciela.

- Cieszę się, że zastałem cię w domu, Matt.

- Fakt, rzadko mi się zdarza tu bywać. Miałeś szczęście. Wchodź - poprowadził detektywa do salonu - prawdę mówiąc, nie spodziewałem się ciebie. Napijesz się czegoś?

- Nie, dzięki.

Matt odstawił karafkę.

- Co, Chantel?

- W porządku. Ciekawe, sądziłem, że częściej będziesz interesował się jej losem.

- Nie było potrzeby. Jest chyba w dobrych rękach, no nie? - Matt wciąż nie siadał i nie podsuwał Quinnowi krzesła. - Poza tym miałem do załatwienia pewną sprawę osobistą.

- I to dlatego właśnie spędziłeś weekend w Nowym Jorku?

- W Nowym Jorku? - Matt ściągnął brwi. - Skąd wiesz?

- Pewien właściciel kwaciarni w West Sixties miał dobrą pamięć. - Quinn wyciągnął papierosa i zapalił go, nie spuszczać wzroku z Matta.

- Nie łapię, stary. - Matt prawie wybuchnął śmiechem i w końcu usiadł na krześle. - O czym ty w ogóle gadasz?

- O pąsowych różach, które przysłałeś Chantel. Tym razem popełniłeś błąd, przyjacielu. Na kopercie z liścikiem była nazwa kwaciarni.

- Róże? - Matt potrząsnął głową. - Jakie znowu róże? I co za kwaciarnia? Zupełnie ci odbiło? Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. - Nagle w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. - Jezu, czy ty sobie czasem nie wymyśliłeś, że to ja napastuję Chantel? Podejrzewasz mnie? Do

diabła, Quinn! - Zerwał się z krzesła. - Sądziłem, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Ja też. Gdzie spędziłeś ostatni weekend?

- Nie twój zasrany interes!

- Albo mi powiesz, albo dojdę do tego sam. W każdym razie uczynię wszystko, żebyś zniknął z jej życia.

Matt zacisnął pięści i Quinn miał już nadzieję, że za chwilę dojdzie między nimi do bójki. Siłowa konfrontacja bardziej mu odpowiadała niż aluzyjna rozmowa.

- Jestem jej agentem i przyjacielem - wycedził Matt ze złością. - Ilekroć wpada w tarapaty, ja pierwszy przy niej jestem.

- Może. Powiedz jednak, gdzie spędziłeś ostatni weekend?

- Po prostu wyjechałem - od warknął Matt. - W sprawach prywatnych.

- Dużo masz ostatnio tych spraw. Nie pojawiłeś się ani razu w studio podczas kręcenia filmu. Twierdzisz, że jesteś przyjacielem Chantel, a od czasu, kiedy dowiedziałeś się o jej kłopotach, spotkałeś się z nią tylko dwa razy!

- Powiedziałem jej, żeby dzwoniła w razie potrzeby.

- A może to raczej ty ciągle do niej wydzwaniasz?

- Oszalałeś - odparł Matt i pokręcił z politowaniem głową, jednak gdy napełniał sobie szklankę alkoholem, lekko zadrżały mu ręce.

- Bynajmniej. Pieniądze nosisz w saszetce ze srebrnym klipssem. Dostałeś ją w prezencie od Chantel, a taką samą widział kwiaciarz u mężczyzny, który kupował u niego kwiaty dla Chantel O'Hurley.

- Chcesz zobaczyć moją saszetkę? - Rozwścieczony Matt wyciągnął z kieszeni plik banknotów spiętych metalowym klipssem i z impetem uderzył pieniędzmi o stół.

Quinn zmarszczył brwi i poczuł się nagle koszmarnie głupio. Klips był złoty, nie srebrny, a na saszetce widniały wyraźne inicjały MB - jak Matt Burns.

- Jeśli cię to interesuje, używam jej od dwóch miesięcy. Od chwili kiedy dostałem ją od Marion. - Matt sięgnął po szklankę z wódką. - Gdyby nie chodziło o Chantel, dawno już bym wyrzucił cię z domu na zbity łeb, ty pacanie!

- Spróbuj tylko. - Quinn odłożył saszetkę, postanowił jednak brnąć dalej. - Może jednak powinieneś być ze mną szczery. Gdzie spędziłeś ostatni weekend?

- W Nowym Jorku - powtórzył Matt, po czym zaklął i podszedł do okna. - Na Brooklynie.

Od piątkowego wieczoru do niedzielnego popołudnia. A wiesz z kim? Z rodzicami Marion. Marion Lawrence, nauczycielka angielskiego, dwadzieścia cztery lata, bardzo inteligentna, ufna i niewinna. Chcesz jej telefon? - zapytał z kpina, po czym spowaźniał i potarł z roztargnieniem policzek. - Poznałem ją trzy miesiące temu. Jest młodsza ode mnie o dwanaście lat. Nie powinienem zawracać jej w głowie, a jednak... zakochałem się. - Przesłał Quinnowi wściekłe spojrzenie i sięgnął po papierosa. - Ona chce za mnie wyjść. Cały weekend spędziłem na przekonywaniu jej bardzo zatroskanych rodziców, że nie jestem hollywoodzkim playboyem, który zamierza sobie kupić nową zabawkę. A u Chantel nie pojawiałem się dlatego, że ta nauczycielka zupełnie zawróciła mi w głowie. Tylko popatrz - wręczył Quinnowi fotografię - wygląda, jakby sama była uczennicą, no nie? Od kilkunastu tygodni żyję jak w jakimś transie.

Quinn wierzył w jego słowa. Z uczuciem zawodu, ale bardziej chyba ulgi, oddał przyjacielowi fotografię i saszetkę.

- Nie rozumiem, stary, co ona w tobie widzi? - zażartował, by rozładować sytuację, i Matt natychmiast wybuchnął szczerym śmiechem.

- No, no, uważaj, przyjacielu, bo zadam ci to samo pytanie odnośnie Chantel. Skąd wiem? Moja sprawa. W każdym razie Marion uważa, że jestem fantastyczny. Wie o moim hazardzie, wie o wszystkim, a mimo to nadal uważa, że jestem fantastyczny. A ja pragnę ją poślubić, zanim nie zmieni zdania.

- No to powodzenia.

- Dzięki. A teraz powiedz mi wszystko. Rozumiem, że ten typek przysłał jej kwiaty w Nowym Jorku i wyglądał jak ja.

- Nie wiem, jak wyglądał.

- Przecież mówiłeś...

- Skłamałem.

- Zawsze byłeś draniem - oświadczył bez gniewu Matt. - Jak ona to znosi?

- Z trudem. W każdym razie ucieszy ją wiadomość, że to nie ty.

- Wiesz co? Pozwól mi ze sobą pojechać. Chciałem już wcześniej powiedzieć jej o Marion, ale czułem się... jak idiota. Oto Matt Burns, pracodawca i pośrednik filmowych gwiazd, powalony na kolana przez kobietę, która przez cały dzień wyciera smarkaczom nosy i pomaga im sznurować buty. Ciekawe, czy Chantel będzie się śmiała?

- No to chodź, przekonamy się razem.

Po krótkiej kąpieli w basenie Chantel przeszła do oddzielnego pawilonu, w którym zainstalowana była ogromna wanna z jacuzzi, i z rozkoszą weszła do ciepłej, wzburzonej wody.

Niebawem wróci Quinn, rozmyślała, a wtedy podejmą ostateczne decyzje odnośnie wspólnej przyszłości. Starła się myśleć wyłącznie o tym i nie wracać wspomnieniami do rozmowy, którą Quinn przeprowadził z nią w samochodzie. Oskarżył Matta, miał dowody, pojechał go zdemaskować. Chciała, by jej prześladowca został zdemaskowany, ale na Boga, nie chciała, by okazał się nim właśnie Matt Burns!

Przez wysokie okna wpadały promienie zachodzącego słońca. W świetlikach w suficie majaczyło niebieskie niebo. Chantel wyciągnęła się w spienionej wodzie, która rozkosznie masowała jej zmęczone mięśnie i wypędzała z ciała znużenie.

Była tak bliska szczęścia i tak wiele mogło je zmać. Cała ta sprawa z Mattem, oczywiście, ale przede wszystkim to, że Quinn pragnął mieć dzieci, a ona być może nie była w stanie mu ich dać. Czy powinna się zgodzić na małżeństwo? Och, gdyby nie kochała go tak bardzo, gdyby nie zależało jej aż tak na jego szczęściu, łatwiej przyszłoby jej przyjąć jego oświadczenia.

Najważniejsze, żeby już wrócił, myślała. Żeby znów był przy niej. Gdyby utulił ją w ramionach, wiedziałyby, jaką dać mu odpowiedź.

Kiedy z głębi pomieszczenia dotarł do niej dźwięk uchylanych drzwi, usiadła i odgarnęła z twarzy mokre włosy.

- Nic nie mów, Quinn - odezwała się kusząco. - Po prostu chodź tutaj do mnie.

W tej samej chwili usłyszała muzykę i serce podeszło jej do gardła.

Muzyka była cicha, rozkoszna, brzmiała niczym szklane dzwoneczki nad łóżkiem niemowlęcia - muzyka z pozytywki. Przez szum wody w jacuzzi wyraźnie dobiegły ją znajome tony sonaty „Księżycowej”.

- Quinn?

Wypowiedziała to imię, ale wiedziała już, że to nie on otworzył drzwi do pawilonu. Drżącą ręką wyłączyła pompę tłoczącą wodę do wanny i teraz słyhać było już tylko pozytywkę.

- Tak długo czekałem na tę chwilę - odezwał się w pobliżu znajomy szept, a wtedy Chantel wyskoczyła gwałtownie z wanny i spojrzała w stronę drzwi. Ale drzwi były daleko. Światła przygasły i ogarnęło ją jeszcze większe przerażenie. - Jesteś taka piękna... - ten sam głos, który dręczył ją przez tyle tygodni, rozbrzmiewał teraz tak blisko, że serce niemal przestawało jej

bić ze strachu. - Tak nieprawdopodobnie piękna... Nie potrafiłbym sobie nic piękniejszego wyobrazić ani stworzyć. Dziś wreszcie będziemy razem, kochana...

Intruz stał skryty w cieniu i Chantel nie była w stanie go rozpoznać.

- Na zewnątrz są ochroniarze - powiedziała, zaciskając pięści. - Będę krzyczeć.

- Jest tylko jeden, przy bramie, która jest daleko. Innych musiałem skrzywdzić, przykro mi. Czasami, kiedy się kocha, krzywdzi się innych. Miłość domaga się ofiar...

Zerknęła znów w stronę głównych drzwi, mierząc wzrokiem dzielącą ją od nich odległość.

- Jak dostałeś się do środka?

- Przez mur przy korcie tenisowym. Nigdy nie grasz w tenisa, Chantel.

- A alarm?

- Zająłem się nim. Posiadam sporą wiedzę. Znany jestem z tego, że przykładam wielką wagę do szczegółów.

Wyszedł nagle z cienia i wtedy go rozpoznała. To był James Brewster, autor scenariusza. Stał naprzeciw niej i trzymał w dłoni pozytywkę - tę samą, która służyła jako rekwizyt na planie „Nieznajomych”.

- James? - Choć w pawilonie było parno, Chantel zaczęła drżeć. - To ty? Dlaczego to robisz?

- Bo cię kocham. - Oczy miał szkliste. Kiedy podchodził w jej stronę, w jego źrenicach nie malowały się żadne emocje. - Kiedy raz uformowałaś się w moim umyśle, wiedziałem, że ożyjesz. I teraz, gdy już tu jesteś, prawdziwa Hailey, żywa, z krwi i ciała, muszę cię mieć. Prawdziwą, żywą... Weź to, zrobiłem ją specjalnie dla ciebie. - Wyciągnął przed siebie pozytywkę i Chantel cofnęła się z przerażeniem. - No, chodź do mnie, Hailey, nie obawiaj się. Przytul się, rozluźnij...

- James, opamiętaj się! - wrzasnęła. - Nie jestem Hailey! Przecież wiesz o tym! Jestem Chantel! Chantel! Słyszysz?

- Tak, tak, naturalnie. - James Brewster uśmiechnął się i odstawił pozytywkę na stojący obok wanny stolik. - Chantel O'Hurley o cudownej twarzy anioła... Śnię o tobie od miesięcy. Nie mogę pisać. Moja żona sądzi, że mozolę się nad nową książką, ale nie ma żadnej książki i nigdy już nie będzie. Będziemy tylko my, Chantel, ty i ja. Wiem przecież, że naprawdę kochasz tylko mnie. Dlaczego nie przechowujesz moich bukietów? - spytał nagle urażonym tonem.

- Wybacz. - Musiała grać na zwłokę. Niebawem wróci Quinn i cały ten koszmar się skończy. Jeszcze tylko pięć minut, może dziesięć. Musi wytrzymać. - To dlatego, że przysyłałeś mi je w taki dziwny sposób. Bałam się.

- Nigdy nie chciałem cię przestraszyć, Hailey...

- Wiem. I pamiętaj, że nazywam się Chantel - napomniała go drżącym ze strachu głosem.
- Chantel O'Hurley.

- Chantel? - Pisarz przez chwilę sprawiał wrażenie zmieszanego. - Nieważne. Najważniejsze, że kocham cię, i że wreszcie mogę być tylko z tobą. Na ten wieczór czekałem tak długo, zbyt długo. Podczas pełni księżyca noce są najpiękniejsze, a ta muzyka... - Zerknął na pozytywkę. - To muzyka dla ciebie.

- Dlaczego nigdy nie porozmawiałeś ze mną otwarcie?

- Odrząciłabyś mnie - odrzekł podniesionym głosem. - Odrząciłabyś - powtórzył. - Czy masz mnie za głupca? Widywałem cię wciąż z młodymi mężczyznami, muskularnymi, o gładkich twarzach. .. Ale żaden z nich nie kocha cię tak mocno jak ja. Żaden! Doprowadzałaś mnie do szaleństwa, niewdzięczna! - krzyknął gniewnie. - Miałaś obsesję na punkcie Brada! Zawsze istniał dla ciebie tylko Brad!

- Nieprawda, James, nie ma żadnego Brada. Nie ma też Hailey. To postacie, które sam stworzyłeś. Nie istnieją naprawdę.

- Ale ty istniejesz. Widziałem cię z nim. Widziałem, jak na niego patrzysz, jak pozwalasz mu się dotykać... Na szczęście byłem cierpliwy, a dzisiejsza noc - ruszył w stronę Chantel - wynagrodzi nam wszystko. Czekałem na nią...

Chantel rzuciła się do szaleńczego biegu. Jeśli dotrze do wyjścia pierwsza, będzie uratowana.

Jednak Brewster nawet jej nie gonił, a ciężkie drzwi ani drgnęły, gdy próbowała je otworzyć.

- Uspokój się, malinko. Zamknąłem je z tamtej strony - odezwał się cicho. - Wiedziałem, że będziesz chciała uciec. Wiedziałem, że odrzucisz moją miłość - powiedział z wyrzutem w głosie.

Chantel oparła się plecami o drzwi.

- Nie kochasz mnie, James. Nie kochasz. Jesteś chory. Biedny i chory. Posłuchaj mnie raz jeszcze... Ja jestem aktorką. Nazywam się Chantel. Nie jestem Hailey z twojej książki.

Skrzywił się, jakby przeszył go ostry ból, i przycisnął palce do oczu.

- Nie mów tak. Nie wypieraj się mnie. I nie próbuj uciekać - ostrzegł, kiedy Chantel zaczęła przesuwać się w stronę skrytych w mroku drzwi awaryjnych. - Nie uciekniesz! - krzyknął i zagroził jej drogę. - Wiem już, co muszę uczynić! Ani dla mnie, ani dla ciebie, Hailey, nie ma już drogi odwrotu!

- Nie jestem...

- Milcz! Już za późno - powiedział ze złością. - Za późno. Chyba zawsze było za późno. Nienawidzę cię za to, co ze mną zrobiłaś - jęknął żałośnie, a w jego oczach pojawiły się łzy. - Ale Bóg mi świadkiem, że nie pozwolę, by tknął cię inny mężczyzna. Należysz do mnie, bo to ja cię stworzyłem. Od samego początku należałaś do mnie i tylko ja miałem do ciebie prawo. Mnie powinnaś oddać swoje piękne ciało. Gdybyś tylko była w stanie to zrozumieć...

- James - choć bała się go dotknąć, postąpiła krok w jego stronę - proszę, chodźmy stąd, przejdźmy do domu. Jest mi zimno. Zobacz, jestem mokra i muszę się przebrać. Usiądziemy, porozmawiamy...

- Nie okłamiesz mnie - przerwał jej z szaleńczą desperacją. - Wiem, że zamierzasz uciec. Chcesz, by mnie zamknęli. Mój lekarz też chce, by mnie zamknęli, lecz ja lepiej wiem, co powinienem zrobić. Dla dobra nas obojga. To już koniec, Hailey, ale tak być musi, zaufaj mi.

Łzy popłynęły po jego policzkach, on sam zaś wyciągnął przed siebie niewielki kanister i Chantel natychmiast poczuła mdłą woń benzyny.

- Boże, nie!

- Miałaś umrzeć w ogniu, lecz zmiękło moje serce. To był błąd. Muszęgo teraz naprawić.

Skoczyła do niego z krzykiem, blaszany pojemnik upadł z brzękiem na drewnianą podłogę i chlusnęła z niego benzyna. Próbowwała wyminąć szlochającego Brewstera, on jednak zdążył chwycić ją za ramię i pchnąć mocno na ziemię. Padając, Chantel uderzyła jeszcze głową w kant stolika, a potem ogarnęła ją ciemność.

- Chantel na pewno z chęcią wzniesie toast za twoją szlachetną niewinność - kpił Quinn, prowadząc Matta do salonu. - Niech tylko o wszystkim się dowie.

- I za twoją dedukcję godną Sherlocka Holmesa - odciął się Matt. - Pozwól może, że sam jej o tym opowiem.

- Masz do tego pełne prawo - Quinn przyznał skruszony i rozejrzał się ze zdziwieniem po pustym, pograżonym w ciszy holu. - Tak jak miałeś prawo wyrzucić mnie z domu.

- Nie dałbyś się. Jesteś większy.

- W każdym razie jeszcze raz cię przepraszam. Naskoczyłem na ciebie, bo w całym tym bałaganie stanowiłeś jedyny wyraźny trop.

- Zmylił cię ten kwiaciarz.

- Nie, ja sam się myślę, bracie. - Quinn pokręcił z niezadowoleniem głową. - Ciągłe się myślę i ciągle stoję w miejscu. A dzieje się tak dlatego, że za bardzo zaangażowałem się w tę sprawę. Złamałem pierwszą, podstawową zasadę w tym fachu: nie angażuj się uczuciowo, kobieta cię zgubi.

- Teraz już chyba trochę za późno na żale i dylematy, co?

- Za późno - przyznał Quinn z rezygnacją. - Chantel jest najpiękniejszą kobietą, jaką spotkałem w swoim życiu. A mam na myśli ją całą - jej ciało i duszę, rozum i serce. Ona cała jest piękna, Matt. Nie widzisz tego, jeśli zwracasz uwagę jedynie na jej urodę. Ale ja znalazłem w niej skromność, uczciwość, odwagę, lojalność, troskę, bezpretensjonalność... Znalazłem w niej wszystko, bracie, i choćbym miał się wyrzec sam siebie, nie oddam już jej nikomu.

- Mówiąc krótko, zwariowałeś na punkcie Chantel, jak ja zwariowałem na punkcie Marion.

- Może. I nie mogę wprost znieść myśli o tym, przez co musi przechodzić z powodu mojej ślamazarności. Jak na razie spartaczyłem tę robotę, Matt. Chyba po raz pierwszy w życiu.

Znów zerknął w stronę schodów. Właściwie to nie miał ochoty na żadnego szampana. Chciał zostać sam na sam z Chantel.

- Ja też ostatnio robię bokami - odrzekł Matt, kładąc przyjacielowi rękę na ramieniu. - Sam widziałeś, że zapomniałem na śmierć o swojej najlepszej aktorce. W ciągu kilku ostatnich miesięcy zrozumiałem, że miłość potrafi człowiekowi całkiem zamącić w głowie. Dokładnie tak, jak James Brewster powiedział to w swoim w wywiadzie.

- W jakim wywiadzie?

- W dzisiejszej gazecie. Wydrukowali artykuł o „Nieznajomych”, koncentrując się głównie na postaci Hailey. Brewster mówił o niej tak, jakby była rzeczywistą osobą. Jest chyba trochę walnięty na jej punkcie, wiesz, jak to pisarze. Ale powiedział jedną, wielką prawdę: że kiedy mężczyzna naprawdę pokocha kobietę, to widzi ją tak, jak nie widzi jej nikt inny. I że bez względu na wszystko ta kobieta stanowi jądro jego życia, rządzi nim poprzez sam fakt swego istnienia, kapujesz? Wiem, wiem, sentymentalne brednie - dodał lekko zmieszany. - Ale ruszyło

mną to porządnie i chyba wiem, co gość miał na myśli, chociaż, jak ci mówiłem, cały ten Brewster to dla mnie lekki świrus. Raz nawet pomyliły mu się imiona Chantel i Hailey.

- Co?

- No tak, wyjaśniał potem, że Chantel tak wspaniale zagrała swą rolę, że on sam, autor książki, nie potrafi odróżnić aktorki od postaci, w którą się wcieliła.

- Cholera jasna! - Quinn uderzył pięścią w balustradę schodów i biegiem ruszył po stopniach do sypialni. - Dziś po południu prawie mi się do wszystkiego przyznał!

- O czym ty... - zaczął Matt, ale Quinna już przy nim nie było.

- Dzwon po straż pożarną! - wrzasnął po chwili, zbiegając w dół po trzy stopnie. - W pawilonie się pali!

- Chantel jest w środku?

- Dopadł ją, sk... syn! No dzwoń!!!

Chantel potrząsnęła głową i z trudem dźwignęła się na kolana. Cały świat pływał jej przed oczami. Najpierw poczuła zapach dymu, ciężki i zawiesisty, taki sam jak ten, w którym grała na planie scenę w leśnej chacie. Tylko że teraz nie były to efekty specjalnie. Teraz słyszała huk i trzask prawdziwej pożogi.

Brewster wciąż blokował tylne drzwi. Stał bez ruchu, jakby zahipnotyzowany widokiem płomieni, które szybko pochłaniały kolejne przestrzenie. Najwyraźniej nie zamierzał uciekać, lecz umrzeć tu wraz z nią, swoją Hailey.

Chantel dźwignęła się na nogi i zaczęła rozpaczliwie rozglądać się wokół siebie. W głowie jej wirowało i z trudem mogła utrzymać równowagę, ale nie mogła już sobie pozwolić na utratę przytomności. Wiedziała, że drugi raz by się nie przebudziła.

Okna umieszczone były zbyt wysoko. Frontowe drzwi zostały zamknięte od zewnątrz. Istniał tylko jeden sposób wyrwania się z matni - należało wyminąć Brewstera, zanim ogień nie zablokuje dostępu do awaryjnego wyjścia.

Szybkim ruchem chwyciła ręcznik, zmoczyła go w wodzie, owinęła nim głowę i zaczęła rozglądać się za jakąś bronią.

Dostrzegła na stole pozytywkę. Była masywna, metalowa i z pewnością wystarczająco ciężka. Wciąż grała, choć jej dźwięki ginęły w huku płomieniu i trzasku walących się desek. Chantel chwyciła ją i na ciężkich nogach zaszła Brewstera od tyłu.

Dopiero teraz spostrzegła, że pisarz płacze. Słyszała wyraźnie jego rozpaczliwy szloch i

serce truchlało jej na ten odgłos. Stał i płakał, dokładnie tak samo jak jeden z bohaterów „Nieznamych”, którego Hailey miała ogłuszyć, a potem wyczołgać się z płomieni.

A może to film, przemknęło jej nagle przez głowę. Może naprawdę nie jest Chantel, lecz Hailey... Może znów jest w leśnej chacie i musi odpokutować za swoje grzechy, za nieszczęście, które sprowadziła na siebie i na ukochaną osobę.

Znów? Dlaczego znów? Jakie nieszczęście? I co to za osoba? Brad? A może Dustin...

Oczy zaczęły zachodzić jej mgłą, lecz udało jej się zapanować nad ogarniającą ją słabością.

Nie, nie, nie! Nie istniał żaden Brad, istniał tylko Quinn. Quinn Doran. Tylko on był prawdziwy i ona - Chantel O'Hurley.

Z jękiem rozpaczony spuściła ciężką pozytywkę na głowę Brewstera, a on natychmiast osunął się bezwładnie u jej stóp.

Czy go zabiła? Nie było czasu, by się nad tym zastanawiać. Drzwi właśnie obejmowały płomień i za chwilę ostatnia droga ucieczki mogła zostać zamknięta. Dała szybki krok w ich stronę, lecz po chwili... zatrzymała się i pochyliła nad nieprzytomnym Brewsterem.

Kochał ją. Był szalony, ale ją kochał.

Nie mogła ratować siebie, nie próbując uratować jego.

Podniosła z podłogi inny ręcznik i owinęła nim twarz pisarza. Nad jej głową niebezpiecznie zatrzeszczał strop, lecz Chantel nie odważyła się spojrzeć w górę. Nie myślała teraz o niczym. Chciała tylko przeżyć. Chwyliła bezwładne ciało Brewstera pod pachy i zaczęła ciągnąć je w stronę drzwi, bliżej ognia.

Ciemniało jej w oczach, w płucach brakowało powietrza. Płomień huczał z coraz większą mocą i osaczały ich ze wszystkich stron. Tuż przy drzwiach zatoczyła się i upadła.

- Jeszcze... jeszcze trochę - szeptała do siebie, próbując zmobilizować wszystkie siły i całą wolę - Panie Boże, jeszcze tylko troszeczkę...

- Chaaan - teeel!!! - dobiegł nagle jej uszu znajomy głos.

Płynął z jakiejś niezmierzonej dali i zapewne tylko dzięki niemu przeczołgała się jeszcze pół metra.

Quinn kopniakiem wyważył główne drzwi. Przed sobą ujrzał jedynie ścianę ognia. Znów wykrzyknął jej imię, lecz odpowiedział mu tylko głuchy huk gorącego żywiołu. Ruszył desperacko do środka. Fala żarn powstrzymała go natychmiast, więc cofnął się, rozejrzał jeszcze

raz i wtedy właśnie dostrzegł rozciągniętą pod przeciwległą ścianą Chantel.

Kaszłąc, wciągnął w płuca haust powietrza, a potem popędził pod ścianami pawilonu w stronę awaryjnych drzwi.

Prawie jej się udało - taka była jego pierwsza myśl, kiedy ujrzał ją przy progu, skuloną obok Brewstera. Z góry sypał się na nich groźny deszcz płonących drzazg, nakrył więc Chantel własnym ciałem i czując na rękach palące płomienie, wyciągnął ją szybko na zewnątrz pawilonu - do chłodu, w ciemność, na trawnik.

- Jezu Chryste! - Matt ukląkł przy niej i odgarnął włosy z jej twarzy.

- W środku jest Brewster - wychrypiał Quinn. - Pilnuj jej dobrze.

Po chwili znów go poraził straszliwy żar. Już miał się poddać, zrezygnować, jednak ostatkiem sił dotarł, pełznąć na brzuchu, do nieruchomej postaci. Nie sprawdzając nawet, czy pisarz jeszcze żyje, wywłókł go na trawę, a potem przewrócił się na plecy i spazmatycznie wciągał świeże, nocne powietrze do poparzonych oskrzeli i płuc.

- Chantel... - Przyczołgał się do niej, słysząc w oddali zawodzenie strażackich syren. - Chantel, najdroższa...

Otworzyła powoli oczy.

- Quinn, on tam...

- Wiem. Wyciągnąłem go. Nic nie mów.

Mimo bijących tuż obok w niebo płomieni, zaczęła drzeć, ściągnął więc z siebie popalone strzępki koszuli i niezdarnie ją otulił.

- Jest w szoku - powiedział do Matta. - Zatrula się dymem. Trzeba zabrać ją do szpitala.

- Wezwałem ambulans - odparł Matt, po czym ściągnął swą bawełnianą bluzę i również przykrył nią Chantel. - Nic jej nie będzie. Jest dzielna.

- Wiem - mruknął Quinn, kładąc sobie na kolanach jej głowę. - Wiem.

- On myślał, że jestem Hailey - szepnęła z wysiłkiem Chantel.

- Ciii... - Ścisnął lekko jej dłoń. Ból w poparzonych rękach był prawdziwy. Ona była prawdziwa. I oboje żyli.

- I tam... w środku... ja też myślałam, że jestem Hailey... Quinn, kim ja naprawdę jestem?

- Chantel O'Hurley. Jedyną kobietą, którą kocham.

- To dobrze - szepnęła i straciła przytomność.

Quinn nie zmrugał oka przez następne dwadzieścia cztery godziny. Nie spał i nie

opuszczał szpitala, dopóki nie pozwolono mu się zobaczyć z ukochaną. Nie przebrał się, wciąż miał na sobie okopcone, cuchnące dymem ubranie i przez całą noc krążył w nim po korytarzu, doprowadzając tym pielęgniarki do białej gorączki.

Chantel obudziła się rankiem, następnego dnia po pożarze. Lekarz, który wyszedł z jej sali, popatrzył na zabandażowaną rękę Quinna i jego osmolone sadzami ubranie i uśmiechnął się do niego ze zrozumieniem.

- Może pan już zobaczyć ten swój skarb. Jest cały i zdrowy, zahartował się tylko trochę w ogniu, ale na szczęście nie za bardzo. Przygotowałem papiery do wypisu, ale jeśli ma pan jakikolwiek wpływ na tę kobietę, to niech ją pan przekona, by jeszcze choć dwa dni pozostała u nas na obserwacji.

- A czy nie mogę zaopiekować się nią w domu? Lekarz popatrzył z wahaniem w stronę szpitalnej sali.

- Może pan - powiedział wreszcie. - To bardzo silna i dzielna dziewczyna.

- Wiem - odparł Quinn i po raz pierwszy od wielu godzin uśmiechnął się szeroko.

Kiedy otworzył drzwi, Chantel siedziała w łóżku i przeglądała się w lustrze.

- Wyglądam okropnie - powitała go ze smutną miną.

- To tylko powłoka - odparł. - Nie z jej powodu cię pokochałem.

~ Och, Quinn... - Rozłożyła szeroko ramiona. - Przecież wiesz, że się nie martwię. Tak się cieszę, że tu jesteś. Teraz już wszystko będzie dobrze, prawda? Wszystko się ułoży.

- Tak, to koniec koszmaru. Muszę jeszcze tylko rozliczyć się z sobą. Powinienem być cię lepiej pilnować.

- Ja się z tobą rozliczę - roześmiała się. - Potrącę ci to z zapłaty.

- Do licha, Chantel, nie żartuj.

- Nie żartuję - spoważniała nagle. - Uratowałeś mi życie. Dziękuję. Czy wiesz... co się stało z Jamesem?

- Żyje - odparł, wstał z łóżka i zaczął przechadzać się po pokoju. - Zanikną go w zakładzie dla psychicznie chorych. Osobiście tego dopilnuję.

- To niesamowite, Quinn. On był taki... tragiczny. - Wzdrygnęła się. - Stworzył coś, co przejęło nad nim władzę.

- Mógł cię zabić.

- Chciał zabić Hailey. Nie potrafię go znienawidzić. Mogę mu tylko współczuć.

- Lepiej w ogóle o tym nie myśl. Niebawem przyjedzie tu twoja rodzinka. Musisz się przygotować.

- W komplecie?

- Tylko siostry i rodzice. Nikt nie wie, gdzie jest Trace.

- Jak zwykle.

- W każdym razie wszyscy chcą się osobiście przekonać, jak się czujesz.

- O rany, naprawdę nie chciałam przerywać Maddy podróży poślubnej.

- Dlaczego? Od tego jest rodzina, żeby być razem i wspierać się w trudnych chwilach, prawda?

- Prawda. Właśnie o to chodzi. My... - zawahała się, lecz tylko przez chwilę. Słowa te ułożyła sobie już wcześniej, przed płonącym pawilonem, na trawie, kiedy to otworzyła oczy i popatrzyła mu w twarz. - My też zasłużyliśmy sobie na to, by mieć rodzinę, prawda? Ty i ja, naszą własną.

- Chantel...

- Zaraz, Quinn, muszę to powiedzieć. Zeszłej nocy, zanim to wszystko się stało, czekałam na ciebie. Wiedziałam, że kiedy wrócisz i weźmiesz mnie w ramiona, podejmę właściwą decyzję. Tu, w tej szpitalnej sali, jest inaczej niż w mojej sypialni, ale może chociaż... Mógłbyś mi bardzo pomóc, gdybyś usiadł obok mnie i przytulił mnie mocno.

Quinn usiadł posłusznie na skraju posłania i przygarnął do siebie Chantel.

- Och, tak - westchnęła - teraz wiem, co powinnam ci odpowiedzieć...

- Poczekaj - przerwał jej. - Teraz ja chcę coś wyznać. Kiedy wczoraj zobaczyłem, że pawilon płonie, kiedy zorientowałem się, że ty jesteś w środku, serce mi stanęło. I wiem, że gdybym cię stracił, już nigdy nie zaczęłoby bić.

- A więc będziemy rodziną, Quinn? - spytała. Nachylił głowę i pocałował ją namiętnie.

A w pocałunku tym była odpowiedź na wszystkie jej pytania.

NORA ROBERTS

BEZ ŚLADU

(ZAGUBIENI)

PROLOG

- Podkreć trochę tempo na początku. Trace. Niepotrzebnie to przeciągasz.

Frank O'Hurley wyprostował się, gotowy do rozpoczęcia dobrze znanego numeru. Wieczorne występy w „Terre Haute” nie były z pewnością szczytem jego marzeń, szanował jednak publiczność i chciał, aby z klubu wychodziła zadowolona. Wsłuchał się w rytm, po czym ruszył do tańca niczym człowiek o połowę młodszy. Może i miał te swoje czterdzieści lat, ale jego nogi nadal były sprawne niczym u szesnastolatka.

Ten utwór napisał sam, w nadziei, że stanie się on znakiem rozpoznawczym O'Hurleyów. Jego najstarszy potomek i zarazem jedyny syn usiłował teraz tchnąć nieco życia w tak dobrze znany im obu kawałek. Próbował, lecz nie bardzo mu szło. Marzył o innych sprawach, o innych miejscach - co wyraźnie było słychać i czuć.

Ojciec trafnie odczytywał odczucia syna. Trace rzeczywiście miał fatalne samopoczucie, jak zawsze, gdy na scenie pojawiali się jego rodzice. Na widok ich pląsów ogarniały go mdłości, frustracja i poczucie beznadziei. Czy zawsze będzie musiał wygrywać te liche melodyjki na tym lichym pianinie, próbując pomóc ojcu, by spełniło się marzenie jego życia, marzenie, które przecież nie miało szans się spełnić?

Matka zdawała sobie sprawę z nastrojów syna. W tańcu starała się myśleć tylko o tym, by dotrzymać kroku mężowi i tak jak przez całe życie podążać za nim, wykonując kolejne obroty i figury. Nie mogła jednak nic myśleć o rozterkach Trace'a. Chłopak nie był już dzieckiem. Powoli stawał się mężczyzną i dorastał do tego, by pójść w swoją stronę. Ten fakt przerażał jego ojca i powodował coraz częstsze różnice zdań między nimi. Sprzeczki stawały się coraz gwałtowniejsze, coraz gorętsze i wkrótce mogło dojść do wybuchu - ostatecznej rodzinnej katastrofy, z której nic nie da się uratować.

Obrót, wyskok, ukłon. Teraz kolej na ich córki. Po krótkiej przygrywce wybiegły na scenę wszystkie trzy, a wówczas Molly poczuła, jak pierś jej męża unosi się dumnie na ten widok. Przytuliła się do niego mocniej. Wiedziała, że przestałaby go kochać, gdyby utracił tę dumę, nadzieję i młodzieńczą radość - dzięki nim wciąż był tym młodym marzycielem, który podbił jej serce przed laty.

Po chwili zeszli za kulisy i teraz już tylko słyszeli kolejne piosenki w wykonaniu tria wokalnego „O'Hurleys”. Słuchali córek z przyjemnością, niemal z zachwytem. Chantel,

Abby i Maddy śpiewały tak naturalnie, jak gdyby urodziły się ze śpiewem na ustach.

Jednak i one, podobnie jak Trace, powoli przestawały być dziećmi. Chantel już od dawna wykorzystywała swój spryt i urodę, by owijać sobie wokół palca mężczyzn na widowni. Abby, spokojna i cicha, była coraz poważniejsza i coraz częściej prezentowała własne zdanie. Niedługo utracą pewnie i Maddy - najmłodsza z trojaczek miała zbyt wielki talent, by można było trwonić go na występy w składzie wędrowniej trupy.

Najbardziej jednak oddalił się od nich Trace. Wieczory spędzał wraz z nimi - przy zniszczonym pianinie w obskurnych małych klubach - lecz jego myśli cackały gdzie indziej, daleka tysiące kilometrów stąd. Zanzibar, Nowa Gwinea, Mazatlan - te i inne egzotyczne nazwy przewijały się w jego opowieściach, które snuł podczas długich podróży z miasta do miasta. Opowiadał o meczetach, jaskiniach, zamkach i górach, które chciałby zobaczyć, lecz jego ojciec lekceważył te marzenia, sam trzymając się desperacko tylko jednego - swojego własnego.

- Nieźle, dziewczynki. - Frank uściśnął każdą z córek, które właśnie zeszły ze sceny, żegnane burzliwymi oklaskami.

- A ty, Trace, nie myślisz o muzyce. Musisz się bardziej postarać, tchnąć w nią trochę życia.

- Od dawna nie ma w niej życia, tato.

Jeszcze kilka miesięcy wcześniej Frank zachichotałby tylko i zmierzwił włosy syna. Teraz jednak krytyka ukłuła go boleśnie.

- Piosenka jest w porządku - powiedział twardym głosem.

- To twoja gra jest kiepska. Dwa razy zgubiłeś rytm. Przestań wreszcie smęcić nad tym pianinem, a zacznij grać.

Abby, jak zwykle w takich sytuacjach, stanęła między bratem a ojcem.

- Dajcie spokój. Chyba wszyscy jesteśmy trochę zmęczeni.

- To ty daj spokój. Potrafię mówić za siebie, Abby! - Trace odepchnął siostrę na bok. - Nikt mi nie będzie mówił, że smęcę nad pianinem!

Teraz między zwaśnionych mężczyzn wkroczyła Molly - i tym razem to Frank odepchnął kobiecą rękę. Myślał o tym, że jego syn jest wysoki, silny, pewny siebie i tak bardzo w tej chwili mu obcy. Wiedział, że Trace nie będzie chciał słuchać jego argumentów, i

że on, Frank, musi powiedzieć mu wyraźnie, gdzie jest jego miejsce.

- Jesteś w złym humorze, Trace? Wiem dlaczego. Powiedziałem, że mój syn nie będzie się włóczył do Hongkongu czy Bóg wie gdzie, niczym jakiś Cygan, i zdania nie zmieniam. Twoje miejsce jest tutaj, przy rodzinie. Jesteś współodpowiedzialny za nas wszystkich, czy ci się to podoba, czy nie.

- Nie jestem za nic odpowiedzialny! - zachnął się chłopak.

- Nie tym tonem, synu, nic jesteś aż laki duży, żebyś nie mógł cię uspokoić.

- Chyba nadszedł czas, żeby ktoś przemówił do ciebie takim właśnie tonem. Rok po roku grywamy drugorzędne piosenki w drugorzędnych klubach. Co to za życie?

- Trace... - Maddy popatrzyła błagalnie na brata. - Przestań.

- Co mam przestać? - zapytał. - Mam nie mówić mu prawdy? Przecież i tak jej nie usłyszysz. Ale powiem. Powiem, co mam do powiedzenia. Wy trzy i mama milczałyście wystarczająco długo. Wszyscyśmy milczeli...

- Boże, Trace, te pyskówki stają się nudne - odezwała się leniwe Chantel, choć jej nerwy były napicie do ostateczności. - Nie moglibyśmy wycofać się na neutralne pozycje i porozmawiać o wszystkim spokojnie?

- Nie. - Frank zrobił krok do tyłu. - Już za późno, Chantel. Proszę, Trace, powiedz, co masz mi do powiedzenia.

- To... - chłopak zawahał się, jakby nagle zabrakło mu odwagi - to, że jestem zmęczony tym ciągłym jeżdżeniem donikąd, tym udawaniem, że za następnym rogiem czeka nas wielki sukces. Rok po roku ciągasz nas od miasta do miasta i wciąż jest tak samo. Tak samo źle, tato.

- Ciągam was? - Frank zaczerwienił się z wściekłości. - Czy to właśnie robię?

- Nie. - Molly postąpiła do przodu z karcącym spojrzeniem utkwionym w synu. - Wszyscy chętnie z tobą jeździmy, ponieważ tego właśnie pragnęliśmy. Jeśli któreś z nas nie chce jeździć, ma prawo to powiedzieć, ale nie musi być okrutne.

- Mamo! Ale on nie słuchał - wrzasnął Trace. - Nic obchodzi go, czego pragnę ani czy chcę z wami jeździć! Mówiłem ci przecież, mówiłem... - Odwrócił się do ojca. - Za każdym razem, kiedy próbuję z tobą porozmawiać, słyszę, że musimy trzymać się razem, że lada chwila nastąpi jakiś przełom... Ale nic następuje. Znowu lądujemy w jakiejś marnej budzie i

znowu się łudzimy, że następna będzie lepsza.

Te słowa były bliskie prawdy. Zbyt bliskie, by Frank nie poczuł się nagle jak nieudacznik. A przecież jedyne czego pragnął, to dać rodzinie wszystko, co najlepsze. Ogarnęła go bezradność. Wściekłość była jedyną bronią, jakiej mógł użyć w stosunku do syna.

- Jesteś niewdzięczny, samolubny i głupi - przemówił ostrym tonem. - Całe życie ciężko pracowałem, aby przetrzeć wam szlak, otworzyć drzwi do sławy... Ale tobie to nie wystarcza.

Trace czuł cisnące się do oczu łzy. Zrobiło mu się nagle żal ojca, lecz teraz nie mógł się już wycofać.

- Nie, nie wystarcza. Nie chcę przejść przez te drzwi. Chcę czegoś innego, czegoś więcej, ale ty jesteś tak zapatrzony w to swoje beznadziejne marzenie, że nic potrafisz zrozumieć, że ktoś może myśleć inaczej i mieć inne pomysły na życie. To co dla ciebie jest pięknym snem, dla mnie jest koszmarem. A im bardziej zmuszasz mnie, żebym spełnił twoje marzenie, a nie swoje własne, tym bardziej zaczynam cię nienawidzić!

Nie chciał tego powiedzieć. Sam poczuł się zaszokowany swoimi gorzkimi słowami. Na jego oczach ojciec zbladł, postarzał się i skurczył. Gdyby mógł cofnąć te dyktowane rozczarowaniem i goryczą zdania, z pewnością by spróbował.

- Dobrze, Trace - usłyszał napięty głos ojca - idź za swoim marzeniem. Idź tam, dokąd cię poprowadzi. Ale nie wracaj. Nie wracaj do mnie, gdy prysną twe złudzenia. Nie ubijemy dla ciebie cielęcina i nie wyprawimy uczyty. Nie każdy jest miłosierny jak Bóg - Ojciec. - Pokiwał jeszcze głową, po czym odwrócił się i odszedł.

- Trace? - Abby ujęła brata za ramię. - Tata nie chciał tego powiedzieć. Wiesz, że nie chciał...

- Obaj nie chcieli, - Maddy popatrzyła bezradnie na matkę.

- Tak, wszyscy musimy teraz trochę odsapnąć. - Mimo swojego zamiłowania do dramatycznych scen, Chantel była wstrząśnięta. - Chodź, Trace, przejdziemy się trochę.

- Nie. - Molly potrząsnęła głową. - Idźcie, dziewczynki, chcę porozmawiać z Tracem sama. - Poczekala, aż odejdą, a potem usiadła obok syna na krześle. - Wiem, że jesteś nieszczęśliwy - powiedziała. - I że tłamsisz to w sobie. Powinna być wcześniej coś z tym zrobić.

- To nie twoja wina.

- Tak samo moja, jak jego, Trace. To, co powiedziałaś, głęboko zapadło mu w serce. Nieprędko dojdzie do siebie, a może w ogóle. Wiem, że niektóre słowa podpowiedział ci gniew, lecz pozostałe... były prawdą. - Popatrzyła uważnie w jego twarz. - Znienawidzisz go, jeśli nie pozwoli ci odejść...

- Mamo...

- To prawda. Ciężko ci było to powiedzieć, ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby rzeczywiście do tego doszło. Chcesz odejść.

- Muszę.

- Więc odejdz. - Wstała i położyła ręce na jego ramionach. - Zrób to szybko, zanim tata znowu cię przekona, abys został. Tego nigdy mu nie wybaczysz. Idź więc własną drogą. Będziemy czekać, kiedy wrócisz.

- Mamo... Ja was kocham.

- Wiem. I chcę, żeby tak zostało. - Pocałowała go, po czym oddaliła się pośpiesznie, wiedząc, że będzie musiała powstrzymać łzy, dopóki nie pocieszy męża.

Jeszcze tej samej nocy Trace spakował swoje rzeczy - ubrania, harmonijkę i turystyczne przewodniki - zostawił na stole kartkę ze słowami: „Napiszę do was” i wyruszył w stronę głównej drogi, żeby złapać jakąś okazję. Miał przy sobie trzysta dwadzieścia siedem dolarów.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Whisky była tania i gryzła w język jak wściekła kobieta. Trace wciągnął powietrze przez zęby i oczekiwał na śmierć. Kiedy nie nadeszła, nalał sobie kolejną szklaneczkę, poprawił się na krześle i wbił spojrzenie w Zatokę Meksykańską. Mała knajpa przygotowywała się na najście wieczornych gości. W kuchni smażyły się frijole i enchilady, więc w powietrzu czuć było odór cebuli zmieszany ze smrodem alkoholu i tytoniu. Rozmowy prowadzono po hiszpańsku, który Trace rozumiał, lecz ignorował.

Nie potrzebował towarzystwa. Potrzebował whisky i wody. Słońce tkwiło nad zatoką niby wielka czerwona piłka, a nisko zawieszony chmury lśniły się różem i złotem. Trace O'Hurley był na wakacjach i naprawdę zamierzał wypocząć.

Boże, jak blisko stąd było do Stanów, do domu. Od dawna nie myślał o nich w ten sposób - a przynajmniej zdołał przekonać samego siebie, że tak nie myśli. Minęło dwanaście lat od chwili, gdy jako młody idealista, pchany przez marzenia i poczucie niespełnienia, wyruszył w świat. Zobaczył Hongkong, Singapur, Tokio, właściwie cały Daleki Wschód. Radził sobie dzięki inteligencji i talentom odziedziczonym po rodzicach - po nocach grywał amerykańskie przeboje w hotelowych klubach i rozmaitych spelunkach, zaś w dzień chłonał egzotyczne widoki i zapachy. Żył z dnia na dzień, a z rozmaitych kłopotów zawsze wychodził obronną ręką. Do czasu.

To była kwestia znalezienia się w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu. Albo, jak mawiał Trace, kiedy ogarniał go gorszy nastrój, w nieodpowiednim czasie w nieodpowiednim miejscu. Wszystko zaczęło się od burdy w barze, w którą wdał się Trace i w której sprawnie zneutralizował jakiegoś typa, ratując przy tym życie Charliemu Forresterowi. Oczywiście nie miał wówczas pojęcia, że Forrester to amerykański agent i że ta przypadkowa bójka całkowicie odmieni jego los.

Przeznaczenie, pomyślał teraz, obserwując chylące się ku horyzontowi słońce. To przeznaczenie sprawiło, że wytrącił nóż zmierzający wprost w serce Forrester'a. Podobnie przeznaczenie doprowadziło do tego, że został szpiegiem. W końcu rzeczywiście przemierzył Azję i nie tylko, tyle że nie na swój koszt, lecz jako płatny współpracownik amerykańskiego wywiadu.

A teraz Charlie nie żył, on zaś, Trace, siedział w jakiejś podłej knajpie na meksykańskim wybrzeżu i zdany był tylko na siebie. Nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę i

wychylił ją za swojego przyjaciela i nauczyciela. Cholerne szczęście, Charliego nie dopadła ani kula mordercy, ani cios nożem w ciemnej alei, lecz atak serca. Zwykły atak serca, które nagle postanowiło, że nie ma ochoty pracować dłużej.

Za czternaście godzin, w Chicago, miał się odbyć pogrzeb. Trace nic był jeszcze gotowy na przekroczenie granicy w Rio Grandę, wołał więc na razie zostać w Meksyku, pić za starego przyjaciela i rozmyślać nad życiem. Charlie by to zrozumiał, pomyślał i wyciągnął przed siebie długie nogi. Charlie nigdy nie przepadał za tego rodzaju uroczystościami. Wołał robić, co do niego należało, wypić za to i zabrać się do następnej roboty.

Wyciągnął zmiętą paczkę papierosów i zaczął szukać zapalek w kieszeni brudnej koszuli. Znalazł, zapalił i przytknął papierosa do nikłego płomyka. Zniszczony kapelusz skrył w cieniu jego twarz. Rzucił zapalną na podłogę, po czym popatrzył z bladym uśmiechem na swoje dłonie o szeroko rozstawionych, długich palcach.

Uśmiechnął się do siebie. W wieku lat dziesięciu marzył o karierze pianisty. Ech, marzył o tylu różnych rzeczach...

Nie odstawał za bardzo wyglądem od niezbyt eleganckiego towarzystwa, które zgromadziło się tu na picie, kłótnie i hazard. Jak oni, był bardzo opalony, gdyż ostatnie zlecenie wymagało od niego nieustannego przebywania na słońcu. Gęste, długie włosy wymykały się spod kapelusza, twarz świeciła się od potu, po lewej stronie szczęki biegła niewielka, biała blizna - pamiątka po ciosie butelką - zaś jego nos nie był idealnie prosty od czasów, kiedy to jako głupi i naiwny szczeniak bił się kiedyś zaciekle w obronie czci jakiegoś niekoniecznie bardzo cnotliwego dziewczęcia.

Jedynie tusza odróżniała go od gadających nieustannie Meksykanów. Oni byli, jak to się mówi, „postawni”, on zaś wychudzony z powodu przedłużającego się pobytu w szpitalu, do którego trafił po tym, jak pewna wystrzelona przez nieprzyjaciela kula omal go nie zabiła.

Gdy zapadł zmrok, niebo stało się spokojniejsze, zaś knajpa dużo bardziej hałaśliwa. W radiu leciała meksykańska muzyka, przerywana co jakiś czas najnowszymi wiadomościami. Ktoś stłukł szklanę, dwóch mężczyzn pokłóciło się o wędkowanie, politykę i kobiety. Trace dołał sobie whisky...

Dostrzegł ją w chwili, gdy wchodziła do knajpy. Z przyzwyczajenia co jakiś czas zerkał na główne wejście, by nic dać się zaskoczyć, gdyby ktoś zdołał go tu wytropić. Turystka, pomyślał od razu, widząc jej jasną, nieco piegowatą twarz pod burzą rudych włosów. Pewnie pomyliła drogę. Co ona tu robi? Spalił się na popiół na tym cholernym słońcu

Jukataniu. Szkoda by było...

Oczekiwał, że kobieta wyjdzie, gdy tylko zorientuje się, do jakiego miejsca trafiła. Jednakże ona podeszła do baru i zamówiła coś u tłustego barmana o tępych spojrzeniu.

Trace przyjrzał się jej uważniej. Białe spodnie, fioletowa koszula, przewiewna, luźna i obszerna. Nic na tyle jednak, by nie zauważyć, że nowo przybyła jest szczupła, acz nie pozbawiona krągłości. Włosy związane miała w warkocz, twarz odwróconą, tak że widział jej profil. Klasyczny, stwierdził bez większego zainteresowania. Typ luksusowy.

Wysączył kolejną porcję whisky i w tej samej chwili postanowił, że upije się do nieprzytomności - na cześć Charliego.

Podnosił właśnie butelkę, by na nowo napelnić szklanę, gdy kobieta odwróciła się i spojrzała wprost na niego. Trace odwzajemnił spojrzenie. Jest zdenerwowana, pomyślał, gdy ruszyła w jego kierunku.

- Pan O'Hurley? - zapytała, podchodząc do stolika. Uniósł lekko brwi, słysząc jej z lekka irlandzki akcent.

W chwilach gniewu czy radości jego ojciec mówił podobnie.

- Czy pan nazywa się Trace O'Hurley? - powtórzyła, gdy nie zareagował na pierwsze pytanie. Dojrzał teraz cienie pod jej intensywnie zielonymi, mocno przestraszonymi oczyma.

- Możliwe - odparł, świadom tego, że jest zbyt pijany, żeby się zdenerwować czy zaniepokoić. - A co?

- Mówiono mi, że znajdę pana w Menda. Szukam pana od dwóch dni. Mogę usiąść?

- Proszę bardzo - mruknął i popchnął stopą krzesło. Nic mu nie grozi. Agentka rozegrałaby to w inny sposób. Ma przed sobą jedynie wystraszoną kobietę, którą wyraźnie poruszył jego niechlujny wygląd.

- Muszę koniecznie z panem porozmawiać - powiedziała, siadając ostrożnie na brzegu krzesła. - Na osobności.

Trace rozejrzał się po knajpie. Zgromadziło się tu sporo ludzi, hałas stawał się nie do zniesienia i trudno było cokolwiek usłyszeć albo zrozumieć - idealne miejsce na powierzenie sobie tajemnic.

- Możemy rozmawiać tutaj - zaproponował. - Może na początek powiesz mi, dziecino, kim jesteś, skąd wiedziałas, że mnie tu znajdziesz, i czego, u diabła, ode mnie chcesz?

Kobieta zacisnęła palce, by nie widział, jak drżą.

- Nazywam się Fitzpatrick. Doktor Gillian Fitzpatrick - odpowiedziała. - Charles Forrester powiedział mi, gdzie pana znajduję. Chcę... żeby ocalił pan mojego brata.

Trace podniósł butelkę i popatrzył czujnie na nieznajomą.

- Charlie nie żyje - odezwał się cichym głosem.

- Wiem. Przykro mi. Podobno byliście ze sobą blisko związani.

- Tak? Ciekawy jestem, skąd to wiesz. I dlaczego uważasz, że uwierzę, że to Charlie ci powiedział, gdzie można mnie znaleźć.

Gillian Fitzpatrick wytarła mokrą dłoń o spodnie, po czym sięgnęła do płóciennej torby, wyjęła z niej zalakowaną kopertę i podała mu ją w milczeniu. Bała się. Bardzo się bała i nie mogła zrozumieć, dlaczego jej ojciec uważał, iż jedynie ten brudny, nieogolony mężczyzna o wyglądzie terrorysty albo mordercy może im pomóc.

Trace również się zaniepokoił. Coś mu podpowiadało, żeby nic dotykać tajemniczej koperty. Powinien raczej wstać, wyjść z knajpy i zgubić się w mrokach meksykańskiej nocy. A jednak ją otworzył - tylko dlatego, że kobieta wspomniała o Charliem.

Charlie posłużył się kodem, którego używali przy ostatnim zleceniu. Jak zwykle był oszczędny w słowach.

Wysłuchaj jej. Tym razem nie ma to nic wspólnego z naszymi sprawami

Potem skontaktuj się ze mną.

Oczywiście, zaraz do ciebie zadzwonię, staruszkule, pomyślał gorzko, składając list na pół.

- Proszę to wyjaśnić - zwrócił się do kobiety.

- Pan Forrester był przyjacielem mojego ojca. Nie znałam go zbyt dobrze. Często przebywałam poza domem. Jakies piętnaście lat temu pracowali razem nad projektem znanym pod nazwą „Horyzont”...

- A jak się nazywa pani ojciec?

- Sean. Doktor Sean Brady Fitzpatrick.

Znał to nazwisko. Znał również projekt. Piętnaście lat temu czołowi naukowcy świata usiłowali stworzyć środek, który mógłby uodpornić człowieka na chorobę popromienną -

jeden z gorszych skutków wojny nuklearnej. Jego firma czuwała nad ochroną naukowców. Projekt kosztował setki milionów dolarów i okazał się całkowitym niewypałem.

- Była pani wtedy dzieckiem - zauważył.

- Miałam dwanaście lat. Oczywiście nic nie wiedziałam o tym projekcie, dopiero później... - Gillian odetchnęła głęboko. Zapach cebuli, alkoholu i dymu sprawił, że nagle zrobiło jej się słabo. Miała ochotę wsiąść i wyjść na plażę, ale zmusiła się, by mówić dalej. - Później projekt zarzucono, ale ojciec nie przestał nad nim pracować. Miał inne obowiązki, lecz gdy tylko mógł, przeprowadzał kolejne badania.

- Po co? Przecież nikt mu za to nie płacił.

- Wierzył w „Horyzont”. Ten projekt go fascynował, widział w nim odpowiedź na szaleństwo, które ogarnęło świat i wciąż nam zagraża. A co do pieniędzy... Cóż, osiągnął taką pozycję, że mógł zajmować się swoimi pasjami.

No, no, nic tylko naukowiec, ale do tego nadziany naukowiec, pomyślał Trace. Jego córka wyglądała zaś tak, jak gdyby ukończyła pensję prowadzoną przez zakonnice, a nie modny college w bogatej dzielnicy. Zdradzał to jej sposób siedzenia. Nikt nie uczył tego lepiej niż zakonnice.

- Słucha mnie pan?

- Tak, tak - otrząsnął się z rozmyślań. - Proszę kontynuować.

- W każdym razie pięć lat temu, gdy ojciec miał pierwszy zawał, przekazał wszystkie notatki mojemu bratu. Przez kilka ostatnich lat był zbyt chory, aby zajmować się pracą w laboratorium, a teraz... - Gillian urwała i na moment zamknęła oczy, czując, że robi jej się słabo. Strach i zmęczenie podróży dały znać o sobie. Była naukowcem, wiedziała, że potrzebuje pożywienia i wypoczynku. Jako córka i siostra czuła jednak, że najpierw musi wykonać swoje zadanie. - Przepraszam, panie O’Hurley, czy mogę się napić? - zapytała.

Trace popchnął w jej stronę butelkę i szklankę. Był nieco zniecierpliwiony, ale nie zdenerwowany. Zainteresowała go ta kobieta. Ta kobieta i ta sprawa.

Patrzył teraz, jak sięga niewprawną dłonią po whisky, i myślał, że wołałaby pewnie kawę albo w ostateczności łyk dobrej brandy. Zawahała się, lecz spostrzegłszy jego ciekawe spojrzenie, nałapała powoli podwójną porcję i wychyliła ją bez zmruczenia oka.

Zaraz potem spazmatycznie wciągnęła oddech, odetchnęła głęboko i zamruwała

powiekami.

- Dziękuję - powiedziała z godnością.

- Nie ma za co. - W jego oczach po raz pierwszy pojawiła się iskierka humoru.

- Mój ojciec jest bardzo chory, panie O'Hurley - podjęła na nowo Gillian. - Zbyt chory, aby móc podróżować. Skontaktował się z panem Forresterem, ale sam nie mógł polecieć do Chicago, więc ja odwiedziłam pana Forrestera, a on polecił mi odnaleźć pana. Powiedział, że pan będzie najlepszy do tej sprawy.

Trace ponownie zapalił papierosa. Odkąd leżał z twarzą w ziemi i z kulą pięć centymetrów od serca, uznał, że do żadnej sprawy nie będzie już najlepszy.

- A o co chodzi? - zapytał cierpliwie.

- Tydzień temu mój brat został porwany przez organizację przestępczą znaną pod nazwą „Młot”. Słyszał pan o nich?

Tylko długotrwała praktyka sprawiła, że na twarzy Trace'a nie pojawił się żaden grymas. A przecież nagle poczuł strach, nienawiść i wściekłość. To właśnie związek z tą organizacją omal nie stał się przyczyną jego śmierci.

- Owszem, słyszałem - odparł krótko.

- No więc to oni. Wiemy tylko, że zabrali mojego brata z jego domu w Irlandii, gdzie prawie ukończył badania nad „Horyzontem”. Zamierzają go trzymać, aż ostatecznie je ukończy, a potem przejąć wynaleziony środek. Czy zdaje pan sobie sprawę, co może się wtedy stać?

Trace strzepnął popiół z papierosa na drewnianą podłogę.

- Podobno moja inteligencja mieści się w granicach normy - odparł.

- Panie O'Hurley - desperacko chwyciła go za przegub - z tego nie wolno żartować!

- Dobrze, niech pani puści moją rękę, doktor Fitzpatrick. Proszę powiedzieć: czy pani brat jest inteligentnym człowiekiem?

- To geniusz.

- Nie, nie, chodzi mi o to, czy jest obdarzony tak zwanym zdrowym rozsądkiem.

- To błyskotliwy naukowiec, ale też człowiek, który w odpowiednich warunkach potrafi o sobie zadbać.

- Świetnie, bo tylko głupiec uwierzyłby, że jeśli doprowadzi do końca te badania, to „Młot” pozwoli mu ująć z życiem. Widzi pani, ci ludzie nazywają siebie wyzwolicielami, buntownikami, rycerzami krucjaty sprawiedliwości. W rzeczywistości to banda fanatyków kierowana przez bogatego szaleńca. Niezorganizowana banda - dodał. - Zabili więcej ludzi przez pomyłkę niż celowo. Są w posiadaniu wielkich pieniędzy, ale to idioci. A nie istnieje nie groźniejszego niż gromada idiotów fanatyków. Poradziłbym pani bratu, żeby się na nich wypiął.

- Oni. - , mają jego dziecko. - Śmiertelnie błada Gillian przytrzymała się stołu. - Zabrali jego sześciolletnią córeczkę - dokończyła, po czym wstała i szybko wyszła z knajpy.

Trace nie ruszył się z miejsca. Nie moja sprawa, myślał.

Jest w końcu na wakacjach. Powrócił z martwych i zamierza cieszyć się życiem. Sam.

Siedział jeszcze chwilę, wreszcie zaklął pod nosem, odstawił butelkę i ruszył za kobietą.

Gillian słyszała, jak ją wołał, ale nic zatrzymała się. Była idiotką, spodziewając się, że ten facet jej pomoże. Powinna była raczej próbować negocjować z terrorystami. Od nich przynajmniej nie oczekiwałyby współczucia.

Kiedy złapał ją za ramię, odwróciła się gwałtownie w jego stronę. Gniew dał jej siły, które utraciła przez brak jedzenia i snu.

- Niech pan puści!

- Mówiłem, żeby pani poczekała!

- Wyraził już pan swoją opinię, panie O’Hurley. Nic widzę sensu dalszej dyskusji. Nie mam pojęcia, czemu pan Forrester wysłał mnie na poszukiwanie faceta, który woli siedzieć w jakiejś obskurnej norze i doić whisky niż uratować komuś życie. Myślałam, że poznam odważnego mężczyznę, a znalazłam zmęczonego, brudnego pijaka, którego nic nie obchodzi.

Zabolały go te słowa bardziej niż się spodziewał.

- Skończyła pani? - warknął. - Po co to widowisko?

- A co, wstyd panu? Mój brat i jego dziecko są przetrzymywani przez bandę terrorystów. Myśli pan, że obchodzi mnie, czy panu wstyd, czy nie?

- Trudno byłoby mnie zawstydzić, dziecino - odparł. - Ale nie lubię ściągać na siebie uwagi. Taki stary zwyczaj. Chodźmy na spacer.

Chciała wyrwać ramię z jego uścisku. Duma podszeptowała jej, aby zrobiła to jak najszybciej. Powstrzymywała ją jednak troska i miłość do bliskich. W milczeniu ruszyła obok Trace'a wzdłuż pomostu.

Na tle ciemnego morza i jeszcze ciemniejszego nieba piasek wydawał się niemal biały. Przy pomoście kołysało się kilka łodzi w oczekiwaniu na jutrzejszy połów lub jutrzejszych turystów. Wokół panowała tak głęboka cisza, że dobiegała do nich muzyka z odległej teraz knajpy. Jakiś głos śpiewał smętnie o miłości, niewierności i rozstaniu - stały temat wszystkich piosenek świata.

- Trafiła pani do mnie w nieodpowiednim czasie - odezwał się Trace. - Nic mam pojęcia, czemu Charlie panią przysłał.

- Ja również nie.

- Tą sprawą powinny się oficjalnie zająć odpowiednie służby. Trzeba powiadomić fachowców od bezpieczeństwa, może wywiad, może międzynarodowe organizacje...

- Te służby i organizacje chcą tego środka równie mocno, co „Młot”. Dlaczego właśnie im miałabym powierzyć życie brata i jego córki?

- Bo to dobrzy ludzie.

- Niektórzy dobrzy, inni nie, za to wszystkich rozsądza ambicja i wszyscy wiedzą najlepiej, co jest niezbędne dla utrzymania pokoju. A mnie w chwili obecnej nie obchodzi polityka, obchodzi mnie wyłącznie moja rodzina. Ma pan rodzinę, panie O'Hurley?

- Tak. - Trace mocno zaciągnął się papierosem. Rzeczywiście, ma rodzinę, której nie widział... No właśnie. Od ilu lat? Siedmiu, ośmiu? Wiedział, że Chantel jest w Los Angeles, gdzie kręci film, że Maddy gra w sztuce wystawianej w Nowym Jorku, a Abby hoduje konie i wychowuje dzieci w Wirginii. Rodzice występowali ostatnio w Buffalo. Choć minęło tyle czasu, nigdy nic stracił żadnego z nich z oczu.

- Czy więc powierzyłby pan życie członków swojej rodziny jakiejś organizacji? Nawet gdyby wiedział pan, że dla dobra ogółu pana krewni mogą stracić życie? Pan Forrester uznał, że mojego brata i siostrzenicę może ocalić jedynie człowiek, któremu będzie bardziej zależało na nich niż na tym wynalazku. I że to właśnie pan jest tym człowiekiem.

- Charlie wiedział, że chcę odejść z zawodu. - Trace odrzucił niedopałek. - Właśnie w ten sposób próbował mnie zatrzymać.

- Jest pan tak dobry, jak mówił?

- Jasne. Pewnie jeszcze lepszy. - Roześmiał się i potarł dłonią policzek. - Cholera, staremu Charliemu odbiło przed śmiercią. Nigdy nic wygłaszał pochwał ani komplementów.

Gillian odwróciła się i spojrzała wprost na niego. Nieogolony i w brudnym ubraniu, nie wyglądał na bohatera. Jednakże kiedy złapał ją za ramię, wyczuła w nim siłę i zdecydowanie. W normalnych okolicznościach wolałaby pewnie kogoś o chłodnym, analitycznym umyśle, kto ma cierpliwe i logiczne podejście do problemu. Tym razem jednak nie potrzebowała naukowca.

- Dobrze - odezwał się, wytrzymując jej spojrzenie - skontaktuję się z moimi szefami, pani Fitzpatrick. A pani niech przekaże im wszystkie posiadane informacje. Dam pani kontakt. Najbliższe biuro jest w San Diego. W ciągu dwudziestu czterech godzin najlepsi agenci na świecie zaczną szukać pani brata.

- A ja dam panu sto tysięcy dolarów, żeby znalazł pan i uratował mojego brata. Cena nie podlega negocjacom, to wszystko, co mara. Proszę go znaleźć, a wtedy, ze stu tysiącami na koncie, będzie pan mógł z godnością zrezygnować ze swojej pracy.

Nie wiedziała, dlaczego prosi go wbrew sobie. Nic było ku temu żadnych racjonalnych powodów. Zawierzyła ojcu, Forresterowi - i własnej intuicji.

Trace przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu, po czym stłumił przekleństwo i ruszył w stronę morza. Ta kobieta zwariowała. Proponował jej usługi najlepszej organizacji wywiadowczej na Świecie, a ona chciała mu dać pieniądze, by wykonał robotę sam. I to całkiem przyzwoitą sumę.

Stanął nad brzegiem i patrzył na przyplływające i cofające się fale. Nigdy nie miał więcej niż kilka tysięcy dolarów. To nie było w jego stylu. Sto tysięcy czyniło pewną różnicę między faktycznym odejściem ze służby a mówieniem o odejściu. Powoli pokręcił głową. Nie, Nie powinien się w to mieszać, w żadne sprawy tej kobiety czy jej rodziny, w nic, co dotyczyło tajemniczego specyfiku, zdolnego rzekomo uchronić ludzkość od zagłady. Powinien wrócić do hotelu, zamówić doskonały posiłek i położyć się spać z pełnym żołądkiem. Rano zaś zastanowić się wreszcie nad tym, co zrobić ze swoim życiem.

- Jeśli pragnie mieć pani kogoś do wyłącznej dyspozycji, mogę zaproponować parę nazwisk...

- Nie chcę nazwisk. Chcę pana.

Powiedziała to w taki sposób, że natychmiast zareagował. Musiał zareagować, gdy kobieta mówiła mu „chcę pana”, niezależnie od tego, co miała na myśli. Ta gwałtowna reakcja sprawiła zaś, że jeszcze bardziej zapragnął się jej pozbyć.

- Przez ostatnie dziewięć miesięcy ukrywałem się - wyjaśnił. - Jestem zmęczony, pani doktor. Potrzebuje pani kogoś młodego i pełnego zapału. Ja już nie mam siły.

- Chrzani pan - stwierdziła, a siła w jej głosie sprawiła, że Trace spojrział na nią z zaskoczeniem. Stała wyprostowana, a wiatr rozwiewał jej włosy wokół twarzy. Złość dodała jej atrakcyjności i powabu. - Nie chce się pan w to mieszać - mówiła - bo nie umie pan wziąć odpowiedzialności za życie niewinnego człowieka, za życie dziecka! Forrester widział w panu rycerza, człowieka zasad i honoru, ale się mylił. Nie zasługiwał pan na takiego przyjaciela. On współczuł, był gotów pomóc tylko dlatego, że został o to poproszony. I właśnie przez to zginaj.

- O czym, do diabła, pani mówi? - Trace złapał Gillian za ramiona. Jego oczy niebezpiecznie zaśniły. - Co to znaczy? Charlie miał atak...

- Próbował mi pomóc - przerwała mu w pół zdania. - Chodzili za mną. Trzej mężczyźni.

- Jacy trzech mężczyźni?

- Nie wiem. Terrorysty, agenci, niech ich pan nazwie, jak pan chce. Włamali się do jego domu, kiedy byłem tam razem z nim. Forrester wepchnął mnie za ukryte przejście w bibliotece... Słyszałem ich głosy, szukali mnie. Było mi gorąco, duszno... ciemno. Powiedział im, że już wyszłam, usiłowali go straszyć, ale on obstawał przy swojej wersji. W końcu uwierzyli. Nagle... - jej głos zadrżał - nagle zrobiło się bardzo cicho. Ta cisza mnie przeraziła, usiłowałam się stamtąd wydostać, żeby mu pomóc, ale nic mogłam znaleźć mechanizmu.

- Pięć centymetrów od sufitu.

- Wiem. Minęła godzina, zanim go znalazłam. - Nie dodała, że przez cały ten czas walczyła z ogarniającą ją paniką i że w pewnej chwili rzuciła się na ścianę i zaczęła rozpaczliwie krzyczeć, gotowa już raczej się poddać niż pozostać w tej duszącej ciemności. - Kiedy się wydostałam, już nic żył. Gdybym była szybsza, może mogłabym mu pomóc... Nigdy się tego nie dowiem.

- Powiedziano mi, że miał atak serca.

- Tak. Taką postawiono diagnozę. Ale przecież atak można wywołać zwykłym

zastrzykiem. To właśnie zrobili, szukając mnie w jego domu. Nie mogę... ale muszę jakoś z tym żyć. - Trace już dawno poluzował swój uścisk i teraz Gillian nieświadomie złapała go za koszulę. - I pan także. Jeśli nie chce mi pan pomóc, dlatego że mi pan współczuje ani dla pieniędzy, to mech pan zrobi to z zemsty.

Trace ponownie odwrócił głowę. Już pogodził się ze śmiercią Charliego. Już przyjął do wiadomości, że to przeznaczenie. Jednak z tym, co usłyszał, pogodzić się nic mógł.

To nie było przeznaczenie, lecz trzech morderców. Charlie zginął z ich ręki, a on. Trace, mógł pomścić jego śmierć. Czy powinien? Należało to przemyśleć. Napije się kawy, wytrzeźwieje trochę i wtedy się zastanowi.

- Odprowadzę panią do hotelu - zaproponował.

- Ale...

- Napijemy się kawy i wtedy opowie mi pani wszystko jeszcze raz. A ja zdecyduję, czy będę mógł pani pomóc.

Skoro było to wszystko, co mógł jej teraz ofiarować, Gillian postanowiła przystać na jego warunki.

- Zameldowałam się w tym samym hotelu, co pan - oznajmiła.

- Doskonale. - Trace ujął ją za ramię i ruszył przed siebie. Natychmiast wyczuł niepewne kroki kobiety. Ogień, który ją trawił, błyskawicznie wygasał. Kiedy się zachwiała, zacieśnił uścisk. - Kiedy ostatnio pani jadła?

- Wczoraj.

- A czego jest pani doktorem? - zapytał z uśmiechem sympatii.

- Fizyki.

- Nawet fizyk powinien coś wiedzieć o odżywianiu. Zależność jest następująca: jak się je, to się żyje, a jak się nie je, to się umiera. - Puścił jej ramię i objął ją w talii. Chciała zaprotestować, ale nic miała na to siły. Poza tym ramię tego mężczyzny było takie mocne i takie wygodne.

- Dziwnie pan pachnie - powiedziała tylko.

- Koniem - wyjaśnił krótko. - Cały dzień jeździłem po dżungli. Świetna zabawa. Z której części Irlandii pani pochodzi?

- Z Cork.

- Z Cork? Jaki ten Świat jest mały. - Poprowadził ją w stronę hotelowego korytarza. -
Mój ojciec też jest z Cork. Numer pokoju?

- Dwieście dwadzieścia jeden.

- O rany. To obok mojego.

- Dałam recepcjoniście tysiąc pesos.

- Jest pani kobietą czynu, doktor Fitzpatrick.

- Jak większość kobiet. Niestety, ten świat nadal należy do mężczyzn.

Trace miał co do tego wątpliwości, ale nie zamierzał z nią dyskutować.

- Klucze? - zapytał.

Walcząc z sennością, Gillian zaczęła szukać po kieszeniach. Znalazła, a wtedy Trace wyjął kluczyk z jej dłoni i umieścił go w zamku. Kiedy otworzył drzwi, odskoczył i mocno przyparł kobietę do ściany korytarza.

- Co pan...? - zaczęła i natychmiast umilkła, gdy wyciągnął z kieszeni myśliwski nóż.

Trace nie miał przy sobie innej broni. Nie przyszło mu nawet do głowy, że będzie jej potrzebował na wakacjach. Z wyciągniętym przed siebie ostrzem ostrożnie wszedł do pokoju i kopnął jeden z walających się po ziemi śmieci.

- O, Boże! - Gillian z przerażeniem podniosła dłoń do ust. Wnętrze pokoju było splądrowane, sprzęty porzucane, poduszki rozprute. Nawet ktoś, kto nie znał się na tego typu sprawach, łatwo mógł się zorientować, że nie oszczędzono żadnej szuflady, szafki czy jakiegokolwiek innego schowka. Jej walizka została rozcięta, a ubrania, których Gillian nie zdążyła jeszcze wypakować, leżały na podłodze. Pocięto również materac oraz siedzenie jedyne fotela.

Trace sprawdził łazienkę oraz okna i doszedł do wniosku, że napastnicy weszli drzwiami frontowymi, a przeszukanie pokoju tej wielkości zajęło mu nie więcej niż dwadzieścia minut.

- Niech pani pozbiera swoje rzeczy - powiedział. - Pogadamy u mnie.

Brzydziła się dotykać własnych ubrań, ale zdołała się jakoś przekonać, że powinna być praktyczna. Potrzebowała ich, niezależnie od tego, kto brał je w swoje ręce. Pospiesznie

pozbięrała spodnie, spódnice, bieliznę i bluzki.

- W łazience mam jeszcze kosmetyki.

- Już nie. Wszystko zniszczyli.

Trace ponownie ujął ją za ramię. Wyjrzał na korytarz i kiedy stwierdził, że nikogo tam nie ma, pociągnął Gillian do pokoju obok. Przed drzwiami puścił ją i włożył klucz w zamek.

Gdy otwierał drzwi, jego dłoń znów spoczęła na rękojeści noża, gdy zaś znaleźli się wreszcie wewnątrz, starannie zamknął drzwi, po czym rozpoczął drobiazgowo poszukiwania.

Starym zwyczajem celowo zastawił kilka pułapek. Książka na nocnym stoliku wciąż wystawała o pół centymetra za blat. Włos, który rano położył na poduszce, także był nienaruszony. Trace zaciągnął zasłony, po czym usiadł na łóżku i sięgnął po telefon. Zamówił po hiszpańsku kolację i dwie filiżanki kawy.

- Zamówiłem pani stek - powiedział, gdy odłożył słuchawkę. - Jesteśmy w Meksyku, więc zajmie to co najmniej godzinę. Proszę usiąść.

Usiadła posłusznie, wciąż trzymając w objęciach swoje ubrania. Trace przyjął wygodną pozycję na łóżku i skrzyżował nogi.

- Czego mogą szukać? - zapytał.

- Słucham?

- Mają pani brata. Czego chcą od pani?

- Od czasu do czasu współpracowałam z Flynnem. Jakies pół roku temu spędziłam z nim trochę czasu w Irlandii, wtedy właśnie miałam kontakt z „Horyzontem”. Dokonałiśmy razem bardzo ważnego odkrycia. Sądziliśmy, że udało nam się znaleźć metodę na uodpornienie pojedynczej komórki na napromieniowanie. Choroba popromienna atakuje przede wszystkim komórki. Promienie wchodzą w tkankę niczym pociski i powodują uszkodzenia w ich strukturze. Pracowaliśmy nad pewnym specyfikiem, który zapobiegałby tym zmianom. W ten sposób moglibyśmy...

- To fascynujące, pani doktor. Ja jednak wolałbym się dowiedzieć, dlaczego polują na panią.

Gillian wyprostowała się w fotelu.

- Zabrałam notatki ze sobą, do instytutu, żeby jeszcze nad nimi popracować. Flynn ich nie ma. Potrzebuje mniej więcej roku, żeby je zrekonstruować.

- Można więc powiedzieć, że jest pani brakującym elementem układanki?

- Jestem w posiadaniu pewnych informacji.

- I chce może pani powiedzieć, że ma pani te notatki ze sobą? Czy je przechwycili?

- Nie, nic przechwycili ich. Noszę je... zawsze... przy sobie. Pan wybaczy - westchnęła jeszcze, po czym oczy same jej się zamknęły i zasnęła.

Trace obserwował ją przez chwilę. W innych okolicznościach rozbawiłby go może fakt, że prawie nieznaną mu kobietą zasypia w środku rozmowy na krześle w jego pokoju. Teraz jednak poczucie humoru niespecjalnie mu dopisywało.

Kobieta była śmiertelnie blada z wyczerpania. Wciąż ścisnęła w objęciach swoje ubrania, zaś jej płócienna torba leżała wciśnięta między oparcie fotela a jej biodro. Trace wsiał, wyciągnął ją bez wahania i wysypał zawartość na łóżko.

Odsunął na bok szczotkę i elegancką, zdobioną w srebrze puderniczkę. Przejrzał rozmówki hiszpańskie, które wskazywały na to, że nie znała języka, obejrzał dokładnie bilet lotniczy, zajrzał do książeczki czekowej, gdzie znalazł wypisany starannym charakterem czek na sześćset dwadzieścia osiem dolarów i osiemdziesiąt trzy centy. Zdjęcie w paszporcie było całkiem udane, ale nie uchwyciło tego charakterystycznego uporu, który Gillian zdążyła już zaprezentować. Miała na nim rozpuszczone włosy, opadające w gęstych lokach na ramiona.

Hm, zawsze miał słabość do długich i bujnych włosów.

Z dokumentów dowiedział się, że Gillian Fitzpatrick urodziła się w Cork dwadzieścia siedem lat temu, w maju, i zachowała dotąd irlandzkie obywatelstwo, chociaż od lat mieszkała w Nowym Jorku.

Odłożył paszport i sięgnął po portfel dziewczyny. Pomyślał, że mogłaby kupić sobie nowy. Ten, który trzymał w dłoni, był już porządnie zniszczony.

Prawo jazdy również było na wykończeniu, a zdjęcie bardzo przypominało to z paszportu - na obu miała bardzo poważny wyraz twarzy. W portfelu znajdowało się jeszcze trzysta dolarów gotówką i dwa tysiące w czekach podróży. Oprócz tego Trace znalazł jeszcze listę sprawunków i bilet parkingowy.

Pośpiesznie przejrzał fotografie, które miała przy sobie. Pierwsze czarno - białe zdjęcie przedstawiało elegancką, uśmiechniętą parę. Sądząc po strojach, wykonano je w latach pięćdziesiątych: gładko uczesana kobieta ubrana była w grzeczną bluzkę z

kołnierzykiem, a stojący obok niej mężczyzna o pełnej twarzy miał na sobie marynarkę, wąski krawat i także spodnie. Ona uśmiechała się szelmowsko, on nie wyglądał na specjalnie uradowanego.

Następne zdjęcie przedstawiało roześmianą Gillian w ogrodniczkach i podkoszulce, obejmującą tego samego mężczyznę, ale starszego o jakieś dwadzieścia lat. Dziewczyna wyglądała na bardzo szczęśliwą i była całkiem inna niż na późniejszych oficjalnych fotografiach z dokumentów. Trace szybko przeniósł wzrok na kolejne zdjęcie.

To był jej brat. Podobieństwo między nimi było silniejsze niż zdarza się to zwykle między rodzeństwem. On miał nieco spokojniejszy odcień włosów, niemal kasztanowy, ale podobnie szeroko rozstawione zielone oczy i pełne usta. Na ramionach trzymał maleńką dziewczynkę o okrągłej, uśmiechniętej buzi i uroczych dołeczkach w pulchnych policzkach.

Trace mimowolnie uśmiechnął się na ten widok. Mógł się założyć, że z tej małej było niezłe ziółko. Miał słabość do dzieci, w oczach których tliły się diabelskie ogniki.

Spoważniał nagle, zaklął pod nosem i odłożył zdjęcie na bok.

Rzeczy, które znalazł w jej torbie, powiedziały mu o Gillian nieco więcej. Najważniejsze - i najgorsze - było jednak to, że nic znalazł jak dotąd żadnych notatek na temat badań dla projektu „Horyzont”. Niczego, co potwierdzałoby jej słowa.

Pomyślał, że kilka telefonów pomoże mu wyjaśnić wszelkie tajemnice dotyczące doktor Gillian Fitzpatrick, po czym zerknął na śpiącą twardym snem kobietę i z westchnieniem wrzucił leżące na łóżku rzeczy z powrotem do jej torby.

Nie obudziła się, gdy kelner zapukał do drzwi. Trace pozwolił mu przygotować stół do kolacji, a następnie potrząsnął Gillian, by zbudziła się i zjadła. Niestety, jedyną jej reakcją było niezrozumiałe mamrotanie. Ściągnął więc jej sandały, ostrożnie wziął ją w ramiona i ułożył starannie na łóżku. Ona zaś westchnęła tylko i skuliła się jak dziecko. Pachniała niczym łąka, na której właśnie rozkwitły kwiaty.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gillian obudziła się po dwunastu godzinach snu. W pokoju panował półmrok. Leżała spokojnie, czekając, aż jej myśli rozjaśnią się nieco i zdoła sobie przypomnieć wydarzenia poprzedniego dnia.

Najpierw szarpiący nerwy lot z Mexico City do Merida. Potem strach i zmęczenie, frustrująca wędrówka od hotelu do hotelu, wreszcie zadymiona mała knajpa, w której znalazła, jak wówczas sądziła, wybawiciela swego brata.

To właśnie był jego pokój, jego łóżko. Ostrożnie odwróciła głowę - i jęknęła cicho.

Spał obok niej i najprawdopodobniej był nagi, tak jak go pan Bóg stworzył. Prześcieradło okrywało jego plecy od łopatki po talię. Twarz, nieco mniej szorstka i nieustępliwa niż wczoraj, znajdowała się parę centymetrów od jej twarzy. Gillian poczuła to samo, co wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy - że to twarz mężczyzny, z którym żadna kobieta nic będzie nigdy bezpieczna.

A jednak spędziła z nim noc i to z powodu jego obecności czuła się teraz bezpieczna. Nie skrzywdził jej ani on, ani ci, którzy ją ścigali. Gdy tylko przekroczyła próg tego pokoju, poczuła, jak ogarnia ją całkiem irracjonalna ulga i pewność, że tu jej się nic nie stanie. Wiedziała, że ten człowiek jej pomoże - niechętnie, ale pomoże.

Westchnęła i poruszyła się w łóżku, gotowa wstawać, gdy nagle w jej stronę wystrzeliła ręka Trace'a, a on sam otworzył oczy. Gillian zamarła. Może jednak nie była tak bezpieczna, jak sądziła.

Oczy mężczyzny były przytomne i czujne, a uścisk stanowczy, wręcz bolesny.

- Spała pani jak kamień - powiedział łagodnie, po czym puścił ją i przetoczył się na plecy.

- To zmęczenie - odparła. Jej serce biło tak, jak gdyby przebiegła bez zatrzymywania się trzy piętra. Myliła się. Z Traceni O'Hurleyem nie była bezpieczna, choć inny był wymiar i charakter tego niebezpieczeństwa. A może to po prostu poranne oszołomienie sprawiło, że poczuła się pobudzona i ciekawa go tak, jak ciekawa mężczyzny może być kobieta?

Zanim zdołała się opamiętać, jej spojrzenie powędrowało w dół - na silną szyję, szeroką pierś i...

I nagle Gillian zamarła. Długa, czerwona blizna przecinała opaloną skórę tuż pod

sercem. Wyglądało to tak, jak gdyby je stamtąd wyrwano, a następnie znowu włożono na miejsce. I to całkiem niedawno.

- To wygląda... dość poważnie - wykrztusiła.

- Jak blizna. Brzydzi się pani blizn, pani doktor?

- Nie. - Zmusiła się do tego, aby spojrzeć mu w twarz. - Poza tym to nie moja sprawa, tak pan pewnie by powiedział, gdybym poprosiła o szczegóły, prawda? - Wstała powoli z łóżka i z zawstydzieniem usiłowała wyprostować zmięte ubranie. - Dziękuję, że pozwolił mi pan tu spać, ale na pewno mogliśmy zorganizować jakąś dostawkę.

- Może i mogliśmy. Ja nie mam jednak nic przeciwko dzieleniu łoża. No, jak? Lepiej się pani czuje?

- Tak, ja... - Sięgnęła ręką do włosów, chcąc ukryć ogarniające ją zakłopotanie. - Dziękuję, znacznie lepiej.

- To dobrze, bo mamy dzisiaj mnóstwo roboty. - Odrzucił prześcieradło, a wtedy ona na chwilę odruchowo zamknęła oczy. Zaraz jednak je otworzyła, on zaś uśmiechnął się do niej z bezczelnym rozbawieniem. Miał na sobie jaskrawe slipki, które wprawdzie niewiele zakrywały, ale jednak.

- Może weźmie pan prysznic? - zaproponowała z wysiloną nonszalancją.

- A pani zamówi w tym czasie śniadanie, zgoda? - odparł i odwrócił się w stronę łazienki.

- Panie O'Hurley...

- Trace. Po prostu Trace. Dlaczego nie mówisz mi po imieniu, złotko? - Ponownie przesłał jej szeroki uśmiech. - W końcu ze sobą spaliśmy.

Zanim Gillian odzyskała mowę, zniknął za drzwiami i odkręcił kurki nad wanną.

Zrobił to celowo, myślała Gillian. Chce mnie sprowokować, zawstydzić, właściwie nie wiadomo po co. To typowe samcze zachowanie. Pawie mają swoje ogony, lwy grzywy, a faceci zawsze preżą się, by zrobić wrażenie na kobietach. Kiedy zaś uda im się je zawstydzić, zbić z tropu, wtedy czują nad nimi przewagę i to ich podnieca, tylko kto by podejrzewał, że on będzie tak zbudowany i że ona pozwoli się speszyć?

Pokręciła głową i sięgnęła po słuchawkę telefonu. Nie obchodziło jej, jak jest zbudowany. Ważne, żeby jej pomógł.

Tymczasem Trace nie mógł przestać myśleć o tym, że to w dużej mierze wygląd Gillian zdecydował o tym, iż postanowił jej pomóc. Cholera jasna, gdyby nie była taka krucha, gdyby nie wyglądała tak bezbronne, gdyby nie te włosy...

Odkręcił zimną wodę, aby pobudzić się do życia po trzygodzinnym śnie, który nie przysporzył mu sił. Roztarł pianę na twarzy i zaczął golić się bez lusterka.

Trudno. Jego wybór, jego kłopot. Nigdy nie potrafił odmówić damie w opałach. Omal nie zginął przez to w Santo Domingo i omal nie ożenił się w Sztokholmie. Nie miał pojęcia, która perspektywa bardziej go przerażała.

Jeśli miał jednak być ze sobą szczery, musiał przyznać, że nie zdecydowała tylko jej słabość, nie tylko to, że szukała wsparcia i pomocy. Ta dziewczyna była po prostu piękna. Mądra, owszem, w końcu zrobiła doktorat z fizyki, ale też piękna. A niezależnie od tego, co decyduje naprawdę o wartości człowieka - intelekt, charakter, zdobyta wiedza - piękne kobiety zawsze miały przewagę nad innymi. Trace mógł podziwiać jej wielki umysł, ale nie wzbraniał się teraz przyznać, że ten umysł jest ładnie opakowany.

Czy dlatego dał się wciągnąć w międzynarodową aferę, choć przecież pragnął już tylko chodzić wśród ruin i nurkować bez akwalungu?

„Młot”. Dlaczego to musiał być akurat „Młot”? Sądził, że nie będzie miał już nigdy do czynienia z tą bandą szaleńców. Przeniknięcie do tej organizacji - i to na jednym z podstawowych poziomów - zajęło mu ponad pół roku. Dobrze sobie radził, a pomagał mu słowiański akcent, którego pilnie się wyuczył, włosy ufarbowane na czarno i kilkudniowy zarost na twarzy, do którego ostatnio nawet się przyzwyczyił.

Niestety, piętnaście kilometrów za Kairem popełnił błąd. Odkrył przypadkiem, że człowiek, z którym współpracował przy drobnych sprawach, załatwia także interesy na własną rękę. Nic go to zresztą nie obchodziło, próbował wytłumaczyć to tamtemu, ale mężczyzna wpadł w przerażenie i strzelił do Trace'a, po czym zostawił go na pastwę losu.

W ten oto sposób długie miesiące pracy, staranne przygotowania i rozliczne niebezpieczeństwa okazały się nic nie warte. A wszystko dlatego, że pewien stuknięty Egipcjanin miał lepkie paluchy.

Trace otarł się o śmierć, gdy zaś przeżył, nauczył się cenić życie. Pragnął upijać się dobrą whisky, trzymać w ramionach chętną kobietę, leżeć na piasku i wpatrywać się w błękitne niebo. Zaczął się nawet zastanawiać nad odszukaniem rodziny. Mówiąc krótko,

postanowił dać sobie spokój, przestać dbać o pomyślność i szczęście społeczeństw, a postarać się o swoje własne.

No i wtedy pojawiła się ona.

Trace potarł policzek, uznał, że jest wystarczająco gładki, i splukał pianę z twarzy. Ech, naukowcy. Narobili przez ostatnie sto lat niezłego bigosu, jakby nic im nie dała historia doktora Frankenstein. Dlaczego nie mogą po prostu pracować nad lekarstwem na katar, a zniszczenie albo zbawienie świata pozostawić wojskowym i kapłanom?

Zakręcił kurki, po czym sięgnął po ręcznik. Gillian Fitzpatrick też była naukowcem. Nie kierowała nią jednak troska o światowy pokój, lecz miłość do najbliższych. Może właśnie dlatego skruszyła jego opór? Dwa nocne telefony dostarczyły mu sporo informacji na jej temat i potwierdziły wcześniejsze przypuszczenia. Mylił się właściwie jedynie co do szwajcarskiej szkoły - dobrych manier nauczyły jej irlandzkie zakonnice.

Poza tym skończyła studia w Dublinie i pracowała u boku ojca, dopóki nie objęła stanowiska w ogólnie szanowanym Instytucie Random - Frye w Nowym Jorku. Nie była mężatką, chociaż kiedyś łączyło ją coś z doktorem Arthurem Stewardem, czołowym badaczem w Instytucie. Trzy miesiące temu spędziła wakacje w Irlandii, na farmie swojego brata.

Ładne mi wakacje, pomyślał, skoro pracowała wtedy nad projektem „Horyzont”.

Trace nie miał więc żadnych powodów, aby jej nie wierzyć czy nie spełnić jej prośby. Postanowił, że odnajdzie Flynna Fitzpatricka i małą dziewczynkę o twarzy anioła. Przy okazji znajdzie też trzech mężczyzn, którzy zabili Charliego. Za pierwsze zadanie dostanie sto tysięcy dolarów, drugie dostarczy mu satysfakcji.

Wszedł śmiało do hotelowego pokoju, choć ręcznik zasłaniał go nie lepiej niż skąpe slipy. Gillian przeglądała właśnie nieliczne ubrania, które zdołała ze sobą zabrać.

- Pysznic wolny, Jill.

- Gillian - poprawiła go. Piętnaście minut w samotności pomogło odzyskać jej równowagę. Skoro miała mieć odtąd na co dzień z nim do czynienia, postanowiła trzymać go na dystans. Będzie myślała o nim raczej jak o narzędziu niż jak o mężczyźnie.

- Gillian... - powtórzył niezbyt zadowolony, jakby nie bardzo podobało mu się to imię.

- Dobrze. Jak sobie życzysz.

- Nie mam szczoteczki do zębów.

- Użyj mojej. - Otworzył szafkę biurka. Uśmiechnął się, gdy złapał jej spojrzenie w lustrze. - Przepraszam, pani doktor. Nie mam zapasowej. Albo bierzesz tę, albo żadną.

- To niehigieniczne.

- Owszem, tak jak głębokie pocałunki.

Gillian pozbierała ubrania i bez słowa wycofała się do łazienki.

Kiedy z niej wyszła, znowu czuła się jak człowiek. Miała wprawdzie mokre włosy i pogniecione ubranie, ale czuła się czysta i odprężona. Zapach jedzenia i kawy sprawił zaś, że poczuła głód. Trace zresztą zaczął już jeść śniadanie, wpatrzony w poranną gazetę, którą kelner dostarczył wraz z tacą. Kiedy koło niego usiadła, nawet nie podniósł wzroku.

- Nie wiedziałam, co lubisz.

- To mi odpowiada - odparł z pełnymi ustami.

- Bardzo się cieszę - odparła z przesadną uprzejmością, lecz sarkazm zawarty w tym stwierdzeniu najwyraźniej umknął jego uwagi.

- Piszą o tym tak, jak gdyby kilka miłych pogawędek wystarczyło, żeby ratyfikować nowy traktat rozbrojeniowy - odezwał się po chwili.

- To się nazywa dyplomacja.

- Tak, ale... - Oderwał wzrok od gazety, by spojrzeć na Gillian, jednak nie dokończył zaczętego zdania.

Wiedział świetnie, jak się czuje człowiek, który oberwie pięścią w splot słoneczny. Wiedział, jak nagle brakuje wtedy powietrza, jak odskakuje głowa. Do tej chwili nie miał jednak pojęcia, że można doświadczyć podobnego uczucia, patrząc na kobietę.

Puszyste loki Gillian opadały za ramiona. Jej skóra miała kolor kości słoniowej, na policzki powróciły rumieńce. Oczy, zielone soczystą, głęboką zielenią wzgórz Irlandii, patrzyły na niego pytająco.

- Czy coś się stało? - Omal nie wyciągnęła ręki, by zbadać jego puls. - Trace, dobrze się czujesz?

- Ja... tak.

- Jesteś chory? - Teraz naprawdę wyciągnęła rękę, ale on cofnął się gwałtownie, jak

gdyby chciała go ukąsić.

- Nie, nie. Wszystko w porządku - uspokoił ją i ponownie przeniósł wzrok na gazetę. To nie kobieta, powiedział sobie twardo, to klucz do wczesnej emerytury i słodkiej zemsty. Powinieneś o tym pamiętać, O'Hurley.

- Skoro w porządku, to czemu nagle przerwałeś?

- Szkoda czasu na gadanie o bzdurach. Musimy wyjaśnić sobie parę spraw. Kiedy porwali twojego brata?

- A więc mi pomożesz - bardziej stwierdziła niż zapytała i w tej samej chwili ogarnęła ją niezwykła ulga. Czowała, że O'Hurley się zgodzi, była prawie pewna. Nie mógł się nie zgodzić, kiedy podsunęła mu myśl o pomszczeniu przyjaciela. Do tej pory nie usłyszała jednak tego z jego ust.

- Powiedziałaś: sto tysięcy?

Radosna wdzięczność na jej twarzy znikła natychmiast, podobnie jak ciepło w głosie. Trace wołał, żeby tak było.

- Zgadza się. Sto tysięcy. Pieniądze znajdują się w funduszu powierniczym, którego jednostki otrzymałam, gdy skończyłam dwadzieścia pięć lat. Nie potrzebowałam ich dotąd. Skontaktuję się z moim prawnikiem i zlecę mu przelanie tej kwoty na twoje konto. Może być?

- Doskonale - odparł. - Więc kiedy porwali twojego brata?

- Sześć dni temu.

- Skąd wiesz, kto go porwał i dlaczego?

- Zostawił taśmę. Nagrywał swoje notatki, kiedy po niego przyszli. Kasetą została w magnetofonie i nikt nie zauważył jej podczas szarpaniny... - Na chwilę przycisnęła dłoń do ust. Taśma zarejestrowała odgłosy walki, podobnie jak krzyki córeczki Flynnna. Gillian do tej pory prześladował przerażony głos małej. - Nie poddał się tak łatwo - mówiła dalej. - Kiedy jednak jeden z nich przystawił nóż do gardła Caitlin, jego córki, Flynn się poddał i zgodził na wszystko. To chyba musiał być nóż, bo Flynn powiedział do tamtego, żeby tylko jej nie skaleczył. Powiedział, że z nimi pójdzie, jeśli jej nic nie zrobią...

- Coś jeszcze? - spytał rzeczowym tonem Trace. Gillian spojrzała na niego z niesmakiem. Nie wydawał się poruszony jej opowieścią. Najemnik, pomyślała, zwykły

najemnik, dla którego liczy się tylko forsa. Towar za towar.

Nieważne, może być nawet najemnikiem, byle tylko odnalazł jej krewnych.

- Ten mężczyzna powiedział, że ją zabije, jeśli Flynn nie zgodzi się na współpracę, mówiłam już. Flynn spytał, czego chcą, a wtedy powiedzieli, że od tej pory pracuje dla „Młota”. Kazali mu wziąć ze sobą wszystkie notatki dotyczące projektu „Horyzont”. Powiedział, że pójdzie, gdzie będą chcieli i zrobi, co mu każą, ale mech zostawią w spokoju dziecko. Wtedy jeden z nich się roześmiał. „Jesteśmy ludźmi, panie Fitzpatrick, i też mamy ludzkie uczucia. To byłoby okrutne oddzielać córkę od ojca...”

Trace widział, że sprawia jej ból każde przywołane wspomnienie, każde wypowiedziane słowo. Jednak dla dobra ich obojga nie zamierzał pocieszać Gillian.

- Gdzie jest ta taśma? - spytał.

- Nie wiem. Gospodyni Flynn była wtedy na targu. Kiedy wróciła, odkryła bałagan w laboratorium i zawiadomiła policję. Oni skontaktowali się ze mną. Magnetofon wyłączał się po skończeniu taśmy, więc policja nie zwróciła na nią uwagi. W przeciwieństwie do mnie. Natychmiast zabrałam nagranie do pana Forrestera. Kiedy znalazłam go martwego, kasety już nie było. Ale nic tylko kasety szukali, szukali też mnie. Wiem o tym.

- Skąd?

- Słyszałam, jak pytali o mnie u Forrestera. Poza tym wystarczyło, że przeczytali dziennik Flynn. Na pewno napisał, że z nim pracowałam i że zabrałam część notatek.

- Czy ci mężczyźni mówili po angielsku?

- Tak, ale z akcentem... chyba śródziemnomorskim. Ten zaś, który się śmiał, miał inną wymowę. Może słowiańską?

- Czy padły jakieś imiona?

- Nie. Słuchałam tej taśmy dziesiątki razy, mając nadzieję, że coś wychwycę. Nic padło. Nic powiedzieli też ani słowa o tym, gdzie go zabiorą.

- No dobrze. - Trace poprawił się na krześle i zaciągnął się papierosem. - Niewiele wiemy, ale spróbujemy jakoś ich dorwać.

- Jak?

- Szukają ciebie, prawda? Albo notatek. - Zamilkł na chwilę. - Powiedziałaś, że masz je przy sobie, ale nie znalazłem ich w twojej torbie.

- Grzebałeś w moich rzeczach?

- Musiałem. To część mojego zadania. Gdzie one są? - Gillian wstała od stołu i podeszła do okna.

- Zniszczył jej Charlie Forrester.

- Mówiłaś, że masz je ze sobą.

- Bo mam. - Odwróciła się od okna i dotknęła palcem skroni. - Są tutaj. Jeśli ktoś ma fotograficzną pamięć, może odtworzyć niemal słowo po słowie. I odtworzę je, gdy zajdzie taka potrzeba.

- Właśnie zaszła, pani doktor. Odtworzy je pani, z niewielkimi zmianami. - Zmrużył oczy, obmyślając plan, który był szalony, ale też jedyny dający jakiegokolwiek szanse powodzenia. Niestety, niemal wszystko zależało w nim od Gillian. - No? Jak tam z twoją odwagą?

Kobieta zwilżyła wargi. Od razu domyśliła się jego zamiarów.

- Nigdy nie miałam okazji sprawdzić, gdzie są jej granice - odparła. - Jeśli jednak zamierza mnie pan użyć w charakterze przynęty, panie O'Hurley, to zgodzę się, jeśli tylko odnajdziemy w ten sposób Flynną i Caitlin.

- Nie wymagam od ciebie żadnych olbrzymich poświęceń.

- Zgasił papierosa, po czym wstał i podszedł do niej. - Wymagam jedynie zaufania. Czy mi ufasz?

Przyjrzała mu się uważnie w jaskrawym świetle meksykańskiego słońca. Trace O'Hurley był świeżo umyty i ogolony, ale wcale nie mniej niebezpieczny niż ubiegłego wieczoru, kiedy spotkali się w knajpie.

- Nie wiem - powiedziała w końcu. - Muszę pomyśleć.

- No to pomyśl. - Ujął ją pod brodę. - Bo jeśli chcesz, żebyśmy wyszli z tego z życiem, to musisz mi zaufać.

Droga do Uxmal była długa i w przeważającej części przebiegła w milczeniu. Trace dopilnował, aby wszyscy w hotelu wiedzieli, że on i Gillian wyjeżdżają. Pytał o prospekty i drogę zarówno po angielsku, jak i po hiszpańsku, poszedł do sklepu z pamiątkami po przewodnik i film do aparatu, wreszcie zapytał recepcjonistę o warte odwiedzenia restauracje i środki przeciwko owadom. Słowem, zrobił wszystko, by wzięto go za rozentuzjarmowanego

czekającymi go przygodami turystę.

Powód był prosty - każdy, kto szukałby Gillian Fitzpatrick, miał sądzić, że znajdzie ją w ruinach starożytnego miasta Uxmal.

Tak jak przez ostatnie dni, cały czas dokuczał im niemiłosierny upał, tym bardziej dotkliwy, że wynajęty jeep miał jedynie płócienną plandekę i brakowało w nim klimatyzacji.

Gillian popijała lemoniadę z butelki i zastanawiała się, czy doczeka drogi powrotnej.

- Rozumiem, że nie mogliśmy znaleźć niczego bliżej - odezwała się.

- Uxmal to typowa atrakcja turystyczna. Będziemy wśród tłumu zwiedzających. Ale nie ludź się, to nic odstraszy naszych przyjaciół, choć na pewno utrudni im zadanie. Poza tym przyjechałem do Meksyku między innymi po to, żeby popatrzeć na ruiny. - Spojrzał w tylne lusterko, lecz nie zobaczył niczego podejrzanego. Jeśli ktoś nawet ich śledził, to robił to wyjątkowo umiejętnie. Trace poprawił się na fotelu i założył ciemne okulary. - Może Uxmal nic jest tak popularne, jak Chichen Itze, ale też robi wrażenie.

- Nie sądziłam, że człowiek taki jak ty może interesować się starożytnymi cywilizacjami.

- Różne rzeczy się zdarzają - odparł i uśmiechnął się do siebie. Od dawna fascynowała go historia i archeologia. Na początku swej wywiadowczej kariery spędził nawet dwa miesiące w Egipcie i Izraelu, podając się za antropologa. Wspominał ten czas z nostalgią. Zasmakował wtedy wszelkich możliwych przygód - tych bezpiecznych i całkiem niebezpiecznych, związanych z jego misją.

- I zamierzasz może zwiedzać te ruiny, jak gdyby nigdy nic?

- A czemu nie? Jeśli tylko będziesz wypełniała moje polecenia, uda nam się zobaczyć to i owo.

- Przecież się zgodziłam, prawda? - poprawiła na sobie bluzkę, która nieprzyjemnie lepiała się do ciała, po czym odezwała się niepewnie: Trace?

- Mhm.

- A jeśli oni będą uzbrojeni?

Trace oderwał wzrok od drogi i popatrzył na dziewczynę z ponurym rozbawieniem.

- Pozwól, że ja się tym zajmę - powiedział. - Płacisz mi za to, żebym dbał o takie szczegóły.

Gillian zamilkła. Za każdym razem kiedy Trace wspominał o zapłacie za swoją pomoc, traciła do niego sympatię. Owszem, Sama zaproponowała mu pieniądze, kupiła go właściwie, ale czy nie mógł okazać choć trochę bezinteresowności, choć trochę troski o Flynna i Caitlin?

Przypomniała sobie, co o O'Hurleyu mówił Charles Forrester.

- To oryginał, samotnik, wieczny buntownik. Absolutnie nie sprawdza się w działaniu grupowym. Mimo to jest cholernie dobry, najlepszy, jakiego kiedykolwiek miała nasza firma. Jeśli potrzebuje pani kogoś, kto znajdzie igłę w stogu siana - a przy okazji rozwali ten stóg - niech się pani zgłosi do niego.

- Niech pan pamięta, że chodzi o życie mojego brata, panie Forrester. I o życie małej dziewczynki, nie mówiąc już o groźbie nuklearnej katastrofy.

- Wiem. I gdybym miał powierzyć swoje życie jednemu spośród wszystkich pozostałych agentów, z którymi współpracowałem, bez wahania wybrałbym Trace'a O'Hurley'a.

I tak oto Gillian w ciemno powierzyła swoje życie człowiekowi, który podobno był najlepszy, lecz którego w ogóle nie znała. Był szorstki, nieprzystępny, nie powiedział ani słowa pociechy, nie przejął się losem małej Caitlin i nie zainteresował specyfikami, który mógł na zawsze zmienić światowy układ sił.

A jednak... była jakaś niezręczna czułość w sposobie, w jaki ją podtrzymywał, gdy słaniała się wczoraj ze zmęczenia.

Kim więc był? Wyrachowanym najemnikiem, pozbawionym wszelkich uczuć profesjonalistą czy może mężczyzną, który po prostu nie umie być: miękki i łagodny? Kim był człowiek, któremu wszystko powierzyła?

- Od jak dawna jesteś tajnym agentem?

Popatrzył na nią, potem znów na drogę, aż wreszcie po raz pierwszy, odkąd go poznała, wybuchnął głośnym śmiechem.

- Złotko, ja nie jestem Jamesem Bondem.

- Nic odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Mniej więcej dziesięć lat.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego zajmujesz się akurat tym?

Wyciągnął zapalniczkę i zapalił kolejnego papierosa. Wiedział, że nie powinien palić tak dużo. Ale palił.

- To pytanie, które ostatnio często sobie zadaję - odparł. - A dlaczego ty zajmujesz się fizyką?

Nic była na tyle naiwna, aby przypuszczać, że cokolwiek go to obchodzi. Trace chciał po prostu zmienić temat.

- Tradycja rodzinna, a poza tym mnie to interesowało. Zresztą omal nie urodziłam się w laboratorium.

- Nie mieszkasz w Irlandii.

- Nie, dostałam pracę w Random - Fryc. To była doskonała okazja. - Żeby wyjść z cienia ojca, dodała w duchu.

- No i jak podobają ci się Stany?

- Bardzo. Tylko na początku wydawało mi się, że wszystko dzieje się tu zbyt szybko. Potem jakoś się przystosowałam. A ty skąd jesteś?

- Znikąd. - Wyrzucił papierosa na jezdnię.

- Każdy skądś przyszedł i dokądś zmierza.

- Nieprawda. - Trace wykrzywił usta w półśmiechu. - No dobrze, pani doktor. Jesteśmy prawie na miejscu. Chcesz jeszcze o coś zapytać?

- Nie - powiedziała, czując, że w mniemaniu Trace'a minął czas na osobiste pogaduszki.

Parking był wypełniony do połowy. Wysiedli, po czym Trace ujął rękę dziewczyny i szepnął jej do ucha:

- Postaraj się wyglądać nieco bardziej romantycznie. Jesteśmy na randce.

- Chyba rozumiesz, że mogę mieć kłopoty z udawaniem zakochanej.

Zignorował jej uwagę. Wyciągnął przewodnik z kieszeni i poinformował ją

rzeczowym głosem:

- Budowle, które mamy zamiar zwiedzić, powstały w szóstym lub siódmym wieku naszej ery. Hm, to pocieszające.

- Pocieszające?

- Minęło ponad tysiąc lat, a ludzie nie zdołali ich dotąd zniszczyć - wyjaśnił. - Masz ochotę na wspinaczkę?

Popatrzyła na niego, ale oczy Trace'a ukryte były za ciemnymi szklami.

- Chyba muszę mieć ochotę - powiedziała w końcu. Trzymając się za ręce, ruszyli wzdłuż schodów Piramidy Magów. Gillian szybko udzieliła się szczególna atmosfera tego miejsca. Mimo ściekającego po plecach potu i szybko bijącego serca, była prawdziwie poruszona widokiem kamiennych bloków, ułożonych tu niegdyś dla bóstw czczonych przez żyjących w odległych stuleciach ludzi. Gdy znaleźli się na szczycie, z przejściem patrzyła na antyczne ruiny, rozpostarte u jej stóp niczym wymarłe miasto duchów.

Przez chwilę stała nieruchomo, nic nie mówiąc.

- Czy ty to czujesz? - odezwała się wreszcie, przymykając oczy.

- Co czuję? - zapytał, chociaż znał odpowiedź. To właśnie uwięzione w starych budowlach ludzkie wspomnienia, marzenia, radości, dramaty i namiętności przyciągały go do takich miejsc. Trace - realista nigdy nie pokonał Trace'a - marzyciela.

- Czy czujesz czas. Dusze zmarłych. Życie i śmierć. Krew i łzy.

- Zdumiewasz mnie, Gillian.

Otworzyła oczy, teraz jeszcze bardziej zielone i błyszczące z zachwyty.

- Poczekaj, nie mów nic, bo popsujesz atmosferę - szepnęła. - Takie miejsca nigdy nie tracą swojej mocy. Możesz, je zrównać z ziemią, a nadal pozostaną święte.

- Czy to naukowa opinia, pani doktor?

- A jednak zamierzasz popsuć mi nastrój.

Uśmiechnął się tylko. Nic chciał jej dokuczać, chociaż instynkt podpowiadał mu, że powinien robić wszystko, byle za - j chować dzielący ich dystans.

- Byłaś kiedyś w Stonchenge? - zapytał i niemal bezwiednie ujął jej dłoń.

- Tak.

- Cudownie, prawda? Możesz stanąć w cieniu kamienia, zamknąć oczy i niemal słyszysz jakieś dawne, odległe głosy.

- Jego palce splotły się z jej palcami. - Albo w Egipcie - mówił dalej rozmarzonym głosem - dotykasz kamieni piramid i czujesz krew niewolników i wielkość królów. A na wybrzeżu wyspy Man słyszysz syreny o włosach takich jak twoje... - Dotknął końcem palców jej loków.

Gillian czuła się tak, jakby rzucono na nią jakiś czar. Nie mogła oderwać wzroku od tego twarziaka, który nagle okazał się marzycielem. Jego oczy wciąż ukryte były za szklami okularów, lecz Gillian wiedziała, że patrzą w tej chwili gdzieś daleko, w odległą przeszłość dawnych krain. Jego głos stał się miękki, hipnotyczny. Dłoń na włosach zdawała się promieniować jakimś niepokojącym ciepłem, które budziło w niej tęsknotę za nieznanym.

Niewiele myśląc, oparła się o niego. Ich ciała dopasowały się do siebie, jakby były jedną częścią rozdzieloną niegdyś na dwa kawałki i teraz na powrót połączoną.

- Daleko jeszcze, Harry? - jakiś kobiecy głos przerwał nagle głęboką ciszę. - Lepiej, żeby ten widok był tego wart. Spociałam się jak mysz.

Gillian błyskawicznie odskoczyła do tyłu, jak gdyby została przyłapana na gorącym uczynku. W tej samej chwili para w średnim wieku pokonała ostatni schodek i znalazła się na szczycie sakralnej budowli.

- No i co? Kupa kamieni - skomentowała otoczenie kobieta, zdejmując kapelusz i wachlując się nim intensywnie. - Czy musieliśmy jechać aż do Meksyku, żeby wspiąć się na kupę gruzu?

Magia tego niezwykłego miejsca prysła w jednej chwili. Kobieta wyjęła puszkę z napojem, mężczyzna zaczął majstrować przy aparacie fotograficznym.

- Młody człowieku, byłby pan tak uprzejmy i zrobiłby nam zdjęcie? - zawołał w stronę Trace'a.

- Oczywiście. - Trace wziął aparat i uśmiechnął się do turysty. Był mu w sumie wdzięczny, że uchronił go przed popełnieniem błędu. Brak koncentracji i zajmowanie się osobistymi sprawami przeszkodzi mu w wykonaniu zadania; nie dokona zemsty i nie odnajdzie rodziny Gillian. - Proszę stanąć troszeczkę bliżej. Dobrze. Teraz uśmiech. Świetnie! - Naciśnij migawkę.

- Dziękuję bardzo. - Mężczyzna odebrał aparat. - A może teraz ja wam zrobię zdjęcie?

- Czemu nie? - Trace wręczył mężczyźnie swój aparat, po czym objął Gillian w talii. - No, uśmiech, kochanie! - powiedział, czując, że dziewczyna jest sztywna jak kij.

Kiedy schodzili na dół, Trace ustawił się tak, żeby torba Gillian znalazła się między nimi. Jeszcze na szczycie piramidy widział trzech mężczyzn, którzy szli w ich stronę, a potem nagle się rozdzielili.

- Oni mogą gdzieś tu być. Uważaj - mruknął jej do ucha. Gillian szła posłusznie obok niego, chociaż w tej chwili najchętniej odsunęłaby się jak najdalej. Co się z nią stało? Dlaczego nagle straciła głowę? To na pewno ostre, meksykańskie słońce, bo przecież nie uczucia, nie napiętność...

Tak, to porażenie słoneczne. Porażenie i szczególna aura antycznej budowli tak na nią podziałały. Boże jedyny, jeszcze chwila, a pocałowałaby go jak nastolatka na pierwszej randce!

- Gillian, wróć na ziemię - znów odezwał się do niej Trace.

- To chyba nie jest najlepszy moment na marzenia. - Objął ją ramieniem i pociągnął za sobą na klasztorny dziedziniec.

- Teraz powinnaś zobaczyć rzeźby w kamieniu.

Na razie wszystko przebiegało zgodnie z planem. Trzech mężczyzn dotarło za nimi z hotelu do Uxlam, odnalazło ich i teraz zapewne szykowało się do napaści. Dziedziniec był najlepszym miejscem do ewentualnej konfrontacji - otaczały go budynki z zacienionymi krużgankami, z których liczne drzwi prowadziły do rozmaitych wewnętrznych pomieszczeń. Dzięki temu wciąż pozostawali na widoku, lecz w razie czego mieli gdzie się schować. Musieli liczyć na to, że mężczyźni się rozdziela, bowiem Trace chciał rozprawić się z każdym z osobna.

- Podoba ci się? - zapytał teraz, zgodnie z przyjętym wcześniej scenariuszem.

- Tak. Rzeźbione łuki i fasady są typowe dla architektury Majów - zaczęła recytować zdania przeczytane wcześniej w przewodniku. - Konstrukcje Puuc można rozpoznać w każdym kamieniu...

- Mhm. Bardzo dobrze - mruknął Trace. Kątem oka ujrzał, jak jeden z mężczyzn wślizguje się chyłkiem na dziedziniec. Tylko jeden. A więc rzeczywiście rozdzielili się w poszukiwaniu Gillian.

Gdy najmniej się tego spodziewała, przycisnął ją do kolumny i przejechał łączywie rękoma po jej ciele.

- Co ty robisz?!

- Czynie nieprzyzwoite propozycje - szepnął w jej ucho.

- Zrozumiałaś?

- Tak. - Wiedziała, że powinna zacząć krzyczeć i się wrywać, ale nie mogła ruszyć się z miejsca. Jego ciało było zbyt twarde, zbyt gorące, z niezrozumiałych powodów czuła się przy nim bezpieczna.

- Bardzo nieprzyzwoite propozycje, Gillian. Namawiam cię na seks, dziki seks. Tu, na dziedzińcu, albo na stole, albo w wannie pełnej bitej śmietany...

- To nie jest nieprzyzwoite, tylko żalodne - odparła, po czym krzyknęła głośno: - Ty świni! - i zamachnęła się z całej siły, by uderzyć go w policzek. - To, że zgodziłam się na przejażdżkę, nie oznacza, że zamierzam spędzić z tobą noc!

Trace zmrużył oczy i przejechał dłonią po policzku. Za mocno mu przyłożyła, ale o tym porozmawiają później.

- W porządku, złotko - rzucił. - Może więc sama wrócisz do Merida? Mam ciekawsze rzeczy do roboty niż marnowanie czasu dla jakiegoś cnotliwego chudzielca!

Odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając ją samą. Po drodze minął mężczyznę, który ostentacyjnie wpatrywał się w jeden z łuków.

Gillian przygryzła język, aby nie zawołać za Tracem. Zapytał ją wcześniej, jak z jej odwagą, i teraz musiała przyznać sama przed sobą, że ma jej mniej, niż sądziła. Ręce jej drżały, serce biło niespokojnie. Na szczęście, nie musiała czekać zbyt długo.

- Dobrze się pani czuje?

To był on. Bez trudu rozpoznała głos, który słyszała wcześniej na taśmie Flynna. Odwróciła się, mając nadzieję, że jej rozbiegane spojrzenie i drżące dłonie zostaną złożone na karb zdenerwowania po nieprzyjemnym incydencie.

- Tak, dziękuję - odparła.

Mężczyzna był niewiele wyższy od niej, miał oliwkową cerę i zadziwiająco przyjazną twarz. Gillian zmusiła się do uśmiechu.

- Niestety, mój towarzysz nie był zainteresowany architekturą Majów, lecz czymś bardziej przyziemnym.

- I co? Zostawił panią? Może ja mógłbym panią odwiedzić?

- To bardzo miło z pana strony, ale... - Nie zdążyła dokończyć, bowiem w tym samym momencie mężczyzna objął ją mocno, przygarnął do siebie i ukłął lekko nożem tuż nad talią.

- Nic ma żadnych „ale”, doktor Fitzpatrick. Tak po prostu będzie najlepiej.

Nie musiała nawet udawać strachu, gdyż przeraziła się naprawdę. Cały czas starała się pamiętać o poleceniach Trace'a - nie ruszać się z miejsca; nie ruszać się z miejsca jak najdłużej, aby Trace zdążył odnaleźć dwóch pozostałych i wyrównać siły.

- Co pan robi? - oburzyła się. - Nie rozumiem... o co panu chodzi.

- Wszystko wyjaśnimy na miejscu. Brat przesyła pani pozdrowienia.

- Flynn? - Nie zważając na nóż, Gillian chwyciła mężczyznę za koszulę. - Macie Flynnna i Caitlin? Proszę mi powiedzieć, czy są cali i zdrowi? Proszę!

- Mają się dobrze. I nic im się nie stanie, dopóki grzecznie będziemy współpracować. A teraz idziemy. - Pchnął ją lekko przed siebie.

- Dokąd? Dam wam, co zechcecie, jeśli tylko ich nie skrzywdzicie. Mam pieniądze. Ile...?

- Nie interesują nas pieniądze. - Szturchnął ją nożem. - Szukamy pewnych notatek.

- Wiem. Mam je. Mam je przy sobie. - Potrząsnęła torbą.

- Proszę, weźcie wszystko, ale nie krzywdźcie mojej rodziny.

- Spokojnie, pani Fitzpatrick. Wykazuje pani większą chęć współpracy niż pani brat. To dobrze. Bardzo dobrze...

- Ale gdzie on jest? Proszę mi powiedzieć, gdzie go przetrzymujecie.

- Wkrótce się zobaczycie, panienko. A potem długo będziecie razem. Bardzo długo. Może nawet na zawsze?

Trace odnalazł drugiego mężczyznę za Pałacem Gubernatora. Przeszedł obok niego, naciskając migawkę aparatu, po czym chwycił go za głowę i przycisnął mu twarz do jednego z dwudziestu tysięcy rzeźbionych kamieni.

- Fascynujące, prawda? - zapytał i błyskawicznie założył blokadę na jego łokieć. -

Jeśli zamierzasz używać jeszcze kiedyś tej ręki, to się nie rozglądaj. Załatwmy to szybko, póki jesteśmy sami. Gdzie trzymacie Flynna Fitzpatricka?

- Nie znam żadnego Flynna Fitzpatricka. - Trace wykręcił mocniej rękę mężczyzny.

- Marnujesz mój czas. - Rozejrzał się szybko i wyciągnął z kieszeni myśliwski nóż. Przystawił ostrze do nasady ucha mężczyzny. - Słyszałeś kiedyś o van Goghu? Odcięcie ucha zajmie kilka sekund. Nie umrzesz - chyba że wykrwawisz się na śmierć. Zaczynamy od początku. Flynn Fitzpatrick.

- Nie powiedzieli, dokąd go zabierają. - Ostrze dotknęło miękkiej skóry. - Przysięgam! Mieliśmy tylko... zawieźć go i tę małą na lotnisko i tam ich przekazać. Potem... wysłano nas po kobietę... siostrę.

- Co mieliście z nią zrobić?

- Dostarczyć prywatnym samolotem na lotnisko w Cancun.

- Co dalej?

- Nie... nie wiem.

- Kto zabił Forreстера?

- Abdul.

Czas naglił, więc Trace musiał odmówić sobie przyjemności patrzenia na cierpienia mężczyzny. Odezwał się do niego uprzejmym głosem:

- Dobrze, przyjacielu, teraz prześpij się trochę - po czym huknął jego głową o kamień i ułożył go pod ścianą.

Gdzie on jest, zastanawiała się Gillian, idąc w stronę białego samochodu porywaczy. Jeśli wkrótce się nie zjawi, odjadą do... Boże, nawet nic wiedziała dokąd!

- Dokąd mnie zabieracie? - spytała żałośnie. - Zaraz zemdleję. Muszę chwilę odpocząć.

Kiedy oparła się o samochód, blada i wiotka, mężczyzna poczuł się pewniej i odsunął od niej nóż.

- Odpoczniesz w samochodzie.

- Zwymiotuję!

Napastnik jęknął z obrzydzeniem i pociągnął ją za włosy, by siłą wcisnąć do

rozgrzanego samochodu, lecz w tej samej chwili potężny cios Trace'a odrzucił go do tyłu.

- Może to i jędba - odezwał się łagodnie do porywacza - ale nie mogę patrzeć, jak stosuje się przemoc wobec kobiet. Złotko, ja chciałem tylko zobaczyć cię nago. Żadnej przemocy.

Gillian upuściła torebkę i uciekła.

- No proszę. Niczego nie umie docenić. - Trace uśmiechnął się szeroko do mężczyzny, który właśnie pluł krwią. - Następnym razem życzę więcej szczęścia, amigo!

Jednak napastnik nie chciał dać za wygraną. Zaklął po arabsku, dźwignął się na nogi i wyciągnął z kieszeni nóż. Trace miał ogromną ochotę zrobić to samo - wyjąć swój i stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, który zabił jego najlepszego przyjaciela. Nic był to jednak ani właściwy czas, ani właściwe miejsce. Niepotrzebna mu była płotka, lecz człowiek, który wydał rozkaz. Wpatrując się w ostrze, podniósł więc ręce do góry i cofnął się o krok.

- No dobrze, dobrze. Słuchaj, jeśli o mnie chodzi, możesz ją sobie wziąć. Wszystkie kobiety są takie same.

Mężczyzna napluł na jego buty. Trace pochylił się, jakby chciał je wyczyścić, kiedy zaś się podniósł, trzymał już w dłoni pistolet.

- Abdul, tak? - Wbił wściekły wzrok w napastnika. - Zająłem się już twoimi przyjaciółmi, teraz mógłbym zająć się tobą. Ale nie strzelę ci w głowę, z jednego tylko powodu - chcę, żebyś przekazał wiadomość swojemu szefowi. Powiedz, że Il Gatto wkrótce złoży mu wizytę. - Uśmiechnął się, widząc przerażony wzrok tamtego. - Widzę, że znasz to imię. To dobrze, chcę, żebyś wiedział, kto cię zabije. Przekaż tę wiadomość, Abdul, i pozalatawaj swoje sprawy. Niewiele czasu ci zostało.

Abdul wciąż trzymał w dłoni nóż, ale zdawał sobie sprawę, że kula jest szybsza niż cios ostrzem. Wiedział też, że Il Gatto jest szybszy niż wszyscy strzelcy.

- Szczęście opuści Il Gatto, tak samo jak jego pana - powiedział.

- Tak, ale ciebie może opuścić szybciej. - Trace wycelował broń wprost w szyję Araba. - Zaczynasz się pocić, Abdul. Lepiej już jedź.

Począł, aż mężczyzna usiadł za kierownicą i odjedzie, po czym opuścił pistolet i włożył go do ukrytej na tyłce kabury. Mało brakowało, pomyślał. Omal nie dokonał zemsty tutaj, na miejscu. Na szczęście się opanował. Zemsta będzie słodsza, gdy dokona jej z zimną

krwią i jasnym umysłem.

Usłyszał za sobą kroki i odwrócił się szybko. Przed nim stała Gillian.

Gillian widziała już to spojrzenie - patrzył tak wtedy, gdy poinformowała go, że Forrester został zamordowany. Widziała je również, gdy Abdul gwałtownie pociągnął ją za włosy. Mimo to znowu poczuła dreszcz strachu.

- Mówiłem, żebyś wmieszała się w tłum.

- Tak, ale... - urwała. Zabrziałoby głupio, gdyby powiedziała, że nie odchodziła zbyt daleko, na wypadek gdyby potrzebował jej pomocy. - Nie wiedziałam, czy masz broń.

- Sądziłaś, że uwolnię twego brata drogą negocjacji? To nie rozmowy rozbrojeniowe.

- Wiem. - Nie mogła teraz spojrzeć mu w oczy. Trace za każdym razem był inny i to ją onieśmiało. Nie lubiła szorstkiego, brudnego, zmęczonego życiem faceta, którego spotkała w knajpie. Prawic lubiła pewnego siebie mężczyznę, z którym jadła śniadanie. Jednakże ten nieznajomy o nieustępliwym spojrzeniu, który niósł śmierć swoim wrogom, był dla niej istotą przerażającą i niepojętą. - Czy ty... czy tych dwóch...?

- Czy ich zabiłem? - dokończył, po czym wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę parkingu. - Nie, czasem lepiej zostawić kogoś przy życiu, zwłaszcza jeśli wiadomo, że to życie będzie dla niego piekłem. Niewiele udało mi się z nich wydobyć. Zostawili brata i małą na lotnisku, a potem ruszyli po ciebie. Nie wiedzą, gdzie jest Flynn.

- Skąd wiesz, że powiedzieli prawdę?

- Ponieważ to tylko płotki. Zbyt głupie na to, żeby kłamać, zwłaszcza jeśli wiedzą, że mogą zostać pokrojone na kawałki.

- Więc jak ich znajdziemy?

- Mam pewien pomysł. Muszę tylko znaleźć dla ciebie jakąś bezpieczną kryjówkę.

- A ty? - Stała naprzeciwko samochodu. Jej twarz lśniła od potu, ale nie była już blada.

- Pogadamy o tym później. Teraz mam ochotę się napić.

- Dopóki pracujesz dla mnie, będziesz pił mało albo wcale. Trace zaklął, ale pogodniej, niż się spodziewała.

- Wymień mi dziesięciu Irlandczyków, którzy mało piją - zażądał.

- Po pierwsze ty. - Odwróciła się, aby usiąść w fotelu dla pasażera, nie zdążyła jednak zająć miejsca, bowiem Trace znowu zaklął i wyrwał jej koszulę zza paska spodni. - Co ty robisz?!

- Krwawisz, Jill. - Zanim zdążyła zaprotestować, opuścił jej spodnie, tak że odsłoniło się biodro. Rana nie była głęboka, lecz dość długa. Krew zdążyła już przesiąknąć na koszulę.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że cię zranił?

- Nie zdawałam sobie z tego sprawy. - Pochyliła głowę, aby przyjrzeć się ranie. - Chciałam, żeby zwolnił i potknęłam się, a wtedy mnie dźgnął, żebym szła szybciej. Już zasycha.

- Zamknij się. - Niemal siłą wepchnął ją do jeepa, po czym otworzył schowek. - Nie ruszaj się - polecił, wyjmując apteczkę. - Mówiłem ci, żebyś nie ryzykowała, do jasnej cholery!

- Ja tylko... Trace! Na litość boską! To boli bardziej niż rana!

- Cicho! Muszę ją oczyścić. - Przemysł skaleczenie szybko i niezbyt delikatnie, a potem wprawnie zabandażował.

- Brawo, panie doktorze - powiedziała Gillian z przekąsem i prawie się uśmiechnęła, widząc jego rozgniewane spojrzenie. - Nie spodziewałam się, że mężczyzna tak silnie zareaguje na widok krwi. Gotowa byłabym się założyć, że...

Nie dokończyła zaczętego zdania. Trace przywarł nagle wargami do jej ust, a ona całkiem straciła głowę. Była oszołomiona, nie mogła się poruszyć, czuła jego usta, twarde i głodne, które nie prosiły, lecz brały, i ogarniało ją coraz większe pożądanie, coraz silniejsza rozkosz.

Nie miała pojęcia, dlaczego to zrobił, ale Trace też tego nie wiedział. Jego usta znalazły się na jej wargach, zanim w ogóle zdołał o tym pomyśleć. Przestraszył się, kiedy zobaczył jej krew, i natychmiast zapragnął przytulić ją i pocieszyć. Zwalczył w sobie to pragnienie niedelikatnymi ruchami i wydawaniem poleceń, ale dlaczego, do licha, ją pocałował?

Gdy jednak usta Gillian rozchyliły się z rozkosznym westchnieniem, przestał zadawać sobie jakiegokolwiek pytania. Ta kobieta pachniała łąką i polnymi kwiatami, promieniami słońca odbijającymi się w porannej mgle. Już wcześniej to spostrzegł, a teraz odnalazł znajome wrażenia. Dom... Pachniała też domem i sprawiała, że pragnął się znaleźć w jakimś

zaczynnym, bezpiecznym, przytulnym miejscu. Z nią, z Gillian.

Nie odsuwała się od niego. Przeciwnie - uniosła dłoń do jego twarzy, pogłaskała go po policzku, polem po piersi, wreszcie ułożyła ją na jego sercu. Musiała słyszeć, jak gwałtownie bije. Jej biło tak samo mocno.

Kiedy w końcu Trace oderwał się od niej, odwrócił szybko wzrok i usiadł za kierownicą.

- Mówiłem ci, żebyś się zamknęła - powiedział tylko i uruchomił silnik.

Gillian chciała coś powiedzieć, ostatecznie jednak zamilkła. Może tym razem rzeczywiście powinna go usłuchać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Trace od dobrych paru minut wpatrywał się intensywnie w wypełnioną piwem szklankę. Doszedł do wniosku, że jeśli Abdul jest wystarczająco bystry, wiadomość zostanie przekazana komu trzeba jeszcze przed zapadnięciem nocy. Jeśli zaś tak, to powinni opuścić Meksyk przed upływem najbliższej godziny. Pomyślał o ciepłych wodach Morza Karaibskiego, po czym sięgnął po słuchawkę.

- Zrób coś pożytecznego, złotko, i spakuj swoje rzeczy - zawołał do Gillian, która stała przy oknie.

- Mam imię. Gillian - przypomniała mu.

- Dobra, ale wrzuć rzeczy do walizki. Wymeldujemy się, kiedy... Rory? Jak się masz? To ja, Colin.

Gillian ze zdumieniem uniosła brwi. W połowie zdania Trace zdołał zmienić akcent z amerykańskiego na irlandzki, dla rozmówcy po drugiej stronie słuchawki stając się Colinem.

- Ja? Dobrze - prowadził dalej swoją rozmowę. - A jak tam Bridget? No nie. Znowu? Boże, Rory, chcecie we dwójkę zaludnić całą Irlandię? - Słuchał przez chwilę jakichś dłuższych wyjaśnień, kiedy zaś napotkał jej wzrok, wskazał Gillian szafkę, w której były jego rzeczy. Zdaje się, że je też miała spakować. - Cieszę się, Colin, miło mi to słyszeć... Kiedy wrócę? Nie wiem... Nic, nie mam żadnych kłopotów, zastanawiałem się tylko, czy nie oddałbyś mi pewnej przysługi... Świetnie, to posłuchaj. Chodzi mi o samolot, najprawdopodobniej prywatny, który odleciał z Cork jakieś dziesięć dni temu. Nie chcę, żebyś pytał, kto był na pokładzie, rozumiesz? Pokręć się tam trochę, dowiedz się, dokąd odleciał... Jeśli się nic uda, sprawdź, jaki miał zapas paliwa i gdzie mógł ewentualnie go uzupełnić... Jakoś się zorientuję. Tak, dosyć ważne. Nie... - roześmiał się. - to nie ma nic wspólnego z IRA. To sprawa osobista... Teraz trochę podróżuję. Okay, odezwę się do ciebie. Ucałuj ode mnie Bridget, ale nic rób nic więcej. Nie zamierzam brać odpowiedzialności za kolejne dziecko.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na stertę pogniecionych ubrań, piętrzących się w walizce.

- Dobra robota, Jill.

- O co chodziło z tym Colinem?

- O to, żeby dowiedzieć się, gdzie jest twój brat. Wrzuc tu też swoje rzeczy. Później kupimy ci nową walizkę.

- A skąd ten akcent i fałszywe imię? Ten człowiek to twój przyjaciel?

- Zgadza się. - Trace poszedł pozbierać resztę rzeczy z łazienki.

- Skoro przyjaciel, to czemu nie wic, kim naprawdę jesteś? - Trace podniósł wzrok i ujrzał w lustrze swoje odbicie swoją twarz, swoje oczy. Dlaczego tak często nic mógł siebie samego rozpoznać? Wrzucił do torby podróżnej pastę do zębów i butelkę aspiryny.

- Podczas pracy nie używam prawdziwego nazwiska - wyjaśnił cicho.

- Ale zameldowałeś się jako Trace O'Hurley.

- Bo jestem na wakacjach.

- No ale skoro to twój przyjaciel, to czemu go okłamujesz? - Trace podniósł maszynkę do golenia i zanim wrzucił ją do torby, dokładnie przyjrzał się ostrzu.

- Kilka lat temu ten dzieciak wplątał się w poważne kłopoty - odparł. - Strzelanina.

- Czy dlatego wspominałeś o IRA?

- Wiesz co, Jill, zadajesz zbyt wiele pytań. - Pochylił się nad torbą i energicznie zasunął suwak.

- Powierzam ci najcenniejsze dla siebie sprawy. Będę pytać.

- Dobrze, więc odpowiadam, że kiedy go spotkałem, wykonywałem pewne zlecenie jako Colin Sweency.

- I tak zostało? To musi być bardzo dobry przyjaciel, skoro zgadza się oddawać ci tego rodzaju przysługi bez zadawania dodatkowych pytań.

Trace ocalił życie chłopaka ale nie chciał teraz o tym myśleć. Niektórych ratował, innym odbierał życie - taka praca.

- Zgadza się - powiedział tylko. - Możemy już skończyć pakowanie i wynieść się stąd, zanim ktoś zechce złożyć nam wizyta.

- Zaraz. Mam jeszcze jedno pytanie.

- Wcale nie jestem zdziwiony.

- Jakie imię wymieniłeś dzisiaj przy tamtym człowieku? Tym ostatnim...

- To pseudonim. Posługiwałem się nim kilka lat temu we Włoszech. - Zrobił krok do przodu, ale Gillian nie odsunęła się od drzwi.

- Dlaczego go użyłeś? - nalegała.

- Bo chciałem, aby ten, kto wydaje rozkazy, wiedział, kogo ma się spodziewać. - Odsunął ją, po czym sięgnął po torbę. - Chodźmy.

- A co oznacza ten pseudonim?

Trace podszedł do drzwi, otworzył je, po czym odwrócił się do Gillian. W jego oczach znowu pojawił się ten niebezpieczny a zarazem fascynujący wyraz.

- Kot - powiedział powoli. - Po prostu kot.

Wiedział, że któregoś dnia wróci do Stanów. Bywało, że w dżungli, na pustyni czy w jakimś zapomnianym przez Boga miasteczku wyobrażał to sobie - oto wraca syn marnotrawny, grzmią trąby, śpiewają chóry, płoną pochodnie...

Cóż, pochodził przecież z rodziny komediantów.

Przy innych okazjach wyobrażał sobie, że powróci po cichu, bez rozgłosu, tak samo jak odszedł. W końcu przez tyle lat wszystko się zmieniło. Siostry, za którymi tęsknił czasami tak mocno, że rezerwował lot do Stanów, by odwołać go w ostatniej chwili, były teraz dorosłymi kobietami i miały własne życie. On jednak wciąż pamiętał je takie, jakimi zobaczył je po raz pierwszy: trzy małe niemowlęta, urodzone jedno po drugim i tkwiące za szklanymi ścianami inkubatorów.

Między siostrami istniała silna więź, co było naturalne w przypadku trojaczek, lecz także i on nigdy nie czuł się wyłączony z rodzinnego stadła. Podróżowali przecież razem od chwili, gdy urodziły się dziewczęta, aż do momentu, gdy Trace wyszedł któregoś wieczora na drogę, uniósł do góry kciuk i złapał okazję na autostradzie za „Terre Haute”.

Od tamtego czasu widział je tylko raz, ale śledził ich losy, podobnie jak losy rodziców.

Ich rodzinna trupa nigdy nie osiągnęła większego sukcesu, ale jakoś dawała sobie radę. Zazwyczaj występowali przez trzydzieści tygodni w roku. Finansowo także nieźle im się powodziło, co zawdzięczali matce Trace'a, która zawsze umiała zrobić dziesięć dolarów z pięciu.

Trace był pewien, że to właśnie ona upchnęła w jego walizce sto dolarów w pięciu - i

dziesięciodolarowych banknotach. Wiedziała, że odejdzie. Nie płakała, nie pouczała go i nie błagała, aby został, tylko zrobiła wszystko, aby ułatwić mu rozstanie. Taka właśnie była jego kochana mama.

Ale ojciec... Trace przymknął oczy, gdy samolot zakołysał się pod wpływem turbulencji. Ojciec nigdy, przenigdy mu nie wybaczył.

Nigdy też nie zrozumiał tego, że Trace musiał znaleźć swoje życie, swój świat, coś innego, coś nowego poza kolejnym przedstawieniem.

Gdy Trace powrócił, jeden jedyny raz, licząc na to, że może uda mu się jakoś pojednać z ojcem, Frank powitał go z urazą i dezaprobatą.

- Więc wróciłeś - powiedział, stojąc na środku maleńkiej garderoby, którą dzielił z żoną. - Minęły trzy lata, odkąd odszedłeś, a napisałeś tylko parę listów. Powiedziałem ci na odchodnym, że nie będzie cięcia i uczyły na powitanie.

- Nie spodziewałem się tego. - Z zakłopotaniem przeczesał gęstą brodę, którą musiał zapuścić wówczas dla potrzeb pewnego zadania. Przywiodło go ono do Paryża, gdzie zdołał rozbić międzynarodową szajkę fałszerzy sztuki. - Są urodziny mamy, więc pomyślałem... Chciałem po prostu ją zobaczyć. - I ciebie też, chciał powiedzieć, ale nie przeszło mu to przez usta.

- A potem znowu uciec, aby wylała jeszcze więcej łez?

- Ona rozumie, czemu odszedłem.

- Złamałeś jej serce, synu. I nic zranisz go więcej. Albo jesteś jej synem, albo nie.

- Albo takim synem, jakiego ty pragniesz, albo nikim - poprawił Trace i zrobił krok do przodu. - Wciąż nie obchodzi cię, co ja czuję, czego potrzebuję i kim naprawdę jestem.

- Nie masz pojęcia o tym, co mnie obchodzi. Nigdy nie miałeś. - Frank przełknął ślinę przez ściśnięte gardło. Był w fatalnym nastroju, zagubił gdzieś swoje marzenia, swoją radość, zapał i entuzjazm. Czuł się teraz, podrzędnym tancerzem w podrzędnej speluncie, który najlepsze lata dawno ma za sobą. - Ostatnim razem, kiedy cię widziałem, powiedziałeś, że to, co dla ciebie robię, ci nie wystarcza. I że nigdy nic będzie wystarczać. Mężczyzna nie zapomina takich słów w ustach własnego syna.

Trace miał wtedy dwadzieścia trzy lata. Sypiał z dziewczynkami w Bangkoku, upijał się do nieprzytomności w Atenach, miał osiem szwów na prawym ramieniu od ciosu nożem. A

jednak poczuł się w tamtej chwili jak dziecko skarcone bez powodu.

- To chyba jedyna rzecz, jaką ci powiedziałem, a która do ciebie dotarła - odparł. - Nic się nie zmieniło, tato. I nigdy się nie zmieni.

- Cóż, wybrałeś swoją drogę. Trace. Radź sobie najlepiej, jak potrafisz. Tylko miej tyle przyzwoitości, aby tym razem pożegnać się z matką.

Syn nie wiedział, jak bardzo ojciec pragnie otworzyć swe ramiona i odzyskać to, co jak sądził, utracił na zawsze. Nie mógł jednak tego zrobić: Bał się, że Trace odtrąci go, odwróci się i odejdzie.

I choć Frank miał oczy pełne łez, to właśnie on się odwrócił. Trace zaś wyszedł z garderoby, aby nigdy już nie wrócić.

Teraz otworzył oczy i ujrzał, że Gillian wpatruje się w niego uważnie. W krótkiej, ciemnej peruce, którą kazał jej nosić, wyglądała zupełnie inaczej - prawdę mówiąc, gorzej. Dobrze chociaż, że przesiała wreszcie na nią narzekać, podobnie jak na okulary i bezkształtną, ciemnobrązową sukienkę. Wyglądała w tym wszystkim wyjątkowo nieciekawie, jednak Trace wiedział, co kryje się pod przebraniem, i nic mógł o tym zapomnieć. W każdym razie Gillian wtopiła się w otoczenie, a tego właśnie pragnął.

Za bilety na samolot zapłacił w San Diego, posługując się kartą kredytową na jeden z pseudonimów. Po przesiadce w Dallas zmienił strój. Teraz, gdy lecieli do Chicago, wyglądali jak para zmęczonych turystów, którym nie warto poświęcić dwóch spojrzeń.

- O co chodzi? - zapytał.

- Mogłabym cię spytać o to samo - odparła. - Zrobiłeś się markotny, odkąd weszliśmy na pokład.

Trace wyciągnął papierosa i zaczął obracać go w dłoniach.

- Markotny?

- Owszem. Poza tym patrzysz na mnie tak, jak gdybyś miał zamiar mnie zabić za każde następne słowo - Założyłam przecież tę perukę, prawda? I tę supermodną sukienkę.

- Świetnie w niej wyglądasz.

- Daj spokój. Trace. Skoro to nie moje przebranie cię martwi, to co?

- Nic - warknął przez zęby - Daj mi po prostu spokój. Gillian powstrzymała się od złośliwej uwagi i upiła trochę wina, które podała jej - ze współczującym uśmiechem -

stewardessa.

- Jeśli jest jakiś kłopot - zaczęła znowu - coś, czym powinnam się przejmować, to byłabym wdzięczna, gdybyś mnie o tym poinformował.

- Boże, zawsze jesteś taka marudna?

- Tylko wtedy, kiedy trzeba. Tu chodzi o życie mojego brata. Jeśli czymś się martwisz, powinnam o tym wiedzieć.

- To sprawa osobista. - Trace rozłożył fotel i ponownie zamknął oczy.

- Teraz nie ma spraw osobistych. To, jak się czujesz, może wpłynąć na twoją skuteczność. Uważam się za twojego pracodawcę i zabraniam ci skrywać przede mną swoje sekrety.

Trace otworzył jedno oko.

- Będziesz pierwsza, która zgłasza jakieś reklamacje, złotko. Nie martw się, po prostu dawno mnie tu nie było. Nawet ktoś taki jak ja może mieć swoje sentymenty, a jakie, to już moja prywatna sprawa.

- Rozumiem. - Gillian odetchnęła głęboko. - Przepraszam, ale nie mogę teraz myśleć o niczym innym niż tylko o Flynnie i Caitlin. - Spojrzała na niego jeszcze raz. - Czy Chicago - zapytała nieśmiało - to dla ciebie jakieś wyjątkowo ważne miejsce?

- Można tak powiedzieć. Grałem tu, gdy miałem dwanaście lat, no i później, w wieku lat szesnastu.

- Grałem?

- E, takie tam dziecięce zajęcia... - Machnął z lekceważeniem ręką. - Poza tym kilka lat temu spędziłem w Chicago kilka dni z Charliem Forresterem. Ostatnim widzianym przeze mnie miejscem w Stanach było to lotnisko.

- A teraz będzie pierwszym. - Gillian trzymała na kolanach kolorowy magazyn, ale zamiast go otworzyć, wodziła tylko palcem wzdłuż krawędzi. - Ja w ogóle nie widziałam Stanów, z wyjątkiem Nowego Jorku. Zawsze jednak chciałam je zwiedzić. Dwa lata temu, zaraz po śmierci maiki Caitlin, Flynn zabrał córkę i przylecieli do mnie z wizytą. Weszliśmy do Empire State Building, byliśmy w Centrum Rockefellera, wypiliśmy herbatę w hotelu „Plaza”. Flynn kupił małej nakręcanego pieska od ulicznego handlarza. Co noc kładła się spać z tym pieskiem... - Wspomnienia wywołały nową falę wzruszeń. Gillian przycisnęła dłonie do

twarzy. - Boże... ona ma dopiero sześć lat...

Trace od wielu lat nie miał okazji pocieszać żadnej kobiety, nie zapomniał jednak, jak się to robi.

- Spokojnie, Jill - powiedział miękko i objął ją ramieniem. - Wszystko będzie dobrze. Nie zrobią jej krzywdy. Za bardzo zależy im na współpracy.

- Ale jeśli na zawsze zostanie jej uraz? Przecież musi być przerażona. Może trzymają ją po ciemku? A ona nadal boi się sypiać w ciemności. Myślisz, że dali jej jakąś lampę?

- Na pewno. - Pogłaskał ją delikatnie po głowie. - Nic jej nie będzie, Gillian.

- Przepraszam - wychlipała. - Naprawdę nie chcę robić z siebie idiotki.

- Wiem. Nie krępuj się. Nie mam nic przeciwko temu. Gillian roześmiała się przez łzy i sięgnęła po chusteczkę.

- Postaram się o niej tak dużo nie myśleć - obiecała. - Skupię się tylko na Flynnie. On jest silny, zaradny...

- I jest z małą - dodał. - Zajmie się nią.

- Tak, zajmą się sobą nawzajem. Uratujemy ich, prawda? W tej rozgrywce nie było miejsca na łatwe obietnice i Trace dobrze o tym wiedział. Jednakże Gillian patrzyła na niego takim błagalnym wzrokiem i z tak rozpaczliwym zaufaniem, że nie miał wyboru.

- Oczywiście, że tak - zapewnił ją. - Czy Charlie nie mówił ci, że jestem najlepszy?

- Mówił. - Gillian odetchnęła. Spokój na chwilę powrócił, ale nie była wcale pewna, czy wkrótce znowu go nie utraci.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie - zaproponowała, żeby odwrócić uwagę od bolesnych rozważań i przypuszczeń. - Masz rodzeństwo, braci?

- Nie. - Cofnął rękę z jej ramienia, choć czuł, że wcale nie ma na to ochoty. - Siostry.

- Ile?

- Trzy.

- Musiałeś mieć z nimi interesujące dzieciństwo.

- Były w porządku. - Zapalił papierosa. - Chantel była zawsze czarną owcą.

- W każdej rodzinie musi być jakaś czarna owca... - zaczęła Gillian, lecz nagle dotarł

do niej sens usłyszanych słów.

- Powiedziałeś Chantel? Chantel O'Hurley? Czy Chantel O'Hurley to twoja siostra? O rany, widziałam jej filmy. Jest wspaniała!

Trace poczuł, jak rozpiera go duma.

- Jest w porządku - przyznał. - Zawsze miała talent.

- Nie tylko talent. To najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałam.

- Taka rodzina.

- A więc Maddy O'Hurley to także twoja siostrą! - Oszołomiona Gillian potrząsnęła głową. - Kilka miesięcy temu widziałam ją na Broadwayu. To prawdziwa bomba, iskra, żywy ogień. Wręcz rozpala scenę.

- Nominowano ją do nagrody recenzentów.

- Zasłużyła na nią. Kiedy zaczęła śpiewać pod koniec pierwszego aktu, publiczność urządziła jej owację na stojąco. Powinieneś był to widzieć... - Słowa uwięzły jej w gardle, kiedy uświadomiła sobie, że rzeczywiście powinien był widzieć, lecz z jakichś nieznanych jej jeszcze powodów nie widział na scenie swojej rodzonej siostry. - A twoja trzecia siostra? - zapyłała dyplomatycznie.

- Hoduje konie w Wirginii. - Trace zgasił niedopałek, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego dał się wciągnąć w tę rozmowę.

- Chyba też o niej czytałam. Niedawno wyszła za Dylana Crosby'go, tego pisarza, prawda? Pisali o tym w „Timesie”. No tak, trojaczki. Twoje siostry to trojaczki.

- Myślałem, że naukowcy nie mają czasu na czytanie plotkarskich pisemek.

Gillian uniosła brwi, ale postanowiła, że się nic obrazi. Przynajmniej dopóki nie dowie się wszystkiego, co ją interesuje.

- Nie ślęcę cały czas w laboratorium - wyjaśniła z godnością. - A w tym artykule napisali, że trojaczki dorastały, podróżując z występami po kraju. Twój rodzice podobno wciąż to robią. Nie przypominam sobie tylko, żeby pisali tam coś o tobie.

- Minęło trochę czasu...

- A więc wcześniej z nimi występowałeś? - Uśmiechnęła się, poruszona tym przypuszczeniem. - Śpiewałeś, tańczyłeś i żyłeś od występu do występu?

- Jak na naukowca przejawiasz zbytne skłonności do idealizowania rzeczy przyziemnych, Gillian. To tak jakbyś szła do cyrku i widziała jedynie kolorowe światła i błyszczące stroje, Tymczasem za kurtyną jest smród i smutne zwierzęta w klatkach.

- A więc jednak z nimi jeździłeś. - Nie przestawała się uśmiechać. - W czym się specjalizowałeś?

- Boże, chroń mnie od podróży z wścibskimi kobietami. Nic było mnie w kraju przez dwanaście lat. - Ze złością zapiął pas, widząc, że samolot zniża się do lądowania. - Wolę myśleć o dniu dzisiejszym.

- Kiedy byłam małą, też chciałam być piosenkarką. - Gillian zapięła swój pas. - Wyobrażałam sobie siebie w świetle reflektorów. A potem - westchnęła - zanim zdążyłam się zorientować, zostałam asystentką mojego ojca. Dziwne, prawda? Nasi rodzice chcą decydować o naszym losie, jeszcze zanim przyjdziemy na świat.

Dom Charliego Forreстера znajdował się za wysoką na półtora metra bramą i był wyposażony w skomplikowany system alarmowy. Trzeba było nacisnąć kilkanaście kolejnych guzików, żeby dostać się do środka. Trace pamiętał sekwencję cyfr i liczb, które tworzyły kod, toteż wystukał je szybko i ciężka brama otworzyła się bezszelestnie.

Odkąd opuścili lotnisko, nie odezwał się ani słowem, nawet wówczas, kiedy sprawdzał, czy nikt ich nie śledzi. Gillian nie zadawała mu żadnych pytań. Czowała, że to jakiś nostalgiczny smutek jest przyczyną jego milczenia, i wiedziała, że Trace sam musi sobie z nim poradzić.

Drzewa traciły już liście, ale uparcie nie zrzucały ich do końca. Pomiedzy gałęziami hulał wiatr - nadciągała zima. Dom nie wyglądał na opuszczony, raczej tak, jak gdyby czekał na nowego lokatora. Pomyślała o uprzejmym mężczyźnie, który przyjął ją tutaj kiedyś, wysłuchał jej, poczęstował kieliszkiem brandy i wlał w serce otuchę.

- Miał fioła na punkcie tego miejsca - mruknął Trace. Wyłączył silnik i wpatrywał się teraz w bezruchu w masywną fasadę budynku. - Ilekroć był z dala od niego, wciąż gadał o powrocie. Myślę, że chciał tu umrzeć. - Siedział tak jeszcze chwilę, po czym zdecydowanym ruchem otworzył drzwi. - Chodźmy.

Miał klucze. Charlie mu kiedyś je podarował.

W holu było ciemno, lecz Trace nie włączył światła. Dobrnę pamiętał drogę, a tak naprawdę nie miał serca, żeby patrzeć na rzeczy, które kiedyś należały do Charliego.

Zaprowadził Gillian do biblioteki, usadził na obitym skórą fotelu. Ogrzewanie nie działało, bo też nie było już tu nikogo, kto potrzebowałby ciepła.

- Zaczekaj - powiedział.

- A ty? Dokąd idziesz?

- Powiedziałem ci, że chcę tu przyjść, aby dowiedzieć się, dokąd zabrali twojego brata. I dowiem się tego. Zaczekaj.

- A ja powiedziałam, że chcę brać udział we wszystkim, co może mieć coś wspólnego z Flynnem. Poza tym mogę się przydać.

- Jeśli będę potrzebował pomocy naukowca, dam ci znać. Zaczekaj - powtórzył po raz trzeci. - Poczytaj sobie coś.

- Nie zostanę tu sama.

Trace zrobił krok ku drzwiom, lecz ona natychmiast ruszyła za nim.

- Posłuchaj, istnieje coś takiego jak tajemnica państwowa - przypomniał jej. - Ja i Charlie mieliśmy do nich dostęp. Nie możesz wszędzie wtykać swego nosa, Gillian. I tak naginamy przepisy.

- No to nagnijmy je jeszcze trochę. - Ujęła go pod ramię.

- Nie interesują mnie państwowe tajemnice ani międzynarodowe afery. Chcę tylko wiedzieć, gdzie jest mój brat. Nie zapominaj też, że pracowałam nad czymś, co miało strategiczne znaczenie dla losów tego kraju.

- Wiara. Ale jeśli będziesz się wtrącała, to sprawa zajmie nam dużo więcej czasu.

- Nic sędzę - powiedziała spokojnie.

- Dobrze, rób po swojemu. Ale na litość boską, przynajmniej raz trzymaj buzię na kłódkę. - Ruszył po schodach, cały czas usiłując przekonać samego siebie, że nie popełnia błędu.

Zauważył, że ostatnim razem, kiedy tu był, na podłodze leżał inny dywan, za to tapeta się nie zmieniła, podobnie jak pokój, który służył Charliemu za gabinet. Trace bez wahania podszedł do biurka i nacisnął guzik pod drugą szufladą. W ścianie ukazało się przejście o rozmiarach metr na metr.

- Jeszcze jeden tunel? - Gillian poczuła, że jej odwaga ulatnia się w błyskawicznym

tempie.

- Pracownia - odparł Trace i wszedł do drugiego pomieszczenia. Jeden rzut oka upewnił go, że Charlie unowocześnił swój sprzęt.

Na frontowej ścianie wisiały zegary, które wskazywały godzinę w każdej strefie czasowej na Ziemi. Pod nimi rozpościerał się olbrzymi system komputerowy w kształcie litery L oraz sprzęt radiokomunikacyjny. Posiadając takie wyposażenie, Charlie mógł skontaktować się z dosłownie każdym miejscem na świecie, od lokalnej stacji radiowej po Kreml. - Przynieś sobie stołek - polecił jej. - To chwilę potrwa. Gillian drgnęła, gdy ruchome przejście zatrzasnęło się za nimi.

- Co chcesz zrobić? - zapytała.

- Zdaje się, że chciałaś ominąć papierkową robotę. Muszę się włamać do głównego komputera Systemu Bezpieczeństwa.

- Myślisz, że wiedzą, dokąd zabrano Flynna?

- Może wiedzą, a może nie. - Trace włączył kolejne urządzenia i usiadł w skupieniu przed monitorem. - Z całą pewnością wiedzą natomiast, gdzie się znajduje ostatnia kwatery „Młota”. - Nacisnął kilka klawiszy. Kiedy maszyna nie przyjęła jego kodu, podał kod Charliego. - To na dobry początek. Zobaczmy, co potrafi to maleństwo.

Pracował w ciszy, słychać było jedynie stukanie jego palców na klawiaturze i ciche buczenie maszyny. Jeden po drugim Trace omijał rozliczne systemy zabezpieczające, przedostając się do coraz trudniej dostępnych baz danych.

Gillian najbardziej była zdumiona cechą, którą nagle u niego odkryła, a o którą do tej pory nigdy go nie podejrzewała - cierpliwością. Trace odczytywał wciąż nowe dane, spisywał je metodycznie na kartkach papieru, a potem otwierał kolejne bazy danych i analizował kolejne kolumny symboli i cyfr. On pracował, a ona intensywnie myślała nad tym, co miała przed oczyma.

- Jesteśmy całkiem blisko - mruknął, kiedy wypróbował nową serię symboli. - Kłopot w tym, że jest za wiele możliwych kombinacji. Mogę tak siedzieć przez cały tydzień.

- Może gdybyś...

- Pracuję sam - uciał.

- Chciałam tylko powiedzieć, że...

- Może pójdziesz do kuchni i poszukasz kawy, złotko? Gillian miała na końcu języka ciętą odpowiedź, powstrzymała się jednak w ostatniej chwili.

- Dobrze - powiedziała zamiast tego. Wstała i podeszła do zamkniętego przejścia. - Nic wiem tylko, jak otworzyć drzwi.

- Przycisk jest po lewej stronie. Musisz położyć na nim swój palec i przycisnąć - Otworzyła usta, ale świadoma tego, co mogłaby powiedzieć, natychmiast je zamknęła.

Typowy, tępy, egocentryczny samiec, myślała, idąc po schodach. Czyż to nie kogoś takiego starała się zadowolić przez całe swoje dotychczasowe życie? Dlaczego akurat w tej sprawie, najważniejszej, z jaką kiedykolwiek miała do czynienia, los zetknął ją z kimś, kto w najmniejszym stopniu nic szanował jej opinii? Jeśli jeszcze raz nazwie ją „złotkiem”, odwdzięczy mu się tym, na co zasługiwali wszyscy podobni mu faceci - po prostu da mu w twarz.

Zaczęła robić kawę, zbyt zirytowana, aby czuć się nieswojo w pustej kuchni zmarłego Charliego Forreстера.

Przypomniała sobie o pocałunku, który jej skradł i który omal nie doprowadził jej do utraty zmysłów. Czowała się tak, jak gdyby ją pochłaniał, a jednak była cała, gdy skończył; z jednej strony oszołomiona niczym po narkotyku, a przecież z jasnym umysłem, który ostro i wyraźnie postrzegał, co się stało.

Ten pocałunek ją odmienił. Wiedziała już, że nigdy nie będzie taka, jaka była przedtem. Wiedziała, że na długo go zapamięta. Wiedziała wreszcie, że nie dopuści do tego, aby kiedykolwiek się powtórzył.

Kiedy wróciła do pokoju, Trace wciąż pracował. Postawiła obok niego filiżankę z kawą, za co podziękował jej jakimś nieartykułowanym mruknięciem. Przeszła się w tą i z powrotem po pomieszczeniu, przypomniała sobie, że miała się nie odzywać, po czym włożyła rękę do kieszeni.

Po kilku minutach ciszy nic wytrzymała jednak.

- Kod dostępu do systemu: 38537/BAKER - powiedziała. - Kod dostępu do baz: 5. Seria - ARSS28. Jeśli nic jesteś zbyt uparty, spróbuj, może zadziała. Jeśli nie, zamień miejscami pierwszą i drugą cyfrę pierwszej sekwencji.

Trace podniósł do ust filiżankę z kawą. Ucieszył się, że nic dodała do niej mleka, i zdziwił, że kawa była wyjątkowo dobrze zaparzona.

- Z jakich to dziwnych powodów uważasz, że jesteś w stanie rozszyfrować kod dostępu do jednego z najbardziej skomplikowanych systemów komputerowych na świecie? - zapytał.

- Ponieważ obserwowałam cię przez ostatnią godzinę, a kiedyś byłam całkiem niezłym hackerem*.

- Doprawdy? - Upił nieco kawy. - I co? Włamałaś się do jakiegoś konta w szwajcarskim banku?

Gillian powoli przeszła przez pokój.

- Naprawdę uważasz, że mamy czas na żarty? Chodzi o moją rodzinę, zapomniałeś? Zważywszy, że ci płacę, mógłbyś przynajmniej zastosować się do mojej propozycji.

- Proszę bardzo. - Posłusznie wystukał na komputerze ciąg znaków, który mu podała. Ekran zamigotał i wyświetlił komunikat:

„DOSTĘP NIEMOŻLIWY”

Trace parsknął tylko i pokręcił głową.

- No więc zmień pierwsze cyfry. - Zniecierpliwiona podeszła do klawiatury i sama wystukała nowy kod. Trace zdążył jeszcze zauważyć, że jego szampon pachnie na niej zupełnie inaczej niż na nim, a potem wbił zdumiony wzrok w ekran, na którym pojawiły się słowa, na które tak długo czekał:

„PODAJ NAZWĘ PLIKU”

- A widzisz! - Zadowolona z siebie, przysunęła się bliżej. - To przypomina szukanie metody na blackjacka. Pewien profesor i ja zajmowaliśmy się tym w zeszłym semestrze.

- Przypomnij mi żebyś mi ze sobą zabrał, kiedy znowu będę chciał odwiedzić Monte Carlo.

Gillian odwróciła do niego roześmianą twarz.

- Zastanowię się. I co teraz?

Znów zamilkł, oczarowany pięknem jej oczu. Nie było w nich teraz nawet śladu brązu czy szarości - Miały kolor idealnej, czystej zieleni. Widział w nich niepewność, pytanie, oczekiwanie.

* hacker - osoba, która włamuje się do wewnętrznych sieci komputerowych firm, banków, urzędów i instytucji - (przyp.red).

- Mówisz o komputerze? - odezwał się po chwili.

- Oczywiście. - Nerwowo przelknęła ślinę.

- Sprawdzimy.

Odwrócił się do ekranu, a wówczas oboje dyskretnie odetchnęli. Zaczął wystukiwać tekst na klawiaturze i w chwilę później na ekranie pojawiły się informacje.

Trace niecierpliwie wodził oczami po kolejnych liniach tekstu. Większość informacji była mu znana. W końcu wiedział całkiem sporo o „Młocie”. Jeszcze zanim przeniknął do jego struktur, przeszedł intensywne szkolenie. Potem sporo się dowiedział, pracując u nich jako chłopak na posyłki i zwykły żołnierz. Przekazywał przełożonym w USA nazwiska, informacje o miejscach i terminach spotkań, dane dotyczące nielegalnych transakcji i planowanych akcji. Szło mu dobrze, wśród kumpli - terrorystów cieszył się poważaniem i miał właśnie zostać przeniesiony do nowej bazy „Młota”, kiedy to został postrzelony.

Zmarszczył brwi i przejechał kciukiem po bliźnie. Po postrzeleniu tkwił tygodniami w zawieszaniu między życiem, a śmiercią. Całe zadanie wzięło w Jeb, a on został wysłany na długie - w założeniu spokojne - wakacje.

Teraz musiał sprawdzić swoją wiedzę. W ciągu dwóch miesięcy wiele mogło się zmienić. Charlie, jak to Charlie, na pewno to odnotował.

Przejrzał pośpiesznie podstawowe dane. „Młot” powstał na Bliskim Wschodzie na początku lat siedemdziesiątych i był finansowany z rozmaitych, przeważnie nielegalnych źródeł. Organizacja zdołała przeprowadzić serię zamachów bombowych i spektakularnych porwań. Ostatnie uprowadzenie samolotu skończyło się tym, że ktoś nie wytrzymał napięcia i wcisnął detonator. W powietrze wyleciało osiemdziesiąt pięć niewinnych osób i sześciu terrorystów.

Tak, to było w ich stylu. Coś stracisz, coś wygrasz.

- Husad - powiedziała Gillian, wskazując na ekran. - Czy to nie jest ich przywódca?

- To ten, który ma kasę. Jamar Husad, polityczny banita, samozwańczy generał i kompletny świr. No, dawaj, Charlie - wymruczał do komputera. - Daj mi coś jeszcze.

- Wcale tego nie czytasz.

- Bo znam te informacje.

- Jak to?

- Pracowałem dla nich przez pół roku.

- Co takiego? - Gillian cofnęła się, zaniepokojona. Zerknął na nią, a w jego oczach pojawiło się zniecierpliwienie.

- Rozluźnij się, złotko. Byłem w „Młocie” agentem, wtyczką, szpiclem, kapusiem, który wchodzi w struktury organizacji, żeby ją rozpracować i podać facetom z grup antyterrorystycznych na widelcu.

- Skoro tak było, powinieneś wiedzieć, dokąd zabrali Flynną i Caitlin. Dlaczego bawimy się z tym komputerem, skoro -

- Przenieśli się - przerwał jej. - Przygotowywali się do zmiany bazy, jeszcze zanim wypadłem z gry.

- Wypadłeś z gry? - Jej zdziwienie ustąpiło miejsca przerażeniu. - Wiec byłeś ranny?

- Ryzyko zawodowe.

- To ta blizna, prawda? Jezu, omal cię nie zabili... - Umilkła i położyła dłoń na jego ramieniu. - Omal cię nie zabili - powtórzyła - a ty nadal się w to bawisz.

Trace natychmiast strząsnął jej rękę.

- Nie bawię się za darmo. Sto tysięcy dolarów to dla mnie jak bilet do raju.

- Chcesz, żebym uwierzyła, że robisz to wyłącznie dla pieniędzy?

- Możesz wierzyć, w co ci się żywnie podoba, Jill, ale zatrzymaj to dla siebie. W życiu nie spotkałem nikogo, kto zadawałby tyle pytań. Zamilcz wreszcie, kobieto. Nie widzisz, że usiłuję się skupić? - Znów przeniósł wzrok na ekran komputera. - Tak... - mruknął do siebie - to już wiem, byli w Kairze, to stara... - Odchylił się nagle na krześle. - Jest! Cholera, wiedziałem, że na Charliego zawsze można liczyć. Mamy bazę! Nowa baza operacyjna „Młota” znajduje się w Maroku!

- W Maroku? Aż tam zawieźli Flynną i Caitlin?

- Chcą ich jak najlepiej strzec. W Maroku czują się bezpiecznie. Maroko, Algieria, Libia - mają tam wielu sprzymierzeńców. - Dotarł do końca zbioru, jednak nie znalazł żadnej informacji na temat uprowadzenia Flynną Fitzpatricka. - Nie ma tu nic o twoim bracie - powiedział, po czym zaczął linkować interesujące go strony. - Zastanów się jeszcze, Gillian. Jeśli chcesz, żeby zajęli się tym oficjalnie nasi fachowcy, wystarczy jeden telefon.

Gillian już się nad tym zastanawiała.

- A dlaczego Charlie Forrester tego nie zrobił?

- Chyba wiem, dlaczego.

- Ale mi nie powiesz.

- Jeszcze nie. Tak jak powiedziałaś - to twoja rodzina, sama musisz postanowić.

Gillian odeszła na bok, by spokojnie przeanalizować wszystkie dane. Tak, rozsądnie byłoby zawiadomić rządowe służby, które dysponowały doskonałym sprzętem, wyszkolonymi ludźmi i miały możliwości politycznych perswazji i nacisków. A jednak intuicja podpowiadała jej, żeby postawiła na pojedynczego człowieka; na człowieka, którego Charles Forrester nazwał wiecznym buntownikiem, samotnikiem i oryginałem; na Trace a O'Hurleya, który wcale nie wyglądał na bohatera.

Postanowiła usłuchać intuicji.

- Sto tysięcy, panie O'Hurley - powiedziała. - Moja oferta wciąż jest aktualna. Uściślijmy jednak warunki. Po pierwsze, chcę cały czas panu towarzyszyć...

- Powiedziałem już, że pracuję sam.

- Wiem, nie widziałeś mnie może w najlepszej formie, ale ja naprawdę jestem przebiegłą i silną kobietą. Jeśli będzie trzeba, sama polecę do Maroka.

- Nic przeżyłabyś tam nawet dnia.

- Może i nie. Szuka mnie „Młot”. Ale jeśli mnie odnajdą, to dostanę się do brata. Przynajmniej w taki sposób dowiem się, czy jemu i Caitlin nic się nie stało.

Trace wstał i przeszedł się wolno po pokoju. Gillian uparła się i wcale nie ułatwiała mu zadania. Może jednak da się spełnić jej warunek. Jeśli będzie cały czas przy nim, to przynajmniej będzie mógł mieć na nią oko. Nic zamierzał zaprzeczać, że dobrze dała sobie radę w Meksyku - Jeśli musiałby ponownie zaryzykować coś podobnego, będzie mógł jej użyć.

- Dobrze, Gillian - odezwał się wreszcie. - Zgadzam się. Ale pamiętaj - to, że pojedziemy razem, nie oznacza jeszcze, że jesteśmy partnerami, jasne? Wciąż wypełniasz wszystkie moje polecenia. A kiedy nadejdzie czas działania, usuniesz się w cień, żebym nic musiał się o ciebie martwić.

- I tak nie będziesz musiał się martwić. To co teraz robimy?

- Najpierw sprawdzę, co z Rorym. - Trace ruszył do telefonu. - Mam przeczucie, że powinniśmy złapać najbliższy samolot.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Casablanka. Bogart i Bergman. Piraci i przygody. Otulone mgłą lotniska i zalane słońcem plaże.

Ta nazwa przywodziła na myśl niebezpieczeństwo i miłosną przygodę. Gillian gotowa była pogodzić się z pierwszym, lecz za wszelką cenę chciała uniknąć drugiego.

Trace zarezerwował sąsiadujące ze sobą pokoje w jednym z bardziej ekskluzywnych hoteli nieopodal Placu Narodów Zjednoczonych. Gillian milczała, podczas gdy on rozmawiał z recepcjonistą w płynnej francuszczyźnie, podając się za pana Cabota.

Rzeczywiście - nazwisko Andre Cabot widniało w paszporcie, którym obecnie się posługiwał. Miał na sobie konserwatywny trzyczęściowy garnitur i dopasowane do niego buty. Jego brązowawe włosy zwichrzyły się lekko podczas jazdy, był za to starannie ogolony. Nawet stał w inny sposób niż dotychczas - sztywno, jak wychowanek jakiejś wojskowej akademii.

Krótko mówiąc, zmieniła się cała jego osobowość i Gillian sama była skłonna uwierzyć, że wybrała się w podróż z wyniosłym i pewnym siebie francuskim biznesmenem, a nie ze swojskim Tracem O'Hurleyem, którego zdążyła już całkiem dobrze poznać.

Po raz drugi poczuła, że powierzyła swoje życie zupełnie nieznamemu osobie.

Ale nic. Osoba była ta sama. Choć bowiem zmieniło się w nim wszystko, jedno pozostało takie samo - oczy. Gillian przeszył lekki dreszcz, gdy Trace odwrócił się nagle i spojrzał na nią tym swoim przenikliwym wzrokiem, który nieodmiennie budził w niej niepokojące tęsknoty.

Milczała, kiedy Trace ujął ją pod ramię i poprowadził w kierunku windy. Nadal miała na sobie perukę, zniknęły tylko okulary, zaś bezkształtną sukienkę zastąpiła wyszukana jedwabna kreacja, bardziej pasująca do wizerunku kochanki biznesmena.

Kiedy dwadzieścia pięter wyżej wchodzili do zarezerwowanego wcześniej apartamentu, Trace nadal nie powiedział ani słowa. Wręczył boyowi napiwek w sposób, który świadczył o tym, że jest mężczyzną dobrze znającym wartość swoich franków, a potem wpuścił ją przodem do pokoju.

Gillian spodziewała się, że Andre Cabot rozplynie się w powietrzu z chwilą, gdy zamkną się za nimi drzwi, była jednak w błędzie.

- Za taką cenę pościel powinna być wyszywana złotą nicią, nie sądzisz? - odezwał się do niej z francuskim akcentem.

- Co...?

- Sprawdź, czy barek jest dobrze zaopatrzony, chérie. - Posłał jej krótkie, ostrzegawcze spojrzenie i zaczął metodycznie okrążyć pokój, sprawdzać lampy, zdejmować obrazy ze ścian. - Chętnie wypiłbym kieliszek wermutu, zanim będę miał przyjemność rozebrać twoje piękne ciało. - Rozkręcił słuchawkę telefonu, obejrzał ją uważnie i na powrót zmontował.

- Doprawdy? - Zrozumiała, że Trace nie zamierza wyjść z narzuconej sobie roli, dopóki nic upewni się, że w pokoju nie zainstalowano podsłuchu. Denerwowało ją to, ale postanowiła przyjąć reguły gry. Podeszła do barku, otworzyła drzwiczki i powiedziała: - Z radością przygotuję ci drinka, kochanie. A co do tego drugiego... to jestem chyba zbyt zmęczona podróżą.

- Nie martw się. Ja przywrócę ci energię. Mam swoje sposoby. - Zadowolony z tego, że pomieszczenie okazało się bezpieczne, Trace podszedł do Gillian. Milczał chwilę, po czym wziął od niej kieliszek. - Chodźmy do sypialni, chérie. Może wcale nie jesteś aż tak zmęczona, jak przypuszczasz.

Równie metodycznie zaczął sprawdzać drugie pomieszczenie, Gillian zaś usiadła na łóżku.

- Jestem. To był bardzo długi lot.

- Więc tym bardziej powinnaś się odprężyć. Pomogę ci. - Uniósł reprodukcję przedstawiającą Bazylikę Sacré Coeur w Paryżu i przejechał palcami po ramie. - Wygodniej ci będzie bez ubrania.

- Och, masz tylko jedno w głowie, Andre.

- Mężczyzna, który znalazłby się z tobą sam na sam i miał w głowie coś jeszcze, byłby głupcem.

Gillian uśmiechnęła się do siebie. Ten Andre Cabot był taki nadęty i taki pewny siebie, że aż śmieszny. Właściwie dawał się nawet lubić.

- Naprawdę? - Podniosła ze stolika jego kieliszek i upiła z niego łyk wina. - A to dlaczego?

Trace podszedł bliżej, aby sprawdzić łóżko, i popatrzył na nią uważnie.

- Ponieważ twoja skóra jest jak biała róża, która staje się pachnąca i miękka, kiedy jej dotykam. - Jego dłoń musnęła udo dziewczyny. Trace wrócił do sprawdzania materaca, ale nie odrywał oczu od Gillian. - Ponieważ twoje włosy to ogień i jedwab - mówił - a twoje usta... Kiedy cię całuję, *ma belle*, twoje usta płoną. - Otoczył ramieniem jej szyję i pochylił się nad nią w namiętym geście. - Ponieważ kiedy dotykam cię w ten sposób, czuję, że mnie pragniesz - dokończył szeptem - a kiedy na ciebie patrzę, widzę, że się mnie boisz.

Nie mogła oderwać od niego wzroku, nie mogła się poruszyć.

- Wcale się ciebie nie boję - odparła, patrząc w jego oczy z fascynacją. Tak, była zafascynowana. Fascynował ją ten człowiek, niezależnie od tego, kim był naprawdę.

- Nie boisz się? - Dotknął wargami jej ucha. - A powinnaś.

Nawet nie zauważyła, że jego głos się zmienił. Znow brzmiał zwyczajnie, jak głos Trace'a O'Hurleya. Nie zauważyła zaś tego, bowiem w następnej chwili Trace zamknął jej usta swoimi wargami i poczuła tę samą rozkosz, co zawsze, kiedy ją całował.

Jej ciało stało się nagle miękkie, wiotkie, bezwładne. Osunęło się na łóżko, a kiedy Trace legł obok, wtuliło się w niego instynktownie, szukając oparcia, siły i ciepła.

Czemu wszystko zdało się jej nagle takie proste? Wargi Trace'a były twarde i gorące, ręce szorstkie, wręcz brutalne. Ona jednak czuła, że jest jej z nim tak dobrze, tak naturalnie, tak bezpiecznie i tak rozkosznie zarazem. Tak znajomo. Gdyby przejechała teraz dłońmi po jego plecach, wiedziałaby, jakie znajdzie tam mięśnie. Gdyby głęboko wciągnęła powietrze, poczułaby znajomy zapach.

Być może rzeczywiście nie miała pojęcia, kim jest, ale było w nim coś, co znała przez całe życie. Tak jej się przynajmniej zdawało...

Umysł Trace'a wypełniały podobne myśli. Czuł się tak, jak gdyby Gillian zawsze należała do niego i jakby zawsze miało tak odtąd być; jakby ta kobieta nie była tylko kolejną kobietą w jego życiu, lecz tą jedną, jedyłą, której zawsze pragnął i podświadomie szukał. Wiedział, jakie będzie jej westchnienie, jeszcze zanim westchnęła; jaki będzie dotyk jej palców, zanim go poczuł na swej twarzy. Wiedział - i tym bardziej go to oszołamiało.

Czuł, jak jego puls przyśpiesza, słyszał, jak bezwiednie powtarza jej imię, zdawał sobie sprawę, że ogarnia go niezwykle pożądanie, żądza, która nie ogranicza się tylko do ciała Gillian, lecz obejmuje ją całą - umysł, ciało, serce i duszę. Pragnął jej. Pragnął jej na całe

życie.

Myśl ta zdała mu się nagle tak szokująca, że znieruchomiał gwałtownie i oderwał usta od jej ust. Pojęcie „całe życie” nic istniało w jego słowniku. Nie w tej grze, którą sam wybrał. Nauczył się żyć chwilą i nigdy nic zastanawiał się nad tym, co przyniesie następny dzień.

I tak ma zostać, pomyślał. Przynajmniej dopóki nie wykona swego zadania.

Wygiął się do tyłu i przetoczył na bok.

- Pokój jest czysty - odezwał się rzeczowo, po czym podniósł do ust kieliszek, aby wypić resztkę wermutu. - Żadnych pluskiew ani kamer.

Gillian wciąż oddychała nierówno, drżały jej kolana. Nic nie mogła na to poradzić, nie była w stanie ukryć napiętności, która ogarnęła ją z taką mocą. Mogła tylko zniechęcić Trace O’Hurleya, który postanowił zabawić się jej kosztem. To właśnie postanowiła zrobić.

- Ty łajdaku. -

- Sama się o to prosiłaś - - Wyciągnął papierosa, usiłując skoncentrować się na tym, co naprawdę ważne. - Mam trochę roboty, więc może byś się zdrzemnęła?

Gillian powoli wstała z łóżka. Już raz ją kiedyś upokorzono, już raz została odrzucona. Obiecała sobie teraz, że nigdy, przenigdy nie pozwoli się nikomu tak traktować.

- Nie waż się więcej mnie dotknąć - wysyczała. - Muszę znieść twoje prostackie maniery, bo nie mam wyboru, ale zabraniam ci kiedykolwiek mnie dotykać, jasne?

Trace właściwie nie wiedział, czemu to zrobił. Gniew często sprawia, że człowiek decyduje się na lekkomyślny czy błędny ruch. Tak czy inaczej przyciągnął ją z całej siły do siebie, a jej szarpanina i próby uwolnienia się sprawiły mu nawet dziwną przyjemność.

Ponownie przywarł wargami do jej ust i był już właściwie gotów, by pchnąć ją na łóżko i dać ujście swojej napiętności, gdy zorientował się, że jest o krok od popełnienia kolejnego błędu, i puścił Gillian wolno.

- Nie przyjmuję rozkazów - powiedział. - Zapamiętaj to sobie.

Jej dłonie zacisnęły się w pięści. Od zadania ciosu powstrzymała ją jedynie świadomość, że nie miałyby szans w tej walce.

- Przyjdzie czas, że zapłacisz mi za to!

- Zapewne tak będzie. Na razie jednak to ty płacisz, złotko. Wychodzę. Ty zostań

tutaj. - Zamknął za sobą drzwi, a Gillian zakłęła wściekle pod jego adresem.

Nie było go tylko godzinę, lecz ten czas wystarczył, by Trace się przekonał, iż Casablanka nie zmieniła się od czasu, kiedy Widział ją po raz ostatni. Małe sklepiki przy bulwarze Haosali nadal żyły z turystów, do portu wciąż przyływały europejskie statki, wąskie uliczki wypełniały tłumy zwiedzających i tubylców. On sam daleki był jednak od wakacyjnej atmosfery, która zdawała się tu panować przez cały niemal rok.

Jego informator z położonej blisko centrum handlowego dzielnicy slumsów ucieszył się na widok Trącej a po otrzymaniu paru drachm chętnie się zgodził rozpuścić w mieście plotkę o nielegalnej dostawie amerykańskiej broni.

Tym sposobem pierwszy krok został uczyniony. Trace był gotowy na dalsze działania i zadowolony wrócił do hotelu, tu jednak odkrył, że po Gillian nie ma nawet śladu. Nie wpadł w panikę, przynajmniej na początku. Długotrwała praktyka nauczyła go panować nad sobą.

Sięgnął po rewolwer, a potem przeszukał wszystkie pokoje i łazienkę. Drzwi balkonowe były zamknięte od środka, chociaż rozsunięto zasłony. Rzeczy Gillian zostały rozpakowane i starannie porozkładane w szufladach i szafkach; kosmetyki, które kupiła w miejsce utraconych, stały na brzegu wanny. Na drzwiach łazienki wisiał krótki szlafrok.

Zniknęła za to portmonetka Gillian, a także jej notatki. Dopiero gdy to spostrzegł, zaczął się niepokoić.

Żadnych śladów walki nie odkrył, co było o tyle dziwne, że kobieta taka jak Gillian nie poddałaby się raczej bez sprzeciwu. Podobnie trudno mu było uwierzyć w to, że ktoś tak szybko i bez wysiłku ich namierzył.

Odzie wiec, u diabła, jest Gillian?

Przejechał dłonią po włosach, usiłując się uspokoić.

Jeśli ją znaleźli -.. Jeśli ją znaleźli, to on będzie musiał...

Przypomniał sobie, jak Abdul pociągnął ją brutalnie za włosy. Pamięć podsunęła mu obraz dłoni Gillian na zranionym boku...

Poderwał się, by wybiec z pokoju, lecz w tej samej chwili usłyszał zgrzytanie klucza w zamku i błyskawicznie przywarł plecami do ściany w pobliżu drzwi. Gdy zaś te otworzyły się po chwili, natychmiast złapał za przegub wchodzącą osobę i wciągnął ją do pokoju.

Osobą to była... Gillian!

- Cholera, gdzieś ty była? - wybuchnął. - Nic ci nie jest? - Gillian zdławiła chęć krzyku. Zderzenie z Traceni pozbawiło ją tchu.

- Nic mi nie jest. - Położyła dłoń na piersi. - Wyszłam tylko na chwilę. Czy coś się stało? Strasznie mnie wystraszyłeś.

- Mówiłem ci, że masz tu zostać - warknął. - Co się z tobą, do diabła, dzieje? - Wściekły na siebie i na nią, odepchnął ją gwałtownie. - Nie wynajęłaś mnie jako niańkę. Kiedy wydaję polecenia, masz się do nich stosować!

I pomyśleć, że przez chwilę przejęła się jego stanem, ba, poczuła nawet przyjemne ciepło na myśl, że niepokoił się o nią. Musiała chyba zupełnie upaść na głowę.

- Wynajęłam cię, żebyś odnalazł mojego brata, a nie żebyś wydzierał się na mnie - powiedziała zimno.

- Gdybyś miała choć trochę zdrowego rozsądku, nie musiałbym wrzeszczeć. Już raz dostałaś nożem, nie pamiętasz? Rób lak dalej, a następnym razem może mnie zabraknąć.

- Nie jesteś moim gorylem. Zresztą to ty wyszedłeś, nie informując mnie nawet, dokąd ani kiedy wrócisz.

Trace nie zamierzał jej tłumaczyć, dlaczego opuścił hotel w takim pośpiechu.

- Słuchaj, siostrze, jesteś tu ze mną tylko dlatego, że być może posłużę się tobą, żeby uwolnić twojego brata. Na niewiele roi się przydasz, jeśli cię dopadną.

- Na razie nikt mnie nie dopadł - odcięła się i położyła portmonetkę na łóżku. - Jestem tutaj, prawda? Cała i zdrowa...

Trace nie znosił tego rodzaju logicznych argumentów.

- Powiedziałem ci, żebyś się stąd nie ruszała. Skoro nie jesteś w stanie robić tego, czego od ciebie wymagam, możesz wkrótce znaleźć się na pokładzie najbliższego samolotu do Nowego Jorku.

- Będę chodziła, dokąd zechcę i kiedy zechcę - odparła, po czym jak gdyby nigdy nic zdjęła buty. Dziwne, ale mimowolnie miała ochotę go prowokować. Niemal czekała na to, aby przypuścił na nią kolejny atak. - A tak dla twojej wiadomości, to nawet nie ruszyłam się z hotelu.

- Czyżby? Zdaje się, że parę minut temu wciągnąłem cię do pokoju.

- Tak, i omal nic zwichnąłeś mi ramienia. - Gillian wyciągnęła z podręcznej torebki

opakowanie lekarstw. - To aspiryna, panie O'Hurley. Przy recepcji jest mały sklepik, a mnie po prostu rozboleła głowa. A teraz wybaczone, zamierzam połknąć całą butelkę i położyć się spać. - Przeszła przez pokój i zatrzasnęła głośno drzwi do sypialni.

Trace pokręcił głową z dezaprobatą. Nie zanosilo się na to, by kłopoty z Gillian Fitzpatrick miały się skończyć. Trudno, przeżyje to. Zazwyczaj uważał, że kobiety sprawiają więcej kłopotów niż są tego warte, dla Gillian musiał jednak zrobić wyjątek.

Czy jednak rzeczywiście powinien się dla niej narażać? Po dwunastu latach niebezpiecznej pracy wciąż jeszcze żył, lecz coraz poważniej myślał o przejściu na wcześniejszą emeryturę.

Cóż, statystyka była przeciwko niemu. Wierzył w przeznaczenie, podobnie jak wierzył w dobrą passę, wiedział też jednak, że prędzej czy później owa dobra passa musi się skończyć. Tak było z Charliem.

Zapalił papierosa i wyjrzał przez okno na Casablanke. Zrobię to, pomyślał. Zaczęłem, więc skończę. Ostatni raz wystawię się na niebezpieczeństwo, a potem zgram swoje sto kawałków i pojedę łowić ryby.

Kiedy był tu ostatnio, zajmował się sprawą przemytu i omal nie poderżnięto mu gardła. Wtedy też był Cabotem, francuskim biznesmenem, który nie miał nic przeciwko niejasnym - byle zyskownym - interesom, 'tym razem również postanowił działać jako Cabot. Dał sobie radę wówczas, uda mu się także i teraz. Oczywiście, o ile nie zapomni, że kobieta w sypialni obok ma być dla niego Środkiem do osiągnięcia celu, niczym więcej.

Złość Gillian ujawniała się nagle i gwałtownie, lecz z reguły równie szybko ustępowała. Tak było i tym razem. Burzliwe emocje wyparowały po niedługiej drzemce i teraz była gotowa na kolejne spotkanie z Tracem O'Hurleyem.

Założyła prostą bluzkę i spódnicę, zastanawiając się, co też się może dziać w pokoju obok. Cóż, Trace prawdopodobnie jest zadowolony - Zdaje się, że chodzi mu właśnie o to, by przez cały czas tkwiła tu zamknięta jak w klatce.

Ona jednak prędzej umrze, niż będzie siedzieć jak mysz pod miotłą. Może i nie wie, jak uwolnić Flynn'a i Caitlin, ale przecież musi coś robić, cokolwiek. Trace O'Hurley będzie zmuszony przyjąć do wiadomości fakt, że ona również jest częścią jego planu. Od zaraz.

Zapiccia szeroki skórzany pasek, otworzyła drzwi łączące oba pokoje i... prawie wpadła na Trace'a.

- Właśnie szedłem, żeby sprawdzić, czy już przestałaś rozpaczać.

- Nie rozpaczałam. Nigdy nie rozpaczam. - Wysunęła wojowniczo brodę.

- Pewnie, że rozpaczasz, ale skoro już skończyłaś, to możemy iść.

Gillian uniosła brwi. Najwyraźniej powiedział „możemy”, nie „mogę”.

- Czyżbyś zamierzał wziąć mnie ze sobą? - zapyłała. - Dokąd?

- Odwiedzimy mojego przyjaciela. - Zmrużył oczy i zrobił krok do tyłu, aby przyjrzeć się dziewczynie. - Zamierzasz w tym iść?

Gillian zerknęła na szeroką spódnicę i luźną bluzkę.

- A co jest nie tak z moim strojem?

- Nic, jeśli wybierasz się na herbatkę do proboszcza. - Trace rozpiął dwa górne guziki jej bluzki, zmarszczył brwi, po czym pokiwał głową. - No, tak jest znacznie lepiej.

- Nie zamierzam robić z siebie przedstawienia, żebyś się lepiej czuł.

- Osobiście nic mnie nie obchodzi twój strój. Możesz chodzić w worku na kartofle. Masz jednak do odegrania pewną rolę. Naprawdę nie wzięłaś żadnej biżuterii? Żadnych rzucających się w oczy kolczyków?

- Nie.

- Nie szkodzi. Kupimy je. I ciemniejszą szminkę. Mogłabyś coś zrobić z oczami?

- Niby co? Co jest nie tak z moimi oczami?

- Kochanka Andre Cabota nie trafiła w jego ramiona prosto z klasztoru, jeśli rozumiesz, co mam na myśli - odparł, przeszedł do łazienki i zaczął grzebać w jej kosmetyczce.

- Zostaw, Trace! Nic nie rozumiem. O co ci chodzi?

- Chodzi mi o to, że musisz mieć mocniejszy makijaż, bardziej wyzywający strój i znacznie bardziej, hm, bezpośredni sposób bycia. - Podniósł ciemnozielony cień do oczu, po czym przyjrzał mu się uważnie. - Postaraj się po prostu wyglądać jak elegancka dziwka, dobrze?

- Jak dziwka? - powtórzyła. - Dlaczego jak dziwka? Naprawdę myślisz, że pomaluję się tylko po to, żebyś pokazywał mnie jak,., jak...

- Chcę, żebyś wyglądała jak słodka idiotka. Ładna panienka, która ma pusto w głowie.
- Wziął do ręki wodę toaletową Gillian i skropił nią obficie jej ciało. - Rany, to przypomina odświeżacz do powietrza. Nie masz mocniejszych perfum?

- Nie mam.

- Trudno. Te muszą wystarczyć - uznał i ponownie ją spryskał. - Teraz włosy, pani doktor.

- A co znowu jest nie tak z włosami? - Gillian dotknęła peruki obronnym gestem.

- Zmierzwij je trochę. Facet, którego zamierzam odwiedzić, spodziewa się, że podróżuję z ładniutką, głupiutką, ale za to bardzo seksowną kobietą. To w stylu Cabota.

- Doprawdy?

- Zgadza się. Tak właśnie masz wyglądać. Masz jakieś prowokujące ciuchy?

- Nie mam prowokujących ciuchów - odparła ze zniecierpliwieniem. - Nie przyjechałam tu w celu zawierania nowych znajomości.

- Nie wierzę. Nigdy w życiu nic spotkałem kobiety, która nic miałaby czegoś prowokującego.

Gdyby spojrzenia mogły zabijać. Tracę leżałby już martwy.

- Widocznie jestem inna niż panie, które miałeś przyjemność spotkać.

- No dobra, rozepnij chociaż jeszcze jeden guzik. - Sięgnął do jej bluzki.

- Nie - odskoczyła do tyłu - nie będę paradowała z dekoltem do pasa, tylko dlatego że pasuje to do twojej koncepcji. - Wyrwała mu z ręki cień do powiek, - Odejdź. Nie stój tak nade mną.

- Dobrze. Zostawiam cię samą. Pamiętaj o wszystkim, co powiedziałem. Masz pięć minut - powiedział i z rękami w kieszeniach wymaszerował z łazienki.

Dołączyła do niego po kwadransie, ale uznał, że nie będzie się awanturował. Gniew zaróżowił jej policzki jeszcze mocniej niż warstwa sztucznego różu. Hojnie użyła tuszu i cienia do powiek, więc teraz jej oczy wydawały się wielkie jak spodki, a spojrzenie natychmiast kojarzyło się z buduaem.

No i w porządku. Chciał czegoś kuszącego, a ona spełniła jego oczekiwania. Nie miał tylko zielonego pojęcia, dlaczego tak bardzo go to rozżłościło.

- Wystarczająco tandetnie, panie Cabot? - zapytała z ironią.

- Ujdzie - odparł już w drzwiach. - Idziemy.

Czuła się jak idiotka, tak też zresztą wyglądała. Nie zwracała jednak na to uwagi, zadowolona, że Trace pozwolił jej uczestniczyć w poszukiwaniach Flynn'a i Caitlin.

Kiedy wyszli z hotelu, wsunęła rękę pod jego ramię i oparła się o niego całym ciałem. Przesłał jej szybkie, ostrzegawcze spojrzenie, które ją rozbawiło.

- Czy mam się do ciebie wdzięczyc? - zapytała.

- Raczej do moich pieniędzy.

- O, czyżbyś był bogaty?

- I to bardzo.

- To dlaczego nie kupiłeś mi żadnej biżuterii? - Spryciara, pomyślał, i niemal pożałował, że lubi ją za to jeszcze bardziej.

- Jeszcze na nią nie zasłużyłaś, złotko - odparł i klepnął Gillian lekko w pośladek.

Zareagowała od razu. Makijaż nic zdołał ukryć złości, jaka pojawiła się natychmiast w jej oczach. Trace zaś poczuł się znacznie lepiej, gdy po raz kolejny udało mu się zbić ją z tropu. Szybko podał adres taksówkarzowi, po czym odwrócił się do partnerki.

- Znasz francuski? - zapytał.

- Tylko na tyle, żeby odróżnić w restauracji mózdzek cielęcy od kurczaka.

- Bardzo dobrze. Trzymaj buzię na kłódkę i pozwól, że głównie ja będę mówił. W żadnym wypadku nie możesz okazać się zbyt bystra.

- Domyśliłam się już, że gustujesz w kobietach z magazynów dla panów. Efektownych i dwuwymiarowych.

- Tak, a do tego takich, które nie odzywają się zbyt często. Jeśli już musisz coś powiedzieć, uważaj na swój irlandzki akcent. Mieszkasz w Nowym Jorku na tyle długo, że chyba możesz mówić jak nowojorczyca.

Wyjeżdżali właśnie z turystycznej części miasta, która pełna była hoteli i dużych, nowoczesnych sklepów. Blżej portu znajdowała się część arabska, otoczona murami i pełna wąskich, krętych uliczek. Przy innej okazji Gillian byłaby zafascynowana ich widokiem i natychmiast zapragnęłaby wysiąść, aby rozejrzeć się, odetchnąć egzotycznym zapachem i

dotknąć ścian budynków. Teraz jednak było to dla niej tylko miejsce, gdzie mogli znaleźć jakąś wskazówkę dotyczącą miejsca pobytu Flyna.

Trace - albo Cabot, jak usiłowała o nim myśleć - zapłacił taksówkarzowi i wysiedli z samochodu na ulicę pełną małych sklepików. Orientalne barwy, bazyry, mężczyźni w długich szatach - wszystko to składało się na tak charakterystyczną arabską egzotykę. Aleja kryła się w cieniu, na wystawach piętrzyły się pamiątki dla turystów, tkaniny i wyroby tutejszych rękodzielników. Łagodny wiatr niósł ze sobą zapach wody, przypraw i dawno nie wyrzucanych śmieci.

- Tu jest zupełnie inaczej. - Gillian znowu wsunęła rękę pod ramię Trace'a. - Czytałam o takich miejscach, ale w rzeczywistości nie sposób ich opisać słowami. Tu jest lak... egzotycznie.

Trace natychmiast pomyślał o biednej dzielnicy, którą odwiedził zaledwie godzinę wcześniej; o rozpadających się domach i biedzie tak nieodległej od tego zachwycającego miejsca. Cóż, slumsy to zawsze slumsy, niezależnie od języka czy kultury.

- Wejdziemy tutaj. - Zatrzymał się naprzeciwko sklepu jubilerskiego. - Uśmiechaj się i wyglądaj na idiotkę.

Gillian spojrzała na niego wymownie.

- Nie wiem, czy umiem, ale zrobię, co w mojej mocy.

Gdy weszli, zabręczały umieszczone nad drzwiami dzwoneczki. Za ladą stał mężczyzna o śniadej twarzy i siwiejących włosach. Popatrzył na nich, w jego oczach od razu pojawił się błysk zrozumienia, po czym natychmiast powrócił do klientów targujących się właśnie o cenę złotej bransolety. Trace założył ręce za plecami i zaczął przyglądać się biżuterii umieszczonej pod szkłem.

Sklep miał nie więcej niż trzy na cztery metry, na jego tyłach znajdowało się zasłonięte kotarą pomieszczenie. Wokół rozlegała się delikatna muzyka, jakieś flety, które kojarzyły się Gillian z pasterzami przygrywającymi swoim stadom. Czowała też zapach przypraw - goździków i imbiru. Podłoga była tu drewniana i mocno zniszczona. Choć biżuteria lśniła, szyby były brudne, zakurzone, pełne siadów po tłustych palcach.

- *Bonsoir*. - Sprzedawca zakończył transakcję i zatarł dłonie. - Minęło dużo czasu, przyjacielu - zwrócił się do Trace'a. - Nie oczekiwałem, że zobaczę cię jeszcze kiedyś w moim sklepie.

- Trudno, żebym przyjechał do Casablanki i nie odwiedził tak drogiego mi człowieka, al - Aziz.

Sprzedawca z zadowoleniem skinął głową, najwyraźniej już podekscytowany perspektywą jakiejś zyskowej transakcji.

- Przybywasz w interesach - bardziej stwierdził niż zapytał.

- W interesach... i dla rozrywki - skinął głową w stronę Gillian.

- Jak zwykle masz dobry gust.

- Jest niebrzydka - powiedział nonszalancko Trace. - I na tyle głupia, żeby nie zadawać niepotrzebnych pytań.

- Chcesz jej kupić jakiś drobiazg?

- Być może. Ale mam też coś do sprzedania. Zirytowana niemożnością wzięcia udziału w rozmowie.

Gillian przysunęła się do Trace'a i zarzuciła mu rękę na szyję, mając nadzieję, że wygląda wystarczająco seksownie.

- Mogłam zostać w hotelu, skoro przez cały wieczór zamierzasz gadać po francusku - powiedziała po angielsku z nowojorskim akcentem.

- Bardzo przepraszamy, *mademoiselle* - odparł al - Aziz bezbłędną angielszczyzną.

- Nie ma za co przepraszać. - Trace poklepał Gillian po policzku. - Wybierz sobie coś ładnego, króliczku.

Miała ochotę go uszczyplić, jednak zamiast tego zatrzepotała tylko powiekami.

- Co tylko zechcę, Andre?

- Oczywiście. Wybierz to, co ci się podoba.

A pewnie, że wybiorę, pomyślała, pochylając się nad klejnotami niczym dziecko nad ladą z lodami w cukierni. Wybiorę coś ładnego i nieprzyzwoicie drogiego.

- W porządku. Teraz możemy rozmawiać, *mon ami* - powiedział Trace. Oparł się o ladę i złączył dłonie. - Moja towarzyszka nie zna francuskiego, więc nic musisz się obawiać. Rozumiem, że nadal masz dobre powiązania.

- Jestem szczęśliwym człowiekiem, Andre.

- Pamiętasz nasz ostatni interes? Przychodzę, żeby zaproponować ci kolejny.

- Zawsze chętnie rozmawiam o interesach.

- Wiem o tym. Mam dobry towar, który został odebrany naszym kapitalistycznym przyjaciółom. Jest zbyt niebezpieczny, abym mógł trzymać go w nieskończoność. Moje źródła powiadomiły mnie, że jedna z waszych organizacji przeniosła swoją kwaterę do Maroka. Może być zainteresowana moim towarem. Oczywiście, po obecnej rynkowej cenie...

- Oczywiście. Ale czy zdajesz sobie sprawę, przyjacielu, że ta organizacja jest równie niebezpieczna, co towar, który zamierzasz sprzedać?

- W ogóle mnie to nie interesuje, jeśli marża będzie dostatecznie wysoka. Podejmiesz się poprowadzenia negocjacji?

- Dziesięć procent, jak zawsze?

- Naturalnie.

- Zobaczą. Być może będę mógł pomóc. Daj mi dwa dni. Gdzie mogę cię znaleźć?

- To ja ciebie znajdę, al - Aziz. - Trace uśmiechnął się i potarł dłonią szczękę, dokładnie tak, jak robił to Andre” Cabot w czasie swojej ostatniej wizyty na arabskiej ziemi. - Aha, jeszcze jedno. Słyszałem interesującą plotkę. Podobno ta organizacja zatrudniła pewnego naukowca. Gdybym dowiedział się czegoś o nim, twój zysk mógłby wzrosnąć do dwudziestu procent...

- Nie można wierzyć plotkom, przyjacielu.

- Tak, ale często tkwi w nich ziarno prawdy. - Trace wyciągnął portfel i wyjął z niego kilka banknotów, które zniknęły błyskawicznie w fałdach szaty al - Aziza.

- Kochanie, czy mogę wybrać te? - Gillian przerwała im rozmowę, złapała Trace'a za ramię i wskazała na parę długich złotych kolczyków z czerwonymi kamykami. - To rubiny - dodała z głośnym westchnieniem, chociaż doskonale wiedziała, że to tylko barwione szkło. - Wszyscy w Stanach umrą z zazdrości. Kochanie, kupisz mi je?

- Tylko tysiąc osiemset drachm, *mademoiselle* - odpowiedział sprzedawca z usługowym uśmiechem. - Jak dla ciebie i dla twojej damy, tysiąc sześćset, przyjacielu.

- Kochanie, błagam! - jęknęła Gillian. - Są cudowne! - Trace stropił się nieco, ale zaraz skinął głową i sięgnął po portfel. Udało mu się jednak uszczypnąć mocno Gillian, kiedy sprzedawca wyjmował kolczyki z szufladki.

- Założę je od razu. - Gillian zapięła kolczyki na uszach.

- Oczywiście - Trace uśmiechnął się do niej, po czym zwrócił się po francusku do Araba: - Dwa dni. Wrócę za dwa dni.

- Dobrze. I przyprowadź swoją panią - uśmiechnął się sprzedawca. - Może przy okazji i ja ubiję jakiś interes.

Kiedy znaleźli się na ulicy Trace warknął groźnie:

- Mogłaś wybrać jakieś szklane paciorki!

- Nie irytuj się, kochanie. Kobieta taka jak ja nigdy nie zadowoliliby się szklanymi paciorkami. Choć była na tyle głupia, aby wziąć te szkiełka za rubiny. Chciałam po prostu dobrze odegrać swoją rolę. Nie jesteś ze mnie zadowolony?

- Jestem. - Na Gillian kolczyki wyglądały o wiele lepiej niż za ladą. - Nieźle ci poszło.

- Och, wzruszył mnie ten komplement.

- Trzymaj tak dalej.

- No, tak już lepiej. Powiesz mi wreszcie, o co chodziło?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dobrze, że przynajmniej nie musiałam zostać w hotelowym pokoju.

Tą właśnie myślą pocieszała się Gillian, siedząc w hałaśliwym klubie wypełnionym dymem, gwarem rozmów i ogłuszającą muzyką. W dłoni trzymała kieliszek wina i rozglądała się ciekawie wokół siebie. W przeważającej części klientami klubu byli młodzi Europejczycy, toteż miejsce to przypominało do złudzenia podobne lokale w Londynie, Dublinie czy Paryżu.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że przez ostatnie dwa tygodnie widziała więcej świata niż przez całe swoje życie. Cóż, nigdy nie tęskniła za podróżami i przygodami, lecz teraz, gdy z konieczności ich zasmakowała, całkiem jej się podobały. Gdyby jeszcze udało się znaleźć krewnych. W końcu po to lula się po świecie.

- Musisz mi powiedzieć, o czym rozmawialiście - przysunęła się do Trace'a - no i co załatwiłeś.

Trace wybrał ten klub, gdyż był najbardziej chyba hałaśliwym miejscem w Casablance. Wiedział, że cokolwiek powie, nie wyjdzie to poza najbliższy stolik. Prawdę mówiąc, wybrał to miejsce także dlatego, by nie wracać zbyt szybko do hotelu, gdzie znalazłby się z Gillian sam na sam.

- Al - Aziz to biznesmen, tak jak Cabot. - Nachylił się do jej ucha. - Złożyłem mu propozycję.

- Co to ma wspólnego z Flynnem?

- Zainteresowałem al - Aziza. Może teraz on zainteresuje tym ludzi z „Młota”. Ustalimy spotkanie. Dowiem się czegoś.

- Masz zamiar się z nimi spotkać? - Z jakiegoś powodu ta perspektywa wprawiła ją w przerażenie. Bała się. Bała się o niego. - Przecież wiesz, kim jesteś.

Trace upił nieco whisky i zaczął się zastanawiać, ile czasu, minie, zanim powróci do kraju, w którym barmani wiedzą, jak przyrządza się drinki.

- Abdul wie - odparł. - I tylko on. Ale płotki nie uczestniczą w negocjacjach. Zwłaszcza jeśli chodzi o broń.

- Broń? - Gillian zniżyła głos. - Zamierzasz sprzedawać karabiny?

- Zamierzam, żeby tak pomyśleli.

- Przecież to szaleństwo. Pozorować sprzedaż broni terrorystom? Musi istnieć jakiś lepszy sposób.

- Pewnie. Powiniennem pójść do Al - Aziza i powiedzieć mu, że nazywasz się Gillian Fitzpatrick, a twój brat został porwany przez „Młot” - Potem zaś odwołać się do jego uczuć i poprosić o pomoc w uwolnieniu Flynna. Jeszcze przed wschodem słońca znalazłabyś się w takiej samej sytuacji, co on. A ja już bym nic żył.

- Nie wiem. Mimo wszystko twój sposób to dla mnie szaleństwo.

- Może. Ale pamiętaj, że stawka jest wysoka. I dla ciebie i dla mnie. Ty kieruj się swoimi zasadami, a ja będę się kierował swoimi. Zobaczysz, że za kilka dni porozmawiam z generałem osobiście. I mam dziwne wrażenie, że twój brat będzie w pobliżu.

- Naprawdę sądzisz, że Flynn gdzieś tu jest? - Pochyliła się i dotknęła jego dłoni. - Boże, chciałabym mieć taką pewność.

- Sprawdziliśmy. Są w Maroku. Rory potwierdził, że samolot odlatywał do Casablanki. Nie wiem, czy Flynn jest teraz akurat tutaj, ale z pewnością tu był. Dlatego musimy zacząć od tego miejsca.

Wydawał się tak pewny, tak przekonany do swojego planu, że nie pozostawało jej nic innego, jak mu uwierzyć.

- Spotkałeś już wcześniej Al - Aziza, prawda? - zapytała. - Wydawało mi się, że cię zna.

- Robiliśmy już kiedyś interesy - Trace odparł wymijająco.

- Korzystałeś z jego pośrednictwa, żeby sprzedać broń?

- Nic ja. Moja firma. Kilka lat temu pracowaliśmy nad sprowokowaniem zamachu stanu. Międzynarodowy system bezpieczeństwa miał go anonimowo wesprzeć. Cabot nieźle zarobił, Al - Aziz dostał swoją działkę, a światowa demokracja poczyniła znaczący postęp.

Gillian wiedziała, że takie polityczne machinacje się zdarzają. Sama dorastała w końcu w Irlandii - kraju od lat podzielonym przez wojnę domową. Jak widać intrygi i tajne spiski zdarzają się wszędzie, pomyślała, nawet w USA, które chce uchodzić za obrońcę swobód i demokracji.

- Tak się nie robi - powiedziała.

- Takie jest życie - odparł. - Większości rzeczy nie powinno się robić.

- Więc czemu się na nie godzisz? - Odsunęłaby się od niego, ale coś jej na to nic pozwalało. - Żeby wszystko było tak, jak wymyślili politycy?

Trace uśmiechnął się tylko. Kiedyś, tak dawno temu, że nic pamiętał już nawet kiedy, on również był idealistą i wierzył, że przez całe życie można robić tylko w, co piękne i szlachetne. Potem jednak przekonał się, że człowiek jest słaby, a świat skażony złem. Nie umiałby już chyba powiedzieć, gdzie i w którym momencie stracił swój idealizm i swoje zasady. Nawet go to już zresztą nie obchodziło.

- Robię tylko, co do mnie należy, Gillian - powiedział.

- Nie traktuj mnie jak bohatera.

- Nawet mi to nie przyszło do głowy - stwierdziła sucho.

- Po prostu sądziłam, że będzie nam łatwiej, jeśli cię zrozumiem. Ale, jak widzisz, nie rozumiem.

- Więc zrozum tylko, że zamierzam odnaleźć twojego brata i jego dziecko.

- A potem? Przejdziesz spokojnie na emeryturę?

- Właśnie tak, złotko.

Odwrocił głowę, wciągnął nosem otaczający go dym. Muzyka grała głośno, okropny drink jakoś dawał się wypić. Przyzwyczał się do takiego życia - Właściwie to od dziecka się przyzwyczajał, przecież nawet urodził się w jakiejś taniej budzie. Mówiąc krótko, Trace od dawna nie miał złudzeń, że życie może być piękne, bliźni szlachetni, a sumienie czyste.

Jednak obecność tej kobiety u jego boku, jej kłopotliwe pytania, szczery wzrok - wszystko to sprawiało, że jeszcze bardziej zaczynała uwierać go dotychczasowa egzystencja. Już rok wcześniej zorientował się, że pragnie wydostać się z tego bagna, a teraz tęsknił za tym jeszcze mocniej, równie mocno, co dwanaście lat wcześniej, kiedy rzucił rodzinną trupę i wyruszył szukać szczęścia na własną rękę. Tyle że teraz nie mógł już pozwolić sobie na to, żeby po prostu odejść, wystawić kciuk i poczekać na okazję.

- Trace?

- Tak?

- O czym... - Nie wiedziała, O czym myślał, ale wyczuła nagle, że nie powinna go teraz o to pytać. - Dokąd pojedziesz... kiedy przejdziesz na emeryturę?

Rozpogodził się.

- Jest takie miejsce na Wyspach Kanaryjskich, gdzie mężczyzna może zrywać owoce prosto z drzew i spać w hamaku z gorącą kobietą u boku. Woda jest tam przejrzysta jak szkło, a ryby wskakują wprost do rąk. - Upił spory łyk. - Mając sto tysięcy dolarów, żyłbym tam jak król.

- O ile wcześniej nie umarłbyś z nudów.

- Ee... - machnął ręką - miałem wystarczająco dużo podniet. Wystarczy na jakieś czterdzieści lat. Kobiety o miodowozłocistej skórze, świeże owoce... - rozmarzył się. - Zamierzam dobrze się bawić.

Głos, który mu odpowiedział, przeraził go i natychmiast odebrał ochotę do marzeń.

- Andre! - usłyszał nad uchem i zanim zdążył się poruszyć, zatonął w ognistym pocałunku. Chryste, znał tylko jedną kobietę, która pachniała niczym cieplarniany kwiat, a całowała jak wampir.

- Désirée! - Przejechał dłonią po jej nagim ramieniu, gdy usiadła mu bez pytania na kolanach. - A więc wciąż jesteś w Casablance?

- Oczywiście. - Kobieta roześmiała się gardłowo i odrzuciła do tyłu gęste, kruczoczarne włosy. - Teraz mam udziały w klubie.

- Wybiłaś się.

- Wiadomo. - Désirée miała skórę jak magnolia i przesiąknięte trującym jadem serce. Mimo to Trace wciąż czuł do niej sympatię. - Wysłałam za Amira. Jest na zapleczu, inaczej już poderżnąłby ci gardło za to, że mnie dotknąłeś.

- To znaczy, że nic się nie zmieniło.

- Ty na pewno nie. - Ostentacyjnie ignorując Gillian, Désirée pogłaskała go zalotnie po twarzy. - Och, Andre, przez całe tygodnie czekałam na twój powrót.

- Czyli pewnie przez kilka godzin.

- Na długo przyjechałeś?

- Na kilka dni. Pokazuję mojej przyjaciółce uroki północnej Afryki.

Désirée omiotła Gillian spojrzeniem, po czym ponownie ją zignorowała.

- Kiedyś wystarczały ci moje wdzięki - westchnęła.

- Twoje wdzięki mogłyby zadowolić całą armię mężczyzn. - Trace podniósł szklanekę,

przez cały czas nie spuszczać oka z drzwi prowadzących na zaplecze. Wiedział, że Désirée nie przesadziła, mówiąc o Amirze. - Dobrze, że na ciebie trafiłem, skarbie. Mam do załatwienia mały interes. Nadal interesujesz się tym, co dzieje się dookoła?

- Mogę zrobić coś dla ciebie. Za odpowiednią cenę.

- Flynn Fitzpatrick. Naukowiec. Irlandczyk z małą córeczką. ile muszę zapłacić, żeby dowiedzieć się, czy są w Casablance?

- Jak dla ciebie... wspaniałego, starego przyjaciela... pięć tysięcy franków!

Trace delikatnie zsadził ją z kolan, po czym sięgnął po portfel.

- Połowa - powiedział, wręczając jej pieniądze. - Na zachętę.

Désirée złożyła plik banknotów i włożyła je do buta.

- Warto było znów cię zobaczyć, Andre - powiedziała.

- Ciebie również. - Wstał i musnął ustami jej dłoń. - Nie pozdrawiaj tylko ode mnie Amira.

Dziewczyna ponownie się roześmiała i chwilę potem zniknęła w tłumie.

- Masz bardzo interesujących przyjaciół - mruknęła Gillian.

- Tak. Może kiedyś urządzę zlot. Chodźmy stąd, dobrze? Gillian z przyjemnością wyszła z zadymionego klubu na świeże, nocne powietrze.

- O czym rozmawialiście? - zapytała.

- Wspominaliśmy dawne czasy.

- Pewnie też były interesujące.

Wbrew sobie musiał się uśmiechnąć. Désirée miała serce z kamienia, ale za to jaką wyobraźnię!

- Bywało ciekawie - przyznał.

Gillian milczała przez chwilę, wreszcie zapytała, choć i on, i ona dobrze wiedzieli, ile trudu kosztowało ją wypowiedzenie tych słów.

- Czy ona... ta kobieta... jest... w twoim typie? - Trace zakaszła dyplomatycznie.

- Powiedzmy, że Désirée sama w sobie jest specyficznym typem.

- Bez wątplenia. Wątpię jednak, czy jest taka atrakcyjna, kiedy zmyje już z siebie te

trzy warstwy makijażu.

- Nie musisz być zazdrosna, złotko. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Znamy się jak łyse konie.

- Zazdrosna? - powiedziała z udawanym zdziwieniem, chociaż z rozpaczą musiała przyznać, że to właśnie zazdrość popsuła jej humor. - Czy sądzisz, że mogłabym być zazdrosna o jakąś kobietę, którą... którą...

- No, powiedz do końca.

- Nieważne. - Strząsnęła z ramienia jego rękę. - Za co jej zapłaciłeś?

- Żeby poszukała dla nas informacji.

- Ona?

- A dlaczego by nie?

Gillian nie mogła zasnąć. Odzyskała zapał i energię, której tak bardzo brakowało jej w ciągu ostatnich kilku dni. Nic bez znaczenia był tu fakt, że znalazła się w egzotycznej Afryce, na kontynencie, o którym dotąd jedynie czytała w książkach. Gdzieś na południu była Sahara, zaś Atlantyk zaledwie kilka kroków od hotelu. Z tej strony świata wydawał się zupełnie innym oceanem. Nawet gwiazdy wydawały się inne.

Nie przeszkadzała jej ta odmienność. Podświadomie chyba zawsze szukała odmiany i była otwarta na nowe doświadczenia. Gdyby tak nie było, nie wyemigrowałaby do Ameryki. A gdyby nie wyemigrowała, zostałaby w Irlandii, pracowała wraz z ojcem i nigdy nie osiągnęła tego, co osiągnęła. Tak, zmiany powodowały nowe wyzwania, a te zmuszały do nowych wysiłków. Pokonując zaś przeciwności i wychodząc naprzeciw wyzwaniom, człowiek doskonalił się i rozwijał.

Owinęła się szlafrokiem, po czym otworzyła drzwi na taras. Najnowsze wyzwanie zdawało się trudniejsze niż wszystkie poprzednie. Była w Afryce i musiała odnaleźć Flynn'a i Caitlin; odnaleźć ich przy pomocy mężczyzny, który intrygował ją i jednocześnie miał za nic, który w mgnieniu oka potrafił zmienić swoją tożsamość i dla którego moralne zasady były zaledwie garścią pustych frazesów.

Westchnęła i przechyliła się przez poręcz, aby popatrzeć na światła Casablanki. Trace mówił, że nie wierzy w naprawianie świata, a tylko w fachowo wykonaną robotę. Z jakiegoś powodu jednak mu nie wierzyła. Dlaczego? Przecież te słowa pasowały dobrze do jego

wizerunku.

Nie pasowały jednak do tego, co czuła w stosunku do Trace'a. Mówiąc inaczej, Gillian chciała, żeby Trace był inny. Wierzyła, że jest inny.

Niemalże od pierwszej chwili pociągał ją, a jednocześnie odpychał. Miał w oczach gorycz, pustkę, smutek, a zarazem dziwną czułość i namiętność. W taki właśnie sposób spoglądał na nią na szczycie Piramidy Magów. Choć wydawało się to nie do pogodzenia, był jednocześnie szlachetnym marzycielem i cynicznym nihilistą.

I właśnie to rodziło w niej niepokój. Przez całe życie wierzyła w wyraźny rozdział między dobrem a złem. Dopóki nie spotkała Trace'a, nie zdawała sobie sprawy z tego, że istnieją rozmaite odcienie dobra i zła, bieli i czerni. Nigdy też nie myślała, że może spodobać się jej człowiek, który nie jest jednoznacznie dobry, lecz składa się właśnie z takich odcieni.

To był fakt. Nie teoria, nie hipoteza - fakt. Trace podobał się jej i podświadomie, mimowolnie, intuicyjnie wierzyła mu mimo wszystko. Wierzyła mu i wierzyła w niego.

Jakby zaś tego było mało, okazało się, że jest o niego zazdrosna. Kiedy tamta kobieta przyssała się do niego w klubie, kiedy mruczała mu do ucha jakieś wyznania po francusku i oplatała rękami jego szyję, Gillian miała ochotę złapać ją za włosy i wyrwać parę tych utapirowanych kudłów. A przecież takie zachowanie nie leżało w jej naturze.

Skrzyżowała ramiona na piersi i wbiła wzrok w światła, które rozświetlały miasto. Nagle usłyszała za sobą dziwny dźwięk i odwróciła się, aby ujrzeć przed sobą zapaloną zapalną.

To był Trace. Jego twarz kryła się w cieniu, podobnie jak on sam, nie ujawniając się do tej pory. Ciekawe, jak długo stał tak w ciemnościach na tarasie i przyglądał się jej nocnym rozmyśleniom.

- Nie wiedziałam, że tu jesteś.

- Jestem.

- Nie mogłam zasnąć.

- To zmiana czasu.

- Pewnie tak. - Oparła dłonie na poręcz. Och, gdyby jej bezsenność rzeczywiście była spowodowana tylko zmianą czasu! - Ale dlaczego ty nic śpisz? Sądziłam, że przywykłeś do częstych zmian.

- Podoba mi się ta noc. Po prostu. - Była to prawda, ale Trace wyszedł na taras także dlatego, że dręczył go trudny do wytłumaczenia niepokój. No i dlatego, że nic mógł przestać o niej myśleć.

- Rzeczywiście jest piękna. Czasami wychodzę nocą na dach budynku, w którym mieszkam. Tylko w ten sposób można zobaczyć gwiazdy w Nowym Jorku. - Gillian uniosła twarz do góry. - Za to w Irlandii wystarczyło tylko wyjść na zewnątrz albo podejść do okna... Trace?

- Tak?

- Czy często zdarza ci się tęsknić?

- Za czym?

- Za domem. Zaciągnął się papierosem.

- Mówiłem ci już. Nie mam domu.

- A więc Wyspy Kanaryjskie? - Przysunęła się nieco bliżej. - Tylko jak długo człowiek może odżywiać się wyłącznie owocami i rybami?

- Do końca życia.

Zadrzała. Jednak nie z powodu chłodu, który przyszedł wraz z nocą, lecz dlatego że spostrzegła, iż Trace ma na sobie tylko powyciągane bawełniane spodnie, jego tors jest zaś nagi. Przypomniała sobie nagle, jak dobrze jej było, gdy trzymał ją w ramionach. I jak źle, kiedy się od niej odsunął.

- Zastanawiam się, od czego uciekasz - westchnęła.

- Do czego. - Trace zmiądzzył niedopałek i rzucił go z balkonu na ulicę. - Do luksusowego życia, złotko. Do kokosowego mleka i półnagich kobiet.

- Nie sądzę. To nie twój styl. Poświęcałeś się dla dobra innych...

- Właśnie. - Nieświadomie potarł bliznę na torsie. - Teraz chcę poświęcić trochę czasu samemu sobie.

- Wiesz, kiedy pan Forrester opowiadał mi o tobie, stwierdził, że gdybyś nieco bardziej stosował się do przepisów, stałbyś już na czele waszej organizacji.

- Charlie miał zawsze skłonność do przesady.

- Był z ciebie niezwykle dumny.

- Bo zwerbował mnie i wyszkolił. - Trace przysunął się do poręczy. - Lubił myśleć, że odwalił kawał dobrej roboty.

- Nie - Gillian pokręciła głową - to chyba jednak coś więcej. Uczucie i duma nie zawsze idą w parze. - Od razu pomyślała o swoim ojcu. - Powinieneś się cieszyć, że lubił cię takiego, jakim jesteś i takiego, jakim stałeś się dzięki niemu. Wiem, że ci na nim zależało i że robisz to wszystko nie tylko dla mnie, a właściwie moich pieniędzy, ale też dla niego.

Wiem, twoje powody nie powinny mnie interesować. Ale interesują... Trace?

Znów poczuł jej słodki zapach. Była teraz blisko, tak bardzo blisko, że niemal czuł w powietrzu jej oddech. Nie odwrócił jednak twarzy. Nie chciał na nią patrzeć, nie w świetle księżyca.

- Tak?

- Wiem, że Flynnowi i Caitlin nic się nie stanie. Czuję to. Wiem, że wkrótce będą bezpieczni, ponieważ ty tu jesteś. - Mogła teraz wyciągnąć rękę i dotknąć go, lecz nic zrobiła tego. - A kiedy już ich odzyskam - mówiła dalej - nigdy nie będę w stanie ci się odwdziżyć. Chcę więc... chcę, żebyś wiedział już teraz, że niezależnie od tego, co się stanie, niezależnie od tego, co trzeba będzie zrobić, jestem ci wdzięczna.

- To moja praca - powiedział przez zaciśnięte zęby, ponieważ jej niski, ciepły głos sprawiał, że zaczynał o tym zapominać. - Nie rób ze mnie rycerza na białym rumaku, Gillian.

- Nie, nie jesteś rycerzem, ale chyba zaczynam rozumieć, kim jesteś. - Zrobiła krok w kierunku drzwi prowadzących do pokoju. - Dobranoc.

Nie spodziewała się odpowiedzi, więc zamknęła drzwi za sobą.

- Czy naprawdę sądziłeś, że będę w stanie łązić sobie spokojnie po sklepach i robić fotografie jak zwykła turystka?

Trace podprowadził Gillian do kolejnej wystawy.

- Dzisiaj jesteś tylko i wyłącznie turystką - odparł. - Okaż trochę entuzjazmu.

- Trace, mój brat i moja bratanica zostali porwani. Trudno mi będzie wykrzesać z siebie entuzjazm. Zwłaszcza na widok tej sterty śmieci.

- To autentyczna sztuka północnej Afryki.

- Możliwe. Tylko że tracimy czas zamiast coś robić.

- Masz może jakieś propozycje? - spytał cicho, ciągnąc ją uparcie za sobą. - A może chcesz, żebym do miejsca uwięzienia twojego brata wdarł się dzielnie z nożem w zębach?

- Nawet to wydaje się rozsądniejsze niż kupowanie tej tandety i robienie zdjęć - odpaliła.

- Posłuchaj, Gillian. Po pierwsze, nie mam pojęcia, gdzie go przetrzymują. Po drugie, gdybym zachowywał się jak bohaterowie sensacyjnych filmów, już bym nie żył, a sytuacja twojego brata niewiele by się zmieniła. Usiądźmy - wskazał ocieniony stolik na tarasie niewielkiej kafejki - dlaczego mi nie powiesz, co cię gryzie?

- Sama nie wiem. - Nasunęła mocniej okulary na nos. - Jak myślisz, może ma to jakiś związek z uprowadzeniem Flynna i Caitlin?

- Nie pasuje do ciebie ten sarkazm. - Trace zamówił dwie kawy, po czym wyciągnął wygodnie nogi. - Już wczoraj byłaś zdenerwowana.

Gillian zapatrzyła się w swoje dłonie.

- Nie mogłam spać - westchnęła. - Od północy leżałam w oczekiwaniu na nadejście poranka. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, którego nie mogłam się pozbyć - jakby coś wymykało mi się z rąk, jakby było już za późno na ratunek. A przecież jednocześnie mówiłam ci, że wierzę, iż Flynn i Caitlin się odnajdą, pamiętasz? Boże, czy ja zwariowałam. Trace? - Zerknęła na niego, pewna, że za chwilę się roześmieje.

On jednak powiedział tylko bez specjalnego współczucia, lecz i bez złości:

- W ciągu ostatnich dni sporo przeszłaś. Byłoby dziwne, gdybyś spała słodko jak niemowlę.

- Dopóki widziałam, że coś robimy...

- Przecież robimy - przerwał jej i położył dłoń na jej dłoni. - Wypij swoją kawę - dodał i zabrał rękę, jakby zawstydzil się tego gestu.

Gillian uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Rozgryzłam cię wreszcie - powiedziała. - Kiedy tylko jesteś miły, kiedy okazujesz uczucia, od razu czujesz się niezręcznie.

- Nie jestem miły.

- Właśnie że jesteś, - Gillian uniosła do ust filiżankę. - Wolałbyś nie być, ale jesteś. No, może bywasz. Tak czy inaczej, trudno jest zmienić własną naturę. Możesz udawać przed

sobą nie wiadomo co, ale sam siebie nie oszukasz. Niezależnie od tego, jakim nazwiskiem się posłużysz i jak zmienisz swoją powierzchowność, zawsze będziesz tym samym Tracem O'Hurleyem, czułym marzycielem, który udaje twardziela i cynika.

- Gadanie - zachnął się. - Nie znasz mnie, nic o mnie nie wiesz.

- Jestem naukowcem. Nauczono mnie obserwować, analizować i wyciągać wnioski. Chciałbyś usłyszeć, co wywnioskowałam na twój temat?

- Nie.

Gillian nie zraziła się tą odpowiedzią. Była teraz bardziej pewna siebie niż kiedykolwiek. Może to jego aż nadto widoczne zażenowanie sprawiło, że poczuła się tak, jakby to ona przejęła inicjatywę w tej dziwnej grze, jaka od początku toczyła się między nimi.

- A jednak ci powiem - uśmiechnęła się przekornie. - Jesteś człowiekiem - który szukał przygód i podniet, i niewątpliwie znalazł ich więcej, niż oczekiwał. Wierzyłeś kiedyś w wielkie idee, w wolność, sprawiedliwość, prawo do decydowania o własnym losie; a wierzyłeś na tyle mocno, że postanowiłeś walczyć w ich obronie. W pewnej chwili straciłeś jednak złudzenia i omal nie straciłeś życia. Nic wiem, co cię bardziej zaniepokoiło - to pierwsze czy to drugie. W każdym razie teraz jesteś zmęczony i chwilowo masz wszystkiego dosyć. Sam tak zresztą powiedziałeś. Ale kłamiesz za każdym razem, kiedy udajesz, że w ogóle ci na tym nie zależy.

Znalazła się zbyt blisko sedna sprawy, by mógł pozwolić jej kontynuować tę przemowę. Nikt przed nią nie miał większej ochoty na analizy jego nastrojów i uczuć, a jemu żyło się z tym całkiem wygodnie. Wobec bliźnich zachowywał bezpieczny dystans i teraz odezwał się tylko po to, by przywrócić ów bezpieczny dystans między nim a Gillian:

- Jestem wyszkolonym kłamcą, złodziejem, oszustem i zabójcą. W tym, co robię, nic ma żadnych idei. Wypełniam tylko rozkazy, jak żołnierz, jak najemnik.

- Tak, ale sam dobrze wiesz, że nie jest ważne co, ale dlaczego robisz to wszystko. To właśnie pytanie zaczęło cię ostatnio dręczyć tak bardzo, że postanowiłeś uciec od niego na szczęśliwą wyspę, gdzie kobiety mają skórę barwy miodu, a ryby same garną się do ręki. Ale nic uciekniesz. Tracę. To pytanie zawsze będzie w twoim sercu, dopóki sobie na nie nic odpowiesz.

- Zdaje się, że jesteś fizykiem, a nie psychiatrą, prawda? - Tracę zgasił papierosa i popatrzył na nią z kwaśną miną.

- To tylko kwestia logicznej analizy pewnych faktów. - Odstawiła filiżankę na talerzyk. - Pozostaje jeszcze kwestia twojego zachowania wobec mnie. Najwyraźniej jesteś mną zainteresowany.

- Doprawdy?

Uśmiechnęła się do niego wyrozumiale. Zawsze czuła się bezpieczniej, kiedy mówiła głośno o pewnych sprawach.

- Chyba nie będziesz zaprzeczać, że wydaję ci się atrakcyjna, że cię pociągam. To nic przechwałki, to znów czysty, obiektywny fakt, wysnuty z pewnych doświadczeń i obserwacji. Twoje zachowania są jednak sprzeczne. Raz słuchasz instynktów, kierujesz się głosem swoich zmysłów, lecz zaraz potem wycofujesz się, a do głosu dochodzi twoja frustracja.

Boże jedyny, nie miał ochoty, aby ta kobieta analizowała i rozkładała na części pierwsze całą jego psychikę, nawet jeśli jej wnioski były w dużej mierze słuszne.

- Powinnaś być mi wdzięczna, że to robię - warknął.

- Dlaczego? Dlatego że jesteś taki niebezpieczny?

- Tak! Jestem najbardziej niebezpiecznym mężczyzną, jakiego w życiu spotkałaś!

Nie zamierzała się z nim o to spierać.

- Wyjaśniłam ci już wcześniej, że potrafię zadbać o swoje bezpieczeństwo - odparła spokojnie, po czym sięgnęła po kawę. Nie zdążyła jednak unieść jej do ust, bowiem nagle poczuła na przegubie uścisk dłoni Trace'a, tak silny, że aż zmrużyła powieki z bólu.

- Radzę nie być takim pewnym swego, pani doktor.

- Porwano mi rodzinę, widziałam trupa i zraniono mnie nożem. Niewiele możesz zrobić, jeśli chcesz jeszcze bardziej mnie przestraszyć. - Wyrwała rękę i spokojnie sięgnęła po filiżankę. Ten spokój był jednak pozorny; serce Gillian biło jak oszalałe.

- Mylisz się. - Tym razem to on się uśmiechnął. - Jeśli tylko zechcę, to przekonasz się na własnej skórze, jak bardzo się mylisz.

- Skończmy te pogrożki. - Z irytacją odstawiła filiżankę. - Czy możemy już iść?

- Nic, usiądź. - Nagła zmiana w jego głosie sprawiła, że Gillian posłuchała polecenia. - Dopij swoją kawę - dodał łagodnie i wyjął z torby aparat fotograficzny.

- Co się stało?

- Al - Aziz ma gościa. Widzisz?

Nacisnął guzik aparatu i sfotografował mężczyznę, który dwadzieścia metrów dalej wysiadł z czarnej limuzyny i zniknął w drzwiach znanego im z wczorajszej wizyty sklepiku. Trace uśmiechnął się z zadowoleniem. Znał tę twarz. Kendesa był prawą ręką generała, człowiekiem światowym i inteligentnym, który nie raz łagodził fanatyzm swojego zwierzchnika.

- Znasz go? - zapytała Gillian. - To dlatego chciałeś, żebyśmy wypili kawę właśnie tutaj?

- Tak. - Trace z przyzwyczajenia zrobił jeszcze dwa zdjęcia, po czym opuścił aparat.

- I co to oznacza?

- Że połknęli przynętę. - Gillian zwilżyła wargi.

- No dobrze. Co więc teraz zrobimy?

- Poczekamy. - Trace zapalił kolejnego papierosa. Gość al - Aziza spędził w sklepie dwadzieścia minut. Kiedy wychodził z powrotem na ulicę, Trace i Gillian nie siedzieli już przy stoliku. Kendesa wsiadł do samochodu, oni zaś do stojącej nieopodal taksówki.

- Proszę jechać za tym pojazdem - polecił Trace kierowcy, wyciągając z portfela banknoty. - Ale tak, żeby nie wzbudzać podejrzeń, rozumie pan?

Taksówkarz zgarnął pieniądze, zanim jeszcze włączył silnik.

- On wie, gdzie jest Flynn, prawda? - Gillian złapała Trację za nadgarstek.

- Wie.

- Co mu zrobisz? - Przycisnęła wolną dłoń do ust.

- Nic.

- Ale jeśli on...

- Najpierw przekonajmy się, dokąd jedzie.

Czarny samochód zatrzymał się przed jednym z luksusowych hoteli w dzielnicy handlowej. Trace poczekał, na Kendesa zniknie we wnętrzu budynku, potem zaś otworzył drzwi taksówki i powiedział:

- Zostań tutaj.

- Zaczekaj, ja chciałam...

- Zostań tutaj - powtórzył i już go nie było.

Czekała dobre dwadzieścia minut. Kiedy początkowy strach zastąpiła wreszcie irytacja, Gillian chwyciła za klamkę, lecz w tej samej chwili drzwi otworzyły się i ukazała się w nich zadowolona twarz O'Hurleya.

- Wybierasz się gdzieś? - zapytał. - Może pojedziemy razem? - Wsiadł do samochodu i podał kierowcy nazwę hotelu, w którym mieszkali.

- No i co? - spytała zniecierpliwiona.

- Zameldował się tu rano. Nie poinformował nikogo, na jak długo.

- Nie zamierzasz iść i zmusić go, żeby powiedział, gdzie jest Flynn?

- Pewnie. Wejdę do jego pokoju, przestraszę jego trzech ochroniarzy strzałem z papierowej torebki, po czym wyciągnę z nich prawdę. A wtedy zaprowadzą mnie grzecznie do twojego braciszka, ja oswobodzę go gołymi rękami, a publiczność będzie biła brawo.

- Czy nie za to ci płacę?

- Płacisz mi za to, żebym wyciągnął go z ich łap. całego i zdrowego. - Taksówka zajęła pod hotel, Trace wręczył kierowcy kilka dodatkowych banknotów i wysiadł, by otworzyć jej drzwi. - Zróbmy to więc po mojemu, zgoda? - dokończył. - Tak naprawdę będzie lepiej.

Gillian nie wystarczyły te słowa. Kiedy tylko znaleźli się w swoim apartamencie, znów zarzuciła go prośbami i pytaniami.

- Może jednak powiesz mi, co konkretnie zamierzasz? Jeśli masz jakiś plan, nadszedł chyba czas, abyś mnie wtajemniczył.

Trace zignorował jej wzburzenie. Podeszedł do łóżka i zaczął manipulować przy jakimś urządzeniu, które wyjął z torby, a które Gillian wzięła za walkmana.

- No nie, Trace, to naprawdę nic czasu na słuchanie muzyki. Chcę, żebyś o wszystkim mnie informował. Muszę wiedzieć...

- Zamknij się wreszcie, kobieto. - Pokręcił głową ze zniecierpliwieniem i cofnął taśmę. Usłyszeli głosy, ledwie słyszalne i dla Gillian zupełnie niezrozumiałe, jako że mężczyźni posługiwali się arabskim.

- Co to jest?

- To rozmowa naszych przyjaciół. Cholera, są zbyt daleko od pluskwy, którą wczoraj zostawiłem.

- Masz na myśli mikrofon? Nie zauważyłam, żebyś zakładał tam podsłuch.

- I całe szczęście. - Jeszcze raz przewinął taśmę.

- Przecież nie było żadnego miejsca, w którym można by go ukryć.

- No właśnie. Zostawiłem pluskwę niemal na widoku - wyjaśnił. - Łatwiej znaleźć rzeczy, które są dobrze schowane. Nigdy nie czytałaś Poego? A teraz bądź cicho i słuchaj.

Trace z trudem rozróżniał głosy, ale rozpoznał ten, który należał do al - Aziza. Zrozumiał rytualne formuły powitalne, jednak oprócz nich był w stanie przetłumaczyć zaledwie kilka zdań. Powtarzało się w nich nazwisko Cabota i jakieś zwroty dotyczące pieniędzy.

- O czym rozmawiali? - zapytała Gillian, kiedy wyłączył taśmę.

- Nie wiem. Nie znam aż tak dobrze arabskiego.

- Nie? - Z trudem ukryła rozczarowanie. Usiadła obok niego i przejechała dłonią po posmutniałej nagle twarzy. - Liczyłeś na to, że będą rozmawiali po francusku albo po angielsku?

- To by ułatwiło sprawę. - Trace wyjął kasetę i włożył ją do kieszeni. - Potrzebujemy teraz tłumacza.

- Znasz jakiegoś?

- Prawie każdy nam pomoże za odpowiednie wynagrodzenie. - Zerknął na zegarek. - O tej porze w klubie powinien być spokój. Pójdę do Désirée.

- Idę z tobą!

Zrazu chciał jej odmówić, ale zastanowił się przez chwilę.

- Proszę bardzo - zgodził się wreszcie. - Przydasz się na wypadek, gdyby kręcił się tam Amir. Jeśli przyjdę z tobą, nie będzie podejrzewał, że flirtuję z jego żoną.

- Cieszę się, że mogę ci się na coś przydać - powiedziała z przekąsem Gillian.

Désirée odnaleźli w apartamencie nad klubem. Mimo że zbliżało się południe, otworzyła im zaspana, w seksownym szlafroku, który prowokująco odsłaniał jedno ramię.

Jej oczy natychmiast rozjaśniły się na widok Trace'a.

- Andre! Co za niespodzianka! - Gdy ujrzała Gillian, zawahała się przez moment, zrobiła jednak krok do tyłu, aby ich wpuścić. - Zazwyczaj przychodziłeś sam - powiedziała po francusku.

- Wtedy nie byłaś mężatką. - Trace rozejrzył się po wielkim, pogrążonym w mroku pokoju, pełnym fikuśnych poduszek i figurek z porcelany. Pełno tu było mebli, na których z kolei ustawiono mnóstwo przedmiotów. Désirée zawsze miała bzika na punkcie posiadania wielkiej ilości rzeczy. Teraz mogła sobie na to wreszcie pozwolić. - Dobrze ci się wiedzie.

- W życiu idziemy taką drogą, jaką sami wybraliśmy. - Podeszła do stolika i wzięła do ręki papierosa. - Jeśli przyszedłeś po swoje informacje, to wiedz, że nie dałeś mi zbyt wiele czasu.

- Wiem. Przyszedłem w innej sprawie. - Przypalił jej papierosa. Désirée pachniała tymi samymi perfumami, co poprzedniego wieczoru, chociaż już nie tak silnie. - Upewnię się tylko najpierw... Czy jest twój mąż?

- Nie ma. Wyszedł w interesach. To bardzo zajęty człowiek.

- To dobrze. Lepiej, żeby mnie tu nie widział. Zawsze doskonale posługiwałaś się arabskim, Désirée, prawda? - Trace wyciągnął taśmę. - Dwa tysiące franków za tłumaczenie tej taśmy i natychmiastowy zanik pamięci.

Désirée wzięła taśmę i zważyła ją w dłoni.

- Dwa tysiące za tłumaczenie i trzy za utratę pamięci - uśmiechnęła się przebiegle. - Kobieta musi jakoś zarabiać na życie.

Kiedyś miałby wielką ochotę potargować się z nią. Teraz już nie. Ciekawe dlaczego.

- W porządku - odparł.

- Gotówką, skarbie. - Wyciągnęła przed siebie drugą dłoń.

Trace wręczył jej pieniądze, ona zaś podeszła do magnetofonu i włączyła kasetę. Gdy tylko usłyszała pierwsze słowa, wyraz jej twarzy zmienił się radykalnie. Już nic było na niej chytrego, pewnego siebie uśmieszku, lecz przerażenie.

Jednym ruchem palca wyłączyła sprzęt.

- To Kendesa - powiedziała. - Nie wspominałeś nic o Kendesie.

- Nie pytałaś. - Trace usiadł i kiwnął głową na Gillian, by do niego dołączyła. - Zawarliśmy umowę, Désirée. Jeśli będziesz grała według moich zasad, możesz czuć się bezpieczna.

- Obracasz się w bardzo złym towarzystwie, Andre. W bardzo złym. - Pokręciła głową, jednak nie wypuściła pieniędzy z dłoni. Po chwili zastanowienia wsunęła je do kieszeni szlafroka, ponownie uruchomiła magnetofon i zaczęła tłumaczyć: - Kendesa wita al - Aziza. Pyta, jak interesy. Mówią o tobie, o Francuzie, Cabocie, który ma interesującą propozycję. Propozycja skierowana jest do organizacji Kendesy. Al - Aziz zgadza się być pośrednikiem...

Ponownie wyłączyła sprzęt, przewinęła taśmę do tyłu i odsłuchiwała nagranie jeszcze raz.

- Kendesa jest bardzo zainteresowany tą ofertą. Jego źródła potwierdzają, że masz dostęp do broni, która płynie z USA do państw sojuszniczych na Bliskim Wschodzie. Dostawa towaru tej... - przez chwilę zastanawiała się nad odpowiednim słowem... - tej jakości bardzo interesuje zwierzchnika Kendesy. Ty także. Twoja reputacja jest zadowalająca, ale Kendesa woli zachować ostrożność. Jego organizacja zajmuje się akurat innym projektem, lecz twoja oferta jest kusząca i można z niej skorzystać. Kendesa godzi się, aby Al - Aziz zaaranżował spotkanie. Teraz rozmawiają o marży. O, to interesujące. Al - Aziz pyta o jakiegoś Fitzpatricka. Mówi Kendesie, że słyszał rozmaite plotki, ale Kendesa radzi mu, żeby zajął się swoim sklepem i trzymał język za zębami.

Désirée wyłączyła taśmę i wyjęła ją z magnetofonu.

- Powiedz mi, Andre, interesuje cię broń czy ten Irlandczyk?

- Interesuje mnie jak największy zysk. - Wstał i wyjął kasetę z jej dłoni. - No, co tam z twoją pamięcią, Désirée? O czym była ta rozmowa?

- Jaka rozmowa? Nic nie pamiętam. - Zaszeleściła banknotami w kieszeni. Uśmiechnęła się i położyła dłoń na jego torsie. - Przyjdź dzisiaj wieczorem na drinka, Andre. Sam.

Trace ujął ją za brodę i pocałował w policzek.

- Amir to zazdrosny facet, Désirée. Jest duży i umie posługiwać się nożem. Lepiej skupmy się na pielęgnowaniu wspomnień.

- Interesujących wspomnień - westchnęła i patrzyła, jak Trace idzie do drzwi. - Andre

- zawołała do niego, gdy kładł dłoń na klamce - ten Irlandczyk był w Casablance.

Trace zatrzymał się i objął ramieniem Gillian.

- A gdzie jest teraz? - zapytał.

- Zabrali go na wschód, w góry. To wszystko, co wiem.

- Było jeszcze dziecko.

- Tak. Dziewczynka. Jest razem z nim. Gdybym wiedziała, kto jest w to zamieszany, policzyłabym sobie więcej za zadawanie pytań.

- I tak policzyłaś sobie wystarczająco dużo. - Wyciągnął jeszcze kilka banknotów i położył je na stole. - O tym także zapomnij, Désirée. I baw się dobrze ze swoim dużym mężem. Zamknął za sobą drzwi, a wówczas Désirée przygryzła wargę, zastanawiając się nad czymś intensywnie. Wreszcie podeszła do telefonu i szybko wystukała numer.

- Był tutaj - odezwała się do słuchawki. - Oboje tu byli. Musimy się jakoś dowiedzieć, dokąd ich zabrali. O Boże, przecież byli tak blisko.

- Nie śpiesz się - usłyszała po drugiej stronie. - Góry na wschodzie to niezbyt dokładny adres.

- Ale zawsze to jakiś krok naprzód. Co teraz zrobimy?

- Zjemy lunch i poczekamy na następny ruch Kendesy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Chcę iść z tobą, Trace.

- Wykluczone. - Udało mu się wreszcie zawiązać znieawidzony krawat i teraz układał go przed lustrem.

- Nie podałeś mi żadnych argumentów. - Gillian wpatrywała się w niego z zaciekawieniem. Wyglądał tak elegancko, jakby stanął przed nią nagle całkiem inny mężczyzna, jakiś prawnik, bankier albo filmowy amant. Musiała naprawdę wiele ostatnio przejść, skoro mimo wszystko znacznie bardziej podobał jej się tamten szorstki, nieogolony brudas niż ten wyperfumowany światowiec.

- Nie muszę podawać. Oczekujesz ode mnie rezultatów.

- Tak, ale przecież od początku chciałam towarzyszyć ci we wszystkim krok po kroku.

- Ten akurat krok musisz sobie odpuścić, złotko. - Trace sprawdził spinki przy mankietach. - Zostań tu i grzecznie na mnie poczekaj. - Odwrócił się i poklepał ją przyjaźnie po policzku.

- Wyglądasz jak wykrochmalony bubek - powiedziała zgryźliwie.

- Nie musisz mnie obrażać. - Trace wziął do ręki aktówkę pełną notatek, które pracowicie przygotowywał przez pół nocy.

- Naprawdę uważam, że powinnam tam z tobą być.

- Nie, Gillian. Spotykam się z Kendesą. To bardzo niebezpieczny człowiek. Będziemy rozmawiać o interesach, podejrzanych interesach. Jeśli zabiorę ze sobą kobietę, aby przysłuchiwała się rozmowom o dostawie broni dla terrorystów, Kendesa zacznie coś podejrzewać. Zechce cię sprawdzić, a jeśli dobrze poszuka, z pewnością odkryje, że jesteś siostrą najcenniejszej zdobyczy jego organizacji. - Starł szmatką niewidoczny pyłek z buta. - Twoja obecność przy mnie w tej sytuacji to nie jest najlepszy pomysł.

Jego argumenty były zbyt logiczne, aby z nim się spierać.

- Ale ja nie jestem twoją kobietą! - odezwała się całkiem nielogicznie.

- Lepiej, żeby myśleli, że jesteś.

- Wolałabym chyba, żeby zakopali mnie po szyję w gorącym piachu!

- Zapamiętam te słowa - powiedział spokojnie. - Może zamiast się wściekać usiądziesz i przygotujesz listę kolejnych rzeczy, które wolałabyś od bycia moją kobietą? To powinno poprawić ci humor.

Otworzył drzwi, a wtedy jej złość ulotniła się w jednej chwili. Nagle Gillian zaczęła się bać o Trace'a O'Hurleya.

- Bądź ostrożny - powiedziała.

- Cóż za troska - zatrzymał się na chwilę - jestem wzruszony...

- Nie traktuj tego zbyt osobiście. Jeśli coś ci się przytrafi... będę zdana tylko na siebie.

Trace roześmiał się cicho i wyszedł na korytarz. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, zmienił wyraz twarzy, sposób poruszania się, a nawet posturę. Teraz był Andre Cabotem, który wyrusza w poszukiwaniu nowych transakcji i nowych zysków.

Darzył uczuciem każde ze swoich wcieleń. Bez tego trudno by mu było grać i być przekonującym. Andre Cabot był marudny, czasem nawet nadęty, ale miał za to doskonały gust i niesłychane powodzenie u kobiet. Trace bardzo go za to szanował.

A jednak urok Cabota w najmniejszym stopniu nie działał na Gillian. Najwyraźniej nie lubi Francuzów, uznał Trace, sadowiąc się w taksówce. Woli pewnie nudnawych amerykańskich naukowców w rodzaju Arthura Stewarda, z którym spędzała tyle czasu w Nowym Jorku. Facet był od niej piętnaście lat starszy i bardziej interesowały go białe myszki niż namiętne przygody. Trace sprawdził to ostatnio z pomocą kilku znajomych w centralnym archiwum wywiadu. Oczywiście, zrobił to z powodów zawodowych, stosując się do standardowej procedury. W grę nie wchodziły żadne motywy osobiste.

Dziwna kobieta - bezbronna, zagubiona, a zarazem pewna siebie i zdeterminowana. Logiczna i praktyczna aż do bólu, a jednocześnie marzycielka podatna na urok starożytnej architektury Majów. Wstydliva i namiętna, raz zimna, raz ognista Gillian Fitzpatrick wciąż stanowiła dla niego zagadkę, a przecież przywykł do tego, że płeć piękna nie ma przed nim żadnych tajemnic.

Miała rację co do jednego - pragnął jej, pożądał, tęsknił za jej bliskością aż do bólu. To zaś było śmiertelnie niebezpieczne - odwracało uwagę, osłabiało koncentrację.

Taksówka podjechała pod hotel. Trace starannie przeliczył banknoty, lak jak zrobiłby to zapewne Andre Cabot, po czym niechętnie dodał do sumy jak najmniejszy napiwek, wyglądził marynarkę i wysiadł z auta, by po chwili znaleźć się w obszernym hotelowym holu.

Od razu zauważył jednego z ochroniarzy Kendesy, lecz nie dał tego po sobie poznać i pewnym krokiem podszedł do rzędu wind. Był punktualny co do minuty, bowiem punktualność była koleiną charakterystyczną cechą Cabota. Winda zawiozła go na ostatnie piętro, do luksusowego apartamentu, chętnie rezerwowanego przez dygnitarzy i podróżujące głowy państw.

Drzwi otworzył mu arabski ochroniarz, który wyglądał dziwnie nieszczęśliwie w zachodnim garniturze z ciemnej wełny.

- Pana broń, *monsieur* - powiedział po francusku z silnym akcentem.

Trace sięgnął do marynarki i wyjął niewielki pistolecik. Cabot wolał nosić taki drobiazg niż rujnować nienaganną linię stroju masywnym kształtem rewolweru.

Ochroniarz schował broń, po czym wskazał ręką niewielki pokój gościnny. Na stoliku stała otwarta butelka wina oraz świeże róże w wazonie. Zasłony były zaciągnięte, drzwi na taras nie tylko zamknięte, ale wręcz zaryglowane.

Kendesa nie kazał długo na siebie czekać. Pojawił się prawie natychmiast i wyciągnął z uśmiechem dłoń na powitanie.

- Dzień dobry, panie Cabot. Miło mi pana poznać.

Nic - był to mężczyzna imponującej postury. Niewysoki, skromnie ubrany, nie nosił biżuterii ani jaskrawych szat jak jego szef. Miał ciemną cerę i był na swój sposób przystojny. Słowem, wzbudzał zaufanie, mimo że w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy to właśnie on był odpowiedzialny za egzekucję trzech politycznych zakładników, o czym Trace wiedział doskonale.

- Witam - odezwał się. - Mnie też jest miło. Interesy z konkretnymi partnerami to zawsze przyjemność.

- Nasz wspólny przyjaciel wspominał, że znajduje się pan w posiadaniu dóbr, które mogłyby nas zainteresować. Niech pan usiądzie. Może skosztuje pan wina? Myślę, że będzie panu smakowało.

Kendesa nalał dwa kieliszki. Trace poczekał, aż tamten spróbuje pierwszy, i dopiero wówczas uniósł trunek do ust. Wino było wytrawne i lekkie, dokładnie takie, jakie Cabot lubił najbardziej. Uśmiechnął się. Kendesa dobrze odrobił lekcje.

- Owszem - odezwał się, otarłszy usta serwetką. - Ostatnio wszedłem w posiadanie

towaru, którego, o ile wiem, szuka pana organizacja.

- Nasze źródła utrzymają, że transport przeznaczony jest dla syjonistów.

- Może. - Trace wzruszył ramionami. - Ja jestem człowiekiem interesu, *monsieur*. Nie mam poglądów politycznych, lecz marzę. Gdyby zaoferowano mi odpowiednio wysoką cenę, transport zmieniłby miejsce przeznaczenia. Transport albo tylko jego część...

- Jest pan bezpośredni i szczerzy. - Kendesa postukał paznokciem w kieliszek. - Ale z tego, co nam wiadomo, Stany Zjednoczone nie wysyłały ostatnio żadnych podobnych transportów. Ta wiadomość jest dla nas nieco zaskakująca i nieco... niepokojąca, rozumie pan, co mam na myśli.

- Tak, rozumiem. Powiedzmy, że udało nam się przygotować taki transport, choć z góry wiedzieliśmy, że coś może przytrafić mu się po drodze. I zrobiliśmy to dyskretnie, bo osobiście lubię załatwiać dyskretnie podobne interesy, - Trace odstawił wino i podniósł aktówkę. - Krótko mówiąc, w środku znajdzie pan listę broni znajdującej się w posiadaniu moich wspólników. Zapewniam, że jest ona najwyższej jakości. Osobiście sprawdziłem.

Kendesa wziął aktówkę z jego rąk.

- Jeśli o to chodzi, pańska opinia jest znakomita, panie Cabot.

- *Merci*, - Trace uśmiechnął się z zadowoleniem i patrzył, jak rozmówca wyjmuje listę broni, przebiega ją wzrokiem, a potem lekko unosi brwi ze zdziwienia.

- TS - 35? Moje źródła twierdzą, że kilka miesięcy temu wstrzymano produkcję tej broni.

- Blef. Może pan dostać sprzęt wyprodukowany i przetestowany równo pięć tygodni temu. To wspaniała robota. Lekka i poręczna. W niektórych dziedzinach trudno odmówić talentu tym Amerykanom. - Wyciągnął kolejny dokument. - Moi wspólnicy i ja ustaliliśmy już cenę, więc wołałbym się nie targować. Oczywiście, możemy zorganizować dostawę w każdej chwili.

- Ta cena wydaje się nieco wysoka.

- Inflacja. - Trace rozłożył bezradnie ręce. - Sam pan rozumie.

- Jestem ostrożnym człowiekiem, panie Cabot, wie pan o tym. Zanim rozpoczniemy negocjacje, będziemy musieli sprawdzić część towaru.

- Naturalnie. Jeśli pan sobie życzy, osobiście tego dopilnuję. - W zamyśleniu potarł

szczękę. - Przygotowanie wszystkiego zajmie mi kilka dni. Tylko że... wolałbym to zrobić w jakimś bezpiecznym, sprawdzonym miejscu. Widzi pan, w dzisiejszych czasach trzeba zachować szczególną ostrożność.

- Rozumiem. Generał przebywa obecnie na wschodzie. Tego rodzaju transakcja i tak nie może być dokonana bez jego Zgody. Mamy czas.

- Oczywiście, nie musimy się spieszyć. Zwłaszcza że... sam chciałbym dobić targu z generałem. Zdaję sobie sprawę, że kupno i sprzedaż to pańska domena, ale przy takich rozmiarach transakcji wolałbym mieć szczególne gwarancje wypłacalności i bezpieczeństwa. Mam nadzieję, że nie uraziłem pana przy okazji swoją ostrożnością.

- Nie. Proszę dostarczyć sprzęt do sprawdzenia w ciągu tygodnia, - Trace wiedział, że tyle właśnie czasu potrzebuje „Młot” na sprawdzenie wiarygodności Cabota w tym przedsięwzięciu. - A co do miejsca spotkania... Generał przeniósł kwaterę na wschód od Sefrou, w okolicę, którą nazwał el Hasad. Nawiążemy z panem kontakt w Sefrou i przewieziemy pana w odpowiednie miejsce.

- Dobrze. Ja w tym czasie skontaktuję się z moimi współnikami, ale nie sądzę, aby stanęły nam na drodze jakieś przeszkody. A więc - do zobaczenia za tydzień.

- Chwileczkę. Mam jeszcze pytanie innej natury, *monsieur*. - Kendesa podniósł się z miejsca w ślad za Trace'em. - Wypytywał pan o pewnego naukowca, który ostatnio dołączył do naszej organizacji. Ciekaw jestem, czemu on pana interesuje.

- Szczerze? - Trace zmrzył oczy. - Z tego samego powodu, dla którego jestem tutaj. Doktor Fitzpatrick i jego szczególne talenty to towar cenny dla kilku innych organizacji. Można dobrze na nim zarobić. Jeśli prace nad „Horyzontem” zostaną ukończone, ich wyniki mogą przynieść niewyobrażalne sumy.

- Nas interesują nie tylko pieniądze.

- A mnie tak - odparł Trace z chłodnym uśmiechem. - Jedyne o czym myślę, to ile wart będzie ten naukowiec, jeśli skłonicie go, by ukończył projekt. Gdy mu się uda, broń, o której dzisiaj rozmawiamy, będzie tylko zwykłą zabawką. Wasza organizacja zaś będzie nie tylko bogata, ale zyska polityczny argument nie do przebiccia.

- Intrygujące prognozy. A może ukryte sugestie?

- Na razie tylko spekulacje, *monsieur*, chyba że rzeczywiście uda się wam namówić tego naukowca do współpracy.

- To tylko kwestia czasu. Wspomnę generałowi o naszej rozmowie, jeśli pan sobie życzy, *monsieur*. - Odprowadził Trace'a do drzwi, - - Jeszcze jedno, panie Cabot. - Uśmiechnął się przed pożegnaniem. - Powinien pan być chyba nieco bardziej ostrożny w dobieraniu sobie współników.

- To znaczy?

- Chodzi mi o tę Francuzkę, Désirée. Uznała, że więcej zyska, jeśli spróbuje szantażu. Była w błędzie.

Trace zachował kamienną twarz, jednak jego serce ścisnął nagle gwałtowny skurcz.

- Désirée? Jest równie chciwa co piękna - zauważył.

- Teraz już tylko martwa. Życzę miłego popołudnia, *monsieur*.

Trace skłonił się lekko i spokojnie wyszedł z pokoju. Trzymał nerwy na wodzy, dopóki nie wrócił do hotelu. Dopiero wtedy, już we własnym apartamencie, dał upust swej frustracji i walnął z całej siły pięścią w ścianę.

Cholerna baba! Czemu nie zadowolili jej pieniądze, które od niego dostała? Czy naprawdę tak mało jej dał? Czy rzeczywiście potrzebowała więcej? Głupia, sama sprowadziła na siebie śmierć...

Sama? A może i on miał w tym swój udział? Och, niestety, sumienie nie dawało się oszukać. Znowu czuł ten nieznośny ciężar odpowiedzialności za cudze życie - i śmierć.

Zamknął na chwilę oczy i przywołał obraz swojej wyspy. Ciepła bryza, świeże owoce, rozgrzane słońcem kobiety. Wyniesie się tam. Ucieknie, kiedy tylko zainkasuje swoje pieniądze.

Sięgnął po whisky, nalał sobie podwójną porcję i splukał smak wina, które pił pół godziny wcześniej. Nie pomogło. Odstawił więc szklankę na stół i poszedł do Gillian.

Siedziała na łóżku z dłońmi splecionymi na kolanach. Kiedy wszedł, nawet na niego nie spojrzała. Przez cały czas wpatrywała się w niebo za oknem.

- Wciąż przygnębiona? - Whisky mu nie pomogła, ale pomyślał, że może mała kłótnia sprawi, że poczuje się lepiej i zapomni o biednej Désirée. - Sam już nie wiem, co jest bardziej męczące, słuchanie, jak się wydzierasz, czy patrzenie na ciebie, kiedy jesteś przygnębiona. - Zdjął z szyi krawat i rzucił go na krzesło. - No, rozruszaj się trochę, pani doktor, chyba że nie chcesz usłyszeć, czego się dowiedziałem o twoim bracie.

Popatrzyła na niego, lecz nie dojrzała w jej oczach spodziewanej niechęci ani złości. Nie znalazł w nich również zainteresowania, nadziei czy choćby odrobiny ożywienia, lecz tylko rozpaczliwy smutek.

- Coś się stało? - zapytał ostrożnie.

- Dzwoniłam do ojca. - Jej głosy był cichy, spokojny. Właśnie ten głos powstrzymał go od zrobienia jej karczemnej awantury za użycie linii telefonicznej, która mogła być na podsłuchu.

- Coś się stało? - powtórzył.

- Uznałam, że powinien wiedzieć, jak mało nam brakuje do odnalezienia Flynna. Chciałam mu dać jakąś nadzieję, pociechę... Był taki bezradny, kiedy wysyłał mnie, żebym cię odszukała. Tak bardzo żałował, że nie może tego zrobić sam... - Zamknęła oczy i odczekała chwilę, jakby chciała nabrać sił przed tym, co powie. - Rozmawiałam z jego pielęgniarką - odezwała się wreszcie. - Zmarł trzy dni temu. Trzy dni. Nic nie wiedziałam. Nie było mnie przy nim. Pochowali go dzisiaj rano. Boże...

Trace usiadł obok niej w milczeniu i objął ją ramieniem. Z początku próbowała go odepchnąć, lecz w końcu oparła się o niego z ulgą. Czuła chłód, pustkę, rozpacz; dobrze, że w takiej chwili miała komu się zwierzyć.

- Był sam, kiedy umierał. Nikt nie powinien umierać w samotności, Trace.

- Mówiłaś, że ciężko chorował.

- To była śmiertelna choroba. Wiedział o tym i nie chciał dłużej żyć w taki sposób - słaby i zdany na łaskę innych. Wszystkie jego badania, nauka, eksperymenty stały się nagle nieważne. Ostatnio pragnął tylko jednego: żebym zdążyła przed jego śmiercią odnaleźć i sprowadzić Flynna.

- Tak, ale mimo to sprowadzisz Flynna do domu.

- Ojciec tak bardzo go kochał. A ja tak go rozczarowałam... To właśnie ostatnie wydarzenia pogorszyły znacznie jego stan. Wiadomo było, że umrze, i modliłam się już tylko o to, żeby miał lekką śmierć.

- Zrobiłaś dla niego wszystko, co mogłaś, Gillian. I dalej robisz to, czego pragnął.

- Nie. Nigdy nie robiłam, czego pragnął. Pojechałam do Ameryki i zostawiłam go samego. Nigdy mi tego nie wybaczył. Nigdy nie zrozumiał, że musiałam zmienić otoczenie,

odetchnąć, nauczyć się żyć własnym życiem. Swoim wyjazdem przekreśliłam wszelkie nadzieje, jakie ze mną wiązał. Posądzał mnie o egoizm. A ja naprawdę go kochałam - zaszlochała. - Kochałam... tylko nie umiałam się przed nim wytłumaczyć ze swojego postępowania..., nie wiedziałam, jak to zrobić. Teraz już za późno... Boże, nawet się z nim nie pożegnałam.

Nie protestowała, kiedy Trace przyciągnął ją do siebie i zaczął delikatnie kołysać. Nic nie mówił, tylko trzymał ją w objęciach i patrzył, jak gorące łzy płyną po jej policzkach. Rozumiał i gniew, i ból, który wypełniał jej serce. Wiedział, że to nie słowa ukoją rany, lecz czas. Znał ten żal i to poczucie winy. Jego historia była bardzo podobna. On też kiedyś odszedł, zostawiając własnego ojca w poczuciu życiowej klęski. On też zawiódł pokładane w nim nadzieje.

Musnął ustami jej skroń, pogłaskał ją po włosach.

Chciał wstać, żeby zaciągnąć zasłony, lecz Gillian zacieśniła uścisk.

- Nie odchodź - poprosiła. - Nie chcę być sama.

- Zasłonię okno przed słońcem. Może się prześpisz.

- Nie, zostań jeszcze chwilę. - Otarła dłonią łzy. - Wolę, kiedy jesteś obok mnie. Widzisz, ojciec był trudnym człowiekiem, zwłaszcza po śmierci matki. Właściwie tylko ona umiała się z nim porozumieć, a ja zawsze żałowałam, że tego nie potrafię... No a teraz nie ma i jego, i matki... - Odetchnęła głęboko, powstrzymując kolejną falę rozpacz, po czym ponownie przymknęła powieki. - Czy wiesz, że Flynn i Caitlin to jedyna rodzina, jaka mi pozostała? Muszę ich odnaleźć, Trace. Muszę mieć pewność, że są bezpieczni.

- Myślę, że wiem, gdzie teraz są.

- Powiedz mi.

Streścił jej pokrótce swoje spotkanie z Kendesą, ale nie wspomniał o Désirée. Za bardzo go to gnębiło. Za bardzo poruszyłyby Gillian.

- Myślisz, że Flynn i Caitlin są z generałem Husadem? - zapytała.

Nie odsunęła się od niego. Jej głowa wciąż spoczywała na jego ramieniu, a ręka na piersi. Gdy tak leżała, wtulona w niego z ufnością, Trace poczuł, że w jego sercu rodzi się coś, o czym już dawno zapomniał - tkiwość, czułość, współczucie. Jednocześnie stał się nagle jakby silniejszy, spokojniejszy, odporniejszy na lęki, zgryzoty i niepokoje.

Tak, był silny, kiedy trzymał ją w objęciach.

- Mogę się o to założyć - odpowiedział na jej pytanie.

- I za tydzień się z nim spotkasz?

- Taki jest plan.

- Ale przecież oni oczekują, że będziesz miał ze sobą broń. Co się stanie, kiedy odkryją, że nie masz?

- A kto powiedział, że nie będę jej miał?

Teraz się poruszyła. Powoli podniosła głowę i spojrzała w jego twarz. Miał na wpół przymknięte powieki, lecz na jego ustach błąkał się cień uśmiechu.

- Nie rozumiem. Powiedziałeś im, że masz dostęp do amerykańskiej broni. A przecież to nieprawda. Jak możesz dostarczyć im coś, czego nie masz?

- Będę musiał przejść się na zakupy.

- Nie sądzę, żebyś w okolicznych sklepach mógł kupić karabiny maszynowe i wyrzutnie granatów.

- Nie, ale na czarnym rynku kupię je bez trudu. Nie zapominaj, że mam powiązania. A gdybyśmy jeszcze... No właśnie, powinniśmy poważnie się zastanowić, Gillian.

- Nad czym?

- Naprawdę nadszedł już czas, żeby o wszystkim dowiedział się wywiad.

- Dlaczego? Czemu akurat teraz?

- Ponieważ nawiązałem pewien ciekawy i cenny kontakt. Będą na mnie wściekli za moją samowolę, ale nie są na tyle głupi, żeby rozwalać operację na tym etapie. Jeśli coś pójdzie źle, muszą mieć informacje, aby dalej mogli działać sami.

Gillian nie odzywała się przez dłuższą chwilę.

- Jeśli coś pójdzie źle? - powtórzyła, przerywając milczenie. - Czyli jeśli cię zabiją?

- Jeśli zostanę wyeliminowany, to lepsze określenie. No więc jeśli to się stanie, dotarcie do twojego brata zajmie ci mnóstwo czasu. Z fachowym poparciem masz więcej szans.

- Ale dlaczego mieliby cię zabić? Przecież sprzedajesz im broń.

- Broń to jedno, a „Horyzont” drugie. Nie łudź się, Gillian, to nie są biznesmeni. Zwykli złodzieje mają więcej honoru od nich. Jeśli uznają, że wiem za dużo i że im w jakiś sposób zagrażam, wyeliminują mnie bez wahania, aby zabezpieczyć swoje interesy. Wtedy zaś będziesz musiała wszystko zaczynać od nowa. Nie chcesz chyba ryzykować życiem brata, prawda?

Nie chciała też ryzykować życiem Trace'a. Nie był już dla niej tylko narzędziem, dzięki któremu Flynn i Caitlin mieli odzyskać wolność. Był kimś, kto umiał ją utulić i pocieszyć, kto intrygował ją i pociągał, kto był jej bliski i o kogo się niepokoiła.

Przesunęła dłonią po jego torsie, odnalazła serce.

- Dobrze. Niech wywiad przejmie tę sprawę od zaraz.

- Nie musimy specjalnie się spieszyć.

- Nie rozumiem. - Dźwignęła się i usiadła na łóżku. Teraz patrzyła mu prosto w oczy. Przez ułamek sekundy pomyślała, że dobrze byłoby zobaczyć w tych oczach mgłę pożądania, namiętność, podniecenie, lecz zaraz odrzuciła od siebie te niespodziewane myśli. - Im więcej o tym myślę, tym bardziej nierozsądne wydaje mi się to, żebyś szedł sam - powiedziała. - Coś może przytrafić się Flynnowi i Caitlin... ale też tobie.

- Zawsze pracowałem sam i wychodziłem z tego bez szwanku.

- Ale ostatnio omal nie zginąłeś! - Zaintrygował go ten nagły przypływ troski.

- Czyżbyś nie wierzyła w przeznaczenie, Gillian? - zapytał i ujął ją za ramiona. - Ostatecznie zawsze staje się to, co miało się stać.

- To nie przeznaczenie. Mówisz o szczęściu.

- Może. Nie widzę, żeby to było sprzeczne z moją teorią. Jeśli dopisze mi szczęście i będzie mi pisane przeżyć, wtedy przeżyję.

- A jeśli szczęście nie dopisze? Nie chcę, żeby coś ci się stało.

Rysy jego twarzy wyostrzyły się, serce zabiło mu mocniej. Zanim Gillian zdążyła odwrócić głowę, ujął ją pod brodę.

- Dlaczego? - zapytał.

- Bo... bo czuję się za ciebie odpowiedzialna. Powinien na tym poprzestać. Nie było rozsądnie pytać dalej. Coś jednak pchało go do tego, by postąpić nierozsądnie i wydusić z niej to, co podświadomie od dawna pragnął usłyszeć.

- Dlaczego jeszcze?

- Bo wtedy zostanę sama, a już... a już się do ciebie przyzwyczaiłam i... i... - jej głos zamarł, uniosła dłoń do jego twarzy i przyciągnęła ją do siebie. - I jeszcze dlatego - szepnęła, dotykając wargami jego ust.

Była ciepła i słodka jak jego marzenie o rajskiej wyspie, z tą różnicą, że istniała naprawdę. Pragnął jej bardziej, niż kiedykolwiek pragnął wolności, bogactwa czy spokoju umysłu. Wiedział jednak, że musi kierować się rozsądkiem, nie emocjami, i zdławił w sobie to pragnienie.

Nie od razu wszakże mu się to udało. Dłonie Gillian były takie miękkie, takie kojące. Zatopił ręce we włosach dziewczyny i przyciągnął ją do siebie, mimo że przez cały czas powtarzał sobie w myślach, że nie powinien tego robić. Jej capach niósł w sobie rozkoszną obietnicę, pozwalał wierzyć, że on, Trace, mógłby ją mieć i zatrzymać na zawsze.

Tylko że w rzeczywistości nikt nigdy nie złożył mu takiej obietnicy. A nawet gdyby ją złożył, Trace nie byłby w stanie w nią uwierzyć.

Odsunął ją ostrożnie od siebie i powiedział:

- Posłuchaj, Gillian, nie wolno nam tego robić. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

- Nie wiem.

- W takim razie jesteś naiwną idiotką.

Wiedziała, jak znieść odrzucenie. Już raz przeżyła podobną sytuację.

- Więc mnie nie chcesz? - zapytała. Trace zaklął ze złością.

- Oczywiście... oczywiście, że chcę! - parsknął. - Dlaczego miałbym nie chcieć? Jesteś piękna, inteligentna, odważna. Jesteś kobietą, jakiej zawsze pragnąłem...

- No to dlaczego...?

Złapał ją za rękę i zanim zdążyła zaprotestować, zawlókł do lustra.

- Popatrz na siebie. Jesteś miłą, kulturalną, dobrze wychowaną kobietą. Doktorem fizyki. Ukończyłaś uniwersytet, zrobiłaś naukową karierę i wszyscy ci się kłaniają w pas. A teraz popatrz na mnie, Gillian. - Potrząsnął nią mocno. - W młodości wałęsałem się od klubu do klubu i żaden z nich nie był klubem dla dżentelmenów. W prawdziwej szkole spędziłem może kilka dni. Nigdy nie nauczyłem się dobrych manier, nigdy nie miałem własnego mieszkania, domu, a nawet samochodu. Kobiety też nie. Czy chcesz wiedzieć, ilu ludzi

zabiłem w ciągu tych dwunastu lat? A może powiedziec ci jeszcze, w jaki sposób ich zabijałem?

- Przestań! - Wyszarpnęła się wreszcie i stanęła przed nim twarzą w twarz. - Usiłujesz mnie przestraszyć, ale to i tak nic nie da.

- Ty naprawdę jesteś idiotką.

- Może i tak, ale przynajmniej uczciwą. Dlaczego po prostu nie powiesz, że nie chcesz się angażować?

- No właśnie. Nie chcę. - Tracce wyciągnął papierosa.

- Ale przecież coś do mnie czujesz. - Odrzuciła głowę i popatrzyła na niego wyzywająco. - Właśnie tego się boisz, swoich uczuć. Nie opowiadaj mi więc bzdur o mezaliansie i niedopasowaniu, dobrze?

Punkt dla niej, pomyślał i nerwowo wypuścił dym. Istotnie, od jakiegoś czasu nie mógł sobie poradzić z własnymi emocjami. Choćby jednak miał się zaprzeć sam siebie, przed nią nigdy się do tego nie przyzna.

- Wyjaśnijmy sobie coś, złotko. Nie mam czasu, żeby dawać ci prezenty i kwiaty. Mamy przed sobą pewne zadanie, czeka na nas całkiem niedaleko, w górach na wschodzie. Skoncentrujmy się na nim, co?

- Pamiętaj, że nie możesz wiecznie uciekać.

- Kiedy się zatrzymam, pożałujesz. A teraz wybacz, mam jeszcze trochę roboty - powiedział, odwrócił wzrok i szybko wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Po tylu latach w służbie musi pan zdawać sobie sprawę z istnienia pewnych procedur, agencie O'Hurley.

Kapitan Addison siedział w pokoju Trace'a, popijał kawę i był bardzo zirytowany. To on odpowiadał za koordynację działań i współpracę wywiadów państw sojusznicych, tworzących międzynarodowy system bezpieczeństwa. Po piętnastu latach pracy w terenie cieszył się, że przyszło mu to robić za biurkiem, jednak w tych szczególnych okolicznościach musiał osobiście dopilnować sprawy. No i właśnie to przykre odstępstwo od milej rutyny wyprowadziło go teraz z równowagi.

- Oczywiście, kapitanie. Z procedurami jestem na bakier.

- Rozumiem, że ma pan stosowne wyjaśnienie na tę okoliczność.

- Byłem na wakacjach, kapitanie. - Trace zaciągnął się papierosem, Ludzie pokroju Addisona raczej śmieszyli go niż irytowali. Patrząc na nich, utwierdzał się tylko w przekonaniu, że powinien trzymać się z dala od biurka i papierkowej roboty. - Robiłem to w swoim wolnym czasie. Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy zainteresować się tym, w co przez przypadek wdepnąłem.

- Przez przypadek? - powtórzył Addison. Włożył na nos okulary i przesłał Trace'owi chłodne spojrzenie. - Obaj wiemy, że nie było tu żadnego przypadku, O'Hurley. Działał pan na własną rękę, bez naszego przyzwolenia.

- To prawda. Przyszła do mnie pewna kobieta, opowiedziała pewną historię, a ja postanowiłem nieco jej pomóc - odparł spokojnie Trace. Wiedział, że ludzie tacy jak Addison uwielbiają peszyć rozmówców, więc nawet nie starał się tłumaczyć i usprawiedliwiać. - Zainteresowała mnie ta historia, więc zająłem się nią i natknąłem na kilka ciekawych spraw. Do zakończenia działań pozostał mi jeszcze jakiś tydzień. Pewnie nie chce pan wiedzieć, co odkryłem, kapitanie Addison?

- Prawidłowa procedura wymagała, żeby poinformował pan nas natychmiast, gdy skontaktowała się z panem doktor Fitzpatrick.

- Owszem. Ale lubię sam dokonywać wyborów, kapitanie. I tak właśnie wybrałem.

Addison złożył dłonie. Chociaż był rozwiedziony od pięciu lat, Trace na jego palcu dostrzegł złotą obrączkę.

- Pańskie akta wskazują na wiele wykroczeń - powiedział.

- O to jedno za wiele? Czy jestem zwolniony?

Addison, który był raczej przyzwyczajony do posłuszeństwa niż arogancji, zjeżył się, słysząc nonszalanję w głosie Trace'a. Jednak i on podlegał pewnym rozkazom, nie mógł więc udzielić twierdzącej odpowiedzi, choć gdyby decyzja należała do niego, już dawno zwolniłby O'Hurleya.

- Szczęśliwie czy nieszczęśliwie, w zależności od punktu widzenia, w aktach znajdują się także dane o misjach, które przeprowadził pan z powodzeniem. Szczerze mówiąc, O'Hurley, nie robi na mnie wrażenia taka błazenada. No ale cóż, „Horyzont”, Flynn Fitzpatrick i jego córka są ważniejsi niż moje osobiste odczucia.

Trace zauważył porządek priorytetów Addisona i uśmiechnął się do niego z przekąsem.

- Czyli nie jestem zwolniony? - zapytał.

- Nie. Nadal będzie pan działał pod nazwiskiem Andre Cabot, lecz od tej chwili wszystko robimy zgodnie z przepisami, jasne? Zobowiązuję pana do utrzymywania stałego kontaktu z naszą bazą w Madrycie. Raporty będzie pan składał bezpośrednio mnie. Zaaranżowaliśmy już dostawę skrzyni z amerykańską bronią i amunicją. Dotrze do Sefrou za cztery dni. Skontaktuje się z panem agent Breintz. Musi pan ustalić miejsce pobytu doktora Fitzpatricka i ocenić sytuację. Potem dostanie pan dalsze rozkazy. Dowództwo uważa, że powinien pan osobiście poprowadzić negocjacje dotyczące broni. Gdy znajdzie się pan w siedzibie Husada, przechodzimy na kod niebieski.

Trace zmarszczył brwi. Tego nie oczekiwał. Kod niebieski oznaczał, że jeśli zostanie zidentyfikowany, wywiad zniszczy jego akta i zatrze wszelki ślad jego istnienia. Będzie tak, jak gdyby Trace O'Hurley nigdy się nie urodził..

- Jedna uwaga: w tej skrzyni musi być TS - 35 - powiedział stanowczo.

- Mówił im pan o TS - 35?

- Rosjanie dowiedzą się o niej najdalej za tydzień, o ile już nie wiedzą. Jak ich znam, podzielą się wiedzą ze swoimi przyjaciółmi i przed upływem miesiąca broń będzie powszechnie znana. Jeżeli zamacham im nią przed nosem, Husad bardziej mnie doceni, a może nawet uzna za sprzymierzeńca. Chcę mu powiedzieć, że wiem o „Horyzoncie” i że moi współpracownicy gotowi są wesprzeć finansowo dokończenie badań w zamian za dostęp do

wyników i późniejszy udział w zyskach. Może go to zaciekawia, może się skusi i opowie mi, na jakim są etapie i co zdążył zrobić Fitzpatrick. A może zabierze mnie na małą wycieczkę i pokaże, jak pracuje.

- Spokojnie, O'Hurley. „Horyzont” to odległa przyszłość, na razie w cenie są czołgi i karabiny. Ci ludzie mogą być szaleńcami, ale to nie idioci. Jeśli dostaną prototyp TS - 35, będą w stanie sami produkować tę broń.

- Ale jeśli my nie wydostaniemy Fitzpatricka, TS - 35 przyda się wyłącznie do zabaw na strzelnicy.

Addison wstał i podszedł do okna. Nie podobało mu się to wszystko. Nie podobał mu się O'Hurley, nie podobało mu się, że ciągle mądry się i kwestionuje jego zdanie. Jednakże to właśnie dzięki takim postrzeleńcom zaszedł tak wysoko. Po prostu umiejętnie potrafił ich wykorzystać.

- W porządku. Załatwię to - powiedział. - Broń musi być jednak zwrócona albo zniszczona.

- Zrozumiałem.

- A co do tej kobiety - kapitan wskazał drzwi prowadzące do pokoju Gillian - to skoro agent Forrester uznał za stosowne powiedzieć jej o panu i pańskiej pracy, to teraz trzeba ją przeszkolić i zdyscyplinować. I bardziej uważać na nią, do jasnej cholery!

- Życzę szczęścia. - Trace podniósł filiżankę z kawą.

- Pańskie poczucie humoru jakoś mnie nie bawi, O'Hurley. Chcę z nią teraz porozmawiać.

- Proszę uprzejmie. - Trace wzruszył ramionami, po czym podszedł do drzwi. Otworzył je i mruknął do Gillian, która przestała chodzić po pokoju i popatrzyła na niego pytająco: - Twoja kolej.

- Witam serdecznie, pani doktor. - Addison uśmiechnął się do niej i wyciągnął dłoń. - Jestem kapitan Addison. Proszę usiąść. Napije się pani kawy?

- Tak, dziękuję. - Usiadła sztywno na krześle.

- Ze śmietanką?

- Nie, czarną.

Kapitan wręczył jej filiżankę, po czym rozsiadł się wygodnie ze swoją kawą.

- Otóż musi pani wiedzieć, doktor Fitzpatrick, że nas/a organizacja bardzo przejmuję się sytuacją pani rodziny - zaczął. - Walczymy o wolność, demokrację i podstawowe prawa dla ludzi na całym świecie. Człowiek taki jak pani brat jest dla nas niesłychanie ważny.

- Dla mnie mój brat jest jeszcze ważniejszy.

- Z pewnością. - Addison uśmiechnął się dobrodusznie. - W każdym razie postanowiliśmy pani pomóc. Choć pani i agent O'Hurley działaliście nieco, hm... impulsywnie, sądzę, że możemy obrócić to działanie na naszą korzyść.

Gillian zerknęła na Trace'a, lecz ten wzruszył tylko ramionami, jakby chciał jej powiedzieć, że powinna liczyć w tej rozmowie wyłącznie na siebie.

- Wszystko co robiliśmy, robiliśmy, jak wierzę, dla dobra mojego brata. Obchodzi mnie tylko on i Caitlin.

- Oczywiście, rozumiem to. Zapewniam panią, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby ich uwolnić. Sądzimy, że wkrótce nam się to uda. Chciałbym jednak, aby wróciła pani ze mną do Madrytu i pozostała tam pod ochroną naszej organizacji.

- Nie.

- Słucham?

- Doceniam pańską propozycję, kapitanie, ale zostanę tu z agentem O'Hurleyem.

Addison położył obie dłonie na filizance.

- Pani doktor, dla bezpieczeństwa tej operacji i dla pani własnego dobra zmuszony jestem nalegać, aby przeszła pani pod naszą ochronę.

- Nie - powtórzyła. - Moi bliscy znajdują się w górach, na wschód od tego miejsca, całkiem niedaleko. Jestem przekonana, że agent O'Hurley wie, jak mnie ochraniać, jeśli już uważa pan, że taka ochrona jest niezbędna. A co do bezpieczeństwa operacji, w projekcie „Horyzont” uczestniczę, od dawna i jak dotąd nikt na mnie nie narzekał.

- Nie szkodzi. Mam rozkaz zabrać panią do Madrytu.

- Nie obchodzą mnie pańskie rozkazy. Nie mam żadnych powiązań z wywiadem i nie podlegam tam nikomu.

- Owszem, ale nie ma powodu...

- Jest powód, kapitanie. Generał Husad szuka także i mnie. Dopóki istnieje jakaś

szansa, że mogę dopomóc w uwolnieniu Flynna, jestem gotowa zaryzykować.

- Pani doktor, doceniam pani zaangażowanie, ale to po prostu niemożliwe.

- Możliwe, chyba że wasza organizacja zajmuje się porywaniem niewinnych obywateli.

Addison ponownie usiadł, aby zebrać myśli i opracować nową taktykę.

- Jak pani wie - odezwał się po chwili - agent O'Hurley to doskonale wyszkolony specjalista, jeden z najlepszych naszych ludzi.

Trace lekko uniósł brew. Wiedział, że te słowa ledwo przeszły Addisonowi przez gardło.

- Wiem - odparła Gillian.

- Jeśli więc pani go opuści, będzie mógł całkowicie się skoncentrować na swoim zadaniu. Będzie skuteczniejszy.

- Ze mną jeszcze bardziej. Mogę być przynętą.

- O'Hurley sam pani powie, że nie wolno nam angażować cywilów.

- Tak, to prawda. Jedź do Madrytu, Gillian - powiedział spokojnie Trace i położył dłoń na jej ramieniu, łamiąc tym samym daną sobie obietnicę, by nie dotykać Gillian nigdy więcej.

- Nie. Jadę z tobą. - Położyła dłoń na jego dłoni. - Taka była umowa.

- Tam może być naprawdę niewesoło.

- Trudno.

Cofnął dłoń, podszedł do okna i zapalił papierosa. Zastanawiał się, w jaki sposób zasłużył na takie zaufanie. Nie znał odpowiedzi na to pytanie, podobnie jak nie miał pojęcia, co mogłoby skłonić Gillian do zmiany zdania.

- Powiedziałem ci już wcześniej, że nie mam czasu cię niańczyć.

- A ja mówiłam, że potrafię sama o siebie zadbać. - Ponownie spojrzała na Addisona. - Już mnie tu widziano. Występowałam publicznie jako kochanka Andre Cabota. Jeśli pojedę z nim do Sefrou, nie wzbudzi to niczyich podejrzeń. Jeżeli będę musiała tam zaczekać, to zaczekam. Zdaję sobie sprawę, że raczej nie powinnam uczestniczyć w negocjacjach, bo to nie miejsce dla słodkiej idiotki, i wcale na to nie nalegam. Ale do Madrytu nie wyjadę. Chyba że zechce pan mnie porwać, co jak sądzę, nie przysporzy zbyt dużej popularności pańskiej

firmie.

Addison nie spodziewał się oporu. Akta Gillian wskazywały na to, że była spokojnym naukowcem i zawsze podporządkowywała się odgórnym instrukcjom i poleceniom.

- Nie mam zamiaru stosować siły, pani doktor - odparł. - Muszę jednak zadać pani jedno pytanie: co się stanie, jeśli zostanie pani zdemaskowana i zatrzymana w kwatery Husada?

- Wtedy postaram się go zabić - odpowiedziała beznamiętnie. Decyzję tę podjęła o świcie, po całej nocy rozmyślań. Właśnie ten brak złości w jej głosie sprawił, że Trace odwrócił się od okna i wbił w nią zdumiony wzrok. - Nigdy nie pozwolę, żeby użył mojej wiedzy czy umiejętności. „Horyzont” nie jest przeznaczony dla ludzi takich jak on. Jedno z nas będzie musiało umrzeć.

Kapitan zdjął okulary i zaczął czyścić szkła białą chusteczką.

- Podziwiam pani poświęcenie - oznajmił. - Jednakże w tej pracy sprawdzają się tylko fachowcy.

- Ona da sobie radę - z głębokim przekonaniem odezwał się nagle spod okna Trace.

- Jest cywilem, ich celem. - Addison na powrót włożył okulary na nos.

- Tak, ale da sobie radę - powtórzył Trace i popatrzył w skupieniu na Gillian. - Ostatecznie możemy pojechać razem. Nie wzbudzę podejrzeń, bo Cabot zawsze podróżuje z jakąś kobietą.

- Skoro tak, to przydzielimy ci agentkę.

- Będzie tylko więcej zamieszania. Gillian pokazała się już w mieście. Poza tym pojedzie za mną niezależnie od tego, czy jej pozwolimy, czy nie. Jest zdeterminowana, więc nic nie wskóramy. Postarajmy się lepiej wyciągnąć z tego jak największe korzyści.

Addison pokręcił z niezadowoleniem głową. Nie chodziło o to, że został przegłosowany. To się już nieraz zdarzało. Przerazał go po prostu fakt, że zmiana planów na tym etapie może zaszkodzić całej operacji.

Z drugiej jednak strony O’Hurley dawał sobie radę w gorszych sytuacjach. Siostra Flynnna Fitzpatricka jako przynęta dawała mu szerokie możliwości działania. Ryzyko było duże, lecz ewentualny sukces jeszcze większy. Może więc warto nagiąć zasady? Może po tym wszystkim dostanie kolejny awans?

- W porządku - powiedział powoli. - Nie mogę pani powstrzymać i nie pochwalam pani uporu. Mam tylko nadzieję, że nie będzie pani żałować swojej decyzji.

- Na pewno nie.

- Skoro więc nie chce pani lecieć ze mną do Mądrym, muszę panią prosić o notatki dotyczące projektu „Horyzont”. Trzeba je zabezpieczyć.

- Oczywiście. Przepisałam je od nowa, ale...

- W technicznym żargonie - przerwał jej Trace i popatrzył na nią tak, że natychmiast zamilkła. - Prawdopodobnie nie będziecie mieli z nich pożytku.

- Jestem pewien, że nasi naukowcy potrafią je odczytać. Czy je dostanę?

- Oczywiście.

- Jest pan za nią odpowiedzialny - powiedział cicho Addison, kiedy Gillian opuściła pokój. - Nie chcę żadnych ofiar wśród cywilów, jasne?

- Jasne. Dopilnuję wszystkiego, kapitanie.

- Mam nadzieję. - Addison odwrócił się i przyglądał resztki włosów. - Bez notatek nie zdoła przynajmniej pogorszyć sprawy.

Gillian powróciła do pokoju z plikiem starannie złożonych kartek.

- To wszystko, co mam. Dotyczą tylko tych zagadnień, nad którymi osobiście pracowałam.

- Dziękuję. - Addison włożył papiery do aktówki i zamknął ją na szyfrowy zamek. - Gdyby zmieniła pani zdanie, proszę polecić agentowi O'Hurleyowi, aby się z nami skontaktował.

- Nie zmienię.

- A zatem do zobaczenia, pani doktor. - Skinął głową. - Mam nadzieję, że kiedy to wszystko się skończy, pani i pani brat będziecie mogli w spokoju pracować nad tym wynalazkiem. A pan, agencie, niech melduje mi o wszystkim co sześć godzin.

Gillian poczekała, aż zamkną się za nim drzwi, po czym opadła z westchnieniem na łóżko.

- Męczący człowiek - zauważyła. - Często z nim pracujesz?

- Nie, dzięki Bogu. Nie wszyscy agenci są tacy jak on.

- Dobra wiadomość dla wolnego świata. - Poczekała, aż Trace dwukrotnie obejdzie pokój, zanim odezwała się ponownie. - Mam kilka pytań.

- Powinienem być zdziwiony?

- Mógłbyś usiąść? - Wskazała ręką w kierunku fotela. - Najlepiej tam. Z takiej odległości nie grozi ci niebezpieczeństwo przypadkowego dotknięcia.

- Nie dotykam cię przypadkowo.

- Przynajmniej raz jesteś szczery - uśmiechnęła się. - Powiedz, dlaczego nagle zmieniłeś zdanie?

- W jakiej sprawie?

- Przecież wiesz.

- Uważam, że byłoby poniżej mojej godności, gdybym zgodził się w czymkolwiek z Addisonem.

- A ja uważam, że należy mi się szczerą odpowiedź.

- To jest szczerą odpowiedź. - Zapalił papierosa. - Powiedziałem dokładnie to, co myślę. Sądzę, że dasz sobie radę.

- Twoje komplementy mnie zaskakują.

- Dlaczego? Być może ty masz najsilniejszą motywację, by odnaleźć Flynną. I w końcu to ty najwięcej ryzykujesz. Może rzeczywiście masz prawo tu być.

Gillian chętnie usłyszałaby coś więcej, na przykład że Trace wstawił się za nią u kapitana, bo po prostu chciał z nią zostać. Zdawała sobie jednak sprawę, że takiej deklaracji się nie doczeka. Jeszcze nie teraz.

- W porządku - oznajmiła. - A teraz powiedz, czemu nie chciałeś, abym powiedziała Addisonowi, że notatki zostały przeze mnie sprokurowane na użytek terrorystów i że zawierają błędy.

- Ponieważ prawdziwe notatki są w twojej głowie. I tam powinny pozostać.

- Przecież to twój przełożony. Nie powinieneś mówić mu prawdy?

- Mam zwyczaj najpierw kierować się intuicją, dopiero potem przepisami.

Przez chwilę Gillian milczała.

Czy właśnie nie dlatego zdecydowała się mu zaufać?

- Kiedyś stwierdziłeś, że chyba wiesz, czemu Forrester nie zwrócił się bezpośrednio do wywiadu i nie uruchomił standardowych procedur - odezwała się. - Chyba czas, żebyś mi powiedział.

Trace strzepnął popiół z papierosa. Słońce chyliło się ku horyzontowi, powoli zbliżał się zmierzch. Przypomniawszy sobie, że kiedy zobaczył Gillian po raz pierwszy, również obserwował zachód słońca. Może po prostu musiał o niej myśleć zawsze przed nastaniem nocy.

- Najpierw ty mi powiedz, dlaczego nie chcesz, aby ten wynalazek dostał się w ręce terrorystów?

- To idiotyczne pytanie. Ci ludzie to fanatycy gotowi zniszczyć świat dla swych obłąkańczych idei. Jeśli dostaną antidotum na chorobę popromienną, wojna nuklearna będzie nieunikniona.

Trace milczał. To milczenie było zbyt wymowne, by mogła nie zadać mu pytania, które natychmiast zaległo się w jej głowie:

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że terroryści i międzynarodowy system bezpieczeństwa to godni siebie przeciwnicy? Nie porównujesz ich ze sobą? Wiem, wywiad to brudne sprawy, ale przecież to wy macie zapewniać pokój, porządek, chronić ludzkie życie, prawa człowieka i demokrację. - Teraz ona wstała, żeby przejść się po pokoju. - Chyba to nie ja powinnam ci o tym wszystkim mówić i tłumaczyć, dlaczego „Młot” jest niebezpieczny, prawda? Przecież to ty pracujesz w wywiadzie.

- Tak, pracuję. Pamiętasz, jak powiedziałaś mi na początku, że w każdej organizacji są ludzie dobrzy i ludzie źli?

- Pamiętam. - Nie wiedziała dlaczego, lecz nagle zaczęła się denerwować. - Nadal wierzę, że gdybym zwróciła się do nich, a nie do ciebie, „Horyzont” byłby dla nich ważniejszy niż życie Flynna. Jeśli chcesz wiedzieć, spotkanie z kapitanem Addisonem nie wpłynęło na zmianę mojej opinii. No, ale w końcu ten projekt powstawał na ich zamówienie. Mój ojciec wierzył w to, że dzięki niemu zapanuje pokój.

- A ty? - Trace zaciągnął się po raz ostatni.

- Nie wiem. Na razie najważniejsza jest dla mnie moja rodzina. Kiedy będą bezpieczni, pomyślimy o reszcie.

- Czyli ukończycie projekt i przekażecie wyniki zleceniodawcy?

- Oczywiście. Mój ojciec zawsze tego pragnął. - Zbladła nieco i odwróciła się ku niemu. - Boże, co ty naprawdę chcesz mi powiedzieć, Trace?

- To, że szlachetne intencje to jedna sprawa, a możliwe rezultaty - inna. Pomyśl o tym, Gillian. Środek, który chroni ludzi przed skutkami wojny nuklearnej, cud, tarcza ochronna, genialne odkrycie - nazywaj to, jak chcesz, ale czy nie sądzisz, że łatwiej będzie nacisnąć guzik, mając świadomość, że jest szansa przeżycia po katastrofie?

- Nie. - Skrzyżowała ręce na piersiach i znowu się odwróciła. - „Horyzont” służy obronie, wyłącznie obronie. Może ocalić życie milionom ludzi. Ani mój ojciec, ani żadne z nas nie chciało, aby został użyty w innym celu.

- A czy myślisz, że naukowcy, którzy brali udział w projekcie „Manhattan” spodziewali się zagłady Hiroshimy? Może i tak. Musieli przecież wiedzieć, że konstruują bombę.

- My chcemy stworzyć środek obronny, nie broń.

- Środek obronny. Niemieccy fizycy pracowali nad wykorzystaniem energii jądrowej już pięćdziesiąt lat temu. Ciekaw jestem, czy nie zaprzestaliby tych eksperymentów, gdyby wiedzieli, że tworzą podstawy dla produkcji broni, która może rozwalić całą planetę.

- Ale ta broń istnieje, Trace. Nie możemy cofnąć się w czasie i zapobiec jej powstaniu. „Horyzont” natomiast może sprawić, że życie na tej planecie nie zaniknie, nawet jeśli guzik zostanie wciśnięty. „Horyzont” to obietnica życia, nie śmierci.

- Zależy dla kogo.

- Nie wiem, o co ci chodzi. - Zwilżyła spierzchnięte usta.

- Masz więc zamiar uodpornić na chorobę popromienną wszystkich? Piękna idea, ale nierealna. Natychmiast pojawiają się pytania. Czy dostęp do zbawionego środka mają mieć wszyscy członkowie ONZ? Nie, na pewno nie, tylko te kraje, które mają podobne przekonania polityczne co nasz. Czy uodporniać ludzi starych lub nieuleczalnie chorych? Przecież to kosztuje. A właściwie to kto będzie za to płacił? Podatnicy? A czy podatnicy zechcą płacić za uodpornianie kryminalistów? Będziemy szczepić seryjnych zabójców czy też przeprowadzimy selekcję?

- To wcale nie musi tak wyglądać.

- Nie musi, ale zazwyczaj tak właśnie wygląda. Świat nie jest doskonały, pani doktor. I nigdy nie będzie.

Gillian chciała wierzyć, że świat może być doskonały, ale od jakiegoś czasu sama zadawała sobie podobne pytania.

- Mój ojciec poświęcił tym badaniom większość życia - powiedziała cicho. - Mój brat może stracić życie z ich powodu. Czy spodziewasz się, że wyrzucę to wszystko na śmietnik? Co chcesz, żebym zrobiła?

- O nic cię nie proszę, tylko się zastanawiam. Podeszła do niego, zadrżała mu w oczy.

- Co cię tak rozczarowało, Trace? - zapytała. - Co sprawiło, że nie wierzysz już w to, w co wierzyłeś kiedyś? Dlaczego uznałeś, że świata nie można zmienić?

- Można, ale tylko na chwilę. - Sięgnął po następnego papierosa, rozmyślił się jednak i schował paczkę. - Nie wstydę się niczego, co zrobiłem, jeśli o to ci chodzi. Ale nie oznacza to wcale, że jestem z siebie dumny. Po prostu mam już dość tej swojej misji.

Usiadła naprzeciwko niego, sama w tej chwili niepewna swoich myśli.

- Jestem naukowcem, Trace, nie politykiem - zaczęła. - Jeśli chodzi o „Horyzont”, mój wkład w ten projekt był minimalny. Ojciec nie dzielił się ze mną swoimi nadziejami, jednak wiem, że jego marzeniem było to, aby swoją pracą zrobić coś dobrego dla ludzkości, zapewnić jej pokój.

- W ten sposób go nie zapewni.

- Może i nie. Niektóre z pytań, które przed chwilą zadałeś, rzeczywiście nie przyszły mi wcześniej do głowy. Może - - byt mało widziałam w życiu, aby stracić złudzenia. - Przymknęła na chwilę powieki. - Nie wiem, czy mam rację, ale wydaje mi się, że jeśli jesteś zmęczony, jeśli straciłeś złudzenia, to tylko dlatego, że wciąż jest w tobie więcej marzeń i szlachetnych pragnień, niż gotów byłbyś przyznać. Wiem, to brzmi jak paradoks, ale tak właśnie to widzę. Może warto by było pogodzić się z tym, że jeśli nie można zmienić całego świata, to trzeba próbować zmienić choć jego cząstkę. Zmień perspektywę, Trace. Przestań patrzeć na ludzkość, a zacznij widzieć pojedynczych ludzi. - Chciała wyciągnąć ku niemu dłoń, ale powstrzymała się od tego w ostatniej chwili, wiedząc, że nie dokończy myśli, jeśli teraz ją odtrąci. - Na przykład ja... Ostatnie dni, które spędziłam z tobą, bardzo mnie odmieniły.

- Jesteś uprzejma.

- Nie, mówię szczerze. I logicznie. Dzięki tobie inaczej myślę, inaczej czuję, inaczej się zachowuję. - Zaciśnęła usta. Czy ten człowiek ma jakiegokolwiek pojęcie, jak trudno jej się tak obnażać? Odkasznęła i powtórzyła sobie, że to nie ma żadnego znaczenia. Sama przecież tego chciała. - Nigdy dotąd nie rzucałam się z zachwytem w ramiona mężczyzn.

- A teraz to robisz? - Sięgnął po papierosa i zaczął obracać go w palcach. Chciał być bez troski i nonszalancki, ale czuł coraz większe skrępowanie, coraz większe napięcie.

- Nie zauważyłeś? - Podniosła się. Musiała wstać, musiała coś zrobić, żeby przeszły jej przez gardło słowa, które miała zamiar wypowiedzieć. - Podobasz mi się, Trace. Jednak o nic cię nie proszę. Może tylko... gdybyś tylko był na tyle uczciwy, żeby... żeby...

- Przespać się z tobą? - Papieros rozpadł mu się w palcach, więc wrzucił go szybko do popielniczki. - Już ci powiedziałem, dlaczego to w ogóle nie wchodzi w grę.

- Jak zwykle jesteś bezpośredni. Dobrze, ja też będę mówić wprost. Powtarzasz od początku jakieś idiotyzmy na temat rozmaitych różnic, jakie podobno są między nami. Ale ja nie chcę, żebyśmy byli identyczni. Nie widzę w tobie brata bliźniaka. - Odetchnęła głęboko. - Widzę kochanka.

Tęsknota i pożądanie były tak silne, że ledwie zdołał wstać i zrobić krok w jej kierunku. Obiecał sobie, że powie to krótko i brutalnie, tak aby oszczędzić ich oboje.

- A więc szybki seks bez zobowiązań. Miły, nieskomplikowany, bez czułych słówek.

Rumieniec wypełził na policzki Gillian, nie spuściła jednak wzroku.

- Tak. Nie oczekuję czułych słówek.

- To dobrze, bo nie zamierzałem ci ich mówić. - Złapał ją za dekolt bluzki i przyciągnął gwałtownie do siebie. Zadrżała. Pomyślał, że to dobrze, jej strach ułatwi tylko sprawę. - To nie w pani stylu, pani doktor. Taki jednorazowy wyskok zdecydowanie do pani nie pasuje.

- A co za różnica? Mówiłeś, że mnie pragniesz. Ja też...

- Pewnie, ale jeszcze bardziej pragniesz stałego związku. Jeśli kiedykolwiek zachce mi się miłego domku z żonką i ogródkiem, skontaktuję się z tobą, złotko. A na razie uznajmy, że nie jesteś w moim typie.

Tak jak się spodziewał, Gillian odwróciła się i ruszyła szybko do swojego pokoju. On zaś wyciągnął z barku butelkę whisky i nalał sobie solidną porcję.

Ten dźwięk, bulgotanie płynu oraz brzęczenie kostek lodu w szklance zatrzymały ją w pół kroku i sprowokowały. Gillian nie nacisnęła na klamkę swej sypialni, lecz postanowiła choć raz w swoim życiu powiedzieć ostatnie słowo. Całe życie była posłuszna, całe życie bez protestu zносиła lekceważące uwagi i lekceważące zachowania. Ona była się ze swymi uczuciami, a oni sączyli sobie whisky!

Dosyć. Jest dorosłą kobietą. Samodzielną kobietą.

Kobietą, którą stać na własną inicjatywę i ryzyko.

Odwróciła się, rozpięła górny guzik bluzki, ujrzała jego zdumiony wzrok. Pewnie szykował się na awanturę. Wolałby pewnie, żeby zaczęła krzyczeć, a potem trzasnęła drzwiami i zamknęła się w swoim pokoju, by płakać w poduszkę. Niestety, Trace, nie tym razem, pomyślała i sięgnęła po następny guzik.

Trace podniósł szklankę do ust, upił trochę i... natychmiast się zakrztusił.

- Co ty, u diabła, robisz?

- Udowadniam ci, że się mylisz. - Skończyła rozpinąć bluzkę, zsunęła ją z ramion, po czym spokojnie sięgnęła do zapięcia spodni.

- Przestań! Włóż to z powrotem i zabieraj się stąd!

- Zdenerwowany? - Jej spodnie opadły do kostek i stanęła obok nich w samej tylko bieliźnie.

Trace poczuł, że ma język suchy jak popiół.

- Nie mam ochoty na twoje eksperymenty.

- A więc zdenerwowany. - Odrzuciła włosy do tyłu i postąpiła ku niemu o krok. Jedno z ramiączek stanika opadło kokieteryjnie na ramię. - Rozluźnij się trochę, złotko.

- Popelniasz błąd.

- Bardzo możliwe. - Stanęła przed nim z uśmiechem. - Ale to moja sprawa, prawda?

Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział równie piękną kobietę, nie pamiętał także, czy pragnął kogoś równie mocno. Wiedział jednak na pewno, że nikt nie napawał go takim strachem jak ta półnaga piękność o oczach niczym szmaragdy i włosach jak ogień.

- Obiecałem sobie, że nigdy cię nie dotknę. - Podniósł szklankę drżącą dłonią i wypił

ostatnią kroplę.

- Dobrze, więc ja cię dotknę.

Nie miała dużego doświadczenia i nie przeżyła zbyt wielu przygód, a jednak gdy położyła gorącą dłoń na piersi Trace'a, jej ręce były spokojniejsze niż jego. Dotyk umięśnionego, jędrnego ciała sprawił jej przyjemność. Musiała wspiąć się na palce, aby dosięgnąć jego ust. Przywarła do niego mocno i usłyszała, jak głośno bije mu serce.

Trace był cały spięty, bronił się przed pożądaniem ostatkiem sił. Gdy go pocałowała, omal jej nie objął i nie przygarnął, ale powstrzymał się i zamiast tego oparł ręce o blat stojącej za nim szafki. Myślał, że brak jakiegokolwiek reakcji z jego strony upokorzy ją na tyle, że się wycofa. Nie wziął jednak pod uwagę tego, że Gillian odgadła jego myśli.

Dotknęła językiem jego warg, przejechała palcem po brzuchu, rozpięła koszulę, a wtedy poczuł na odsłoniętym torsie jej gładką skórę. Nawet wprawna uwodzicielka nie zrobiłaby tego lepiej.

- Pragnę cię, Trace - wyszeptała. - Pragnęłam cię od samego początku. - Objęła go mocno w talii, przycisnęła do siebie, pogłaskała po plecach. - Chodź... Kochaj się ze mną.

Chwycił ją za ramiona, zanim zdążyła go ponownie pocałować. Zdawał sobie sprawę, że jeśli ich usta zetkną się ponownie, nie będzie już dla niego ratunku.

- W tej grze nie wygrasz - powiedział zduszonym głosem. - Wycofaj się, Gillian, zanim będzie za późno.

W pokoju panował już mrok. Słońce zaszło, a księżyc jeszcze nie wstał. Trace widział teraz tylko błyszczące oczy Gillian, które wpatrywały się w niego z pożądaniem.

- Powiedziałeś, że wierzysz w przeznaczenie - szepnęła. - Nie poznajesz mnie, Trace? Jestem ci przeznaczona.

Może właśnie tego najbardziej się obawiał. Miłość z Gillian - i miłość do Gillian - była równie nieunikniona jak wyrok opatrności.

- Przeznaczenie... - powtórzył tylko, po czym pocałował ją z całą skrywaną dotąd pasją. Wiedział już, że złamie wszystkie złożone sobie obietnice, że nasyci się nią wreszcie, że ta noc będzie należała do nich obojga.

Pozwolił, aby jego wygłodniałe dłonie dotknęły jej słodkiego ciała, pozwolił, by błądziły po nim, poznawały je, napawały się każdą linią, każdym łukiem, zgięciem czy

wypukłością. Skóra Gillian była gorąca, gładka, jedwabista. Wsunął palce pod cienki materiał majteczek i odnalazł źródło ciepła, które wypełniało ją namiętnością.

- Och, Trace... - wyrwało się z jej ust.

- To tylko początek. - Uniósł ją i ułożył ostrożnie na łóżku. - Zrobię wszystko, o czym marzyłem od chwili, w której ujrzałem cię po raz pierwszy, Gillian. Zabiorę cię tam, gdzie nigdy nie byłaś. Może jutro... - jęknął, odsłoniwszy jej mlecznobiałą pierś - może jutro pożałujesz, że tam dotarłaś. Ale dzisiaj będziesz szczęśliwa...

Wierzyła mu. Przyciągnęła go do siebie zachłannie, przycisnęła do piersi jego twarz.

- Tak - szepnęła - będę szczęśliwa...

Nie wiedziała, że można przeżywać rozkosz tak intensywnie. Trace miał dłonie artysty i potrafił traktować kobiece ciało niczym drogocenny instrument. Jego palce dotykały jej skóry, głaskały ją, pieściły, aż zupełnie straciła oddech. Jęczała ze szczęścia, tęsknoty, niezaspokojenia, zrazu cicho, potem coraz głośniej. Szarpała niecierpliwie zapięciem jego spodni, gotowa wziąć go w siebie już, natychmiast.

A on takiej właśnie zawsze jej pragnął - osłabłej z rozkoszy, oszołomionej pożądaniem. Smakowała tak słodko, że nie wiedział już, kim jest i gdzie się znajduje.

Gdy i on znalazł się na krawędzi, uniósł się nad nią, zajrzał w jej przysłonięte mgłą oczy i zatopił się w niej z rozkoszą. Wydała z siebie stłumiony krzyk, przycisnęła go kurczowo do siebie, a potem podążyła za nim w równym rytmie do obiecanej krainy szczęścia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

To był błąd, że z nią został. Że spał z nią przez całą noc. Że obudził się rano przy jej boku. Kiedy zasypiali, czule wtuleni w siebie, Trace wiedział, że zapłaci za tę chwilę słabości.

Kłopot polegał na tym, że było mu z nią tak dobrze.

We śnie była równie ciepła, miękka i uległa, jak w czasie miłosnej gry. Jej głowa spoczywała na jego ramieniu, zaś dłoń opierała się ufnie na jego torsie. W takich chwilach zawsze żałował, że tak nie może być zawsze.

Najdziwniejsze i niepokojące było jednak to, że jego pożądanie nie zniknęło. Nadal pragnął jej równie mocno. A przecież większość poprzednich przygód Trace'a zazwyczaj kończyła się rankiem po namiętnej nocy.

Teraz chciał ją przygarnąć, obudzić powoli i sprawić, aby znowu poczuli to, co czuli wczoraj, zanim zmorzył ich sen. A jednak nie mógł tego uczynić; nie mógł uczynić nic, co mogłoby zrodzić między nimi zażyłość, przyjaźń i miłość.

On nade wszystko cenił wolność. Żył jak chciał, robił, co chciał, i nic go z nikim nie wiązało. Ona zaś, choć naukowiec, była typem kobiety, dla której najważniejszy jest dom i rodzina. Wiedział, że Gillian marzy w głębi duszy o małym domku z ogrodem. Człowiek, który z własnego wyboru nie miał domu, mógł tylko skomplikować jej życie.

Odsunął się od niej nieco gwałtowniej, niż zamierzał. Kiedy zaś poruszyła się i mruknęła coś przez sen, wstał, aby włożyć spodnie.

- Trace?

A jednak nie spała.

- Możesz jeszcze poleżeć - powiedział. - Mam trochę roboty.

Usiadła na łóżku i zasłoniła się kołdrą.

- Pójdę z tobą.

- Dobrze wychowane damy nie chodzą w takie miejsca. Dziwne, jak szybko może przysnąć piękny sen, pomyślała ze smutkiem Gillian. Jeszcze przed chwilą leżała przytulona do niego i bezpieczna, a teraz znowu czuła się zziębnięta, samotna i opuszczona.

- Myślałam, że pracujemy razem - powiedziała spokojnie, lecz on dojrzał, jak zacisnęła palce na kołdrze.

- Zależy kiedy, złotko.

- A kto o tym decyduje?

- Ja. - Sięgnął po papierosa, zapalił, po czym odwrócił się do niej. Było tak, jak przewidywał: wyglądała jeszcze piękniej niż kiedykolwiek. - Dołączysz do mnie później, zgoda?

- Wiem, że coś przede mną ukrywasz. - Zwalczyła w sobie uczucie upokorzenia i energicznie odrzuciła kołdrę, żeby zebrać z podłogi swoje ubranie. - I traktujesz mnie jak idiotkę - dodała. - Nie wiem, czego naprawdę się boisz, O'Hurley, z wyjątkiem siebie i swoich uczuć, ale nie ma powodu, żebyś zachowywał się w ten sposób. Oboje jesteśmy dorośli.

- Robię tylko to, co czuję. - Zaciągnął się mocno papierosem. - Jeśli masz zamiar zamówić śniadanie, to ja proszę o kawę.

- Najpierw skończmy naszą rozmowę. Możesz żałować tego, co się stało. Twoje prawo. Nie masz jednak prawa być wobec mnie okrutny. Czy sądzisz, że oczekuję od ciebie teraz wyznania dozgonnej miłości? Czy naprawdę uważasz, że chcę, abyś runął na kolana i powiedział mi, że odmieniłam twoje życie? Nie jestem aż tak głupia, jak sądzisz.

- Nigdy nie powiedziałem, że jesteś głupia.

- To dobrze, bo rzeczywiście nie jestem. Nie oczekiwałam od ciebie żadnych deklaracji, ale też nie oczekiwałam, że będziesz wciąż traktował mnie jak półgłówka; albo jak rzecz, której użyłeś i którą możesz rano wyrzucić. Może powinnam się była na to przygotować...

Przeszła szybko do swojego pokoju i rzuciwszy rzeczy na łóżko, poszła wziąć prysznic. Nie będzie płakała z jego powodu. W życiu nie zmarnuje przez niego ani jednej łzy. Zmyje gorącą wodą jego zapach ze swojej skóry, wypłucze z ust jego smak. Wtedy znowu poczuje się dobrze.

Powiedziała, że nie jest głupia. A jednak jest. Niemożliwie głupia, skoro zakochała się w mężczyźnie, który nie potrafi odwzajemniać uczuć. Przycisnęła dłonie do twarzy, jakby siłą chciała powstrzymać napływające do oczu łzy.

Nagle drgnęła wystraszona, bowiem zasłona prysznicowa odsunęła się gwałtownie. Odwróciła się szybko i zobaczyła przed sobą Trace'a. Był poważny, zniknął gdzieś ten jego obojętny, pewny siebie uśmieszek. Gillian obdarzyła go chłodnym spojrzeniem. Prędej

umrze, niż pokaże mu, jak ją zranił.

- Nie widzisz, że zajęte?

- Widzę. Wyjaśnijmy coś sobie. To, że nie rozczulałem się dzisiaj przed tobą i nie szeptałem ci do ucha słodkich wyznań, nie znaczy jeszcze, że traktuję cię jak pierwszą lepszą panienkę.

Wzięła do ręki mydło i z wolna zaczęła nacierać plecy. A więc był zły. Zły na nią i zły na siebie. Widziała to w jego oczach, słyszała w głosie. Poczowała nagły przypływ zadowolenia.

- Najlepiej będzie, jeśli w ogóle przestanę zwracać uwagę na twoje zachowanie. Nie przekonują mnie te żalosne próby, usprawiedliwiania się za wszelką cenę. Poza tym przez ciebie woda wylewa się z brodzika. - Zasunęła z powrotem zasłonkę, lecz on od razu rozsunął ją ponownie.

- Nigdy nie zamykaj mi drzwi przed nosem - powiedział nienaturalnie spokojnym głosem, choć w jego oczach malowała się wściekłość.

Ku swojemu zdziwieniu, Gillian miała teraz ochotę wybuchnąć śmiechem.

- Nie zamykam drzwi, tylko zasuwam zasłonkę. - Ponownie odgrodziła się od niego, jednak tym razem Trace po prostu zerwał zasłonkę z haczyków.

- Czego ty u diabła chcesz?

- W tej chwili chciałabym w spokoju umyć włosy. - Odgarnęła do tyłu długie loki i ustawiła się pod gorącym strumieniem. Nie zdążyła jednak sięgnąć po szampon, bowiem Trace pociągnął ją gwałtownie i stanął obok niej, nic nie robiąc sobie z tego, że woda moczy jego ubranie.

- Nie mam czasu na takie zabawy - powiedział. - Oczyszcimy atmosferę, żebyś mógł się skoncentrować na moim zadaniu.

- W porządku. Atmosfera oczyszczona. - Odłożyła mydło. - Chcesz rozgrzeszenia? Masz je. Jesteśmy kwita.

- Czy naprawdę uważasz, że powinienem czuć się winny. Sama rzuciłaś mi się w ramiona.

Gillian odgarnęła mokre włosy z twarzy.

- No pewnie. Walczyłeś jak tygrys, ale cię pokonałam. - Lekko pchnęła go w pierś. - Zjeżdżaj stąd, O'Hurley, bo znowu zrobię ci krzywdę.

- Nie mów do mnie w ten sposób, ty mała... - Ruszył do przodu, lecz nagle zgiął się wpół, kiedy zdzieliła go pięścią w żołądek. Oboje zamilkli nagle i popatrzyli na siebie ze zdumieniem, po czym Gillian zachichotała nerwowo i natychmiast zakryła usta dłonią.

- Co cię tak śmieszy?

- Nic - ponownie się roześmiała. - Nic poza tym, że wyglądasz teraz, jakbyś zbaraniał. Ja zresztą czuję się podobnie.

- Wsadziła twarz pod prysznic i przetarta oczy mokrą dłonią.

- No dobra, uciekaj, O'Hurley, zanim naprawdę się zdenerwuję.

Trace dotknął delikatnie żołądka, zdumiony, że dał się tak podejść. Teraz nie czuł już złości. Położył dłoń na ramieniu Gillian i delikatnie odwrócił ją ku sobie.

- Niezłe trafienie.

- Dziękuję. - Może jej się tylko zdawało, ale miała wrażenie, że miał na myśli coś więcej niż tylko cios pięścią.

- Wiesz, że woda jest za gorąca?

- Miałam ochotę na gorący prysznic.

- Aha. - Dotknął jej policzka i przejechał kciukiem po drobnych piegach. - Może umyję ci plecy?

- Lepiej nie.

- No to ty mi umyj. - Objął ją mocno.

- Trace! - Uniosła ręce w obronnym geście.

- To nie jest odpowiedź.

- Tylko taką ci mogę dać.

Pochylił się i pocałował ją delikatnie.

- Pragnę cię. Czy to właśnie chciałaś dziś usłyszeć? - Gdyby tylko było to takie proste. Gdyby tylko trochę mniej go kochała, Gillian westchnęła i przytuliła policzek do policzka mężczyzny.

- Wczorajsza noc była wyjątkowa - powiedziała. - Potrafię pogodzić się z tym, że dla ciebie nie znaczyła nic, ale chce, żebyś miał szacunek dla mnie, a dla mnie znaczyła bardzo

wiele. Wiem, że na tym koniec. Nie będę w to brnąć, bo mi za bardzo zależy, a ty za bardzo uciekasz.

Trace milczał przez chwilę. Czuł, że lepiej byłoby obyć się bez słów, chociaż wiedział jednocześnie, że muszą zostać wypowiedziane.

- Dla mnie również wiele znaczyła ta noc, Gillian. - Ujął jej twarz w swoje dłonie. - Bardzo wiele.

- I dlatego jest ci tak trudno.

- Mnie trudno, a tobie smutno. Ale wierz mi, gdyby było inaczej, nie wyszłoby to na zdrowie ani tobie, ani mnie.

- Pewnie, że nie. - Uśmiechnęła się i zarzuciła sobie jego ramiona na szyję. - Jedzenie czekoladowych ciastek też nie jest zdrowe, ale od lat nie umiem się im oprzeć.

Trace nie był pewien, czy postępuje rozsądnie, zabierając Gillian do dzielnicy slumsów. Chciał jej pokazać, w jakim otoczeniu wykonuje swoją pracę i z jakimi ludźmi ma do czynienia, teraz jednak uznał, że niepotrzebnie naraża ją na nieprzyjemne widoki i niebezpieczne spotkania. To, co wydarzyło się tego ranka, nie zmieniło jego zdania na temat ich związku, uświadomiło za to, że czy tego chciał, czy nie, zawiązała się między nimi pewna więź. Byli prawie przyjaciółmi, a przyjaciół należy szanować i oszczędzać.

Poszli okreśłą drogą i w ten sposób udało im się zgubić zarówno szpiega Kendesy, jak i człowieka, którego wysłał za nim Addison. Pierwszy ogon nie był dla Trace'a niespodzianką, właściwie nawet się go spodziewał. Natomiast drugi uświadomił mu, że wywiad, a może tylko sam Addison, postanowił nie dawać mu całkowicie wolnej ręki i kontrolować wszystkie jego działania.

Kiedy już się upewnił, że zgubił obu niewygodnych osobników, zrobił wraz z Gillian jeszcze jedno okrążenie wzdłuż murów Casablanki, po czym zagłębił się w samo serce dzielnicy nędzy.

Ponieważ postanowił dotrzeć tu pieszo, pod marynarką miał jeden pistolet, na łydce zaś drugi, a oprócz tego - jak zwykle - ulubiony, sprężynowy nóż. Choć rzadko tu bywał, drogę znał dobrze, tak jak znał drogi w slumsach czy gettach wielu innych miast na świecie.

Na wąskich uliczkach i alejkach wałęsało się wielu żebraków i opryszków, ale żaden z nich nie próbował podejść do dwójki cudzoziemców. Trace nie poruszał się bowiem jak turysta, który zgubił drogę, czy jak amator mocnych wrażeń, który postanowił zagłębić się w

inną, nieznaną część Casablanki. Szedł jak ktoś, kto wie, dokąd idzie i czego chce.

Gillian szła obok niego w milczeniu. Z pewnością czuła ten charakterystyczny odór miejskiej biedy i brudu, bo minę miała niewyraźną. To był nie tylko pot, kurz i odchody zwierząt. W tym smrodzie wyczuwało się też fetor złości i nienawiści. Nawet jeśli widziała w swym życiu biedę w Irlandii czy bezdomnych w Nowym Jorku, z pewnością nigdy jeszcze nie miała do czynienia z tak krańcowym ubóstwem.

Tu na chodniku widniała świeża krew. W zaułkach czaiła się choroba, czekając cierpliwie na swoje żniwo. Mieszkała tu także śmierć, łatwa i szybka jak miłość z zarażoną syfilisem prostytutką. Mężczyźni wpatrywali się w białą kobietę ciężkim wzrokiem, Podniecała ich i irytowała. Ich muzułmańskie żony i córki, o twarzach zasłoniętych czarczafami, nigdy nie nosiły rozpuszczonych włosów i nie podnosiły tak śmiało oczu.

Trace podszedł z Gillian do jednej z chałup. Tego domostwa nie sposób było nazwać inaczej, mimo szyb w oknach i maleńkiego skrawka ziemi, który miał uchodzić za podwórko, może ogród. Pokraczny piesek przy drzwiach obnażył swoje żółte zęby, lecz zaraz cofnął się, kiedy Trace machnął w jego stronę nogą.

Zapukał do drzwi, po czym obrzucił ulicę długim, uważnym spojrzeniem. Tak jak przypuszczał, znów znajdowali się pod obserwacją. Nie szkodzi. Kendesa może dowiedzieć się o tej wizycie, o to przecież w gruncie rzeczy chodziło:

Drzwi otworzyła nieduża kobieta w ciemnej szacie i czarczafie. Kiedy popatrzyła na Trace'a, w jej oczach pojawił się błysk strachu.

- Dzień dobry - powitał ją. - Przyszedłem porozmawiać z twoim mężem. Nie bój się. - Jego arabski był trochę zardzewiały, ale powinien wystarczyć. Kobieta rozejrzała się uważnie, po czym szeroko otworzyła drzwi.

- Proszę usiąść - powiedziała.

Mimo brudu i ubóstwa na zewnątrz, wewnątrz chaty promieniało czystością. Ściany i podłogi pachniały lekko mydłem, mebli było wprawdzie niewiele, nie widniała za to na nich nawet plamka kurzu. Na środku pokoju siedział mały chłopiec w pieluszcze. Na widok Trace'a i Gillian uśmiechnął się szeroko i zaczął stukać w podłogę drewnianą łyżką.

- Przyrowadzę męża. - Kobieta podniosła dziecko i zniknęła w drugich drzwiach.

- Dlaczego ona się boi? - Gillian schyliła się, aby podnieść łyżkę z podłogi.

- Bo jest mądrzejsza od ciebie. Niech pani usiądzie, pani doktor, i wygląda tak, jak gdyby była pani lekko znudzona. To nie powinno zbyt długo potrwać.

- A dlaczego tu przyszliśmy? - Gillian usiadła na jednym z krzeseł.

- Bakir ma dla mnie przesyłkę. Przyszedłem ją odebrać. Drzwi, w których zniknęła przed chwilą Arabka, otworzyły się nagle i Trace natychmiast sięgnął ręką do kieszeni.

Zaraz jednak ją wyjął i wyraźnie się odprężył, widząc, że jego gospodarz jest sam.

Bakir miał wąską, szczupłą twarz i przypominał nieco lisa. Jego oczy były ciemne, niewielkie, a kiedy się uśmiechał, odsłaniał ostre białe zęby. Ubrany był w szarą szatę, kiedyś zapewne równie czystą jak pomieszczenie, w którym się znajdowali, teraz jednak poplamioną i wygniecioną. Gillian od razu poczuła niechęć do tego człowieka.

- Witaj, stary przyjacielu - odezwał się uprzejmie. - Oczekiwaliśmy cię dopiero jutro.

- Czasami lepiej złożyć nieoczekiwaną wizytę.

- Czy śpieszysz się, aby zakończyć nasze interesy?

- Chcę wiedzieć, czy masz towar, Bakir. Muszę dzisiaj załatwić jeszcze wiele innych spraw.

- Oczywiście, jesteś bardzo zajęтым człowiekiem. - Bakir zerknął na Gillian i z uśmiechem powiedział coś po arabsku. Trace popatrzył na niego surowo i mruknął coś w odpowiedzi. To wystarczyło, aby Bakir zbladł i skłonił się pokornie. Chwilę później odsunął stół, po czym oczom wszystkich ukazał się spory schowek w podłodze.

- Pomóż mi - zwrócił się do Trace' a.

Obaj w milczeniu wyciągnęli na podłogę drewnianą skrzynię, a wówczas Bakir wyjął z kieszeni klucz, otworzył zamek i uchylił wieka.

Broń była czarna i świeciła się od smaru. Widząc, z jaką swobodą Trace podniósł automatyczny karabin, by umieścić go na ramieniu, Gillian zrozumiała, że musiał posługiwać się nim niejeden raz. Rozłożył zamek i przyglądał się teraz uważnie wszystkim częściom.

- Prawie jak nowa - powiedział Bakir.

Trace odłożył karabin i wyciągnął ze skrzyni kolejny. Przyjrzał się mu równie dokładnie, po czym ten również odłożył, by sięgnąć po następny. Za każdym razem, kiedy wyjmował i oglądał kolejną sztukę, serce Gillian ścisnęło się w piersi.

Boże, ten człowiek sprawiał wrażenie, jak gdyby urodził się z bronią w ręku. A przecież jeszcze niedawno te same dłonie głaskały ją i pieściły, były czułe i delikatne. To był ten sam mężczyzna, a jednak, kiedy teraz na niego patrzyła, zdawał jej się inny, daleki, obcy.

- W porządku. - Trance skinął głową, zadowolony, że broń i amunicja spełniły jego oczekiwania. - Wyślij to do Sefrou na ten adres. - Wręczył Bakirowi kartkę, po czym sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej kopertę pełną pieniędzy, podjętych ze specjalnego konta należącego do wywiadu. Zastanawiał się, co zrobi Addison, kiedy się o tym dowie. - To twoje honorarium. - Koperta błyskawicznie zniknęła w gęstych fałdach szaty Bakira. - Dostawa jutro.

- Jak sobie życzysz - odparł kupiec. - Może zainteresuje cię jeszcze, że pewna organizacja oferuje bardzo wysoką nagrodę za wszelkie informacje na temat Il Gatta.

- Uważaj, Bakir. Zorganizuj dostawę i pamiętaj, co się dzieje z tymi którzy robią interesy z Il Gattem.

- Mani doskonałą pamięć - uśmiechnął się Bakir w odpowiedzi.

- Nie rozumiem - odezwała mc Gillian. gdy ruszyli w drogę powrotną. - Skąd masz te pieniądze?

- Od podatników. - Trance rozejrzał się uważnie. - Nasza operacja ma oficjalne poparcie wywiadu i międzynarodowego systemu bezpieczeństwa.

- Myślałam, że dostawą broni i rozliczeniami zajmie się kapitan Addison.

- Bo się zajmie. - Ujął ją za ramię i poprowadził za róg.

- Skoro Addison organizuje broń, którą pokażesz Husadowi, dlaczego zapłaciłeś temu człowiekowi?

- Ubezpieczam się. Jeśli plan Addisona z jakichś powodów nie wypali, nie uda mi się uratować twojego brata przy pomocy uśmiechu i pistoletu.

Serce Gillian przyspieszyło swój rytm.

- Rozumiem. To broń dla ciebie.

- Owszem, złotko, bystra jesteś. No, idziemy, idziemy - ponaglił ją, gdy nieoczekiwanie się zatrzymała. - To niezbyt bezpieczna okolica.

- Boże, po co tyle broni jednemu człowiekowi?

- Czy nie dlatego mnie wynajęłaś?

- Tak. - Zaciśnięła usta, próbując dorównać mu kroku. - Tak, ale...

- Czyżby ogarnęły cię wątpliwości?

Ogarniały ją nie tylko wątpliwości. Jak miała mu wytłumaczyć, że przez kilka ostatnich dni wszystko uległo zmianie? Jak miała mu powiedzieć, że stał się dla niej równie ważny, co mężczyzna i dziecko, których tak bardzo pragnęła ocalić? Śmiałyby się tylko z jej troski - albo, co gorsza, zirytowałyby go.

- Sama już nie wiem, co o tym myśleć - mruknęła. - Im dłużej to się ciągnie, tym bardziej mam wrażenie, że znalazłam się w jakimś nierealnym świecie. Kiedy to się zaczęło, myślałam, że świetnie wiem, co należy zrobić. Teraz niczego nie jestem pewna.

- Pozwól więc, że ja zajmę się myśleniem, ty zaś...

Nie dokończył, bowiem nagle pojawił się przed nimi rosły mężczyzna w zaplamionej białej szacie. Machnął ręką w stronę Gillian i wymamrotał coś bełkotliwym głosem, lecz gdy tylko Trace wy dobył z kieszeni nóż, cofnął się i złożył obie dłonie w przepaszającym geście.

- Idziemy! Nie oglądaj się teraz - rzucił Trace i pociągnął Gillian za sobą.

- Chciał pieniędzy?

- Na początek.

- To naprawdę okropne miejsce.

- Bywają gorsze.

Skręcili za róg i po minucie szybkiego marszu trafili do dzielnicy handlowej.

- Wiesz, mara wrażenie, że chciałbyś, abym sądziła, że takie miejsca te twój świat i twoje życie; że w gruncie rzeczy jesteś taki sam, jak ten Bakir i jemu podobni.

- Obaj mamy swoje brudne sprawki.

- Tak, ale przecież wiem, że ty jesteś inny. Chcesz mnie nastraszyć, zrazić do siebie, przyznaj.

- Może - zgodził się. - A teraz zamówimy kawę i pokręcimy się tu na tyle długo, aby ci, co nas śledzili, zdołali nas odnaleźć.

- Powiedz mi, Trace - uśmiechnęła się, już rozluźniona. Choć ją to zawstydzalo, dopiero z dala od smrodu slumsów czuła się pewnie i bezpiecznie. - Czy to chodzi tylko o

mnie, czy też walczysz ze wszystkimi, którzy próbują zbliżyć się do ciebie?

Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć, a co gorsza, wcale nie wiedział, czy sarn zna odpowiedź na to pytanie. Przy Gillian Fitzpatrick coraz częściej czuł się zagubiony.

- Walczę? Wydaje mi się, że tej nocy byliśmy całkiem blisko.

- Tak. I właśnie z tą bliskością nie umiesz sobie poradzić.

- Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Dziwisz się? Mam sporo spraw na głowie, pani doktor.

Znaleźli wolny stolik w małej kawiarence i oboje przy nim usiedli.

- Ja też mam ich sporo. Więcej, niż zamierzałam - odezwała się tajemniczo. Pozwoliła, aby zamówił kawę, a potem milczała, dopóki Trace nie zapalił papierosa i nie odłożył zapalki do popielniczki. - Mam do ciebie jeszcze jedno pytanie - zagadnęła wówczas i położyła dłoń na jego dłoni.

- Och, złotko, jeszcze się nie zdarzyło, żebyś nie miała.

- Ten, człowiek, Bakir... Nie udawałeś przed nim Cabota.

- Nie, kilka lat temu współpracowaliśmy podczas wykonywania jednego z zadań.

- Czy to agent?

Trace roześmiał się, ale poczekał, aż opuści ich kelner, który przyniósł kawę.

- Nie, pani doktor, to żmija - odparł. - Ale gady też czasami się na coś przydają.

- Wie, kim jesteś. Dlaczego miałby posłusznie załatwić dostawę, zamiast zatrzymać pieniądze dla siebie i zdradzić Husadowi, kim jesteś i gdzie cię znaleźć?

- Bakir wie, że jeśli Husad nie zdoła mnie zabić, wrócę i poderżnę gardło zdrajcy. - Trace upił łyk kawy. Kątem oka zauważył, że jeden ze śledzących ich osobników już pojawił się w pobliżu. - To duże ryzyko, prawda?

Śmierć? Owszem... - odparła i wbiła wzrok w filiżankę z kawą. Nagle ogarnął ją dziwny chłód. Myśl o tym, że Trace mógłby zginąć, zrodziła w niej lęk jak też jakąś dziwną determinację i gotowość do walki o jego bezpieczeństwo. - Wiesz - odezwała się - wychowano mnie w poszanowaniu życia. Zawsze wierzyłam, że to wartość największa, absolutna. Większość mojej pracy poświęcona była temu, aby życie stało się lepsze, łatwiejsze, bo choć nauka wiele może mieć wspólnego ze zniszczeniem, to jednak jej celem

zawsze był jest postęp. Nigdy nikogo celowo nie skrzywdziłam. Nie dlatego, że jestem taka święta, ale po prostu nigdy nie postawiono mnie przed takim wyborem.

- I całe szczęście.

- Tak - objęła filiżankę obiema dłońmi - lecz kiedy kapitan Addison zapytał mnie, co zrobię, jeśli dostanę się w ręce Husada, powiedziałam prawdę. W głębi serca wiem, że potrafiłabym odebrać mu życie. I to mnie właśnie przeraża.

- Nie znajdziesz się w takiej sytuacji, Gillian. - Delikatnie dotknął jej ręki.

- Mam nadzieję, bo wiem, że nie tylko bym to zrobiła, ale na dodatek potrafiłabym z tym żyć dalej.

- Po co właściwie mi to mówisz?

- Sama nie wiem. Może po prostu chciałam ci powiedzieć, że w gruncie rzeczy nie różnimy się od siebie aż tak bardzo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Od tygodni Gillian pragnęła znaleźć się jak najbliżej brata. Teraz, w Sefrou, była naprawdę blisko. W jej sercu nie było jednak entuzjazmu, raczej niepokój, smutek, a nawet strach. Czy zastaną go zdrowego? Czy nie przybyli za późno? I czy w ogóle uda im się go odnaleźć? A jeśli coś złego przytrafi się Trace'owi, co wtedy?

Oczywiście nie bez znaczenia był tu fakt, że dopiero po raz drugi od spotkania z Trace'em O'Hurleyem znalazła się nagle sama, a po raz pierwszy na tak długo. On wyszedł, by spotkać się z innym agentem oraz ludźmi Husada, ona zaś tkwiła w hotelowym pokoju, patrząc przez okno na puste uliczki obcego jej miasta.

Gdy zaś zabrakło Trace'a obok niej, zabrakło też sił, które pozwalały jej dotąd powstrzymywać emocje i lęki. Przy nim jakoś się trzymała. Nie płakała w poduszkę, bo wiedziała, że potoki łez nie pomogą Flynnowi, a przeszkodzą w koncentracji Trace'owi. Kiedy nawiedzały ją senne koszmary, nie mówiła mu o nich, bo nie chciała, by zobaczył, że jest wrażliwa i słaba. Musiał myśleć, że jest silna, zdeterminowana i że doskonale poradzi sobie ze wszystkim. Inaczej natychmiast odesłałby ją do Nowego Jorku.

To dziwne, że mimo jego trudnego charakteru, tak dobrze rozumiała i tak bardzo lubiła tego człowieka. Niewiele mówił o sobie, a jednak udało jej się odkryć część sekretów, które trzymał w sercu. Czy było tak dlatego, że istniała jakaś potężna siła, która przyciągała ich ku sobie? Czy była to siła przeznaczenia? Gillian nie chciała przesądzać, niemniej wiele wskazywało, że tak właśnie jest.

Nieraz wyobrażała sobie, co by było, gdyby poznali się w Nowym Jorku w normalnych okolicznościach - na kolacji, przedstawieniu, jakimś przyjęciu. Wiedziała, że i tak zostaliby kochankami, lecz wiedziała także, że w innych okolicznościach ich romans rozwijałby się wolniej, spokojniej, zupełnie nie tak jak teraz.

Romans, przeznaczenie...

Zanim spotkała Trace'a, rzadko myślała o własnym przeznaczeniu, a prawie w ogóle o miłości. Teraz uwierzyła, że pewne rzeczy muszą się stać. Ona i Trace są sobie przeznaczeni. Pytanie tylko, jak długo jeszcze Trace będzie się starał zagłuszyć w sobie głos serca.

Owszem, czułe słowa nie wszystkim mężczyznom przychodzą łatwo, Gillian wiedziała coś na ten temat. Decydują o tym takie czynniki, jak wychowanie, doświadczenia

dzieciństwa, wczesnej młodości...

No właśnie, zastanowiła się, dlaczego Trace jest taki, jaki jest? Co sprawiło, że świadomie odciął się od piękniejszej strony życia? Czy miało to coś wspólnego z jego rodziną?

Tego nie była w stanie odgadnąć. Pozostawało tylko czekać, aż Trace zdecyduje się przed nią otworzyć. Była cierpliwa, mogła czekać. Wcześniej czy później taki moment w końcu nastąpi.

Westchnęła i oparła się o parapet. Całe życie czekała na miłość i oto zakochała się po raz pierwszy w czasie największego kryzysu w jej dotychczasowym życiu. To nic, pocieszała się, kryzys minie, a potem wszystko się ułoży. Był tylko wszyscy wyszli cało z tej przygody. Był nikomu nic się nie stało.

Kolejne myśli płynęły coraz szerszym strumieniem i Gillian denerwowała się coraz bardziej. Okropnie było tak siedzieć i czekać. Oczywiście, Trace musiał wykonać swoje zadanie, a ona nie mogła wziąć udziału w porannym spotkaniu z jego partnerem z wywiadu, który miał dopilnować, żeby Andre Cabot dostał swoją broń. Mogła tylko się modlić i liczyć na to, że ukochany mężczyzna wróci z jaskini lwa.

Żeby się czymś zająć i uciszyć niepokój, zaczęła szukać zajęcia. Już trzy razy przekładała swoje rzeczy z miejsca na miejsce, a teraz zabrała się za walizkę Trace'a, która od rana leżała rozbebeszona na łóżku. Postanowiła poukładać także jego rzeczy i te drobne porządki sprawiły jej prawdziwą przyjemność. Wygladzała koszule, zastanawiając się jednocześnie, gdzie je kupił i jak w nich wyglądał. Układała na półkach swetry i krawaty, dzinsy i jedwab.

Ile rozmaitych wcieleń trzymał w tej walizce? Czy miał kiedykolwiek czas, by zastanowić się, kim tak naprawdę jest?

Pod jedną z koszul znalazła starannie zawinięty flet. Był wypolerowany, ale wyglądał na stary i często używany. Gillian uniosła go do ust i dmuchnęła. Uśmiechnęła się, słysząc czysty dźwięk. Przypomniała sobie, że Trace pochodził z rodziny, która żyła z muzykowania. A więc nie odciął się całkowicie od swoich korzeni, choć udawał przed sobą, że tak właśnie jest. Może grał na tym flecie, gdy był zupełnie sam, gdy było mu źle i tęskno za domem, którego, jak twierdził, nie miał od lat.

Położyła palce na dwóch otworach i znów dmuchnęła. Zawsze darzyła muzykę

uwielbieniem, chociaż jej ojciec uważał, że studiowanie tablicy Mendelejewa jest ważniejsze niż lekcje gry na pianinie, których tak pragnęła. Może teraz mogłaby się nauczyć grać chociaż na flecie. Ciekawe, czy Trace zechciałby przećwiczyć z nią jakąś prostą melodię, coś romantycznego, rzewnego, co przypominałoby jej kraj, który zostawiła, Irlandię.

Położyła flet na łóżku, ale nie owinęła go w materiał. W walizce znalazła też kilka książek - Yeatsa, Shawa i Wilda. Podniosła jedną z nich i przejrzała znajome fragmenty. Człowiek, który popisywał się tak szorstkimi słowami, woził ze sobą oprócz broni wiersze Yeatsa. Hm, ciekawe. Ale wcale nie zaskakujące. Już wcześniej wyczuła w nim podobne sprzeczności. W rzeczywistości zakochała się przecież w tych różnych obliczach zagadki, jaką był dla niej Trace O'Hurley.

Kiedy wyjęła ostatnie koszule i chciała zamknąć pustą walizkę, ujrzała w jednej z kieszeni notatnik. Wyciągnęła go, położyła na komódce i odłożyła walizkę do szafy. Powędrowała z powrotem do okna, lecz po drodze niechcący (a może wcale nie niechcący) rzuciła ów notatnik na podłogę i schyliła się, by go podnieść. Na stronie, na której się otworzył, znalazła nuty i krótki czterowiersz:

Słońce wstaje i zachodzi, a ja czekam wciąż na sen. Jestem smutny i zmęczony, nuży mnie już nocy cień. Dni przychodzą i odchodzą bez powodu, bez radości Noce stały się zbyt ciemne, żeby przetrwać bez miłości.

Zafrapowana, usiadła na łóżku, aby przeczytać więcej, lejąca ręka bezwiednie powędrowała do fletu i tam spoczęła.

Minęło już kilka lat, odkąd Trace po raz ostatni widział agenta Breintza. Ostatnio pracowali razem nad pewnym drobnym zadaniem w Sri Lance, potem zaś, jak to często zdarzało się w ich zawodzie, stracili kontakt ze sobą. Teraz Breintz wyglądał nieco inaczej - jego włosy przerzedziły się, a twarz poszerzyła. Głębokie zmarszczki pod oczyma nadawały mu bardziej surowy wygląd. W jego uchu tkwił szafir, a on sam odziany był w obszerną szatę ludzi pustyni.

Po godzinnej dyskusji Trace miał jednak pewność, że niezależnie od wszystkich zmian jego partner pozostał tym samym człowiekiem o wyjątkowo przenikliwym umyśle i niezwyklej intuicji.

- Postanowiono - mówił Breintz - że tym razem przekazanie broni nie odbędzie się w zgodzie ze zwyczajową procedurą. Dostawę mogłaby wyśledzić inna grupa, a już na pewno

jakiś nadgorliwy celnik. Posłużyłem się moimi kontaktami. Broń przyleci prywatnym samolotem na dziki pas startowy położony kilka mil na wschód stąd. Zapłacono już tym, którym trzeba było zapłacić.

Trace skinął głową, po czym zaciągnął się cygarem, którym wcześniej poczęstował go agent. Gęsty dym wypełnił przestrzeń nad stolikiem w prawie pustej restauracji.

- Okay - powiedział. - Kiedy tylko nadejdzie dostawa, zacznę działać. Powinniśmy zakończyć akcję w ciągu tygodnia.

- Jak Bóg pozwoli.

- Wątpisz?

Wargi Breintza wykrzywiły się w półuśmiechu.

- Tylko ostrzegam. Taka moja rola. - Wypuścił dym z ust, - Nie wierzyć w szczęście ani w dobre rady, a tylko w sprawdzone informacje. Pamiętasz tę zasadę?

- Tak.

- No to przekażę ci te informacje, chociaż pewnie wiesz już wszystko. Mija czwarty rok moich kontaktów z terrorystami w tym zakątku świata. Niektórzy z nich to islamscy fanatycy, inni mają polityczne ambicje, a jeszcze inni są po prostu zaślepieni przez nienawiść do bogatszej części świata i żądzą pieniądza. Te motywy, w połączeniu z całkowitym brakiem poszanowania dla życia ludzkiego, powodują, że wszyscy oni są cholernie niebezpieczni, a zarazem ostrożni. Żadna jednak z tych organizacji nie uznaje „Młota”, bo Husad to dla nich po prostu nieprzewidywalny szaleniec, z którym nie da się nigdy porozumieć i któremu nie wiadomo o co tak naprawdę chodzi, jeśli nie o puszczenie z dymem wszystkiego i wszystkich poza nim samym. W tym akurat mają rację. Husad jest inteligentny i charyzmatyczny, ale to faktycznie wariat, paranoik i sadysta. Jeśli odkryje, że go oszukujesz, zabije cię w bardzo nieprzyjemny sposób. A jeśli nawet tego nie odkryje, to i tak cię zabije.

- Wiem o tym. - Trace ponownie wciągnął w usta dym. - Muszę jednak wydostać tego naukowca i jego córkę. Potem zabiję Husada.

- Dotychczasowe próby zabójstwa nie powiodły się.

- Ta się powiedzie.

- Działaj więc, przyjacielu. - Breintz rozłożył dłonie. - Jakby co, jestem do dyspozycji.

- Dzięki. - Trace skinął głową i wstał. - Skontaktujemy się - dodał jeszcze, po czym

wyszedł na rozpaloną słońcem ulicę.

Jeszcze tylko kilka dni, powtarzał sobie. Kilka dni skupienia, koncentracji i przychylności losu, a będzie po wszystkim. Od pierwszego zadania, jakie wykonał jako agent wywiadu, wiedział, że w każdej chwili może zginąć. Od początku też towarzyszyło mu szczęście i wierzył, że jest tak dlatego, bo bardzo chce przeżyć. Traci bowiem naprawdę chciał żyć w przeciwieństwie do innych desperatów i samobójców, którzy garnęli się do tej roboty.

Skoro zaś uprzednio pragnął przeżyć i żył, to tym bardziej los oszczędzi go teraz, kiedy chciało mu się żyć jak nigdy dotąd - za sprawą Gillian oczywiście. Chciał spędzać z nią więcej czasu, chciał słyszeć jej śmiech, choć tak rzadko się śmiała. Chciał patrzeć, jak odpoczywa, na co ostatnio prawie w ogóle nie mogła sobie pozwolić. A najbardziej chciał widzieć tę czułość, tę troskę w jej oczach, gdy na niego patrzyła.

Owszem, doskonale zdawał sobie sprawę, że były to głupie, naiwne, dziecinne marzenia.

Ale tego właśnie pragnął.

Uratuje zatem jej brata i dziecko, którego imię wymawiała czasem przez sen. Zrobi to, po co przybył do Maroka, a potem spędzi z nią jedną jedyną spokojną noc. Jedną noc bez strachu, napięcia i wątpliwości, które teraz zewsząd ją otaczały. Podaruje jej spokój.

Więcej podarować nie może. Będzie musiał odejść. I tak w ich dusze wdarła się namiętność podszyta bólem niespełnienia. Ten ból to była tęsknota; tęsknota za tym, aby dać więcej, niż chciano, aby wziąć więcej, niż można. Problem zaś w tym, że ani on nie mógł dać jej szczęścia, ani ona tego szczęścia nie mogła w związku z nim odnaleźć. W czasie jednej nocy - tak; ale nie przez długie lata małżeńskiego pożycia, którego z pewnością chciała Gillian.

Kiedy więc jej rodzina będzie już bezpieczna, spędzi z nią noc i dyskretnie wycofa się z jej życia, zabierając ze sobą najpiękniejsze wspomnienia.

I właśnie dla tej jednej nocy musiał teraz pozostać przy życiu.

Ogon Kendesy dopadł go w hotelowym pasażu. Traci czuł się pewniej, wiedząc, że „Młot” podjął środki ostrożności i że dowie się o spotkaniu z Breintzem. Ruszył korytarzem do swojego pokoju, zadowolony, że za moment uwolni się od niewygodnego garnituru i cisnącego krawata.

Kiedy otworzył drzwi, najpierw osłupiał, a następnie wpadł we wściekłość.

- Trace, tak się cieszę, że wróciłeś - zawołała radośnie Gillian, wymachując fletem i notatnikiem. Dla ścisłości: jego fletem i jego notatnikiem. - Te piosenki są prześliczne - mówiła podekscytowana. - Czytałam je dwa razy i nadal nie wiem, która podoba mi się najbardziej. Musisz mi je zagrać, może wtedy...

- Dlaczego, do cholery, grzebałaś w moich rzeczach? - przerwał ten szczęśliwy szczebiot. Wyrwał notatnik z jej dłoni i chyba dopiero wtedy zrozumiała, jak bardzo jest wściekły. - Widzę, że najwyraźniej nie przyszło ci do głowy, że chociaż dla ciebie pracuję i z tobą sypiam, to mam prawo do prywatności.

Gillian zbladła, jak zawsze, kiedy była zdenerwowana.

- Przepraszam - powiedziała bezbarwnym tonem. - Długo cienie było i chciałam się czymś zająć, więc postanowiłam ułożyć twoje rzeczy.

- I w ramach tych zajęć przeczytałaś mój notatnik. Nie przyszło ci do głowy, że mogą tam być jakieś osobiste zapiski? - Trzymał zeszyt w dłoni, tak zażenowany, jak jeszcze nigdy w życiu. To, co tam napisał, płynęło prosto z jego serca i nigdy nie zamierzał tego komukolwiek pokazywać. - Czy naprawdę jesteś taka wścibska, czy może po prostu beznadziejnie bezmyślna?

- Wybacz mi - powiedziała sztywno. Nie chciało jej się tłumaczyć, że notatnik spadł z komody i otworzył się na jednej ze stron. Trace i tak by jej nie uwierzył. - Masz rację. Nie powinnam była grzebać w twoich rzeczach.

Miał nadzieję, że się pokłócą. Porządna awantura pomogłaby mu zamienić zażenowanie na gniew, z którym na pewno lepiej by sobie poradził. Jej spokojne przeprosiny sprawiły jednak, że poczuł się jeszcze bardziej zawstydzony. Otworzył szufladę, wrzucił do niej notatnik, po czym zatrzasnął ją głośno.

- Następnym razem, gdy będziesz się nudzić, poczytaj sobie książkę - powiedział.

Wstała, gdyż wszystko się w niej gotowało. Trace karał ją za to, że poprzez tę lekturę odkryła w nim wrażliwego, delikatnego mężczyznę o szlachetnej naturze. Był wściekły za to, że odkryła jego drugie „ja”, które ją zachwyciło.

No tak, ale ta druga natura była być może jego największą tajemnicą. Nie miała prawa jej odkrywać.

- Mogę cię tylko zapewnić, że jest mi bardzo przykro - powiedziała. - Popełniłam błąd i daję słowo, że więcej się to nie powtórzy.

Trace westchnął, owinał flet w miękki materiał i ułożył go starannie na dnie szuflady. W jego oczach był ból. Czy naprawdę tak bardzo go zranił jej niewinny w gruncie rzeczy występki?

- Nieważne - odezwał się pojedynczym tonem. - Wróćmy do naszych spraw. Spotkałem się z Breintzem. Broń już jest. Myślę, że Kendesa nawiąże kontakt jutro, najpóźniej pojutrze.

- Rozumiem. - Złożyła nieporadnie dłonie na kolanach.

- Wkrótce więc będzie już po wszystkim.

- Tak, wkrótce. - Spojrzał na nią. Wciąż była speszona i zbity z tropu. Wiedział, że sprawił jej przykrość i chciał teraz przeprosić ją i przytulić, powiedzieć, że zachował się jak krety i poprosić, aby się rozchmurzyła. Zamiast tego wsadził ręce do kieszeni. - Chodźmy na obiad. Nie ma tu zbyt wiele do zwiedzania, ale przynajmniej będziesz mogła wyjść z pokoju.

- Nie. Trace. Może raczej położę się i odpocznę, skoro już wróciłeś i wszystko jest w porządku. Jestem chyba bardziej zmęczona niż głodna.

- Dobrze. Wobec tego przyniosę ci coś do jedzenia.

- Może tylko jakieś owoce...

Trace przypomniał sobie ich pierwszy wieczór, kiedy Gillian zasnęła bez posiłku. Zaniósł ją wówczas do łóżka, a ona była blada i wyczerpana. Teraz też była blada. A on tak bardzo pragnął przywrócić kolor jej policzkom.

Kiedy Trace wyszedł, Gillian położyła się na łóżku i zwinęła w kłębek. Nie chciała płakać. Zamknęła oczy i z całych sił starała się o niczym nie myśleć. Nie mogła. Emocje wymknęły się spod jej kontroli i zaczęła szlochać gorzko, dokładnie tak jak wtedy, kiedy chciała sprawić przyjemność swojemu ojcu i posprzątała jego gabinet, a on zbeształ ją tylko za to i nie podziękował ani słowem.

Wypolerowała wówczas meble i szyby, lecz on się wściekł i zaczął krzyżeć, że „wkroczyła na jego prywatny teren”. Miał jej za złe, że dotykała jego rzeczy, że mogła coś stłuc, wyrzucić albo postawić w nieodpowiednim miejscu. Oczywiście, nie miało dla niego żadnego znaczenia to, że nic takiego się nie stało.

Cóż, Sean Brady Fitzpatrick dał jej wtedy cenną lekcję, ona jednak okazała się mało pojętną uczennicą.

Trace nie tknął zamówionego posiłku i nie dokończył whisky. W barze usiedział ledwie pięć minut, po czym szybko pobiegł do sklepu, zrobił zakupy i teraz wracał czym prędzej do hotelowego pokoju.

To przez Gillian. Nie spotkał dotąd kobiety, przy której człowiek zawsze czuł się winowajcą albo idiotą, nawet jeśli racja była po jego stronie. Cholera jasna, te piosenki były przeznaczone wyłącznie dla niego! Nie wstydził się ich. Ale odzwierciedlały myśli, uczucia i marzenia, które miewał jedynie przy bardzo rzadkich okazjach i których nie ujawniał światu ani ludziom.

Co więc ma zrobić teraz, kiedy Gillian poznała jego sekrety, i wie już, do czego tęskni w samotne noce? Te piosenki, te wiersze mogły zmniejszyć dystans, który usilnie starał się zachować między nimi.

Mimo wszystko nie powinien był jej ranić. Tylko człowiek głupi lub pozbawiony serca rani bezbronnych.

Położył różę na koszyku z owocami i otworzył drzwi.

Gillian spała.

Niedobrze. Miał nadzieję, że od razu się z nią rozmówi, a przeprosiny miną szybko i bezboleśnie. Postawił koszyk na komódce i przysiadł na łóżku, żeby się jej przyjrzeć. Leżała zwinięta w kłębek, jak dziecko, które płakało przed usnięciem. Przykrył ją delikatnie kocem, wstał i podszedł do okna, aby zasunąć zasłony. Żabki zapiszczały cicho. Gillian poruszyła się we śnie.

- Caitlin... - jęknęła z trwogą.

Nie bardzo wiedział, co robić. Nie chciał jej budzić, ale nie chciał też, by męczyły ją złe sny. Usiadł obok i pogłaskał Gillian po włosach.

- Ciii... Nic jej nie będzie - szepnął. - Jeszcze tylko kilka dni i znów się zobaczycie.

Jego dotyk wywołał u niej zupełnie nową reakcję - zaczęła drzeć, zaś na jej czole pojawiła się kropla potu. Trace wyczuł, że Gillian usiłuje obudzić się ze snu. Złapał ją w ramiona i pociągnął mocno ku sobie.

- Gillian, obudź się. - Przytulił ją mocno. - Jestem tu z tobą, Gillian, jestem...

Otworzyła oczy, a wówczas ujrzał w nich śmiertelne przerażenie.

- Boże...!

- Już - przycisnął ją jeszcze mocniej - już dobrze... To ja, Trace. Wszystko w porządku? Wiesz, gdzie jesteś? Wiesz, że to był tylko sen?

- Tak, w porządku... Trace... - Wciąż się trzęsła ze strachu. - Przepraszam cię...

- Nie musisz przeproszać.

- Zrobiłam z siebie idiotkę. - Wysunęła się z jego objęć.

- Chcesz wody?

- Tak, zaraz sobie wezmę.

- Siadaj, do diabła, ja ci przyniosę! - To on czuł się jak idiota, mówiąc do niej szorstkim głosem, który z trudem przechodził mu przez gardło. Odkręcił wodę i napełnił szklanekę aż do krawędzi. Och, o ile bardziej wolałby być wobec niej czuły! - Wypij trochę i spróbuj się odprężyć.

Dłonie Gillian drżały tak mocno, że rozlała wodę na nich oboje.

- Ja...

- Jeśli znowu mnie przeprosisz, naprawdę ci przyłożę. - Wziął od niej szklanekę i odstawił na bok. Z zakłopotaniem, którego nigdy wcześniej nie doświadczał w obecności kobiet, objął ją troskliwie ramieniem. - Odpręż się trochę. Może mi o tym opowiesz? To zazwyczaj pomaga.

Miała ochotę oprzeć głowę na jego ramieniu. Chciała, aby ją mocno przytulił, powiedział jej coś miłego i poczekał wraz z nią, aż strach minie. Krótko mówiąc, pragnęła cudu, choć jako naukowiec wiedziała, że cuda sienie zdarzają.

- To tylko nieprzyjemny sen - powiedziała. - Jak wiele innych.

- Wiele? - Ujął jej twarz w dłonie i zmusił, aby na niego spojrzała. - Czy ty przez cały czas masz koszmary?

- Przecież to nic dziwnego. Podświadomość...

Trace zaklął i zacieśnił uścisk. Przypomniał sobie, jak drżała, jak pot spływał po jej czole, jak nieprzytomne miała spojrzenie.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie widziałam powodu.

Puścił ją i powoli wstał z łóżka. Chciało mu się krzyknąć, tak był zły na siebie za własną ślepotę. Co noc dręczyły ją jakieś upiory, a on spał spokojnie w pobliżu. Jezu Święty!

- Nie widziałas powodu?

- Zirytowałbyś się tylko, jak teraz. A ja bym była zażenowana, dokładnie tak jak w tej chwili. - Gillian podniosła się nieco i przycisnęła rękę do żołądka, czując jak ogarniają ją nagłe mdłości.

- Widzę, że dobrze znasz moje reakcje... - zaczął, lecz nie dokończył, bowiem ku jego zdumieniu zbladła jeszcze bardziej.

- Gillian! - wrzasnął i odruchowo pociągnął ją do rogu łóżka. Wsadził jej głowę między kolana i polecił krótko: - Oddychaj. Oddychaj głęboko. Za moment ci przejdzie, ale musisz naprawdę głęboko oddychać.

Rzeczywiście, mdłości minęły, jednak łzy nie chciały odejść.

- Zostaw mnie teraz w spokoju, dobrze? - poprosiła żałośnie. - Po prostu wyjdź i zostaw mnie samą. Wystarczy tych upokorzeń...

Kiedyś, wcale nie tak dawno temu, Trace byłby więcej niż szczęśliwy, słysząc podobne słowa. Teraz jednak zaczął ją głaskać po plecach i nie ruszył się z miejsca, dopóki nie usłyszał, że jej oddech wyrównał się i uspokoił.

- Chyba oboje za długo byliśmy sami - szepnął, tuląc ją do siebie. Położył się obok niej na łóżku, na co zareagowała bardziej zdumieniem niż niechęcią. - Muszę ci coś powiedzieć. Nie oczekuję od ciebie, że będziesz superkobietą, twardą i nieustraszoną, dla której taka operacja to codzienność. Nie ma takich ludzi. Wiem, przez co przechodzisz, Gillian. Wiem, że nawet ktoś tak silny jak ty nie zawsze daje sobie radę ze stresem. Pozwól, że ci pomogę... Przytul się, maleńka.

Gillian wtuliła się w niego z całych sił. Chociaż łzy wciąż powoli spływały po jej twarzy, poczuła nagle niezmierną ulgę.

- Potrzebuję cię, Trace - wyszeptwała. - Tak bardzo starałam się nie bać, wierzyć, że wszystko dobrze się skończy... Tylko te sny... Zabijają w nich was wszystkich, a ja nie mogę ich powstrzymać...

- Następnym razem pamiętaj, że jestem blisko. Nie pozwolę, żeby stało się coś złego.

Tym razem Gillian prawie uwierzyła, że cuda się jednak zdarzają - Trace przejechał łagodnie dłonią po jej włosach i pocałował delikatnie jej skroń niczym najczulszy kochanek.

- Tak bardzo nie chcę cię stracić. - Popatrzyła na niego w nadziei, że przynajmniej ten jeden jedyny raz ujrzy w jego oczach miłość, albo choćby cień miłości.

- Będzie dobrze. - Dotknął ustami jej czoła. - Poza tym chodzi przecież o moją emeryturę.

- Wyspy Kanaryjskie.

- Tak. - Dziwne, ale teraz nie mógł jakoś wyobrazić sobie palm i ciepłego morza. - Nie zawiodę cię, Gillian.

- Nie pomyślisz, że jestem natrętną kiedy odwiedzę cię na parę dni po tym wszystkim?

- Kto wie? Może akurat będę miał ochotę na towarzystwo. Miłe towarzystwo - dodał i położył jej głowę na swoim ramieniu.

Nagle szklanka na stoliku zaczęła wibrować, a woda chlusnęła na wypolerowane drewno.

- Co to...? - Gillian poderwała się gwałtownie.

- Trzęsienie ziemi. Malutkie. Nie bój się, w Maroku to normalne.

Rzeczywiście, po chwili wibracje ustały i Gillian z ulgą wypuściła powietrze z płuc.

- To wszystko? Boże, to niewiarygodne, że tyle wiem o mechanizmach powodujących trzęsienia ziemi, a żadnego dotąd nie przeżyłam.

- Nie? interesujące widowisko.

- Nie mam chyba ochoty być widzem.

- Gillian?

- Tak?

- Co do tamtego... nie chciałem tak na ciebie naskoczyć.

- Ja też nie pomyślałam wcześniej, a to zawsze źle się kończy.

- Nie zawsze. W każdym razie przesadziłem. To nie jest aż takie istotne.

- Dla mnie twoje piosenki są bardzo istotne.

Podobał jej się sposób, w jaki Trace głąskał jej włosy i szyję. Przede wszystkim zaś

była szczęśliwa w jego objęciach. Trzymał ją troskliwie i tulił, jakby chciał ochronić przed całym złem świata. Wiedziała, że krępuje go taka czułość, a jednak był przy tym tak naturalny i tak szczęśliwy, że natychmiast pomyślała, iż ten człowiek ma w sobie ogromny potencjał miłości. Ciekawe, ile czasu minie, zanim Trace wreszcie to zrozumie.

- Wiem, jesteś zły, że je przeczytałam, ale nie mogę powiedzieć, żebym żałowała. Są piękne.

- Naprawdę tak sądzisz? - zapytał z wyraźną nadzieją w głosie.

Wzruszyło ją to pytanie. Uniosła głowę, aby móc na niego spojrzeć.

- Tak. Masz w sobie wielką wrażliwość. Talent dostrzegania i odczuwania rzeczy ulotnych, lecz bardzo ważnych. Bardzo mi się to podoba. Czuję, że teraz jesteś mi o wiele bliższy.

- A ja czuję, że znowu usiłujesz zrobić ze mnie kogoś, kim nie jestem.

- Nie, po prostu godzę się z tym, że jest w tobie więcej niż jeden człowiek - wyjaśniła i pocałowała go delikatnie.

Za bardzo go poruszała ta rozmowa, zbyt głęboko trafiała do jego serca. A teraz jeszcze ten pocałunek... Jeżeli za chwilę czegoś nie zrobi, znów zwycięży w nim pokusa rozkoszy.

Nie robi. A pokusa zwycięży. Trace wiedział, że przekroczyli już granicę, zza której nie można się cofnąć.

- Rozczaruję cię - powiedział jeszcze, ale tylko po to, żeby usłyszeć jej zaprzeczenie.

- Jak, skoro chcę cię takim, jakim jesteś?

- Rozumiem, że nie warto ci przypominać, że popełniasz błąd?

- Nie - odparła i ponownie dotknęła wargami jego warg. Nigdy dotąd nie całował jej w taki sposób - delikatnie, spokojnie, czule, jak gdyby mieli dla siebie resztę życia. Teraz trzymał swoją namiętność na wodzy, w zamian ofiarowując Gillian czułość, o której zawsze marzyła, lecz której się po nim nie spodziewała, w każdym razie nie teraz, nie na tym etapie, jeszcze nie tak wcześnie.

Rozebrał ją powoli, jakby chciał sprawdzić, czy jest w stanie panować nad własnym pożądaniem. O dziwo, znalazł w sobie dość siły, a ta gra z żywiołami sprawiła mu jeszcze większą radość. Jego serce wypełnione było światłem i spokojem, być może po raz pierwszy

od niepamiętnych las. Czuł, że mógłby kochać i być kochany, że mógłby dawać i otrzymywać miłość. W tej chwili był nawet skłonny wierzyć, że kobieta, którą trzyma w ramionach, naprawdę jest jego przeznaczeniem.

Nie chciał zastanawiać się nad tym, co zdarzy się jutro. Dzisiaj było ponadczasowe i należało tylko do nich. Takim chciał je zapamiętać.

Dla Gillian czas także przestał płynąć. Cały świat zamknął się tu i teraz. Wsłuchiwała się w swoje ciało, które grało wszystkimi zmysłami pod wprawnymi palcami Trace'a. Jego dłonie naprawdę były dłońmi artysty. Zręczne, wrażliwe, delikatne, dotykały jej i pieściły, powtarzały kształty jej ciała, a ono ożywało pod nimi i wibrowało ze szczęścia. Nie miała dotąd pojęcia, że tak subtelne bodźce mogą doprowadzić do tak intensywnej rozkoszy.

Była pojętną uczennicą i nie chciała mu być dłużna. Jego ciało nie było jej już obce, więc gdy się rozebrał, wiedziała, gdzie je dotykać, gdzie pieścić, gdzie głaskać. Podniecało ją to, że tak na niego działa, że ciało Trace'a sztywnieje, a mięśnie napinają się pod jej palcami.

Ta namiętność była inna niż wtedy, gdy kochali się po raz pierwszy. Silniejsza, pełniejsza, przeżywana wspólnie. Gillian wiedziała, dlaczego tak się stało. Serce podpowiadało jej pewnym głosem, że oto do pożądania dołączyło uczucie. Gdy przyjęła go w sobie, była już tego pewna. Trace nie był tylko kochankiem, był częścią jej samej, razem stanowili jedność.

Poruszył się w niej, a potem instynktownie powtarzał jej imię w drodze do ostatecznego spełnienia.

Kochał ją. Miała ochotę roześmiać się i krzyczeć w głos z radości.

Był cierpliwy. Nie wiedziała, że ma w sobie taką cierpliwość i że dla niej jest gotów powstrzymać się i czekać.

Był hojny. Nie знаła nikogo, kto miałby w sobie tyle hojności i ofiarował rozkosz tak wspaniałomyślnie, kiedy gotowa już była ją przyjąć.

Cuda jednak istnieją, pomyślała jeszcze i rozpląnęła się ze szczęścia.

Trace jeszcze nigdy nie czuł się tak dobrze. Spali przez krótką chwilę - dosłownie kilka minut - ale sen odświeżył go i sprawił że poczuł się nagle wypoczęty i wzmocniony. Przewrócił się na brzuch i objął Gillian ramieniem. Pomyślał, że najlepiej spożytkowałby tę nieoczekiwaną energię, ponownie dając jej rozkosz.

- Pamiętasz prysznic, który wczoraj wzięliśmy? Wściekałaś się na mnie.

Gillian podniosła się leniwie i położyła głowę na jego plecach.

- Nie wściekałam się na ciebie. Byłam po prostu słusznie zirytowana.

- Tak czy siak, rezultat był taki sam. - Zamknął oczy i westchnął, gdy zaczęła masować mięśnie jego karku. - Pomyślałem wtedy, że gorąca i mokra wyjątkowo na mnie działasz. No ale co z tego, kiedy miałaś ochotę mnie opluć.

- Czyżbyś zaplanowała, że znowu mnie rozwścieczysz?

- Jeśli będzie trzeba. Trochę niżej, och... tak, pani doktor... - westchnął z lubością, gdy palce Gillian powędrowały wzdłuż jego kręgosłupa. - Właśnie tutaj.

- Mógłbyś spróbować mnie przekonać, żebym wzięła prysznic. - Musnęła ustami ślady palców.

- Nie sądzę, żebym musiał się specjalnie wysilać.

- Doprawdy? Chcesz powiedzieć, że jestem łatwa, agencie O'Hurley?

- Nie - uśmiechnął się do siebie. - Chcę powiedzieć, że mam nieodparty urok i wyjątkowy dar przekonywania. Aj! - syknął, gdy uszczypnęła go pod łopatką.

- Taka arogancja zazwyczaj źle się kończy. Może powinnam... - zamilkła nagle.

- Co powinnas? Coś się stało?

- Nie. To znaczy... Dlaczego masz wytatuowaną pszczołę na pośladku?

- To skorpion. - Trace otworzył jedno oko.

- Słucham?

- Skorpion.

Gillian przyjrzała się uważnie tatuażowi.

- Jest tu wprawdzie trochę ciemno, ale... Nie, to z całą pewnością pszczoła. Rozgnieciona pszczoła. - Pocałowała przelotnie tatuaż. - Wierz mi, jestem naukowcem.

- Nic podobnego. To skorpion. Symbolizuje szybkie ukłucie. Jestem szybki i niebezpieczny.

- Jak rozgnieciona pszczoła. - Gillian przycisnęła dłoń do ust i zdławiła wybuch śmiechu. - Wierz mi, mam lepszy widok. To rozgnieciona pszczoła, a może nawet mucha.

- No dobra, mogło trochę się nie udać - przyznał. - W końcu tatuujący był pijany.

Gillian usiadła i położyła jedną rękę na jego biodrze.

- Chcesz mi powiedzieć, że byłeś na tyle stuknięty, aby powierzyć tę drogocenną część ciała pijanemu artyście.

Trace przetoczył się na plecy i pociągnął Gillian na siebie.

- Ja też byłem pijany. Czy myślisz, że gdybym był trzeźwy, pozwoliłbym, żeby zbliżył się do mnie ktoś z igłą?

- Jesteś nienormalny.

- Miałem dwadzieścia dwa lata, złamane serce i zwichnięty bark.

- Naprawdę miałeś złamane serce? - Popatrzyła na niego i, ciekawością. - Ładna była?

- Wyjątkowo - odparł natychmiast, chociaż wcale tego nie pamiętał. - Z ciałem równie wspaniałym, co wyobraźnia.

- To prawda?

- W każdym razie naprawdę miałem zwichnięty bark.

- Teraz też chcesz mieć? - Przejechała ręką po jego ramieniu.

- A co? Grozisz mi? - Uśmiechnął się do niej z zachwytem. - To zabrzmiało tak, jakbyś była o nią zazdrosna.

- Ja? Zazdrosna?

- No to przynajmniej „słusznie zirytowana”.

- A jak mam nie być, kiedy leżę w łóżku z facetem, który opowiada mi o innej kobiecie?

- Sama pytałaś.

- Nie musiałeś odpowiadać.

- Musiałem. - Stoczył się z łóżka i ignorując protesty Gillian, wziął ją na ręce.

- Trace! Co robisz?

- Wściekłaś się wreszcie, więc pomyślałem, że weźmiemy prysznic.

- Łajdak. - Ujęła między palce miejsce, w którym powinna być pszczoła, i ścisnęła z całej siły.

- Uwielbiam, kiedy się złościś, złotko - odparł i ze śmiechem zaniósł ją do łazienki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy termin spotkania między Trace'em a ludźmi Husada został wreszcie ustalony, Gillian poczuła się wewnętrznie rozdarta.

Z jednej strony chciała, aby Trace uratował Flynnna, aby powrócił i powiedział, że jej brat i jego córka mają się dobrze i że jest bezpieczny sposób na to, aby ich uwolnić. Jednocześnie jednak wiedziała, że ten bezpieczny sposób nie istnieje i dlatego nie chciała, żeby Trace narażał życie. W końcu gdyby nie ona, Trace spędzałby dalej swoje wakacje w Meksyku. Jakie miała prawo, by narażać go na śmierć?

Kiedy usiłowała mu to wytłumaczyć, zbył ją.

- Chcesz powiedzieć, że czujesz się za mnie odpowiedzialna? Całkiem niepotrzebnie. Sam odpowiadam za siebie, złotko.

Od tej pory starannie ukrywała swoje lęki i obawy, wiedząc, że Trace i tak nie da się przekonać i zrobi wszystko dokładnie tak, jak sam wcześniej sobie zaplanował. Ona nie miała na to żadnego wpływu.

Gdy więc się z nim kochała, robiła to niemal z desperacką rozpaczą. W nim zresztą też wyczuwała podobne napięcie. Najkrócej mówiąc, każdy kolejny raz mógł być ostatni i oboje zdawali sobie z tego sprawę, choć żadne z nich nie mówiło tego głośno. Ona zadowalała się jego pieszczotami, jemu wystarczało jej ciepło i troska.

Ostatniej nocy przed decydującą wizytą w kwaterze Husada Trace nie mógł spać w kłamstwie. Sam był jednak boleśnie świadomy tego, że jego los nie do końca zależy od niego.

A przecież nie mógł wziąć ze sobą żadnej broni. Andre Cabot nie miał prawa zbliżyć się do Husada z pistoletem czy choćby tylko nożem. Może jako Il Gatto... Ale Il Gatto musiał jeszcze poczekać. Na razie musi dostać się do górskiej kwatery Husada i wrócić z niej z Flynnem i Caitlin. O ile w ogóle uda mu się wrócić...

Przekręcił się na bok i wsłuchał w spokojny oddech Gillian. Na szczęście od jakiegoś czasu nie miała złych snów. Za dzień, może dwa, będzie już po wszystkim i wtedy wróci do Nowego Jorku. Nie przyśnią jej się już koszmary, gdyż jej życie znowu będzie normalne i poukładane.

Pogłaskał lekko jej włosy. Spróbował wyobrazić sobie, jak pochyla się nad jakimiś skomplikowanymi obliczeniami w białym fartuchu zakrywającym elegancki kostium.

Zapewne nawet po tej przygodzie nie przestanie wierzyć, że nauka może zmienić świat na lepsze. I może to dobrze, że mimo wszystko zachowa w sobie tę wiarę. Gdyby ją straciła, to by ją w jakiś sposób zubożyło, tak jak zubożyło jego, odkąd stał się pozbawionym złudzeń sceptykiem. Człowiek, który ma swoje marzenia i idee jest szlachetniejszy. Taką właśnie chciał ją zapamiętać - szlachetną, ufną, pełną nadziei.

Gdyby i w nim była podobna wiara, być może inaczej wyglądałaby ich przyszłość, a tak mógł tylko powiedzieć jej, jak wiele dla niego znaczy i dlaczego mimo to nie może z nią zostać. Mógł, a jednak dotąd nawet tego nie powiedział. Nie wyznał jej nigdy, jak jest dla niego ważna.

Trudno, za późno, co się stało, to się nie odstanie, pomyślał i odsunął rękę, by Gillian mogła dalej spać.

Ale Gillian wcale nie spała. Czuła jego niepokój i sama również była niespokojna. Nie poruszyła się jednak ani nie odezwała, wiedząc, że Trace pogrążony jest we własnych myślach i że chce zapewne być z nimi sam na sam.

Kiedy jednak wiercił się i nie mógł znaleźć sobie miejsca, pomyślała, że mogłaby go chociaż przytulić, żeby odpoczął i nabrał sił przed trudnym dniem. Już miała nawet wyciągnąć rękę, gdy usłyszała, jak Trace przesuwając się w stronę nocnej szafki, a potem podnosi słuchawkę telefonu.

Najpierw mówił coś po francusku, później milczał przez chwilę, wreszcie Gillian usłyszała, jak wyciągnął papierosa z paczki i zapalił zapalniczkę.

- Tu O'Hurley, numer 8372B - odezwał się. - Połączenie przez Paryż do Nowego Jorku, kod trzy, faza dwanaście.

Trace wiedział, że regulamin zabrania prywatnych telefonów w czasie trwania misji, tym razem jednak nie mógł się powstrzymać. Połączenie przez Paryż powinno być względnie bezpieczne. Telefon nie był na podsłuchu, a gdyby Kendesa śledził nawet jego połączenia, dowiedziałby się tylko, że Cabot dzwonił do Paryża. Cholera, poza wszystkim to może ostatnia okazja, by z nią porozmawiać.

Teraz mógł tylko liczyć na to, że zastanie ją w domu.

- Halo? - usłyszał w słuchawce znajomy głos.

- Cześć, Maddy. - Uśmiechnął się w ciemnościach. - Co to? Dzisiaj nie występujesz?

- Trace? Tak, Trace! - W słuchawce zabrzmiał jej radosny pisk. - Jak się masz? Gdzie jesteś? Co porabiasz? Zastanawiałam się, czy do mnie zadzwonisz. Tak się cieszę, że to zrobiłeś, mam ci tyle do powiedzenia. Jesteś w Nowym Jorku?

- Nie, nie tym razem. Ze mną wszystko w porządku. A jak tam twój Broadway?

- Cudownie. Tylko że nie wiem, jak dadzą sobie radę beze mnie w ciągu najbliższego roku.

- Roku? Czyżbyście wybierali się w podróż dookoła świata?

- Nie... Zresztą nie wiem, może. Posłuchaj, Trace, będę miała dziecko. Słyszysz? Dziecko! Moje własne! - Nie potrafiła ukryć podniecenia. - Za sześć i pół miesiąca. Chyba muszę zrobić testy, bo wygląda na to, że mogę mieć więcej niż jedno.

Dziecko. Trace pomyślał o szczupłej, długonogiej dziewczynie, która zawsze miała dwa razy więcej energii niż wszyscy. Kiedy widział ją po raz ostatni, była jeszcze nastolatką. A teraz... dziecko. Pomyślał również o Abby i jej synach, swoich nigdy nie widzianych siostrzeńcach.

- Trace, jesteś tam? - zaniepokoiła się Maddy. - Dobrze się czujesz?

- Jestem, jestem. Wszystko w porządku. Po prostu mnie zamurowało.

- Och, Trace, musisz nas odwiedzić. Tak bym chciała, żebyś przyjechał, chociaż na krótko, i poznał wreszcie Reeda. Jest wspaniały, taki niezwykły i zrównoważony. Sama nie wiem, jak mnie znosi. Abby też będzie miała wkrótce dziecko, wiesz? Powinieneś ją zobaczyć. Nie masz pojęcia, jaka jest piękna i szczęśliwa, odkąd poślubiła Dylana. Jej chłopcy rosną jak na drożdżach. Dostałeś zdjęcia, które ci wysłała?

- Tak. - Otrzymał je, zadumał się nad wizerunkami synów swojej siostry, po czym zniszczył fotografie. Gdyby coś mu się stało, nie mogły pozostać żadne ślady prowadzące do jego rodziny. - Mili chłopcy. Ten mały wygląda jak przyszły pożeracz niewieścich serc.

- To dlatego, że jest tak bardzo podobny do ciebie.

Nie miała pojęcia, jak wstrząsnęło nim to oświadczenie. Trace przymknął oczy i przywołał w pamięci twarz z fotografii. Rzeczywiście, Maddy miała rację - ten maluch miał coś w sobie z Trace'a O'Hurleya.

- Masz jakieś wiadomości od Chantel? - zapytał, żeby zmienić temat i nie pozwolić ogarnąć się wzruszeniu.

- Mam, I to wstrząsające... - Maddy zamilkła na chwilę dla wzmocnienia efektu. - Nasza siostrzyczka wychodzi za mąż.

- Co takiego? - Trace omal nie zakrztusił się dymem, który wypełnił mu płuca. Słyszał, rzecz jasna, rozmaite plotki, ale kto by tam w nie wierzył. - Mogłabyś powtórzyć?

- Powiedziała, że Chantel, nasza rodzinna *femme fatale*, pierwsza gwiazda sceny i ekranu, spotkała wreszcie swoją drugą połowę. Za dwa tygodnie wychodzi za mąż. Chciała cię o tym zawiadomić, ale nie mieliśmy pojęcia, jak się z tobą skontaktować.

- Byłem trochę zajęty.

- Jak zwykle. W każdym razie naprawdę ją wzięło. To będzie najbardziej wystawny ślub w tym kraju od czasów wojny secesyjnej.

- Więc Chantel wychodzi za mąż. Chciałbym poznać tego faceta.

- Idealnie do niej pasuje. Jest konkretny, szorstki i zdecydowany. Chantel skacze wokół niego na paluszkach. Mówię ci, ona naprawdę zwariowała na jego punkcie. Jakiś pisarz dostał na jej tle obsesji. Naprzykrzał się, a kiedy zaczęło być niebezpiecznie, wynajęła Quinna jako ochroniarza. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, wychodzi za niego i wszystkim rozpowiada, jak szczęśliwa jest z tego powodu.

- Naprawdę tak jej dobrze?

- Lepiej niż dobrze.

Chciał dowiedzieć się więcej. Mógł użyć swoich kontaktów, żeby poznać szczegóły, które Maddy opuściła. Musiał z tym jednak poczekać, aż wydobędzie się z tego podłego miasteczka.

- To kiedy do nas przyjedziesz, Trace? - Maddy powróciła do stałego tematu ich rozmów. - Wiesz dobrze, ile by dla nas znaczyło, gdybyś przyjechał na jej wesele. Minęło już tyle czasu...

- Wiem. Ty też wiesz, że bardzo chciałbym cię znowu zobaczyć. Tylko że nie mam zamiaru odgrywać roli syna marnotrawnego...

- Przecież wcale nie musisz. Wszystko się zmieniło. My też się zmieniliśmy. Mama za tobą tęskni. Wiesz, że wciąż ma tę malutką pozytywkę, którą wysłałeś jej z Austrii? No a tata... - zawahała się. - Tata oddałby wszystko, żeby znowu cię zobaczyć, naprawdę. Nie powie tego, wiesz, że nie zdobyłby się na to, ale widzę to za każdym razem, kiedy

wspominamy o tobie. Zlituj się, braciszku, zawsze gdy zdołamy zebrać się razem, jest luka, brak, dziura. Tylko ty możesz ją zapełnić.

- A jak tam mama i tata? Wciąż w trasie? - zapytał, choć znał odpowiedź.

- Tak, nic się nie zmieniło. - Maddy westchnęła cicho. - Niedługo wystąpią w telewizji. Tańce ludowe. Ojciec jest w siódmym niebie.

- No pewnie. Jak on się czuje?

- Daję słowo, z roku na rok robi się coraz młodszy. Można by powiedzieć, że muzyka i taniec to źródło wiecznej młodości. Tata nadal potrafi przetańczyć każdego nastolatka. Musisz sam się przekonać.

- Zobaczymy, jak się ułoży. Powiedz Chantel i Abby, że dzwoniłem. Mamie też.

- Powiem na pewno. - Maddy zacisnęła dłoń na słuchawce. - A ty, powiesz mi, dokąd się udajesz?

- Zawiadomię was później.

- Pamiętaj, że kocham cię, Trace. Wszyscy cię kochamy.

- Wiem o tym... - Chciał dodać coś jeszcze, ale nie zrobił tego. - Maddy?

- Co?

- Połam sobie nogi.

Odłożył słuchawkę i ułożył się do snu na boku, lecz długo jeszcze nie mógł usnąć.

Ranek nadszedł szybciej niż oboje tego chcieli. Teraz, gdy do rozstania zostały już tylko chwile, Gillian tępo patrzyła, jak Trace wkłada garnitur, przeciera buty, wiąże krawat.

Chciała krzyknąć, zatrzymać go siłą, jednak wiedziała, że za późno już na protesty. Gdyby nie przyszedł na umówione spotkanie, ludzie Husada zjawiliby się w hotelu. A wtedy wcale nie byłoby bardziej bezpiecznie.

Nie pocieszał jej też fakt, że Trace włożył do kieszeni maleńki pistolet. Zabierał go ze sobą tylko dlatego, że Cabot z pewnością by to zrobił, ale równie dobrze mógł wziąć pistolet na wodę. I tak przecież zostanie poddany rewizji i zabiorą mu nawet wykałaczki, jeśli uznają, że może nimi skrzywdzić Husada.

Odwrócił się do niej, żeby się pożegnać, i w tej samej chwili mężczyzna, z którym kochała się ubiegłej nocy, stał się Andre Cabotem.

- Jeśli jest jakiś inny sposób... - zaczęła.

- Nie ma - odpowiedział z tą samą pewnością, którą słyszała w jego głosie, gdy w nocy rozmawiał przez telefon z siostrą. Wtedy jednak wydawało jej się, że oprócz pewności usłyszała również nutę żalu.

- Muszę cię jeszcze raz zapytać; czy naprawdę nie ma możliwości, żebym poszła z tobą?

- Wiesz, że nie.

Zacisnęła usta, odwróciła wzrok.

- Jak mam się skontaktować z tym drugim agentem, w razie gdyby... Czy jest coś, co powinienem wiedzieć?

- Nie będziesz musiała się z nim kontaktować.

- Więc pozostaje mi czekać?

- Tak. - Zawahał się. - Wiem, że to jest najtrudniejsze.

- Mogę jeszcze się modlić.

- Na pewno nie zaszkodzi. - Nie zamierzał tego robić, ale jednak wyciągnął rękę, ujął jej obie dłonie i w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że wszystko zmieniło się w jego życiu. Po raz pierwszy od dwunastu lat odejście znowu było bolesne. - Nie martw się - pocieszył ją. - Wydostanę ich stamtąd.

- I siebie. - Zacisnęła palce na jego dłoniach. - Obiecasz mi to?

- Jasne. A kiedy to wszystko się skończy, zrobimy sobie małe wakacje, zgoda? Dwa tygodnie albo nawet miesiąc, ty wybierzesz miejsce.

- Gdziekolwiek?

- Pewnie.

Pochylił się, żeby ją pocałować, ale tylko dotknął wargami jej czoła. Obawiał się, że jeżeli ją przytuli i naprawdę pocałuje, nie będzie w stanie odejść. Przez długą chwilę wpatrywał się w jej twarz, ciemnozielone oczy, usta, które potrafiły być tak słodkie i tak namiętne. Wreszcie puścił ją i sięgnął po aktówkę.

- Myśl sobie o tym, kiedy mnie nie będzie. Przydzielono ci dwóch ochroniarzy, ale nie wybieraj się na żadne wycieczki. Powinienem wrócić za dzień czy dwa.

- Będę na ciebie czekać.

Kiedy ruszył do drzwi, była jeszcze pewna, że dotrzyma złożonej sobie obietnicy. Przecież przysięgła, że tego nie powie. Gdy jednak Trace sięgnął do klamki, nie wytrzymała.

- Trace - zawołała za nim cicho.

- Tak? - Zatrzymał się i spojrzał na nią z lekkim zniecierpliwieniem.

- Kocham cię. Widziała, jak wyraz jego twarzy uległ nagłej zmianie. Przez sekundę sądziła, że podejdzie do niej i weźmie ją w ramiona. Zaraz jednak to odmienione oblicze znów stało się idealnie bez wyrazu, Trace zaś otworzył drzwi i wyszedł bez słowa.

A więc została sama. Mogła rzucić się teraz na łóżko i zanieść płaczem, lecz prawdę mówiąc, była zbyt słaba nawet na to, by płakać. Trwała nieruchomo w miejscu i czekała, aż wróci jej spokój.

Nie spodziewała się, że Trace odpowie na jej wyznanie. Gdyby zresztą nawet odpowiedział, to i tak pewnie by odszedł, żeby wypełnić do końca swoją misję. Koła zostały puszczane w ruch i nie sposób było ich zatrzymać. Będzie się więc modlić, tak jak obiecała, zanim jednak zacznie, zrobi coś, o czym myślała od rana, a właściwie jeszcze wcześniej.

Podniosła słuchawkę telefonu i poprosiła w recepcji o numer, pod który Trace zadzwonił ubiegłej nocy. Wykręciła go, a potem, polegając na swojej doskonałej pamięci, powtórzyła zasłyszany szyfr. Jej serce biło mocno, gdy czekała, aż zgłosi się rozmówca po drugiej stronie.

- Tak, słucham? - usłyszała po piątym sygnale zirytowany męski głos.

- Chciałabym rozmawiać z Madeline O'Harley. Mężczyzna zaklął ze złością.

- Wie pani, która jest godzina?

- Nie. Przepraszam, dzwonię z zagranicy.

- W Nowym Jorku jest piętnaście po czwartej. W nocy! Moja żona o tej porze zazwyczaj jeszcze śpi. Ja też.

- Naprawdę bardzo mi przykro, ale... Jestem przyjaciółką jej brata. Nie wiem, czy będę jeszcze mogła ponownie zadzwonić. To ważne. - Wiedziała, że Trace zamordowałby ją, gdyby usłyszał te słowa. - Chciałabym z nią przez chwilę porozmawiać.

Na linii zapanowała cisza, wreszcie w słuchawce rozległ się rozbudzony już damski głos:

- Halo? Kim pani jest? Co się dzieje z Trace'em? Czy coś mu się stało?

- Nie, nie, nic mu nie jest. - Gillian miała nadzieję, że mówi prawdę. - Nazywam się Gillian Fitzpatrick, jestem jego przyjaciółką.

- Fitzpatrick? Czy Trace jest w Irlandii?

- Nie. - Prawie się uśmiechnęła. - Pani O'Hurley, chyba powinnam być z panią szczerą... - Odetchnęła głęboko, po czym powiedziała szybko, jakby się bała, że w ostatniej chwili zrezygnuje ze swego planu: - Kocham pani brata i sądzę, że byłoby najlepiej, gdyby wrócił do domu. Mam nadzieję, że pomoże mi pani to zaaranżować.

Maddy roześmiała się ze zrozumieniem.

- Miło mi panią poznać, pani Fitzpatrick. Proszę powiedzieć, co mam zrobić.

Trace podążał na wschód w milczeniu. Wcześniej polecił, aby kierowca samochodu, który po niego przyjechał, udał się pod magazyn, gdzie Breintz zostawił zgodnie z umową broń dla „Młota”. Przejęcie jej polegało jedynie na podpisaniu pewnego rachunku i pozbyciu się pewnej sumy pieniędzy. Teraz byli już w górach. Jazda nie należała do najprzyjemniejszych, więc Trace, pamiętając o tym, że powinien zachowywać się jak kapryśny Andre Cabot, ponarzekał trochę na warunki i ponownie wbił wzrok w szybę.

Wróci.

Na pewno wróci.

Z nadzieją popatrzył na swój zegarek. Zamontowany w nim mikronadajnik informował Breintza o jego aktualnym położeniu. Przy odrobinie szczęścia - i zakładając, że technika stosowana przez amerykański wywiad jest naprawdę nowoczesna i o krok przed wszystkimi nowinkami świata - nadajnik nie powinien zostać wykryty przez ochronę Husada. A jeśli tak się stanie... Cóż, musi być przygotowany i na taką okoliczność.

Kiedyś nie zwykł wybiegać myślami naprzód. To zaciemniało mu obraz teraźniejszości, a przecież właśnie ona była dla niego najważniejsza. Dlatego i teraz próbował nie myśleć o Gillian; o tym, jak wyglądała, co będzie robić w przyszłości i czy w tej jej przyszłości może być miejsce dla niego.

Przede wszystkim zaś myślał o tym, co powiedziała na moment przed rozstaniem. Jeśli mówiła poważnie...

Kochała go. Naprawdę go kochała. Widział tę miłość w jej oczach już wcześniej, choć

usiłował wmówić sobie, że to jedynie złudzenie i pobożne życzenia. Kiedy mu ją wyznała, mógł podejść do niej i wziąć ją w ramiona. Złożyć obietnice, których być może nigdy nie mógłby dotrzymać. Nie zrobił tego, gdyż on też ją kochał.

Teraz czuł, jak w jego sercu, w jego sumieniu, toczy się zaciekle walka. Chciał wziąć, co Gillian pragnęła mu ofiarować, a jednocześnie wiedział, że człowiek taki jak on nie ma prawa brać czegokolwiek. Na pewno zaś miłości, której nie umiałby i nie mógł odwzajemnić. Co więc miał zrobić?

Na razie to i tak czysta teoria, pomyślał. Najpierw musi wypełnić swoje zadanie: uwolnić najbliższych Gillian i samemu nie dać się zabić.

Kiedy samochód wjechał na wzniesienie, Trace po raz pierwszy ujrzał kwaterę Husada. Była rozległa, olbrzymia, większa niż oczekiwał. Ukryto ją przemyślnie w cieniu wielkiego klifu. Gdyby została założona piętnaście kilometrów w którąkolwiek ze stron, bez trudu wykryłby ją każdy radar, tu jednak była poza zasięgiem, odizolowana, bezpieczna. W pobliżu nie było żadnych domostw, żadnej rzeki, żadnego miasteczka.

Pusta, jałowa ziemia - państwo szaleńców i opętanych.

Gdy się zbliżyli, dojrzał ukryte grupy uzbrojonych mężczyzn, dyskretnie pilnujących twierdzy oraz głównego budynku. Ten ostatni nie miał okien, klamek, nie otaczały go żadne druty czy zasieki. Rozsądnie, pomyślał Trace. Słoneczny odbłask szkła bądź metalu można by dostrzec z odległości paru kilometrów.

Kierowca oznajmił o swoim przybyciu, wystukując kilku - cyfrowy kod na klawiaturze umieszczonej przy głównej bramie. Po kilku sekundach otworzyły się szerokie wrota i samochód wjechał w tunel wydrążony w skale.

Trace poprawił mankiety koszuli. Jego palec ześliznął się i wyłączył urządzenie naprowadzające w zegarku. Jeśli służby wywiadu nie zdążyły go zlokalizować, od tej pory będzie musiał radzić sobie sam.

Wysiadł z auta i uważnie rozejrzał się dookoła. Podłoga i ściany były ze skały, cicho szumiała klimatyzacja. Na odgłos kroków odwrócił się.

- Jak zawsze jest pan punktualny - powitał go z uśmiechem Kendesa. - Mam nadzieję, że podróż nie była nieprzyjemna.

- Interesy czasami wiążą się z niewygodami - odparł. - Drogi w pańskim kraju nie są jeszcze takie jak w Europie.

- Proszę wybaczyć. Napije się pan czegoś? Mam doskonałe *chardonnay*. Zrekompensuje trudy podróży.

- Chętnie. Gdzie obejrzymy broń, którą przywiozłem?

- Zaraz się nią zajmiemy. - Kendesa dał znak i dwaj postawni mężczyźni wyłonili się niemal wprost ze skały. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zostanie zanesiona wprost do generała. - Podniósł brew, gdy ujrzał wahanie w oczach Trace'a. - Cóż to? Chyba nie chce pan pokwitowania? Nie kradniemy przedmiotów należących do naszych gości.

- Oczywiście. To co z tym *chardonnay*.

- Już, już. - Kendesa ponownie machnął dłonią i mężczyźni wyjęli skrzynię z bagażnika, a potem zniknęli z nią za jednym z wejść. - Obawiam się, że człowiekowi o pańskich upodobaniach nie przypadnie do gustu nasza kwatery. Rozumie pan, jesteśmy organizacją wojskową. Albo rewolucja, albo wygody.

- Rozumiem, choć osobiście skłaniałbym się do wygod. Kendesa roześmiał się głośno i poprowadził Trace'a do niewielkiego pomieszczenia, w którym kamienne ściany zasłaniała boazeria z jasnego drewna. Na podłodze leżał dywan, mebli było niewiele, lecz wszystkie w dobrym guście.

- Prawdę mówiąc, rzadko mamy podobne okazje. - Arab uśmiechnął się i wyciągnął korek z butelki. - Ale to się zmieni, kiedy tylko generał zyska popularność i zwolenników.

- Nalał wina do dwóch kieliszków. - Przyznaję, że ja też mam słabość do elegancji i wygod.

- A więc za naszą transakcję! - Trace uniósł swój kieliszek.

- Za pieniądze, które dają największe poczucie komfortu.

- Za naszą sprawę! - odparł Kendesa i spełnił toast. Odstawił kieliszek na stół i przyjrzał się uważnie swemu rozmówcy. Przez kilka dni dokładnie go sprawdzał, a to, czego się dowiedział, było niezwykle obiecujące. Ten człowiek mógł okazać się wielce użyteczny dla jego organizacji.

- Jest pan ciekawym człowiekiem, *monsieur Cabot* - zaczął. - Osiągnął pan takie wpływy, o jakich inni ludzie mogą tylko pomarzyć. Umie pan z nich korzystać, jest pan bogaty... A jednak wciąż chce pan więcej.

- Nie tylko chcę. Będę miał więcej.

- Wierzę, że tak się stanie. Ale... rozumie pan chyba, że przed naszym spotkaniem próbowałem dowiedzieć się czegoś na temat pana obecnej sytuacji oraz przeszłości.

- To standardowa procedura. Co takiego doniosły pańskie źródła?

- Fascynuje mnie to, przyznaję, że zdołał pan osiągnąć tak wiele, będąc praktycznie nieznanym. Pana nazwisko mało komu coś mówi...

- Bardziej odpowiada mi dyskrecja niż sława.

- Rozsądnie. Tak właśnie postępują mądrzy ludzie. W naszej organizacji na przykład również pojawiają się głosy krytykujące generała za to, że stara się być na widoku. Władza zdobyta bez rozgłosu może być bardziej użyteczna, nieprawdaż?

- Cóż, to dla mnie za wysokie progi. Generał jest politykiem, a ja skromnym handlowcem. - Trace odstawił swoje wino i zastanawiał się, do czego zmierza Kendesa.

- Wszyscy jesteśmy politykami, *monsieur* Cabot, nawet jeżeli nasza polityka to tylko pieniądze. Pamiętam, że wyrażał pan swoje zainteresowanie projektem „Horyzont”...

- Tak. Nadal je podtrzymuję.

- No właśnie. A ja uznałem, że powinniśmy porozmawiać na ten temat. Pana interesują zyski z projektu, mnie władza.

- A co interesuje generała Husada? Kendesa uśmiechnął się tajemniczo.

- Generała interesują rewolucyjne ideały.

Trace zrozumiał, że jego rozmówca powoli odkrywa karty. Najwyraźniej próbował postawić się w trakcie tej rozmowy w opozycji do swego szefa. Pytanie tylko, czy jest szczerzy. Może Kendesa blefuje, żeby go sprawdzić? Trace postanowił zaryzykować i podjąć grę.

- Rozumiem. Być może wszyscy trzej moglibyśmy odnieść korzyść z tej współpracy - zauważył.

Przez dłuższą chwilę Kendesa przyglądał mu się uważnie.

- No właśnie - powiedział w końcu.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę! - Arab poderwał się niespokojnie.

- Świetnie. - Kendesa skinął głową i odstawił kieliszek. - Sam pana do niego

zaprowadzę. Generał nie mówi po francusku. Zna za to angielski i jest z tego dumny. Czy rozmowa mogłaby się toczyć w tym języku?

- Oczywiście. - Trace również odstawił kieliszek. - Dostosuję się do woli generała.

Choć od odejścia Trace'a minęło zaledwie parę godzin, Gillian miała wrażenie, że czeka już na niego od kilku dni. Próbowала zabić czas, czytając jego książki, ale już po przeczytaniu kilku zdań zaczynała o nim myśleć i martwić się o jego bezpieczeństwo.

Wstała, zaczęła spacerować po pokoju, potem znów usiadła i przypomniała sobie rozmowę z Maddy. Kiedy to wszystko wreszcie się skończy, sprowadzi Trace'a do Stanów i pomoże mu odzyskać rodzinę. Powtarzała sobie to postanowienie niczym jakieś zaklęcie, które miałyby zachować go od złych przygód i sprowadzić bezpiecznie z kwatery Husada.

Gdy zaś najdalej za tydzień oboje odzyskają swoje rodziny, to...

No właśnie, co wtedy?

Wyspy Kanaryjskie? Ciekawe, co powiedziałby Trace, gdyby mu oznajmiła, że skoro on chce ukrywać się przed światem przez następne pięćdziesiąt lat, ona ukryje się wraz z nim. Nie zamierzała go teraz tracić, nie zamierzała pozwolić mu odejść. Skoro chciał spędzić resztę życia w hamaku, będzie to hamak dla nich dwojga.

Przez długie lata po omacku szukała szczęścia. Nie mogła go znaleźć, bo nie знаła prawdy o sobie samej. Teraz, w ciągu ostatnich tygodni, dużo się o sobie dowiedziała. Wiedziała, że stacją na wiele, mogła zmierzyć się z własnymi lękami i obawami, a przede wszystkim była w stanie podjąć decyzję dotyczącą własnej przyszłości. Szczęście, które dotąd zawsze ją omijało, przybrało realny kształt. Oby tylko nie rozplynęło się, gdy już go zaznała...

Jeżeli bowiem Trace nie wróci...

Nie, nie mogła myśleć o tym, co by wówczas było. Nie chciała przygotowywać się do żałoby. Nie mogła go utracić. Po prostu nie mogła.

Nie chciało jej się jeść, jednak zadzwoniła po obsługę, byle tylko zająć się czymś i odsunąć od siebie trwożliwe myśli. Kelner z zamówionym posiłkiem zapukał niemal natychmiast. Wydało jej się to podejrzane, więc na wszelki wypadek wyjrzała przez wizjer, żeby się upewnić, czy to rzeczywiście on. Po drugiej stronie zobaczyła uprzejmego mężczyznę w hotelowym uniformie i otworzyła drzwi.

- Niech pan postawi to tam.

Bez zainteresowania spojrzała na tacę i wskazała na niewielki stolik. Schyliła się, żeby podpisać rachunek i wtedy poczuła nagłe ukłucie w ramię.

Odkoczyła do tyłu. Chciała się bronić, ale narkotyk zadziałał błyskawicznie - zachwiała się, sięgnęła jeszcze po nóż na tacy, lecz już w następnej chwili świat zakołysał się przed jej oczami i zniknął, zanim zdążyła wymówić imię Trace'a.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Generał Husad lubił piękne przedmioty. Lubiał na nie patrzeć, dotykać, nosić je przy sobie. Mimo to surowość kwatery bardzo mu odpowiadała. Placówka wojskowa musi być skromna i zgrzebna. Życie żołnierza nie może być zbyt wygodne, gdyż inaczej zanika dyscyplina. Husad święcie w to wierzył, nawet kiedy sam zakładał jedwabne szaty i podziwiał kosztowne szmaragdy na szyi swojej żony.

Był niewysokim, szczupłym mężczyzną w kwiecie wieku, o hipnotyzującym głosie i niepokojącym wejrzeniu, które niektórzy brali za przebłysk geniuszu, inni zaś - szaleństwa. Sam przyznał sobie godność generała, podobnie jak większość orderów, które z dumą nosił na piersi. Swoich podwładnych raz traktował jak łagodny ojciec, kiedy indziej niczym pozbawiony serca tyran. Z tego powodu jego ludzie nie darzyli go miłością, jednak ponieważ wzbudzał w nich strach, bez szemrania spełniali jego rozkazy.

Na spotkanie z Cabotem włożył złotą szatę, rozchyloną lekko na piersiach. Pod nią miał mundur ozdobiony medalami i dwa pistolety u boku. Ze swoją charakterystyczną, nieco ptasią twarzą i siwosrebrnymi, zaczesanymi do tyłu włosami, doskonale wychodził na zdjęciach, a przemawiał niczym najznakomitszy kaznodzieja. Jego umysł opętany był jednak przez ciemne siły i nawet lekarstwa, które brał, nie chroniły go przed naprzemiennymi napadami lęku i euforii.

Gabinet generała urządzony był równie skromnie, co gabinet Kendesy. Dominowało w nim olbrzymie dębowe biurko, wokół którego stały sofy i fotele. Oprócz nich w pokoju znajdowały się jeszcze masywne regały, wypełnione książkami, wielkie akwarium z kolekcją tropikalnych rybek oraz dwa skrzyżowane rapiery zawieszane na ścianie.

Do takiego właśnie pomieszczenia wprowadzono Trace'a, który przyjrzał się wnętrzu uważnie, choć z miną wskazującą na całkowity brak zainteresowania. Od razu spostrzegł, że gabinet nie ma żadnych okien i tylko jedne drzwi.

- Nareszcie się spotykamy, panie Cabot. - Husad wyciągnął rękę z serdecznym uśmiechem. - Witamy w naszej rewolucyjnej kwaterze.

- Jestem zaszczycony, generale. - Trace ujął rękę i popatrzył w twarz mężczyzny, którego przysiągł zabić. Oczy Husada były ciemne i pełne dziwnego blasku. Szaleństwo, opętanie, nienawiść do świata i ludzi. Czy można było stać tak blisko i nie czuć tego wszystkiego?

- Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt nieprzyjemna.

- Nie.

- Proszę usiąść.

Trace usiadł na jednym z krzeseł, generał zaś stanął obok z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Kendesa wciąż tkwił w milczeniu przy drzwiach. Po chwili Husad rozpoczął swoją przedmowę, którą wygłaszał, spacerując wolno po gabinecie. - Otóż musi pan wiedzieć, panie Cabot, że rewolucja wymaga wciąż nowych środków. Toczymy świętą wojnę w imieniu naszego ludu, wojnę, która zniszczy niegodnych tego, by żyć i nazywać się ludźmi. W Europie czy na Bliskim Wschodzie już nieraz wymierzaliśmy sprawiedliwość wszystkim tym, którzy przeciwstawiali się naszym ideom. - Zatrzymał się i wbił świdrujące spojrzenie w Trace'a. - Ale to nie wystarczy, szanowny panie, Mamy obowiązek, święty obowiązek zniszczyć wszystkie skorumpowane i niemoralne rządy na tej planecie. Bez tego ten świat zgnije, już gnije. Smród czuć po obu stronach Atlantyku, a najbardziej w kraju wielkiego szatana, z którego pan, na szczęście, nie pochodzi. Zresztą czy Francja, czy USA - wszędzie jest to samo bagno. Zgorszenie, wyzysk, kłamstwo, chciwość, obłuda... My rzucimy na ziemię święty ogień, który wypali całe to robactwo. Wielu polegnie, zanim zwyciężymy. Ale w końcu zwyciężymy.

Trace siedział spokojnie, zasłuchany w to fanatyczne kazanie. Husad rzeczywiście umiał przemawiać. Miał fascynujący głos, przyciągał uwagę. Nic dziwnego, że jego ludzie byli mu posłuszni i wierzyli w jego przesłanie.

On jednak nie dał się porwać rewolucyjnym hasłom. Nasłuchiwał się podobnej propagandy przez ostatnie dwanaście lat i wiedział, że dla tych zbawców ludzkości najmniej ważny jest sam człowiek i jego szczęście.

- Proszę wybaczyć, generale - odezwał się uprzejmie - ale pańska misja interesuje mnie, o ile jest związana z naszą transakcją. Nie jestem żołnierzem, jestem człowiekiem interesu. Pan potrzebuje broni, a ja mogę ją dostarczyć. Oczywiście za odpowiednią cenę.

- Ta cena jest bardzo wysoka. - Generał podszedł nerwowo do biurka.

- Wliczyłem w nią wszelkie ryzyko. Przejęcie broni, zabezpieczenie jej, przechowywanie, transport...

Husad sięgnął do skrzyni i wydobyl z niej jedną sztukę TS - 35.

- Ta broń interesuje mnie szczególnie - mruknął. Karabin był nieduży i zadziwiająco

lekki. Nawet podczas forsownego marszu żołnierz mógł nieść go bez trudu, ważył bowiem niewiele więcej niż standardowe racje żywnościowe.

Husad ważył przez chwilę broń w dłoni, po czym zbliżył oko do celownika i wymierzył prosto w głowę Trace'a.

Trace zeszywniał ze strachu. Jeśli broń była naładowana, a tego był więcej niż pewien, pocisk przeleciałby przez niego i zabił jeszcze Kendesę oraz każdego, kto stanąłby na linii strzału w odległości pięćdziesięciu metrów.

- Amerykanie wciąż gadają o pokoju, a robią taką zabójczą broń - powiedział z rozmarzeniem Husad. - Uważają nas za szaleńców, bo wciąż mówimy o wojnie. A przecież ta broń została stworzona z myślą o wojnie. Wojna jest święta, wojna jest słuszna, wojna to przyszłość, to godność, którą przywrócimy milionom ludzi.

Trace czuł, jak po plecach spływa mu kropla potu. Umrzeć teraz, tutaj, byłoby głupie i żalosne.

- Z całym szacunkiem, generale, ale dopóki pan nie zapłaci, nie wyruszy pan na swoją wojnę z tą bronią - powiedział.

- Nie? - Palec generała spoczął na chwilę na spuście, zaraz jednak się cofnął. Husad roześmiał się pod nosem, po czym odłożył karabin. - Oczywiście. Jesteśmy żołnierzami i jak to żołnierze mamy swój honor. Załatwimy to uczciwie i po przyjacielsku. My weźmiemy tę skrzynię, panie Cabot, a pan w imię naszej przyjaźni oraz przyszłych kontaktów obniży swoją cenę.

- O ile?

- Pół miliona franków.

Trace sięgnął po papierosa. Zauważył, że jego dłonie są całe wilgotne. Ze względów bezpieczeństwa chciał przystać na tę propozycję i zabrać się do tego, po co tu przyszedł. Jednakże zdawał sobie sprawę, że Andre Cabot nie zgodziłby się tak łatwo. Husad i Kendesa oczekiwali zapewne dalszych targów.

- W imię naszej przyjaźni mogę obniżyć cenę o ćwierć miliona. Płatne przy dostawie – zaproponował.

Generał pogłaskał pieszczotliwie błyszczący karabin, zupełnie jakby głaskał dziecko albo wiernego psa, po czym popatrzył pytającym wzrokiem na Kendesę.

- Dobrze, spisujemy umowę - odezwał się po chwili. - Zostanie pan odwieziony do Sefrou. Za trzy dni osobiście zajmie się pan dostawą.

- Z przyjemnością, panie generale. - Trace podniósł się z fotela.

- Niech pan zostanie jeszcze chwilę, Cabot. Mówiono mi, że interesuje się pan naszym gościem. - Husad uśmiechnął się szeroko. - Czy może z pobudek osobistych? Z jakich to powodów doktor Fitzpatrick budzi w panu tak gorące uczucia?

- Interesy zawsze są bliskie memu sercu, generale.

- Może więc chciałby się pan mu przyjrzeć? Kendesa może pana zaprowadzić. No, co pan na to?

- Oczywiście, generale.

Kendesa otworzył drzwi, z niepokojem zerkając na swego przywódcę oraz pozostawioną na jego biurku broń. Husad nie odezwał się już jednak ani słowem i po chwili znaleźli się we dwóch na oświetlonym mdłym światłem korytarzu.

- Generał ma upodobanie do niebezpiecznych zabaw - zagadnął Trace.

- Bał się pan, panie Cabot?

- Owszem. W przeciwieństwie do pana wiedziałem, jaką siłę rażenia ma ten karabin. Wam może łatwo umierać, zwłaszcza za sprawę, ale mnie się nie opłaca. Tak nie można, moi przyjaciele. Wspólnicy Andre Cabota mogą dojść do wniosku, że robienie interesów z kimś nie zrównoważonym jest zbyt ryzykowne.

- Generał żyje w ciągłym stresie.

Trace rzucił niedopałek na kamienną podłogę i postanowił zagrać *va banque*. Już wcześniej wyczuł sceptycyzm Kendesy wobec swego wodza i teraz zwietrzył w jego postawie swoją szansę.

- Podobno jestem dość spostrzegawczy - powiedział. - Patrzę więc sobie na to wszystko i coś mi się zdaje, że „Młot” ma się całkiem inaczej niż dotąd myślałem. Kto tak naprawdę dzierży ten młot w dłoni, *monsieur* Kendesa? Z kim robię interesy?

Kendesa zatrzymał się.

- No właśnie, nie dokończyliśmy naszej rozmowy w moim gabinecie. Powiem panu w zaufaniu: w ciągu ubiegłego roku stan umysłu generała znacznie się pogorszył. Nie, nie jest figurantem, ale... sam pan rozumie. Moją powinnością było przejęcie części jego

obowiązków. Czy to zmienia sytuację?

A więc nie generał, tylko Kendesa, pomyślał Trace. To on zlecił zamordowanie Charliego i uprowadzenie Fitzpatricka. To z nim będzie miał do czynienia, a nie z na wpół oszalałą marionetką.

- Zmienia - odparł. - Na korzyść. Myślę, że łatwo się porozumiemy.

- Też tak myślę. - Ruchem głowy Kendesa odprawił dwóch uzbrojonych strażników, po czym wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi. W jego głowie coraz wyraźniej rysował się plan, nad którym myślał już od dawna. Generał był coraz mniej przydatny. Gdy ten Irlandczyk zakończy swoje badania, to on, Kendesa, przejmie pełną władzę. Husada odsunie na bok albo się go pozbędzie, natomiast przy pomocy tego Francuza wejdzie w posiadanie wielkich pieniędzy. To przecież oczywiste, że Cabot zechce kupić najnowszy wynalazek. A wynalazek o takim znaczeniu musi mieć swoją cenę.. - Gdy weszli do znakomicie wyposażonego laboratorium.

Trace natychmiast dostrzegł dwie kamery, umocowane pod sufitem. Udał, że ich nie zauważył, po czym skoncentrował się na Flynnie Fitzpatricku.

Mężczyzna wyglądał dokładnie tak jak na fotografii, którą pokazywała mu Gillian. Był tylko szczuplejszy i starszy, zaś stres wyrzeźbił zmarszczki na jego twarzy i stał się przyczyną głębokich cieni pod oczami. Biały fartuch zakrywał dzinsy i prostą niebieską koszulę.

Flynn oderwał się od mikroskopu i wstał na ich widok. W jego oczach Trace spodziewał się znaleźć przygnębienie i rezygnację, zamiast nich zobaczył jednak wściekłość. Ten rodzaj emocji w spojrzeniu naukowca sprawił, że od razu poczuł ulgę. Fitzpatrick nie poddał się, nie zrezygnował. Jeśli miał jeszcze siłę, by nienawidzić, miał też siłę, by uciec.

- Jak idzie praca, doktorze Fitzpatrick? - spytał Kendesa.

- Już od dwóch dni nie widziałem mojej córki.

- Więc proszę zrobić coś, co umożliwi panu zobaczenie się z nią.

Dłoń Flynnna zacisnęła się w pięść. Przy pracy trzymała go jedynie groźba, że terroryści zabiorą jego córeczkę do pozbawionego oświetlenia pokoju.

- Jestem tu cały czas i cały czas pracuję. Obiecano mi, że nic jej nie zrobicie i że będę codziennie ją widywał.

- Przykro mi, generał uważa, że pracuje pan zbyt wolno, jeśli będzie jakiś postęp, zobaczy się pan z nią na pewno. Na razie zaś przyprowadziłem tu pana Cabota, który jest bardzo zainteresowany pana pracą.

- Miło mi, *monsieur* Fitzpatrick. - Trace skinął sztywno głową.

- Pieprz się! - zrewanżował się Flynn po angielsku i obdarzył go nienawistnym spojrzeniem.

Trace nie zraził się tym powitaniem. Rozejrzał się z uśmiechem po laboratorium, udając zainteresowanie jego wyposażeniem, podczas gdy w rzeczywistości szukał ewentualnej drogi ucieczki.

- Dzięki tej pracy pańskie nazwisko przejdzie do historii, panie Fitzpatrick - zauważył.
- To, co pan wymyślił, jest fascynujące. Organizacja, którą reprezentuję, uważa, że zysk z tego specyfiku może być olbrzymi.

- Pieniądze na nic się wam nie dadzą, jeśli ten szaleniec zniszczy cały świat.

Trace znów się uśmiechnął. A więc Flynn też to rozumiał.

- Jaki jest postęp prac? - zwrócił się do Kendesy.

- Bardzo nieznaczny. Brakowało nam paru danych. A przede wszystkim jego siostry, Gillian Fitzpatrick. Ta kobieta, też fizyk, przechowuje pewne notatki, które pozwoliłyby ukończyć projekt. Właśnie ją znaleźliśmy. Wkrótce do pana dołączy, doktorze - zwrócił się do Flynnna.

Trace poczuł, że nagle zaczyna brakować mu powietrza. Flynn tymczasem wyrwał się do przodu i krzyknął z przerażeniem:

- Gillian?! Co jej zrobiliście?! Och, wy...! Kendesa błyskawicznie wydobyl broń.

- Spokojnie, doktorze, nic jej nie jest. A pan - uśmiechnął się chytrze do Trace'a - nawet nie zdawał sobie sprawy, że podróżuje z rodzoną siostrą naszego geniusza. Ten świat jest pełen niespodzianek, prawda?

- Co takiego? - W pierwszej chwili Trace chciał zaatakować. Gdyby to jednak zrobił, Flynn Fitzpatrick pewnie by zginął. - Obawiam się, że jest pan w błędzie, Kendesa.

- Bynajmniej. Kobieta, którą zabrał pan ze sobą do Casablanki, to doktor Gillian Fitzpatrick.

- Kobieta, którą zabrałem do Casablanki, to jakaś głupawa panienska z Ameryki -

odparł spokojnie Trace. - Poderwałem ją w Paryżu. Atrakcyjna, wesoła, ale całkowicie pozbawiona inteligencji.

- Inteligentniejsza niż się panu zdaje. Wykorzystała pana, *monsieur*.

Trace odetchnął z ulgą. A więc tak się sprawy mają. Fałszywi informatorzy taką właśnie wersję sprzedali Kendesie.

- Jest pan w błędzie! - postanowił grać swoją rolę.

- Nie, Andre, to pan jest w błędzie. Ta kobieta celowo pana uwiodła. Miała nadzieję, że dzięki panu dotrze do nas i do swojego brata. Rozumiem, że dobrze odegrała swoją rolę.

- Uwiodła? Ona? - oburzył się po męsku i idealnie w stylu Cabota. - To przecież ja... Cholera! Na pewno się pan nie myli?

- Na pewno. Niedawno była w Meksyku, poszukiwała kontaktu z pewnym agentem amerykańskiego wywiadu i międzynarodowego systemu bezpieczeństwa. To zapewne on jej poradził, jakie powinna podjąć kroki. Mówi coś panu imię Il Gatto?

Trace wyciągnął papierosa, starając się jednocześnie, aby jego ręka wyraźnie zadrżała.

- Tak - odparł krótko.

- On też szuka zemsty na generale. Chciał posłużyć się panem i tą kobietą, żeby go znaleźć.

- Kim on właściwie jest?

- Niestety, nie posiadam jeszcze tej informacji. Generał zanedo pośpieszył się z egzekucją trzech mężczyzn, którzy mogliby zidentyfikować tego człowieka. Ale ta kobieta to wie. I powie nam. W swoim czasie.

- Gdzie ona teraz jest? - Trace wypuścił ze złością kłęb dymu. - Nie bardzo lubię, gdy ktoś robi mnie w konia.

- Jest w drodze, być może nawet już tu dotarła. Kiedy odwiedzi nas pan ponownie, z następnym transportem, może pozwolimy panu z nią porozmawiać. A gdy dostaniemy notatki i gdy zidentyfikuje Il Gatta, to może nawet podarujemy ją panu w geście wdzięczności, a pan zrobi z nią dalej, co zechce.

- Sukinsyn! - Flynn zacisnął pięści i być może uderzyłby Trace'a, gdyby ten nie okazał się szybszy. Złapał doktora za ramię i wykręcił mu rękę, po czym zbliżył głowę do jego wykrzywionej bólem twarzy.

- Twoja siostrzyczka jest mi coś winna, kolego! - warknął, po czym odepchnął go i wygładził fałdy na rękawach marynarki. - Idziemy, Kendesa, wystarczy. Już się napatrzyłem.

- Pozwólcie mi zobaczyć się z Caitlin! - Flynn rzucił się ku nim desperacko. - Przyprawdźcie mi moją córkę, łajdaki!

- Może jutro, doktorze - odparł łagodnie Kendesa, celując pistoletem prosto w jego głowę. - Może już jutro nastąpi wielkie rodzinne spotkanie.

Niespiesznie podszedł do drzwi, otworzył je, a następnie zamknął za sobą zamek.

- Nie musi się pan wstydzić, przyjacielu - powiedział, podświadomie sycąc się upokorzeniem zawsze pewnego siebie Cabota. - Pod kierunkiem Il Gatta ta kobieta była niebezpiecznym przeciwnikiem. Zwiodła pana jak dziecko, ale w końcu nie tylko pan dałby się podejść.

Andre Cabot był porywczy. Trace wiedział o tym, dlatego też słysząc te słowa, odwrócił się błyskawicznie do Kendesy i przygwoździł go do ściany. Natychmiast usłyszał za sobą szcęk broni strażników, ale i tak udało mu się niepostrzeżenie wyciągnąć klucz z kieszeni Araba.

- Uważaj, Kendesa! - warknął. - Nie pozwolę robić z siebie głupca! Kobieta jest nietknięta.

Kendesa ruchem ręki uspokoił strażników. Uścisk Trace'a zelżał.

- Na razie nic jej nie zrobiliśmy.

- To dobrze. Bardzo dobrze. Kiedy powrócę tu za trzy dni, chcę ją mieć. Niech pan wydobędzie od niej wszystkie informacje, a potem odda mi ją do dyspozycji. Opuszczę wam cenę za broń.

- Pańska duma sporo kosztuje.

- Moja duma jest bezcenna. Zanim się rozprawię z tą dziwką, będzie szczerze żałowała, że jej nie zabiliście. - Puścił mężczyznę i znów wygładził marynarkę. - Rozumiem, że to dziecko wciąż żyje...

- Przebywa z nią na drugim poziomie. - Kendesa uśmiechnął się ze zrozumieniem. - Podajemy im łagodne środki uspokajające. Wie pan, ci Irlandczycy są cholernie bitni i uparci.

- Do czasu - mruknął Trace z ponurą miną. Po chwili dojrzał za głównym wejściem swój samochód oraz szofera, który przyjechał po niego do hotelu, i zaczął się żegnać. -

Dziękuję za gościnę, *monsieur* Kendesa. Zawiadomię moich współników. Jeśli dokumenty będą w porządku, zakończymy transakcję.

- Chwileczkę. Czy Il Gatto niepokoi pana z jakiegoś powodu, *monsieur* Cabot? - Kendesa położył dłoń na klamce samochodu.

Trace popatrzył mu prosto w oczy.

- Mam wrażenie, że o wiele bardziej interesuje się panem niż mną - odparł. - Będę jednak uważał. Koty atakują znieścacka.

Usiadł na tylnym siedzeniu samochodu i po raz pierwszy od wielu lat zaczął się modlić.

Straci cenny czas na podróż do Sefrou, na skontaktowanie się z Breintzem i na odbiór broni. A przecież teraz liczy się każda sekunda!

Może więc powinien zrezygnować z głównego zadania i powrócić do kwatery „Młota”, by ratować Gillian? Nie, nie działałoby wiele sam. Nóż, pistolet i targająca sercem wściekłość to za mało, by mógł poradzić sobie w tej twierdzy.

Klnąc w duchu własną bezsilność, spojrzął na zegarek. Odruchowo włączył urządzenie naprowadzające, ale tym razem bardziej interesował go czas. Ile godzin zostało do wieczora? Gdyby się postarał, może do zmierzchu wróciłby tu uzbrojony po zęby.

Nic się jej nie stanie, powtarzał w myślach z uporem. Jest silna i odważna. Zbyt wiele dla nich znaczy, by mogli ją skrzywdzić. Wróci tu po nią i uwolni ją, niezależnie od tego, co będzie musiał zrobić w tym celu.

Otarł dłonią zimny pot spływający mu z czoła. A więc tak wygląda strach o życie drugiego człowieka, ukochanego człowieka...

Kiedy pękła opona, zarzuciło go na drzwi samochodu. Trace zaklął, wyprostował się i instynktownie sięgnął do kieszeni marynarki. Wysiadł z samochodu za kierowcą, który przyglądał się zniszczonej oponie, nie zdążył jednak o nic zapytać, bowiem mężczyzna upadł nagle bez życia na drogę.

Trace błyskawicznie skrył się za tylny błotnik. Nie na tyle jednak szybko, by Breintz nie zdążył wycelować w niego uzbrojonej w tłumik broni.

- Zamyśliłeś się, przyjacielu - powiedział. - Gdybym chciał cię zabić, już byłbyś martwy. Nie zapominaj następnym razem o koncentracji.

- Mają Gillian. - Trace wyprostował się i stanął obok partnera.

- Wiem. Jeden z ochroniarzy nie umarł od razu i zdążył się ze mną skontaktować. Mam ci dać dwanaście godzin na uwolnienie Fitzpatricka. Jeśli się nie uda, kwatera „Młota” zostanie zniszczona.

- Daj mi swoją broń.

- Jedną spluwę? - Breintz uniósł brew.

- Dwanaście godzin to niewiele. Dawaj, co masz.

- Widzę, że tym razem Il Gatto nie używa mózgu. - Breintz ukląkł i przyjrzał się ubraniu szofera. - Czyżby ta kobieta znaczyła dla ciebie tak wiele? To nie jest rutynowe zadanie, prawda? - Zdjął czapkę szofera i włożył ją na głowę.

- Zobacz, nawet pasuje.

- Pasuje - powtórzył wolno Trace i uśmiechnął się do partnera z wdzięcznością i zrozumieniem. - Poprowadzisz? - zapytał. - Plan jest prosty, ale cholernie niebezpieczny. Załatwimy strażników przy bramie i przejmujemy ich broń. Ty uwolnisz Fitzpatricka, a ja Gillian i tę małą.

- Zgoda.

- No to jazda.

- Zaczekaj. - Breintz uniósł dłoń, po czym ze zręcznością kozicy wspiał się na pobliską na skałę i przytargał skrzynię, zakupioną u Bakira w Casablance. - Namierzyłem twój towar. Chyba nie jesteś zły, co? Akurat nam się przyda. Nie chwaląc się, mam tu doskonałych informatorów. Poza tym lepiej będzie poczekać do zmroku. Po zachodzie nasze szanse wzrosną.

Trace zdarł z siebie marynarkę i cisnął ją na ziemię. Przewiesił przez ramię automat i miotacz granatów, założył pas z amunicją.

- Zapomniałem, że jesteś taki dobry.

- Teraz jeszcze lepszy niż kiedyś.

- Przecież nie masz rozkazu, żeby mi towarzyszyć.

- Nie Breintz zamknął oczy.

- Więc?

- Charles Forrester był cholernie miłym facetem. Lubilem go.

Gillian budziła się powoli. Bolała ją głowa, czuła się rozbita i rozkojarzona. Gdy już się zdawało, że za chwilę wróci jej świadomość, ponownie obraz rozmywał się przed jej oczami i zapadała w ciemność. Obok siebie słyszała cichutki szloch i zastanawiała się, czy to ona tak płacze.

Nagle jednak poczuła ciepło u swego boku i zmobilizowała się, by odzyskać przytomność zmysłów i umysłu. Ktoś szarpał ją za ramię, powtarzał jej imię. Słodki głos, niewinny, dziecięcy...

- Ciociu Gillian, ciociu Gillian... obudź się. Ciociu Gillian, tak się boję!

Poczuła się, jakby znów śniła swój koszmar. Jej czoło było mokre od potu, ciało drżało z przerażenia. Może to sen, próbowała się pocieszać. Może tylko sen...

- Ciociu Gillian, ciociu Gillian...

Otworzyła oczy i wtedy przed sobą ujrzała dziecko - dziewczynkę, córkę Flynn'a, swoją bratanicę, Caitlin.

- Och, ciociu, myślałam, że nie żyjesz! - Oczy Caitlin były zapuchnięte i czerwone. - Rzucili cię na łóżko i leżałaś tak sztywno... Myślałam, że nie żyjesz.

- Żyję, kochanie. Już dobrze, żyję...

Dźwignęła się na łokciu i omal ponownie nie zemdląca. Narkotyk był tak silny, że z trudem utrzymywała otwarte powieki. Chciało jej się leżeć, spać, trwać w beczynności i niemocy. Z trudem wyciągnęła przed siebie rękę i dotknęła nią twarzy dziewczynki.

- To ty, kochanie, prawda? To naprawdę ty. - Przytuliła ją mocno do siebie. - Och, Caitlin, moje kochanie, nareszcie jesteśmy razem. Popłacz sobie, jeśli chcesz, to ci pomoże. Wiem, byłaś sama. Ale teraz ja jestem z tobą. Nie bój się. Już dobrze...

- Zabierzesz nas do domu?

No właśnie, gdzie był jej dom? Gdzie się znajdowały?

Gillian przypomniała sobie nagle kelnera i ukłucie igły. Porwali ją z hotelu, uprowadzili, zamknęli tu, z małą Caitlin. Czy uwięzili też Trace'a? Czy to już koniec?

- Możemy już iść do domu, ciociu? Ja chcę do domu!

- Już niedługo - wyszeptła Gillian. - Wrócimy najszybciej, jak będziemy mogły. Czy mogłabyś teraz wytrzeć oczka i ze mną porozmawiać? Musisz mi pomóc, kochanie.

Mała pociągnęła nosem i przysunęła się bliżej.

- Ale nie odejdiesz? - upewniła się.

- Nie, nie zostawię cię tutaj. Czy wiesz, gdzie jest tatuś?

- Na dole, w laboratorium.

- Nic mu nie jest? Bądź dzielna, kochanie. Czy tatusiowi nic nie jest?

- Wygląda, jak gdyby był chory. Nie pamiętam, kiedy go ostatni raz widziałam. - Caitlin przejechała dłonią po mokrych policzkach. - Raz płakał...

- Ale już nie będzie. Ty też nie. Odtąd wszystko będzie dobrze. Jest z nami... - zamilkła nagle, przypomniawszy sobie, jak starannie Trace przeszukiwał każdy hotelowy pokój w poszukiwaniu urządzeń podsłuchowych. Teraz też ktoś mógł podsłuchiwać ich rozmowę, więc Gillian musiała być ostrożna. Nie mogła wymienić jego imienia. - Na pewno jest jakieś wyjście - powiedziała. - Musimy być tylko cierpliwe. Najważniejsze, że jesteśmy razem.

Położyła palec na ustach, dając dziecku znak, żeby milczało, po czym zaczęła po cichu przeszukiwać pomieszczenie. Niewielki mikrofon odnalazła bardziej dzięki szczęściu niż umiejętnościom. W pierwszym odruchu chciała go zniszczyć, zaraz jednak uznała, że nie byłoby to rozsądne. Zostawiła mikrofon na swoim miejscu i z powrotem usiadła na wąskim łóżku obok Caitlin.

- W Meksyku poznałam pewnego pana - powiedziała, zdając sobie sprawę, że ten, kto ich podsłuchuje, i tak o tym wie. - Powiedział, że nam pomoże. Śmiesznie się nazywa, wiesz? Il Gatto. To po włosku znaczy kot.

- I wygląda jak kot?

- Nie. - Gillian uśmiechnęła się do siebie. - Ale myśli i działa jak kot. Jest przebiegły. Przyjdzie tu po nas.

- I zabierze nas do domu?

- Tak, kochanie. Czy wiesz, gdzie jesteśmy?

- To wielka jaskinia z mnóstwem tuneli.

- Widziałaś, co jest na zewnątrz? Wychodzisz stąd czasem?

- Nie. Tu nawet nie ma okien.

Gillian nie zadała następnego pytania, bowiem drzwi nagle szczęknęły i do pomieszczenia wszedł uzbrojony mężczyzna z tacą. Postawił ją na brzegu łóżka, wskazał na nią ręką, po czym wyszedł bez słowa.

- On jest niedobry. Raz go ugryzłam - pochwaliła się Caitlin.

- Bardzo dobrze.

- Uderzył mnie.

- Więcej nie uderzy. - Gillian popatrzyła na tace. Znajdowały się na niej dwa talerze z ryżem oraz siekanym mięsem i dwie szklanki mleka. Powąchała uważnie jedzenie. - Dobrze tu jadasz?

- Jedzenie jest niedobre, ale jem, bo jestem głodna. A jak już zjem, to chce mi się spać.

- Rozumiem.

Natychmiast zajrzała w źrenice dziewczynki. Były rozszerzone, mgliste, białka wokół nich lekko przekrwione, Narkotyki! Fala nienawiści do oprawców natychmiast zalała Gillian. Omal nie krzyknęła z oburzenia i wściekłości. Opanowała się jednak i zamiast tego powiedziała:

- Musisz jednak jeść, kochanie. - Pokręciła do dziewczynki głową, pokazując na tacę, po czym upchnęła zawartość obu talerzy pod łóżkiem.

Mała nadspodziewanie szybko pojęła tę grę.

- Dobrze, ciociu - powiedziała z porozumiewawczym uśmiechem.

- Musisz jeść, żeby mieć siły. Musisz też dużo spać. - Rozejrzała się i wylała mleko na brudny dywanik w rogu pomieszczenia. - Chodź, kochanie, zjedz coś jeszcze.

Caitlin przyłożyła dłoń do ust i zachichotała.

- Nie mogę, ciociu.

- Możesz, możesz. Bardzo ładnie. A teraz wypij mleczko. - W oczach Caitlin pojawił się przekorny ogień.

- Nie lubię mleka.

- Mleko ma dużo wapnia. Nie chcesz chyba mieć miękkich kości, prawda? - Gillian przytuliła się do małej i wyszeptała prosto w jej ucho: - Dodają nam do jedzenia coś, co może nas uspić, a my chcemy ich zmylić. Musisz teraz udawać, że śpisz, to nie zorientują się, że tego nie jemy. Posłuchaj, kochanie, jeśli jeden z nich wróci, nie ruszaj się i leż spokojnie.

Caitlin posłusznie skinęła głową.

- Tylko nie odchodź, ciociu - powiedziała.

- Nie odejdę. - Gillian przycisnęła dziewczynkę mocniej do piersi i zaczęła ją kołysać.

- Na pewno już nie odejdę.

W świetle zachodzącego słońca góry wydawały się różowe, a piasek u ich stóp złoty. Gdy schowało się za horyzontem, Breintz zmienił pękniętą oponę i przebrał się w strój szofera, Trace zaś ułożył broń na podłodze samochodu. Pracowali w ciszy. Wszystko, co trzeba było powiedzieć, zostało powiedziane wcześniej. Wiedzieli, co mają robić, i wierzyli w swój plan. Musieli wierzyć, jeśli chcieli przeżyć.

Po zmroku Trace ułożył się między fotelami, a Breintz zasiadł za kierownicą. Po raz ostatni wyruszyli na wschód.

Przed bramą kwatery „Młota” Breintz wystukał zapamiętany przez Trace'a kod i pogwizdując, czekał, aż automatyczne wrota wpuszczą ich do środka. Za bramą natychmiast podszedł do nich strażnik.

- W samą porę... - zaczął, lecz nie dokończył, bowiem Breintz zamroczył go ciosem w szyję. Trace był już na zewnątrz i pewnym krokiem szedł w stronę laboratorium.

Kilkanaście metrów dalej, tuż przed wejściem do budynku, równie cicho i sprawnie unieszkodliwili kolejnych dwóch strażników. Teraz, gdy znaleźli się już w środku, musieli działać szybko. Zainstalowane tu były kamery i cały czas znajdowali się pod obserwacją.

- Daj papierosa - zagadnął Breintz po arabsku pilnującego korytarza mężczyznę. - Co warte jest wino bez tytoniu?

Strażnik uśmiechnął się, wyciągnął pomietą paczkę i... znów poszło gładko i nie padł ani jeden strzał - tym razem za sprawą precyzyjnego ciosu Trace'a.

- Wciąż uderzasz trochę za lekko - narzekał Breintz, podczas gdy Trace wkładał już klucz do zamka.

- Za to twój cios się poprawił. - Trace odetchnął głęboko i pchnął przed siebie ciężkie

drzwi. - Spokojnie. Nie przestawaj pracować - powiedział cicho do Flynna. - Stój tyłem do kamery.

Wbrew zaleceniom, Flynn odłożył na bok probówkę.

- To ty.

- Na litość boską, pracuj, człowieku, jeśli chcesz uratować swoją córkę. Nie mogą się zorientować, o co nam chodzi. No, już!

- Niech pan nas posłucha - dodał Breintz nieco łagodniej.

- No, podnieś tę probówkę i gap się na nią, zrób coś naukowego. Jestem tu po to, żeby ci pomóc...

- Jesteś świnią. - Flynn podniósł posłusznie probówkę, lecz ścisnął ją teraz tak mocno, że lada chwila mogła pęknąć.

- Może, ale mam wydostać stąd ciebie i twoje dziecko. Twoją siostrę też, kolego. Pracuj, pracuj. Odznakę pokażę ci później...

Flynn posłuchał w końcu, choć widać było, że wciąż im nie dowierza.

- Myślałem, że jesteś Francuzem.

- Jestem Irlandczykiem, tak jak ty. - Trace uśmiechnął się i dodał z irlandzkim akcentem: - O Święta Trójco, o święty Patryku, zobaczysz, że niedługo wysadzimy tę cholerną budę w powietrze!

Może była to desperacja, ale te słowa przekonały wreszcie Flynna.

- Jeśli tak, to ja rzucam pierwszy granat.

- Proszę bardzo. A teraz przesuń się w lewo, tam gdzie te twoje bazgrały, widzisz?

Flynn odłożył probówkę i zastosował się do polecenia. Tyłem do kamery udawał, że szuka swoich notatek.

- Jak nas znalazłeś?

- Podziękuj swojej siostrze. Jeśli masz tyle odwagi co ona, damy sobie radę. A teraz czytaj. Udawaj, że coś się nie zgadza. Tak, dobrze. Weź ołówek, jak gdybyś chciał coś zapisać. Okay, dajesz sobie radę, Fitzpatrick. Nie myślałeś o Hollywood? Teraz uważaj, strzelę w kamerę. Kiedy to zrobię, biegnij, Breintz się tobą zajmie, a ja poszukam Gillian i Caitlin, jasne? Teraz! - Trace jednym strzałem zniszczył kamerę.

- Nie pójdę bez Caitlin! - Flynn zacisnął pięści i nie ruszył się z miejsca.

- Powiedziałem, że ją znajdę! - Trace popchnął go w kierunku partnera. - Ty jesteś najważniejszy! Jeśli ciebie złapią, nikt z nas nie przeżyje. Wiejcie, panowie, do jasnej cholery, bo...

- To moja córka! Za nic jej nie zostawię!

- Pieprzone Fitzpatricki! - zaklął Trace i wepchnął rewolwer w rękę Flynnna. - Znasz się na tym, sakramencka cholero?

- Przekonasz się.

- Dobra, Breintz, mamy partnera. Pomódl się teraz, bo za chwilę będzie naprawdę gorąco.

- Już to zrobiłem, Trace.

- No to jazda!

Gillian leżała nieruchomo, udając sen. Caitlin naprawdę spała. Strażnik pochylał się nad nimi, sprawdzając zapewne, czy narkotyk zadziałał i czy obie skutecznie zostały oszołomione i nie będą już dzisiaj sprawiać kłopotów.

Chciało jej się płakać, wyc z wściekłości i z rozpacz. Choć jednak pogodziła się już z tym, że Trace został zabity w zasadzce, miała jeszcze siłę, by walczyć o wolność i życie - a może już tylko o godną śmierć. Spod w półprzymkniętych powiek obserwowała pochylającego się nad nią mężczyznę i ścisnęła kurczowo w dłoni swą żalną broń - ukryty pod poduszką fajansowy talerz.

Gdy strażnik nachylił się niżej, być może zaintrygowany jej urodą, zerwała się z dzikim wrzaskiem i z całej siły huknęła go krawędzią talerza w nos. Usłyszała trzask łamanej kości, zobaczyła krew. Mężczyzna zatoczył się, a wtedy Gillian sięgnęła po drugi talerz i ponownie uderzyła.

Znów się zachwiał, ale zdołał złapać ją za ramię. Chciał je wykręcić, lecz wówczas Gillian przypomniała sobie lekcję samoobrony, której udzieliła jej amerykańska sąsiadka, kiedy przeprowadziła się z Irlandii do Nowego Jorku.

Celuj w oczy, Gillian...

Zamachnęła się potężnie wolną ręką. Tym razem ryknął jak zraniony zwierz. Wyszarpnął zza pleców karabin, lufa broni uderzyła ją w bok. Teraz Gillian naprawdę

walczyła o życie.

Przebudzona Caitlin zaczęła płakać i krzyczeć z przerażenia, zupełnie jak w koszmarach, które Gillian śniła tak często. Płacz dziewczynki wyzwolił w niej dodatkowe siły. Poczula, jak adrenalina wypełnia jej żyły, i zaczęła walczyć z dziką desperacją. Schwyciła karabin strażnika, usiłując mu go wyrwać. Nie chciał puścić. Szarpnęła. Huknął strzał...

A potem zapadła cisza.

Gillian stała z bronią w ręku i patrzyła na leżące u jej stóp martwe ciało.

- Ciociu! - Caitlin złapała ją za nogi. - Czy on nie żyje? Czy ten zły pan nie żyje?

- Nie wiem... nie wiem... - zachwiała się, jakby znowu oszołomiono ją narkotykiem. - Nie wiem, Caitlin. Wiem tylko, że musimy iść. Musimy już iść, kochanie, szybko...

Wyrwała z dłoni strażnika klucze, otworzyła drzwi i wybiegła na korytarz, który wypełniały odgłosy strzelaniny. Cofnęła się wystraszona, stanęła w najdalszym kącie pokoju, zasłoniła dziecko własnym ciałem i czekała z karabinem wymierzonym przed siebie.

Pierwszy strażnik wpadł na nich szybciej, niż się spodziewali. Musieli użyć broni. Wciąż posuwali się naprzód, ale zawdzięczali to w głównej mierze szczęściu i całkowitemu zaskoczeniu terrorystów.

- Tu je trzymają. - Breintz dotarł pierwszy do drugiego poziomu twierdzy. Schował się za kolumną u szczytu schodów i machnął lufą w stronę korytarza. - Zatrzymam ich. Wy idźcie po kobietę i dziecko.

Trace ujął granatnik i wystrzelił trzy pociski w stronę schodów.

- Teraz uważaj! - wrzasnął Flynnowi do ucha, przekrzykując odgłosy detonacji. - Walimy przed siebie! Ja biorę lewe drzwi, ty prawe, jasne? No to jazda!!! - Popędził przed siebie co sił, wyważył kilka kolejnych drzwi, aż wreszcie dostrzegł ostatnie, które były otwarte. Z plecami przyciśniętymi do ściany ujął karabin w obie dłonie i odetchnął głęboko, nim wdarł się do pomieszczenia z bronią gotową do strzału. - Wszyscy na ziemię!!!

Kula przeciwnika drasnęła go w ramię, jednak gdy upadł na podłogę i mocnym wykopem zwałił go z nóg, był zbyt zaskoczony, aby poczuć ból.

- Dobry Boże, kobieto - wyszeptał.

- Trace! - Odrzuciła broń i przysunęła się do niego. - Och, Trace, myślałam, że nie

żyjesz!

- Mało brakowało. - Przejechał dłonią po ramieniu. Jego palce natychmiast zabarwiły się na czerwono.

- Boże, Flynn... - Teraz Gillian rzuciła się do brata, który wpadł do pomieszczenia z wrzaskiem, który miał zapewne dodać mu odwagi.

- Tatuuuuś!!! - Caitlin przebiegła przez pokój, by również znaleźć się w ramionach ojca.

- Dobra, kochani. Rodzinne czułości będą później - ostrzegł ich Trace. - Teraz idziemy... Breintz! Jesteś gotów? - Posłał kilka pocisków w kierunku pierwszego piętra, aby osłonić partnera. - Wal do nas! Wyprowadź ich na zewnątrz, a ja zabawię naszych przyjaciół!
- Odbezpieczył automat, który zabrał jednemu ze strażników. Poczekał jeszcze, aż Breintz do nich dobiegnie, a potem położył mu dłoń na ramieniu i powiedział: - Piętnaście minut. Wysadź w powietrze tę budę za piętnaście minut.

- Chciałbym cię jeszcze kiedyś zobaczyć.

- Na wszelki wypadek napatrz się teraz. - Trace uśmiechnął się przekornie i pobiegł w stronę schodów, osłaniając się ogniem.

- Nie! - krzyknęła za nim Gillian. - On nie może tego zrobić!

Popatrzyła z rozpaczą na Breintza, lecz nawet on nie był już w stanie zatrzymać Trace'a O'Hurleya. Czy jednak ona, zakochana w nim kobieta, może pozwolić mu zginąć? Nie, musi mu pomóc, musi stanąć twarzą w twarz z przeznaczeniem.

- Przepraszam, Flynn - pośpiesznie ucałowała brata - muszę z nim zostać. Idźcie... - pożegnała ich i pobiegła za ukochanym.

Dogoniła go w połowie schodów. – Zaczekaj.

- Chryste Panie! Jill!

- Będzie im łatwiej, jeśli się rozdzielimy.

- Zostaję z tobą. Taka była umowa.

Było za późno, żeby ją odesłać. Gdyby miał chociaż jedną zbędną sekundę, nawrzeszczałby na nią. Zamiast tego złapał tylko Gillian za ramię i pociągnął z całej siły za sobą.

Zbiegli na pierwszy poziom i schowali się w zaciętej wnęce. Trace z satysfakcją patrzył jak wściekłe niszczenie i zamieszanie spowodował ich śmiały rajd. Na kamiennej posadzce leżały wielkie kawały gruzu, pod ścianami zaś trupy terrorystów. Generał Husad wypadł ze swego gabinetu i wymachiwał teraz TS - 35, strzelając bezładnie wokół siebie. Trafiał głównie w swoich żołnierzy i pewnie dlatego ktoś w pewnym momencie postanowił go unieszkodliwić. Szalony przywódca, któremu niespodziewany atak odebrał resztki rozumu, zachwiał się nagle i osunął na ziemię. Ukryty strzelec ujawnił się natychmiast.

- Ty głupcze. - Kendesa stanął nad odzianym w złote szaty ciałem i spojrzał na nie ze wzgardą. - Twój czas już minął, pajacu. - Schylił się, podniósł TS - 35 i popatrzył na zaskoczonych żołnierzy. - Do głównego wejścia, idioci! Zablokujcie główne wejście! Teraz ja przejmuję władzę!

Trace zmartwił. Droga ucieczki została odcięta i nie mogli już liczyć na to, że wydostaną się stąd nie zauważeni. Pozostawało tylko zaryzykować i liczyć na skuteczność modlitw Breintza.

- Przegrałeś, Kendesa - powiedział, wychodząc z ukrycia z bronią wycelowaną wprost w przeciwnika. - To ty jesteś głupcem, bo uwierzyłeś, że dałem się zwieść tej kobiecie. A przecież to ja wykołowałem cię. Czy tak trudno było na to wpaść?

- Cabot?

- Czasami.

- A więc Il Gatto. - Twarz Kendesy wykrzywiła się ze złości i ze strachu.

- Tak jest. Nasze interesy się skończyły. Teraz czas na osobiste porachunki...

Chciał pociągnąć za spust. Naprawdę chciał strzelić i pomścić Charliego Forrestera. Zanim jednak zdołał to uczynić, generał dźwignął się ostatkiem sił i uniósł rękę, w której trzymał niewielki pistolet.

- Zdrajca - wyszeptał, po czym wypalił i wyzionął ducha.

Kendesa zachwiał się, ale nie upadł. Trace ponownie wycelował. Tym razem jednak do akcji wkroczyły siły nadprzyrodzone. Ziemia zadrżała gwałtownie, a on natychmiast pomyślał, że to Breintz zbyt wcześnie odpalił podłożone ładunki. Złapał dłoń Gillian i pociągnął ją w stronę wyjścia. Kolejny wstrząs rzucił ich oboje na kamienną ścianę.

- Trzęsienie ziemi - wykrztusił, z trudem łapiąc oddech. - Prawdziwe trzęsienie... Ta

buda tego nie wytrzyma.

- Wydostali się, prawda?

- Mieli trochę czasu.

Przebiegli objęci przez jeden z korytarzy, lecz na końcu znów napotkali kamienną ścianę. Gillian oślepił kurz, słyszała wokół siebie przeraźliwe krzyki. Nie wiedziała, dokąd idą. Ufała Trace'owi, który ciągnął ją za sobą.

- Musi być jeszcze jakieś wyjście... - Wiedziony intuicją, zawrócił w stronę gabinetu Husada. - Na pewno generał miał awaryjne wyjście...

- Jest gabinet! Co teraz?

- Szukaj guzika, mechanizmu! - wrzasnął, przekrzykując huk spadających kamieni. Poczul dym, ogień był gdzieś niedaleko. Obiema rękami odepchnął regał z książkami i wtedy ściana rozsunęła się bezszelestnie, a on poczuł się jak: Mojżesz, przed którym rozstąpiło się Morze Czerwone.

Korytarz za ścianą był stromy, wąski, piał się pod górę i cały drżał od wstrząsów. Pobiegli skuleni przed siebie, w stronę smugi światła widocznej na końcu. Potykali się, nie mieli sił, lecz w kilkadziesiąt sekund później byli już na zewnątrz, na wysokiej skale, w cieniu której zbudowano główną kwaterę „Młota” i ognisko światowej rewolucji.

W samą porę - Olbrzymi budynek u ich stóp rozpadł się z hukiem, grzebiąc przerażonych terrorystów, a w chwilę potem ciemność rozświetliła potężna eksplozja.

- A więc znowu mogę sobie na ciebie popatrzeć.

- Na to wygląda. - Trace zbliżył cygaro do zapalniczki, którą podsunął mu Breintz.

- Widzisz? Bóg sprawił, że nie musiałem dokończyć naszego planu. - Wręczył Trace'owi noktowizor. - Niewiele zostało, prawda?

- Popiół i zgliszcza.

- A co z Kendesą?

- Generał się nim zajął. A jeśli nie on, to Bóg dokończył dzieła. „Młot” to już historia, partnerze. Wygląda na to, że dostaniesz awans.

- Ty też.

- Ja nie. Już z tym skończyłem. - Trace oparł się o skałę i z uśmiechem patrzył, jak

Gillian wita się z rodziną. Ściskali się wszyscy serdecznie przez dobre dwie minuty, wreszcie podeszli do pary agentów i popatrzyli na nich z wdzięcznością.

- Jestem pod wrażeniem, rodaku - odezwał się Flynn i położył Trace'owi dłoń na ramieniu.

- Ja też. Nieźle strzelałeś.

- Dwa razy. W każdym razie jestem ci zobowiązany. Masz jakieś nazwisko?

Trace wziął z rąk Breintza butelkę whisky. Pociągnął solidny łyk.

- O'Hurley - odparł.

- Dziękuję ci więc, O'Hurley, w imieniu mojej córki.

- To ty jesteś tym panem, który przyjechał z Meksyku, żeby nas uratować? Sprytnym jak kot? - zapytała dziewczynka.

- W pewnym sensie. - Była szczuplejsza niż na zdjęciu, a jej oczy wydawały się zbyt duże w bladej twarzy. Trace nie mógł się oprzeć - wyciągnął rękę i dotknął rudego kosmyka. - Najważniejsze, że jesteś cała i zdrowa.

- Mogę cię pocałować?

- Jasne. - Rozłożył szeroko ramiona, a potem nadstawił policzek, na którym złożyła wilgotnego całusa.

Gillian wciąż jeszcze była tym wszystkim oszołomiona. Patrzyła ze wzruszeniem na Caitlin w ramionach Trace'a i bała się, że za chwilę wybuchnie płaczem. Odeszła na bok, by nie peszyć ich swoim zachowaniem, lecz on nie pozwolił jej zostać samej i poszedł za nią.

- Domyślam się, że chciałbyś wiedzieć, jak się tu dostałam, ale na razie nie mogę o tym mówić.

- Wiem. W porządku. - Wyciągnął rękę, aby pogłaskać ją po włosach, ale zrezygnował w ostatniej chwili. - Zaraz będziemy jechać. Samolot z Sefrou zabierze nas do Madrytu. Tam zajmą się wami nasi ludzie.

- Trace? - Spojrzała mu w oczy. - Myślałam, że cię zabili. Myślałam, że już nie żyjesz, a ty... a ty mówisz tak po prostu o samolocie, Madrycie, waszych ludziach...

- Żyję, złotko - uśmiechnął się smutno - Nie zabili mnie, a jedyną ranę zadałaś mi ty. - Dotknął zakrwawionej koszuli na ramieniu.

- Boże, zapomniałam - zatroskała się nagle. - Mogłam cię zabić.

- Nie z takim wytrawnym okiem. Bóg czuwał, żeby sumienie Gillian Fitzpatrick pozostało czyste - zażartował.

- Mylisz się. - Dotknęła nerwowo dłonią spierzchniętych ust. - Zabiłam człowieka. Własnymi rękami. - Popatrzyła teraz na nie i zadrżała. - Nawet nie widziałam jego twarzy.

- I myślisz, że nie będziesz umiała z tym żyć, - Ujął ją pod brodę i zmusił, aby na niego popatrzyła, - Będziesz umiała, Gillian. Wierz mi, że można z tym żyć. Broniłaś się. Broniłaś dziecka. Nie było innego wyjścia.

- Wiem. Wiem o tym wszystkim... - westchnęła. - Czy mógłbyś zrobić dla mnie coś jeszcze? - spytała cicho. - Jeszcze tylko jedną rzecz?

- Najpierw powiedz.

- Jeśli to nie będzie cię zbyt wiele kosztowało, to... czy mógłbyś mnie przytulić? Nie chcę płakać, a jeśli mnie przytulisz, nie będę.

- Chodź - mruknął niepewnie i przygarnął ją mocno do siebie. Nie bardzo wiedział, co powinien powiedzieć, wreszcie odezwał się praktycznym tonem i natychmiast poczuł się idiotycznie: - Jeśli musisz się wypłakać, to płacz. Mamy jeszcze trochę czasu.

- Nie, teraz już nie muszę - szepnęła i zamknęła oczy, by lepiej poczuć to szczęście.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Nie rozumiem, jak możesz się tym denerwować po wszystkim, co przeszliśmy.

- Nie bądź śmieszna. Wcale się nie denerwuję. - Trace ponownie poprawił węzeł krawata. - Po prostu nie mam pojęcia, dlaczego, u diabła, dałem się w to zrobić.

Gillian uśmiechnęła do niego znad kierownicy samochodu, który wynajęli na lotnisku w Los Angeles.

- Dałeś słowo, że kiedy skończy się nasza misja, pojedziemy tam, gdzie będę chciała. A ja postanowiłam pojechać na wesele twojej siostry.

- Parszywie mi się odwdzięczasz, i to po tym, jak uratowałem twoje życie.

Znów się uśmiechnęła. Ona też chciała uratować jego życie. A ściślej - pewien bardzo istotny jego fragment.

- Dane raz słowo zobowiązuje - powiedziała z powagą, po czym roześmiała się, słysząc jego zduszone przekleństwo. - Trace, nie psuj mi nastroju. Jest piękny dzień i chyba nigdy jeszcze nie byłam tak szczęśliwa. Widziałeś, jak cudownie wyglądali Flynn i Caitlin, gdy się z nimi zegnaliśmy? Naprawdę aż trudno uwierzyć, że już po wszystkim, i że mała tak szybko przyszła do siebie.

- Na szczęście. Oboje mogą wracać do Irlandii i nie muszą już niczego się bać. Husad i Kendesa nie żyją, a „Młot” przestał istnieć.

- Tylko Addison nie był tym zachwycony. „Horyzont” trzeba właściwie zaczynać od nowa. Zniszczeniu uległy wyniki badań, a Flynn stanowczo odmówił powtórnej pracy nad projektem.

Trace pokiwał głową z zadowoleniem. Wiedział już o tym ze swoich źródeł. Może jednak mylił się co do naukowców - przynajmniej co do niektórych. Fitzpatrick odrzucił wszystkie prośby, groźby, błagania i zachęty. Gillian poparta go zresztą i Addison został sam z plikiem spreparowanych notatek, zawierających błędy.

- Tak, Addison nie był zachwycony - przyznał, - Jeśli dodać do tego utratę broni, w tym TS - 35...

-...i utratę jednego z najlepszych agentów.

- Ej, to ty tak myślisz.

- On też. Sam mi powiedział. Miał nadzieję, że uda mu się nakłonić cię do pozostania „na pokładzie”, jak to ujął. Postanowił nawet mnie poprosić o pomoc.

- I co mu powiedziałaś?

- Że ma źle w głowie. Spójrz, jakie wysokie są te palmy. W Nowym Jorku pewnie leje, a tu pełnia lata!

- W Nowym Jorku... - Trące westchnął ciężko. - Powiedz szczerze, Gillian, tęsknisz za nim?

- Za Nowym Jorkiem? Rzadko o nim myślałam. Pewnie wszyscy w pracy sądzą, że przepadłam gdzieś z kretesem na końcu świata. I do pewnego stopnia mają rację.

- Arthur Steward też pewnie zastanawia się, co się dzieje.

- Arthur? - Gillian uśmiechnęła się pogodnie. - Poczciwy Arthur zastanawia się pewnie nad tym w przerwie między eksperymentami. Będę musiała wysłać mu pocztówkę.

- Po co? Wrócisz za parę dni.

- Nie wiem, jeszcze nie zdecydowałam. - Choć jeszcze o tym nie wiedział, nie zamierzała wracać do Nowego Jorku bez niego, - A ty? Polecisz prosto na te wyspy.

- Najpierw muszę załatwić coś w Chicago. - Zamilkł na moment, gdyż jeszcze nie oswoił się z najnowszą wieścią. - Z jakichś powodów Charlie zostawił mi w spadku swój dom.

- Rozumiem. - Spojrzała na niego z uśmiechem. - Więc wreszcie masz dom.

- No właśnie. Cholera, nie znam się na nieruchomościach, nie wiem, co z nim zrobić.

Wjechali do Beverly Hills, aktualnego miejsca zamieszkania Chantel O’Hurley. Trące przypomniał sobie, że jego ojciec zawsze marzył, żeby kiedyś zamieszkać w tej dzielnicy Los Angeles.

- Słuchaj, to głupi pomysł. - Ponownie nerwowym ruchem poprawił krawat. - Wróćmy na lotnisko i polecmy do Nowej Zelandii. Tam jest naprawdę pięknie.

- Nie ma mowy. Obietnica to obietnica.

- Nie chcę zepsuć wesela Chantel i innym.

- Pewnie, że nie chcesz. I dlatego się na nim pojawisz.

- Nie rozumiesz, Gillian... - Nigdy dotąd nie próbował jej wytłumaczyć, jak

skomplikowana jest jego rodzinna sytuacja. - Mój ojciec - zaczął teraz - nie przebaczył mi nigdy tego, że odszedłem. Nie rozumiał, że musiałem to zrobić, żeby poczuć się wolny. On chciał, bym stał się częścią jego marzenia. Rozumiesz... Rodzina O'Hurleyów, w komplecie i w świetle reflektorów. Broadway, Las Vegas, Carnegie Hall...

Zamilkł, a Gillian odezwała się dopiero po chwili.

- Mój ojciec też nigdy mi nie wybaczył i nigdy mnie nie rozumiał. Chciał, abym była kimś innym, a przy tym wcale... Czy twój ojciec cię kocha, Trace?

- Pewnie, że tak, tylko że...

- Mój ojciec nigdy mnie nie kochał.

- Nieprawda.

- Prawda. Posłuchaj mnie, Trace, istnieje wielka różnica między miłością a obowiązkiem, między prawdziwym uczuciem a oczekiwaniami wobec własnych dzieci. Mój ojciec nie kochał mnie i długo nie umiałam się z tym pogodzić, dopiero niedawno mi się to udało. Wciąż jednak nie potrafię pogodzić się z faktem, że nie pojedналиśmy się przed jego śmiercią. Nie zdążyłam, a teraz jest już za późno... - Popatrzyła na niego i zdawało mu się przez chwilę, że jej oczy są wilgotne od łez.

- Nie popełniaj tego samego błędu. Wierz mi, będziesz tego żałował.

Trace nie wiedział, co odpowiedzieć, jakim argumentem się podeprzeć. Przyjechał tu, gdyż jej to obiecał, ale przede wszystkim dlatego, że tego pragnął. Jego marzenia nie mogły zostać spełnione, dopóki nie poukłada sobie życia, a to było możliwe jedynie wtedy, gdy znowu będzie ze swoją rodziną. Z całą rodziną, z ojcem też.

- I dlatego właśnie mnie tu przywiodłaś?

- Tak.

- Jest pani upartą kobietą, pani doktor.

- Wiem o tym. - Dotknęła przelotnie dłonią jego twarzy.

- Ale nie myślałam tylko o tobie...

Uniósł brwi i chciał zażądać wyjaśnień, lecz nie zdążył, gdyż podjechali do bramy i w okno samochodu zastukał ochroniarz.

- Wcześniej państwo przyjechali - powiedział. - Mogę zobaczyć zaproszenie?

Trace wyciągnął odznakę.

- McAllister, ochrona specjalna.

Mężczyzna uważnie przyjrzał się fotografii, po czym skinął głową i zasalutował.

- Oczywiście. Proszę jechać.

- McAllister? - zapytała Gillian, gdy ruszyli.

- Trudno wykorzystać stare nawyki. - Trace schował odznakę do kieszeni. - Boże święty, co to za pałac!

Dom był rzeczywiście olbrzymi. Fasady miał białe i eleganckie, a trawniki wokół starannie utrzymane. Trace natychmiast przypomniał sobie wszystkie marne hotelowe pokoje, w których sypiał przez tyle lat, posiłki, które ojciec przygotowywał na elektrycznej kuchence, duszne garderoby, publiczność, która równie często gwizdała, co klaskała. Przypomniał sobie pot i kurz, skrzypienie desek na nierównej scenie i muzykę.

- Pięknie tu - westchnęła Gillian. - Zupełnie jak na obrazku.

- Siostrzyczka nadrabia zaległości. Zawsze powtarzała, że nie będzie całe życie sypiać w podrzędnych motelach. - Poczul nagle, że ogarnia go duma. - No i proszę. Mała Chantel dotrzymała słowa. Niezła jest, no nie?

- Mówisz jak typowy brat - parsknęła śmiechem Gillian. Śmiech był nieco sztuczny i wymuszony, bo też i Gillian czuła się spięta i skrępowana. Nie była przygotowana na spotkanie ze śmietanką towarzyską Hollywood. A przecież miała się także spotkać z rodziną mężczyzny, którego pokochała. Co będzie, jeśli jej nie polubią? Może powinna się wycofać?

Było już jednak za późno. Drzwi wejściowe otworzyły się nagle i wypadła z nich piękna kobieta z burzą jasnych włosów, opadających na wytworną szafirową suknię. Ruszyła po schodach w kierunku Trace'a i z radosnym piskiem wpadła mu w ramiona.

- Trace!!! Jesteś! Naprawdę jesteś! - Przywarła do niego tak mocno, że nie mógł się poruszyć. - Wiedziałam, że przyjedziesz. Nie wierzyłam w to, ale wiedziałam. I przyjechałeś.

- Witaj, Maddy. - Chcąc złapać oddech i przyjrzeć się siostrze, musiał oderwać ją od siebie. Łzy spływały po jej twarzy, ale uśmiechała się do niego promiennie. Miała taki sam uśmiech, jaki zapamiętał sprzed lat.

- O rany... - Wyciągnęła chusteczkę z jego kieszeni, po czym roześmiała się głośno. - Chantel mnie zabije, jeśli będę miała czerwony nos. Jak wyglądam?

- Okropnie, ale w sumie co można zrobić z taką twarzą?

- Roześmiał się i znów wziął ją w ramiona. Gdyby tak ze wszystkimi członkami rodziny mógł witać się tak radośnie i szczerze. - Tęskniłem za tobą, Maddy.

- Wiem, głupku. - Znowu pociekły jej łzy. - Zostaniesz tym razem na dłużej?

- Tak. - Pogłaskał ją po włosach. - Zostanę.

- Nie mogę się doczekać, żeby cię wszystkim pokazać.

- Zdamy, Maddy. Poznaj, proszę, Gillian Fitzpatrick.

- Ach, tak. Przepraszam... Miło mi cię poznać, Gillian.

- Maddy wyciągnęła dłoń do Gillian. - Rozumiesz, że jestem strasznie podniecona? Na pewno rozumiesz... - Mrugnęła do niej dyskretnie i uśmiechnęła się porozumiewawczo. - Cudownie wyglądacie ze sobą. Chodźcie - wzięła ich pod boki i razem ruszyli po schodach - musicie koniecznie poznać Reeda. O, właśnie idzie!

Przez hol zmierzał ku nim szczupły mężczyzna o krótko ostrzyżonych włosach. Był przystojny i elegancki, jak gdyby urodził się w smokingu. Reed Valentine z wytwórni płytowej „Valentine Records” dysponował ponadto wielkim bogactwem, cechował go zaś tradycyjny i konserwatywny charakter. Myśląc o swojej wiecznie niespokojnej i niepokornej siostrze, Trace doszedł do wniosku, że żaden mężczyzna nie mógłby do niej mniej pasować. A jednak...

- Reed, to jest Trace. Mówiłam ci, że przyjedzie.

- Mówiłaś. - Reed objął Maddy ramieniem i zmierzył wzrokiem jej brata, który nie pozostał mu dłużny, Maddy bardzo się cieszyła na to spotkanie. Witamy syna marnotrawnego. - Wyciągnął przed siebie dłoń.

- A ja gratuluję przyszłemu ojcu - odparł Trace. - Słyszałem już radosną nowinę.

- Dziękuję. - Reed skłonił uprzejmie głowę.

- Och, Reed, nie bądź takim sztywniakiem! - Maddy szturchnęła męża w bok. - W końcu i tak będzie jak w przypowieści. Trace wrócił, a my zabijemy cielę i wyprawimy ucztę!

Reed spostrzegł wyraz twarzy Trace'a i uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Mam wrażenie, że póki co Trace wolałby drinka.

- Zaraz go dostanie. A to jest Gillian. - Maddy zaprezentowała ją z wrodzoną

bezpośredniością. - Przyjechała do nas z Trace'em. Usiądźcie gdzieś, a ja poszukam reszty, dobra? Nie wiesz, Reed, gdzie są chłopaki Abby?

Nie musiała ich szukać. Do holu wpadło nagle jak burza dwóch chłopców, z których jeden najwyraźniej starał się złapać drugiego.

- Powiem mamie!

- Ja powiem pierwszy!

- Ejże! - Maddy złapała ich obu, zanim zaczęli się bić. Uspokójcie się bo zabrudzicie ubrania, zanim zacznie się ślub!

- Ale on powiedział, że wyglądam jak lalusz!

- A on mnie kopnął!

- Chciałem, ale nie trafiłem!

- Kopanie zabronione, Chris - odezwała się surowo Maddy. - I wcale nie wyglądasz jak lalusz. Wyglądasz bardzo elegancko. Potraficie zachować się przyzwoicie? Powinniście przywitać się z wujkiem.

- Z jakim wujkiem? - Ben, starszy chłopiec, popatrzył na nią z zaciekawieniem.

- Jedynym, którego jeszcze nie znacie. Poznajesz, Trace? To Ben, a to Chris. Synowie Abby. Trochę inni niż na zdjęciu, prawda?

Trace nie bardzo wiedział, czy uściskać dłonie chłopców, czy przyklęknąć obok nich, czy może tylko pomachać im ręką. Zanim się zdecydował, Chris podszedł bliżej, aby przyjrzeć mu się uważnie.

- A, to ty jesteś ten, który wyjechał - przypomniał sobie. - Mama mówiła, że byłeś w Japonii.

- Tak, byłem - odparł i kucnął obok chłopca.

- Uczyliśmy się o niej w szkole. Tam jedzą surowe ryby. Kurczę, chciałbym kiedyś pojechać do Japonii i w ogóle... Jadłeś je?

- Surowe ryby? Jasne, że je jadłem - odparł Trace i poczuł, jak jego gardło ścisnęło się wzdłuż. Ten malec naprawdę był do niego podobny!

- Tata, to znaczy Dylan, zabrał nas kiedyś na ryby i pokazywał, jak je patroszyć. Ja się brzydziłem...

- A ja nie! - Ben postanowił, że nie powinien pozostawać dłużej w cieniu brata. Odsunął Chrisa i sam przyjrzał się Trace'owi. - Podobał mi się ten model, który mi wysłałeś.

- Statek kosmiczny? Cieszę się.

- Ale wcale nie pozwala mi się nim bawić! - poskarżył się Chris.

- Bo jesteś lalusz!

- Nie jestem!

- O co chodzi, chłopcy? - przerwał im nagle surowy męski głos. - Słyszę, że nie możecie się dogadać - powiedział Dylan, który pojawił się nagle na progu. - Jakież kłopoty, Chris?

- Chodź, tato, mamy jeszcze jednego wujka! Jest tutaj! - Zadowolony, że znów znalazł się w centrum uwagi. Chris złapał Trace'a za rękę i pociągnął go za sobą. - To wujek Trace. A to mój tata. Zmieniliśmy nazwisko na Crosby.

- A więc tajemniczy brat wreszcie się ujawnił - powiedział z uśmiechem Dylan. - Abby zawsze pokazuje chłopcom na globusie, gdzie byłś. Sporo podróżujesz.

- Trochę.

- I jada surowe ryby - dodał Chris. - Mamo, zgadnij, kto tu jest?

Teraz z korytarza wyłoniła się Abby. Jej różowa suknia okrywała wydatny brzuch, a ciemnoblonde włosy opadały swobodnie na ramiona.

- Posłuchajcie, chłopcy, kelnerzy przed chwilą poprosili, aby niepowołane osoby trzymały swoje paluchy z dala od tortów. Zastanawiam się, o kogo im chodziło. - Pogroziła im palcem, spojrzała na męża i w tym samym momencie ujrzała obok niego Trace'a. - Och - westchnęła tylko, a jej oczy zaszkliły się łzami. - Och... Trace?

- Tylko nie płacz - Trace przytulił ją do siebie - bo Maddy zabrała mi ostatnią chusteczkę.

- Boże, taka niespodzianka. Taka wspaniała niespodzianka... Jak przyjechałeś? Skąd? Mam tyle pytań... Uściskaj mnie jeszcze.

- To Gillian go przywiozła - obwieściła Maddy, choć Gillian starała się w ogóle nie rzucać w oczy. Trace uniósł ze zdziwieniem brwi, a wtedy Maddy zachichotała. - Nie, nie. Oczywiście, że to on ją przywiózł.

- Co za różnica - Abby machnęła ręką - najważniejsze, że tu jest. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć minę Chantel.

- No to na co czekamy? - Maddy z uśmiechem objęła brata. - Jest na górze, do ostatniej chwili się upiększa.

- Widzę, że nic się nie zmieniła - mruknął Trace.

- Niewiele. Chodź, Gillian. Chantel będzie chciała cię poznać.

- Może nie powinnam...

- Nie bądź niemądra - ucięła Abby i wzięła ją za rękę. - Taka okazja zdarza się tylko raz w życiu. Oko w oko z gwiazdą filmową!

Chwilę później pukały już do drzwi garderoby Chantel O'Hurley.

- Nie wpuszczę nikogo bez butelki szampana! - usłyszeli z drugiej strony.

- Mamy coś lepszego! - odparła Maddy i otworzyła drzwi na oścież. - Ślubny prezent, wręczony z lekkim wyprzedzeniem.

- Wołałabym szampana. Jestem cała w nerwach. Czy nie mogłybyście... Coś podobnego - powiedziała nagle i powoli odwróciła się od lustra. - Zabłąkany kocur wreszcie trafił pod swój dach...

Wstała, aby przyrzeć się bratu. Była zaś tak piękna, że Trace niemal stracił oddech z wrażenia. I miała równie cięty język jak kiedyś.

- Ślicznie wyglądasz, mała - powiedział.

- Wiem o tym. - Przechyliła głowę, przyglądając się bratu. - Ty też nieźle.

- Przyjemnie mieszkasz.

- Trochę ciasno. Och... - westchnęła ciężko - ty draniu. Ty draniu - powtórzyła - zobacz, co zrobiłeś z moim makijażem! Przez ciebie będę wyglądać na własnym weselu jak wiedźma!

- Wiedźma? - Odsunął ją na odległość ramienia, by popatrzeć na łyzy, pod którymi rozpląnęły się puder, róż oraz cienie. - Raczej jak akwarela.

- Zaraz ci dam akwarelę! - Pacnęła go pięścią w pierś, poczym pieszczotliwie odgarnęła włosy z jego czoła. - Wiedzieliśmy, że kiedyś nadejdzie ten dzień, ale chyba nie mogłeś wybrać lepszej pory. Boże, nie masz chusteczki?

- Maddy, możesz ją wycisnąć dla Chantel?

- Obejdzie się. Przedstaw jej lepiej swoją narzeczoną. - Maddy niemal siłą wepchnęła Gillian do środka.

- Narzeczoną? - Chantel uniosła brwi. - Dzień dobry, Gillian.

- Nie, to nieporozumienie... taki żart. To znaczy... Dzień dobry.

- Przyjechała tu z Trace'em - dodała Abby.

- Naprawdę? Masz doskonały gust, Trace. - Chantel uściśniła serdecznie obie dłonie Gillian. - Zaraz zamówimy szampana.

- Ja przyniosę.

- Na litość boską, Maddy, od czego mamy służbę? W twoim stanie nie powinnaś biegać po schodach. Zbierz wszystkich w salonie. Zaraz do was zejdę. A ty - położyła rękę na ramieniu Trace'a - zostań ze mną na chwilę.

- Jasne. - Poszukał wzrokiem Gillian, ale ta zniknęła już otoczona jego siostrami.

- Tęskniliśmy za tobą - powiedziała Chantel, gdy zostali sami. - Czy u ciebie wszystko w porządku?

- Tak, a dlaczego pytasz?

- Nic wiem, zawsze wydawało mi się, że albo wrócisz do domu w glorii chwały, albo jako strzęp człowieka.

Trace nie mógł się nie roześmiać.

- No proszę. A tu ani jedno, ani drugie.

- Nie będę pytała, co robiłeś, ale muszę spytać, czy zostaniesz.

- Jeszcze nie wiem. - Pomyślał o Gillian. - Chciałbym.

- W porządku, rozumiem. W każdym razie dzisiaj jesteś z nami. Nie chcę być sentymentalna, ale chyba nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy.

- Jeśli znowu się rozplaczesz, będziesz wyglądała jak wiedźma.

Chciał ją objąć, lecz cofnął się, słysząc trzask otwieranych drzwi.

- Jesteś tu, Chantel? Reed mówił, że mnie szukałaś. Usiłowałam powstrzymać twojego ojca przed...

To była matka. Weszła na środek pokoju, ujrzała go i umilkła. Trace myślał, że zdołał przygotować się na to spotkanie, ale był w błędzie. Jego gardło ścisnęło wzruszenie i bał się, że jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem.

Molly niewiele się zmieniła. Kiedy na nią patrzył, znów mógł się poczuć jak nastolatek.

- Mamo?

- Synku... Niech no na ciebie popatrzę. Och, to dobrze, że wróciłeś. - Zrobiła krok i przytuliła się do niego. - To dobrze, że znów jesteś z nami.

Pachniała też tak, jak kiedyś. Wydawała się tylko mniejsza, delikatniejsza.

- Tak bardzo tęskniłem za tobą, mamo. Przepraszam za wszystko.

- Nie przepraszaj. Żadnych przeprosin. I żadnych pytań. - Odsunęła się, aby przesłać mu uśmiech. - Przynajmniej me teraz. Zamierzam zatańczyć z moim synem na weselu córki!

- Molly! Na Boga Ojca, gdzie ty się podziała? Ci tak zwani muzycy nie znają ani jednej irlandzkiej melodii! Czy to nie skandal?

No tak, teraz przyszedł czas na najtrudniejszy egzamin. Głos ojca rozbrzmiał w jego uszach zupełnie jak za dawnych lat, kiedy to Frank O'Hurley wściekał się co wieczór na członków rozmaitych orkiestr za brak talentu i profesjonalizmu.

- To tata - szepnęła matka, choć musiała wiedzieć, że Trace zdaje sobie z tego sprawę.
- Zaraz tu wpadnie. Nie powtarzaj dawnych błędów, synku.

- Co się stało tej dziewczynie? Czemu wynajęła tę bandę kretynów? Molly, gdzie, u diabła, jesteś?

Wkroczył do pokoju w typowy dla siebie sposób - pewnie, śmiało, niemal tanecznym krokiem. Śmiałość jednak opuściła go natychmiast, gdy tylko ujrzał przed sobą własnego syna.

Chantel i matka dyskretnie wymknęły się do wyjścia i po chwili zostali sami - ojciec i syn.

- Nie wiedzieliśmy, że przyjedziesz - zaczął ojciec z wyraźnym zakłopotaniem.

- Sam nie wiedziałem - odparł syn.

- Cały czas robisz to samo?

- Cały czas.

- Nie mów, że masz dosyć. Nie uwierzę w to. Przecież sam tego chciałeś.

- Skąd wiesz? Nigdy nie wiedziałeś, czego chcę naprawdę. Myślałeś, że chcę być drugim tobą.

- Nieprawda. Szanowałem twoją odmiennność.

- Akurat!

Cholera jasna, czy musieli znowu powtarzać to samo?

Chciał wyjść, trzasnąć drzwiami, ale przypomniał sobie wówczas, co powiedziała Gillian - musi pogodzić się z ojcem, musi przynajmniej spróbować, żeby nie okazało się kiedyś, że jest już na to za późno.

Zatrzymał się i przejechał niespokojnie ręką po włosach.

- Nie będę przeproszał, tato. Nie mogę przeproszać za to kim jestem i co robię. Przeproszam cię jednak za to, że cię rozczarowałem.

- Skąd wiesz, że jestem rozczarowany? Nigdy tego nie powiedziałem. Byłem wściekły, czułem się upokorzony, ale wcale mnie nie rozczarowałaś. Nie mów tak.

- To co mam powiedzieć?

- Nic. Powiedziałaś, co miałeś do powiedzenia, dwanaście lat temu. Teraz moja kolej.

- Dobrze, ale zanim zaczniesz, chcę, żebyś wiedział, że nie przyjechałem tu, aby popsuć wesele Chantel. Zawrzyjmy rozejm, przynajmniej na jeden dzień.

- Nie chcę wojny, Trace. - Frank uśmiechnął się smutno. - Nigdy jej nie chciałem. Jakoś tak samo wyszło. - Teraz on przejechał dłonią po włosach w identycznym geście, który przed chwilą wykonał Trace. Ten ostatni dostrzegł to i był wstrząśnięty dokonany odkryciem. - Jesteś moim jedynym synem, chciałem, abyś był ze mnie dumny - zaczął niepewnie ojciec. - I nie chciałem się rozstawać z tobą tak wcześnie. Kiedy więc postanowiłeś pójść własną drogą, nie chciałem cię słuchać. Wiedziałem, że traktujesz mnie jak nieudacznika, i dlatego...

- Nie. - Trace zrobił krok w jego kierunku. - Nigdy nie byłeś dla mnie nieudacznikiem, tato.

- Posyłałeś matce pieniądze.

- Bo nie mogłem jej dać niczego innego.

- Nigdy ci nie dałem... ani żadnemu z was... tego, co obiecywałem.

- Nie szkodzi. Nie chcieliśmy, żebyś dał nam sławę i pieniądze.

- Może. Ale mężczyzna powinien umieć zatroszczyć się o swoją rodzinę, przekazać jakieś dziedzictwo synowi. Nawet matce nie dałem tego, na co zasługiwała. Za dużo obiecywałem, za mało dawałem, Kiedy odszedłeś, czułem się zgorzkniały, przybity.

- Niepotrzebnie. Byłeś dla nas dobrym ojcem. Nadal jesteś... - Trace odetchnął głęboko, ale to nie uspokoiło jego głosu. - Nie wiedziałem, czy zechcesz przyjąć mnie z powrotem.

- Chciałem tego mocniej niż czeokolwiek, ale nie miałem jak ci o tym powiedzieć. Odepchnąłem cię, Trace, wiem o tym. Straciliśmy te wszystkie lata...

- Daj spokój. Jeszcze wiele ich zostało.

Teraz Frank położył dłonie na szerokich ramionach swojego syna.

- Nie wiem, Trace, nie wiem. W każdym razie chcę, żebyś pamiętał, że jestem z ciebie dumny.

- A ja chcę, żebyś wiedział... że wciąż cię kocham, tato - odparł Trace i po raz pierwszy od dwunastu lat objął ojca serdecznie. - I chcę zostać. - Aż przymknął oczy, tak wielką ulgę przyniosły mu te słowa.

- A więc jednak zabijemy to ciele, chłopcze. I popijemy razem na weselu twojej siostry, ty i ja.

- Wchodzę w to, tato.

- Moja krew! - Wilgotne oczy Franka zaświeciły się radością. - Powiedz, jak ci było bez nas? Udało ci się odwiedzić te miejsca, które chciałeś zobaczyć?

- Nawet więcej - uśmiechnął się Trace. - Mozę ucieszy cię wiadomość, że parę razy śpiewałem, żeby zarobić na kolację.

- Pewnie, że tak. W końcu nazywasz się O'Hurley, prawda? A jak tam kobiety? Opowiesz mi coś na ten temat?

- Długo by gadać.

- Mamy czas, mnóstwo czasu. Chodźmy - poprowadził syna do schodów - naprawdę

musimy się napić.

Byli już prawie na dole, kiedy w holu pojawił się kolejny mężczyzna odziany w wytworny smoking.

- Quinn! - zawołał go Frank. - Podejź no do nas, chłopcze! Chciałbym ci przedstawić mojego syna.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na Trace'a wzrokiem, w którym odmalowało się bezmierne zdumienie. Trace zareagował podobnie. Obaj nie dali jednak po sobie poznać, jak bardzo zaskoczyło ich to spotkanie.

- Miło mi poznać brata przyszłej żony. - Quinn wyciągnął dłoń. - Chantel na pewno ucieszyła twoja wizyta.

- To ciekawe poznać wszystkich szwagrów na raz.

- Musimy się napić, chłopaki! - oznajmił podekscytowany Frank. - Koniecznie! I to już, bo zaraz zwałą się goście. No, szybciotko, panowie! Na zdrowie i zostańcie sami. Ja jeszcze muszę pogadać z tymi muzykantami. - Wychylił szybko swoją whisky, poklepał ich obu po ramionach, po czym popędził z powrotem po schodach, zaaferowany jak każdy ojciec panny młodej w dniu jej ślubu.

- No proszę. Jaki ten świat jest mały - odezwał się Quinn, kiedy zostali sami. - Witaj, partnerze.

Trace uśmiechnął się do człowieka, z którym kiedyś, jeszcze na początku służby, przeżył niejedno niebezpieczeństwo i wyszedł z niejednej opresji.

- Minęło trochę czasu - zauważył.

- Co było ostatnio? Afganistan?

- Tak, jakieś osiem, dziesięć lat temu.

- Szmata czasu.

- Niestety. Więc żenisz się z Chantel?

- Zobaczymy, jak na tym wyjdę.

- Wie, czym się zajmujesz?

- Już się nie zajmuję. - Quinn wyjął papierosa i poczęstował Trace'a. - Zająłem się prywatną ochroną A tu?

- Świeżo na emeryturze.

- Cholera, że też od razu nie skojarzyłeś mi się z Chantel.

- Skąd mogłeś wiedzieć, że nazywam się O'Hurley?

- Jesteś do niej bardziej podobny niż te jej siostry. I z wyglądu, i z charakteru.

Trace wypuścił dym z płuc i uśmiechnął się z przekąsem.

- Jeśli chcesz przez najbliższe pół roku sypiać z nią, a nie na kanapie, to lepiej jej tego nie mów.

O'Hurleyowie całkowicie podbili serce Gillian. Ceremonię małżeńską oglądała z prawdziwym wzruszeniem, gdy zaś potem szampan i łyżki szczęścia lały się strumieniami, ona też była szczęśliwa, jakby to w jej rodzinie ktoś wychodził za mąż.

Wesele było huczne i wystawne. Jakieś pół tysiąca gości tłoczyło się w olbrzymim ogrodzie, powodując niesamowity wręcz rozgardiasz. Po dwóch godzinach rozmów, tańców i uśmiechów, Gillian poczuła się zmęczona i postanowiła odpocząć w jakimś spokojnym miejscu. Wybrała jeden z pokoi w domu Chantel, specjalnie przeznaczony dla gości.

- Co to? Już uciekasz? - zatrzymał ją nagle znajomy głos, gdy była już na schodach.

- Trace! - krzyknęła cicho i przycisnęła dłoń do serca. - Boże, śmiertelnie mnie przestraszyłeś. Przecież nie jesteś już agentem.

- Siła przyzwyczajenia. - Wszedł za nią na górę, potem do pokoju i wreszcie opadł na miękką kanapę. - Bolać cię może nogi? - zapytał, widząc, że Gillian zaczyna masować swoje stopy.

- Czuję się, jakbym całkiem zdarła pantofle. Czy twój ojciec nigdy nie zwalnia tempa?

- Nigdy. A jeśli jeszcze polubi jakąś partnerkę...

- Mnie polubił. - Gillian oparła się z westchnieniem o poduszki.

- Pewnie, że tak. W końcu jesteś Irlandką, która na dodatek w miarę umiejętnie tańczy jiga.

- W miarę umiejętnie? - Znów się wyprostowała. - Powinieneś wiedzieć, że Frank O'Hurley zaproponował mi, bym od jutra wyruszyła z nimi w trasę.

- I co? Spakowałaś już swoje rzeczy?

- Nie wytrzymałabym ich tempa. Twoja mama to istny żywioł. Oboje są cudowni. Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś, Trace.

- Coś mi się zdaje, że to ty mnie przywiozłaś - mruknął i ucałował niespodziewanie jej dłoń. - Dziękuję ci, Gillian.

- Kocham cię. Chciałam, żebyś był szczęśliwy.

- Tak. Mówiłaś już to kiedyś. - Wstał i podszedł do okna. Popatrzył na zastawione jedzeniem stoły i setki ludzi krążących po ogrodzie.

- Z tego co pamiętam, nie przejąłeś się tym za bardzo.

- Miałem inne sprawy na głowie.

- Ach tak, dzięki za przypomnienie. - Sięgnęła po torebkę i wyciągnęła z niej niedużą kopertę. - Oto twoje sto tysięcy dolarów. Mój prawnik przysłał wczoraj czek. Masz więc swój fundusz emerytalny, dom i rodzinę. - Odwróciła się.

- To co, dokąd się teraz udasz? Prosto na te wyspy?

- Może. - Zmiał czek i włożył go do kieszeni. - Właśnie się nad tym zastanawiałem - dodał, po czym chwycił ją za ramiona i pocałował gwałtownie, tak samo jak wtedy, jeszcze w Meksyku, kiedy irytowała go i fascynowała zarazem. - Może i mnie kochasz - powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

- A może jesteś po prostu głupia.

- Może. A może po prostu chciałabym się dowiedzieć, co ty do mnie czujesz.

Chciała się odsunąć, ale on nie pozwolił jej na to.

- Nie odchodź ode mnie - szepnął.

- To nie ja chcę odejść, Trace - odparła spokojnie i ujęła jego dłonie. Były wilgotne.

- Posłuchaj, nie wiem, jak bardzo jesteś przywiązana do tego Nowego Jorku, więc jeśli chcesz... to sprzedam ten dom w Chicago, a potem...

Gillian poczuła, jak jej serce wypełnia się nadzieją.

- Dlaczego miałabym tego chcieć? - zapytała niewinnie, bardziej dla zabawy niż z ciekawości. Po tych słowach wiedziała już, co czuje do niej Trace O'Hurley.

- Do diabła, Gillian, nie prowokuj mnie, bo...

- Czy właśnie w ten sposób prosisz mnie o rękę?

- Zamknij się i daj mi powiedzieć!

- Proszę, mów.

- Sądzę, że być może popełniamy wielki błąd, ale... chcę mimo wszystko spróbować. Mam kilka pomysłów na nowe życie. Może mógłbym sprzedać parę piosenek... Ale to nie o to chodzi. Chodzi o to, czy ty będziesz w stanie, czy ty dasz sobie radę... Nie ma powodu płatać się w jakieś niepewne związki, Gillian.

- Tym razem to ty się zamknij, dobrze? Zamknij się i chodź tutaj. - Objęła go mocno i przytuliła głowę do jego piersi. - Powiem ci, o co mi chodzi. Kocham cię. Kocham cię całym sercem i pragnę spędzić z tobą resztę życia. Nieważne gdzie. Może być Chicago, tam też znajdę jakieś laboratorium. Muszę tylko mieć pewność, że ty również będziesz szczęśliwy. Nie chcę patrzeć, jak się ze mną męczysz.

Trace żałował, że nie potrafi znaleźć odpowiednich słów. Wiedział, że jest nieporadny w swoich wyznaniach, i miał tylko nadzieję, że któregoś dnia zdoła powiedzieć jej wszystko, co czuje.

- Kiedy się spotkaliśmy, powiedziałem, że jestem zmęczony. To prawda. Już nie chcę zdobywać najwyższych szczytów, Gillian. Wiem, co na nich znajdę. Chcę być z tobą. Pewnie okażę się trudnym mężem, ale postaram się dać ci wszystko, co najlepsze. Kocham cię.

- Wiem o tym. - Pocałowała go delikatnie i oparła głowę na jego ramieniu, nareszcie szczęśliwa i wolna od obaw.